

**Sandra Paretta**

**Drzewo Życzeń**

*(Der Wunschbaum)*

*Przekład Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer*

## Część pierwsza

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było jeszcze bardzo wcześnie i pytała sama siebie, skąd pochodzi owa jasność – blade światło spoza firanek z żółtego kretonu, nie dosyć silne jednak, aby wtargnąć w głąb pokoju, ale już zbyt jasne, jak na tę godzinę, bo przecież jest zima i nie ma jeszcze nawet szóstej.

Okna jej pokoju wychodziły na wschód, jak sama sobie tego życzyła. Poranki były jej ulubioną porą dnia. Tę krótką przejściową chwilę, kiedy świat się budzi ze snu i wszystko wydaje się całkiem nowe, spędzała zwykle – zarówno zimą, jak i latem – na dworze, w rozległym parku, który otaczał ich dom. Nikt nie słyszał, kiedy wychodziła z domu, ani nikt nie widział, kiedy wracała, ale coś z odblasku poranka do niej przylgnęło i wprost z niej promieniowało. Czemu jeszcze dziś nie jestem w domu, w swoim własnym pokoju? Czyż to znaczy, że mnie już stąd wyrzucono?

Gdzie wisi portret mojej babuni w słomkowym kapeluszu, ten, na którym tak jestem do niej podobna? Gdzie stoi sekretarzyk, na którym wczoraj zaczęłam pisać tyle listów i ich nie skończyłam? Gdzie wisi suknia, w której mam wystąpić dzisiaj wieczór? Pokój jednak nic z tego nie ujawnił; nieprzenikniony półmrok ją otaczał, przygniatał jak zmora i wprost dusił. Zmusiła się, aby podnieść głowę, poczuła ciężar swych długich ciemnych włosów, które na noc splatała w warkocze. Zaczęła je rozplatać, ale wciąż jeszcze brak jej było siły, aby wstać z łóżka. Było to prawie tak, jak w tym strasznym śnie, jaki się jej tej nocy przyśnił.

Rzadko kiedy po przebudzeniu pamiętała, co się jej śniło, a jeszcze rzadziej zdarzało się, że nie mogła w nocy zasnąć. Miała mocny sen siedemnastolatki; wczoraj położyła się wcześnie do łóżka i zasnęła

natychmiast z mocnym postanowieniem, by rozpocząć wypoczęta jutrzejszy dzień, ten ostatni dzień roku 1900, który miał być tak ważny w jej życiu. W gruncie rzeczy wszystko zostało już postanowione; złożyła swemu ojcu solenne przyrzeczenie, więc nie było już odwrotu i nie zjawi się żaden zbawca w ostatniej chwili. Przetrzyma jakoś ten dzień i nawet gdyby zbierało się jej na płacz, potrafi ukryć swoje łzy przed innymi.

Znowu myśli powróciły do tego, co się jej śniło: bez pukania otworzyły się drzwi do sypialni i wszedł Rothe, podszedł do jej łóżka bez żenady, jakby już miał do tego prawo, pochylił się nad nią i wyciągnął po nią rękę, a ręka ta była tak blisko, że Kamila dostrzegła czarne włoski, którymi była porośnięta aż do średnich członów palców... Ocknęła się z przerażeniem i nawet wspomnienie o tym znowu ścisnęło jej gardło.

Od tej chwili słyszała bicie każdej godziny na steglitzkim kościele i na wszystkich zegarach w domu: z holu dochodziło bicie szafkowego zegara, a z biblioteki zegara nakręcanego raz do roku, który miał specjalnie wysoki, daleko rozchodzący się ton. Z najodleglejszych kątków wielkiego domu przenikały do niej przeróżne odgłosy. Wydawało się, że grube ściany z cegły nagle stały się akustyczne. Rury od kaloryferów i kanalizacji oraz przewody kominowe przekazywały również swoje sygnały. Krótco przed dwunastą jakiś powóz zajechał przed główny podjazd. To pewnie doktor, którego matka kazała znów sprowadzić. O trzeciej w nocy ojciec wrócił do domu. Już ta późna pora zdradzała, że spędził noc na grze w karty. Jak zawsze, kiedy było tak późno, korzystał z tylnego wjazdu do stajni i jak zawsze nie kładł się od razu do łóżka, ale pozostawał jeszcze kilka chwil w swoim gabinecie, aby nową talią kart odtworzyć najciekawsze partie, zwłaszcza kiedy przegrał. Kamila

zastanawiała się, czy nie powinna była pośrodku nocy pójść do niego i oznajmić, że odwołuje swoje przyrzeczenie niezależnie od tego, jakie mogłoby to mieć konsekwencje. Lecz te konsekwencje, zwłaszcza możliwość utraty domu, nie były jej obojętne. A w końcu czy w ogóle mogłaby ojcu, rozmawiając z nim w cztery oczy, czegoś odmówić, kiedy nie była w stanie nawet mu tego napisać...

Jasność zaczęła stopniowo rozpraszać mrok i pierwszą rzeczą, której zarysy się ukazały, była suknia wisząca naprzeciwko jej łóżka na zewnątrz szafy. Dwie pokojówki przyniosły ją tu na górę z prasowni, aby delikatny jedwab się nie pomiaął. Wieczorem na sylwestrowym przyjęciu Kamila ma wystąpić w tej sukni przed całą rodziną i gośćmi. Ale w jaki sposób przetrwać te długie godziny aż do północy, kiedy ojciec zastuka w swój kieliszek, aby wznieść toast na cześć Nowego Roku i bezpośrednio potem oznajmić o zaręczynach swojej najmłodszej córki z Aleksandrem Rothe? Czyż naprawdę, jak twierdził ojciec, nikt się tego nie spodziewał? Nawet Keith?

Mogła mieć tylko nadzieję, że w owej chwili będzie on już w parku, aby dokonać ostatnich przygotowań do zapalenia sztucznych ogni.

Jakżeż cudowny mógłby stać się ten dzień 31 grudnia roku 1900! Jakże szczęśliwie mógłby się zakończyć stary rok i jak szczęśliwie się zacząć ten nowy! Jeszcze kiedy kupowała materiał na tę balową suknię, jakże radosną i beztroską czuła się wtedy; dziewięć metrów jedwabnego zefiru, dziewięć metrów jakby utkanych ze złocistych promieni słońca, ale teraz, w półmroku, kolor sukni zmienił się w wyblakłą, upiorną szarzyznę.

Kamila wyszukała ten materiał razem z ojcem w Paryżu, była to nagroda za współpracę podczas Wystawy Światowej, na której również

firma Hofmann miała swoje stoisko w pawilonie niemieckich zakładów perfumeryjnych. Teraz pytała sama siebie, czy ojciec już wtedy nie łączył z tym jakiejś ukrytej myśli. Ostatecznie nie mogło się to stać z dnia na dzień, że nie było już pieniędzy i sytuacja zrobiła się tak krytyczna, iż ojciec – właśnie on – nie widział już innego wyjścia, jak oddanie jej za żonę Aleksandrowi Rothe w zamian za zastrzyk świeżego kapitału do firmy. Temu Aleksandrowi Rothe! Gdyby przynajmniej wiedziała, jak to się stało, że Rothe właśnie nią się zainteresował. Próbowwała sobie przypomnieć nieliczne z nim spotkania: kilka zdawkowych uwag o premierze najnowszej sztuki Wildenbrucha w foyer teatru, nic nie znacząca rozmowa na dobroczynnym kiermaszu w hotelu Kaiserhof, gdzie Kamila pomagała jako sprzedawczyni w tak zwanej „aptece na schorzenia duszy”, w jednym z cieszących się największym powodzeniem stoisk, które osiągnęło fenomenalny sukces w sprzedaży „leczącego miłość serum” i „antyazdrostiny”, oraz jeden jedyny taniec na karnawałowym balu. Nigdy nie padło pomiędzy nią i Rothem jakieś bardziej osobiste słowo. Nie napisał do niej ani razu i nie przedsięwziął ani jednej próby, aby się z nią umówić. Ona też nie zmarnowała ani jednej myśli na jego temat, może chyba tylko tyle, że już podczas tych krótkich spotkań jego osobliwa woda do włosów ją brzydziła, a jeszcze bardziej jego sposób zbyt głośnego oddychania przez na wpół otwarte usta. I to również jej się przypomniało dopiero wtedy, kiedy ojciec wyjawiał, że Aleksander Rothe prosił go o jej rękę.

W pierwszej chwili uznała to tylko za komiczne, żeby ojciec występował jako pośrednik matrymonialny, a więc w roli, która z natury rzeczy należała się matce, ale na pewno nie jemu. Stopniowo jednak ojciec

wyjawił jej całą prawdę, oczywiście nie wprost, gdyż to nie było w jego stylu. Można było sądzić, że to nie on znalazł się w trudnej sytuacji finansowej, lecz ktoś inny, a on jakby śledził tylko narastającą katastrofę z obojętnym zaciekawieniem kogoś, kto nie potrafi nawet ukryć swej złośliwej radości z cudzego nieszczęścia. W końcu wyszło na jaw, że tonie w długach po uszy i tylko jej małżeństwo z Aleksandrem Rothe mogłoby go jeszcze ocalić...

Wówczas, trzy tygodnie temu, kiedy odbyła się owa rozmowa, wszystko wydawało się jeszcze bardzo odległe; ponadto Kamila wychowywała się wraz z trzema siostrami, z których każda wyszła za męża za człowieka, jakiego jej wyszukali rodzice. W ciągu ostatnich siedmiu lat stale wisiało coś w powietrzu; a kiedy córki dorosły do wieku odpowiedniego do małżeństwa, matka uznała za cel swego życia znalezienie im mężów. Wszędzie badała możliwości, wszędzie wysuwała swoje macki, niezmordowanie, z wędchem prawdziwego sędziego śledczego. I córki uznawały w pełni autorytet matki w tych zabiegach; jej sprzeciw wystarczał, aby zabić w zarodku każde rodzące się uczucie, a kiedy w końcu matka dokonywała wyboru, cała reszta była już tylko czczą formalnością. Co do Kamili, najmłodszej córki, dziwnym trafem nie wykazywała żadnej aktywności w tym kierunku, z czego Kamila zresztą dopiero poniewczasie mogła wywnioskować, że również matka przewidywała od dawna grożące bankructwo i z góry wiedziała, że nie będzie miała już do dyspozycji dla Kamili owego stutysięcznego posagu, jaki jej zdaniem był niezbędny dla zawarcia małżeństwa w jej guście.

Ileż było komedii, zanim Maxi, Alicja i Lu zostały wydane za mąż! Kamilę bawiło nawet z początku to, że przy zawieraniu małżeństwa wcale

nie chodziło o miłość, ale o nazwisko, rangę i majątek epuzera, jako o sprawy o wiele ważniejsze. Małżeństwo bez miłości było może czymś całkiem normalnym i nie było w tym nic strasznego, w każdym razie nie tak strasznego, jak Kamila sobie wyobrażała...

Tymczasem jasność za firankami przybierała wciąż na mocy i stopniowo pokój nabierał kształtu, delikatna zieloność pasów na jasnych tapetach stawała się coraz bardziej widoczna, jak również kontury orzechowych mebli i desenie smyrneńskiego dywanu, ostatniego i najpiękniejszego, jaki utkała jej babunia. Mimo to światło pozostawało nadal jakieś osobliwe i również odgłosy z parku brzmiały dziś inaczej niż zwykle. Płacząc się w za długiej nocnej koszuli, Kamila podbiegła bosą do okna. A potem, kiedy rozsunęła firanki, wyjaśniło się w sposób jak najbardziej naturalny to zbyt wczesne świtanie, które ją tak denerwowało: nocą spadł śnieg i nie była to tylko cieniutka warstewka, która nie przetrwałaby ani jednego dnia, ale cała masa śniegu, przy czym niebo miało go w pogotowiu jeszcze więcej. Wydawało się, że nie ma już wcale nieba, a jest tylko jakaś bezgraniczna biała przestrzeń, przez którą ciągnęły się lekko zaznaczone linie, które kiedyś były ścieżkami, i gdzie wznosiły się białe kopce – mogły to być krzaki. Tylko drzewo pośrodku obszernej polany stało tam jak zawsze z grubym czarnym pniem i potężną kopułą korony nad nim.

Aby tego ranka mieć jeszcze cały park wyłącznie dla siebie, było teraz za późno; odgarnięto już śnieg ze ścieżki prowadzącej do domu ogrodnika i z tej drugiej, do cieplarni, z której miano sprowadzić dla uświetnienia dzisiejszego święta palmy, wawrzyny i wiele, wiele kwiatów. Również z drogi do furtki dla dostawców śnieg był już do połowy odgarnięty.



Wprawdzie Kamila nie mogła tam nikogo dostrzec, ale kiedy otwarła okno, usłyszała wbijanie w śnieg łopaty i głuchy łomot, z jakim śnieg spadał do tacek. Owe odgłosy oznajmiły jej, że śnieg jest już twardy i nie tak szybko znów stopnieje.

Kamila życzyła sobie od dawna, by śnieg spadł wbrew przepowiedniom ogrodnika i cioci Lenki, którzy przysięgali na wszystkie świętości, że w starym roku śniegu już nie będzie; właściwie powinni byli na tym się znać, ponieważ oboje pochodzili z Rosji. Ale oto śnieg spadł! Okazało się, że Kamila miała rację i że Keith, który w ciągu swego całego życia nigdy śniegu nie widział, zobaczy jeszcze przed swoim wyjazdem dom i park w śniegu.

Kamila stała przed otwartym oknem, wdychała świeże powietrze wielkimi haustami, zachłannie, jak gdyby tym mogła ukoić swój gorączkowy niepokój.

Niedługo już nastanie całkiem jasny dzień. Kiedy zamknęła okno i odwróciła się do wnętrza pokoju, napełnionego teraz chłodnym, zimowym światłem, zaśniła jasno jej żółta balowa suknia, groźna i nieunikniona. Kamila nie mogła już dłużej wytrzymać. Coś ciągnęło ją na dwór, na świeże powietrze.

Wybiła właśnie siódma, kiedy wychodziła ze swojego pokoju w płaszczu, w grubych butach z cholewami i futrzanej czapeczce, spod której wymykały się jej długie ciemne włosy. Od strony podjazdu usłyszała turkot kabrioletu: to był fryzjer, który przybywał, aby ogolić ojca; zawsze o tej samej godzinie, z dokładnością co do minuty. Uboczny szczegół, ale Kamila w tym momencie przypisała mu duże znaczenie. Wszystko jest jeszcze tak samo jak do tej pory – pomyślała, schodząc po

schodach z rzeźbioną drewnianą poręczą, nic się jeszcze nie zmieniło. Pokojówka odkurzała miotełką z piór złote ramy kopii Rembrandta wiszących w holu; dziś wieczór mają się tu odbywać tańce. Koszyk ogrodnika już tam stał, na wpół wypełniony zwiędłymi ciętymi kwiatami, które wynosił z pokoi przed zaniesieniem tam świeżych. Inna pokojówka szła właśnie z koszem pełnym pościelowej bielizny do pokoiw gościnnych w zachodnim skrzydle domu, gdyż w ciągu dnia miały przybyć trzy siostry z mężami, aby wziąć udział w zabawie sylwestrowej, i zamierzały pozostać aż do święta Trzech Króli.

Ciocia Lenka wyjdzie wkrótce z domu, aby udać się na ranną mszę. Ojciec będzie dyskutował z fryzjerem o noworocznych wyścigach kłusaków. A potem, prawie pół godziny później, w wielkiej skrzynce z numerami dzwonków w kuchni zapali się piętnastka i pani gospodyni Schröter zacznie przygotowywać śniadanie dla matki: herbatę z centurii i sucharki, które doktor zapewne zadysponował tej nocy; matka wszystko odtrąci i zażąda swojej kawy specjalnego gatunku, którą trzeba było ekspresem przysyłać z Hamburga. Do tego coś „posilnego”, może kilka krabów albo obrane z kości mięso przepiórki z sosem kumberland, i to nie z resztek niedzielnego obiadu, lecz koniecznie dla niej specjalnie teraz rano przyrządzane, ponieważ odgrzewane potrawy uchodziły w oczach matki za truciznę.

Na dole otwarły się drzwi domu i z przedsionka, spoza czerwonej kotary z grubego filcu, którą zawieszano tam na zimę, wynurzył się fryzjer. Strząsnął śnieg z butów, zawiesił w szatni płaszcz z potrójną pelerynką i ze swoją skórzaną torbą znikł w korytarzu prowadzącym do biblioteki, palarni i pokoi ojca.

Kamila wsłuchiwała się w jego kroki, które powoli się oddalały, odczekała, aż otworzą się drzwi i rozlegnie się głos ojca: – Dzień dobry, Schütte. Co pan powie na taki śnieg? Dla rosyjskich koni będzie to handicap... – Kamila się uśmiechnęła. Było jej przyjemnie słyszeć głos ojca, znajdować wszędzie potwierdzenie ustalonego porządku w domu, tykanie wielu zegarów, kroki służby i cichą krzątanicę, której odgłosy dochodziły z pomieszczeń gospodarczych.

Nie, nie powinno nigdy do tego dojść, żeby to wszystko miało się skończyć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Było coś osobliwego w przywiązaniu Kamili do tego domu. Ojciec go zbudował i matka w nim królowała, ale Kamila czuła się jego istotną właścicielką. Dom stał już od sześciu lat; został zbudowany w latach 1893-1894. Steglitz było wówczas jeszcze zaspianym przedmieściem Berlina i w porównaniu z chłopskimi gospodarstwami i domkami jednorodzinnymi dom, zbudowany przez aptekarza Hofmanna, wyglądał na istny pałac: podłużna budowla z dwupiętrową środkową częścią i jednopiętrowymi skrzydłami, otynkowana w jasnoszarym kolorze, z łupkowym dachem, białymi okiennicami i mnóstwem okien – dokładnie tak, jak Kamila wyobrażała sobie „swoją dom”, od czasu kiedy ciocia Lenka przeczytała jej jakieś opowiadanie ze starej książki wydrukowanej cyrylicą. Od tego czasu Kamila chciała wciąż na nowo słuchać tego opowiadania, a właściwie jedynie ustępu, przy którym ciocia podnosiła do góry wzrok i mówiła: „I dom ten miał trzysta sześćdziesiąt pięć okien”. Po czym przerywała na chwilę i dodawała: „Na każdy dzień roku jedno”.

W owym czasie rodzice Kamili mieszkali jeszcze w Neukölln, pomiędzy kanałami Landwehry i teltowskim, tuż przed ich połączeniem, gdzie nie było już kasztanów, a tylko nagie brzegi; woda latem, zawsze pokryta mieniącą się tęczowymi barwami warstwą oliwy, zimą nie zamarzała z powodu zbyt wielu ścieków. Sama apteka, stara budowla, stanowiąca od dawna własność rodziny Hofmannów, wyglądała dość okazale, ale oficyna, w której mieszkała rodzina, była więcej niż skromna, a poza tym ciemna i wilgotna. Ze swego pokoiku na trzecim piętrze Kamila miała widok na dziedziniec fabryczny, który przylegał

bezpośrednio do kanału, tak że można było dostarczać tamtędy surowce i wysyłać gotowe wyroby.

Tylko dla zdobycia pieniędzy ojciec jej zaczął produkcję mydła – dopiero później przeszedł także na wyroby perfumeryjne – i nie można było otworzyć żadnego okna, aby nie wlewał się do pokoju smród tłuszczów, które gotowano do fabrykacji mydła; również przy zamkniętych oknach przenikał ten zapach, tak że cały dom był nim przesiąknięty, nawet odzież. I Kamila najbardziej nad tym bolała, gdyż w szkole czuć było od niej tranem.

Rano budził ją hałas, kiedy rozpalano pod żeliwnymi kotłami. Z roku na rok przybywało ich coraz więcej, smród stawał się coraz bardziej natrętny i czuła się zawsze zażenowana, kiedy na rynku nad Wybrzeżem Maybachskim zachwalano w kramach mydło Hofmanna lub kiedy spotykała na ulicy furgon, którym rozwożono towary firmy klientom berlińskim, z reklamowym obrazkiem na bocznych ścianach wozu, przedstawiającym dobrze znaną w mieście roześmianą praczkę stojącą przy balii pełnej pieniąącego się mydła. Tę samą reklamową praczkę, tylko w olbrzymich rozmiarach, można było podziwiać również na ślepych murach sąsiednich kamienic, nieunikniony widok za każdym razem, gdy Kamila podchodziła do okna.

Ale wszystko to przestało być ważne z dnia na dzień, a mianowicie od owej niedzieli, kiedy ojciec zabrał ją z sobą na spacer do Tiergartenu. Nie pojechali jak zwykle konnym tramwajem, ale dorożką, i ojciec wybrał się z nią, wówczas dziewięcioletnią dziewczynką, za miasto, jechali coraz dalej i dalej, aż do okolicy, która była dla niej całkiem nowa. W końcu kazał dorożkarzowi stanąć i oboje z ojcem poszli dalej pieszo.

Był to upalny dzień. Szli przez zapuszczone pastwiska aż do terenu zarośniętego sosnami i świerkami. Wysoka trzciniowata trawa szeleściła cicho na wietrze, a w żywopłotach bukowych wrzeszczały czajki. Wydawało się, że ojciec zabłądził; dwa razy odsłaniał kamień graniczny, sprawdzał kierunek, w którym szli, aż w końcu wydostali się na polanę, pośrodku której stała potężna lipa. Od tej chwili nie padło już żadne słowo. Ojciec nie zwracał, jak dotychczas, jej uwagi na różne rośliny i ptaki. Wziął ją za rękę i skierowali się do owego olbrzymiego drzewa. Weszli pod rozłożystą koronę i tu ojciec wyciągając oba ramiona, jak gdyby chciał objąć całą tę polanę, oznajmił: – Tutaj będzie stał nasz dom.

W ten sposób Kamila została wtajemniczona w jego sekret. Pierwsza wielka tajemnica, jaką jej powierzono, gdyż ojciec zobowiązał ją do jak najsurowszego milczenia. Dopiero w wiele lat później pojęła, że ojciec potrzebował wtedy sojuszniczki dla swego śmiałego planu i że nie miał do tego nikogo innego, jak tylko ją, nieletnie dziecko. Biedny ojciec!

Pakt zawarty między nimi został dochowany. Kamila strzegła sekretu, a on wtajemniczał ją we wszystko, co potem nastąpiło: rozłożył przed nią pierwsze szkice budowy; oboje stali razem przed wykopanym fundamentem. Potem nastąpił straszny okres, kiedy Kamila zachorowała na odrę i wycieczki do „obserwatorium” musiały się skończyć. Ale ojciec co wieczór przychodził do jej łóżka i informował ją o postępach prac budowlanych stłumionym głosem, choć drzwi były szczelnie zamknięte.

Budowa w stanie surowym była gotowa, odbyła się uroczystość z okazji ustawienia więzby i zabrano się do wykończenia wnętrza – lecz wobec reszty rodziny obowiązywało nadal najsurowsze milczenie. Nawet kiedy wszelkie roboty zostały ukończone i ojciec nosił już z sobą klucz od

domu, wciąż jeszcze zwlekał z wtajemniczeniem w swój sekret reszty rodziny, ale Kamilę rozsadzała wprost niecierpliwość, by objąć dom w posiadanie; ojciec uległ więc wreszcie jej naleganiom i oznajmił podczas obiadu, że cała rodzina wybierze się po południu na „piknik na zielonej trawce”. Był to dzień 22 sierpnia 1894 roku – Kamila wbiła sobie na zawsze w pamięć tę datę – i wkrótce po godzinie trzeciej, kiedy matka zakończyła swoją poobiednią sjęstę, zaprzęgnięto do wielkiego powozu i aby być całkiem między swoimi, ojciec sam powoził. Raz po raz zatrzymywał powóz i wskazywał na piękno okolicy, ale potem stopniowo stawał się coraz bardziej małomówny, jak gdyby obawiał się, by jego tajemnica za wcześnie mu się nie wymknęła. W każdym razie tak to sobie tłumaczyła Kamila, która siedziała przy nim na koźle i nie mogła się wprost doczekać, kiedy matka i siostry również zobaczą ten cud nad cudami. Dla Kamili ów dom był cudem nad cudami, chociaż nie miał po jednym oknie na każdy dzień roku, lecz było ich tyle, ile rok ma tygodni, trzeba było tylko być trochę wyrozumiałym przy ich liczeniu. Ze wzruszenia ścisnęła ją w gardle, kiedy dojechali do Steglitz, minęli kościół, pozostawili za sobą ostatni domek i skręcili w bok z ulicy. Jeszcze kilka metrów, jeszcze ostatni zakręt i rząd drzew się rozstąpi, ukaże się brama wjazdowa z kutego żelaza, a za nią dom. A potem... jakże często wyobrażała sobie to, co potem miało nastąpić!

Ale wszystko skończyło się katastrofą. Niespodzianka nie wywołała radości, lecz wybuch szorstkiej niechęci. Kamila do dziś dnia nie zapomniała twarzy matki, najpierw niedowierzającej, a potem jakby wykutej z kamienia. Ledwie udało się ojcu namówić ją do obejrzenia wnętrza domu. Być może miał nadzieję, że spowoduje to u niej przełom;

lecz matka przy zwiedzaniu ani razu nie otworzyła ust, a również podczas powrotu, który na jej życzenie nastąpił natychmiast, zachowała lodowate milczenie. Dopiero w domu wybuchła między rodzicami kłótnia, wprawdzie przy zamkniętych drzwiach, ale na tyle głośna, że Kamila, która podsłuchiwała na korytarzu, zrozumiała wszystko. Matka kategorycznie nie zgadzała się na to, aby wygnano ją „na koniec świata”. Na ojca został wylany cały potok skarg. Przede wszystkim wbiło się w pamięć Kamili wciąż powtarzające się zdanie: „A więc na to są pieniądze”.

W następnych dniach, a nawet tygodniach, wybuchały kłótnie przy każdej sposobności; matka broniła się przez pół roku. I w samej rzeczy dom w Steglitz pozostał przez pierwszą zimę pusty, dopiero na wiosnę ojciec wymusił przeprowadzkę, motywując to tym, że potrzebuje oficyny dla powiększenia fabryki. Wszelako walka rodziców się nie skończyła. Trwała nadal, już nie głośna i bez dramatycznych scen, ale nieustannie i nieubłagane, aż do dzisiejszego dnia. Również lekarz, którego matka dziś w nocy sprowadziła, był jednym z rekwizytów w tej walce...

Wszystko to przesunęło się w wyobraźni Kamili, kiedy wychodziła z domu i mijając cieplarnie skierowała się do parku. Co krok nachodziły ją wspomnienia o trwających latami swarach rodziców, jak mają być założone park i ogród. Ojciec życzył sobie, by z tyłu za domem, gdzie właśnie znajdowała się Kamila, zachować możliwie najdokładniej charakter krajobrazu; matka natomiast przyczaiła się tylko, aż ojciec wyjedzie w dłuższą podróż, i podczas jego nieobecności kazała wykopać sztuczny staw i zbudować drewnianą pagodę, ustawić woliery i zasadzić egzotyczne drzewa iglaste. Ale jej się nie poszczęściło, drzewa uschły



i również ptaki nie przetrzymały pierwszej zimy. Nie zniechęcona bynajmniej tą porażką, matka w następnym roku przywiozła z podróży nad jeziora górnej Italii cały wagon palm, magnolii i drzewek pomarańczowych. Również i one nie przetrzymały północnego klimatu. Po tej drugiej porażce matka nie czyniła już dalszych prób, aby nadać parkowi „kulturalny wygląd”, lecz pocieszyła się ozdobnym ogrodem we francuskim stylu przed domem oraz dwiema cieplarniami, w których hodowano nie tylko masę kwiatów dla przyozdobienia pokoi, ale również cały pułk południowych drzewek, jak cytryny, które dziś wieczór miały służyć do udekorowania sali jadalnej.

Kamila nigdy nie dopatrywała się związku tego wszystkiego z pieniędzmi – teraz oczywiście już to robiła: ile to wszystko musiało kosztować? Parcela, dom, stajnie, powozy i konie oraz cieplarnie i mnóstwo służby...

Wyszła, aby uciec od takich myśli. Nie mogła jednak się ich pozbyć, szły za nią krok w krok.

Wysoka brama wjazdowa z kutego żelaza właśnie się otwarła i furgon ze sklepu z delikatesami wjechał przed wejście dla dostawców. Wyszła do nich kucharka oraz lokaj i zaczęli wnosić do domu skrzynie i kosze. Przez całe przedpołudnie będzie się to ciągnęło. Zjawią się ci od cukiernika, handlarza rybami i rzeźnika oraz tapicer, który miał udekorować hol girlandami, a w końcu, zresztą już późnym popołudniem, dodatkowo zaangażowani kelnerzy i muzykanci mający przygrywać na balu. Tak bywało przy każdym wielkim przyjęciu. Świątowanie tylko w kręgu najbliższej rodziny, bez gości i przepychu, nie było dla matki żadnym świętowaniem. Również Kamila przyjmowała to dotąd jako coś, co się

samo przez się rozumie, ale teraz nie mogła nie myśleć o kosztach z tym połączonych, o tych wielu rachunkach, które w końcu wylądują wszystkie na biurku ojca; widziała wielką skórzaną tekę, w której je przechowywał. Podczas rozmowy o jej związku małżeńskim z Rothem ojciec pokazał jej tę tekę wypchaną rachunkami. Przypomniała sobie gest, z jakim ojciec wsunął ją z powrotem pod plik czasopism wyścigowych, oraz jego uwagę: „Do końca roku będą czekać, ale co potem?”

Kamila dawno już opuściła odgarnięte ze śniegu ścieżki w pobliżu domu. Nie było tak zimno, jak myślała. Tropy zwierzęce ciągnęły się po śniegu; w parku mieszkało kilka wiewiórek i mnóstwo ptaków. Pułap chmur był wciąż jeszcze niski, ale Kamila nie wiedziała na pewno, czy to oznacza, że spadnie jeszcze więcej śniegu, czy też będzie padał deszcz. Biegła całkiem bez celu, jedynie dla ruchu, aby odetchnąć świeżym powietrzem i uwolnić się w jakiś sposób od swoich myśli. Nie zdając sobie sprawy skierowała się do starej lipy, stojącej samotnie pośrodku polany. Grunt podnosił się w pobliżu drzewa i Kamila miała uczucie, że to jego korzenie czynią go tak wypukłym.

Przystanąła na chwilę, aby przyjrzeć się drzewu. Wiedziała, jak wygląda o każdej porze roku i że w każdej ma ono swoją szczególną urodę. Korona była tak wysoka i gęsta, że latem słoneczne światło tylko kroplami sączyło się przez nią. Nawet jesienią, kiedy lipa zrzucała liście, nie stawała się naga jak inne drzewa. Widziana z daleka korona także wtedy sprawiała wrażenie pełnej i gęstej. Teraz każda gałąź, aż do najdelikatniejszych rozgałęzień, była jakby srebrnym ołówkiem obrysowana przez śnieg, a w tej ażurowej plątaninie wisiało niebo, zdawało się, że na niej spoczywa.

W szerokim kręgu, utworzonym przez koronę, warstwa śniegu była cieńsza, w bezpośredniej bliskości pnia przebijał nawet mech. Śnieg, który opadał z koniuszków gałęzi, nakreślił na dole linie, a to wzmacniało wrażenie, że drzewo stoi w jakimś magicznym kole.

Od pierwszego dnia, zanim jeszcze wiedziała, jaką moc przypisuje się temu drzewu, dziwnie ją ono przyciągało. Z daleka widoczne wznosiło się nad płaską równiną samotnie i władczo; a jego zapach – wówczas właśnie kwitło – wypełniał całą okolicę. Co roku na wiosnę, kiedy w domu okna były pootwierane, mocny zapach lipowych kwiatów rozchodził się po wszystkich pokojach.

Drzewo, bardzo wysokie jak na lipę, miało potężny pień; żeby go objąć, potrzeba było trzech mężczyzn. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Jedni mówili, że dwieście, drudzy, że czterysta. Właściwie graniczyło z cudem, że dożyło takiego wieku, gdyż stało w okolicy skąpej w drewno. Być może pozwolono mu rosnąć z powodu cienia, jaki dawało latem, albo może dlatego, że było tak piękne, wielkie i proporcjonalne z tą swoją potężną kopułą z gałęzi i listowia.

Ludność okoliczna – chłopci, rybacy i myśliwi – nazywała je drzewem życzeń. Jak doszło do tej nazwy i do legendy, która się z nią wiązała, istniały różne zdania, podobnie jak i co do jego wieku. Wszyscy jednak wierzyli w cudowną moc, jaka tkwiła w tym drzewie: kiedy pod tą lipą wypowiedziało się jakieś życzenie, można było być pewnym, że się spełni.

Zresztą nie była to tylko legenda krążąca wśród starych ludzi. Wciąż zjawiali się obcy, aby poprosić o pozwolenie przyścia w odwiedzinach do tego drzewa. Przeważnie jednak wdzierano się po prostu nocą potajemnie do parku, tak że ogrodnik miał pełne ręce roboty przy łataniu

uszkodzonych miejsc w ogrodzeniu.

Kamila stała teraz pod drzewem, wsparta plecami o jego pień. Po drugiej stronie polany sosny kołysały się na wietrze, ale tutaj było całkiem cicho. Jak dalekie są te czasy, kiedy i ten pień zginał wiatr? He musiało upłynąć zim i lat, jak głęboko musiały wrosnąć korzenie w ziemię, żeby się stało ono tak silne?

Kamila wiele rozmyślała nad tą legendą. I w pierwszych latach nieraz odczuwała pokusę wystawienia czarodziejskiej mocy tego drzewa na próbę. Zawsze jednak coś jej w tym przeszkadzało: to myśl, że nie godzi się wykorzystywać czarodziejskiej mocy dla jakiejś błahostki, to znów opanowywała ją jakaś trzeźwość, która podpowiadała, że samo czekanie i nadzieja nie są właściwym sposobem, aby życzenia się spełniły. Wszelako teraz, w tym momencie, kiedy tak samotnie tam stała oparta plecami o pień drzewa i kierowała wzrok ku domowi, poczuła pokusę, aby przymknąć oczy i wypowiedzieć życzenie: „Nie dopuść, aby się to stało, i uczyni, abym w tym domu pozostała!” Potem jednak ujrzała, jak kabriolet z fryzjerem odjeżdża, i jej myśli przyjęły inny kierunek: muszę zapytać ojca, czy poczynił już jakieś kroki, aby dom przepisać na mnie. Chociaż była tak zaskoczona projektem ojca co do jej małżeństwa, odzyskała w końcu przytomność umysłu i wytargowała od niego tę obietnicę.

Koń zaprzęgnięty do kabrioletu fryzjera przeszedł w kłus; pod czarną budą widać było tylko ręce fryzjera, w których trzymał lejce; teraz prawą ręką zdjął kapelusz i uklonił się wysokiej, smukłej pani w sięgającym aż po kostki futrze. Była to ciocia Lenka wracająca z porannej mszy. Kamila, jakby tylko na to czekała, wyszła szybko spod osłony drzewa i pobiegła na przełaj przez polanę z powrotem do domu.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Oficjalnie tytułowano w domu ciocię Lenkę majorową Hofmann albo w skrócie po prostu majorową. Matka Kamili, dla której nazwisko i ranga każdej osoby były rzeczą najważniejszą, wprowadziła ten zwyczaj; uważała, że „majorowa Hofmann” brzmi pięknie i czyni z jej owdowiałej szwagierki niemal osobę wysoko usytuowaną.

Los tej młodej kobiety – bo Lenka miała wówczas dopiero dziewiętnaście lat i zaledwie od roku była mężatką, kiedy jej mąż w 1870 roku, zaraz w pierwszych dniach wojny, poległ pod Metz – nie dawał Ernmi Hofmann spokoju. Pogodziła się nawet z tym, że ona sama była z domu von Weskow, a Lenka tylko córką petersburskiego handlarza kawiozem, i postanowiła ją znowu korzystnie wydać za mąż. Zaczęła wyzyskiwać w tym celu swoje stosunki przy dworze, ale niestety Lenka nie zdradzała żadnej ochoty do ponownego zamążpójścia. Ernmi Hofmann musiała patrzeć na to, jak młoda wdowa zdeptała przyszłe swoje szczęście, odrzucając najlepsze partie: pewnego oficera i uszlachconego bankiera, którzy byli wpisani na listę bywających u dworu. I na pewno doszłoby między obu paniami do zerwania stosunków, gdyby Lenka była tylko ubogą krewną. Ale Lenka była zamożna i wobec widoków na spadek, czy to dla siebie, czy też dla Kamili, której chrzestną matką była Lenka, Emmi Hofmann pogodziłaby się nawet jeszcze z całkiem innymi mankamentami jej charakteru. Pieniądze, wiele pieniędzy, były jedyną rzeczą, która mogła dorównać szlachetnemu urodzeniu. I tak majorowa została przyjęta do rodziny, jak są przyjmowane zmiany pór roku, lato czy zima, i stała się sama czymś w rodzaju pory roku: bez uprzedzenia wyjeżdżała corocznie

dziesiątego listopada, w przeddzień urodzin Kamili, do Warnemünde, gdzie posiadała własny dom, i wracała stamtąd na początku marca. Co roku zabierała z sobą obietnicę, że cała rodzina latem przyjedzie do niej nad morze, ale kiedy już zbliżała się pora, matka z trzema starszymi siostrami Kamili wyjeżdżała jednak do wód w Ems czy Homburgu; spośród bałtyckich kurortów mógł ostatecznie wchodzić w grę jeszcze Heiligendamm, oczywiście dopiero od niedawna, kiedy to następca tronu zaczął tam bywać, lecz w żadnym wypadku Warnemünde, które według surowej oceny Emmi Hofmann było beznadziejnie małomieszczańskie.

Więc tylko Kamila z ojcem spędzała tam wakacje i u cioci znalazła ciepło, miłość i zrozumienie, jakich nigdy nie zaznała od matki.

Kamila zdążyła jeszcze pomóc cioci zdjąć futro w holu. Ciocia wzięła do ręki małą miotełkę, aby nią otrzepać ze śniegu swoje wysokie, czarne, zapinane na guziki buty.

– No co powiesz na to? Więc jednak spadł w tym roku śnieg! – Kamila spojrzała na ciocię, która miała pięćdziesiąt jeden lat, i chociaż ciemna staromodna suknia i uczesanie raczej ją postarzały, z całej postaci promieniowało coś bardzo młodego i świeżego.

– Mówisz, że to śnieg! Nazywasz to śniegiem? Ależ, dziecko, dotknij moich rąk! Czy wydają ci się zimne? A przecież nawet nie włożyłam rękawiczek. Spędź zimę w Petersburgu – przedtem nie masz prawa rozprawiać o śniegu. Wystarczyło tam wyjść za drzwi domu, a halki stawały się sztywne jak deski.

– Ale ty wątpiałaś, czy w ogóle śnieg jeszcze spadnie.

– Ach, wy berlińczycy z waszym śniegiem, to cukier puder! – Ciocia miała niski głos, a już zupełnie niski, kiedy się śmiała.

Podwójne drzwi do sali jadalnej były otwarte. Lokaj i pokojówka rozkładali na długim stole obrus z białego adamaszku. Inna pokojówka przyszła z kuchni ze srebrną tacą w ręku, na której leżał plik kartoników. Ciocia Lenka przywołała dziewczynę i wzięła jeden z drukowanych kartoników z menu, na których były odręcznie dopisane nazwiska gości.

– „Sylwester 1900/1901 – galowy obiad” – odczytała ciocia półgłosem. „Cesarska zupa, pstrągi, comber z jagnięcia garniowany, najprzedniejsze wino kiedrichskie, rocznik 1883, gęsia wątróbka z truflami i Roederer...” – A więc już szampan! – wymknęło się cioci. – „Pularda, sałata, karczochy ze szpinakiem, Chateau d’Yquem, rocznik 1878, bombka z orzechami laskowymi, diablutki z serem, Cliquot i mokka do podania o północy”. – Odłożyła kartonik z powrotem do pozostałych. – W porządku – powiedziała do pokojówki, która uśmiechając się dygnęła. – Możesz odejść.

– Ciocia odczekała, aż pokojówka zniknie w sali jadalnej. – Tu ktoś chce prześcignąć samego siebie! – Powiedziawszy to, potrząsnęła głową. – Czy dziś ma się stać coś szczególnego?

– A co ma być szczególnego?... – zapytała Kamila, która weszła do garderoby, aby zdjąć płaszcz i czapkę. Spojrzała szybko w lustro. Nie, nie znać po niej, że prawie nie zmrużyła oka. Jak zawsze, kiedy wracała z dworu, cera jej stawała się świeża i zdrowa, bez najmniejszego śladu owej bladości, która dla panienki z jej sfery była niemal niezbędną. Nie, pomyślała, nie wyglądam jak ktoś, kto czuje się nieszczęśliwy, i tak jest dobrze.

– Chateau d’Yquem z roku 1878 już dawno nie widziałam na stole; twój ojciec strzegł pilnie tych ostatnich butelek...



– Ciocia Lenka nie gardziła zresztą dobrym winem.

– Nie zapominaj, że będą obecni zięciowie mamy.

Wydawało się, że ciocia nie chce indagować Kamili, w każdym razie odwróciła się teraz w kierunku schodów.

– Jak się czuje twoja matka? Dziś w nocy słyszałam, jak przyjechał lekarz. Nie musisz tego brać zbyt serio. Wydaje mi się, że i ona sama tak tego nie bierze. Potrafi również wspaniale dyrygować wszystkim ze swojego łóżka.

Schody z czerwonym chodnikiem pośrodku były na tyle szerokie, że obie mogły wchodzić obok siebie na górę. Pokoje cioci znajdowały się na drugim piętrze. Duża bawialnia i mniejszy pokój sypialny. Lenka sama umeblowała te pokoje. Po śmierci męża zrezygnowała z mieszkania w Berlinie i odesłała część mebli do Warnemünde, resztę zdeponowała w Berlinie, gdzie stały ponad dwadzieścia lat, aż szwagier i szwagierka oddali jej na stałe do dyspozycji dwa pokoje w nowym domu w Steglitz. Nawet wtedy nie zdołała pożegnać się choćby z jednym sprzętem, ale wtłoczyła wszystko w te oba pokoje, tak że przepełnione były zbyt licznymi i ciężkimi meblami, szafami zwykłymi i oszklonymi, które również niemal pękały w szwach zastawione cennymi filiżankami, kolorowymi miniaturami, sztambuchami, dagerotypami, sylwetkami wycinanymi z czarnego papieru i pozytywkami, jak również i bardziej osobliwymi przedmiotami, o których pochodzenie Kamila nigdy nie śmiała się zapytać, jak na przykład: para wieczorowych pantofelków z cieniutką podeszwą i sprzączką ze sztucznych drogich kamieni. Sam stary malowany fortepian zajmował znaczną część pokoju.

Na ten fortepian ciocia położyła teraz po wejściu do bawialni czarną

torebkę z aksamitu i Kamila nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, co ta torebka zawiera: obok książeczki do nabożeństwa, być może nawet pomiędzy stronicami z dzisiejszą Ewangelią, leżała na pewno cieniutka kartka papieru z horoskopem na dany dzień. W Warnemünde dostarczała jej horoskopy pewna dama. Tu, w Steglitz, ciocia przynosiła te kartki ze stacji kolejowej, gdzie znajdował się astrologiczny automat, czerwono-zielony potwór, w którym mechaniczna figurka po wrzuceniu monety gładziła kryształową kulkę, a potem nagle przerywała, kiedy automat wypluwał zieloną kartkę.

Do jakiego stopnia ciocia brała to wszystko na serio, Kamila nie mogłaby powiedzieć i nie wydawało się to jej zresztą zbyt ważne. Nawet twierdzenie matki, że ciocia Lenka uczestniczy rzekomo w seansach spirytystycznych, nie budziło w Kamili zbyt dużej ciekawości i teraz również nie wypowiedziała żadnej uwagi, kiedy ciocia podeszła do stołu, na którym leżał rozłożony pasjans z większością kart zwróconych grzbietami do góry, i odkryła jedną z nich.

– Akurat as pik, wobec tego mogę istotnie czegoś ważnego oczekiwać – spojrzała na Kamilę i nagle się roześmiała.

– Ciesz się, że nie jestem twoją matką, bobyś tę moją zabobonność po mnie odziedziczyła. Ja odziedziczyłam ją również po mojej matce, a ta z kolei po swojej. To bywa rodzinne jak rude włosy. Chętnie pragnęlibyśmy się dowiedzieć o wszystkim, co jest przed człowiekiem ukryte, o wszystkich tajemnicach między niebem a ziemią... – Ciocia odłożyła asa pik na stół i podeszła do kredensu, gdzie stał samowar.

– Na razie zaparzę dla nas herbaty. – Zapaliła płomień pod samowarem, wyjęła z szuflady dwie szydełkowe serwetki i przygotowała dwie filiżanki.

Jej wzrok skierował się znów na Kamilę i dopiero teraz zauważyła, że Kamila jest jeszcze nie uczesana. – Siadaj – rozkazała, wskazując na taboret, który jak wszystkie wyściełane meble był nakryty szydełkową serwetką. Ciocia sama je robiła z najdelikatniejszej jedwabnej przędzy w kolorze naturalnym. Kamila wiodła wzrokiem za ciotką, kiedy ta poszła teraz do pokoju sypialnego, aby przynieść grzebień i szczotkę. Łóżko, które przy tym się ukazało, było na pewno najdziwaczniejszym sprzętem ze wszystkich mebli cioci. Był to rodzaj gotyckiego relikwiarza z hebanowego drzewa, z czerwonymi draperiami z adamaszku i spiczastym baldachimem, stało na dwustopniowym podeście, obitym wyblakłym gobelinowym materiałem. Od czasu kiedy Kamila przypatrywała się, jak wyniesiono je z wozu meblowego, przetransportowano przez cały dom i ustawiono w sypialni cioci, łóżko to budziło w Kamili ciekawość; chętnie by zobaczyła, jak wygląda ono za czerwonymi draperiami z adamaszku, w półcieniu baldachimu, ale równocześnie unikała nawet zbliżenia się do tego łóżka.

Ciocia rozpuściła włosy Kamili na jej ramiona i zaczęła je rozczesywać. – Jakie piękne masz włosy! – powiedziała.

– Myślę, że wkrótce je obetnę.

– Obciąć! Byłoby szkoda.

– One mi zawadzają.

– Przy czym ci zawadzają?

Kamila nie odpowiedziała, lecz spytała:

– Czy ja właściwie jestem ładna?

– Co się dziś z tobą dzieje?

– Powiedz, czy jestem ładna?

Ciocia Lenka odłożyła na bok grzebień i wzięła do ręki szczotkę.

– Czyś się zakochała?

– Mówisz to tylko dlatego, ponieważ pytam, czy jestem ładna?

– Czy to ten Amerykanin Keith?

– Nie!

– Jak długo tu jeszcze zostanie?

– Kilka dni, o ile wiem.

– To trochę nie uchodzi, pozwolić mu mieszkać tu, w domu, nawet jeśli jest synem bliskich przyjaciół. Co on w ogóle robił w Berlinie?

– Nie wiem dokładnie. Zwiedzał browary...

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby się mógł przy tym wiele nauczyć.

W Ameryce jest przecież wszystko inaczej niż u nas.

– Jeszcze nigdy w życiu nie widział śniegu.

– W takim razie powinien pojechać trochę dalej niż tylko do Berlina.

Ale czy ta jego Kalifornia leży aż tak daleko na południu? Muszę to któregoś dnia obejrzeć na globusie twojego ojca.

Ciocia Lenka objęła głowę Kamili obu rękoma. – Trochę bardziej do przodu. I nie ruszaj się... Powiedz mi, ty przecież nie robisz żadnych głupstw?

– Co masz na myśli, mówiąc o głupstwach?

– Na przykład zakochać się w kimś, kto nic o tym nie wie i kogo już nigdy w życiu nie zobaczysz. Siedź spokojnie, mówię. – Ciocia wsunęła ostatnie szpilki we włosy, upięte w węzeł z pięciu pasemek. – Nie wyszło z tego żadne arcydzieło, bo nie siedziałaś dość spokojnie. Za to dziś wieczór zrobimy to o wiele piękniej.

Ciocia Lenka podeszła do kredensu, gdzie samowar już szumiał.

Napełniła filiżanki, a wzrok Kamili spoczął przy tym na obu połączonych z sobą obrączkach na prawej ręce cioci, od długiego noszenia zrobiły się całkiem cienkie, tak że wyglądały prawie jak jeden pierścionek.

– Czy matka wyszła za mojego ojca z miłości? – zapytała Kamila. Ciocia podniosła na chwilę oczy, potem wzięła do ręki filiżankę i usiadła z nią na swoim zwykłym miejscu pod oknem.

– Przecież przed chwilą cię o coś pytałam – upierała się Kamila.

– Widzisz, twoja matka...

– Dlaczego każdy traktuje mnie jak dziecko. Czy ona go kochała? A jeśli tak, to co się z nimi stało? Bo z kimże innym jeszcze mogłabym o tym mówić?

– Naturalnie możemy o tym mówić, chociaż... moje osobiste doświadczenia w tej dziedzinie nie są zbyt wielkie. Lepiej by było, żebyś to pytanie postawiła twojej matce.

– Stawiać jej pytania! Ale skądże! A do tego jeszcze takie pytania.

Wzrok Kamili powędrował przez uchylone drzwi do sypialni cioci, ku jej łóżku; musiała się przewyciężyć, aby wypowiedzieć następne słowa: – Od czasu kiedy mieszkamy w tym domu, ojciec i matka mają oddzielne sypialnie... – Kamila czuła, że się rumieni – czy kiedy ma się czterdzieści lat, jest się już starą kobietą? Słyszałam kiedyś, jak matka powiedziała, że cieszy się, iż tymi rzeczami już się jej nie dokucza... właściwie wyraziła się nawet dokładniej, rozumiesz...

– Od kiedy podsłuchujesz pod drzwiami?

– Wcale nie podsłuchiwałam! Wolałabym, żeby nie musiała tego wysłuchiwać, ale matka nie robi z tych rzeczy żadnej tajemnicy. Mówi o tym z Lu i ze Schröterową, z wyraźną nienawiścią, jak gdyby ojciec...

Nie mogę powtórzyć, co ona naprawdę powiedziała. A mimo to przez te wszystkie lata nie mogła się doczekać, aby wyszukać mężów dla swoich córek; jak ona nas obserwowała, jak szeptała z lekarzem, który musiał nas badać... a sama żyje ze swoim mężem jak obca. Dlaczego ona go nienawidzi?

– A czy tak jest naprawdę?

– To dlaczego nienawidzi tego domu?

– Na to już mi łatwiej odpowiedzieć, przynajmniej częściowo. Ona coś innego sobie wyobrażała, wiesz, nawet już dokonała wyboru, dom na Behrenstrasse, przy kościele Świętej Jadwigi, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie rezydencji cesarza. Od lat chodziła do tego domu, ponieważ jedna z jej przyjaciółek tam mieszka – zresztą i ty ją znasz – ta lektorka przy cesarskim dworze, jej nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. I nareszcie ten dom został wystawiony na sprzedaż, twoja matka chciała go koniecznie nabyć. Znasz jej zamiłowanie do cesarskiego dworu. Z tego domu mogłaby śledzić wszystko, co się tam dzieje: każdy dworski ekwipaż, zmiany wart, a przez lornetkę mogłaby nawet widzieć wszystkich, którzy bywają na dworskich przyjęciach i uroczystościach. Ale w swoich myślach posunęła się jeszcze dalej: podczas uroczystości koronacyjnych i rozdawania orderów mogłaby po horrendalnych cenach wynajmować miejsca w oknach. Raz mnie tam z sobą wzięła, wszystko mi pokazała i wyjaśniła... I wtedy twój ojciec ni stąd, ni zowąd wydał sto tysięcy złotych marek na kupienie domu na wsi.

– Sto tysięcy? – zapytała Kamila zaskoczona. – Czy jesteś tego pewna?

Ale ciocia skinęła tylko głową, nie rozwodząc się dalej nad tym zagadnieniem, i wyjęła z koszyka szydełkową robótkę. – Twoja matka

nigdy mu tego nie przebaczyła. Wiesz, że przy każdej okazji podkreśla swoje szlacheckie pochodzenie i swoje stosunki z dworem. Urządzać jour fixe'y z doborowym gronem osób było zawsze jej marzeniem, a do tego dom na Behrenstrasse nadawałby się idealnie. Właściwie nigdy się z tym nie pogodziła, że wyszła za mąż poniżej swojego stanu. Twój ojciec jest tylko mieszczańskiego pochodzenia, nie wojskowy, nie wyższy urzędnik i nawet nie uczony, którego wyposażonego w odpowiednie tytuły i ordery, ostatecznie można by zaliczyć do berlińskiej elity.

– Więc dlaczego zgodziła się zostać jego żoną?

Skąd mogę wiedzieć? Być może sądziła, że jej ambicja i stosunki wystarczą, aby z czasem go w to wszystko zaopatrzyć. Ale twój ojciec nie chciał o tym słyszeć. Wprawdzie ma tytuł radcy handlowego, ale go nie używa, otrzymał również order szambelański IV klasy, ale nigdy go nie nosi. Nie ma zamiłowania do tych rzeczy. „Dniem butonierek” nazywa uroczystość rozdawania orderów i mówi to twojej matce! No i w końcu pieniądze całkowicie ich rozłączyły.

– Myślałam zawsze, że jesteśmy bogaci, to znaczy nigdy właściwie się nad tym nie zastanawiałam.

– Jesteście nie dosyć bogaci. Twój ojciec jest tylko aptekarzem, moje dziecko. Żaden aptekarz nie jest biedny, ale to nie znaczy jeszcze, że jest bogaty, jak twoja matka to sobie wyobraża. Jest dobrym aptekarzem i dobrym chemikiem, niemal genialnym, ale nie jest przemysłowcem. Produkcja mydeł i perfum to był pomysł twojej matki. Prawdopodobnie widziała już swojego męża jako uszlachconego dostawcę dworu, a w każdym razie widziała w tym wiele pieniędzy. Stale go popędzała i nie dawała mu spokoju. Faktem jest, że oboje potrzebowali coraz więcej

pieniędzy, coraz więcej i więcej. Ile by nie zarabiał, nigdy nie było dosyć.

Kamila wpatrzyła się w szpulkę nici w koszyku do robótek ręcznych cioci. A więc to jest prawda – pomyślała i nagle coś przyszło jej na myśl.

– Czy sądzisz, że ojciec ma kłopoty finansowe?

– Powiedziałabym raczej, że takie kłopoty miał zawsze. On po prostu nie umie obchodzić się z pieniędzmi. Ile by ich nie miał i choćby nie wiem jak zręcznie chciał je rozdysponować, skoro tylko pieniądze znajdą się w jego rękach, zmieniają się w wodę i przeciekają mu przez palce.

– A jeśli znalazłby się w poważnych trudnościach finansowych, czybyś mu pomogła?

Ciocia odłożyła robótkę i spojrzała badawczo na Kamilę.

– Co ci się stało, moje dziecko? Czy ukrywasz coś przede mną?

– Pomyślałam tylko, czy ty byś mu pomogła... przecież kiedyś mogłoby to okazać się konieczne...

Nie, nie, moje dziecko. Ja bym twojemu ojcu nie pomogła. Po pierwsze dlatego, że go znam, a po drugie, wy wszyscy sądzicie, że jestem bogata, ale tak było kiedyś. Twój ojciec wie o tym dobrze, gdyż właśnie on pozbawił mnie moich pieniędzy. Ale postawmy na tym krzyżyk. Widzisz, że dzisiaj już się tym nie przejmuję. Ale powinnaś widzieć ojca takim, jakim jest.

– On pozbawił cię pieniędzy?

– Nie wszystkich. Dom w Warnemünde należy do mnie i mam z czego żyć, ale z bogactwem musiałam się pożegnać. Oczywiście wszystko zaczęło się od wspaniałego pomysłu, tak jak zawsze u niego. On chciał mojego szczęścia, a ja mając dziewiętnaście lat, była głupia i dałam się szybko nabrać. Nie szkodzi raz o tym pomówić, skorośmy już zaczęły.



Miałam pokaźny fundusz z domu, ale zupełnie nie znałam się na pieniądzach. Twój ojciec zaproponował mi dobrą lokatę, jako szwagier czuł się zobowiązany mną zaopiekować, a ja byłam mu nawet za to wdzięczna. Na nieszczęście zakupił on akcje kolejowe w Rosji, na Bałkanach i na Wschodzie, i nawet nie pamiętam gdzie jeszcze. Twój ojciec wyliczył mi, że w ciągu niewielu lat będę posiadała miliony. Krótko mówiąc, w trzy lata później, w 1873 roku, sen o bogactwie już się rozwiął. Ów człowiek, który te koleje finansował i projektował, okazał się cwany oszustem. I wszystkie moje piękne akcje i obligacje nie były warte nawet tyle co papier, na którym były wydrukowane. Może zrozumiesz teraz, że nie powierzyłabym już twojemu ojcu żadnych pieniędzy. On od tego czasu wcale się nie zmienił i niczego się nie nauczył. Jest niepoprawny. Przebacz mi to wyrażenie, ale on jest hazardzistą. Ma nieustannie wspaniałe pomysły, trzyma kilka srok za ogon, jak to określa. Jest beznadziejnym optymistą. Widzi zawsze tylko to, co chce widzieć. I to się już nie zmieni. Dobrze jest, kiedy się o tym wie. Ale trzeba o tym wiedzieć i wtedy można go nawet lubić takim, jakim jest.

Kamila wolałaby, aby to pytanie nigdy z jej strony nie padło, gdyż teraz ciotka wstała, wzięła ją za podbródek i podniosła jej głowę tak, że Kamila musiała jej spojrzeć prosto w oczy. – Co ci jest? Przecież jednak coś ci jest? Dlaczego wszystkie te pytania stawiasz naraz? Co się dzieje? Czy oni chcą cię wydać za mąż?

– Ależ nie! – Kamila wytrzymała wzrok cioci, lecz nie była pewna, czy ciocia da się oszukać.

– Kamilo, tak niezyciowa to nawet ja nie jestem! „Cesarska zupa, pstrągi, wątróbki gęsie z truflami i pularda” – tak tam przecież było

napisane. Przystudiowałam także, kto gdzie będzie siedział przy sylwestrowej kolacji. Niejaki pan Rothe obok twojej matki, jego żona obok twego ojca, a Aleksander Rothe obok ciebie!

Cóż Kamila mogła odpowiedzieć, jeśli nie chciała zdradzić ojca? Nie umiała kłamać, ale nie mogła też wyznać prawdy i przez to go pogrzyść. Ciocia tak to jej ułatwiła, a ona sama miała taką ochotę zwierzyć się z tego, co jej leżało na sercu. Wszystko, co było piękne w jej życiu, zawdzięczała ojcu: odwiedzanie obserwatorium astronomicznego, tyle przedstawień w cyrku, podróże, a w końcu te wspaniałe tygodnie spędzone w Paryżu podczas Wystawy Światowej – no i oczywiście dom, który jak Kamila to czuła, właściwie wybudował tylko dla niej.

– Czy ty masz teraz dostarczyć pieniędzy dla rodziny? Czy to pomysł twojej matki?

– Nie, ona nie ma z tym nic wspólnego. – To, że podejrzenia cioci szły w błędnym kierunku, sprawiło Kamili na chwilę ulgę. Ale potem pomyślała: Przeklęte pieniądze! Od kiedy mieszkamy w tym domu, wszystko się tylko dookoła nich obraca, zarówno rzeczy dobre, jak i złe. Nie ma rozmowy, która by nie musiała się na tym skończyć. Mnóstwo sporów wybuchało już na ten temat. Niekiedy dom na całe dni jest podzielony na dwa obozy, po jednej stronie ojciec, po drugiej matka, która tak długo nie pokazuje się, aż nie postawi na swoim i ojciec nie da pieniędzy.

Kamila, od wczesnego dzieciństwa przyzwyczajona do tego, traktowała owe sprawy podobnie jak niepogodę, której się unika, o ile się da, ale nie bierze się zbyt tragicznie. Ostatnie pytanie cioci spowodowało, że nagle widziała wszystko jakby innymi oczyma. Miłość, małżeństwo to były

transakcje finansowe, nic ponadto. Żeniono się z dziewczętami, tylko jeśli wносиły posag, a mężowie byli kochani tylko wtedy, gdy zarabiali wiele pieniędzy. Rodzina cieszyła się szacunkiem jedynie wtedy, jeśli była bogata. Pieniądze – pieniądze – i pieniądze! Tylko to się liczy!

Wciąż tylko pieniądze... Kamila spojrzała na ciocię. Zapomniała, że również Lenka kiedyś była mężatką; można było łatwo o tym zapomnieć, gdyż wydawała się młodsza od matki, a nawet od sióstr, tak jakby ta pięćdziesięcioletnia kobieta była tylko zewnętrzną powłoką, w której ukrywało się bardzo młode, niewinne dziewczę.

– Ja nigdy nie wyjdę za mąż! Nigdy, przenigdy! Nie chcę wychodzić za mąż.

– Ależ, dziecko, cóż ci się znowu stało?

– Ja chcę tak żyć jak ty.

– Och, nie mów tego.

Twarz cioci nabrała owego jakby nieobecnego wyrazu, z jakim czasami siedziała przy swoim stoliku z robótką, gdy Kamila niespodziewanie wchodziła do jej pokoju.

– Ale ty przecież jesteś szczęśliwsza od wszystkich innych.

– Szczęśliwsza?

– A czy nie jesteś?

– Powiedzmy raczej, że nie jestem nieszczęśliwa. Teraz już nie. Ale potrzebowałam długiego czasu, aby do tego dojść. A jeśli nie jest się nieszczęśliwą, to nie znaczy jeszcze, że się jest szczęśliwą.

Ciocia wstała i dolała sobie herbaty. – Czy tobie też jeszcze dolać? – Po czym wróciła na swoje miejsce pod oknem.

– Pomiędzy siedemnastym i dziewiętnastym rokiem mojego życia były

dwa lata, w których byłam szczęśliwa. A to jest bardzo dużo, wiesz, dwa lata szczęścia.

Jej głos stawał się coraz cichszy, słowa były zaledwie słyszalne. Wydawało się, że mówi sama do siebie, zapomniawszy, że ktoś jest przy niej, tak że Kamila miała uczucie, iż powinna się po cichu oddalić. Ale krótkie spojrzenie cioci przez ramię i nikły gest zapraszający, aby podeszła bliżej, powiedziały jej, że ciocia bardzo dobrze wiedziała, do kogo kieruje swoje słowa.

– Ja żyłam i jednak nie żyłam – czy mam ci tego życzyć? Życzę ci, żebyś naprawdę żyła, nie tylko marzeniami, które się nie ziszczają, i nie tylko myślami o czymś, co mogłoby naprawdę być. Trzeba umieć zapominać, aby móc żyć; należy zachować ciekawość i nie wolno się bać. Mnie wszystkiego tego brakowało. – Tu potrząsnęła stanowczo głową. – Nie, nie wolno ci brać mnie za wzór. Ja nie mogę ci nawet udzielić dobrych rad, jak masz sobie urządzić życie, choć bardzo bym to chętnie uczyniła. Mogę tylko ci życzyć, żebyś była naprawdę szczęśliwa i żebyś wtedy umiała mocno trzymać obu rękoma swoje szczęście. No, chodź. – Ciocia wstała i otworzyła okno, śnieg znów zaczął padać. Prawą ręką, na której znajdowały się połączone z sobą obie złote obrączki, wskazała przez okno.

– W Petersburgu... – zaczęła, po czym roześmiała się swym ciepłym, niskim głosem i rzekła: – Wspomnienia... ale to nie jest szczęście. Szczęście to terażniejszość.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Emmi siedziała w różowym podwójnym łóżku z wielu poduszkami podłożonymi pod plecy i żuła, zasłaniając sobie usta serwetką, jak gdyby nie liczyło się to wszystko, co pod nią wsuwała do ust. Jej różowa twarz błyszczała od używanego na noc kremu, a blond włosy były jeszcze nie uczesane, tylko przytrzymane kilkoma grzebykami. Rozparła się tak na różowych poduszkach, rzekłbyś, jakiś różowy żeński Budda, gdyby nie jej jasnoniebieskie, wszystko obserwujące oczy, i kiedy Schröterowa podeszła do firanek, powiedziała: – Ależ nie! Jest tu przecież dosyć jasno. Czy chcesz, aby mnie znowu rozboleła głowa?

Na lewo i na prawo od szerokiego łóżka paliły się dwie lampy na białych porcelanowych nóżkach i pod różowymi abażurami, sprawiając, że różowy kolor dominował w całym pokoju. Nawet przetkane złotą nicią jedwabne obicie ścian było nim jakby owiane, lustrzane drzwi szafy, która zajmowała dłuższą stronę pokoju, wydawały się zrobione z różowego kryształu i tylko chiński dywan zdołał w tym oświetleniu zachować swoją głęboką bursztynową barwę.

Schröterowa, nie zwracając uwagi na protest swojej pani, rozsunęła trochę firanki. – W jaki sposób będę mogła tu sprzątać bez światła?

Była to drobna, nieco ułomna osóbka, której nawet wysokie obcasy bucików i biały czepek na włosach nie dodawały wzrostu. Przesunęła potężny fotel na właściwe miejsce, schyliła się, aby podnieść coś z dywanu, i przyjrzała się potem krytycznie dwom pustym pudełkom po pralinkach, które leżały w straszliwym nieładzie na stoliku obok fotela. – Pewnego dnia będzie pani potrzebowała dwóch foteli, aby usiąść.

Emmi Hofmann wybuchnęła śmiechem. Schröterowa była jedyną osobą, której wolno było pozwalać sobie na takie uwagi. Istotnie Emmi Hofmann nie odczuwałaby prawdopodobnie nawet połowy satysfakcji ze swego nadmiernego apetytu bez tych nieustannych strofowań, sięgających jeszcze panięskich czasów, co dawało jej poczucie, że robi coś zakazanego. Wytarła usta i serwetka wymknęła się jej z ręki, upadając pomiędzy przedmioty, które wały się na łóżku i obok niego: książki, czasopisma, żurnale mód i oczywiście nieodłączny kieszonkowy almanach gotajski, który na wszelki wypadek miała zawsze pod jaśkiem. Schröterowa podeszła do łóżka. – Co się stało? Jeśli mam posłać łóżko, musi pani przecież wstać. – Mówiła poprawną niemczyzną, tylko niekiedy i jedynie w obecności swej pani, z lekkim poznańskim akcentem. Służyła jeszcze u ojca Emmi, szlachetnie urodzonego właściciela ziemskiego, jak zwykle go określała, który posiadał wielkie dobra pod Poznaniem, i Emmi, wychodząc za męża, zabrała ją z sobą w posagu. – Niech pani przynajmniej pozwoli mi wstrząsnąć poduszki.

– Nie ma się co spieszyć. Mam jeszcze z tobą coś do omówienia.

– Jak pani uważa. – Schröterowa chętnie znosiła codzienną wojnę podjazdową ze swoją panią, gdyż widziała w tym jedynie potwierdzenie swej uprzywilejowanej pozycji w domu. Również w normalnych okolicznościach Emmi Hofmann nie opuszczała sypialni przed godziną jedenastą, a niekiedy nawet przez cały dzień, a potem przyszły czasy, kiedy z takich dni robiły się tygodnie. Teraz znowu tak było.

Nikt w całym domu nie widział jej od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, z wyjątkiem lekarza, no i oczywiście Schröterowej. Wszyscy już do tego przywykli; nikt się nie martwił, wszyscy wiedzieli bowiem, że

pewnego dnia pacjentka wynurzy się znowu ze swojego pokoju, kwitnąca i wprost tryskająca zdrowiem.

O to, żeby Emmi Hofmann również podczas swoich klauzur pozostawała wszechobecna i rządy w domu nie stały się bardziej luźne, starała się Schröterowa. Chociaż tu, w sypialni, pani i sługa mogły się zreć między sobą jak pies z kotem, skoro tylko Schröterowa wychodziła z tego pokoju, żadne słowo krytyki na temat pani nie wymykało się już z jej ust. Żadnych plotek czy uwag o stanie jej zdrowia, prywatna sfera pani domu pozostawała największą świętością. Tylko jej rozkazy docierały na zewnątrz, zlecenia dla kuchni, służby, ogrodnika, dostawców i rzemieślników. Również w ten sam sposób zostały zarządzane przygotowania na wielkie przyjęcie sylwestrowe.

– Wszystko na dziś wieczór przebiega jak z płatka – powiedziała Schröterowa. – Pokoje są urządzone, a dekorowanie stołu już rozpoczęto.

– Dobrze, że mi przypominasz o dekorowaniu stołu. Nie chcę tym razem mieć na stole żardinerek z kwiatami i zielenią! Również żadnych girland przy oknach i żyrandolach! To istny obłęd! Im bardziej wzmaga się temperatura, tym mocniej pachnie zieleń. A ja tego sobie nie życzę. A co ze szkłem? Tylko jeden rodzaj! Na Boże Narodzenie stół wyglądał jak wystawa sklepowa ze szklanymi wyrobami.

– W takim razie musielibyśmy dokupić.

Emmi Hofmann zrobiła ręką gest, który oznaczał, aby jej tym nie zawracać głowy. – A co do szampana... – na stole obok łóżka stał przygotowany kieliszek. Wyciągnęła różowe ramię, wzięła do ręki kieliszek i przytknęła go do ust. W przeciwieństwie do gładkiej twarzy i gładkich ramion utworzyły się na jej szyi głębokie fałdy, które

pierścieniami wryły się w jej ciało i teraz poruszały się, gdy piła szampana małymi łydkami. Dopiero gdy kieliszek był już pusty, odstawiła go z powrotem. – Za słodkie!

– Być może za ciepłe. To Roederer.

– Powiadam ci, że za słodkie!

– Goście przeważnie lubią takie słodkie.

– A to, co ja lubię, nikogo nie obchodzi! Powiadam ci, że Roederer, Cliquot, Cremant i Rose są wykluczone, to czysto damskie wina, ale nie do podawania przy stole. O, tutaj... – Zaczęła szukać czegoś w stosie czasopism, ale dała za wygraną. – Słodkie wina musujące są już niemodne! Możesz mi zaufać. Dobry szampan musi być cierpki i wytrawny. A więc weźmiemy Pomery brut. Albo czekaj... – i znowu zaczęła szukać, lecz tym razem już z większym szczęściem. Wyciągnęła wyrwaną kartkę spomiędzy dwóch czasopism i wskazała na podkreślone miejsce: „Pomery brut, rocznik osiemdziesiąty czwarty, to sławny rocznik”.

– Ale chyba go w domu nie mamy.

– No to go zamówimy.

– Ale na kartonikach z menu są już wydrukowane Roederer i Cliquot.

– A więc trzeba to zmienić.

– Pani jest zdania, że kartoniki trzeba na nowo wydrukować? I to dziś jeszcze?

Uderzająco drobne rączki Emmi Hofmann, które różowo i pokojowo spoczywały na ażurowej podpince puchowej kołdry, zaczęły nagle niedosłyszalnie bębnić, znak, na który Schröterowa natychmiast zareagowała, zmieniając temat.



– Miałyśmy wysortować suknie. – I przysunęła kosze, które ustawiła przy drzwiach. – Od czego mamy zacząć?

– Od wieczorowych sukni, bo one zajmują najwięcej miejsca. Tych w lewej szafie, które wiszą osobno, nie potrzebujesz mi w ogóle pokazywać. – Emmi Hofmann podciągnęła się trochę wyżej, aby móc lepiej obserwować, co robi Schröterowa.

Schröterowa przysunęła taboret pod szafę i weszła na niego, zdjęła cztery powłóczyste suknie wieczorowe z wieszaków, złożyła je i wrzuciła do kosza.

– Jeśli tam znajdziesz coś, co przydałoby się twoim krewnym, to proszę...

– Oni nawet by nie wiedzieli, gdzie mają takie suknie przechowywać. – Po czym wzięła następną suknię i podniosła ją do góry. – Tej sukni pani nigdy nie miała na sobie.

– Żółty kolor nie jest moim kolorem.

– Jeśli jakaś suknia jest za ciasna, to zawsze ma nie ten kolor, co trzeba. A co z tą?

– Z tą granatową? Precz z nią! Ta przypomina mi zawsze nasze spacerowe sukienki z internatu. Czy pamiętasz, jak płakałam, kiedy wakacje się kończyły i musiałam znowu tam wracać? Jakże tam marzłam! Ale mój ojciec to skąpiradło... Dlaczego przez całe moje życie zawsze musiałam mieć do czynienia ze skąpymi mężczyznami?

– A ta czarna z pelerynką?

– Jeśli mamy dyskutować o każdej sukni, nie skończymy do południa. Żebyśmy potem nie zapomniały o obuwiu. Potrzebuję wolnego miejsca.

W następnych minutach słychać już tylko było stukanie wieszaków

i szelest materiałów oraz otwieranie i zamykanie szuflad. Już prawie nic nie mówiono, bo obie kobiety raczej porozumiewały się tylko spojrzeniem i gestem. Właśnie doszły już do sortowania torebek, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

W jednej sekundzie nastąpiła u Emmi Hofmann zupełna zmiana, jej zachowanie stało się sztywne, a wyraz twarzy napięty. W pokoju było troje drzwi, jedno do łazienki, drugie na korytarz, a trzecie prowadziły do pokoju, który początkowo miał być sypialnią jej męża, a potem Emmi uzurpowała go sobie na swój prywatny salonik. Do tych drzwi zapukano teraz po raz drugi.

– Chwileczkę! – powiedziała Emmi Hofmann, nadając swemu głosowi cierpiętniczy akcent. Wymieniła przy tym porozumiewawcze spojrzenie ze Schröterową, wskazując ręką na stolik obok łóżka, i Schröterową natychmiast zrozumiała: z błyskawiczną szybkością wyniosła tacę z resztkami obfitego śniadania i kieliszki do próbowania szampana. Pobiegła z tacą do łazienki i zamieniła ją na inną, na której stały wszelkie możliwe flaszki z lekarstwami, szklane tubki z pigułkami oraz szklanka z termometrem. Potem, już po drodze do drzwi, zrobiła jeszcze pytający ruch ręką w stronę koszy. A co z sukniami? Pani odpowiedziała ruchem ręki: zostaw je! Był to rodzaj rozmowy głuchoniemych, którą obie kobiety stosowały i przy innych okazjach, na przykład podczas kolacji, i świetnie ją opanowały.

– Możesz wejść – szepnęła Emmi Hofmann, opadając na poduszki i zanurzając się głębiej w różowe falbanki swojej nocnej koszulki.

I nastąpiło rzeczywiście coś niewiarygodnego. W drzwiach ukazał się jej mąż i podszedł do łóżka. Zwykłym zapukaniem do drzwi wymusił

prawo do wejścia, nie pytając, jak zwykle przedtem za pośrednictwem Schröterowej, czy jego odwiedziny będą pożądane. Patrzyła na niego z miną męczennicy i ze wzmagającą się złością obserwowała smukłą, wysoką sylwetkę; nikt nie poznałby, że ma on już pięćdziesiąt sześć lat. Gdyby mogła przynajmniej tym się pocieszyć, że swoją figurę, na której nawet najbardziej obcisły tużurek leżał bez najmniejszej fałdy, zawdzięcza noszeniu gorsetu; byli bowiem mężczyźni, którzy uciekali się do takich środków, ale on tego nie potrzebował, jak również lekarza, nie mówiąc już o jakichś tam lekarstwach.

– Może byłbyś tak dobry i zasunął firanki – szepnęła takim głosem, jak gdyby każde słowo wyczerpywało resztkę jej sił.

Fryc Hofmann milcząc spełnił żądanie swej małżonki, aż nazbyt zadowolony z tej krótkiej zwłoki oraz z przyćmionego światła, które niestety wciąż jeszcze było na tyle jasne, że pozwoliło dojrzeć natychmiast pełne kosze z wysortowanymi sukniami oraz nowe obicie ścian. Podczas jego ostatnich odwiedzin w tym pokoju latem błękitna mora jeszcze dominowała na ścianach, pościeli, wyściełanych meblach i dywanie. Rano, w dniu jej urodzin, przyszedł też na górę, anonsowany przez Schröterową, aby złożyć żonie życzenia i wręczyć prezent wraz z bukietem storczyków. Co za kaprys podlotka – pomyślał, widząc różową tonację pokoju. A więc to było przyczyną słonego rachunku tapicera, którego nie mógł dotąd sobie wyjaśnić, ale nie odważył się zapytać o to małżonki.

– Dziękuję – wyszeptała – światło strasznie mnie męczy.

Fryc Hofmann rzucił okiem na kolekcję medykamentów przy łóżku żony. Wyjął termometr ze szklanki, przyjrzał się skali, przy czym nie bez satysfakcji Emmi stwierdziła, że mąż musi go trzymać z daleka, aby móc

odczytać cyfry. Podeszedł potem jeszcze bliżej do łóżka. – Pozwolisz – i mówiąc to, wziął jej rękę, aby zbadać puls.

Pozwoliła mu na to, lecz zaraz dodała: – Ale mi nie mów, że nie mam gorączki i że moje tętno jest całkiem normalne, mimo to czuję się fatalnie.

Przymknęła oczy, tak że mógł się jej bez przeszkód przypatrzeć. Był czas, kiedy ją kochał, ale teraz sądził nieraz, że lepiej by było, gdyby jej nigdy nie spotkał. Wydawało się, że między tymi dwoma uczuciami nie ma długiego dystansu dwudziestu ośmiu lat. Zbyt dobrze jeszcze pamiętał, jak stała obok niego przed ołtarzem, ta jedyna na świecie kobieta, jakby stworzona dla niego. Na pewno zgodnie z prawem natury miłość w małżeństwie z biegiem lat się zmniejsza i pociąg słabnie, ale czy koniecznie musiało to zajść aż tak daleko jak u nich? Wciąż jeszcze istniało pewne podobieństwo pomiędzy dziewczyną, którą kiedyś kochał, a tą kobietą w łóżku. Bardzo się roztyła, co można było dostrzec nawet pod puchową kołdrą. Kiedy była ubrana, powstawał u niej przez ciasne zasznurowanie gorsetu wyzywający kontrast pomiędzy talią a pozostałymi bujnymi częściami ciała, zarówno od dołu, jak i od góry. Ale włosy, chociaż nie uczesane i rozczochrane, czyż nie miały wciąż jeszcze pięknego miodowego odcienia? Zdawało się, że samej twarzy czas nie zdołał zaszkodzić, była wciąż jeszcze piękna, cera nadal gładka i różowa, rysy delikatne. Jej uroda dobrze chroniła się przed upływem lat, ale nie jej miłość.

– Czy używasz nowej wody po goleniu? – zapytała z oczyma nadal uparcie zamkniętymi. – Ma okropny zapach.

Używam zawsze tej samej od dwudziestu ośmiu lat – puścił jej rękę i cofnął się od łóżka, przy czym zaczepił nogą o jedną z książek, które

leżały rozrzucone na dywanie. Nie podniósł jej, gdyż widocznie tam musiała leżeć. Bronił się przed wspomnieniami, jakie również to w nim obudziło: biały leżak w ogrodzie, jasnowłosa główka dziewczęca i książki leżące dookoła niej w trawie. Już wówczas pochłaniała wszystko, co jej wpadło do rąk, powieści, biografie i opisy podróży, bez wyboru i nienasycona, z tym samym wilczym głodem, jaki później rozwinął się w niej do potraw i słodczy, któremu hołdowała o każdej porze dnia i nocy, jak gdyby stało przed nią widmo śmierci głodowej.

Usiadła, przyciągnęła ręką szlafrok, który na wpół zwisał z łóżka, i zarzuciła sobie na ramiona.

– Co ważnego zaszło, że wybrałeś się do mnie na górę?

Wysłuchał się w jej głos, nie było w nim ani ostrości, ani nuty zniecierpliwienia, ale również żadnego ciepła, w gruncie rzeczy była to tylko inna forma jej milczenia. Sprawa, jaką miał z nią omówić, była drażliwa. Wiedział, jak szybko mogła wybuchnąć gniewem i jak trudno było ją wówczas uspokoić. – Mam nadzieję, że dziś wieczór będziesz się lepiej czuła.

– Kogo to w ogóle obchodzi, jak ja się czuję?

– Przecież nie zrobisz mi zawodu? Wobec pięćdziesięciu dwóch gości. Nawiasem mówiąc, czy musiało ich być rzeczywiście aż tylu?

Uniosła brwi, było to ostrzeżenie, że wszedł na niebezpieczny teren. – A jak ty sobie wyobrażasz uroczyste obchodzenie Nowego Roku? Kilku panów, od których przy grze w karty możesz wyciągnąć trochę pieniędzy, jeśli dosyć wypili. Jakie to jest smutne, że przy tej okazji muszę donajac kelnerów, już samo to wywiera wrażenie małomieszczańskie...

Kusiło go, żeby wyliczyć cały personel domowy, ale prawdopodobnie

nie zdołałby nawet wymienić wszystkich: Schröterowa, kucharka, jej dwie pomocnice, praczka, prasowaczka, dwie pokojówki, a może tymczasem są już trzy? Stangret, lokaj i ogrodnik z żoną. Czy to naprawdę wszyscy? Nie miał zresztą żadnych złudzeń, jeśli chodziło o dyskusję na temat wydatków, był zawsze bezradny wobec swej żony.

– Kazałam ci przesłać na dół listę sprawunków – powiedziała. – Czy sprowadziłeś już te rzeczy?

Chodziło o pamiątkowe upominki dla gości na dzisiejszy wieczór, które sobie Emmi Hofmann wykoncypowała, srebrne flakoniki z perfumami dla dam i cygarniczki dla panów, jedne i drugie z wygrawerowanym napisem. Hofmann sprawdził, ile te „drobnostki” będą kosztować, i potem zamówił je z rezygnacją, jedynie aby uniknąć dyskusji na ten temat. – Wprawdzie uważam za przesadę obdarowywanie gości, ale te rzeczy leżą już u mnie na dole. W jaki jednak sposób uiszczę rachunek...

– Oszczędź mi tego, błagam!

Zebrał się na odwagę. – Powinnaś wiedzieć...

– A dzisiejszej nocy? Och, słyszałam, kiedy wróciłeś do domu. Na grę to masz pieniądze. Ja już i tak oszczędzam, gdzie się tylko da.

– Poślę ci na górę ostatni rachunek tapicera jako dowód, jak ty oszczędzasz! A te fatalaszki? – Tu wskazał na kosze. – Czy to także jedna z twoich metod oszczędzania? Czy wiesz, ile to wszystko kosztowało? Czy ty się kiedy o to pytasz? Wiem, że rachunki ciebie nie interesują, moja kochana...

– Powiedz, proszę. Miej już to za sobą. Do takich lamentów w końcu roku jestem przyzwyczajona. Jeśli chcesz dokładnie wiedzieć, to ci powiem, że sprzedaję moje stare suknie na cele dobroczynne.

– Kto je od ciebie kupuje?

– Pewien handlarz ze Wschodu.

– Czy Lang? On nie płaci więcej niż dwadzieścia marek za suknię, a najtańsza z nich kosztowała sześćset.

– Daj mi czek na nasz komitet.

– Mogę ci dać, ale będzie bez pokrycia.

– Czy miałaś kiedykolwiek inne?

Mówiła to wszystko drwiąco i z ową znudzoną miną, która zwykle powodowała automatycznie jego wycofanie się. Ten rodzaj porozumienia funkcjonował jeszcze między nimi, pomyślała o tym nie z rezygnacją, ale raczej z tryumfem, bo zawsze przy tym wygrywała. Ale tym razem do takiej reakcji nie doszło. Mąż nie wykazywał wcale zamiaru pozostawienia jej samej. Stał nadal i robił wrażenie równocześnie niepewnego i zdecydowanego, tak iż zastanawiała się zirytowana, co mogło być istotną przyczyną jego odwiedzin. Właściwie mogła być tylko jedna. Dotychczas uparcie nie chciała przypisywać znaczenia tej sprawie.

– Czy naprawdę traktujesz poważnie ten projekt zaręczyn?

– A gdyby tak było? Nie zaczniesz przecież nagle zaprzętać sobie głowy Kamilą.

– Chciałam tylko przypomnieć ci o twojej odpowiedzialności – przełknęła przy tym uwagę, którą już miała na końcu języka. Ostatecznie nie protestowała, kiedy omawiał z nią wspólnie listę gości i kiedy po raz pierwszy padło nazwisko Aleksandra Rothea, i to z ważkich powodów. – Czy to naprawdę jeden z najbogatszych ludzi w Berlinie?

Hofmann ucieszył się, że Emmi rozpatruje sprawę od tej strony, lecz mimo to zwlekał jeszcze z wyjaśnieniem, o co mu chodzi.

– Czy informowałeś się dokładnie, czy też owo bogactwo jest jedynie tworem twojej bujnej wyobraźni? – Widocznie jego wzmagające się skargi z powodu braku pieniędzy, nie zapłaconych rachunków i dokuczliwych wierzycieli traktowała bardziej serio, niż mu to okazywała, zwłaszcza od kiedy po raz pierwszy napomknął o ewentualnym związku Kamili z Aleksandrem Rothe. Właściciel lombardu – nie mogła się jeszcze dotychczas przyzwyczaić do tej myśli. – W jaki sposób można mając lombard dojść do tak wielkich pieniędzy?

Dzięki takim kobietom jak ty, miał ochotę odpowiedzieć, zachował jednak tę uwagę przezornie dla siebie. Ale nadszedł czas, aby dojść do sedna sprawy: – Rothe stawia jednak pewien warunek. – Dopiero w tym momencie przyszło Hofmannowi na myśl, żeby życzenie Kamili przedstawić jako żądanie Rothe'go, i uznał to za zgrabne pociągnięcie na szachownicy.

– Warunek? – Emmi Hofmann zapomniała o swym postanowieniu odgrywania roli chorej i usiadła na łóżku, nie zważając na to, że szlafrok ześliznął się jej z ramion. – Rothe stawia warunki! – Wybuchnęła śmiechem. – Właściciel lombardu pod moim dachem! I on stawia warunki! A może ten pan Rothe żąda posagu?

Czy tamci twoi zięciowie zrezygnowali z posagu? Jakżeż oni byli zainteresowani pieniędzmi! Zadłużony po uszy właściciel dóbr z chmarą dzieci z pierwszego małżeństwa. Czy też ambitny adwokat, który wykorzystuje swoją żonę jako przynętę dla dobrze urodzonych klientów, i porucznik gwardii poszukujący kogoś, kto zapłaci jego rachunki u krawca – tacy są zięciowie z twojego wyboru.

Czy się uśmiechnęła? Tym pogardliwym uśmieszkiem z zaciśniętymi



wargami, który przyswoiła sobie w ciągu małżeństwa i który z czasem przeszedł w stały grymas. Używała go jedynie w obecności męża, była to jakby chemiczna reakcja, która następowała, skoro tylko mąż przychodził do niej, i kończyła się, kiedy wychodził.

– Niech cię o to głowa nie boli – powiedziała. – Zabezpieczyłam moje córki. Tylko one mają prawo rozporządzać swoimi pieniędzmi, inaczej ładnie by wyglądały.

– A ja myślałem, że to małżeństwa z miłości.

– One sobie tak wyobrażały, to wystarczy.

Hofmann nie wiedział, skąd się wzięła pralinka, którą nagle żona miała w ręku. Wydawała się całkiem pochłonięta rozwijaniem złotego staniolowego papierka: dwie małe rączki z polakierowanymi na różowo paznokciami i pochylona twarz ze skupionym wyrazem. Znowu taka chwila, gdy opanowało go wspomnienie o młodym dziewczęciu, jakim kiedyś była. Dlaczego to dziewczę go kochało? I dlaczego ta kobieta tam w łóżku już go nie kocha?

– No przyznaj się nareszcie, co to za warunki?

– Warunki... – powtórzył, jakby nieobecny. – O, prawda, chodzi o rodzaj posagu. Tak, dla Kamili. Nie chcesz na pewno, żeby w porównaniu z siostrami miała być pokrzywdzona.

– A ja myślałam, że już nie ma pieniędzy?

Spuścił oczy. – Dlatego uważam, że powinniśmy dać jej za to rekompensatę, która odpowiadałaby wartości posagu.

– Czyli co?

Nie oczekiwał, że ona mu ułatwi sprawę.

– Otóż myślałem, żeby jej ten dom...

Ten dom!?! – Udała zaskoczona, ale wiedziała od razu, o co mu chodzi, i gratulowała sobie, że go ubiegła, kiedy przed pół rokiem kazała dom przepisać na siebie. Doktor Kannenberg, jej pełnomocnik, ten krok doradził jej z przyczyn, których wówczas nie chciała wysłuchać dokładnie. Najpierw wzdrgała się, po prostu z powodu swego dawnego uprzedzenia do tego domu, ale wreszcie jej wybitne poczucie rzeczywistości zwyciężyło. Budowa domu na bynajmniej nie eleganckim przedmieściu, która przed jedenastu laty mogła wyglądać na bezsensowną, okazała się, patrząc z perspektywy, dalekowzroczną spekulacją; przybliżenie przedmieścia przez doprowadzenie tam linii tramwajowej i wybudowanie innych wykwintnych will podniosły już pokaźnie samą wartość terenu...

– ...odpowiada to mniej więcej posagowi w wysokości stu tysięcy marek. Uważałbym więc to tylko za sprawiedliwe...

Emmi mu nie przerywała. Nie protestowała, tylko słuchała, co mówi. Musiało być z nim kiepsko, jeśli śmiał wystąpić przed nią z takim projektem.

– Krótko mówiąc chciałbym, aby ten dom został przepisany na Kamilę. Wolałbym nie ryzykować, żeby cała sprawa się przez to rozbiła...

– Czy to się musi stać koniecznie dzisiaj, czy też?...

– Wyzaczyłem termin u rejenta na dzisiaj.

– Dzisiaj? Uważam, że trochę przeceniasz moje siły – przy tym nie wyjawiała, co właściwie myśli. Po co protestować, jeśli dysponowała o wiele skuteczniejszymi sposobami, żeby sprawę na razie udaremnić, aby ją potem kiedyś ostatecznie odrzucić. Opadła znowu na poduszki. Wzięła z głębokim westchnieniem termometr, wstrząsnęła nim i włożyła do ust.

Jeszcze mały, pełny wyczerpania uśmiezek, i mąż już wiedział, że niezależnie od tego, co teraz zrobi czy powie, nie otrzyma żadnej odpowiedzi. Obrzucił spojrzeniem jeszcze po raz ostatni jej gładką, opromienioną różowym światłem lamp twarz i wyszedł z pokoju.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Być może liczne pokolenia aptekarzy, wywodzących się z rodu Hofmannów, stopniowo wyczerpały swój entuzjazm do farmacji. W każdym razie już ojciec Fryca Hofmanna traktował swoją aptekę per nogam. Właściwą treścią jego życia były góry, a przede wszystkim góry szwajcarskie. Pokonał co najmniej tuzin nie zdobytych dotychczas szczytów i aby uczcić jego wyczyny, nazwano nawet pewien szczyt Szczytem Hofmanna. Jego działalność jako aptekarza ograniczała się do obchodu rano i wieczorem apteki i pomieszczenia, gdzie sporządzano recepty. Resztę czasu spędzał w pokoju, który urządził sobie obok laboratorium, pośród plastycznych map, geograficznych i geologicznych dzieł, teleskopów, odłamków skał oraz pokaźnej kolekcji sprzętu alpinistycznego, jak raki, haki do wbijania w skały, czekany, liny do wspinaczki – i na każde nagabywanie w sprawach zawodowych reagował z irytacją: „Czy to się nigdy nie skończy?!”

Również i jego syn hołdował rozmaitym obcym swemu zawodowi skłonnościom. Jego gabinet, do którego wycofał się po rozmowie z żoną, świadczył o tym, ale również o tym, co go od ojca odróżniało: o krótkowzroczności i niestałości jego zamiłowań.

W ściany gabinetu były wbudowane oszklone witryny, a przedmioty, które zawierały, były dowodem, że jego zapal do jakiejś sprawy trwał zawsze krótko; oto egipskie i greckie wykopaliska; to znowu obszerna kolekcja wotywnych darów: rączek, nóżek, serduszek i płuc z drzewa, wosku, szkła, półszlachetnych kamieni i srebra; pieczętki w wszelkim możliwym wykonaniu i wreszcie – zegary. Namiętności tej był wierny

przez całe życie, i jeszcze drugiej – do koni. Na ścianach wisiały liczne ryciny, a na biurku stały fotografie sławnych koni. Zupełnie tak, jak gdyby chciał być otoczony stale tym, co ukochał, jak ojciec rodziny swoimi dziećmi; na wielkim palisandrowym stole pośrodku pokoju leżały czasopisma ze wszystkich krajów świata, dotyczące wyścigów, ułożone w sposób zrozumiały tylko dla niego, i nie wolno ich było nikomu ruszać. Dnie, w których odbywały się wielkie wyścigi, jak Kentucky Derby, Queens Plate w Toronto, British Derby i Grand National, Irish Derby w Curragh i Grand Prix de Paris, były wielkimi dniami w jego życiu.

Również teraz, po powrocie do swego królestwa, zajął się najpierw niektórymi z tych czasopism oraz notatkami, które już rano stanowiły przedmiot jego rozmowy z fryzjerem:

grudzień i styczeń były miesiącami płodnymi, jeśli chodzi o jego zamięłowania, bo przecież od pierwszego dnia święta Bożego Narodzenia na moskiewskim hipodromie rozpoczęły się wyścigi kłusaków i trwały przez okrągłe sześćdziesiąt dni; obliczywszy w przybliżeniu dotychczasowy bilans stawek, które codziennie przekazywał, mógł być całkiem zadowolony.

Zauważył jednak wkrótce, że jakoś nie potrafił się skupić. Rozmowa z żoną wdzierала się natrętnie w jego myśli i przeszkadzała mu dotkliwie przy kalkulacjach dotyczących noworocznych wyścigów. Właściwie i tak powinien głowić się nad innymi problemami niż konie i dżokeje. Na jego biurku leżały księgi i segregatory z długimi kolumnami cyfr oraz bilansami i czekały, aby się coś stało, by mógł doprowadzić je do porządku, tak żeby saldo kredytu i debetu znowu się zgadzało. Jeszcze wszystko mogło się dobrze skończyć. Wszystko zależało od jego

wycucia. Zwrotnice były nastawione. Jeszcze trochę cierpliwości i szczypta szczęścia...

Sięgnął do kieszonki w kamizelce, ale nie było tam jego ulubionego zegarka. Ten zegarek, precyzyjne dzieło szwajcarskiego kunsztu, wykazywał minimalne odchylenie, jakieś trzydzieści sekund na miesiąc. Ale było to dla Hofmanna tak ważne, że w ostatnim dniu każdego miesiąca jeździł do obserwatorium, aby przeprowadzić tam regulację zegarka. Ponadto co roku w grudniu posyłał go do Genewy dla oczyszczenia i dokonania przeglądu. Te tygodnie bez zegarka stanowiły dla jego nerwów dość znaczną próbę wytrzymałości. Kiedy wysłałem tam zegarek? Zaczął szukać kwitu pocztowego i nagle wpadł mu w ręce list, który stary Rothe napisał wczoraj do niego: prosił w tym liście o wyznaczenie rozmowy na dzisiaj. Po co? Czyż nie wszystko zostało już omówione?

Ten stary Rothe – a jeśli w jakiś inny sposób zdobył informacje, których Hofmann tak uparcie nie chciał mu udzielić? Stawiał sobie to pytanie, od kiedy otrzymał ów list. Być może, że Rothe chce mu tylko pokazać zaręczynowy prezent dla Kamili, takie wytłumaczenie było również nader prawdopodobne, ale jakoś go nie uspokajało.

O skupieniu nie było już teraz mowy. Wziął jedną z talii kart, które leżały w szufladzie biurka, przetasował je ze zręcznością zawodowego krupiera, co niemal w magiczny sposób oddziaływało uspokajająco na jego nerwy. Dlatego też nosił zawsze talię kart przy sobie. Siedząc w powozie podczas swoich jazd do miasta, wypełniał sobie w ten sposób czas. Mogło się również zdarzyć, że w środku rozmowy brał do ręki karty i zgrabnym ruchem je tasował. Tasowanie kart, rozdawanie i branie do ręki

kawałka papieru, aby obliczyć szansę – było metodą jego filozofowania: wszystko było grą, przypadkiem i kwestią szczęścia. Kiedy się nie miało odwagi przegrać, nie można było wygrać.

Nagle roześmiał się na myśl, że gdyby nie żona, nigdy by nie odkrył, jak ważne są pieniądze, a gdyby nie one, jak ważny z kolei jest hazard. W porównaniu z produkcją mydła partyjka makao była tylko dziecinną zabawką. Kilkakrotnie przestrzegał swoją żonę: „Jestem aptekarzem, a nie przemysłowcem”. Lecz ona wyperswadowała mu jego wątpliwości, wykazując, jak bogatym może się stać. Jeśli tak na to spojrzeć, to zawdzięczał swój awans właściwie tylko żonie.

Niespodziewanie jego optymizm wziął znowu górę. Miał po prostu złą passę, nic ponadto. Jakże często stawiał w ruletce wszystko na jedną cyfrę, najchętniej na zero albo na liczbę lat Kamili, i szczęście mu sprzyjało. Czyż teraz nie robi tego samego? Stawiał wszystko, co jeszcze posiadał, na jedną kartę: swoje nazwisko, Kamilę i...

Odłożył szybko karty, kiedy usłyszał za drzwiami kroki. Czy to Kamila? Jak miał to jej powiedzieć? Ale była to Schröterowa, która stała pod drzwiami, kiedy je otworzył.

– Czy mogę na chwilę wejść?

Hofmann nie bardzo ją lubił, rozmowy z nią ograniczały się zawsze do jednego tematu: do jego białych lnianych ubrań, które według niego nigdy nie były dość dobrze wyprasowane.

– Czy mogę? – powtórzyła pytanie. – Tylko na chwileczkę. W prywatnej sprawie.

Z góry przeczuwał, że mogło to być tylko coś nieprzyjemnego. – A więc proszę wejść i zamknąć za sobą drzwi.

Schröterowa zaczęła miętosić swój mocno nakrochmalony fartuch, który wyglądał jak pancerz na jej fioletowej, kwiecistej, perkalowej sukni. – Pan pamięta moją siostrzenicę – zaczęła – dziewczyna wyszła za mąż za porządnego człowieka, naprawdę. Pracują oboje w pralni i teraz mogliby ten zakład kupić. – Tu zająknęła się po tym wypowiedzianym jednym tchem wstępie. Fryc Hofmann wiedział już, po co przyszła. Może podsłuchiwała na górze pod drzwiami i teraz niepokoi się o swoje pieniądze? Jeśli się to raz zacznie, przyjdą wszyscy, będzie to jak lawina, która na niego spadnie.

– Chodzi o to... – zaczęła szukać odpowiednich słów – że pan przecież ulokował moje pieniądze...

– No więc zaraz sprawdzimy. – Iz zimną krwią kogoś, kto znał zmienne koleje gry, Fryc Hofmann wysunął boczną szufladę swego biurka i wyjął z niej czarny zeszyt małego formatu. – Niech pani podejdzie, obejrzymy sobie wspólnie pani konto. Pierwszą wpłatę wniosła pani przed ośmiu laty.

– Przed dziewięciu...

– Czy jest pani pewna? O, tu je mamy, pięćset marek wpłaconych już w grudniu 1892 roku, a dotąd ma pani wszystkiego razem na swoim koncie w samej rzeczy trzy tysiące marek. – Tu spojrzał na nią. – Ile, myśli pani, z tego się zrobiło?

– Chodzi mi o tę pralnię, należy sobie nawzajem pomagać...

– Sześć tysięcy! Co pani na to powie? Podwoiło się nie całkiem, ale prawie. O tu, niech pani sama zobaczy.

Schröterowa spojrzała do zeszytu, który trzymał przed nią, niczym do księgi zamkniętej na siedem pieczęci. Wydawała się raczej zaskoczona niż uradowana. – Czy mogę te pieniądze dostać? – zapytała w końcu.



– Od dawna już pani nic nie wpłacała, przez cały ostatni rok.

– Jeśli oni oboje nie załatwią prędko tego kupna... jest bowiem jeszcze inny kandydat.

– Ma pani sześć tysięcy! Pani oszczędności się podwoiły! Czy pani się z tego wcale nie cieszy?

– Potrzeba mi tylko trzech tysięcy.

– Pieniądze są ulokowane w papierach wartościowych.

– Więc pan ich nie ma?

– Musiałbym najpierw te papiery sprzedać.

– Ale ja im obojgu solennie obiecałam te pieniądze...

Fryc Hofmann zrozumiał, że byłoby daremnym trudem chcieć jej to wyperswadować. – Tylko proszę się tym nie przejmować. Więc ile pani chce? Całe sześć tysięcy?

Ta liczba zbiła ją z tropu. Oczywiście podsłuchiwała wtedy rozmowę małżeństwa Hofmannów i złąka się o swoje niewielkie oszczędności. Dlatego teraz tu przyszła. Chciała tylko zwrotu swoich trzech tysięcy marek, które w ciągu tych lat powierzyła Hofmannowi, aby nimi zarządzał. A on chciał jej wypłacić aż sześć tysięcy. Całą historię z pralnią wymyśliła tylko jako pretekst. Sądziła, że jest sprytna, ale teraz wstydziła się już swej nieufności.

– Nie potrzebuję wszystkich pieniędzy – powiedziała – wolałabym, aby coś zostało na moim koncie. Na razie dwa tysiące mi wystarczą.

Czy trzy tysiące, czy dwa, Fryc Hofmann nie wiedział, skąd je wziąć, ale oświadczył: – Przyniosę te pieniądze z miasta. Dziś wieczór będzie je pani miała. Zadowolona?

– Och, wielkie dzięki. Nie wiedziałam, że jest tego aż tyle.

Fryc Hofmann zamknął zeszyt na klucz. Aż do wieczora udało mu się zyskać na czasie. Właściwie powinien był odczuwać wyrzuty sumienia, że roztrwonił oszczędności starej kobiety i wiernej sługi, gdyż te papiery wartościowe istniały tylko w jego zeszycie, ale jakie może to mieć znaczenie. Na razie jakoś się jej pozbył, a konieczność wydostania spod ziemi do dziś wieczór dwu tysięcy marek jakoś go nie przerażała. Widział w tym raczej rzucone mu wyzwanie. I nagle poczuł, że jest głodny.

– Czy pani widziała Kamilę? – zapytał Schröterową, która stała już przy drzwiach.

– O ile wiem, jest na górze u majorowej. Przedtem była w parku.

– To niech jej pani powie, że na nią czekam. I proszę przysłać tutaj śniadanie dla mnie i dla mojej córki.

Już na korytarzu usłyszała Kamila śmiech ojca oraz jakąś jego uwagę, wprawdzie niezrozumiałą, ale wypowiedzianą z tym zaraźliwym dobrym humorem, tak dla niego typowym. Inny śmiech mu odpowiedział, i kiedy pokojówka wyszła z korytarza z pustą tacą, wciąż jeszcze miała rozpromienioną minę.

Ojciec przywitał Kamilę z otwartymi ramionami i zaprowadził do nakrytego stolika pod oknem, który zwykle służył jako stolik do kart.

– Co za piękny dzień dzisiaj! I śnieg. Byłaś już na dworze, jak słyszałem. Wobec tego musisz być porządnie głodna. Zobaczymy, co tu za różności mamy dla ciebie.

Kamila obserwowała go, kiedy zaglądał pod srebrne wieczka. Jego beztroski nastrój wydawał się szczery. Miał wrodzony dar stwarzania dobrego nastroju, rozweselania innych ludzi i doprowadzania ich do śmiechu, co w tym domu, w którym panował poważny i surowy ton matki,

było pożądanym antidotum. Ale Kamila nie dała się już zwieść jak dawniej. Od owych trzech miesięcy, które spędziła w Paryżu wspólnie z ojcem, wiedziała, jak szybko jego dobry humor potrafił się zmieniać. Ojciec podsunął jej krzesło, potem usiadł, zachęcił ją, aby się sama obsługiwała, i zapytał: – Kim jest ta mała, która przyniosła śniadanie? Czy to jakaś nowa?

– Wydaje się, że tak. I ja pierwszy raz ją widzę. Ostatnio matka wprowadziła wiele zmian.

– Nareszcie jakaś ładniutka. Bo zwykle przecież matka dbała o to, żeby do naszego domu przybywały tylko pokraki. Jedna paskudniejsza od drugiej. Czy sądzisz, że ona się naprawdę obawiała, że ja należę do mężczyzn, którzy ze służbą domową... – zakończył zdanie śmiechem, ale umilkł, kiedy córka mu nie zawtórowała. – Co z twoimi włosami, uczesałaś je dzisiaj inaczej niż zwykle.

Nie wiem. Ciocia Lenka mnie uczesała. – Ojciec był mężczyzną, który tego rodzaju rzeczy zaraz dostrzegał. Lubiła to w nim, jak wiele innych cech. Jego wygląd, sposób ubierania się, grzeczność i uprzejmość, to na przykład, jak podał jej krzesło przed chwilą i że nigdy nie uszłoby jego uwagi, iż jej filiżanka jest już pusta. Tak samo jak dziś zaczęli zawsze dzień w Paryżu, w małym hotelu przy Lasku Bulońskim, od wspólnego śniadania, i to przez całe ćwierć roku. Miała również i mniej przyjemne wspomnienia z Paryża, ale postanowiła naśladować ojca i pamiętać tylko to, co było dobre. – Być może wkrótce obetnę sobie włosy.

– A to po co?

– Kiedyś musi się to przecież stać, czy nie tak? – Lecz nie udało się jej po prostu przejść w beztroski ton ojca, bo przedtem musiałyby zapomnieć

o tym, co ciocia Lenka jej przed chwilą o nim opowiedziała. Obrzuciła wzrokiem gabinet ojca, jak gdyby było tam coś, co mogłoby ją od tego odwieść. I rzeczywiście spostrzegła na półce nową etykietę mydła do wywabiania plam. – Czy to już ostatecznie ustalone opakowanie?

– O czym mówisz?... – zapytał i powiódł oczyma w ślad za jej spojrzeniem – aha, o tym mydle żółciowym. Nie, coś jeszcze w tym opakowaniu szwankuje.

– Czy naprawdę chcesz pozostawić tę nazwę, mydło żółciowe?

– Określa dokładnie, czym ono jest. Mydło do wywabiania plam kupują gospodynie nie z powodu jego pięknej nazwy.

– Prawdopodobnie masz rację. Ta nowa nazwa jest łatwa do zapamiętania. I brzmi uczciwie.

– Właśnie, i dlatego to opakowanie jest nieodpowiednie.

– Napis nie powinien być z takimi esami-floresami. Całkiem proste litery byłyby lepsze.

Skinął głową. Już w Paryżu Kamila wprowadziła go w zdumienie tym, że na serio interesowała się takimi sprawami. Spędzała cały dzień przy stoisku firmy Hofmann w niemieckim pawilonie i przy okazji oglądała produkty innych wystawców... wielu z nich pochodziło z Berlina, były to poważne firmy, ale jej ojciec patrzył w dalszą przyszłość i wyobrażał sobie, co by było, gdyby Kamila poślubiła któregoś z synów ich właścicieli...

– Czy słuchasz mnie? Kiedy wprowadzisz to mydło na rynek? Mógłby to być wielki sukces.

Moje dziecko, pomyślał w nagłym przystępie zwątpienia, nie wiesz, ile musiałbym takich mydeł sprzedać, żeby to mogło coś pomóc. Nie zarobię

więcej niż pięć fenigów na jednym. Pięćdziesiąt tysięcy nie wystarczyłoby więc, aby zwrócić choćby tylko pieniądze Schröterowej. Jakżeż takie liczby pozbawiały złudzeń i działały deprymująco. – Sukces – powtórzył, a jego wzrok skierował się przy tym za okno. – Och, Kamilo, gdybyś wiedziała...

– Gdybym o czym wiedziała?

Dopiero co miał pewną koncepcję, ale teraz, kiedy chciał ją wypowiedzieć, ulotniła się i dlatego uchwycił się innej, pierwszej lepszej, która mu się nawinęła: – Nie powinniśmy byli pchać się do Paryża na tę Wystawę Światową. Bo ileż kosztowało mnie już samo stoisko! Nie mówiąc o pozostałych wydatkach. Dałem się omamić urojeniom, że... międzynarodowe stosunki, eksport itd. Ale to był błąd jak wiele innych, które popełniłem w ostatnich latach.

– A tak się szczyciłeś otrzymanymi medalami. Dwa złote i jeden srebrny. Pisały o tym wszystkie gazety i sam mówiłeś, że słono musiałbyś zapłacić za taką reklamę...

Hofmann najchętniej pochyliłby się nad stolikiem, wziąłby rękę córki i powiedział: Wiesz przecież dokładnie, dlaczego zachciało mi się pojechać do Paryża. Wiesz, jak mało mnie interesowało, co dzieje się przy moim stoisku. Wiesz, że miałem w głowie tylko moje wyścigi i to, abym wieczorem mógł zagrać w ultimo lub przynajmniej w wista we trójkę. Co wieczór słyszałaś, jak wymykałem się z hotelu i wracałem późną nocą; oraz obserwowałaś dokładnie, jak szybko spieniężałem czek, które wpływały jako zaliczki na zamówienia. Ale po co było wypowiadać głośno to, o czym oboje wiedzieli. Nic by się tym nie naprawiło. Zresztą chwile, w których Hofmann sprawował sąd nad samym sobą, nie trwały

nigdy dłużej jak właśnie teraz, i dlatego powiedział głosem, w którym nie można było już nic zauważyć z ponurego nastroju, który go nawiedził: – Lepiej pomówmy o czymś innym. Jakie masz plany na dziś?

– Pójdę z ciocią Lenką po sprawunki. Potrzebujemy jeszcze czegoś do lania ołowiu, wiesz, dla niej jest to najważniejsze z całego sylwestrowego wieczoru, a później umówiłam się z Keithem... ma odwiedzić pewną fabrykę w Charlottenburgu. Zamierza jeszcze zamówić maszyny...

– Tacy są ci Kammerowie, widzisz, takiego męża twoja matka powinna była dostać. On wiedział zawsze, czego chce!

Kolegowaliśmy się na studiach, ojciec Keitha i ja. Ale on przerwał już po pierwszym semestrze i wziął udział w prowadzeniu małego, wiejskiego browaru. I zanim ukończyłem studia, on już zrobił majątek. Chciał wtedy, abym z nim wyemigrował, ale ja właśnie poznałem twoją matkę. Niekiedy mam naprawdę ochotę tam do niego pojechać i wszystko obejrzeć, przede wszystkim jego stadninę. Tego mu najbardziej zazdroszczę. Konie wyścigowe! Kentucky jest krajem koni, wiesz.

– Sądziłam, że oni mają browary.

– Browary przynoszą im pieniądze, ale Keith mi mówił, że jego ojciec w gruncie rzeczy interesuje się tylko swoimi końmi. Może sobie na to pozwolić. Tak, Kammerowi udaje się wszystko, do czego się tylko weźmie. Jego barwy pięć razy wygrały Derby, z czego trzy razy pod rząd. Wiesz, posiadać taką stadninę i posyłać własne konie na wyścigi, to musi być coś wspaniałego... – Hofmann snułby chętnie dalej te marzenia, ale jakoś wydało mu się nieodpowiednie rozwodzić się przed Kamilą właśnie w tym dniu o swoich najtajniejszych pragnieniach. – Keith kupuje maszyny? A ty od kiedy interesujesz się maszynami do browarów?

– Po prostu obiecałam, że pójdę tam razem z nim.

– Czy ty go lubisz?

– Chętnie z nim przebywam – powiedziała i szybko dodała: – prawdopodobnie dlatego że nigdy nie miałam brata.

– Tak, gdybym miał syna, może by się niejedno zmieniło. Wyobraź sobie, co by było, gdybym miał dzielnego syna, który znalazłby się na prowadzeniu interesu. Może wówczas mógłbym się już dawno wycofać i tak jak ojciec Keitha zajmować się tylko końmi. Być może miałbym nawet własne, które posyłałbym na wyścigi i...

Tu znowu się zająknął. Nagle przypomniało mu się umówione spotkanie ze starym Rothe, a potem zaczął myśleć o tych dwóch tysiącach marek, które musiał w ciągu tego dnia skądś wytrzasnąć dla Schröterowej. Położył łyżeczkę obok filiżanki i sięgnął do kieszonki w kamizelce, ale dwa palce wśliznęły się w wąski otwór i pozostały tam nie natrafiwszy na zegarek.

– Sądzę, że już na mnie czas. Powóz zaraz podjedzie. Co byś na to powiedziała, gdybyśmy się w mieście umówili we troje, Keith, ty i ja, aby coś przekąsić?

Kamila jednak nie odrywała oczu od talerza. – Myślałam, że jesteśmy umówieni u rejenta. Chyba o tym nie zapomniałeś?

Hofmann bynajmniej nie zapomniał, ale na co by się zdał termin u rejenta bez uzyskania zgody żony, aby przepisać na Kamilę prawo własności tego domu. Dlaczego nie przyzna się nareszcie przed Kamilą do całej prawdy? Dlaczego usiłuje wciąż jeszcze przed nią zataić, że sam nie ma już prawa rozporządzać tym domem i że wszystko zależy teraz od jego żony? Czy naprawdę wierzył, że ma jeszcze jakąś szansę? Spróbował to

sobie wmówić, tak jak i to, że potrafi dzisiaj do wieczora wytrzasnąć skądś te dwa tysiące marek dla Schröterowej.

– Czy rozmawiałeś z doktorem Bergerem?

W tym momencie usłyszał, że powóz podjechał. Złożył serwetkę powoli i akuratnie. – Nie udało mi się niestety otrzymać już u rejenta terminu na dzisiaj. Wyjechał na święta i wróci do kancelarii dopiero po szóstym stycznia. – Odsunął krzesło, podszedł do Kamili i ucałował ją w czoło. – Czy mimo to nie masz ochoty pojechać ze mną do miasta?

– Przecież mi obiecałeś – powiedziała z nagłą determinacją. – Ja chcę mieć ten dom! Przecież Maxi, Alicja i Lu...

– Będziesz go miała. Siódmego stycznia będziemy u doktora Bergera i doprowadzimy całą sprawę do końca. Co obiecałem, to obiecałem. I ja wolałbym, żebyśmy mogli to dziś jeszcze załatwić, wiesz o tym. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Chętnie zaokrągliłbym twoje konto w banku, przecież zawsze robiliśmy to przy końcu roku, a dziś jest ostatnia okazja.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

– Ile masz właściwie na swoim koncie?

Kamila wskazała na stojącą za biurkiem szafę, do której wbudowany był sejf. – Możemy od razu to sprawdzić, bo masz przecież wyciąg z mego konta schowany dla mnie w twoim sejfie. Musi tam być około dziesięciu tysięcy marek. Co rok pięćset marek od cioci Lenki, to już wynosi osiem tysięcy pięćset, do tego dochodzą oszczędności z mojego kieszonkowego i to, co ty rokrocznie wpłacałeś, no i jeszcze odsetki.

Wypowiadała tylko głośno to, co on sam dokładnie wiedział. Znał z dokładnością co do feniga stan jej konta. W ciągu ostatnich tygodni kusiło go już kilka razy, żeby podjąć tę gotówkę. Nic nie mogło być



prostsze, bo ostatecznie miał pełnomocnictwo. Ale coś nie dawało mu jednak tego zrobić i teraz czuł znowu takie samo zahamowanie. Krótka, pełna udręki walka, a potem już wiedział, że dziś te pieniądze weźmie. Nie miał przecież innego wyboru. To był jego jedyny ratunek. Kamila w ogóle nic nie zauważy, gdyż przy najbliższej okazji znowu uzupełni jej konto. Kiedy i czym, o to się teraz nie troszczył, ale jakoś to będzie. Ucałował Kamilę po raz drugi, niemal ze zbytnią wylewnością. Jeszcze przed kilku minutami zdobycie pieniędzy dla Schröterowej wydawało mu się niemożliwe, a teraz już je miał. Rozwiązanie spadło jak z nieba.

Pierwszy znak, że wszystko w końcu zmieni się na dobre. Czyż nie miał tego uczucia? Pechowa passa jest niedobra, ale można było też przeoczyć, kiedy zacznie się dobra, i dopiero to mogłoby być zabójcze. Być może już dzisiejszy dzień jest dla niego dniem szczególnie szczęśliwym? Dłuższy czas nic, a potem wszystko naraz – ten rytm znał aż za dobrze z gry w karty. Jego optymizm nabrał mocy jak żagiel wzdęty wiatrem. Czy z tych pieniędzy nie powinien by coś niecoś przeznaczyć na noworoczne wyścigi na hipodromie? Zgromadził na biurku notatki, które zapisał sobie o koniach i dżokejach. – Zobaczysz – rzekł wesoło do Kamili – wszystko jeszcze będzie dobrze.

Ale potem, kiedy na jej oczach musiał otworzyć sejf i wyjąć wyciąg bankowy, jego nastrój nagle jeszcze raz się zmienił. Zwątpienie, które go ogarnęło, kiedy Kamila mówiła o ewentualnym sukcesie nowego gatunku mydła do wywabiania Plam, powróciło. Sukcesy, osiągnięcia, pieniądze, jak on tego wszystkiego nienawidził! Więziń na galerach miał lepiej. Był tylko przykuty – zresztą i on także! Ale galernik nie ponosił odpowiedzialności. Dopiero odpowiedzialność czyni z życia istne piekło.

Nie pomogłoby również gromadzenie bogactw. I powiedział: – Nie przywiązuj się nigdy do pieniędzy, moje dziecko.

Jej reakcja była dla niego niespodziewana. Kamila się roześmiała. Siedziała tam przy stoliku i śmiała się z jego słów, które wydawały mu się tak poważne. – Nigdy się nie zmienisz – powiedziała – nigdy, póki żyjesz. – Znała go lepiej niż on sam siebie. Mieć pieniądze, nie troszcząc się o to, skąd przyszły i w jaki sposób zostały zarobione. Ciocia Lenka miała chyba rację. On będzie zawsze widział tylko to, co właśnie chce widzieć. I przez chwilę Kamila zapragnęła mieć również takie samo szczęśliwe usposobienie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wielka jadalnia lub raczej sala jadalna należała do tych pomieszczeń w ich domu, które od samego początku były bliskie sercu Kamili. Wieloosobowa rodzina zebrana przy posiłku dookoła stołu była czymś najpiękniejszym, co mogła sobie wyobrazić. Prawdopodobnie to było przyczyną, że o wiele wcześniej niż inne dzieci nauczyła się zachowywać dobrze przy stole, tak że nawet matka raz po raz ją chwaliła i stawiała za wzór starszym siostronom.

Sala ta była jakby stworzona do uroczystych przyjęć. Boazerie z włoskiego orzecha dodawały jej ciepła, czworo wysokich oszklonych drzwi, wychodzących na taras, przestronności, jasnozielone taflowe firanki kolorytu, a czteroramienne kinkiety blasku. Do tego dochodził jeszcze dzisiaj pewien nastrój szczególnego luksusu dzięki cytrynowym drzewkom ze sztucznymi owocami w listowiu i żółtym taftowym wstążkom przy ich wysokich, smukłych pniach. I jeszcze jedną właściwość miała ta sala: wydawało się, że swoimi rozmiarami zawsze dostosowuje się dokładnie do liczby przebywających w niej osób. Niezależnie od tego, czy stojący pośrodku stół nakryty był na dwanaście osób, na trzydzieści sześć czy pięćdziesiąt dwie, jak dzisiaj, jadalnia miała zawsze odpowiednią wielkość, tak że nigdy nie czuło się w niej ani zagubionym, ani stłoczonym. Nie rzuciłoby się nawet w oczy, że cztery miejsca pozostały przy stole puste, gdyby jedno z tych miejsc nie było przeznaczone dla pana domu, a pozostałe trzy dla rodziny Rothe.

Była krytyczna chwila, kiedy z tego powodu obiad nie mógł, jak było przewidziane, zacząć się o wpół do ósmej, ale matka opanowała sytuację.

Żeby nie wywoływać przykrego nastroju, kazała podać zakąski w holu i w ogrodzie zimowym. Pokojówki w czarnych taftowych sukienkach i białych plisowanych jedwabnych fartuszkach oraz donajęci kelnerzy we frakach ukazali się z wielkimi tacami pełnymi przysmaków. Nalano po raz drugi sherry i porto, na skinienie matki Alicja usiadła do fortepianu i zaczęła grać *potpourri* z różnych oper. Po godzinie daremnego oczekiwania matka poprosiła swoich gości do sali jadalnej i rozpoczął się obiad.

Kamila nie mogła się powstrzymać od zachwyty nad postawą i przytomnością umysłu, jaką matka wykazała dzisiejszego wieczoru. Ani na chwilę nie straciła kontroli nad sobą, wciąż pozostając rozpromienioną i beztroską panią domu. Nawet teraz, podczas obiadu, uważała, aby rozmowa nie milkła, stosując cały kunszt wielkiej światowej damy, aby zapomniano o nieobecności pana domu i trojga gości. Wystarczyło obserwować ją przy jedzeniu, a myśl, że coś mogłoby ją zaniepokoić, wydawała się absurdem. Są kobiety, które wyglądają najpiękniej, kiedy milczą, a inne, kiedy się uśmiechają. Moja matka zaś – pomyślała Kamila – jest niewątpliwie najpiękniejsza, kiedy je. Przez stół obserwowała, jak matka powoli i bez pośpiechu oddzielała kawałek piersi pulardy od kości i polewała go kilku kroplami sosu. Ruchy jej rąk i spuszczone oczy, wszystko to wyrażało rozkoszne skupienie. Kiedy podniosła teraz wzrok, skinęła Kamili głową z łagodnym, zadowolonym uśmiechem. Czyżby chciała wyrazić przez to pochwałę i powiedzieć Kamili, że i ona dobrze gra swoją rolę? W każdym razie Kamila usiłowała dorównać matce w jej pogodnej beztrosce. Z pełnym zainteresowaniem brała udział w rozmowach swych sąsiadów przy stole i stanowiła, podobnie jak matka,

główny ośrodek ogólnej konwersacji. Słowa przylatywały do niej, a ona chwyciła je jak piłki i odrzucała, ale myśli jej i tak wędrowały gdzie indziej.

Jej spojrzenie kierowało się raz po raz ku wielkim, dwuskrzydłowym drzwiom, ale wciąż wynurzały się z nich tylko pokojówki i donajęci kelnerzy. Stawało się coraz bardziej nieprawdopodobne, aby rodzina Rothe przybyła jeszcze na ten obiad sylwestrowy. Czyżby znaczyło to, że zaręczyny się nie odbędą, ani dziś wieczór, ani w ogóle nigdy? Nie miała jeszcze odwagi żywić nadziei.

Odchyliła się w krześle, kiedy pokojówki odniosły ostatnią z głównych potraw i zmieniały talerze przed podaniem bombki z orzechów laskowych. Nastrój był wesoły, niemal rozhukany; dobre jedzenie i świetne wina wywarły swój wpływ i w końcu nawet najbardziej sztywni i małomówni się rozkrochmalili. Towarzystwo składało się z trzech różnych warstw. Pierwsze miejsce zajmowało grono przyjaciół matki, oczywiście sami szlachetnie urodzeni, niektórzy nawet piastujący jakieś urzędy przy dworze, po nich z kolei następowali oficerowie, a reszta, którą matka zwykła była określać jako „cywilów do tańca”, składała się z referendarzy, asesorów i sekretarzy poselstwa, przy czym liczba zaproszonych kawalerów była dokładnie dostosowana do liczby obecnych niezamężnych dam. Nie był to całkiem idealny wybór, jakiego by matka sobie życzyła, ale zasługujący na uwagę wobec faktu, że znajdowano się tylko w mieszczańskim domu. Nie można zapominać o trzech zamężnych córkach Hofmannów, Maxi i Alicji ze swoimi mężami, oraz Lu bez męża, ponieważ jej małżonek, porucznik przybocznej gwardii, miał w wieczór sylwestrowy z najwyższego rozkazu służbę u dworu, i to jako główny

wodzirej.

Kamila nie miała nigdy szczególnie bliskiego kontaktu ze swymi starszymi siostrami i na ile mogła osądzić, również Maxi, Alicja i Lu nie bardzo się lubiły. Na to, że ta niezgoda w gruncie rzeczy pochodziła od matki i była przez nią stale podsycana, kiedy je nawzajem z sobą skłócała, aby móc tym lepiej nad wszystkimi trzema panować, Kamila dosyć wcześnie zwróciła uwagę i taktyka matki okazała się w stosunku do niej nieskuteczna. Matka miała jej to bardzo za złe, przede wszystkim w okresie kiedy obie najstarsze siostry wyszły już z domu, a Lu pod wpływem Kamili zaczęła wykazywać niezależność, która matce wcale nie odpowiadała. Kamila wszakże zapatrywała się na to wręcz odwrotnie. Miała uczucie, że od Lu może nauczyć się mnóstwa rzeczy. Uważała Lu za szczególnie ładną, o wiele od niej ładniejszą i bardziej pociągającą, z jej rudymi włosami, śnieżnobiłą cerą, podniecająco pełnymi wargami i wrodzoną kokieterią, którą mogła każdego mężczyznę doprowadzić do szaleństwa. Lu miała w sobie coś jakby zmiennego. Albo ubierała się w wysoko związane pod szyję suknie, niczym zakonnica, albo z takim dekoltem, na jaki chyba żadna inna kobieta by się nie odważyła. Również dziś wieczór miała na sobie jedną z tych sukien obnażających ramiona. Obok niej siedział Keith i oboje byli zagłębieni w nader ożywionej rozmowie. Chwyтали spojrzenia Kamili, uśmiechali się, przepijali do niej przez stół i znowu coś szeptali między sobą. Czy Lu wiedziała o planowanych zaręczynach? Przypuszczalnie tak, gdyż do takich rzeczy Lu miała, zupełnie jak jej matka, jakiś szósty zmysł. Czy w tym momencie rozmawiała o tym z Keithem i czy z tego powodu się śmiali...

Kawałek bombki z orzechów laskowych leżał wciąż jeszcze nietknięty

na talerzu Kamili, kiedy donajęci kelnerzy obnieśli teraz po raz drugi deser, aby jeszcze raz poczęstować gości. Za nimi szły pokojówki z szampanem. Sąsiad Kamili, który przez cały wieczór usiłował okazać się szczególnie szarmancki, chciał Kamili osobiście nalać wina i przewrócić przy tym kieliszek. Kamila pomogła mu zatamować powódź i dlatego przeoczyła wejście ojca do jadalni. Zauważyła go dopiero, kiedy witał się już przy stole z gośćmi. Był sam i widocznie dopiero co wrócił do domu, gdyż miał wciąż jeszcze na sobie to samo ubranie, w którym wyszedł rano z domu, popielate wąskie spodnie i wcięty w talii dwurzędowy surdut. Prosił o przebaczenie i pytał, jak im smakowało jedzenie. Kamila oczekiwała od niego jakiegoś spojrzenia czy znaku, ale on omijał ją wzrokiem. Mimo nonszalancji, z jaką potrząsał panom ręce i prawił komplementy damom, jego zachowanie zdradzało pewne napięcie i nerwowość. Sprawiał wrażenie, że bardzo się spieszy, aby wreszcie dotrzeć do honorowego miejsca przy stole, gdzie królowała jego małżonka. Kiedy teraz podszedł do jej krzesła, wydawało się Kamili, że przez krótki moment był bliski utraty panowania nad sobą, gdyż Emmi Hofmann nie usiłowała nawet przerwać rozmowy z jedną ze swych przyjaciółek. Musiał jeszcze bliżej podejść i do niej się odezwać, żeby go w ogóle zauważyła.

Niezależnie od tego, co jej szepnął na ucho, zachowała opanowanie. Podniosła się spokojnie i stała tam, jakby czekając, by oczy wszystkich zwróciły się ku niej i rozmowy ucichły, po czym ogłosiła swoim dźwięcznym głosem, że obiad dobiegł końca, kawa będzie podana panom w palarni, a damom w ogrodzie zimowym i najpóźniej za pół godziny zacznie się bal. Uznanie, jakim obdarzono to krótkie przemówienie

wspaniałej pani domu, przyjęła z gestem wzbraniającej się skromności i opierając się o ramię męża, opuściła salę jadalną.

Kamila pozostała na swoim miejscu, aż wszyscy wstali i nawiązała się znowu ogólna rozmowa, potem i ona dała się porwać prądowi gości podążających do holu.

Dochodziła już godzina jedenasta. Obiad trwał dwie i pół godziny i Kamila czuła teraz, jak kurczowo musiała trzymać się swego krzesła, gdyż całkiem zeszywniała. Przyćmione światło w holu zrobiło jej dobrze, jak również chłodny powiew dochodzący z zimowego ogrodu, gdzie górne szyby były otwarte. Na podium, wzniesionym obok schodów, stały już pulpity na nuty oraz pudła z instrumentami. Ogrodnik i kilku służących ustawiali wysokie parawany, którymi miano zasłonić hol od strony korytarza i przedsionka, aby nadać mu wygląd sali balowej. Wszystko szło swym zwykłym trybem, jak podczas dawniejszych uroczystych przyjęć. Pierwsi panowie podeszli do Kamili – między nimi nie było Keitha – i wpisywali się do jej karnetu.

Ojca i matki nie zauważyła nigdzie. Prawdopodobnie wycofali się do biblioteki albo do gabinetu ojca. Ciocia Lenka stała przed głównymi schodami i starała się pozbyć dymisjonowanego szambelana, który od lat bywał na sylwestrowych obiadach jej sąsiadem przy stole. Kamila wiedziała, że ciocia teraz zniknie i dopiero o północy wróci do towarzystwa, aby uczestniczyć w laniu ołowiu. Kamila zastanawiała się, czy nie powinna wyjść razem z ciocią, ale nagle – czy to nie był głos matki? Wysoki i ostry z owym właściwym tylko jej tonem, który wskazywał na kłótnię...

Kamila wyszła z holu i wybiegła na korytarz prowadzący do gabinetu



ojca, gdyż głos ten dochodził właśnie stamtąd. Nagle zaległa cisza. Drzwi gwałtownie się rozwarły i wybiegła stamtąd matka z bladą jak kreda twarzą. Kiedy ujrzała Kamilę, stanęła jak wryta i zmierzyła swoją najmłodszą córkę pełnym nienawiści wzrokiem. Sekundy mijały, potem, jakby już nie mogła dłużej wytrzymać i musiała się jakoś wyładować, zatrzaskała drzwiami za sobą. Przez pewną chwilę zdawało się, że chce przejść obok Kamili bez słowa, ale nagle syknęła: – Idź do niego! Wy oboje pasujecie do siebie. Ale nie myślcie, że możecie sobie ze mną na wszystko pozwolić. Wypijecie sami to piwo, któreście nawarzyli. No, idź do niego i... – tu umilkła. Jeszcze jedno pełne lodowatego chłodu spojrzenie i ruszyła z zadartą głową, unosząc prawą ręką tren sukni. Potem słychać było już tylko jej drobne, energiczne kroki i szelest sukni. Kamila nic nie rozumiała. Wyciągnęła rękę do klamki, lecz nagle opanował ją strach, że u ojca natknie się na całą rodzinę Rothów. Poczowała, że zasycha jej w gardle. Była bliska ucieczki. Ale potem, wchodząc do gabinetu, spostrzegła z wielką ulgą, że ojciec był sam.

Stał przy oknie i patrzył w dal. Nie obejrzał się, kiedy się do niego zwróciła, nie zareagował, tylko wydawało się, że jego ramiona stały się jeszcze węższe i podniosły się do góry jak u kogoś, kto marznie. – O co ci jeszcze chodzi? Rób, co uważasz za konieczne, ale nie żądaj... – Wydawało mu się bowiem, że to jego żona jeszcze raz powróciła. Spojrzał przez ramię. – Ach, to ty, Kamilo? – Podeszedł do niej i te dwa czy trzy kroki wystarczyły, aby z jego twarzy znikł wyraz umęczenia.

– Jak ślicznie wyglądasz! To przecież ten nasz materiał, któryśmy wspólnie kupili w Paryżu, prawda? Pozwól, że ci się przyjrzę! I twoje włosy, tak właśnie jest dobrze! Nie powinnaś przecież ich obcinać. Trzeba

było siedemnastu lat, aby tak długie urosły. Byłaby to niepowetowana szkoda, wierz mi, że i ty byś potem żałowała... Ale powiedz, jaki był obiad? Czy się dobrze bawiłaś?

Być może, że tchórzył, ale przecież tylko dlatego że nie chciał zadać jej bólu. Być może kosztowało go o wiele więcej wysiłku odgrywać tę komedię, niż po prostu wyznać całą prawdę. Kamili wydało się, że w tym momencie lepiej ojca rozumie niż kiedykolwiek. Być może życie stawało się o wiele prostsze, kiedy odsuwało się od siebie to, co nieprzyjemne, i miało się nadzieję, że wszystko jakoś się samo załatwi. Ale ona tego daru nie odziedziczyła po ojcu. – Ojciec... co się stało?

Lecz on nic na to nie odpowiedział. – Muszę się przebrać, bo nie będziesz chciała zatańczyć ze mną w takim stroju. Chyba zarezerwowałaś dla mnie pierwszego walca?

Jakie pytanie powinna była teraz postawić, aby zmusić go do odpowiedzi? Jeśli kłótnia rodziców dotyczyła nieobecności rodziny Rothów, wówczas właściwie mogło to być tylko oznaką czegoś dobrego...

Oboje nie usłyszeli pukania do drzwi. Była do Schröterowa. Stała pod drzwiami, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż ojciec niecierpliwie kazał jej wyjść. – Nie teraz, proszę. Pani widzi, że mam coś z córką do omówienia. Niech pani przyjdzie później. Przecież można z tym jeszcze trochę poczekać? Pani widzi, że nam tu teraz przeszkadza. A więc proszę!

Kamila była tak bardzo zajęta sobą, że nie zwróciło jej uwagi ani dziwne zachowanie Schröterowej, ani niezwykła szorstkość ojca. A kiedy byli znów sami, powiedziała:

– Czy Rothowie już nie przyjdą? Czy już po wszystkim?

– Muszę się przebrać, moje dziecko. W takim stroju nie mogę wrócić

do towarzystwa.

– Powiedz mi, ojczy! Czy już po wszystkim?

Stał przed nią z oczyma wciąż jeszcze skierowanymi ku drzwiom, jak gdyby Schröterowa mogła lada chwila znów wejść. Musiał wyznać Kamili całą prawdę, nie było rady. Ona powinna wszystko wiedzieć. Jeśli ktoś miał do tego prawo, to ona. Ale po długim zmaganiu się z sobą powiedział tylko: – Nie będzie żadnych zaręczyn.

– Żadnych zaręczyn? Czy to prawda? Dlatego matka była do tego stopnia wyprowadzona z równowagi?

– Chwileczkę, moje dziecko, twoja matka miała inny powód, aby się tak wściec, i to niestety dotyczy również ciebie...

Ale nie mógł dalej mówić, bo Kamila zarzuciła mu rękę na szyję. Chciał się obronić, ale ona nie zważała na to i dopiero kiedy miała chwycić jego rękę i ucałować, nie pozwolił jej, wzbraniając się.

– A więc to prawda! Nie będzie żadnych zaręczyn. Tak przecież powiedziałeś?

– Tak, już po wszystkim.

– Po wszystkim! Po wszystkim! Po wszystkim! – I przed jego oczyma zaczęła się kręcić w kółko. – Po wszystkim! Po wszystkim! Po wszystkim! A matka niemal pęka ze złości! To wspaniale! – Nagle się zatrzymała.

– Czy to prawda?

– Zaraz ci wyjaśnię...

– Nie trzeba, powtórz tylko, że to prawda!

– Tak, oni już nie przyjdą. Ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek.

– Ja ci tego nigdy nie zapomnę, nigdy!

Dotychczas zapatrywał się na związek małżeński córki z Rothem

niemal wyłącznie z własnego samolubnego punktu widzenia i nigdy nie zapytał siebie poważnie, co to małżeństwo oznaczałoby dla Kamili. Dopiero teraz, wobec wybuchu jej radości, docenił wielkość ofiary, którą ona byłaby gotowa dla niego ponieść.

– Czy to było dla ciebie bardzo trudne?

– Nie za bardzo. Prawdę mówiąc, on mi tej decyzji, jak to się mówi, zaoszczędził.

Ojciec rozkazał sobie wyjawić jej również drugą część prawdy, ale czy ma ją tym obciążać właśnie w tym momencie, kiedy jest tak radosna? Popsułyby jej tylko cały bal, niczego nie naprawiając. Tak czy inaczej nie można było już nic zmienić. Od tej chwili wszystko potoczyło się własnym rozpędem, niepowstrzymanie. I najdziwniejsze było, że odczuł niemal ulgę. Wydawało mu się, jak gdyby jakieś ciężkie brzemie zostało z niego zdjęte.

– Teraz już naprawdę wielki czas, abym się przebrał...

– Zatańczysz ze mną pierwszego walca – powiedziała – pierwszego, drugiego i wszystkie, jakie będziesz chciał... Teraz zaczniesz się prawdziwą zabawą!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Co to wszystko znaczy? Nie możesz przecież gości zostawiać samych! No, powiedz nareszcie, matko, co się stało?

Bynajmniej nie pod wrażeniem tych pytań, które ze wszystkich stron na nią się sypały, Emmi Hofmann przechadzała się po wolnej przestrzeni pomiędzy choinką i żółtą jak pigwa kanapą. Nagle przystanęła i podnosząc obie ręce, nakazała ciszę. – Czy jesteśmy w komplecie? – jej wzrok przesunął się kolejno po Maxi, Alicji, Lu oraz po obu obecnych zięciach, zgromadzonych dookoła niej w bawialni z meblami w stylu Schinkla. – Ty – wskazała na męża Maxi – staniesz przy drzwiach i będziesz uważał, żeby nam nikt nie przeszkodził.

Emmi Hofmann opadła na kanapę. Reakcja rodziny na tę niespodziewanie zwołaną naradę była taka, jak można było oczekiwać. Obok niesmaku i zaciekawienia dostrzegła na twarzach córek i zięciów przede wszystkim pewną rezerwę, więc postanowiła mieć się na baczności. Na szczęście miała dość czasu, aby się przygotować na taką sytuację. Nie byłoby to możliwe, gdyby po południu nie zerwała się i nie pojechała do miasta, aby odwiedzić swego pełnomocnika, doktora Kannenberga. Zmusił ją do tego jakiś wewnętrzny głos, niemal jakby przeczucie katastrofy. Niestety to przeczucie się urzeczywistniło, ale było lepiej, że dowiedziała się o tym od doktora Kannenberga. W ten sposób została już przygotowana na najgorsze i mogła obmyślić i zaplanować dalsze kroki. Wprawdzie wtedy był jeszcze promyk nadziei, a mianowicie małżeństwo Kamili z Rothem. Ale teraz i to należało już do przeszłości.

Po awanturze z mężem Emmi była bliska przerwania przyjęcia

i odesłania gości do domu. Zwłaszcza na myśl że wszystko, co ma być jeszcze teraz zjedzone i wypite oraz co z naczyń i szkła będzie stłuczone i co zostanie przy sztucznych ogniach wystrzelone w powietrze, pomniejszy, jeśli można tak powiedzieć, jej zasoby... Ale przewyciężyła ten moment paniki, tak samo jak po południu przyjęła informacje doktora Kannenberga, nawet nie drgnąwszy. A więc i tę radę familijną również przetrzyma.

– Czy możesz nam nareszcie powiedzieć, co się tu dzieje?

– Jak zwykle przy rodzinnych naradach, Alicja wystąpiła jako rzecznik wszystkich członków rodziny.

Emmi Hofmann spojrzała na stojący pod ścianą zegar.

– Nie martw się, zdążysz jeszcze wrócić na początek tańców. Będę mówił krótko. – Po czym niemal jednym tchem i tak samo spokojnym głosem, jak dotąd, powiedziała: – Wasz ojciec zbankrutował!

– Co proszę? To niemożliwe. Zbankrutował – kto to powiedział?

Znowu wszyscy zaczęli mówić równocześnie, potem zaległa cisza. Lu, która stała przed choinką, trąciła koniuszkiem palca jedną z przezroczystych szklanych kulek, tak że ta rozkołysała się. Maxi, najstarsza z sióstr, spojrzała błagalnie na męża, który strzegł drzwi. Alicja zaś zaczęła przechadzać się bez przerwy tam i z powrotem typowym krokiem kobiety w za ciasnych pantofelkach. Jej mąż skubał sobie wąsy. – Nie mogę w to uwierzyć. Z fabryką przecież szło coraz lepiej.

– I ja zawsze tak myślałam. Na pewno bym was tu nie zwołała, gdyby sprawa nie była poważna. Byłam dziś po południu u doktora Kannenberga.

– I potem zaczęła bardzo spokojnym, rzeczowym tonem powtarzać treść rozmowy, którą przeprowadziła ze swym pełnomocnikiem.

Długo wszakże nie mogła wytrwać w takim opanowaniu, podczas gdy to mówiła, przeżywała wszystko jeszcze raz: jak siedziała naprzeciwko Kannenberga w jego gabinecie i jak powiedział: „Wolałbym pani, Bóg mi świadkiem, oznajmić coś przyjemniejszego, łaskawa pani”. Ta dobrze dozowana dawka ludzkiego współczucia uczyniła Kannenberga w ciągu niewielu lat poszukiwanym w Berlinie pełnomocnikiem w sprawach majątkowych. „Ale taka jest już sytuacja finansowa pani męża... Mam tu przed sobą liczby. Pani się może sama przekonać... Smężna, bardzo smężna... w takiej sytuacji nawet ugoda już nie jest możliwa z powodu braku substancji. Oczywiście, jeśli by Rothe naprawdę się zdecydował wpłacić trochę gotówki... Przynajmniej zyskałoby się na czasie, jakieś pół roku... być może...” Te nie dokończone zdania i nieomylny instynkt, do jakiego punktu optymizm może wyglądać jeszcze poważnie, świadczyły o jeszcze innym talencie doktora Kannenberga... „Tak, kochana, łaskawa pani, tak się to przedstawia... lecz, jak się to mówi, spójrzmy prawdzie w oczy i...”

Emmi Hofmann nie pamiętała już później, jak wyszła wtedy z biura doktora Kannenberga na Leipzigerstrasse. Dopiero podczas drogi powrotnej, w karecie, za zaciągniętymi frankami, udało się jej uporządkować myśli i wytyczyć plan działania na najbliższą przyszłość. Ustanowiła sobie następujące zasadnicze reguły postępowania: Niczego nie forsować, pozostać rozsądną, nie budzić podejrzeń i zachować twarz; krótko mówiąc, nie popełniać błędów i być stale czujną. Nawet gdyby zaręczyny z Rothem miały dojść do skutku i dzięki wpłaconej gotówce grożące bezpośrednio niebezpieczeństwo na razie zostałoby zażegnane.

Jakżeż nienawidziła swego męża! Nie tylko jego, lecz wszystkich

mężczyzn. Już raz w życiu przeżyła podobną chwilę, równie przykrą i upokarzającą. Wtedy chodziło o jej ojca.

Był to jeden z owych wschodnich obywateli ziemskich, którego dobra leżały pod Poznaniem, mawiano o nich z przekąsem, że w połowie unosiły się w powietrzu, gdyż gleba składała się raczej z piasku niż z urodzajnej ziemi. Pieniądzy nigdy w domu nie było, jedynie dwa razy do roku, w dniu urodzin oraz w dniu imienin, stykała się z nimi, kiedy ojciec wręczał jej jako prezent złotą monetę, aby rzekomo schować ją dla niej „w bezpiecznym miejscu”.

W ich domu panowała spartańska skromność, nie było żadnych zaproszeń ani podróży; jedyne urozmaicenie stanowiło chodzenie do kościoła i na grób matki. Poza urodą i szlacheckim nazwiskiem nic nie posiadała, gdyż na posag nie mogła liczyć, jak ojciec od dzieciństwa wciąż na nowo powtarzał. Powinna więc była odczuwać wdzięczność, kiedy aptekarz Hofmann zaczął starać się o jej rękę. Wprawdzie był to tylko mieszczanin, ale wziął ją za żonę bez grosza posagu i bez żadnej wyprawy. Nawet koszty wesela musiał on pokryć, a potem, w miesiąc po ślubie, ujawniło się, że ojciec był bardzo bogaty! Sześćdziesięcioletni pan spieniężył cały swój majątek i ulotnił się w towarzystwie młodej Polki o podejrzanej konduicie do jakiegoś dalekiego Portofino. Chodziły słuchy, że kupił tam zamek i jacht. Urządził prywatny ogród zoologiczny i w ogóle wyrzucał obu rękoma pieniądze przez okno. Emmi Hofmann próbowała wywojować swoje prawa do dziedzictwa po ojcu, ale nic nie wskórała. Kiedy po śmierci ojca wznowiła starania, musiała stwierdzić, że nic już nie było do wzięcia. Wszystko zostało roztrwonione, a nawet owa osoba była jeszcze na tyle bezczelna, aby się zjawić w Berlinie i swoją



pasierbicę, jak uporczywie nazywała Emmi Hofmann, nagabywać o wsparcie. Emmi była wtedy jeszcze młoda i niedoświadczona, ale tym razem poprzysięgła sobie, że nie będzie już taka głupia.

– A więc – zakończyła swoje sprawozdanie z rozmowy z doktorem Kannenbergiem, nie wspominając jednak przezornie o możliwości ocalenia, dzięki ewentualnemu wpłaceniu pewnego kapitału przez Rotheego – tak to wygląda, kompletne bankructwo. – Tu spojrzała znowu na stojący pod ścianą zegar i stwierdziła, że nie minęło nawet pięć minut. Pięć minut wystarczyło dla zrobienia bilansu całego życia człowieka oraz jego rodziny...

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Alicja zatrzymała się w swej niezmordowanej wędrówce. – Czy musiało to odbyć się właśnie dziś wieczór? Z domem pełnym gości? Naprawdę można było z tym poczekać do jutra. – Jej ręce bawiły się długim sznurem pereł, których piękno tego wieczoru wzbudzało kilka razy zachwyt, i Alicja zawsze odpowiadała na to dumnie: – To prezent na gwiazdkę od mego ojca! – Ale teraz obudziły się w niej wątpliwości, czy perły zostały zapłacone i czy jej ich nie odbiorą... Zwróciła się więc do swego męża: – Czy możemy i my też być w to wszystko wciągnięci, Tassilo? Chodzi o prezenty i posag...

Tassilo von Faber poskubał wąsy i powiedział przesadnie wyraźnym i aroganckim tonem, do jakiego przyzwyczał się na sali sądowej: – Nie wierzę, żeby twoja matka miała coś podobnego na myśli, udzielając nam informacji, albo może, Emmi?

Emmi Hofmann utkwiała wzrok w swojej córce Alicji albo raczej w długim sznurze pereł, jakie miała na szyi: – Jeśli chcesz zaproponować mi pomoc, to proszę...

Ale Alicja ani myślała na to przystać. – Nie jesteśmy nawet w komplecie. Brak męża Lu. A przecież jego to tak samo dotyczy.

– A Kamila? – Wtrąciła po pewnym wahaniu Maxi, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Lu podsunęła sobie wyżej suknię na ramieniu. – Nie wiem wprawdzie, co tu jest do decydowania, ale z powodu nieobecności mego męża nie potrzebujecie nic odwlekać. To, co on na to powie, możecie również ode mnie usłyszeć. – Była zadowolona, że mąż miał dziś służbę u dworu; będzie o wiele lepiej poinformować go o tej przykłej sprawie w odpowiedniej chwili i w trochę upiększonej wersji. – A więc co mamy zdecydować?

– Tylko was poinformowałam. Wiecie teraz, co jest z finansami waszego ojca. A od was oczekiwałam... że przynajmniej moglibyście co do tego wypowiedzieć swoje zdanie.

Otto von Donath, mąż Maxi, opuścił posterunek przy drzwiach; wziął jedną ręką któreś z masywnych krzeseł i postawił obok kanapy. Był to ogromny mężczyzna, wagi ponad dwa cetnary, i krzesło zaskrzypiało głośno, kiedy na nim usiadł. Jego zachowanie odpowiadało grubo ciosanej powierzchowności i nawet jako poseł do Reichstagu ze stronnictwa konserwatywnego chętnie udawał wiejskiego hreczkosieja.

– Czego oczekujesz, Emmi? – spytał. – Że powinniśmy wesprzeć ojca naszymi pieniędzmi?

– Mogę na twoje pytanie odpowiedzieć jedynie innym pytaniem: a czybyście to zrobili?

– Tak jak nam opisałaś sytuację, wydaje się, że nie ma już co ratować. – Mówiąc to usiłował trochę rozluźnić swoje wąskie spodnie, które ciasno

opinały mu kolana i uda. – Jeśli o mnie chodzi, widzę, że jest to istna beczka bez dna. Nie pozostaje więc nic innego, jak ponieść konsekwencje. Jak plajta, to plajta. Sto tysięcy marek długów bankowych, powiedziałaś?

Emmi Hofmann skinęła głową.

– I dokładnie taka sama suma nie zapłaconych rachunków. Żadnych wierzytelności i żadnego godnego wzmianki zapasu towarów, tak to przecież wygląda. Powinnaś mnie skorygować, jeśli coś pomyłę.

Emmi Hofmann znów skinęła głową.

– Żądania komiwojażerów w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy marek i zastawiony komplet maszyn, a jako jedyne aktywa dwa stare domy i teren, na którym stoją.

Alicja porozumiewawczymi spojrzeniami usiłowała dać do zrozumienia swemu mężowi, że powinien zakończyć tę bezcelową rozmowę, i dlatego powiedział energicznie: – To beznadziejne! Beznadziejne, kompletnie pokpiona sprawa.

Emmi Hofmann nie zdradziła ani swych uczuć, ani tego, co myśli: – O jednej rzeczy zapomniałam wspomnieć, że znalazł się ktoś, kto się tym zainteresował i byłby ewentualnie gotów wnieść trochę kapitału.

– Masz na myśli te tajemnicze zaręczyny? – spytała Lu, nagle zaciekawiona.

– Tak, to pomysł waszego ojca. Nie wiem, jak mu się to udało załatwić, lecz było już niemal doprowadzone do skutku i ten podejrzany właściciel lombardu był gotów swymi dwustu tysiącami marek zasilić waszego ojca.

– Dwustu tysiącami? Za Kamilę! – Ten okrzyk pochodził od Lu, ale wyraziła ona w nim również uczucia reszty obecnych.

To by znacznie zmieniło sytuację, chociaż doktor Kannenberg twierdził

również, że byłaby to tylko zwłoka. Ale są to jedynie teoretyczne rozważania, gdyż nic z tego nie wyszło. W ostatniej minucie, jak to się mówi – wasz ojciec znów chyba widział całą sprawę w zbyt różowym kolorze albo przedstawił ją temu Rothemu zbyt różowo. Kiedy później pokazano tamtemu liczby, wycofał się. – Tu Emmi spojrzała na Donatha. – W każdym razie tymi dwustu tysiącami marek, jak potwierdził mi to Kannenberg, zapobiegłoby się ogłoszeniu upadłości... Jeśli więc chcecie waszemu ojcu dopomóc...

– Waszemu ojcu! Waszemu ojcu! – Alicja straciła cierpliwość. – Słyszę ciągle „wasz ojciec”. A ty, matko, czy to wszystko wcale ciebie nie dotyczy? Czyś ty kiedy o tym myślała, skąd przychodzą pieniądze? Przez trzydzieści lat obdarzał cię on najpiękniejszym życiem. Czy ty wiesz, na przykład, ile takie przyjęcie, jak dziś wieczór, pochłania pieniędzy? To ciebie nie interesuje, wiem! Odrzucasz kramarskie rozmowy. Nazywasz to sknerstwem. Nie, nie jesteś całkiem bez winy w tym krachu. A tobie się zdaje, jak my żyjemy? Ja nie mogę tak bezmyślnie szastać pieniędzmi! – Tu rozejrzała się dookoła. – My wszyscy nie możemy!

W pokoju zaległa taka cisza, że można było usłyszeć z holu odgłosy instrumentów. Znów Emmi Hofmann mogła być z siebie zadowolona, gdyż i tym razem udało się jej zachować spokój. Gorzka pociecha. I kiedy teraz podniosła głos, po raz pierwszy zabrzmiała w nim niemal nuta rozdrażnienia: – Czy wolno mi przypomnieć, że to ja zatroszczyłam się o to, żeby każda z was otrzymała w posagu po sto tysięcy marek?

Maxi, która jako jedyna odziedziczyła po matce skłonność do otyłości, przysunęła teraz również krzesło do kanapy, na której siedziała matka. – Naturalnie, musimy dopomóc. Chodzi ostatecznie o ojca, a nie o jakiegoś

tam obcego. Jeśli się złożymy... Moim zdaniem... – poprawiła się jednak pod ostrzegawczym spojrzeniem męża. – Byłby to oczywiście tylko rodzaj kredytu, prawda, matko, o to ci przecież chodzi, o kredyt, którego udzielilibyśmy mu z odpowiednią gwarancją.

– Słuchajcie, co ona mówi! – rzuciła Alicja z irytacją. – Najstarsza siostra znowu nas poucza, co mamy robić, a czego nie robić. – Otto von Donath oznajmił ruchem ręki, że chce coś powiedzieć. Pochylił się nieco naprzód i zmierzył badawczym wzrokiem teściową. – Nie myślałaś chyba na serio, że ulokujemy nasze pieniądze, bądźmy uczciwi, w zaprzepaszczonej sprawie? Wybacz, ale nie mam cię za tak naiwną. Przeciwnie, miałem cię zawsze za wielką realistkę. Jeśli ten właściciel lombardu się wycofuje, to znaczy, mówiąc obrazowo, że tego statku nie da się uczynić zdatnym do pływania. Za pół roku i nasze pieniądze byłyby również stracone. Sentymenty są piękną rzeczą, ale nie da się nimi rozwiązać problemów finansowych. Do tego potrzeba trzeźwej głowy. Ojciec nie będzie miał z tego żadnej korzyści, jeśli my również stracimy nasze pieniądze. Trzeba wyciągnąć konsekwencje i możliwie jak najszybciej i bez rozgłosu zlikwidować całą tę sprawę. Przypuszczam, że pod tym względem jesteście wszyscy zgodni. Dobrze. To, że głównej osoby, mianowicie ojca, tu nie ma, a ty zwołałaś tylko nas wszystkich, wolno mi chyba tak sobie wytłumaczyć, że już się z nim nie liczysz, czy tak? Dobrze. Więc i to byłoby wyjaśnione. Po co więc rozprawiamy jeszcze o tym nawarżonym piwie?

– Być może chciałam się tylko przekonać, jak zareagujecie, a przede wszystkim wy, moje córki... – Mimo całego spokoju i opanowania utworzył się stopniowo dookoła jej ust pewien grymas rozgoryczenia.

I powiększył się jeszcze, kiedy teraz powiedziała: – Masz zupełną słuszość, ja się z nim już nie liczę. Wasz ojciec jest... – tu poszukała odpowiedniego słowa, które miało wyrazić całą jej nienawiść i pogardę, ale go nie znalazła. – On jest graczem, graczem z urodzenia, nie tylko przy stoliku z kartami, ale traktuje całe swoje życie jak grę. Nie, nie mam zamiaru w jakiś sposób go oszczędzać. Zwołałam was tutaj, abyśmy, to znaczy cała nasza rodzina, mogli się choć do pewnego stopnia wycofać bez szwanku z tej afery, aby on nas nie wpakował jeszcze w dalszą kabałę i aby nie narobiło to zbyt wiele hałasu. – Tu powiodła wzrokiem po zebranych i spojrzała potem znowu na Donatha. – Mimo całkowitego zaufania do doktora Kannenberga, dwom panom nikt nie może służyć, a ostatecznie jest on ciągle pełnomocnikiem waszego ojca. Wołałabym więc, abyś ty na przyszłość podjął się prowadzenia moich interesów. Jak już powiedziałam, istnieje kilka aktywów, stara apteka, oficyna oraz teren, na którym stoi fabryka. Nie orientuję się, ile to jest warte i czy można to będzie sprzedać. W danych okolicznościach nie można będzie osiągnąć najwyższej ceny, ale pewną część długów da się na pewno tym pokryć.

– Sprzedać aptekę – zawołała Maxi z oburzeniem – która od trzystu lat jest w posiadaniu rodziny?

Donath upomniał ruchem ręki, że nie należy odbiegać od rzeczy.

– Oczywiście chętnie podejmę się opieki nad twoimi interesami – oznajmił teściowej – ale do tego jest mi potrzebne jego pełnomocnictwo.

Emmi Hofmann się roześmiała. – Jego pełnomocnictwo! Oto je masz! Postarałam się o nie zawczasu. On na wszystko się zgodzi i powie amen. Bo inaczej to by dopiero było! A jeśli już o tym mówimy, powinniście od razu wiedzieć, że ten człowiek dla mnie już umarł, raz na zawsze. Nie chcę

mieć z nim już nic do czynienia.

– Chcesz przeprowadzić rozwód? – zawołała Maxi, tracąc panowanie nad sobą.

– Rozwód wywołałby sensację, separacja osiągnie ten sam cel. Proszę, oszczędźcie sobie każdego słówka na ten temat. Moje postanowienie jest niezłomne i mam nadzieję, że on się zdobędzie na resztkę przyzwoitości i samorzutnie zniknie z mojego życia.

– Ale co się z nim stanie? – Maxi i tym razem nie znalazła poparcia u pozostałych członków rodziny, z czym zresztą już się wcale nie liczyła. – Az czego ty masz żyć?

Te ostatnie słowa spotkały się z ogólnym zainteresowaniem. Wszyscy zwrócili się do matki i Lu wypowiedziała to, co im przychodziło na myśl: – A przede wszystkim, gdzie chcesz mieszkać?

Emmi Hofmann wygładziła nie istniejącą fałdę na błękitnym aksamicie sukni. I nad tym już się zastanawiała, nie znajdując jednak żadnego zadowalającego rozwiązania. Mieszkać u Lu byłoby czymś najbardziej urozmaiconym, ale w jej małym miejskim mieszkaniu byłoby bardzo ciasno. Alicja prowadziła duży dom, ale była kapryśna i władcza. Maxi w ogóle nie wchodziła w grę, gdyż myśl o spędzaniu przeważającej części roku na prowincji, w jej majątku, nie miała dla Emmi Hofmann nic kuszącego. Naturalnie liczyła się z tym, że wszystkie trzy córki zadeklarują spontanicznie przyjęcie do siebie matki. Ale ujrzała tylko ich zmieszane twarze: Alicja, Lu i nawet Maxi, które jeszcze przed chwilą były zbulwersowane, wydawały się teraz jakby odrętwiałe. Z oboma zięciami też nie było inaczej. Nie do pojęcia! Czy był to naprawdę ten sam Donath, jej ukochany zięć, którego przy stole sadzała zawsze obok siebie,

gdyż wtedy nie potrzebowała się krępować tym, że za dużo jadła. Nikt nie miał dla niej ani życzliwego słowa, ani nawet spojrzenia. Stali i siedzieli dookoła niej tak jak przedtem, ale przecież wydawało się, że się od niej oddalili. I to własne córki! Taka była ich wdzięczność za wszystko, co ona dla nich uczyniła! Pierwszy raz, kiedy czegoś od nich chciała, wszystkie jakby nagle osłupiały. Dobrze jeszcze, że zachowała swój ostatni atut: dom. Zmusiła się do uśmiechu.

– A więc czy macie dla mnie jakieś propozycje?

Spod rąbka wieczorowej sukni Alicji ukazał się koniuszek pantofelka i jakby wświdrował się w dywan. Donath wstał i wyprostował się z głębokim westchnieniem w całej swej okazałości.

Lu upuściła igielki z choinki, które z niej wyskubała.

– Znasz przecież moje mieszkanko jak dla lalki – powiedziała. – Nie ma tam nawet miejsca dla kanarka, a ty jesteś przyzwyczajona do wielkiego domu i służby, u Alicji miałabyś lepiej.

Emmi Hofmann siedziała wyprostowana i zwróciła się teraz do wymienionej przez Lu siostry.

– A co ty na to?

– To mnie zaskakuje. Zapewne miejsca byłoby u nas dosyć, ale chciałabym ci tylko przypomnieć, że za każdym razem, kiedy u mnie byłaś, mówiłaś, że nie mogłabyś tu wytrzymać z powodu hałasu dochodzącego z Oranienplatz. A czy w ogóle musi się to teraz rozstrzygnąć, tak natychmiast?

– Naturalnie możesz przyjechać do nas – wtrąciła Maxi – prawda, Otto?

Dziękuję ci, Maxi, ale mam dosyć wsi. Nawet dziesięć koni nie zaciągnie mnie do waszej „rajskiej pustelni”. Pozostanę w Berlinie. Niech



Lu i Alicja uzgodnią to między sobą. Omówcie to później z całym spokojem. – Wyobrażając sobie, jak obie z tego powodu wezmą się za czuby, Emmi Hofmann mimo woli musiała się uśmiechnąć. – Tak, omówcie to między sobą i dajcie mi znać o waszej decyzji. A teraz możecie odejść. Zatoszczcie się o gości... Ale ty, Otto, zostań tu na chwilę, jest jeszcze coś...

Lu pierwsza była przy drzwiach. Reszta poszła za nią. Rozległy się dźwięki muzyki i przez wszystko przebił się donośny głos Różańskiego, dalekiego krewnego, który wzywał do ustawienia się do pierwszego walca.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby pozostać tu jeszcze chwilę? – powiedziała Emmi Hofmann i wskazała mu miejsce obok siebie na kanapie.

– Ja i tak niechętnie tańczę, a zwłaszcza po sutym obiedzie. Co za szlachetny trunek ten Chateau Cru-Yquem. A rocznik siedemdziesiąty ósmy jest doskonały. Ale o tym, czy coś podobnego dostaniesz do picia u Lu czy Alicji, śmiem wątpić. Mogę tylko przyznać słuszność propozycji Maxi. U nas w Pillkallen będziesz o każdej porze mile widziana.

– Ale ja nie mogę ścierpieć już samej tej nazwy.

– Meble prawdopodobnie byś z sobą przywiozła i własną służbę także. W każdym razie byłoby to płatne z twojej kieszeni.

Emmi Hofmann roześmiała się. Donath był jednym z tych mężczyzn, którzy najpierw adorują matkę, zanim ożenią się z córką. Drugą jego cechą, która usposobiła ją do niego dobrze, była przebiegłość, jaką okazał przy targowaniu się o intercyzę.

– U ciebie przynajmniej wiadomo, na co można liczyć. Ale nie kłopotz się! – Tu zrobiła umiejętnie dozowaną pauzę, zanim powiedziała: – Na

szczęście ten dom należy do mnie.

– Ten dom? Należy do ciebie?

„To oczywiście również stanowi aktyw”, powiedział doktor Kannenberg, i ta uwaga wbiła się jej w pamięć i zapewniła oparcie. Sam dom jako taki nie miał dla niej żadnego znaczenia. Wprowadziła się przecież do niego wbrew swojej woli i uważała spędzone tam lata zawsze za wygnanie, ale „aktyw”, co to za wspaniałe słowo! – Tak, dom należy do mnie, przynajmniej choć jeden z aktywów.

– Wolny od długów? Nie obciążony żadną hipoteką?

– A kiedy temu nie zaprzeczyła, uśmiechnął się do siebie:

– Gratuluję. To zmienia twoją sytuację o sto osiemdziesiąt stopni.

Wprawdzie zawsze wymyślałaś na ten dom, ale jako wartość rzeczowa... No, gdybym miał ocenić... – Ale uznał, że będzie lepiej, jeśli nie wymieni żadnej sumy. – Czy masz zamiar coś nabyć w mieście?

– Dlaczego przychodzi ci to na myśl?

Mimo całej sympatii, jaką odczuwała dla Donatha, nadal miała się na baczności, zwłaszcza że on odgadł niemal jej myśli. Znowu zamieszkać w mieście, może nawet w pobliżu cesarskiego zamku. Być może, mogłaby się wprowadzić do pani von Schack, długoletniej przyjaciółki, która była lektorką u dworu. Dlaczego jej dawne marzenie nie miałoby się ziścić? Mieszkać, można powiedzieć, na tej samej wysokości okien, co okna cesarza. Codziennie mieć najnowsze wiadomości z dworu, i to z pierwszego źródła. Kiedy po separacji znowu wróci do swego panińskiego nazwiska, będzie może jeszcze pewnego dnia figurować na liście osób bywających u dworu...

Donath zaś, który nie zdążył obliczyć w przybliżeniu prowizji, jaką

będzie można zarobić przy sprzedaży domu, zapytał:

– Nie masz przecie zamiaru zatrzymać tego domu? Nie potrzebuję ci z góry obliczać, ile pieniędzy on pochłania, już choćby sama służba.

– Ależ nie, ja go sprzedam, i to chętniej dziś niż jutro. Lecz może lepiej odczekać, aż sprawa upadłości zostanie załatwiona, bo jeśli cała ta afera porośnie trawą, uzyskamy na pewno o wiele lepszą cenę.

– Czy sprawa sprzedaży domu ma jeszcze jakiś kruczek?

– W każdym razie nic takiego, o czym bym wiedziała. Nie, tu nic nie może się stać. Właściwie dom miał być przeznaczony dla Kamili jako posag, wiesz, zamiast gotówki.

– Chwileczkę! Czy istnieje rejentalnie potwierdzone przepisanie domu na ciebie?

– Za kogo mnie bierzesz? Oczywiście mam wszystko czarne na białym.

– Prawo własności i użytkowania? Żadnych ograniczeń? Żadnych klauzul, które by zabezpieczały prawa Kamili?

– Nie. Dziś po południu u doktora Kannenberga jeszcze raz obejrzałam dokładnie ten dokument. Kamila mogłaby zaangażować dziesięciu adwokatów... Nie mówiąc już o tym, że nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła.

Po chwili refleksji powiedział: – Podejmuję się tej sprawy w twoim imieniu. Podpisy i pełnomocnictwa, które mi będą do tego potrzebne, dostanę jutro od twojego męża. Załatwienia sprawy upadłości dokonam gratis, ale od sprzedaży domu chciałbym dostać prowizję. Powiedzmy – piętnaście procent?

Tu spojrzeli szczerze na siebie, dwoje wspólników, którzy się świetnie dobrali. Emmi Hofmann powiedziała z chytrym uśmiechem:

– Myślę, że sprzedaż tego domu nie będzie stanowiła zbyt trudnego zadania, jeśli nie będziemy się zbytnio spieszyć. Doktor Kannenberg powiedział, że będzie łatwo znaleźć nabywcę. Sam oświadczył nawet gotowość...

– No to dobrze. Zgódźmy się na dziesięć procent. – Podobnie jak już przy kilku wcześniejszych okazjach, Donath poczuł się zadowolony, że Maxi odziedziczyła po matce tylko zewnętrzne podobieństwo. – Jesteś twardą kobietą – powiedział. – Nie wiem, do jakiego męża byś pasowała, do twojego w każdym razie nie. – Tu przyjrzał się jej gładkiej, pełnej samozadowolenia twarzy. – A może wolałabyś uchodzić za nieszczęśliwą ofiarę?

Emmi Hofmann słuchała go tylko jednym uchem. Przez zamknięte drzwi dochodziły dźwięki otwierającego bal walca. Tak jak na cesarskim dworze był to walc *Nad pięknym modrym Dunajem*. W tych sprawach można było naprawdę polegać na Różańskim. Jej myśli krążyły już dookoła przeniesienia się do miasta. Trudno o bardziej sprzyjającą porę, nie mogła lepiej trafić: wszystkie najważniejsze uroczystości dworskie wypadały w styczniu: rocznica proklamacji cesarstwa w Wersalu, rocznica koronacji oraz dzień nadawania orderów, urodziny samego cesarza i wielka defilada. A potem luty! Wielkie bale maskaradowe w pałacu następcy tronu, święto dobroczynności i wszystkie te liczne inne bale i uroczystości. Co wieczór od godziny siódmej zaczynały podjeżdżać ekwipaże, co można tak dobrze obserwować z okien mieszkania pani von Schack...

Emmi Hofmann wstała i opierając się na ramieniu Donatha rzekła: – Zaprowadź mnie do moich gości.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiktor Różański – to znaczy hrabia Różański, choć co do tego krążyły pewne wątpliwości – dodawał tancerzom animuszu. Pełniąc od przeszło trzydziestu lat funkcję aranżera zabaw, był pod tym względem ekspertem. Niektórzy zastanawiali się, w jaki sposób mógł z tego wyżyć, zużywając tyle fraków, nie mówiąc już o niezliczonych gorsach, zgubionych spinkach i zdartych w tańcu lakierkach. Być może Różański nawet dopłacał do tego, aby tylko móc zaspokoić swoją nienasyconą żądzę życia towarzyskiego. – Proszę się ustawić!

– rozlegał się jego tubalny głos po całym holu. – Ależ, moi panowie, nie zasłaniajcie się zmęczeniem! Co się stało z waszym *elan*! A więc z trochę większym *elan*, proszę! Damy to lubią. Teraz walc w podwójnym tempie, z *elan*, a więc... – Tu dał znak orkiestrze, aby zaczęła grać. – Raz, dwa trzy – wtórował swym komendom klaskaniem w dłonie. – Jeszcze trochę prędzej, proszę! Raz, dwa trzy! Raz, dwa trzy!

– Wystarczy! Walc w podwójnym tempie to już nie dla mnie – rzekł Fryc Hofmann, wyprowadzając Kamilę z koła tańczących. – Do tego nadają się młodsze roczniki. Trzymaj się lepiej z nimi, bo ja... – i podszedł ku grupie złożonej z trzech panów, którzy stali trochę na uboczu i czekali na niego z nie ukrywaną niecierpliwością.

– Idź do nich! – Kamila знаła ten rodzaj mężczyzn, którzy przeważnie już pod koniec obiadu stawali się niespokojni. – Właściwie powinieneś mieć szczęście dziś wieczór.

Nie gniewała się na ojca, że pozostawił ją samą, aby wycofać się ze swymi przyjaciółmi do palarni na grę w karty. Stanęła na skraju koła

tańczących i zaczęła rozglądać się za Keithem. Właściwie trudno go było przeoczyć, zwłaszcza Kamili, ale nie mogła go nigdzie dojrzeć. Cała reszta rodziny tańczyła. Maxi, Alicja i oczywiście matka, która mimo tuszy była w tańcu lekka jak piórko. Aby rozruszać Ottona von Donath, musiała zużyć trochę energii, i nawet wtedy pozostawał ociążały jak niedźwiedź w tańcu.

Walc się skończył i Różański zakomenderował odbijanego. Wśród tańczących powstał rozgardiasz, ale wciąż jeszcze nie było śladu Keitha. Nie widać było również Lu, ale Kamila broniła się przed łączeniem tych dwóch spostrzeżeń. Do północy brakowało już tylko pół godziny. Kamila skierowała się do sali jadalnej. Stół był już uprzątnięty i zsunięty do połowy. Przykryto go nowym obrusem z adamaszku i kelnerzy ustawiali przeznaczone na godzinę dwunastą zimne potrawy. Pośrodku pysznił się już potężny pięciopiętrowy tort, gdyż Nowy Rok był równocześnie dniem urodzin matki. Kamila przeszła przez salę jadalną, otworzyła jedne z dwuskrzydłowych drzwi i wyszła na taras. Była pewna, że zastanie tu Keitha, zajętego ostatnimi przygotowaniem do fajerwerków, ale był tam tylko ogrodnik.

– Czy pan może widział Keitha, panie Willeke? – zawołała do niego.

Willeke, który klęczał obok drewnianego kozła, aby zmontować młynek do ogni sztucznych, podniósł głowę. – Miał mi pomóc, ale teraz gdzieś się wymknął cichaczem. Niech się panienska nie zaziębi.

Kamila wróciła rozczarowana do jadalni. Na długich bufetach pokojówki ustawiały tymczasem piramidy talerzy i przygotowywały koszyki z zastawą stołową. Na jednej z konsol leżała cała kolekcja sztucznych nosów, papierowych kapelusików, serpentyn, tutek z konfetti,

ze strzelającymi z hukiem cukierkami i innymi zabawnymi sztuczkami.

Kamila zastanawiała się, gdzie jeszcze Keith mógłby się znajdować, w ogrodzie zimowym czy w palarni, gdy Schröterowa, która dozorowała urządzenia bufetu na godzinę dwunastą, zagroziła jej drogę. Biały czepek, który zwykle tkwił na jej siwych włosach jak przyrośnięty, przesunął się na bok, a twarz spąsowiała.

– Muszę panią o coś poprosić, panno Kamilo – powiedziała stłumionym głosem, ale to podkreślało jeszcze bardziej jej podniecenie. – Pani ma przecież wpływ na ojca...

– Nie teraz. – Kamila chciała się przemknąć obok Schröterowej, ale ona położyła szybko rękę na jej ramieniu. – Proszę, tylko na moment!

– Później, naprawdę...

– To musi być teraz. Obiecał mi to już dzisiaj rano, przyrzekł solennie. Ostatecznie nie żądam zbyt wiele, kiedy pozostawiam mu na to cały dzień. To jest wszystko, co zaoszczędziłam. Co znaczy „później”? Obiecał, że przyniesie mi gotówkę z miasta. Czy nie może pani z nim pomówić? Błagam!

Nie wiedząc sama dlaczego, Kamila odczuwała wobec Schröterowej taką samą antypatię, jak ojciec. – Teraz, w środku przyjęcia! – odpowiedziała rozdrażniona. – To przecież naprawdę nieodpowiednia chwila, pani to musi zrozumieć. Proszę przyjść do mnie jutro, wtedy uregulujemy całą tę sprawę. – Zostawiła Schröterową tam, gdzie ta stała, i opuściła jadalnię.

Jedno spojrzenie na tańczących powiedziało jej, że Keith wciąż jeszcze się nie zjawił, za to Kamilę dostrzegło od razu kilku panów i zasypało zaproszeniami do tańca. Zbyła wszystkich obietnicami, że zatańczy



później, i podążyła do ogrodu zimowego. Światło było tam przyćmione, pomiędzy palmami i kwitnącymi krzewami bugenwilli przemykała się jakaś para. Na trzcinowej ławeczce w niszy z fontanną siedziały matka i pani von Schack i były tak pochłonięte rozmową, że nie widziały i nie słyszały, co się wokół nich dzieje.

Gdzie miała jeszcze szukać Keitha? Nie wiedząc, co robić, Kamila opuściła ogród zimowy i szła wzdłuż korytarza. Zabawa zbliżała się stopniowo do zenitu i cały dom rozbrzmiewał gwarem wielu głosów i wibrował, była to atmosfera, za jaką Kamila przepadała. Po krótkiej przerwie muzyka odezwała się znowu. Tubalny głos Różańskiego oraz jego klaskanie w dłonie górowały nad wszystkim. Jakże chętnie i ona by zatańczyła, ale nie z kimkolwiek, lecz z Keithem. Poszła dalej bez celu i nie zauważyła, że znalazła się już wśród pomieszczeń gospodarczych. Nagle w końcu korytarza otwarły się jakieś drzwi i wyszedł z nich Keith. To był naprawdę on! I Kamila tak się ucieszyła jego widokiem, że nie zadała sobie pytania, co on może robić w prasowni. Pobiegnęła mu naprzeciw.

– A więc jesteś! Szukam cię wszędzie! Nie chcę tańczyć z nikim innym, wszystkich czymś zbyłam, chodź...

Keith szybko poprawił rozluźniony krawat i przygładził rękoma włosy. W pierwszym przyływie radości, że go nareszcie znalazła, na pewno uszłoby to jej uwagi, gdyby nie ten zapach perfum, który ją zdziwił. I to u Keitha, który nie używał nawet wody do włosów! Był to słodkawy, ciężki zapach hiacyntów, a Kamila знаła tylko jedną kobietę, która używała tych perfum. Keith wziął ją za rękę i chciał pociągnąć za sobą. – No, więc pozwól, że teraz wszystko szybko nadrobimy. Chodź!...

Kamila spojrzała na drzwi, które się znowu zamknęły. Zamknęły się same.

– Gdzie ona jest?

– Kto? Co ci jest? Chodź teraz. Muszę ci przecież udowodnić, że i my w Ameryce umiemy tańczyć walca. Bo jeśli nie, to jest już najwyższy czas, żebyś mnie nauczyła.

Niemczyzna Keitha była bezbłędna, ale ponieważ jego ojciec jej go nauczył, Keith mówił z jakimś swoistym, na wpół amerykańskim i na wpół berlińskim akcentem. Głos niezwykle niski, jak na jego młody wiek, oraz powierzchowność chłopca wywarły na niej od pierwszej chwili szczególne wrażenie, również teraz była bliska tego, aby po prostu spełnić to, o co ten głos ją prosił, a więc tańczyć z Keithem i czuć się szczęśliwą... Ale nagle znowu poczuła ten ciężki zapach perfum. Uwolniła się od Keitha i pobiegła do drzwi, z których on wyszedł. Dogonił ją i chciał zatrzymać, ale spowodował tylko, że jeszcze bardziej zdecydowanie podążyła do drzwi.

– Co ci jest? Mamy przecież tańczyć! Chodź teraz, proszę. Wszystko ci wyjaśnię, nie bądź dzieckiem...

Nie mógł powiedzieć nic bardziej nedorzecznego. Wyrwała mu rękę, za którą ją trzymał, i mógł jeszcze tylko zobaczyć, jak znikła w prasowni.

Panował tam półmrok, gaz tlił się słabym płomieniem, a przez okno widać było odbłask jasnej zimowej nocy. Na stole do prasowania piętrzyła się już gotowa do zabrania pościel. Siostry nie mogła od razu dostrzec, ale Lu sama ściągnęła na siebie uwagę.

– Nie stój tak głupio! Kiedy tu już jesteś, to pomóż mi raczej. Ty się tu

dobrze orientujesz, gdzie mogą być przybory do szycia?

Stała tam kanapa, powleczone tylko białym płótnem, na której prasowaczka niekiedy odpoczywała, a teraz stała tam Lu, postawiła jedną nogę na wyściełanym siedzeniu i poprawiała coś przy pończosze. Rudawoblond loki opadły do przodu, zakrywając jej czoło, jedno ramię było nagie, gdyż ramiączko wieczorowej sukni chyba się urwało. Kiedy uporowała się z pończochą, wsunęła z powrotem stopę do wieczorowego ozdobionego świecidełkami pantofelka i odwróciła się. Gdy tak jak teraz robiła niewinną minkę, miała wyraźnie twarzyczkę lalki: wypukłe czoło, okrągłe oczy, długie, jakby przyklepione rzęsy, brwi jak dwie cienkie kreski oraz pucołowate policzki.

– Młodzieniec z temperamentem, muszę mu to przyznać!

– powiedziała bez żadnej żenady. – Podejdz, pomóż mi, muszę w jakiś sposób przymocować ramiączko.

Kamila stała i szukała słów, które nie powinny zdradzić nic z jej uczuć.

– Drzwi mają zasuwkę. Mogłaś przynajmniej je zamknąć.

– Ależ, dziecinko, kto mówi, że ja tego nie zrobiłam! Ale ty mnie nie będziesz pouczała, zwłaszcza w tych rzeczach.

– Wysunęła jakąś szufladę i zaczęła w niej grzebać. – Nie mogę znaleźć tych przeklętych przyborów do szycia – i roześmiała się sama do siebie. – Czy pamiętasz, jak matka zawsze mawiała: „Od przekleństw zaczyna się ścieżka grzechu”.

– Nie wiem, czy twój mąż też by się śmiał – wtrąciła Kamila, złoścąc się sama na siebie. Dlaczego stąd od razu nie odeszła? Dlaczego wdała się w rozmowę z siostrą?

Lu westchnęła. – Mój mąż... jak okropnie brzmi to w twoich ustach.

Czy ja wiem, co on w tej chwili wyprawia? Oficer gwardii przybocznej, wodzirej i do tego przystojny!

Czy ja się go o to pytam? Czy nie mogę zasnąć i trapię się zazdrośnymi myślami? Kochana dziecino, musisz się jeszcze wiele nauczyć. – Podeszła do Kamili, podtrzymując suknię przy dekolcie. – A może chcesz pójść do niego i naplotkować? Możesz sobie tego oszczędzić. Nie uwierzyłyby ani jednemu twemu słowu, tylko uznałyby cię za zazdrośnicę. Jesteś zazdrośna?

– Czyś ty go już częściej zdradzała?

– Zdradzała! – potrząsnęła głową. – Pielęgnuję mój tajny ogródek i korzystam z praw młodości, to przecież nie jest zakazane? Z odrobiną sprytu jest nawet wygodnie być mężatką. Tak jest! Powinnaś przyjść do mnie na naukę. Ale przede wszystkim nie rób takiej miny.

– Widziałaś Keitha dopiero dwa razy, na Boże Narodzenie i dzisiaj. – Tu Kamila przypomniała sobie dzisiejszy obiad, nie pomyślała nic zdroźnego, widząc, jak Lu z ożywieniem flirtuje z Keithem. Bo z Lu już zawsze tak bywało, żadna jej rozmowa z mężczyzną nie mogła się bez tego obejść, jak zupa bez soli.

I Lu znowu się roześmiała głębokim wychodzącym jakby z wnętrza śmiechem, jak u lalki. – Nie może być nic lepszego niż tak bez długich korowodów i żadnych następstw. Kiedyś i ty się do tego zabierzesz... Ale ty jesteś naprawdę zazdrośna! Patrzcie! Mała Kamilka! Ty jesteś kuta na cztery nogi. – Lu lubiła mocne i nieco wulgarne wyrażenia. Uważała to za pikantne i we właściwym momencie osiągała też w ten sposób u mężczyzn „kolosalne sukcesy”, jak to nazywała! – Przebywa tu w domu w towarzystwie tego młodzieńca z temperamentem i równocześnie kombinuje z tamtym złotodajnym osłem. – Fakt, że Rothe nie żałował

dwustu tysięcy marek, aby dostać Kamilę za żonę, wciąż jeszcze pokutował w jej głowie. Z całej tej gadaniny o plajcie ojca tylko ten jeden punkt zainteresował ją naprawdę. – Dwieście tysięcy! Jak ci się to udało osiągnąć? – I podeszła o krok bliżej, a z nią razem wionęła fala perfum. – Dwieście tysięcy, ale potem musiał chyba pożalować takiej pięknej sumki! I pozostawił cię na koszu! W ostatniej chwili! – Prztyknęła palcami, a oczy jej zaiskrzyły się radością z cudzego nieszczęścia. – Po prostu tak! No, uspokój się, nie jesteś pierwsza. A jeśli chodzi o tego młodzieńca, to możesz go mieć. Jest wprawdzie bardzo niepoohamowany, ale również niezręczny...

– Nikt mnie nie zostawił na koszu!

– To robi się coraz bardziej ciekawe, to znaczy, że ty odrzuciłaś dwieście tysięcy marek.

– Ojciec to zrobił. Dla mnie. Ja nigdy nie chciałam wyjść za Rothe'go.

– Ojciec to zrobił! Jaki on dobry! Twój kochany papa, z czystej szlachetności. Ta bajeczka staje się coraz bardziej wzruszająca.

– Nie wiem, co ty wygadujesz, nie wiem nic o... dwustu tysiącach marek. Ojciec potrzebował pieniędzy, to się zgadza. Ale mimo to ich się wyrzekł, ponieważ wiedział, że ja...

Lu przerwała jej swym wydobywającym się z głębi śmiechem. – Powiedz mi, czy jesteś tak naiwna, czy też tylko udajesz? Nie będziesz mi wmawiać, że uwierzyłaś w tę bajeczkę opowiedzianą ci przez ojca. Z miłości do ciebie odwołał zaręczyny! Dziecinko, musisz się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o mężczyzn. Teraz ci powiem, jak to naprawdę było: Twój ojciec oblizywałby sobie palce, gdyby się to udało. Woda sięga mu już po szyję. Ma więcej długów niż włosów na głowie. Splajtował,

rozumiesz, *tabula rasa*. Dzisiejsze przyjęcie to ostatni akt. Jutro zapadnie żelazna kurtyna. *Finita la commedia*, i to na zawsze. Wszystko diabli wzięli. Apteka, fabryka przepadły. Prawdopodobnie i ten dom pójdzie pod młotek. Ty byłaś dla ojca ostatnią deską ratunku. Tak było. Ale ci Rothe są ostrożnymi ludźmi. Przeprowadzili chyba wywiad w banku i wtedy ostygli w zapale i odwołali zaręczyny. Czy teraz nareszcie otwierają ci się oczy na twojego ukochanego, bezinteresownego papę! Ci mężczyźni! Ach!... – i nie zmieniając tonu ciągnęła dalej: – Zniszczył mi całą suknię... Gdzie, do licha, podziewają się te przybory do szycia...

Kamila stała przy drzwiach, z ręką na klamce. Uciec teraz byłoby tchórzostwem. Musiała Lu zaprzeczyć i stanąć w obronie ojca. Ale zanim to sobie uświadomiła, opuściła już prasowalnic.

W holu nastrój stał się jeszcze bardziej rozchukany. Porwane nie znoszącym sprzeciwu temperamentem Rózańskiego tańczyły teraz i starsze roczniki. Niektórzy już się karnawałowo przystroili, poprzyczepiali kartonowe nosy i powkładali na głowy śmieszne kapelusiki. Konfetti leżało rozsypane na posadzce, a z żyrandoli i kinkietów zwisały różnokolorowe serpentyny. Za niecały kwadrans nadejdzie północ i służba stała gotowa, aby kiedy zegar wybiję dwunastą, podać każdemu gościowi kieliszek szampana.

Kilku panów, którzy właśnie stali bez dam, przywitało Kamilę głośnym halo. Wypuścili jej prosto w twarz nadmuchane węże i obrzucili ją konfetti.

W palarni nie było nikogo z wyjątkiem czterech mężczyzn przy obitym zielonym suknem stoliku do kart. Lampa z abażurem z paciorków wisiała nisko opuszczona. W kręgu jej światła widać było tylko ręce tych czterech

mężczyzn, sterczące z białych mankietów i trzymające karty. Z popielniczki unosił się dym w kierunku lampy.

Jedna z tych rąk opuściła teraz krąg światła, zanurzyła się w półmrok i przywołała skinieniem Kamilę.

– Podejdź bliżej i usiądź przy mnie. Nie macie przecież nic przeciwko temu? Ona nie powie ani słówka, ja za nią ręczę.

– Fryc Hofmann odchylił się do tyłu na swoim krześle.

– A więc chodź. Przyniesiesz mi na pewno szczęście.

W jego głosie dźwięczały dobry humor i beztroska, ale czego innego mogła się po nim spodziewać? Po pewnym wahaniu podeszła bliżej, odpowiedziała na pozdrowienie mężczyzn niemym skinieniem głowy i pochyliła się nad ojcem.

– Muszę z tobą pomówić.

– Teraz?

I przypomniała się jej Schröterowa. Czy on ją tak samo splawi? – To konieczne – powiedziała – błagam!

Ten jej nagły ton musiał go przekonać. W każdym razie złożył karty i powiedział do partnerów: – Przepraszam na jedną chwilkę. Obowiązki ojca! I nie zapominajcie, że Aschenbach licytuje. – Nie wypuszczając kart z ręki, ojciec wstał. Skierował się do niszy pod oknem, najdalej położonej od stolika gry, zdecydowany nie opuścić tego pokoju. – No, co jest tak ważnego, moje dziecko? – zapytał szeptem.

– Czy nie możecie nareszcie przestać tak mnie nazywać?!

Chociaż uległ jej prośbie, w myślach był stale zajęty oceną swoich kart. Co ona przed chwilą powiedziała? Spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Widzę, że chcesz zaraz wrócić do gry – zaczęła Kamila. – Powiedz

mi tylko jedno: Dlaczego musiałeś mnie okłamywać? Ty! Sądziłam zawsze, że między nami obojgiem coś takiego nigdy nie będzie potrzebne. – Było istnym absurdem, że to, co chciałoby się jej głośno krzyknąć, musiała wypowiedzieć cicho, niemal szeptem. Ale pasowało to do wszystkiego, do tego głębokiego, osobliwego bólu, jaki odczuwała. Stała sztywna, ze zwieszonymi rękoma i nagle poczuła, że wieje z okna. Okno się nie domyka, muszę kazać to sprawdzić! Przez moment była całkowicie zaabsorbowana tą uboczną myślą.

– Gdybyś mi powiedziała, o czym ty mówisz...

– O moich zaręczynach. O Rothem. Wcale nie miałeś zamiaru temu zapobiec.

– Ale przecież do tego nie doszło! Czy nie tak? Czy to nie jest rzeczą najważniejszą?

– Ale ja uwierzyłam...

– Mów trochę ciszej. Widzisz, nie dopuściłaś mnie wcale do głosu. Sprawa nie doszła do skutku, w jaki sposób i dlaczego, czy to nie wszystko jedno? Ciesz się, baw się, tańcz i rozkoszuj tym wieczorem.

Dlaczego nie chciał jej zrozumieć? Czy nie wiedział, że był dla niej czymś więcej niż tylko ojcem, że utraciła coś więcej jak tylko zaufanie do niego, ufność, że można na ludziach polegać, im wierzyć... Jej myśli nie były tak sprecyzowane, ale bardzo bolesne. I znowu przypomniała sobie o Schröterowej, o jej dziwnym zachowaniu w sali jadalnej. – A co jest ze Schröterową? Co z jej oszczędnościami? Chciała zwrotu swoich pieniędzy, a ty nie mogłeś jej już ich zwrócić?

– Dysponowałem w jej imieniu trzema tysiącami marek i podwoiłem tę sumę.



Każdy, kto go nie znał, zadowoliliby się tą odpowiedzią, i jeszcze przed godziną Kamila również by to uczyniła. Ale teraz była pełna nieufności. – Dlaczego nie zwróciłeś jej tych pieniędzy?

– Chciałem jej zwrócić te pieniądze.

Mówiąc to unikał wzroku Kamili. Jego pewność siebie nagle pierzchła i Kamila ujrzała teraz wszystko jasno przed sobą: ojciec wziął pieniądze z jej konta, naturalnie z zamiarem wypłacenia ich Schröterowej, ale potem przegrał je w mieście w karty przy jakiejś ostatniej, desperackiej próbie przywrócenia szczęśliwej passy. Kamila zawsze opowiadała się po jego stronie. A nawet więcej. Był dla niej miernikiem wszystkiego, choć nie było to zawsze łatwe, ale tak długo wszystko sobie wykrętnie tłumaczyła, aż okazywało się, że to on miał rację. Ale teraz się jej to nie udało i prawdopodobnie już nigdy nie uda. Ból, jaki ojciec jej wyrządził, był zbyt wielki. Nie będzie mogła już nigdy o tym zapomnieć i nigdy tego całkiem przeboleć.

Więc na co jeszcze czekała? Czy miała skrytą nadzieję, że może przecież znajdzie się dla niego jakieś usprawiedliwienie?

– A więc te pieniądze przegrałeś? – Dlaczegoż on temu nie zaprzecza? Dlaczego nie daje jej jakiejś zgodnej z honorem odpowiedzi, obojętnej, prawdziwej czy zmyślonej? Ale ojciec milczał, opuściwszy głowę, i to nieme przyznanie się do winy pogorszyło jeszcze wszystko.

– Tak – odpowiedział w końcu. Sam nie wiedział, jak do tego doszło, więc jakże mógł wyjaśnić to Kamili? Krótką rozmowę z Rothem, który na podstawie informacji uzyskanych w banku wymówił mu wszelkie finansowe, jak również i osobiste partnerstwo. Szok, który wkrótce po opuszczeniu biura Rothego przemienił się we wznieśłe uczucie, w nastrój,

że teraz nic już nie może mu się stać; jego *idee fixe*, iż z pieniędzmi Kamili, które miał w kieszeni, na pewno wygra i powróci do domu jako bogaty człowiek... – Bardzo mi przykro.

Znowu nastąpiła przerwa, a potem Kamila powiedziała: – Najsmutniejsze jest to, że teraz nigdy już nie będę mogła mieć do ciebie zaufania.

– Ależ, Kamilo...

I odwróciła się, zanim mógł uchwycić jej rękę. Miała do niego jeszcze jedno pytanie, ważniejsze od wszystkich innych, ale teraz nie mogła już sformułować jasno żadnej myśli. Czuła spojrzenia graczy na swoich plecach, miała wrażenie, że droga do drzwi nigdy się nie skończy. Jak można się poruszać nie czując własnych nóg? I dokąd mogła jeszcze pójść w tym domu wypełnionym rozbawionymi gośćmi? Gdzie mogła być całkiem sama?

Spróbowała pójść do biblioteki i kiedy zobaczyła, że tam nikogo nie ma, zamknęła za sobą drzwi. Na jednym ze stolików, oświetlonym jedną jedyną lampą, stały puste filiżanki po kawie i patera z cukierkami. Kamila zgasiła lampę, więc pokój był teraz już tylko oświetlony ogniem, palącym się na kominku. Na obitej skórą kanapie, stojącej przed kominkiem, spędziła już niejedną wieczór, sama z książką lub nawet tylko z własnymi myślami, niekiedy tu nawet zasypiała, aż chłód i niewygodna pozycja ją budziły. Nad kominkiem znajdował się obraz wmontowany do boazerii. Teraz był pograżony w ciemności, gdyż odblask ognia już tam nie sięgał. Obraz przedstawiał owo drzewo w parku, starą lipę, drzewo życzeń. Ojciec zamówił to płótno wkrótce po wyprowadzeniu się do tego domu.

Z nogami podwiniętymi pod siebie oraz ramionami i głową opartymi

o zaokrągloną poręcz kanapy, Kamila wpatrywała się w obraz i przysłuchiwała trzaskaniu ognia i odgłosom dochodzącym z wnętrza domu. Nie postawiła ojcu najważniejszego pytania: co stanie się z domem? Ale jakżeż mogłaby jeszcze raz pójść do niego i jeszcze raz przerwać mu grę w karty. Już sama myśl, jak on na nią popatrzy błagalnym spojrzeniem, aby użyczyć mu jeszcze tej przyjemności, wystarczała, by jej odebrać odwagę. Jeśli odpowiadało prawdzie to, co powiedziała Lu... że apteka i fabryka pójdą pod młotek, a prawdopodobnie również i ten dom...

– Błagam! – wymknęło się jej. – Błagam! – Nie miała przy tym nic określonego na myśli, wyrażało to po prostu jej nadzieję, że przecież jeszcze wszystko może się dobrze skończyć. Przymknęła oczy. Już o niczym nie myśleć, nie mędrkować. Zapomnieć i zasnąć.

Nagle usłyszała, jak drzwi w głębi biblioteki się otwarły i głos Keitha: – Kamilo, czy tu jesteś?

Ale Kamila nie odpowiedziała. Wiedziała, że on nie może jej dojrzeć spoza wysokiego oparcia kanapy. Przez otwarte drzwi doleciał gwar głosów z holu.

Wszelako Keith musiał ją dostrzec, gdyż jego kroki się zbliżyły. – Spiesz się! Jest zaraz dwunasta. Opuścisz to, co najważniejsze!

Kamila miała oczy zamknięte, lecz mimo to wiedziała, że Keith przed nią stoi, gdyż ciepło dochodzące z kominka zmałało. Otworzyła oczy i krzyknęła przerażona, bo nie była przygotowana na przyczepiony do jego twarzy wielki nos z kartonu, który z niepewnym światłem sprawiał wręcz niesamowite wrażenie. – Zdejmij to paskudztwo! – krzyknęła, a kiedy nie zareagował natychmiast, skoczyła na równe nogi i zerwała mu go z twarzy. Ale to niczego nie naprawiło. Teraz kartonowy nos, zwisając na gumce

z jego szyi, ogromny i czerwony, dyndał mu na piersi.

– Idź sobie! – powiedziała. – Odejdź i zostaw mnie samą!

Kiedy Keith wybrał się na jej poszukiwanie, wyobrażał sobie całkiem inaczej moment, w którym ją znajdzie. We wszystkim, co dotyczyło kobiet oraz wykorzystywania pomyślnych okazji, mógł zwykle ślepo polegać na swoim instynkcie. – Czy nie chcesz jednak przyjść – powiedział teraz – i trącić się ze mną kieliszkiem na szczęśliwy Nowy Rok?

– Jest już za późno – odpowiedziała.

– Co jest za późno? – Teraz już w ogóle nie potrafił dojść z nią do ładu.

– Wszystko... – i spojrzała na obraz nad kominkiem. Jak ludzie mogą w coś takiego wierzyć. Życzenia, które się spełniają...

Jeden z zegarów zaczął bić. Gwar dochodzący z wnętrza domu wzmógł się, a potem rozległy się na dworze z tarasu wybuchy ogni sztucznych. Oczy Kamili nie mogły się oderwać od obrazu. Drzewo na nim zmieniało barwę, zależnie od czerwonego, zielonego i białego odbłasku.

Część druga

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nagle Kamila poczuła chłód i przerwała poszukiwanie skamielin. Mając spojrzenie ciągle utkwione w piasku plaży, zorientowała się, pewnie po zmianie światła, że chmura musiała zasłonić słońce, ale teraz zobaczyła, że całe niebo było zasnuwane chmurami. Sunęły nisko nad morzem, ich dolne warstwy szybciej niż górne. Mimo licznych sezonów letnich, które od dzieciństwa spędzała nad morzem, nie przyzwyczała się wciąż jeszcze do takich nagłych zmian pogody. Morze – to był całkiem inny świat, inne życie. Było to jak z jej włosami, które od pół roku miała krótko obcięte, a które mimo to niekiedy chciała jeszcze rękoma poprawiać.

Spojrzała w dal nad morzem ku ciemnym zwałom chmur, biorąc z początku również stado ptactwa za chmurę, gdyż zbliżało się tak gęsto zwarte i tak bezgłośnie. Unosząc się tylko na wietrze, bez uderzeń skrzydeł i krzyków, zmierzało ku lądowi, zniżyło się i osiadło na wąskim paśmie piasku, które tworzyło tu brzeg. Działo się to całkiem bezgłośnie, jedynie z szumem piór, niczym wiatr, kiedy ustaje. Dopiero wtedy Kamila rozpoznała po jaskrawożółtych błonach u nóg, że to były pietrzele.

Był to samotny kawałek plaży, trudno dostępny pod wysoką na jakieś dobre czterdzieści metrów, piaszczystą wydumą. Przyływ naniósł wiele muszli i krabów. Ale smukłe, ciemnopióre ptaki z białymi znakami na skrzydłach wcale nie zwracały na nie uwagi, lecz zupełnie wyczerpane leżały w piasku. Była ich na pewno ponad setka i Kamili przypomniało się, co o tym opowiadali rybacy z Warnemünde, że kiedy pierwsze pietrzele przybywają z północy, oznacza to, że się lato skończyło.

Znad morza, które znajdowało się w odpływie, powiało chłodem. Kamila poczuła to przede wszystkim na bosych stopach i na karku, nie osłoniętym już długimi włosami. Wyszukała miejsce pod samą wydumą, gdzie piasek był jeszcze nagrany od słońca. Kamila odkryła ten kawałek plaży, kiedy wczesną wiosną szukała jajek mew, od tego czasu często tu zachodziła. Od domu cioci Lenki, położonego na zachodnim krańcu Warnemünde, było tu pół godziny drogi rowerem. Z początku droga była równa, wiodła wśród sosen i krzewów kolczastego janowca. Dalej zadrzewienie stawało się coraz rzadsze i droga prowadziła stale pod górę, aż do wysokiej wydmy. Zejść stamtąd do morza nie było trudno, zsuwało się po prostu po piasku. Bardziej męczący był powrót, ale z biegiem czasu Kamila wydeptała ścieżkę, która zygzakiem prowadziła na górę.

Wśród pietrzeli stopniowo powracało życie: otrzepywały pióra, dziobały pokarm i wykopywały szybkimi uderzeniami kusych ogonów dołki do spania w piasku. Wiatr przyganiał coraz więcej chmur, wciąż jeszcze w dwóch warstwach. Na górze sunęły wielkie białe chmury, a pod nimi, prawie dwa razy szybciej, małe, ciemne, rzucające ruchome cienie na wodę. Kamila nigdy nie zabierała z sobą na wycieczki zegarka. Czas nie odgrywał dla niej żadnej roli, a zresztą orientowała się zawsze według parostatków z wycieczkowiczami, które kursowały pomiędzy Warnemünde i Heiligendamm. Jednakże dziś po południu nie dostrzegła żadnego z tych statków i również teraz było na morzu tylko kilka czółen rybackich, aby zabrać sieci. Ostatnim pociągiem – Kamila często obserwowała załadunek – odsyłano ryby w skrzyniach z lodem, wszystkie, jak to sobie wyobrażała, do Berlina.

Pomiędzy znakami nawigacyjnymi, które wskazywały drogę do portu

w Warnemünde, dostrzegła teraz frachtowiec, a potem jeszcze drugi i trzeci, płynące w kierunku ujścia rzeki Warnow. Z samego Warnemünde widziała stąd tylko molo, daleko wysunięte w morze, i wysoką latarnię morską.

Zimna bryza dosięgła jej już teraz w osłoniętej kryjówce, więc wybrała się niechętnie w drogę powrotną ścieżką wiodącą zygzakiem na wydmę. Jej rower stał oparty o karłowatą sosnę. Oczyszczyła stopy z piasku, włożyła pończochy i buciki i spięła spodnie na kostkach klamrami. Były to pierwsze spodnie, jakie nosiła. Matka dawniej nigdy jej na to nie pozwalała. Uważała już za skandaliczne, aby któraś z jej córek wsiadła na taki przeznaczony tylko dla ubogich wehikuł. I to również się w jej życiu zmieniło: nie było już matczynego „nie”, które mogło jej czegoś zakazać.

Po spadzistej drodze, umocnionej białymi zmiążdżonymi muszelkami, rower gnany wiatrem zjeżdżał na wolnym kole. Kamila nawet trochę hamowała, aby nie za wcześnie wrócić do domu, ale to niewiele pomagało. Po ostatnim zakręcie wynurzył się przed nią kurort: długa promenada obsadzona kulistymi akacjami, szeroka plaża po lewej stronie, a na prawo rząd pensjonatów i hoteli, najpierw mniejszych, a potem, im bliżej mola, coraz większych i bardziej wytwornych. Dom cioci Lenki stał zaraz przy wejściu do miasteczka, gdzie mieszkali tylko tubylcy: rybacy i żony kapitanów, o których nigdy dokładnie nie wiadano, czy ich mężowie jeszcze pływają po morzu, czy też są już one wdowami.

Poza cichym szumem roweru i monotonnym rytmem przyboju nie było nic słyszeć. Brak było nawet gwaru bawiących się dzieci, który zwykle dolatywał od strony plaży. Zbudowane z piasku zamki nie miały już swych różnokolorowych chorągiewek. Nie było już również na zwykłym miejscu

niebieskiego, kraciastego namiotu, w którym wynajmowano łódki. Leżały one teraz dnem do góry wzdłuż brzegu, pokazując swoje wysmołowane spody. Kilku mężczyzn zbierało na brzegu odpadki, a kiedy wyłożona muszelkami ścieżka przeszła w wybrukowaną jezdnię, wyjechała naprzeciw platforma naładowana plażowymi koszami.

Kamila знаła masywnego mężczyznę, który siedział na koźle; był to Kleinhans, sąsiad ciotki Lenki. Zatrzymał platformę, Kamila również zatrzymała rower i zsiadła. Kleinhans dotknął z lekka spłowiałej czapki i mruknął:

– Ze spaceru?

– Tak, byłam na spacerze. – Kamila jednym spojrzeniem stwierdziła, że u ciotki Lenki wizyta się jeszcze nie skończyła. Ciocia stała z panem Witte w ogródku przed domem, gdzie rósł cząber. Witte był już ubrany do wyjścia i Kamila miała nadzieję, że może jej będzie oszczędzona konieczność przywitania się z nim. Podeszła trochę bliżej do platformy, aby przedłużyć rozmowę z Kleinhansem. – Widziałam pietrzele, całe stado.

– Ach, tak. Wcześniej w tym roku. Wczesne pietrzele, wczesna zima. – Przyjrzał się spodniom Kamili i jej cienkiej bluzce. – Ubieraj się cieplej.

– To już zima? – zapytała. – A co z jesienią? Czy w ogóle nie ma tu jesieni?

– Jesieni nie znamy, tylko długie zimy. Pani w tym roku pozostanie tu na zimę, jak słyszałem?

– Tak, mamy zostać. – Jej oczy powędrowały ku opuszczonej plaży i Kamila próbowała wyobrazić sobie, jak tu będzie wyglądać w zimie, ale to się jej nie udało. Dotychczas myślała, że spędzi tu również zimę, zawsze



odsuwała od siebie, jak zresztą, tak wiele innych rzeczy, które łączyły się z przyszłością.

Kleinhans podrapał się w tył głowy, przy czym jego czapka zsunęła się nisko na czoło. – Nudno dla takiego dziewczątka jak pani. Tu nic się nie dzieje. – Jak wielu tubylców, Kleinhans nastawił się już na nowe czasy, na zmianę Warnemünde z wioski rybackiej w zdrojowisko nadmorskie. Zawiesił swoje rybołówstwo na kołku i pracował od kilku lat dla zarządu kurortu. Opiekował się kortami tenisowymi i remontował kosze plażowe, a zimą na małych drewnianych tabliczkach – najchętniej na owalnie wyciętych kawałkach pnia brzozy – malował czterowersze, latarnię morską albo herb miejski Warnemünde, które potem w ciągu lata sprzedawano w sklepach z pamiątkami. Wziął znów do ręki cugle. – Muszę dalej. Mam jeszcze dwa razy obrócić. Witte chyba czeka na panią?

Kamila rzuciła okiem w ślad za spojrzeniem Kleinhansa w kierunku domu ciotki. Ciocia Lenka i aptekarz Witte stali przy furtce do ogrodu i trudno już było uniknąć spotkania.

– To porządny człowiek – usłyszała Kamila słowa Kleinhansa. – I niebiedny... – Niemal nie mogła się powstrzymać od śmiechu, widząc, jak Kleinhans z całych sił starał się zachwalać Wittego, być może nawet ciocia go odpowiednio pouczyła.

Kamila pchała rower przed sobą w kierunku domu. Był to jednopiętrowy budynek z nie tynkowanej cegły, po którym w jakiś sposób można było poznać, że kiedyś należał do kapitana marynarki. W wąskim ogródku, jakie były tu przed każdym domem, mało co rosło, gdyż nawieziona tu ziemia ogrodowa była wciąż na nowo połykana przez piasek.

Herman Witte, który nad rzeką miał aptekę, otwarł Kamili furtkę prowadzącą do ogrodu. Znała go od dawna, kiedy jeszcze jako dziecko przybyła po raz pierwszy do Warnemünde. Nigdy nie przeszła przed witryną jego apteki bez przyjrzenia się wielkiej szklanej kuli z pijawkami. A w głębi ukazywała się wtedy zawsze postać aptekarza z bokobrodami.

– Spóźniasz się, długośmy na ciebie czekali. Pan Witte chciał jeszcze koniecznie się z tobą zobaczyć.

Herman Witte nie mógł Kamili podać ręki, ponieważ trzymała kierownicę roweru. Również nic od razu nie powiedział, lecz sięgnął pod ciemnopopielaty trzyćwierciowy surdut, który był jeszcze ponadto zapięty, i podał jej srebrne puzderko.

– Nigdy nie można przy takiej pogodzie być dosyć ostrożnym – powiedział. – Powietrze jest tu zdrowe, ale trzeba być przyzwyczajonym i odpowiednio ubranym.

– I jakby obawiając się, że Kamila mogłaby jego słowa uznać za krytykę, szybko dodał: – Kiedy się jest tak młodym, nie zważa się na pogodę, prawda? Jeszcze się znacznie oziębi. Z północy to do nas nadciągnie. Będzie deszcz, całe niebo jest zasnutę chmurami, ale brak nam było deszczu.

Kamila wzięła jedną z małych, brunatnych pastylek, które aptekarz Witte sam produkował. I to również należało do życia nad morzem – olbrzymie znaczenie, jakie przypisywano pogodzie. Pogoda stanowiła temat rozmów. Decydowała o dobrym samopoczuciu, o tym, co się pamiętało i co miało nadejść.

Po cioci Lence wyraźnie można było poznać, że uważała próbę nawiązania rozmowy przez Wittego za wielce niezręczną.

– Z tą pogodą nie jest wcale tak źle – wtrąciła. – Wrzesień jest tu często najpiękniejszym miesiącem, a październik...

– Tak – zawtórował Witte jak echo – często bywają to najpiękniejsze miesiące w roku.

– Pan Witte miał bowiem zamiar zaprosić cię na zabawę...

I znów aptekarz podchwycił z wdzięcznością ten wątek.

– Oczywiście, po to tu przyszedłem. Zabawa! Komisja zdrojowa nie poskąpiła funduszy. Statek „Królowa Krystyna”, przystrojony uroczyście na zamknięcie sezonu, zakotwiczy się na rzece Warnow. Będą tańce i ognie sztuczne...

– Bardzo mi przykro – przerwała Kamila – ale obiecałam, że nie będę już tańczyć, w każdym razie nie w tym roku.

– Po prostu tak powiedziała, ponieważ nic innego nie przyszło jej na myśl, aby wykręcić się od zaproszenia.

– Nie wiedziałem – powiedział Witte z rozdrażnieniem.

– Czy ktoś zmarł w rodzinie? Byłoby mi przykro, gdybym moim zaproszeniem...

Wkładał popielate rękawiczki powoli, wygładzając każdy palec, zapiął oba zatrzaski tak ceremonialnie, że już to zdradzało jego zażenowanie, więc Kamili zrobiło się go żal, a niemal jeszcze bardziej cioci, która wyglądała na równie zakłopotaną. Wtedy przyszła jej na myśl skamielina, którą znalazła, poprosiła Wittego, aby przytrzymał rower, i wyjęła z torebki kamyk, na którym był wyraźnie odcisnięty morski jeżowiec.

– Pan przecież na tym trochę się zna.

– Pani pozwoli? – Wziął kamyk do ręki i obejrzał pod światło. – Jak świetnie zachowany! Rzadko się je znajduje w takim stanie. Czy pani ma

jeszcze więcej takich okazji? – I chciał jej oddać skamielinę, ale Kamila potrząsnęła głową.

– Należy do pana, przecież pan kolekcjonuje takie rzeczy.

– A pani nie?

– Nie. – Wzięła ten kamyk rzeczywiście tylko dlatego, że ślad był tak niezwykle wyraźnie zarysowany. Jednym z jej najprzykrzejszych wspomnień był moment, kiedy ojciec musiał pożegnać się ze swoimi zbiorami, zwłaszcza z zegarkami; wtedy postanowiła, że sama nigdy nie będzie nic kolekcjonować. Co za sens przywiązywać się do przedmiotów, które pewnego dnia można stracić. – Nie – powtórzyła – nie kolekcjonuję. Jest dosyć kolekcjonerów. Nawet Kleinhans się tym zajmuje.

– Kleinhans kolekcjonuje? To coś całkiem nowego.

– On zbiera opaski do cygar, opaski do cygar z całego świata, posegregowane według krajów. Ma ich całe kartonowe pudła.

Witte odchrząknął. – W każdym razie bardzo dziękuję. To wspaniały okaz, naprawdę rzadkość... będzie mi panią przypominał. – I powiedziawszy to, pożegnał się szybko. Wyszedł przed furtkę i znikł pomiędzy kulistymi akacjami w swym popielatym surducie, w pumpach tej samej barwy i owijaczach.

Ciocia potrząsnęła głową, idąc obok Kamili w kierunku domu.

– Dlaczego musisz być zawsze taka? On w ogóle nie może się co do ciebie zorientować.

– A czy powinien?

– Ach, co tam! Gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

– Na plaży... Wkrótce i z tym będzie koniec. Kleinhans mówi, że zima jest tu długa.

– Czy on naprawdę kolekcjonuje opaski do cygar?

– Tak, niedawno mi je pokazywał. Ma ich całe setki. Można w nich przestudiować genealogię królewskich dynastii...

Zmień buciki! – Weszły właśnie do małego przedpokoiku, rodzaju przedsionka przed właściwą sienią. Na podłodze wzdłuż ściany stało dużo obuwia, para przy parze. Trzeba je było tu zmieniać, bo ciocia obstawała przy tym. Nic nie mogło jej bardziej rozgniewać, niż kiedy ktoś naniósł piasku na podłogę. Dawniej, podczas krótkich tygodni wakacyjnych, ten pedantyczny rys u cioci nie zwrócił szczególnej uwagi Kamili, ale teraz ją raził.

Obie kobiety weszły do obszernej bawialni. Ciężkie meble – renesansowy bufet, obudowana kanapa, pluszowe fotele i obrazy w masywnych złotych ramach – nie pasowały do proporcji domu, do małych okien i niskiego sufitu. Było to, jak gdyby ktoś umeblował rybacki kuter pozostałościami z salonu luksusowego parostatku, tak w każdym razie odczuwała to Kamila. Na oszklonej werandzie, z której roztaczał się widok na morze, stał stół, na którym były rozłożone pasjansowe karty cioci Lenki. Karta, która przedstawiała „pana”, leżała odłożona na bok, widocznie ciocia wróżyła aptekarzowi.

– Było to zresztą bardzo uprzejmie z twojej strony, że mu podarowałaś tę skamielinę. Sprawiała mu tym wielką radość.

– Ciocia zaczęła ustawiać serwis do herbaty na tacy. Nie był to ten z wzorami w kształcie cebulek, jakiego zwykle używała, ale chiński serwis z cienkiej, niemal przezroczystej porcelany z czerwono-złotymi smokami. Kamila wzięła od cioci tacę, aby zanieść ją do kuchni.

– Powiedz mi, ciociu, nie chcesz chyba na serio wyswatać mnie za tego

aptekarza. To byłaby u ciebie całkiem nowa cecha.

Ciocia nie spieszyła się z odpowiedzią. Usiadła w jednym z pluszowych foteli i wzięła robótkę do szydełkowania. – Myślę jedynie trochę więcej o przyszłości niż ty, nic ponadto. A może potrafisz mi powiedzieć, jakie masz plany? Ale teraz już idź i raczej się przebierz.

Poza kuchnią była na parterze tylko jeszcze sypialnia cioci Lenki. Na pierwszym piętrze znajdowała się łazienka i dwa pokoje, w których mieszkała obecnie Kamila oraz jej ojciec. Podczas wszystkich tych lat, kiedy Kamila spędzała tu letnie wakacje, ciasnota w domu cioci nigdy jej nie raziała, uważała ją nawet za przytulną, ale teraz miała niekiedy uczucie, że sufit lada chwila spadnie jej na głowę. Nawet w swoim pokoju nie była naprawdę sama, gdyż słychać tam było każdy krok innych mieszkańców, i wiedziała, że oni również słyszą każdy jej krok.

Nawet bez upomnienia cioci, która mimo całej swojej tolerancji wolała widzieć ją w spódnicy niż w spodniach, Kamila byłaby się przebrała, gdyż zrobiło się jej zimno w zbyt lekkim stroju. Wróciwszy do bawialni, usiadła obok cioci i wzięła książkę, ale nie udało się jej skupić. Plany? Tak, bo co za plany mogła mieć poza spędzeniem jednego dnia po drugim, podobnych do złudzenia do siebie. Za godzinę miał przyjść ojciec; usiądzie do obiadu przy nakrytym stole, uraczy je bieżącymi nowinami z Warnemünde, potem wycofa się do swego pokoju, przebierze się na wieczór i znowu zniknie. Albo również i to się już skończy teraz, kiedy coraz więcej sezonowych gości opuszcza Warnemünde? Czy będzie znów przesiadywał w domu przez cały dzień, tak jak w pierwszych miesiącach po opuszczeniu Berlina? Wspomnienie o tym wraz z nadejściem lata już zbladło, ale teraz, kiedy znowu o tym pomyślała, uprzytomniła sobie, że

nic z tego nie zapomniała: deszczu, który nie miał końca, nieba, które w ciągu tygodni się nie przejaśniało, zimna, wiatru, który dął nieustannie, ojca, który na cały dzień zamykał się w swoim pokoju, oraz momentu, kiedy znów się stamtąd wynurzał w szlafroku i nie ogolony. W ciągu całego życia nigdy się sam nie golił – „nawet podczas mej podróży do Afryki” – i teraz również wzbraniał się to czynić. Kamila nigdy go takim nie widziała i nie pamiętała, aby koszulę nosił dłużej niż przez jeden dzień. Ale również w sobie samej zauważyła zmiany. Dawniej zawsze ją obsługiwano, służąca sprzątała jej pokój i słała łóżko, a pokojówka zapinała jej buciki i zawiązywała woal – a teraz stała w kuchni cioci Lenki i zmywała naczynia, zamiatała korytarz i wietrzyła pościel...

– O czym ty myślisz?

– O ojcu – odpowiedziała, ponieważ nie chciała mówić o sobie. – O pierwszych spędzonych tu miesiącach.

Z nadejściem wiosny trochę się poprawiło zarówno dla ojca, jak i dla niej. Mogła wychodzić na świeże powietrze i odbywać wycieczki. Ojciec zaś znalazł fryzjera, który wprawdzie nie przychodził do domu, ale rezerwował dla pana Hofmanna w ciągu przedpołudnia pewną określoną godzinę. Odkrył czytelnię w pawilonie kurortu, gdzie były wyłożone wszystkie berlińskie gazety. Poza tym był jeszcze plac, na którym odbywały się koncerty przy szwajcarskim domku, tarasy hoteli, na których można było spędzać wiele godzin, sala bilardowa w hotelu Hubnera i wreszcie salon gry, choć Kamila nie wiedziała, skąd jej ojciec bierze pieniądze, których do tego potrzebował.

– Czy wiesz, skąd on ma pieniądze do gry?

– Po pierwsze, gra teraz ostrożniej, a poza tym ludzie, którzy tu

przebywają, nie dorastają mu do pięt. – Nie była to uspokajająca myśl, mieć ojca, który ogrywa beztroskich kuracjuszy i przy tym wygląda jeszcze na całkiem zadowolonego.

– Sądzisz, że on teraz wygrywa?

– Przypuszczam, że tak. W każdym razie ostatnio nie pożyczał już ode mnie pieniędzy. – Powiedziawszy to ciocia odłożyła robótkę. – Kamilo, bardzo mi przykro, ale pogódź się nareszcie z tym, że on taki już jest! W gruncie rzeczy jest bardzo zadowolony z takiego życia. Nie chce niczego więcej i być może nigdy niczego więcej nie chciał, jak tylko żyć dla własnej przyjemności. Czuje się szczęśliwy, że uwolnił się od wszelkiej odpowiedzialności.

– Mówił mi, że ma jakieś nowe plany, jakichś przyjaciół, którzy obiecują mu pożyczyć pieniądze na nową fabrykę, i że być może spędzimy tę zimę znowu w Berlinie...

– Nie, nie wierz mu! Mówi to tylko ze względu na ciebie. Może nawet sam w to wierzy w momencie, kiedy o tym mówi, ale tylko w tym momencie! To naprawdę wystarcza mu do szczęścia. Możesz polegać na mnie, ja się naprawdę orientuję. Mój ojciec miał kiedyś przyjaciela, gracza, który w ciągu roku wygrywał swoje trzydzieści tysięcy rubli, tak jak inny pobiera pensję urzędniczą. Twój ojciec mi go przypomina; również on chciałby najchętniej tak żyć, wygrywając sobie przy tym trzydzieści tysięcy rubli... Czyś tak szybko zapomniała? Na ojca nie możesz liczyć, musisz twoje życie wziąć sama w swoje ręce.

– A więc Witte? – Kamila nie potrafiłaby nawet opisać, jak on wygląda, pamiętała tylko tę jego popielatą kurtkę i popielate rękawiczki.

– Dlaczego od razu z takim sarkazmem? Lepiej zapytaj się sama siebie,



czego chcesz. Czy chcesz mieć rodzinę? Dzieci? Do tego niezbędny jest mąż, tak to już jest. Oni...

– Wiem, wiem... czas mija szybko i kiedy o to nie zadbam... proszę cię, ciociu, jak sądzisz, ile razy wysłuchiwałam już tego, kiedy matka prawiała mi kazania. Czy dziewczyna nie ma innego wyboru? Witte... on mógłby być moim ojcem.

– Nie bądź tak rozdrażniona. Wprawdzie ma swoje czterdzieści dwa lata, lecz to nic nie szkodzi, bo mężczyzna w tym wieku...

– Porządny człowiek, niebiedny.

– Co ty tam wygadujesz?

– Nic! – Kamila znowu zaczęła się zastanawiać, jak on właściwie wygląda. Wszystko potrafiłaby lepiej opisać niż jego twarz, na przykład tę wielką szklaną kulę z pijawkami albo brązowe pastylki przeciwko bólowi gardła, które jej jeszcze w dzieciństwie podawał. Zapewne i te kolekcje żuków, które sprzedawał w oszklonych pudełkach. Nawet kiedyś w jednej z berlińskich gazet odkryła jego ogłoszenie: „Niemieckie żuki, ułożone według gatunków, to idealny prezent dla chłopców. Nadają się również bardzo dobrze do pogładowej nauki w szkołach.” Czy ciocia coś mówiła?

– ...jeśli ktoś tak długo czeka, aby móc żonie coś zaofiarować, czy to nie znaczy, że żona będzie miała u niego dobrze? On dysponuje znacznym majątkiem. Dwie apteki, jedna tu, a druga w Rostocku, oba domy także należą do niego. Poza tym koncesja na pijalnię wód w Warnemünde. Sam mi to powiedział, zapomniałam tylko, ile tysięcy flaszek sprzedaje on miesięcznie, i do tego jeszcze jego chininowy likier, chininowy likier Wittego...

Ktoś zapukał do okna. Ukazała się głowa Kleinhansa, tym razem

z czapką zsuniętą do tyłu. Ciemny pukiel kędzierzawych włosów zakrył mu czoło.

– Barometr spada gwałtownie – rzekł, kiedy Kamila otworzyła okno. – Ja tu tylko z powodu podwójnych okien na zimę. Może jutro? Jutro miałbym trochę czasu.

Ciocia Lenka skinęła głową. – Dobrze, wstawimy dodatkowe okna. Musimy więc je dzisiaj jeszcze umyć.

Kleinhans wypełniał swoją postacią niemal całe okno, taki był szeroki w barach.

– Tak będzie lepiej! Barometr spada gwałtownie. Morze całkiem poszarzało. Z latem w tym roku koniec.

– Już mamy zimę – ciocia spojrzała z zadumą przed siebie. – Jak szybko ten czas przemija.

Kamila mimo woli przypomniawszy sobie, jak to bywało, kiedy w ich domu w Berlinie myto podwójne okna, procedura, która ciągnęła się przez całe dwa dni. Myślami przebywała często w pustym domu w Steglitz; wyobrażała sobie wówczas, że całkiem sama przebiega po pokojach, oświetlonych tylko słabym światłem, sączącym się przez zamknięte okiennice. Był to jakby sen na jawie, który tak fascynował, że stopniowo niemal zacierał bolesne wspomnienie o wyprawadźce.

Działo się to od razu w pierwszym tygodniu stycznia: matka pierwsza opuściła tonący statek, potem jej śladem odeszła służba z wyjątkiem ogrodnika Willekego i jego żony, którzy pozostali, aby nadal opiekować się domem i parkiem. Kamila i ojciec przenieśli się na kilka ostatnich dni do hotelu i tylko raz jeszcze wybrali się do Steglitz, ale wtedy dywany były już zwinięte, meble pokryte pokrowcami, a firanki zdjęte

i zabezpieczone od moli. Żaden z licznych zegarów już nie stał na swoim miejscu, ojciec włączył je do rzeczy przeznaczonych na licytację, jak również pozostałe swoje zbiory oraz cały zapas win w piwnicy: sto pięćdziesiąt butelek Chateau Gruand, dwieście – Les Cios Grand-Cru, trzysta kiedrichskiego najprzedniejszego wina oraz pięćset butelek szampana najróżniejszych gatunków i roczników. Mimo to Kamila była zawsze przekonana, że to tylko pożegnanie na pewien czas. O tym, że wkrótce powrócą, nie wątpiła ani przez chwilę.

– Wiesz, co mi się czasem śni? – powiedziała. – Że spaceruję znów po parku przy naszym domu, ale nie ma już tam żadnych ścieżek, wszystko jest zarośnięte i nie mogę się w ogóle zorientować, błędzę.

– Kamilo! Ile razy ci już mówiłam, przestań o tym myśleć.

– Ale to jest ważne, abym o tym myślała! – I wyszła na oszkloną werandę. Kleinhans miał rację, morze utraciło już swoją modrą barwę i było brudnoszare. Jakieś czółno kołysało się na falach, wydawało się, że stoi w miejscu, chociaż siedzący w nim mężczyzna energicznie wiosłował.

– Kiedy chcesz zacząć z oknami?

– Zrobimy to jutro rano.

– Jeśli tak, to wyjdę jeszcze trochę. Tylko na pół godziny.

– Na pociąg do Berlina? Chodź lepiej do mnie i usiądź. Teraz posłuchaj. Ktoś musi ci to wreszcie powiedzieć, a ponieważ twój ojciec nie zdobędzie się na tyle odwagi... wasz dom...

– Co jest z naszym domem?

– Chcę ci to właśnie oznajmić! Dom już do was nie należy. Słyszałaś? Nigdy już tam nie wrócisz. Prawdopodobnie mieszkają w nim jacyś inni ludzie. Dom został sprzedany. Tak – tu westchnęła – teraz już wiesz.

Kamila stała w zupełnym milczeniu, a potem zrobiła gest, jakim dawniej odrzucała w tył swoje długie warkocze.

– W jaki sposób dom mógł być sprzedany? – zapytała. Oczywiście wtedy dowiedziała się, że ojciec nie przepisał domu na nią, ale że stanowił własność matki. Pocieszała się, że przez to w każdym razie zostaje wyłączony z ogólnej masy upadłościowej. Wtedy wydawało się jej ważniejsze niż wszystko inne, że domowi nie grozi to, co przeżyła przy licytacji fabryki: widok ludzi, którzy przychodzili i wymontowywali maszyny, licytację zapasu towarów, pojazdów i reszty inwentarza. Domowi to nie groziło, o tym tylko myślała oraz o tym, że pewnego dnia tam powróci. – Od jak dawna już o tym wiesz?

– Od tygodnia. Pisali do mnie z powodu kluczy. Wiedzieli, że było ich sześć, a dwóch brakowało. Chcieli je koniecznie mieć, bo inaczej musieliby przerabiać zamek przy wejściowych drzwiach.

– I ty im te klucze posłałaś?

– Jakim prawem mogłabym im odmówić?

– Również mój klucz?

– Tak. Bądź wreszcie rozsądna! Możecie i tak uważać się za szczęśliwych, że matka kazała dom na siebie przepisać, teraz przynajmniej ma pieniądze i dzięki temu twój ojciec nie musi już łożyć na jej utrzymanie. Ostatecznie to jego żona. Czasami mogłoby się wydawać, że to ty budowałaś ten dom... Nie odchódź! Teraz mi nie uciekniesz, aby zamknąć się w swoim pokoju. Nie można przez całe życie uciekać przed wszystkim.

– Wcale nie miałam zamiaru – odparła chłodno Kamila dziwnie cienkim głosem.

– A więc dokąd chcesz iść?

– Pójdę myć okna. A ty zostań, ja zrobię to sama. Wolę już mieć to poza sobą. Może jutro jednak się znów roz pogodzi i będę mogła pójść na plażę.

Wyszła z domu tylnymi drzwiami. Wiatr jeszcze przybrał na sile i skoro tylko opuściło się osłonę domu, trudno było utrzymać równowagę, gdyż dał tak porywisty szkwał. Podwójne okna były przechowywane podczas lata w starej altanie. Kamila przyniosła je pojedynczo do domu, wymyła, wypolerowała szyby kawałkiem gazety i ustawiła gotowe tak, aby Kleinhans mógł je jutro rano już tylko wstawić. Praca przywróciła jej spokój, lepiej, niż uczyniłaby to książka, której by i tak nie czytała, a jedynie wałęsała się z nią beczynnie. Stopniowo udało się jej nawet uporządkować swoje myśli. Dom został sprzedany. Inni ludzie teraz w nim mieszkają. Czy przeprowadzą w nim jakieś zmiany? Czy zmienią tapety albo inaczej urządzą ogród... Kiedy w myślach dotarła do tego punktu, skończył się już jej rozsądek. Nie, nigdy się z tym nie pogodzi, że utraciła ten dom. Obecnie znajduje się on w obcych rękach, dobrze, ale mimo to pozostanie nadal, tak jak dawniej, zawsze jej domem. Pewnego dnia znowu tam powróci, lecz w jaki sposób ma się to stać? Na ojca nie mogła już liczyć, a nawet na ciocię Lenkę. Tylko sama może sobie pomóc!

Ale co w ogóle umiała? Uczyła się języków, francuskiego i angielskiego oraz troszkę rosyjskiego od cioci Lenki, grała nieźle na fortepianie i umiała ładnie rysować. To znaczy w najlepszym razie mogła obrać drogę, jaką musiały obierać liczne dziewczęta z dobrego domu, bez posagu, i przyjąć posadę wychowawczyni, lecz jak mogłaby tyle zarobić, aby dom odkupić? A co poza tym? Posada w jakimś biurze czy w sklepie

nie była lepiej opłacana. Znała kilku przemysłowców z branży perfumeryjnej, ale i to nie przybliżyłoby jej do celu. Jeśli przyjrzeć się temu trzeźwo, to młoda dziewczyna miała tylko jedną szansę: wyjść za bogatego mężczyznę, a tę szansę ostatecznie przecież już raz miała. Co za ironia, że wtedy robiła, co mogła, aby uniknąć tej pułapki, a teraz taka sama pułapka się znów przed nią otwiera.

Wzięła wełnianą, kwadratową chustkę, otuliła nią ramiona i wyszła, okrążając dom od strony ogródka, przeszła przez promenadę, walcząc z piaskiem i wichurą. Było dobrze dać sobie wywiać myśli z głowy. Czółno, które już uprzednio obserwowała, było wciąż jeszcze na morzu. To zniknęło wśród fal, to znów się ukazywało i Kamili wydało się nawet, że widzi, jak woda ścieka z czarnego ubioru siedzącego w nim człowieka. Nie posunął się jeszcze daleko naprzód, ale nie dając za wygraną, popychał czółno silnymi uderzeniami wiosła. Przez krótką chwilę Kamila zapragnęła znaleźć się na jego miejscu, na pewno nie miał zbędnych myśli, na przykład czy ma zawrócić, czy też dać za wygraną. Nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę słabości, wiedział, że powinien po prostu dalej wiosłować...

Kamila stała i czekała, aż czółno zaczęło się zmniejszać i w końcu znikło za mołem. Szare fale rozpryskiwały się wysoko, bijąc o kamienny mur, ale za murem, Kamila o tym wiedziała, woda była spokojna.

## ROZDZIAŁ DRUGI

„Nad rzeką” – to było w oczach warnemündzkich tubylców najlepszym adresem, jaki można było mieć. Promenada Bismarcka, równoległa do plaży, była wystarczająco dobra dla hoteli i pensjonatów, a więc dla obcych, ale „nad rzeką”, to znaczy nad Starą Warnow, było się, jak to się mówi, między swoimi. Chodzono na spacer nadbrzeżną drogą, wzdłuż trochę niżej położonego koryta rzeki, odpoczywano na zielonych ławkach wzdłuż skarpy, na której trawa, mimo troskliwej opieki, była zawsze zbyt rzadka, a mieszkało w domach po drugiej stronie alei. To, że na parterze wielu domów znajdowały się sklepy, nie ujmowało nic ich wytworności. Chodziło tylko o numer domu. Im był wyższy, tym uchodził za lepszy, a dom Hermana Wittego miał numer 93.

Po trzech burzliwych, wilgotnych i zimnych dniach pogoda się w nocy odmieniła i stała się znowu jasna, bezwietrzna i słoneczna. Termometr przy aptece wskazywał teraz wczesnym popołudniem 22 stopnie, a więc pogoda jakby zamówiona na zabawę, która miała się odbyć tego wieczoru. Oba uroczyście przystrojone statki stały już zakotwiczone na Starej Warnow. Przybyło wielu widzów i przyglądało się z zainteresowaniem dekorowaniu, które odbywało się na statkach. I Kamila również przyglądała się przez chwilę, ale kiedy ostatni łańcuch różnokolorowych lampionów umocowano nad relingiem, przemogła się i poszła drogą prowadzącą do apteki.

Pierwsza z obu witryn była jak zawsze udekorowana własnymi produktami Witt'ego: jego chininowym likierem, pastylkami przeczyszczającymi i wiocitiną, odżywczym i wzmacniającym środkiem

dla anemicznych, a obok tego oczywiście cały przegląd stołowych i leczniczych wód, które „w ciągu kilku lat nabrały światowej renomy”.

Nigdy przedtem Kamila nie przyglądała się wszystkim tym rzeczom tak dokładnie jak teraz. Druga witryna miała nową dekorację, trochę przedwczesną, gdyż środki przeciwko opaleniznie, pierzchnięciu warg, zapaleniu oczu i ukąszeniom komarów już znikły i ustąpiły miejsca medykamentom przeciwko chrypcie, kaszlowi, reumatyzmowi i lumbago. A główną, przyciągającą oczy ozdobą nie była już czerwono-biała piłka do kąpieli, ale błyszczący inhalator. Widok tych rzeczy, tak dobrze jej znanych od dzieciństwa, omal nie zmusił Kamili do zawrócenia w ostatnim momencie. Przede wszystkim bała się aptecznego zapachu. Wydawało się jej, że przyprawi ją o mdłości, skoro tylko wejdzie do środka, ale wiedziała również, że to tylko tak sobie wmawia. Udało się jej trafić na stosowną chwilę, gdyż było tylko niewielu klientów, kiedy weszła wreszcie do apteki. Po lewej stronie dwie stare kobiety siedziały na kanapie obitej czarną ceratą i czekały chyba na załatwienie recepty; jakaś młodsza kobieta, trzymająca dziecko za rękę, stała przed ladą i właśnie obsługiwał ją pomocnik. Wittego nie było. Na etażerze z czarnej laki błyszczała uroczyście, niczym jakiś obiekt kultu, wielka szklana kula z pijawkami, a na ścianie za nią wisiały aż po sam sufit oszklone pudełka z kolekcjami żuków. Stały tam jeszcze waga osobowa i malutka fontanna, gdzie na strumieniu wody tańczyła niebieska kulka.

– Czym mogę pani służyć? – Wyłonił się drugi pomocnik. – Ach, to panna Hofmann! Jak się pani miewa? I jak się miewa pani ojciec? Słyszałem, że opuścił swoją fabrykę. Czy naprawdę? Ale dlaczego? Wie pani, kiedyśmy sprzedawali mydło do rąk Hofmanna, to był istny przebój,



powiadam pani, ludzie wciąż jeszcze się o nie dopominają... Ach, pani na pewno życzy sobie rozmówić się z doktorem Witte, zaraz go powiadomię.

Klientka przy ladzie zaczęła się przysłuchiwać, spojrzała na Kamilę i poddała ją szczegółowej lustracji, pochyliła się potem do ekspedienta i coś do niego szepnęła. Kamila odstąpiła trochę na bok, gdyż nie miała ochoty przysłuchiwać się tej rozmowie. Mogła sobie wyliczyć na palcach, o co w niej chodziło: bogaty człowiek jak Herman Witte, który po pierwszym małżeństwie znów był do wzięcia, dostarczał mieszkańcom Warnemünde coraz to nowego tematu do rozmów, a przede wszystkim rodzinom, które miały córki na wydaniu. Kamila ucieszyła się, kiedy ekspedient wrócił i poprosił ją, by poszła za nim. Szedł przed nią aż do przejścia w kształcie arkady przy wyłożonej boazerią frontowej ścianie pomieszczenia.

– Teraz wciąż prosto. Na końcu korytarza.

Zapach apteczny się wzmógł, kiedy Kamila otworzyła wskazane jej drzwi. W ścianach podłużnego pokoju były wbudowane półki i oszklone gablotki. Pośrodku stał duży stół do przyrządzania lekarstw według recept, z czterema miejscami dla pracowników, które były wyraźnie oddzielone jedne od drugich rzeźbionymi drewnianymi listwami. Witte zdjął właśnie biały kitel i wkładał swój popielaty surdut. Podszedł do niej, zapinając długi rząd guzików, przy czym pomylił się i musiał jeszcze raz zacząć od początku.

– Tak! To właśnie jest moje królestwo – rzekł – a właściwie tylko jego część. Już od dawna miałem nadzieję, że pani mnie odwiedzi.

Mlecznobiałe światło wypełniało pokój. W głębi żelazne Kręczone schody wiodły na piętro. Jeśli było to bezpośrednie połączenie

z mieszkaniem, musiał tam panować ten sam zapach, co tu na dole, podobnie jak w aptece ojca w Neukölln nawet w spiżarni czuć było gotujące się mydło.

– Mam nadzieję, że pani przyszła, aby mi powiedzieć, że jednak pójdzie pani ze mną na zabawę!

Kamila skinęła głową i zmusiła się, żeby mu się przyjrzeć uważnie, jak gdyby to był ktoś obcy, kogo widzi po raz pierwszy.

Nosił okulary bez oprawy i bokobrody. Zresztą dla wielu mężczyzn to już wystarczy, aby ich określić. Portret na ścianie obok drzwi nie pokazywał też nic innego. Herman Witte, który zainteresowanie Kamili tym wizerunkiem inaczej skomentował, oświadczył: – To mój ojciec.

Kamila usiłowała wyobrazić sobie, jak by Witte wyglądał bez bokobrodów.

– Uderzające podobieństwo – powiedziała, porównując ojca i syna – ale być może to tylko z powodu bokobrodów, które postarzają.

– Czy pani tak uważa?

– Owszem, bardzo postarzają. – Mówiąc to doznała nagle uczucia, że i wszystko inne może się jej udać, jeśli doprowadzi do tego, iż Witte zgoli bokobrody. Właściwie nie zwracały one specjalnej uwagi, gdyż były krótko przystrzyżone, a zarost bardzo jasny, może nawet nieco przyprószone siwizną. Widać było po tych bokobrodach, że Witte je starannie pielęgnuje. Być może stanowiły one całą jego dumę. Może sądził, że byłoby zdradą wobec ojca, gdyby się ich pozbył, ale właśnie wtedy byłby to najlepszy sprawdzian. – Te bokobrody muszą pana kosztować sporo zachodu.

– Tak, istotnie.

– Pan nosi je od zawsze, prawda?

Zdawało się, że Witte ogląda się za jakimś lustrem, lecz ponieważ nigdzie żadne nie wisiało, chwycił prawą ręką za bokobrody, jak gdyby musiał ich bronić. – A może wybralibyśmy się na spacer, oczywiście, jeśli pani ma trochę czasu. – Wziął kapelusz, rękawiczki i laskę, potem jednak powiedział: – One się pani nie podobają.

– Wydaje mi się tylko, że wyglądałby pan młodziej bez nich, nic poza tym, nawet o wiele młodziej. A wie pan, że mój ojciec nigdy nie nosił brody.

– Słusznie, słusznie. – Wittego ta rozmowa peszyła, ale równocześnie czuł się pochlebiony zainteresowaniem Kamili.

– Prawdopodobnie ma pani rację. Prawdopodobnie wyglądałbym młodziej, prawdopodobnie... można by to zresztą wypróbować. Samego siebie nigdy się dobrze nie widzi, to znaczy nie zwraca się na to uwagi. To po prostu kwestia przyzwyczajenia, nic poza tym. Raz się już zaczęło i ciągnie się dalej. Całe życie składa się z takich przyzwyczajień. – Wydawało się, że odzyskał znowu pewność siebie. Energicznie zapiął rękawiczki, chwycił ponownie za laskę i wyprzedzając Kamilę, ruszył zdecydowanie naprzód. – To naprawdę głupio, kiedy ludzie trzymają się tak swoich przyzwyczajień – powiedział, jak gdyby chciał jej przez to coś przyrzec. Skoro tylko opuścili aptekę, podał jej ramię. – Pogoda sprzyja. – Tu wskazał na statki zakotwiczone na Starej Warnow. – Pod wieczór robi się chłodniej, ale wciąż jeszcze będzie dosyć ciepło. Mówiłem przecież, że wrzesień przynosi tu często takie niespodzianki. Zobacz pani, że to przesąd, iż nad morzem jest pięknie tylko latem. Z czasem dojdzie do tego, że ludzie będą tu przyjeżdżać również jesienią i zimą.

– Przystanął i wskazał na place budowy pomiędzy Starą i Nową Warnow.

– Tam stanie nowy dworzec dla promów, na prawo dla pociągów, a na lewo basen, który właśnie kopią, będzie przystanią dla parostatków. Najpóźniej w ciągu dwóch lat zostanie uruchomiony. Oba promy buduje się już w stoczni w Rostocku. Cały ten projekt razem wzięwszy będzie kosztował siedem milionów. Wie pani, co to znaczy? Już dziś mamy dobre połączenia komunikacyjne, ale wtedy Warnemünde będzie miało najlepsze spośród wszystkich portów bałtyckich: sześć godzin do Kopenhagi, cztery godziny do Hamburga i cztery godziny do Berlina. Już przy niecałych dziesięciu tysiącach kuracjuszy rocznie i tak przewyższamy resztę, ale skoro tylko będziemy mieć dworzec promowy, ta liczba się podwoi.

– Cztery godziny do Berlina? – powtórzyła Kamila.

– Tak, nawet niecałe.

Szli dalej, mijając pusty plac przeznaczony dla koncertów i latarnię morską, i skierowali się potem na drogę prowadzącą na molo. Witte kłaniał się raz po raz znajomym i nie można było nie zauważyć ciekawych spojrzeń, jakimi ich obrzucano, przystawano nawet, kiedy już przeszli, aby przyjrzeć się odchodzącym.

– Wie pan – powiedziała Kamila – że jest pan dokładnie obserwowany?

– O tak, już do tego przywykłem.

Witte uchodził za wdowca. Według oficjalnej wersji, jego żona dziesięć lat temu zmarła bezdziejnie po krótkotrwałym małżeństwie. Jednakże uparcie chodziły słuchy, że go opuściła i później nastąpił rozwód.

– Każdy się zastanawia, z kim się ożeni aptekarz Witte pewnego dnia, czy nie tak?

– I panią zaczynają podejrzewać, tak jest. Podejrzenie pada na każdą kobietę, którą w jakiś sposób wyróżniam albo częściej odwiedzam. Nawet pani ciocię już posądzano. Przespacerowanie się po molo jest w każdym razie dowodem największej odwagi, na jaką mogę sobie pozwolić. A czy pani to nie przeszkadza?

– W Berlinie nie mogłoby się nam to przydarzyć.

Wzmagająca się bryza utrudniła dalszą rozmowę, więc podążyli do oszklonego pawilonu na końcu mola. Nie było tam nikogo i mieli całą ławkę wyłącznie dla siebie. Plaża w Warnemünde była pusta, gdzieś tam stał jeszcze jakiś plażowy kosz, a daleko, przed miejscem kąpieli dla panów, w falach przyboju widać było barwne czepki dwóch niezmordowanych pływaków.

– Zimą jest tu smutno, prawda? – powiedziała.

– Zależy, jak się do tego podejździe. Dla mnie jesień i zima są najpiękniejsze. Mniej obcych i mniej zamieszania. Wraca się do spraw, które w ciągu lata trzeba było odłożyć. Latem, na przykład, nie ma mowy o porządkowaniu moich zbiorów, pani jeszcze tu żadnej zimy nie przeżyła, ale ręczę, że pani ją polubi.

– Prawdę mówiąc, trochę się jej boję. Zawsze podczas ostatnich dni, kiedy bywałam na dworcu po gazety dla ojca i widziałam pociąg odjeżdżający do Berlina, musiałam się opanowywać, aby w ostatniej chwili do niego nie wskoczyć.

– Usiedli. Było bezwietrznie i ciepło w oszklonym pawilonie i nawet uderzenia fal o kamienny fundament dochodziły stłumione. – O tej porze zwykle wracaliśmy do Berlina. To, co odczuwam, musi być nostalgią, po prostu tęsknotą za domem. – Mówiąc to Kamila całkiem zapomniała, że

nie ma już domu, do którego mogłaby wrócić. – Lubię tu być latem. Ale stale tu żyć?

Na twarzy Wittego zjawiał się znowu wyraz zniecierpliwienia, taki sam jak uprzednio w aptece, kiedy Kamila mówiła o jego bokobrodach. – Trzeba odczekać.

Kamila potrząsnęła głową.

– Zimą, pół roku chłodu i samotności. Ja bym tego nie wytrzymała.

Witte podniósł z niepokojem rękę. – Zaraz, zaraz, pani zapomina o Rostocku! – I spojrzał na nią. – Tam ma pani wszystko: teatr, koncerty, sklepy. Moi rodzice mieszkali przez zimę zawsze w Rostocku. Wielu mieszkańców Warnemünde tak czyni. Widzi pani, ja... ja uważam, że kiedy tak długo żyło się samotnie jak ja, traci się skalę porównawczą. Pani ma rację. Moja matka też by nie wytrzymała zimą w Warnemünde.

– Mówiąc to Witte stopniowo wpadał w zapał. – Pani się zdziwi, jak wiele Rostock ma do zaoferowania, to miasto hanzeatyckie, gdzie ludzie znają się nie tylko na zarabianiu pieniędzy, ale również na przyjemnym życiu. Świetne restauracje, mówię pani. I Rostock nie leży na końcu świata, naprawdę to całkiem niedaleko. Pociągiem pięćdziesiąt minut. Osiemnaście pociągów dziennie.

– Czy pan ma tam dom?

– Tak, dom moich rodziców. W śródmieściu, przy Nowym Rynku. Świetne położenie do prowadzenia interesów. Mam tam zastępcę w aptece, ale uważam, że można to w każdej chwili zmienić, to tylko sprawa umowy, na przykład zastępca mógłby w zimie podjąć się prowadzenia tutejszej apteki. Raz już nawet o tym myślałem...

– Ależ nie, wcale tego nie chciałam powiedzieć, nie powinien pan

o tym myśleć. Dom, w którym się wyrosło, jest domem, gdzie się jest u siebie. Dla pana to Warnemünde, dla mnie Berlin. – Odczuła pokusę mówienia o domu w Steglitz. W gruncie rzeczy przez cały czas nic innego nie robiła. To, że poszła do Wittego, że siedziała tu z nim na molo – wszystko działo się z powodu domu. Fakt, że został sprzedany, nie dawał jej spokoju. Było tak, jakby ją pozbawiono korzeni. Nie miała innego wyboru, musiała znaleźć jakiś sposób, aby unieważnić to, co się stało. – Czy pan nigdy nie był w Berlinie?

– W Berlinie?

– Tak, tam tak łatwo się żyje.

– Nie mogę twierdzić, że znam Berlin. – Witte oparł obie ręce na srebrnej gałce laski. – Dworzec Szczeciński, hotel i budynek, w którym odbywał się kongres farmaceutów, poza tym nic tam nie widziałem. Ale nie chcę przez to naprawdę nic złego powiedzieć o Berlinie.

– A zbiory?

– Powiadam pani przecież, dworzec, hotel, kongres...

Kamila spojrzała na niego z uśmiechem. – Nawet nie widział pan cesarza? Każdy, kto przyjeżdża do Berlina, pragnąłby przynajmniej go zobaczyć.

– Rzeczywiście ja... Powiem, że raz nawet próbowałem, podczas wiosennej parady, ale nie mogłem się przedostać. Wklinowałem się w tłum, popychano mnie ze wszystkich stron. I to wszystko.

Kamila się roześmiała. – Nie to mam na myśli. Nie dworskie uroczystości, bale, nie opery, teatry i koncerty. Nie mówię również o sklepach, nie o to wszystko chodzi. Mam na myśli miasto jako całość, aurę miasta, całą atmosferę, w której się tak dobrze czuję, że mogę

swobodnie oddychać. Tutaj... tutaj miałabym uczucie, że żyję pod szklanym kloszem. Jeśli pomyślę, w jaki sposób nas obserwowano. I na pewno notują sobie dokładnie, jak długo przebywamy na molo... Sądzę, że będzie lepiej, jeśli zaraz wrócimy.

– Niech pani poczeka! – Witte szedł za nią szybko.

– Wydaje mi się, że rozumiem, co pani ma na myśli...

Kamili wydała się dziwną rolą, jaką odgrywała. To było dla niej czymś całkiem nowym przemawiać słowami, jakie dotychczas słyszała tylko z ust matki i sióstr. Nigdy nie przypuszczała, że jest w ogóle do tego zdolna, ale teraz nie sprawiało jej to nawet trudności.

– Czy uważałby pan za rzecz niemożliwą, żeby zamieszkać w Berlinie? Tutaj, wiem, że czułabym się jak uwięziona – mówiąc to przyspieszyła kroku. Jeszcze wyraźniej nie mogła tego powiedzieć. Stawiała wymagania, o jakich na pewno mu się nawet nie śniło. Jej samej wszystko to wydało się nagle niezręcznym posunięciem, łatwym do odszyfrowania.

Witte zaczął iść szybciej, aby się z nią zrównać. Szli milcząc obok siebie, aż w końcu rzekł: – Jeśli panią dobrze zrozumiałem, byłby to pani warunek... Och, przepraszam za to wyrażenie. Ja panią dobrze zrozumiałem, na pewno. Szczerze mówiąc, doceniam pani uczciwość. Myślę, że zbadała pani swoje możliwości i poinformowała mnie o wyniku zawczasu... – Tu się zatrzymał, nabrał nowego rozpędu i rzekł potem stanowczo: – Kobiety z reguły występują z tym dopiero po ślubie. Czy nie tak? Pani wie, że już raz byłem żonaty?

– Tak, wiem o tym.

– Ale nie mam dzieci ani żadnych zobowiązań.

– Błagam – powiedziała – błagam, niech pan nie mówi.



Nagle Witte jakby stał się wyższy i bardziej pewny siebie,  
z werwą wcisnął laskę pod lewe ramię, zdjął rękawiczki i odpiął górne  
guziki surduta.

– Berlin – powtórzył z całkiem nowym akcentem. – Berlin! Pani  
wspomniała, że są tam przyrodnicze zbiory?

– I muzeum oceanograficzne.

Oceanograficzne! Czy pani wie, co chciałem uczynić po uzyskaniu  
dyplomu? Zamierzałem uciec w daleki świat! Tak, znalazłem pracę na  
wielkim statku pasażerskim jako aptekarz pokładowy, wie pani.  
Zaangażowałem się na trzy lata, zobaczyłbym trochę świata... I wtedy  
nagle zmarł mój ojciec, musiałem przejąć jego interesy, no i skończyło się  
z marzeniami. Nie chcę pokazać się innym, niż jestem. Jestem ostrożny  
i obawiam się ryzyka, ale nie zawsze taki byłem, a z panią... – Przystanął  
i wziął Kamilę za rękę. Ona była na to przygotowana, bo czyż pozostawał  
jej inny wybór, jeśli chciała osiągnąć cel, jaki sobie postawiła? Wiele się  
nauczyła w tym ostatnim półroczu. Nabrała dystansu do rzeczy i ludzi:  
ciocia Lenka – nie, tak żyć wyłącznie przeszłością jak ciocia nie mogła.  
Nie była też tak lekkomyślna jak ojciec. Kochała oboje, ale nie byli już dla  
niej wzorem, gdyż oboje uciekli przed rzeczywistością, oboje byli  
w gruncie rzeczy zbyt słabi wobec świata. Nie bronili się, zgadzali na  
wszystko i nie spróbowali nawet uratować domu. Wyjść za mąż  
z rozsądku, to brzmiało bardzo prozaicznie, niemal gorzko, ale czyż miała  
jakieś inne wyjście?

– Jeśli pani pozwoli, chciałbym rozmówić się z pani ojcem.

– Tak, oczywiście – zgodziła się zadowolona z tego, że pozostała jej  
jeszcze ta zwłoka, chociaż nie bardzo długa, gdyż idąc teraz w kierunku

hotelu Berringera, dostrzegła ojca na tarasie i on również już ją zauważył. Pożegnał się z dwoma panami i szedł ku niej.

– Oczekuję pani dziś wieczór – rzekł Witte do Kamili.

– Zarezerwowałem stolik na „Królowej Krystynie”. – Skłonił się trochę sztywno przed Frycem Hofmannem, który miał na sobie białe płócienne ubranie z brązowo stebnowanymi klapami i kieszeniami. – Mówiliśmy właśnie o dzisiejszej wieczornej zabawie – rzekł Witte. – Czy wolno mi i pana również oczekiwać?

– Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale jeszcze sam nie wiem. Tańce to coś dla młodych jak pan. – Hofmann masował sobie palce, jak czynią pianiści, aby stawy zachowały elastyczność. Ale chodziło mu tylko o to, żeby jego palce nie utraciły zręczności przy tasowaniu i rozdawaniu kart.

– Pragnąłbym się z panem rozmówić – powiedział Witte.

Hofmann spojrzał na córkę, ale nie zrobił żadnej uwagi. Wydawało się, że miał coś ważniejszego, gdyż wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją Kamili. – Czy możesz mi to załatwić, zanim zamkną pocztę? – I położył rękę na ramieniu Wittego.

– Dobrze! A więc chodźmy. Czy pójdziemy do Berringera? Mój drogi, nigdy się tam pana nie widzi! Czy ma pan trochę czasu na partyjkę? Kompensata, powiadam, człowiek potrzebuje kompensaty! Cała tajemnica, panie Witte, polega na kompensacie i taka niewinna partyjka...

Odpowiedział uśmiechem na strofujące spojrzenie Kamili. – Zostaw nas, mężczyzn, samych! Mężczyźni muszą od czasu do czasu być sami. Prawda, panie Witte? – I zabrał z sobą aptekarza, trzymając wciąż jeszcze rękę na jego ramieniu. Kamila patrzyła za nimi, jak wchodzili po schodach do hotelu Berringera i potem zniknęli w drzwiach. Otworzyła kopertę

i znalazła w niej tekst depeszy do Londynu, do wielkiego biura totalizatora. Tekst brzmiał: „Piąta gonitwa British Derby, pierwsze miejsce Fairyqueen, trzydzieści gwinei”. Potrzęsając głową włożyła kartkę z powrotem do koperty i odeszła szybko. Fairyqueen – to był cały jej ojciec, to było wszystko, o czym mógł myśleć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Z urzędu pocztowego ruszyła w powrotną drogę. Szła przez park nie spiesząc się zbytnio; aby odpowiedzieć na liczne pytania, które spodziewała się usłyszeć od cioci, i tak wróci jeszcze za wcześnie do domu. Ścieżki, wijące się pomiędzy kępami drzew i rabatami róż, były posypane jasnym żwirem, ale jak co roku pod koniec sezonu, wszędzie przebijał znów piasek. Nie spotkała niemal nikogo z kuracjuszy, tylko kilku mieszkańców Warnemünde, których codziennie można było tam zastać o tej porze: kobietę w znoszonym płaszczu marynarskim, która przy małym jeziorku karmiła czubate nury, oraz pana w fotelu na kółkach, którego pielęgniarka wozila na plac krokietowy. Sprzed zbudowanego w kształcie muszli podium dla orkiestry przy szwajcarskim domu usunięto rzędy białych ławek, a kupy zgrabionych suchych liści czekały na wywiezienie. Panowała taka cisza, że z kortu tenisowego słyhać było odbijanie piłek, odgłos, jaki specjalnie lubiła, zastanawiając się przy tym zawsze, w którym miejscu parku przy domu w Steglitz najlepiej będzie urządzić kort tenisowy.

Jeszcze idąc ulicą, zauważyła jakiegoś mężczyznę, który chodził dookoła domu cioci. Próbował wejść tylnymi drzwiami i wrócił potem do głównego wejścia.

Kiedy otworzyła furtkę do ogrodu, stał właśnie przed oknem oszklonej werandy i zaglądał do wnętrza domu. Widocznie cioci Lenki nie było i przybysz dzwonił daremnie. Teraz kiedy usłyszał, że Kamila nadchodzi, odwrócił się i szedł na jej spotkanie z jasnym słomkowym kapeluszem z kolorową wstążką w ręku.

– Panna Hofmann! Nareszcie! Myślałem już, że tę drogę przebyłem na próżno.

Kamila go nie знаła, a w ostatnim półroczu nauczyła się, że odwiedziny obcych mężczyzn nie oznaczają nic dobrego. Przeważnie chcieli rozmówić się z ojcem. Zachowywali się bardzo uprzejmie, a potem okazywało się, że mają do wyegzekwowania zaległe należności. Wszyscy byli w jakiś sposób do siebie podobni, mieli nie zwracające uwagi twarze i zachowywali się w sposób nie rzucający się w oczy. Nawet jeśli chodzi o ubranie, nie różnili się niczym. Również ten mężczyzna miał na sobie garnitur w szarą jodełkę, który już od kilku lat wyszedł z mody, z trzema guzikami i wąskimi klapami. Tylko słomkowy kapelusz, który trzymał w ręku, nie pasował do całości: był nowiutki, jakby nigdy nie noszony, i robił wrażenie przepustki do uzdrowiska morskiego.

– Czy my się znamy? – powiedziała z rezerwą, zdecydowana nie wpuścić go do domu.

– Czy my się znamy? – Choć się nie śmiał, cała jego twarz promieniała.  
– Od jak dawna ja panią znam? Od wielu lat. Miała pani wtedy zawsze długie włosy, ale z krótkimi jest pani też do twarzy! Ładnie tu mieszkacie. A pani ojciec, jak mu się właściwie powodzi?

– Pan do niego?

On mieszka tu prywatnie? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Jak on tu może wytrzymać? Berlin i Warnemünde to dwa całkiem różne światy. Niech pani czeka, zaraz pani pomogę, proszę dać mi klucz... Nie, pani pierwsza, niech pani wejdzie. Pani jest tu u siebie... Ależ nie, nie chcę wcale usiąść. Pytam się tylko, gdzie mogę zastać pani ojca. Chciałbym z nim coś omówić...

Dopiero słysząc te słowa, Kamila jakby oprzytomniała. Stali w bawialni, a on ciągle jeszcze ze słomkowym kapeluszem w lewej ręce. Poprosiła go, aby usiadł, nawet nie wiedziała, w jaki sposób dostali się do domu, wbrew jej woli. Kiedy wyjęła klucz z torebki, nagle znalazł się on w jego ręku, mężczyzna otworzył drzwi, teraz był już w bawialni i poruszał się w niej, jak gdyby wszystko było mu tak dobrze znane, jak dobremu przyjacielowi. Przy tym była całkiem pewna, że go nie zna. Nagle wybuchnęła śmiechem, a kiedy spojrzał na nią pytającym wzrokiem, powiedziała:

– Czy pan może mi powiedzieć, jak dostaliśmy się do tego domu? Bo wie pan, właściwie nie chciałam pana wcale wpuścić.

– Niech pani mi się przyjrzy! Co panią uderza?

– Nie wiem, co pan ma na myśli, właściwie nic.

– W gruncie rzeczy nic pani nie uderza. Tak właśnie jest. Nie jestem ani zbyt elegancki, ani zbyt zwyczajny. Nie jestem ani za wysoki, ani za niski. Jestem na tyle poważny, że można mi zaufać, ale nie na tyle, żebym odstraszał każdego urzędową miną. Jednym słowem, jest moim zawodem dostawać się do domów, do których właściwie nie chcą mnie wpuścić.

– Czy ma pan jakieś roszczenia do mojego ojca?

– Ależ nie! Jestem komiwojażerem, wie pani. Jeździłem dla pani ojca przez wiele lat po Wielkim Księstwie Meklenburg-Strelitz, nazywam się Senger, Karol Senger. Dlatego znam panią jeszcze z Neukölln, kiedy odbierałem tam towar.

Przy słowie „komiwojażer” Kamila automatycznie ujrzała przed sobą duże mapy, zawieszane na ścianie w biurze ojca, na których były zaznaczone rejony komiwojażerów, oraz walizki z próbkami dla tych

ludzi, które mimo poręcznego formatu zdawały się ważyć cetrnary.

– Pan rzeczywiście nie ma żadnych roszczeń do mojego ojca?

Z pewnością nie. Wprost przeciwnie; chciałem mu zrobić pewną propozycję. Nad całą tą sprawą... upadłości bardzo ubolewałem. Zawsze nasze wzajemne stosunki dobrze się układały, pomiędzy pani ojcem i mną. I dobrze u niego zarabiałem. Upadłości można by było uniknąć, takie jest moje zdanie. W tej branży tkwi wiele możliwości. Jeździłem też z innymi towarami, ale z produkcją mydła dopuścić do upadłości to tak, jakby... ale nie chcę pani nudzić. Czy pani wie, kiedy ojciec wróci albo gdzie go mogę spotkać?

– Zastanie go pan w hotelu Berringera. Ale niech pan poczeka...

Był to pierwszy człowiek, od którego usłyszała, że można było uniknąć upadłości, pierwszy, który nie potępiał jej ojca jak inni, którzy nie zostawiali na nim suchej nitki.

– Czy mogę pana czymś poczęstować?

– Dziękuję, nie. Chciałbym mieć to już za sobą. W hotelu Berringera mówi pani?

– Co to za propozycja?

– Hm... ale lepiej omówię to z pani ojcem. W każdym razie bardzo dziękuję.

Kamili nie odpowiadało, że nagle tak się spieszył z odejściem. Przyjrzała mu się i musiała przyznać mu rację, że nie było w nim nic rzucającego się w oczy. Miał trochę za szeroką, niemal chłopską twarz i jasne włosy, które nad czołem pewnie za wcześnie się przerzedzą. Nie było w nim zupełnie nic z typu mężczyzny, który mógłby wzbudzić w dziewczynie jakieś romantyczne wyobrażenia, za to miał coś innego,

jakaś promiennosc, której Kamila nie mogłaby dokładniej określić. – To ten wielki hotel tuż przy latarni morskiej – powiedziała.

– Tak, wiem. Warnemünde należy do mojego rejonu.

– Kamila przypomniała sobie uwagę pomocnika w aptece Wittego.

– Czy to mydło do rąk było naprawdę taką rewelacją?

Karol Senger, który był już przy drzwiach, odwrócił się.

– Patrzcie, i pani o tym wie! – Ale dalej się nad tym nie rozwodził i Kamila odprowadziła go do drzwi. Szybkim, stanowczym krokiem ruszył w dół ulicy, i teraz nie włożył na głowę słomkowego kapelusza, lecz trzymał go wciąż jeszcze w lewej ręce. Prawdopodobnie nigdy go nie nosił, gdyż rzuciłoby się to zbyt w oczy, w ręku natomiast był to efektowny rekwizyt i zwracał uwagę, nie wywołując irytacji.

A jeśli mimo wszystko ma on jakieś roszczenia do ojca? Jeśli w szczególnie zręczny sposób wywiódł ją w pole? Była to niepokojąca myśl, ale dziwnym sposobem nie popsuła jej humoru.

Kamila włożyła na zabawę na statku granatowy kostium z wąską obcisłą spódnicą i stała przed lustrem, ale te oględziny nie dotyczyły stroju czy fryzury, lecz jej samej. Pół roku spędzone w Warnemünde uczyniło z niej innego człowieka, wiedziała o tym aż za dobrze, ale zewnątrz nie można było nic stwierdzić. Nie wyglądała wcale na starszą – krótkie włosy raczej ją odmładzały – ani na nieszczęśliwą, ani nawet na dojrzałą. Czy był to może powód, dla którego taki Karol Senger nie chciał z nią mówić jak z dorosłą? Stała dalej przed lustrem, jak gdyby wszystko zależało tylko od uporczywości w odczytywaniu z jej zewnętrznego wyglądu zmiany, jaka w niej zaszła – gdy nagle usłyszała, jak ojciec wchodzi po schodach. Zwykle odczuwała zawsze ulgę, kiedy wracał do domu w dobrym



nastroju, ale teraz jego wesołość ją drażniła; prawdopodobnie udała mu się nie lada sztuka: nakłonił Wittego do gry albo, co gorsza, może naciągnął go na pożyczkę. Kamila wzięła pokwitowanie, które wystawił jej urzędnik na poczcie, i pełna goryczy myślała o przykrew scenie, jaką tam przeżyła.

Jak zawsze, kiedy wchodziła do pokoju ojca, mansardy z dwoma małymi oknami w głębokich ukośnych niszach poddasza, i kiedy rzucała się jej w oczy różnica w porównaniu z jego obszernym, wręcz luksusowym gabinetem w domu w Steglitz, ulatniał się jej gniew na niego. Wobec tej oczywistej kary jakżeż mogła i ona jeszcze czynić mu wyrzuty. Więc tylko wręczyła mu pokwitowanie. – Wszystko za ciebie zapłaciłam.

– Dobrze, dobrze, a więc depesza jeszcze zdążyła odejść. Połóż pokwitowanie na stoliku nocnym. – Ojciec stał przed szafą na bieliznę, w której na bocznej półce przechowywał książki, i czegoś tam szukał, przy czym zaczął znów cicho nucić tę samą melodię, co przed chwilą, i chociaż Kamila się przeciwko temu broniła, znów uniosła się gniewem.

– Wyłożyłam za ciebie prawie sto marek za wszystkie depesze z ostatnich dwóch tygodni.

– Szukam czarnego zeszytu, w czarnej płóciennej oprawie ze skórzanym grzbietem, podłużnego i wąskiego, a poza tym jeszcze...

– Mógłbyś przynajmniej słuchać tego, co mówię!

Odwrócił się i spojrzał na pokwitowanie, ale pozostał niewzruszony.

– Fairyqueen nie robi zawodu. Gdybym był w Berlinie, to wiedziałbym już teraz o wyniku.

– I myślisz, że w Berlinie znalazłbyś urzędnika pocztowego, którego mógłbyś skłonić do wysyłania depesz, za które nie płacisz? – Wydawało się jej, że widzi znów przed sobą speszoną twarz urzędnika, jak zмага się

ze sobą, aż wreszcie wyjawiał całą prawdę, tak jakby to on był wszystkiemu winien. – Jak możesz coś podobnego robić. Biedaczysko, na pewno mu naopowiadałeś nie wiadomo co, że będzie miał udział w wygranych! Ale naturalnie wygranych kwot tak od razu nie przekazują... przez dwa tygodnie wykladał pieniądze z własnej kieszeni... więcej niż zarabia w ciągu całego miesiąca. Zrobiłby to jeszcze raz, gdyby miał gotówkę. Jak możesz takiemu biedakowi wyciągać z kieszeni te parę groszy. A on jeszcze mnie po tyśiąckroć przeproszał, że żąda zwrotu wyłożonych pieniędzy.

– On zawsze otrzymywał swoje pieniądze i udział w wygranej również. Teraz miałem złą passę i to wszystko.

– Dlatego mnie posłałeś. Wiedziałeś, że zażąda zwrotu pieniędzy, a sam byłeś zbyt tchórzliwy. Więc myślałeś, że ja to załatwię. Właściwie nie powinnam była nadawać tej depeszy, a tym bardziej spłacać twoich długów! Jeśli już pożyczasz u takich drobnych urzędników pocztowych, to pytam się, kogo jeszcze naciągasz na pożyczki?

Ojciec wziął papieros z paczki leżącej na stole i zapalił. Odkąd pamiętała, palił zawsze ten sam gatunek angielskich papierosów Three Castles, które w Berlinie można było nabyć tylko w jednym sklepie na ulicy Unter den Linden i które dostarczano jedynie w paczkach po pięćdziesiąt sztuk, każdy papieros ze złotym monogramem. Teraz palił raz takie, raz inne i Kamila wiedziała, że zawsze były to najtańsze gatunki. Bardzo w nim cenila, że nigdy na to nie narzekał. Odwrotnie, nowe papierosy były ponoć lepsze dla jego trawienia, a to, że nie jeździł już powozem, sprzyjało jego zdrowiu. Menu w drogich restauracjach było zbyt obfite, a zachowanie drogich krawców zbyt aroganckie – optymizm

ojca pozostał niezłomny. Ale teraz właśnie to zirytowało Kamilę.

– A w jaki sposób chcesz spłacić swoje długi? Czy ma znowu dojść do tego jak w Berlinie! Drobnostki, bagatelki, tu sto marek i tam sto, aż z tego powstanie znowu lawina.

Ojciec potrząsnął głową. – Skąd znowu. Może mam dobre wiadomości. Musisz wiedzieć, że nie próżnowałem. Mam kilka planów w pogotowiu...

– Proszę, przestań samego siebie łudzić.

– Chodź – powiedział – i usiądź.

A potem: – Powiedz mi, czy ty naprawdę chcesz wyjść za tego aptekarza Wittego?

– Masz lepszą propozycję? Właściwie powinieneś się cieszyć! Ktoś się zaopiekuje twoją córką bez posagu i będziesz miał zięcia, który będzie mógł ci wtykać gotówkę.

Hofmann powiódł wzrokiem za dymem swojego papierosa. – Co byś na to powiedziała, gdybyśmy w końcu miesiąca wybrali się do Berlina? Najpierw zatrzymalibyśmy się w hotelu, a potem poszukali małego mieszkanka.

Kamila zmusiła się do zachowania spokoju. – Proszę cię, ojczy, z tym już skończone. Nie, żebym nie chciała ci wierzyć. Byłoby to zbyt piękne. Ale ja już ci wierzyć nie mogę. Nic między nami nie powinno się zmienić, ale to, żebym ci jeszcze raz uwierzyła, kiedy budujesz zamki na lodzie – nie, z tym już koniec, raz na zawsze. Nie mogę cię zmienić, ale ja się zmieniłam.

– O tak – spróbował zażartować – stałaś się piękną.

– Jeśliby to było zgodne z moimi myślami, musiałabym raczej zbrzydnąć.

Co ty wygadujesz! Teraz to rzeczywiście ci się udało popsuć mi humor. Nie, nie o to chodzi, zostań. Być może naprawdę ja się już nie zmienię. Nie powinienem był nigdy zakładać rodziny, w tym rzecz. Zawsze tak żyłem, jak gdybym był sam na świecie. Ale przestańmy o tym mówić. A to o Berlinie mówię na serio. Trzeba znaleźć tę złotą żyłę! Chodź i pomóż mi szukać. Zeszyt był podłużny, wąski, czarny ze skórzanym grzbietem – i znów ojciec zaczął grzebać w książkach, a potem nucić tę samą melodię: „Walencja, hej do Walencji...”

Kamila najchętniej by sobie poszła, ale nagle ujrzała, że wyjął z szafy całą naręcz książek i cisnął na wolny fotel; z luki, która powstała, wyciągnął czarny zeszyt. – To moja złota żyła! Wiesz, że wtedy popełniłem kapitalny błąd – ten olbrzymi asortyment, jaki z biegiem lat zgromadziłem, jeszcze jakieś perfumy, jakaś sól do kąpieli czy lakier do paznokci i jeszcze jakiś puder czy róż do policzków, i znowu nowe kryształowe flakoniki, a potem pachnidło w stałej substancji dla Jej Królewskiej Mości Mary, następczyni tronu w Rumunii. Moi agenci musieli taszczyć aż trzy walizy, i to na rynek, który już był bardziej niż bogato zaopatrzone. Moje mydła i płatki mydlane, tym powinienem się być zadowolić. Tylko garstka towarów i przeforsować, aby zaczęto je używać w każdym gospodarstwie domowym... Ach, tam jest również i drugi zeszyt. Zawsze tam, gdzie się spojrzysz na końcu. – Wyciągnął inny, szeroki, również czarny płócienny zeszyt i otrzepał go z kurzu. Potem wziął oba zeszyty pod pachę. – Muszę jeszcze na chwilę wyskoczyć. Być może zobaczymy się na „Królowej Krystynie” i może już z dobrymi nowinami.

– Poczekaj! – To, że jej ojciec poważnie się zastanawiał nad tym, jakie powody doprowadziły go do finansowego krachu, było już czymś nowym.

Argumenty, które przytoczył, brzmiały tak, jak gdyby ktoś inny mu je podszeptał. Czy to nie ten komiwojażer, Karol Senger? – Czy mogę zobaczyć? – Odebrała mu oba zeszyty i otworzyła. Oba były wypełnione jego starannym charakterem pisma, strona po stronie. Jeden zawierał farmaceutyczne recepty i wzory chemiczne, drugi długą listę nazwisk i adresów.

– W tym tkwi cały majątek. Myśl, co chcesz, ale tym razem nie przesadzam.

– Co to jest?

– Moja księga recept i kompletna lista klientów. Teraz nareszcie znalazłem to, czego mi zawsze brakowało – dobrego wspólnika. Wiesz, że znam się na chemicznych wzorach, ale sprzedaż nigdy nie była moją mocną stroną. Mam teraz człowieka, którego mi potrzeba. Daj mi te oba zeszyty. Nie chciałbym się spóźnić.

– Twój dawny komiwojażer?

Ojciec nie wydawał się zaskoczony jej pytaniem. – Powinienem był wcześniej poznać się na jego talencie.

– Co on ci zaproponował? Jak ma wyglądać nasza spółka? Czy chcesz mu wręczyć po prostu oba? – zapytała wskazując na zeszyty.

Już samo to, że ojciec zachował te zeszyty i wziął je z sobą do Warnemünde, wskazywało, że musiały one przedstawiać pewną wartość.

– Jest to, jeśli można tak powiedzieć, kapitał, który wnoszę do spółki. – Wziął świeżą chustkę z szuflady i włożył ją wprawnym ruchem do bocznej kieszonki żakietu.

– A on, co tobie on oferuje?

– To genialny sprzedawca. Obwód Meklenburg-Strelitz przodował

zawsze procentowo, a to był przecie jego rejon. Orientuje się w rynku wewnętrznym i zewnętrznym i zna nawet ceny surowców na pamięć. Ma już dosyć lat, aby nie stać się lekkomyślnym, a jednocześnie jest na tyle młody, aby coś stworzyć. I najważniejsze to, że ma nosa do towarów, które można ludziom sprzedać. Mogę się co do wielu rzeczy mylić, ale aby dojrzeć w nim prawdziwego wyścigowca, mam niezawodne oko.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Chcesz pozbyć się twojej listy klientów i księgi recept bez żadnej gwarancji? On był dawnym twoim komiwojażerem, i to najlepszym, ale to świadczy tylko, że jest zręczny. Był tu, widziałam go i z nim mówiłam... – Tu przypomniała sobie, jak Senger sprytnie wślizgnął się do domu. Nie było w tym żadnego cudu, że wiedział, jak z jej ojcem postępować, jaki jest łatwowierny, jak łatwo mieć na niego wpływ i wzbudzić w nim entuzjazm. – Może wszystko, co mówisz, jest prawdą, ale co uzgodniliście konkretnie?

– Bo widzisz, najpierw musi on inwestować. Musi kupić teren i surowce. Musi mieć gotowe produkty, zanim będzie mógł wejść z nimi na rynek, poza tym musi zaangażować komiwojażerów, no i zacząć robić reklamę...

– Już zdążył ci to wszystko wytłumaczyć. I tylko na zasadzie tego...

– Wytargowaliśmy dziesięć procent.

– Wytargowaliście! Dziesięć procent? Dziesięć procent od czego?

Fryc Hofmann spojrzał na córkę i potem powiedział: – Rzeczywiście, tyś się zmieniła. Ty... masz w sobie twardy rdzeń, jakiego nie można się było po tobie spodziewać. A więc on obiecał mi dziesięć procent od zysku.

– Od zysku i na to konto chcesz już przenieść się do Berlina! Od zysku, czy wiesz, co to znaczy – tyle co nic. On nie będzie pracował na zysk,

będzie inwestował, zakupywał tereny i surowce, no i robił reklamę. Wszystko odbędzie się w najzupełniejszym porządku. Powiedział na pewno, że będziesz mógł oddać księgi do sprawdzenia. Będziesz mógł je sprawdzić i zostanie stwierdzone, że firma nie wykazała żadnego zysku.

– Mówisz, żeś z nim rozmawiała. Posądzasz go o to?

– Nie na tym polega pytanie, czy go o to posądzam, w każdym razie coś takiego byłoby możliwe. Czy już zapomniałeś, jacy są ludzie lub raczej jacy mogą być. Czy bank udzielił ci wtedy prolongaty? Czy twoi zięciowie zasilili cię gotówką? Czy zapomniałeś, cośmy utracili – nasz dom.

Hofmann usiadł. Spuściwszy głowę, przyglądał się swoim rękom.

– Bardzo mnie to boli. Nie mogłem po prostu o tym mówić, myślałem, że lepiej nie grzebać w ranie. Pozwól, że ci to dziś wyjawię, nie byłem uczciwy wobec ciebie w sprawie domu, wiem o tym, i ja tego również nie zapomnę. Myślałem zawsze, że pewnego dnia będę mógł to naprawić. Ale masz rację, że to tylko pobożne życzenia i piękne zamiary bez pokrycia. Na mnie nie można polegać.

Widzisz, nie chciałam cię z góry źle usposabiać. Prawdopodobnie masz rację, że te oba zeszyty to złota żyła, bo inaczej taki człowiek jak Senger nie pragnąłby ich wcale dostać.

– Tak uważasz? – I podniósł głowę, zaraz gotów usłyszeć z jej słów tylko to, co przyjemne.

– Pragnę zupełnie tak samo jak ty, żeby z tego coś wyszło. Ale nie chcę sobie wmawiać, że oto już jesteśmy w Berlinie, na razie zatrzymujemy się w hotelu i szukamy mieszkania. Wydawać pieniądze, których jeszcze nie mam lub może tylko kiedyś je otrzymam – tego nie potrafię. Nigdy w życiu nie zapomnę, jak musieliśmy opuścić nasz dom. Nigdy nie

zapomnę głosu licytatora w naszej fabryce. Nigdy nie zapomnę, jak Schröterowa żądała wtedy zwrotu swoich pieniędzy, i nigdy nie zapomnę tych wierzycieli, którzy aż tu przyjeżdżali do ciebie. Ty ich nie przyjmowałaś i nigdy nie było cię dla nich w domu, kiedy przyjeżdżali. Byłyśmy tylko my obie, ciocia i ja, i ciocia im wypłacała. Jesteś już jej winien z górą sześć tysięcy marek, wiesz o tym? O niej winieneś pomyśleć, jeśli jakieś pieniądze do nas wpłyną. – I zabierając mu oba zeszyty zapytała: – Gdzie umówiłeś się z tym Sengerem?

– W hotelu „Pod Gwiazdą Morską”. To ten w pierwszej przecznicy. Ale poczekaj chwileczkę, co to ma znaczyć? Jaki masz zamiar?

– Po prostu pójdę do niego i z nim się rozmówię. – Ta myśl przyszła jej całkiem nagle, właściwie dopiero sprowokowana pytaniem ojca. I teraz czekała na to, by ojciec się sprzeciwił lub nawet ją wyśmiał, ale nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Siedział z rękoma na kolanach, a potem machnął ręką z rezygnacją.

– A czy przynajmniej mam z tobą pójść?

– Wolę pójść sama. Wysłucham, co on ma do powiedzenia, a co potem, zobaczymy. – Gdyby była całkiem świadoma tego, co czyni, prawdopodobnie nie zdobyłaby się na tyle odwagi, by tak postąpić. Dopiero później uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy w życiu narzuciła ojcu swoją wolę, i to niemal bez trudu. Nie odczuwała z tego powodu tryumfu ani nawet radości, raczej dziwiła się i było jej do pewnego stopnia smutno, jak gdyby przeczuwała, że ceną, za jaką właśnie przed chwilą zdobyła swoją niezależność, była jej młodość.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Hotel „Pod Gwiazdą Morską” był starym budynkiem z pruskiego muru. To, że stał tuż przy dworcu i przy szosie prowadzącej do Rostocku, wskazywało już na to, jacy goście tam zwykli byli się zatrzymywać. Hotel „Pod Gwiazdą Morską” należał do tych nielicznych hoteli, które były otwarte przez cały rok, gdyż jego klientami nie byli sezonowi goście uzdrowiska, lecz ludzie interesu i inżynierowie, którzy pracowali przy instalacji promu, oraz komiwojażerzy. Był to solidny nie rzucający się w oczy dom i było znamienne, że Senger ten hotel wybrał.

Przed wejściem leżał dog w czarno-białe łaty. Olbrzymie psisko podniosło się i pobiegło truchtem przed Kamilą, gdy weszła do hotelu. W recepcji paliły się już lampy. Warnemünde miało od kilku lat instalację elektryczną, która zaopatrywała je w prąd, ale w tym hotelu lampy ścienne były jeszcze napełniane naftą. Widocznie musiano je dopiero co zapalić, gdyż w powietrzu unosił się wciąż jeszcze siarczany zapach zapalek i nasyconego naftą knota.

W całym domu panowała cisza, słyhać było jedynie odgłos łap doga na kamiennej posadzce. Człowiek siedzący na krześle w łoży portiera chyba drzemał. Dopiero kiedy Kamila pociągnęła za dzwonek, wstał powoli i wytarł ręce o swój zielony fartuch.

– Czym mogę pani służyć?

– Chciałabym się zobaczyć z panem Sengerem, Karolem Sengerem.

Służący hotelowy wskazał na oszklone drzwi, których oprawy w ołów szyby ukazywały wizerunki statków. – Państwo są właśnie przy obiedzie. Proszę, niech pani wejdzie.

Restauracja była czymś pośrednim między bawialnią a knajpą dla marynarzy. Nad wysokim kaflowym kominkiem wisiały stare miedziane talerze, na podłodze leżały dywaniki, nad szynkwasem zwisała wypchana rybamięcz, a na stolikach paliły się małe naftowe lampy w zielonych szklanych kloszach.

W restauracji było niewiele osób. Dwaj mężczyźni, każdy osobno w swoim kącie, i para, Karol Senger i jakaś pani. Senger miał wciąż jeszcze na sobie szare ubranie w jodełkę, lecz o stroju owej pani nie można było powiedzieć, że nie rzuca się w oczy: jej suknia z białej organdy była w czerwone maki, a kapelusik na jasnoblond lokach, nasunięty głęboko na czoło, był też przybrany czerwonymi makami. Kamila, która nie była przygotowana na to, że zastanie Sengera w towarzystwie, przystanęła w drzwiach. Obaj samotni panowie, którzy coś sobie notowali, podnieśli oczy, a za szynkwasem ukazał się kelner. Ale tymczasem także i Karol Senger ją zauważył, wstał, serwetka ześlizgnęła się z jego kolan, lecz udało mu się ją uchwycić, odłożył ją na bok i podszedł do Kamili.

– Ach, to pani! Oczekiwałem pani ojca.

– Czy wolałby pan, żeby to był on? – Kamila nie zdawała sobie sprawy, co skłoniło ją do wypowiedzenia następnych słów: – Z nim chyba byłoby panu łatwiej się dogadać.

– A więc pani przysłała w jego zastępstwie?

– Jeśli to panu nie robi różnicy.

– Ależ bynajmniej. Mam nadzieję, że teraz mi już pani chyba wierzy, że nie miałem żadnych roszczeń do pani ojca.

– Nie wiem, czy to, co mu pan proponuje, jest czymś o wiele lepszym.

– No, możemy o tym porozmawiać. Niech pani podejdzie i usiądźmy

przy stoliku. Wprawdzie właśnie skończyliśmy jeść, ale może wolno mi będzie coś dla pani zamówić.

– Poszedł przodem, podał Kamili wolne krzesło i przedstawił sobie nawzajem obie panie: – Pani Gilchowska, panna Hofmann. To jest jego córka.

– Myślałam, że on sam zechce przyjść. Czyś mi o tym nie mówił? – Kamila poczuła, jak na niej spoczęło dwoje jasnych oczu spod runda kapelusika. Z bliska owa pani wyglądała na starszą, niż Kamila przypuszczała. Puciołowata twarz z ustami w kształcie serduszka zdradzała, że nie odznaczała się oszczędnością w używaniu różu i pudru. Na szklance, która przed nią stała, i serwetce przy jej talerzu były ślady kredki do ust.

– Proszę mi powiedzieć, jeśli chodzi o tę zabawę, który statek ma lepszą orkiestrę?

– Nie potrafię powiedzieć...

Do stolika podszedł kelner.

– Czy pozwoli pani, bym jeszcze coś zamówił? – zapytał Senger. – Ciastka są tu znakomite.

– Może duńską szarlotkę, bezę z porzeczkami, tort orzechowy – wtrącił kelner.

– Nie, bardzo dziękuję – powiedziała Kamila.

– Ale mnie można jeszcze raz dolać – powiedziała owa pani, podając kelnerowi swoją szklankę. – Mam nadzieję, że nie będą grali samych nudnych kawałków – dodała – bo jeśli o mnie chodzi...

– Co byś na to powiedziała – przerwał jej Singer – gdybyś teraz na chwilę pozostawiła nas samych. Mamy coś do obgadania, a wiem, że cię

to nudzi.

– O tak, to mnie nudzi rzeczywiście. – Podniosła oczy ku niebu i zrobiła rozkapryszoną minkę. – Mydło! Więc streszczajcie się. Pani zobaczy, że on jest nieznośny, kiedy zaczyna mówić o interesach. To nie ma u niego końca. Interesy i interesy, jakby nic innego nie było na świecie. A czy pani się la tym zna? Na tym mydle? – Tu wstała i stojąc wychyliła szklankę do dna. – Daję wam kwadrans i ani minuty dłużej.

– Wzięła torebkę, poprawiła kapelusik i odeszła.

– A więc pani uważa moją propozycję za nierealną?

– Jak to? Owszem... lecz jeśli pan zna mojego ojca, to wie, jak łatwo rozbudzić w nim entuzjazm. – Kamila nie oczekiwała, żeby Senger tak bezpośrednio przystąpił do sedna sprawy, podczas gdy ona, odprowadzając jeszcze wzrokiem swą panią, zastanawiała się, jakie stosunki mogą łączyć tych dwoje. Ale Senger nie próbował niczego wyjaśniać, po prostu ominął to milczeniem. Był komiwojażerem i przypuszczalnie musiało być więcej takich kobiet w jego życiu w różnych miejscowościach.

– Jaką konkretną propozycję zrobił pan mojemu ojcu?

– Aby nie powstały żadne nieporozumienia, stwierdzam, że nie mam wcale zamiaru go namawiać do czegoś, co nie byłoby dla niego korzystne.

– Niech pan pozostawi na boku to, co byłoby dla niego korzystne, i powie mi raczej, jaką pan ma w tym korzyść!

Czego pan dokładnie chce? – Mówiąc to przypatrywała się jego rękom składającym serwetkę. Miał zdumiewająco wypiełgnowane ręce z paznokciami jakby prosto od manikiurzystki, wszystkie były krótko obcięte, z wyjątkiem paznokcia na małym palcu lewej ręki, co wyglądało

trochę ekstrawagancko, jak ów biały słomkowy kapelusz, który miał z sobą owego popołudnia; obrączki nie nosił.

– Powinienem teraz mówić o mydle – rzekł, odchylając się do tyłu na krześle.

– Niech pan mówi. Przypuśćmy, że mnie to interesuje.

– Sądzę, że tę branżę doskonale znam. Nie mówię teraz o produkcji, ale o sprzedaży. Produkcja jest stosunkowo prostą sprawą. Gotować mydło to najprymitywniejsza przemysłowa produkcja, jaka istnieje. Kilka kotłów i maszyn do pakowania; każdy może się do tego zabrać i jest dosyć takich, którzy tego próbują, zresztą z małym powodzeniem. Znam bez liku drobnych wytwórców. Ich wyroby niemal się niczym nie różnią. Mają niewielki lokalny rynek, ale poza niego nie wychodzą i dlatego drepczą w miejscu. Pani ojciec był już na lepszej drodze. Po pierwsze, jego wytwory były wysokogatunkowe. Po drugie, miał do dyspozycji wielki berliński rynek. Jego błędem, moim zdaniem, była ambicja, aby zdobywać laury dzięki luksusowym produktom. Mydła toaletowe, sole kąpielowe, perfumy, w tej dziedzinie rynek jest już zaopatrzony przez kilka od dawna wprowadzonych firm. Wielki zysk na każdej pojedynczej sztuce, ale ograniczony zbyt. Niemal żadnych możliwości rozszerzenia sprzedaży. Tym, czego wszyscy wytwórcy dotąd nie dostrzegają, jest rynek dla produkcji masowej. Ale czy pani nie nudzę?

– Pan ma na myśli takie wyroby jak mydło do rąk Hofmanna?

Mam na myśli jeszcze prymitywniejsze asortymenty: mydło do prania i płatki mydlane. Na to jest zawsze zbyt! Wykwintna dama, jako klientka, nie jest interesująca, gdyż nigdy nie zabłądzi ona do pralni. Nawet nie wie, czego się tam używa. Prości ludzie, przede wszystkim rodziny robotnicze,

gdyż tam najwięcej się pierze, bo tam najwięcej się brudzi. Produkcję należy nastawić na tych ludzi, to najliczniejsza warstwa, która stale będzie się powiększać i więcej zarabiać. Niech pani mi uwierzy, mydło jest pierwszym artykułem, na którym zwyczajka zarobków się odbija, szczególnie u nas. Schludność to luksus ubogich. Ten rynek zbytu widzę przed sobą i...

Tu przerwał i kiedy Kamila podążyła za jego wzrokiem, ujrzała jego towarzyszkę stojącą przy oszklonych drzwiach. Senger wstał i powiedział: – Przepraszam na chwilę.

Po czym opuścił restaurację z ową panią. Piskliwy jej głos słyhać było przez drzwi. Poszczególnych słów nie dało się zrozumieć, ale sam ich ton mówił Kamili wystarczająco dużo. Znała ten ton z kłótni rodziców i kiedy matka weń wpadała, ojciec stale ustępował. Potem wszystko ucichło i zaraz wrócił Senger. Kamila zastanawiała się, czy nie należałoby mu zaproponować, aby rozmowę odłożyć do jutra, ale ku jej zdziwieniu zajął on swoje poprzednie miejsce, jakby to się rozumiało samo przez się. Może był trochę bledszy niż przedtem, może nieco roztargniony, ale poza tym nic nie dało się po nim zauważyć. Panował całkowicie nad sobą i znowu nie uznał za potrzebne złożyć jakiegoś wyjaśnienia.

– Czy nie chciałaby pani jednak czegoś się napić?

– Może herbaty.

– A może jednak ponczu?

– Dobrze, niech będzie poncz, ale koniecznie przyprawiony cynamonem.

– Innego pani tu nie dostanie.

– Pan wiele się zastanawiał nad tym projektem – powiedziała po chwili.

– Odnoszę wrażenie, że w głowie ma pan wszystko gotowe. Do czego

więc potrzebny jest panu mój ojciec? Czy pan go w ogóle potrzebuje?

Potrzebuję jego nazwiska, tak, przede wszystkim jego nazwiska. Czy pani wie, jak na przykład sprzedaje się mydło do prania? Nie w aptekach i drogeriach, lecz w zwykłych sklepach kolonialnych. Sprzedaje się je często na wagę, bez opakowania i nazwy. Klient wymaga pewnej określonej ilości, jednego, dwóch czy trzech funtów, i wtedy mu się to odcina i waży. Klient nie wie nawet, kto mydło wyprodukował i skąd ono pochodzi, po prostu żąda mydła do prania, tak samo jest i z płatkami mydlanymi. Taki jest zwyczaj. Pani ojciec zaczął od tego, że opakowywał mydło do prania w pojedynczych kawałkach, z początku bez żadnego napisu, potem z wypisanym nazwiskiem, później ze znakiem firmowym, a w końcu dodawaliśmy jeszcze bony. Tak było pięć lat temu i w ten sposób mogliśmy od tego czasu co roku obrót znacznie powiększać. Klienci wiedzieli teraz nagle, czego żądać: mydła do prania i płatków mydłanych Hofmanna z uśmiechniętą praczką na etykietce. Z masy upadłościowej wykupiłem wszystko, co jeszcze tam było. Otóż powiadam pani, przydałoby mi się jeszcze dziesięć razy tyle.

– Z masy upadłościowej! – Senger dotknął bolesnego punktu. Nagle znów stanęła przed nią scena licytacji: dziedziniec fabryki, gęste rzędy zainteresowanych, głos urzędowego licytatora, który rozlegał się na dziedzińcu, i trzykrotne uderzenia jego młotka, kiedy jakaś pozycja znajdowała nabywcę. Jak ona wtedy nienawidziła tego licytatora oraz nabywców, którzy przez podniesienie ręki przywłaszczali sobie własność jej ojca. A więc i Karol Senger był jednym z nich! – Stąd ma pan chyba potrzebny do startu kapitał?

– Stąd także, owszem, i nie wstydzę się do tego przyznać. Nabyłem na

licytacji towar i cały szereg maszyn za śmieszłą cenę.

– Dlaczego nie rozmówił się pan wcześniej z moim ojcem o swoich planach?

– Niech pani nie zapomina, kim jestem! Drobnym komiwojażerem, nie ponadto.

– I teraz jeszcze...

Senger spojrział na nią zaskoczony. Pochodziła ze świata, który dotąd pozostawał przed nim zamknięty. Jej ręce ćwiczyły sonaty na fortepianie i rysowały kwiaty delikatnymi kredkami, które inni dla niej temperowali, uczyła się obcych języków – wszystko w niej przypominało mu nieustannie o tej nierówności stanowej między nimi, chociaż nawet mu tego nie okazywała, słuchając uważnie jego wywodów.

– Czy pani naprawdę sobie życzy, abym dalej mówił o mydle?

Kamila roześmiała się. – Niech pan mówi dalej. Czy pan wie, że gdy byłam dzieckiem, nic dla mnie nie było gorszego niż zapach mydła? Nigdy, przenigdy nie chciałam mieć z tym do czynienia. Kiedy wyglądałam z mojego okna, widziałam na ślepych murze naprzeciwko Uśmiechniętą Praczkę. Miałam ochotę zeskrobać ją paznokciami.

– A to był właśnie najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek miał pan ojciec. Tym drugim, decydującym punktem obok jakości produkcji jest reklama. Producenci przeważnie unikają na to wydatków, a poza tym uważają to za niepoważne szarlataństwo i dlatego muszą ograniczać się do małego kręgu odbiorców. Moim marzeniem jest stworzenie czegoś w rodzaju monopolu na jakiś produkt, a można to osiągnąć tylko przez reklamę, reklamę na wielką skalę, w gazetach, na słupach ogłoszeniowych, na dworcach, w pociągach, na każdym bilecie tramwajowym i jeśli o mnie



chodzi, również na ślepych murach, wszędzie gdzie miliony ludzi to codziennie widzą. Jeden produkt, najwyżej dwa, aby zdobyć tym cały rynek, a potem zobaczymy, co dalej.

– Czy pan powiedział to wszystko mojemu ojcu?

– Nie tak szczegółowo.

– Uważa pan, że ojciec nie chciał wcale tak dokładnie o tym wiedzieć.

Nie potrzebuje brać go pan w obronę, niech pan powie mi raczej, dlaczego chce go mieć za wspólnika, gdyż tego wciąż jeszcze nie wiem.

– Po pierwsze, chodzi mi o dawną jego klientelę. Po drugie, o wprowadzone przez niego wyroby i o nazwisko, jak już mówiłem. W ten sposób będę miał, jak się to mówi, zapewniony teren. Zacząć zupełnie od początku, na to nie miałbym jeszcze dość środków. – I znowu przyjrzał się jej badawczo. – Pani nie brak zręczności. Zmusza mnie pani do określenia, ile partnerstwo pani ojca jest dla mnie warte.

– Dziesięć procent od zysku, który na razie wisi gdzieś wśród gwiazd. I pan nazywa to partnerstwem?

– To była jego propozycja. Ja próbowałem mu wyjaśnić, że zyski w pierwszych latach będą jeszcze niewielkie. Nadwyżkę trzeba będzie od razu znów zainwestować w firmę. Rozbudowa znaczy tyle co inwestycja.

– Ale jakąś gwarancję musi pan jednak memu ojcu zaoferować.

– Jedyna gwarancja, jaką mogę mu dać, to moja osoba, to, że jestem odpowiednim do tego człowiekiem i mój pomysł jest słuszny. Właśnie to mu powiedziałem. Naturalnie mógłbym pewną sumę zagwarantować, ale wtedy byłbym zmuszony poszukać jeszcze jakiegoś dodatkowego partnera, lecz na to nie mam ochoty, chcę pozostać sam. Powiem całkiem otwarcie: mam dwadzieścia tysięcy marek zaoszczędzonego kapitału,

pewną część potrzebnych maszyn i widoki na nabycie terenu. Będę potrzebował każdego feniga z mojego kapitału na zakup surowców i wypłacanie wynagrodzeń, nawet jeśli z początku nie zwerbuję komiwojażerów i sam będę prowadził sprzedaż...

– Kiedy chce pan zacząć?

– Natychmiast. Jesień to dobra pora, a przy tym z każdym dniem zapomina się coraz bardziej o tych wyrobach.

– A gdzie?

– W Neustrelitz.

– Dlaczego właśnie tam? – Kamila jakoś oczekiwała, że wymieni Berlin. Neustrelitz. Już sama ta nazwa wywołała w niej obraz małej, zaspanej stolicy księstwa. W każdym razie znajdowała się ona na trasie do Berlina, w pół drogi.

– Długo myślałem o Berlinie – powiedział, jakby odgadując jej myśli. – Berlin miałby wiele dobrych stron, ale obliczyłem, że na tamtejszy rynek potrzebowałbym trzykrotnie większego kapitału. Berlin przekracza moje możliwości. Czysze i robocizna w Neustrelitz wynoszą tylko drobną część tych wydatków. Mogę zakupić tam fabrykę beczek, która ogłosiła upadłość, dobry teren, zaopatrzone w prąd i połączenie kolejowe, oraz prawo pierwokupu dalszych terenów. Przeliczyłem dokładnie koszty pierwszego roku, każdą poszczególną pozycję, jeśli to panią interesuje...

Z początku, kiedy o tym mówił, że pewnego dnia w całych Niemczech będą kupowali tylko jeden gatunek mydła, Senger przypominał jej ojca, fantastę, który żyje mrzonkami. Ale teraz, kiedy mówił o pieniądzu, robociznie, cenach surowców i przyłączeniu do sieci prądu, okazywał się trzeźwym realistą. Być może był jednym i drugim, fantastą i realistą

jednocześnie, i może ktoś, kto chce wiele osiągnąć, winien łączyć w sobie te obie cechy. Pytanie polegało tylko na tym, która z nich była u Sengera dominująca. Co przeważało u niego w decydującej chwili? Kamilę przepęłniała nieufność, i to nie tyle do niego, ile raczej do zaufania, jakie w niej wzbudzał. Kiedyś bowiem ufała również swojemu ojcu.

Senger przestał mówić. Znajdowali się całkiem sami w restauracji. Obaj samotni panowie już poszli i nawet kelner się nie pokazywał. W restauracji nie było zegara i w hotelu panowała cisza. Również między nimi zapadło milczenie, lecz to milczenie Kamili nie zaniepokoiło. Wydawało się, jakby oboje chcieli wypróbować, czy mogą porozumiewać się również bez słów.

– Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować – powiedziała w końcu, nie zastanawiając się nad swoimi słowami.

– To znaczy, że pani będzie namawiać swego ojca?

– Jeśli pan zechce, możemy do niego pójść.

– Teraz zaraz?

Dopiero to jego pytanie przypomniało jej znowu o tym, że ktoś na niego czeka, oraz również o Wittem. Na pewno Witte jest już na „Królowej Krystynie” i tam rozgląda się za nią. – Oczywiście nie chciałabym, aby pan spóźnił się na zabawę.

– Czy przez to coś stracimy?

Ulica wzdłuż rzeki Starej Warnow była istnym lasem lampionów. To, że część wakacyjnych gości już wyjechała, nie odgrywało żadnej roli, bo za to wydawało się, że pół Rostocku przybyło do Warnemünde. Aż roiło się od ludzi przy stoiskach nad brzegiem i na obu odświętnie udekorowanych statkach. Muzyka rozlegała się nad rzeką, z jednego statku polka,

z drugiego sztajerek. Jeśli chcieli spotkać się z ojcem, trzeba było iść okreśną drogą, a jednak wybrali ją w bezsłownym porozumieniu. Torowali sobie drogę przez tłum i Kamila spotkała kilka pań, które po południu, podczas spaceru z Wittem, za nią się oglądały. Ta sama gra powtórzyła się teraz, choć ciekawość ich nie była już tak dyskretna ani tak życzliwa. W pobliżu kładki, która prowadziła na „Królową Krystynę”, przystanęli. Na rufie znajdował się podest do tańca i w tłumie postaci Kamila rozpoznała ową blondynkę, która wirowała w ramionach jakiegoś marynarza, tuż nad relingiem. Kamila była pewna, że również i Senger ją zauważył, i dlatego powiedziała do niego:

– Zawsze zdąży pan jeszcze na zabawę.

Senger nic nie odpowiedział, ale ruchem głowy wskazał na koniec kładki prowadzącej na statek: – Zdaje mi się, że ktoś zwraca się do pani – powiedział.

Zanim jeszcze Kamila dostrzegła Wittego, usłyszała jego głos. Wołał ją, wymieniając jej nazwisko. Być może tam na nią czekał, być może wstał od swego stolika i wybiegł, aby jej szukać, w każdym razie teraz wyruszył wołając i dając jej znaki ręką, aż nagle stanął jak wryty, kiedy dostrzegł, że nie jest sama.

Miał na sobie białe ubranie z ciemną chusteczką w kieszonce, jakby chciał naśladować ojca Kamili, a z jego twarzy znikły bokobrody.

– Chodźmy stąd – powiedziała Kamila do Sengera. – Bo wie pan, sprawiłam komuś zawód.

Na twarzy Sengera ukazał się niedowierzający uśmiech, po czym wziął ją pod ramię i wyprowadził z tłoku.

Dopiero przy latarni morskiej było spokojniej. Tutaj spotykali po

drodze tylko poszczególne pary, które, tak samo jak oni, odłączyły się od reszty, oraz bony odprowadzające powierzone ich opiece dzieci do domu po obejrzeniu udekorowanych statków. W końcu pozostali zupełnie sami, towarzyszył im tylko odgłos własnych kroków oraz szum morza, który teraz, w ciemności, był całkiem inny niż za dnia, bardziej różnorodny i poważny, z miarowym rytmem ciężkich długich fal.

Zeszli w dół po schodkach, które w regularnych odstępach prowadziły z promenady na plażę, i poszli dalej po piasku, mając po prawej stronie ciemne pasmo, na którym przetaczały się fale przyboju.

– Co to za życie – spytała nieoczekiwanie – kiedy się tak stale jeździ i jest stale w drodze?

– Nie znam innego życia.

– A co za towary pan już sprzedawał?

– Zabawki z czeskich gór, konie na biegunach, pikowane pokrycia na czajniki, figurki świętych i ołowianych żołnierzy.

Pewnego razu sprzedałem huzarską orkiestrę, to znaczy właściwie wynająłem ją i wozilem po całym kraju z wielkim powodzeniem. W końcu wylądowałem przy środkach do prania, najpierw w jakiejś innej firmie, potem u pani ojca.

Odpowiadał z pewnym wahaniem, widać było, że nie jest przyzwyczajony mówić o takich sprawach.

– A w jaki sposób dochodzi się do takiego zawodu?

– Tak, w jaki sposób... Wydaje mi się, że ma się to już we krwi. Mój ojciec też przez całe życie podróżował.

– Jako komiwojażer?

– Jak pani chce, można to i tak określić. Pracował w cyrku „na żółtym

piasku”, jak sam to nazywał. „Pięciu ekscentryków” to była trupa kłownów uprawiających również akrobację; wbieganie na wieżę po linie oraz inne tego rodzaju figle.

– Jeśli tak, to mój ojciec musiał go kiedyś widzieć. Nie opuszczał żadnego programu cyrkowego w Berlinie, a kiedy już na tyle dorosłam, brał mnie z sobą do cyrku Buscha nad brzegiem Sprewy i do Schumanna przy Schiffbauerdamm...

– Mój ojciec pracował w małym cyrku, nie u Buscha czy Schumanna. Cyrk ten nazywał się Sidoli. I ja również nigdy nie widziałem występów mego ojca, oglądałem tylko zdjęcia. Miał wypadek, uszkodzenie kręgosłupa przy upadku, a więc musiał z tym skończyć. Ale został w cyrku, zajmując się reklamą. Zapowiadał przyjazdy cyrku i pilnował, żeby w gazetach ukazywały się odpowiednie artykuły i fotografie, rozwieszał afisze, oddawał do druku programy oraz rozdawał baloniki. Miał wspaniałe pomysły, zupełnie nowe, na przykład przemawiał w szkołach, gdyż dzieci to ważna publiczność. Wprawdzie same nie płacą, ale przyprowadzają z sobą rodziców do namiotu. Chodził więc do dyrektorów szkół i przekonywał ich, aby pozwalali mu mówić w poszczególnych klasach – zwłaszcza tresura dzikich zwierząt była tematem, którym lubił się popisować – i wieczorem przychodziły potem przeważnie te same dzieci ze swymi rodzicami w komplecie na przedstawienie. On umiał cudownie przemawiać...

– Czy pan z nim podróżował?

– Tak.

– A pana matka, czy ona też była...

– Nie – powiedział szybko. – Znałem tylko mojego ojca. Przez chwilę

szli milcząc, zaszli już daleko, niemal do stacji ratunkowej, która znajdowała się mniej więcej na tej samej wysokości, co dom cioci Lenki. O tej porze nie było tam żadnego posterunku. Jakaś łódka leżała dnem do góry obok szopy i na tej łódce usiedli. Gdzieś daleko na morzu poruszało się powoli jakieś światło.

– A gdzie miał pan swój dom? – zapytała Kamila. – Czy był w ogóle jakiś dom, dokąd wracaliście, na przykład zimą.

– Mieszkaliśmy zawsze w hotelach i mój ojciec umarł też w hotelu, ale stanowiły one dla nas dom. Mój ojciec był pod tym względem trochę dziwakiem, nie miał nic przeciwko hotelom, kochał je wręcz, mieszkał zawsze w tych samych i musiały to być zawsze te same pokoje. Miał swoją pościel, ręczniki, a nawet zastawę stołową, i pił kawę tylko z określonej filiżanki. Skoro tylko przyjeżdżaliśmy do jakiegoś nowego miasta, zaraz się to zaczynało: w ciągu pół godziny każdy pokój hotelowy przybierał od razu jednakowy wygląd. Ojciec woził nawet z sobą kilka obrazków, które zawsze tam rozwieszał. I podobno posiadał również własny dom. Miał fotografię tego domu i często mi ją pokazywał. Opisywał mi ogród, pokoje i całe urządzenie, obiecywał, że pewnego dnia tam się przeniesiemy. Ale ten dom był tylko jego marzeniem. Skupywał do tego domu różne piękne rzeczy i deponował je u przyjaciół, na później.

– I nigdy się tam nie przeniósł?

– Nigdy.

– Ale dlaczego?

– Bo tego domu w ogóle nie było. Fotografię, którą mi pokazywał, miał nie wiadomo skąd. Po jego śmierci wypytywałem jego przyjaciół i kolegów, ale oni się tylko uśmiechali i mówili, że ten dom był tylko

wytworem jego nostalgii. Z początku nie chciałem im wierzyć i sądziłem, że pewnego dnia dowiem się o nim czegoś, ale było tak, jak mówili, dom istniał tylko w jego wyobraźni.

– Czy pan ją jeszcze posiada?

– Tę fotografię? Tak. Ja ją zachowałem.

– Chciałabym ją kiedyś zobaczyć.

Senger nic na to nie odpowiedział, lecz wstał i zrobił parę kroków w kierunku morza. Kamila widziała, jak tam stał, i przyszło jej na myśl, że w gruncie rzeczy jest on dla niej całkiem obcy, a jednak miała wciąż uczucie, że zna go już od dawna.

Wstała również i podeszła do niego, jakby nie mogła znieść, że on się od niej oddala.

– Czy pani tu często przychodzi? – zapytał.

– Mam moje ulubione miejsce, położone jeszcze dalej, o pół godziny drogi na zachód od Warnemünde. Latem jest tam pięknie.

– A w zimie? Co robi się tu w zimie?

– Czeka się na lato.

– Pani ojciec powiedział, że macie zamiar wrócić do Berlina.

– Bardzo bym tego pragnęła, ale to jest jak z tym domem, który istnieje tylko na fotografii, również mój ojciec wierzy w rzeczy, których w ogóle nie ma.

– A pani?

– Ja sama nie wiem, wydaje mi się, że chciałabym tylko zatrzymać te rzeczy, które kocham.

– Ile pani ma lat? – zapytał.

– Jestem bardzo stara, prastara. – I nagle mogła się znowu uśmiechać.



Z samej jego obecności spływało na nią poczucie bezpieczeństwa, choć nie umiałyby powiedzieć, dlaczego tak było. Być może nawet wcale tego nie chciała wiedzieć, pragnęła tylko, aby tak pozostało. Opuścili plażę, weszli na górę na promenadę i udali się w kierunku domu cioci. Kamila myślała o popołudniu, kiedy go po raz pierwszy ujrzała, jak stał przed werandą i przez okno zaglądał do wnętrza domu. Obawiała się wtedy, że wizyta tego nieznajomego mogłaby mieć jakieś nieprzyjemne konsekwencje. Ale teraz śmiała się z tego wspomnienia i kiedy spojrzał na nią pytająco, powiedziała: – Wciąż jeszcze nie wiem, w jaki sposób pan się dostał do naszego domu, wciąż jeszcze całkiem dokładnie nie mogę sobie tego wyobrazić.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Defilada wojskowa była już w pełnym toku, kiedy dorożka minęła kordon broniący dostępu na pole Tempelhofu i przystanęła na przedpolu, aby pozwolić wysiąść pewnej samotnej damie. Służba porządkowa patrolowała tam i z powrotem, a kilka podejrzanych postaci kręciło się tu i tam. Wiosenne i jesienne defilady były ulubionym miejscem pracy dla złodziei kieszonkowych i mawiano, że na te uroczystości przyjeżdżali z daleka i że ich łupy bywały znaczne.

Widzowie, którzy nie mieli miejsc na trybunach, stali stłoczeni w kilku rzędach na skraju placu ćwiczeń, wciąż jeszcze poszturchując się i popychając, tak że Lu zaczęła obawiać się o wstawki koronkowe swojej sukni i rozglądała się za kimś, kto by utorował jej drogę na główną trybunę.

To, że w ogóle spóźni się na defiladę i że nie będzie to miało dla niej najmniejszego znaczenia, dawniej nie mogło się jej nawet przyśnić: pole Tempelhofu pełne żołnierzy, morze jaskrawych barw, lśniących hełmów i rozwianych pióropuszy oraz miejsca na trybunie stanowiły w dziewczęcych latach sumę wszystkich jej ambitnych pragnień. A miejsce na głównej trybunie oficjalnie potwierdzało, że się należało do tego towarzystwa, które figurowało na liście zapraszanych do dworu, i że zaliczało się do tych uprzywilejowanych, którym wolno było kąpać się bezpośrednio w blasku łaski cesarza. Ale od czasu zamążpójścia defilady się jej sprzykrzyły, gdyż już na cały tydzień przed nimi mąż stawał się nieznośny i tyranizował ją i całą służbę domową przygotowaniem, które były konieczne, aby jego galowy mundur był w należyтым porządku.

Jeden z lokai dworskich w końcu ją zauważył, wziął od niej bilet – rząd 14, miejsce 32 – i usiłował utorować drogę do jej miejsca. Złożyła parasolkę, uniosła z lekka suknię i weszła za nim do góry po wąskich schodkach, na brzegu trybuny. Już zaczął ją swędzieć nos od kurzu, który podnosił się z placu ćwiczeń. Zacisnęła wargi, jakby przez to mogła go mniej wdychać, i pocieszała się myślą o niespodziance, jaką przygotowała dla matki. Tylko ekspresowy list ojca zdecydował o tym, że w ostatniej chwili wybrała się jeszcze na defiladę.

Uśmiechając się i mrucząc nieustannie „przepraszam”, przepychała się przez rząd widzów. Jej miejsce znajdowało się mniej więcej pośrodku i precyzyjnie się do niego było nader trudno, gdyż kapelusze dam tej jesieni przybrały jeszcze większe rozmiary. Barwy żółte i zielone dominowały. Wreszcie zobaczyła swoje wolne miejsce obok olbrzymiego florenckiego kapelusza matki. Usiadła odetchnąwszy, postawiła parasolkę obok siebie i najpierw obrzuciła wzrokiem wielką żółtą płaszczyznę, na której pułki formowały się już do defilady.

– Co to ma znaczyć? – powiedziała Emmi Hofmann.

– Albo przyjdź na czas, albo zostań w domu. Czy myślisz, że nikt tego nie zauważy? Czy chcesz *partout* szkodzić swojemu mężowi? – Zajrzała do programu, który miała przed sobą, i przyłożyła znów lornetkę do oczu.

– Mam nie lada nowinę! O Kamili. Ale się zdziwisz!

– Lecz orkiestra zaczęła już grać i zagłuszyła wszystko. Był to jasny, słoneczny, chociaż już nieco chłodnawy jesienny dzień, który nadawał kolorom szczególnej jaskrawości. Ale Lu czuła tylko kurz drażniący jej krtań. Pochyliła się nad uchem matki.

– Słuchaj; wydaje mi się, że jestem w ciąży. – Ale nawet tym nie udało

się jej zwrócić na siebie uwagi matki, gdyż teraz nastąpił wielki moment, kiedy pułki zbliżały się do cesarskiej łoży.

– To *garde-du-corps* – powiedziała Emmi Hofmann.

– Wydaje mi się, że dostrzegam twego męża. Muszę przyznać, że na koniu wygląda olśniewająco. Ramiona przy jego nowym mundurze są trochę, jak na mój gust, za mocno wywatowane. Patrz, spogląda w górę do nas, czy chcesz lornetkę?

– Wiem, jak wygląda w swoim czerwonym galowym mundurze. Jego krawiec w tym tygodniu przedłożył mi znów rachunki, wciąż jeszcze nie zapłacone. Jeśli jestem naprawdę w ciąży, muszę coś przedsięwziąć.

Znowu hałas stał się zbyt głośny, aby móc ciągnąć dalej rozmowę. Bębny, fanfary, tętent koni i okrzyki powitalne widzów, wszystko pomieszało się z sobą. Pełna niecierpliwości Lu czekała na końcową ceremonię, kiedy cesarz opuści swą łożę. Myślamy była znów przy liście ojca, który miała przy sobie. Wydawało się, że Kamili przypadł los z wielką wygraną. Lu wciąż jeszcze nie mogła tego zrozumieć. A ona siedziała z takim mężem, który kazał za wszystko płacić z jej kieszeni. To był rzeczywiście świat na opak!

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy wszyscy podnieśli się z miejsc i tak pozostali, aż cesarz opuścił trybunę. Na skraju placu ćwiczeń stały niebieskie namioty dla honorowych gości, których zaraz po defiladzie zapraszano na lampkę wina, i tam wszyscy się teraz pchali. Obie damy, doświadczone w takich sytuacjach, pozostały na swoich miejscach, aż trybuna się mniej więcej opróżniła.

Emmi Hofmann oderwała wreszcie oczy od mundurów. – Coś ty powiedziała, że jesteś w ciąży?

– Możliwe, że tak. – Było charakterystyczne, że matka właśnie o to pytała, a nie o nowiny dotyczące Kamili. Kamila i ojciec, oni oboje stanowili dla matki tabu, nigdy się o nich nie mówiło, powiedziała bowiem kiedyś Emmi Hofmann, że ten temat jest już dla niej raz na zawsze zamknięty, i trzymała się tego z żelazną konsekwencją.

– Mieć dziecko. Może nie byłoby wcale tak źle, przeważnie zmienia to mężczyznę na korzyść. W każdym razie daje żonie możliwość rozszerzenia swoich praw w małżeństwie.

– Czyś ty oszalała! Ja nie chcę dziecka. Miałam nadzieję, że mi pomożesz, gdyby moja obawa miała się potwierdzić. I tak jest już wystarczająco ciasno w naszym mieszkaniu. I te dodatkowe wydatki! Czy wiesz, ile kosztuje taki tryb życia, jaki prowadzimy? I wszystko idzie z mojej kieszeni. Utrzymanie domu, czynsz i służba, a ta Cilly domaga się jeszcze o dwadzieścia marek wyższej pensji! A nie zapominaj i o samym Geerdzie. To, czego teraz najpilniej potrzebuje, to nowego wierzchowca! Czy wiesz, że Geerd w ciągu dwóch lat roztrwonił już połowę mojego posagu! Nawiasem mówiąc, słyszałam, że sprzedałaś dom.

Emmi Hofmann włożyła lornetkę teatralną do futerału i wstała. – Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby coś przekąsić. Chodź, i tak musisz się pokazać, bo inaczej zaczną się plotki.

– Czy dom został sprzedany? Tak czy nie?

– Kto szerzy takie pogłoski?

– Dowiedziałam się o tym ze źródła godnego zaufania. Również suma została mi podana. Sto osiemdziesiąt tysięcy. Świetna cena! Widzisz, jak dobre jest moje źródło! Komu się właściwie należą te pieniądze?

Emmi Hofman zaczęła czegoś szukać w torebce. – Wspomniałaś

niedawno, że podwyższono wam czynsz. Powinnaś powiedzieć to swojej teściowej, a nie mnie! Przypomnij jej wspaniałomyślną obietnicę, że da wam do dyspozycji mieszkanie w jednej ze swoich kamienic. Ostatecznie ma ich aż trzy. Czekałem nic z tą panią nie wskórasz. Musisz pokazać zęby, aby przypomnieć jej trochę o więzach rodzinnych. – Słowa te wymykały się jej po cichu, jak to się mówi, z kącików ust, podczas gdy uśmiechając się kłaniała się na lewo i prawo. Lu znała dobrze ten zastygły uśmiech na twarzy matki i wiedziała, że na razie nic więcej nie osiągnie. Od wyprowadzenia się z domu w Steglitz i od czasu, kiedy matka mieszkała sama, nastąpiło coś zadziwiającego w jej usposobieniu: stała się skąpa. Dawniej nigdy się nie pytała, skąd pochodzą pieniądze, które wydawała pełnymi garściami, ale kiedy teraz chodziło o jej własne fundusze, oglądała trzykrotnie każdy grosz. Kiedy spotykały się w mieście na obiedzie lub kawie, co odbywało się raz czy dwa razy na tydzień, matka z zasady dawała się zapraszać. A kiedy raz Lu spróbowała podsunąć jej rachunek, okazało się niebawem, że matka w portmonetce ma tylko kilka groszy na powrót do domu.

Zeszły z trybuny. – Zaczekaj, dokąd chcesz iść? – zaprotestowała Emmi, kiedy Lu skierowała się na przedpole placu ćwiczeń. – Wcześniej niż za pół godziny nie będzie tam żadnej dorożki.

– Zachowujesz się tak, jak gdybyś była pierwszy raz na defiladzie. Ja mojej dorożce kazałam czekać. Dzisiaj otrzymałam od ojca list, o którym chciałam z tobą pomówić. Będziesz zdumiona.

Matka znowu się tym wcale nie przejęła, lecz powiedziała: – To pięknie, jeśli możesz pozwolić sobie na to, aby kazać czekać dorożce.

A potem gderwała na połatane skórzane obicie, złe resory i zatłoczone

ulice. Dorożka posuwała się naprzód krok za krokiem, potem zupełnie utknęła, aż wreszcie wydostała się z największego tłoku i konie przeszły w lekki kłus. Lu wyciągnęła list ojca z torebki.

– Najlepiej przeczytaj sama.

Emmi Hofmann pozostała sztywna w swoim kącie i odepchnęła od siebie rękę córki trzymającą list, jakby już samo jego dotknięcie kosztowało ją zbyt wiele. – Jak często mam ci powtarzać, że skończyłam z tym raz na zawsze.

Lu przyjrzała się kopercie, charakterowi pisma ojca, znaczkom pocztowym i stemplowi oraz dopisanej czerwonym atramentem uwadze, że adresat winien uiścić dopłatę pocztową. – Udzielasz zawsze tak mądrych rad, na przykład że nie wolno dać się powodować uczuciem, a teraz popełniasz sama ten błąd. Twoja nieprzejednana postawa...

– To już musisz pozostawić tylko mnie.

– A więc nie jesteś wcale ciekawa?

– Co on może mieć do pisania! Pewnie potrzebuje pieniędzy. On zawsze będzie potrzebował od kogoś pieniędzy. Ciesz się, że już nas to nie dotyczy. Albo może znowu chcesz się pozwolić do tego wciągnąć? Bo przecież o to chodzi...

Lu wyjęła z torebki dropsy owocowe i wsunęła jeden do ust, aby nareszcie pozbyć się smaku kurzu i suchości w gardle. Z początku spieszyła się ze swoją nowiną, ale teraz bawiło ją, że każe matce jeszcze trochę czekać.

– Wprawdzie pisze on o pieniądzech, masz rację, ale nie dlatego, że ich potrzebuje. Powiedziałabym, że odwrotnie. Ale, ale, czyś ty tak posiwiiała? Albo czy ja się mylę? Z siwizną będzie ci do twarzy. Mówi się, że

rudowłose najpiękniej siwieją.

– Nigdy nie byłam ruda! A teraz, co z tym listem?

Lu była pochłonięta przyglądaniem się swoim ażurowym rękawiczkom. Ale długo nie wytrzymała. – Nasza beniaminek Kamila wychodzi za mąż!

– Co robi? Wychodzi za mąż?

– Tak jest, bez żadnych zaręczyn, żadnej zwłoki, żadnych zapowiedzi oraz żadnych oficjalnych zaproszeń. Po prostu wychodzi za mąż. Na łeb na szyję.

– Za kogo?

– Dopiero teraz stawiasz rozsądne pytanie. Wiedziałam, że tak będzie. No zgaduj! Kto pasuje do Kamili? Malarz? Muzyk?

– To byłoby do niej podobne.

– Takeśmy myślały! Ale zdaje się, żeśmy się pomyliły co do tej naszej cichej wody. Ona złowiła sobie na wędkę Dogatego przemysłowca! Teraz się dziwisz! Nasza kochana, malutka, niewinna Kamila! Bogatego przemysłowca.

– Co ojciec dokładnie pisze?

– Znasz listy ojca, z setek przechodzi zaraz na tysiące trzeba dopiero wyławiać z tego fakty. Ale to jedno jest pewne, że jeśli choćby połowa była prawdą, musi to być nie lada szczęściarz. Posiada wielką fabrykę w Neustrelitz.

– Ale gdzie ona mogła go poznać? – zapytała Emmi Hofmann, jakby to pytanie najbardziej ją zainteresowało. – Czy ojciec pisze, kiedy odbędzie się wesele?

– Za dwa tygodnie. List jest wysłany już z Neustreitz!

Dorożka zatrzymała się z nagłym szarpnięciem. Lu wyjrzała z okna



i zobaczyła, że przyjechali już przed dom na Agerstrasse. Był to trzypiętrowy budynek w typowym dla Berlina kolorze kawy z mlekiem, ale fasada z wzorem w kwadraciki już od dawna powinna być na nowo pomalowana.

– Czy nie chcesz wejść ze mną na górę? – ale mina matki mówiła wyraźnie, jakiego zdania jest ona co do mieszkania Orki, i Lu mogła się z nią tylko zgodzić. Nigdy nie lubiła tego mieszkania, a w tej chwili stanowiło ono widoczny dowód, jaka niesprawiedliwość panowała na tym świecie: jej matka siedzi ła pieniądzech, Kamila wychodzi za mąż za bogacza, a ona musi pędzić życie w trzech pokojach dawnej kawalerki męża. Początkowo miało to być tylko tymczasowe rozwiązanie dlatego nie zadała sobie nawet tyle trudu, żeby kazać zerwać brzydkie tapety, które swoim ponurym fioletem oraz ciemnobordowym i niebieskozielonym kolorem czyniły małe pokoiki jeszcze ciaśniejszymi, niż były.

– Przejdźmy się więc kilka kroków.

Obie wysiadły. – A co z dorożką? – zapytała Lu. – Każę jej czekać, gdyż na pewno będziesz chciała z niej skorzystać, aby pojechać dalej.

Ale matka zbyt dobrze знаła Lu, by nie odgadnąć zamiaru córki, która celowo zmierzała do tego, aby matka zapłaciła całą jazdę tam i z powrotem.

– Odeślij dorożkę. Przejdę chętnie pieszo ten kawałek drogi do domu.

Lu zgrzytając zębami zapłaciła za dorożkę i obie panie poszły w kierunku Gendarmen-Markt. Po jednej stronie jezdni była rozkopana, kamienie brukowe leżały ułożone jedne na drugich na zwężonym przez to chodniku. Emmi Hofmann potrząsnęła głową.

– Właściwie ile razy chcą jeszcze rozkopywać tę jezdnię!

– Jest tu ten główny urząd telefoniczny.

– Dawniej przynajmniej kopali tylko latem, kiedy wyjeżdżało się na wakacje. – Na tym ten temat wydawał się wyczerpany. – W jaki sposób można z kimś takim zawrzeć znajomość w Warnemünde?

– Uważam, że ktoś z nas musi tam pojechać.

– A jak on się nazywa?

– Senger.

– A więc nie szlachcic?

– Od kiedy to przemysłowcy pochodzą ze szlachty?

– A co on produkuje?

– Mydła!

– Mydła? Senger? Nigdy o takim nie słyszałam.

– Ojciec pisze, że wcześniej czy później opanuje on cały niemiecki rynek.

– Ja nie mogę wyjechać. – Emmi Hofmann skierowała się do kiosku, w którym sprzedawano wodę sodową „z” i „bez”, a to „z” oznaczało z sokiem malinowym. – Nie mówiąc już o tym, że pierwszego października zaczyna się tu sezon, ja i tak nie chcę jechać... Proszę o szklankę „z” i o dwie słomki.

– Młoda dziewczyna potrzebuje matki przed ślubem.

– Chodź, i tak naprawdę masz zupełnie co innego na myśli.

– Owszem, sądzę, że sytuacja się do pewnego stopnia zmieniła. Ojciec również chce to wykorzystać. Czy nie uważałabyś, że pojednanie w takim momencie byłoby słuszne?

– Przyznaję, że to zmienia niejedno. – Dookoła jej ust ukazał się ten sam uśmiech, co po defiladzie. Między Lu i matką panowało jakieś

instynktowne zrozumienie. Nigdy nie było ono na tyle mocne, aby całkiem wykluczyć wzajemną nieufność, ale niekiedy wywierało swój wpływ. – Może ty pojedziesz i wysondujesz najpierw teren. Proszę, zapłać za moją wodę sodową.

Lu zapłaciła i odciągnęła matkę od kiosku. – Słuchaj, między nami musi być wszystko jasne. Mam nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, iż możesz zabrać całą sumę za dom wyłącznie dla siebie.

Emmi Hofmann spojrzała na zegarek, który nosiła na długim łańcuszku na szyi. – Na mnie już czas.

– O nie. – Lu położyła rękę na ramieniu matki. – Mogłabym zawiadomić o tym Kamilę. Właściwie przecież te pieniądze jej się należą. Dom był pomyślany jako jej posag.

– Daremny twój wysiłek. W ten sposób nic u mnie nie osiągniesz. – Emmi Hofmann wyglądała na całkiem opanowaną. Warstwa pudru na jej gładkiej, różowej twarzy była nieskazitelna, tylko na górnej wardze wystąpiły delikatne kropelki potu. – Prawie nie możecie mi nic zarzucić.

– Kiedyś powiedziałaś, że jeśli uda ci się dom dobrze sprzedać, to będzie można jeszcze o tym pogadać.

– To w każdym razie brzmi już zupełnie inaczej.

– Przedstawiłam ci już moje wydatki. W żaden sposób nie wydołę. Muszę stale czerpać z kapitału i jeżeli nadal tak pójdzie, Geerd w ciągu najbliższych trzech lat roztrwoni resztę mojego posagu. Czy wiesz, ile on dostaje od czasu swojego awansu? Sto siedemdziesiąt pięć marek żołdu na miesiąc. To starczy akurat na jego koszule i lakierki.

– Mogę ci tylko powtórzyć – zwróć się z tym do teściowej. Same piękne słówka, a ty się na to nabierasz.

Przestrzegałam cię od razu na początku. I ten śmieszny prezent ślubny! Bo co znaczą stare rodzinne pamiątki, jeśli nie mają żadnej wartości. W słowach to oni są wspaniali, zarówno matka, jak i syn, ale to są słowa bez pokrycia. Oboje to stuprocentowi egoiści. Usiłują tylko ciebie wykorzystać. Oczywiście, jeśli ty im na to pozwolisz. Stań dęba!

– To wywołać może tylko kłótnię. Ja im odpłacam za to na mój sposób.

– Powiedziawszy to, przystanęła i zatrzymała również matkę. Jakaś dorożka zajechała w dół ulicy i zatrzymała się przed domem. Wskoczył z niej mężczyzna w mundurze i dzwoniąc ostrogami oraz włączając za sobą szablę wbiegł do bramy. Nawet gdy nie siedział na koniu, miał lekko pochyloną do przodu postawę jeźdźca.

Obie panie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Teraz zacznie się „przebieranka” – powiedziała Lu.

– Trzy razy na dzień. To przedstawienie powinnaś kiedyś zobaczyć. Jeśli się okaże, że rzeczywiście jestem w ciąży, musisz koniecznie rozmówić się z doktorem Clevinsem.

– To istna bezczelność, jakich honorariów on żąda.

– Twoja córka jest chyba dla ciebie tego warta.

– Co masz przeciwko dziecku?

– Jeśli chcesz wszystko wiedzieć dokładnie, to nie jestem pewna, czy to dziecko Geerda. – Lu w duszy śmiała się z powodu szoku, jaki wywołało u matki to wyznanie, a poza tym było dla niej jasne, że nie ma skuteczniejszego środka nacisku. – Otóż właśnie nie jestem całkiem pewna...

– Ależ proszę! – nie dała jej matka dokończyć. – Rozmówię się z doktorem Clevinsem.

– Za dom dostałaś sto osiemdziesiąt tysięcy, prawda?

– Lecz ile od tego odejdzie! A jeśli ci coś z tego oddam, to co będzie z Alicją i Maxi?

Lu uznała, że na razie więcej się nie da osiągnąć. – Zastanów się nad tym spokojnie. Możemy jeszcze potem pogadać. Nigdy nie było moim zamiarem wywierać na ciebie nacisku.

– Pojedziesz do Kamili?

Czy nie powinien ktoś z rodziny się o nią zatroszczyć? Zaraz ci o tym napiszę. Może wówczas w końcu potrafisz się jednak przemóc. Jesteś w takich sprawach po prostu nieprześcigniona, a kto wie, może ten Senger to bardzo miły, przystępny człowiek.

– W każdym razie to byłoby coś całkiem nowego mieć zięcia, który nie chce ode mnie pieniędzy. – Przywołała przejeżdżającą właśnie dorożkę. W gruncie rzeczy Emmi wcale nie miała zamiaru iść pieszo do domu. – A więc napisz mi zaraz – powtórzyła, wychylając się z okna dorożki. – Może jednak jeszcze zmienię decyzję. Masz rację, na takie rzeczy trzeba patrzeć trzeźwo. No i ostatecznie chodzi o Kamilę.

Lu odprowadziła wzrokiem dorożkę, aż skrzyła koło francuskiego kościoła. Na klatce schodowej było chłodno. Czerwony chodnik na marmurowych schodach wymagał odnowienia, tak samo jak tynk na domu. Matka miała słuszość, trzeba stanąć dęba. Najlepiej zacząć po prostu od zalegania z czynszem. Wtedy wymówią nam mieszkanie i teściowa będzie musiała pomóc.

Kiedy Lu była już w mieszkaniu, zdjęła kapelusz. Wiedziała z góry, co za widok zastanie, kiedy wejdzie do sypialni, ale chciała mężowi najpierw powiedzieć, że zamierza wyjechać na kilka dni.

Otworzyła drzwi: czerwony galowy mundur leżał na podłodze, szabla w poprzek łóżka, a spodnie zwisały okrakiem z poręczy krzesła. Buty były niedbale rzucone koło łóżka. Na szafie wisiał frak przygotowany na wieczór i jak zawsze leżało z pół tuzina wyciągniętych z szafy koszul, gdyż żadna nie wydała mu się dość nakrochmalona. Usłyszała, że jest w łazience.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła do saloniku. Zadzwoiła na pokojówkę i chciała właśnie z nią omówić, co należy przygotować do podróży, kiedy głos jej męża rozległ się po całym mieszkaniu:

– Jak często mam jeszcze powtarzać, że należy wkładać prawidła do lakierków! Bo od czego one są, do diabła! Nic dziwnego, że lakierki się marszczą, Cilly!

Lu skinęła na pokojówkę. – Proszę wyjść. – Jej myśli wędrowały gdzieś daleko. Oto siedzi już w pociągu, w eleganckim przedziale pierwszej klasy, a w podróży robiła zawsze szczególnie romantyczne konkiety.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jadący w tym samym przedziale pan podał tragarzowi ostatni pakunek i usunął się na bok, aby Lu mogła wysiąść.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność! Jeśli panią kiedykolwiek droga zaprowadzi do Wiednia... – tu wyjął wizytówkę. – Oto adres mojego klubu – i mrugnął do niej. – Mężatek się tam nie wpuszcza, ale mnie zawiadomią o każdej porze. To była prawdziwa przyjemność podróżować w towarzystwie tak uroczej nieznajomej...

– Nie należy niczego wykluczać. Możliwe jest wszystko. – Pozbierała pudełka cukierków i żurnale mój z czerwonego obicia siedzenia. Konduktor, który był nie mniej usłużny dla Lu niż ów pan z Wiednia, stał gotów, aby pomóc jej przy wysiadaniu. – Czy wszystko było w porządku? Czy ktoś po panią przyjdzie? Dobrze. Oto pani bagaż – i wskazał na wysoko załadowany wózek, na którym piętrzyły się kufry, walizki, pudła na kapelusze i podłużny lniany pokrowiec z parasolkami. – Życzę pani przyjemnego pobytu. Ten deszcz jest tylko przelotny, zaraz ustanie...

Deszcz przy blasku słońca bębnił po szklanym dachu nad peronem. Lu pamiętała dworzec w Neustrelitz tylko z przejazdu, kiedy przed rokiem jechała tędy z mężem nad morze. Starczyło wtedy czasu tylko na wypicie filiżanki kawy ze śmietanką, którą kazała sobie przynieść z bufetu. Dworzec nie miał żadnych ozdób, ale Lu była w tak świetnym humorze, że dziś wydał się jej wprost zapraszający do zatrzymania się w Neustrelitz.

Eskortowana przez konduktora i tragarza, skierowała się do budki kontroli biletów, rozglądając się za ojcem. Zobaczyła go trochę na uboczu, w jasnopopielatym trzyćwierciovym palcie, jasnoszarych spodniach ze

strzemiączkami oraz w kapeluszu i z laską, jednym słowem, eleganckiego jak dawniej. Pośpieszyła na jego spotkanie i przechyliła się przez barierę, aby ucałować go w policzek.

– Nie tak gwałtownie, dziecino! Czy miałaś dobrą podróż?

– Czy Kamila nie przysłała z tobą? Nie posiadam się z ciekawości! Twój list był prawdziwą niespodzianką. Jak się jej powodzi? Jak się ona czuje? Czy będzie huczne wesele? Wcale nie było tak łatwo ruszyć mi się z miejsca, ale po prostu nie mogłam się powstrzymać, aby zaraz nie przyjechać. Jaki on jest? Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

– Słuchaj, wydaje mi się, że ktoś cię woła. Odwróć się! – Pociąg właśnie ruszył. Towarzysz podróży Lu stał w otwartym oknie przedziału, machał ręką i wołał coś, czego nie można było zrozumieć.

– Nowa konkietta?

– On posiada statki na Dunaju, całą flotyllę. A czy już ustalono, dokąd pojedą w podróż poślubną? U Wertheima przy Leipziger Platz reklamują podróż dookoła świata, do Indii, nad święty Ganges, do Rangun, Honolulu i na Cejlon. Oni udadzą się przecież w podróż poślubną? – Opuścili już halę dworcową, przystanęli jednak pod okapem, aby przeczekać deszcz. Tragarz z wózkiem stał w pobliżu, naturalnie w pełnej respektu odległości.

– Czy to wszystko twój bagaż?

– A czy myślałeś, że pozostanę tylko na jedną noc?

– Z twojej depeszy sądziłem, że wpadniesz na kilka godzin i wieczorem odjedziesz z powrotem.

– Nie mogłabym przecież zrobić tego Kamili.

– No to chodźmy. – Wysunął się o krok naprzód i wyciągnął rękę. – Już



deszcz przestał padać. – Podał córce ramię i skierował się do postoju dorożek. Lu nie mogła się nadziwić.

– Ty w dorożce? Tego przecież nigdy nie było. Mówiłeś zawsze...

Ojciec przerwał jej ze śmiechem. – Kiedy się człowiek starzeje, zwraca więcej uwagi na zdrowie. Wolę chodzić pieszo, bo lekarz zalecił mi ruch. A tu to nie Berlin. Nie ma żadnych odległości, można wszystko załatwić na piechotę, to dobra strona prowincjonalnego miasta. – Przyglądał się wspólnym wysiłkom tragarza i dorożkarza przy umieszczeniu bagażu na dachu i na koźle dorożki.

Z czapką w rękę tragarz podszedł do Fryca Hofmanna. Ale ten nie kwapił się z wyciągnięciem z kieszeni portmonetki, lecz zwrócił się bez żadnego zakłopotania do córki.

– Bądź tak dobra to załatwić.

– Jesteś jeszcze gorszy od matki.

– Jak się jej powodzi? – zapytał jakby nigdy nic.

– No wiesz, sezon za pasem, więc jest w swoim żywiole. Jeśli spodziewałeś się, że ona przyjedzie, to nie zapominaj, że ty przecież napisałeś tylko do mnie.

– O nie! Wcale na to nie liczyłem. Nie oczekiwałem nawet, że ty przyjedziesz. Ale tym bardziej się z tego cieszę.

– Pomógł jej przy wsiadaniu do dorożki i przed zamknięciem drzwiczek, krzyknął do dorożkarza: – Hotel de Pologne!

– Wieziesz mnie do hotelu? – zapytała, kiedy ojciec siedział już obok niej.

– Rozejrzyj się trochę dookoła, miniemy zaraz zamek.

– Czy nie zostałam zaproszona do jej domu?

– Ależ, Lu! Czy takie są nowe obyczaje w Berlinie? Ja sam też mieszkam w hotelu.

Ta odpowiedź wydała się jej zadowolająca, więc oparła się wygodnie w kącie pojazdu. – A teraz opowiadaj! Jaki on jest? Gdzie Kamila go poznała?

– Wszystko po kolei. Najlepiej opowie ci sama Kamila. Pozwól najpierw, że ci się dobrze przypatrzę. Stajesz się coraz ładniejsza. Nie ma w tym cudu, że podbijasz serca. A Geerd awansował, jak czytałem. Nie dziwię się, że po prostu wsiadłaś zaraz do pociągu, bo przyznaj sama, że to żadna odległość z Berlina do Neustrelitz, dwie i pół godziny i świetne połączenia przez cały dzień. Można śpiewająco w ciągu jednego dnia przejechać tam i z powrotem.

– Ale oni wynajmą przecież mieszkanie w Berlinie?

– Jako dodatkowe, sądzę.

– Wszystko możliwe. Mój list przyszedł przecież fantastycznie szybko, w ciągu jednego dnia.

– Jak do tego wszystkiego doszło?

– No, dla nas stanowiło to również zaskoczenie.

– Wyobrażam sobie! Nasza Kamila! Kto by się tego po niej spodziewał. Tak od razu dobrać się do miodu. Ale jaki on jest?

– Jak koń wyścigowy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Widzisz, na wyścigach bywają wyraźne faworyty, no i fuksy. Staję sobie z boku i przyglądam się koniom, wtedy wszyscy szepczą sobie nazwy faworytów, ale ci prawdziwi znawcy przyglądają się czemu innemu i niekiedy odkrywają jakiegoś konia, wiedząc na pewno, że ten wygra wyścig. Takim właśnie fuksem jest Senger.

– I on wzbogacił się na mydle?

– Wiem, co teraz pomyślisz, ale mnie nie można brać za przykład. On nie popełnia moich błędów. On bierze się inaczej do rzeczy. Środki do prania są towarem masowym... – I ta przerwa była równie dobrze wystudiuwana, jak sam tekst... – A więc przypuśćmy, że on ma tylko dwadzieścia procent udziału w rynku, jeśli chodzi o mydło do prania i płatki mydlane, co przy zużyciu mniej więcej piętnastu funtów na głowę rocznie i przy czystym zysku pięciu fenigów na jednej osobie w samym tylko Berlinie z jego dwu milionami mieszkańców... czy ty w ogóle słuchasz, co mówię?

Słowo „mydło” na chwilę otrzeźwiło Lu, ale sposób, w jaki ojciec zonglował milionami, nasycił jej wyobraźnię pożądaną pożywką. Nieprzypadkowo była ona spośród jego córek właśnie tą, która odziedziczyła również jego lekkomyślność.

Dorożka zwolniła tempo i w końcu przystanąła. – A więc jesteśmy na miejscu. – Fryc Hofmann wysiadł pierwszy. Lu powiodła wzrokiem w górę i w dół ulicy: same kamienice mieszkalne i domy handlowe, ale nigdzie ani śladu luksusowego hotelu, jak tego oczekiwała. Był tam tylko jeden wąski dom o więcej niż skromnym wyglądzie, z żelaznym daszkiem nad wejściem i kokosową wycieraczką w barwie naturalnej, na którym widniał napis czarnymi literami: Hotel de Pologne.

– Ty tu mieszkasz?

Fryc Hofmann powiedział ze swoim niewzruszonym, dobrym humorem: – Cierpliwości! Fasada to nie wszystko.

W takich hotelikach obsługa traktuje często gościa bardziej indywidualnie niż w tych wielkich. Dziś kiedy każdy może się zatrzymać

w Grand Hotelu, jesteś tam tylko jednym z numerów.

Tymczasem dorożkarz ustawił już przed wejściem do hotelu cały bagaż i czekał na zapłatę. I znów Lu nie pozostało nic innego, jak wyciągnąć portmonetkę. W końcu stali oboje samotnie przed wejściem, obok całej góry bagażu, ale nic się nie poruszyło i zanim Lu mogła temu przeszkodzić, ojciec chwycił już dwie walizki. Na ten widok zaniemówiła: ojciec, który dawniej uważałby za coś niesłychanego, żeby własnoręcznie nosić pleś podróżny – nie mówiąc już o pudle – dźwigał teraz dwie walizki! Hol z dwiema nędznymi palmami i przez uchylone drzwi widok jadalni z trzcinowymi meblami, nie naprawiły złego wrażenia. Ani totumfacki, który zjawił się zza lady, wsadził czapkę na głowę i bezradnie przyglądał się górze bagażu, piętrzącej się obok schodów.

Z kluczami od pokoi Fryc Hofmann wszedł pierwszy na drugie piętro. Sam otworzył drzwi i poprosił Lu, aby weszła. Lu zatrzymała się na progu. Był to przytulny i jasny, choć nieduży pokój z dwoma oknami, wychodzącymi na podwórze, z „widokiem na zieleń”, jak podkreślał to ojciec, otwierając jedno z okien – ale jakżeż inny od wielkopańskiego apartamentu hotelowego, jaki Lu sobie wyobrażała. Malowana na rdzawoczerwony kolor podłoga z desek, wąski chodnik i mała szafa, w której nie mogłaby pomieścić nawet połowy swoich rzeczy, mosiężne łóżko, a gdzie były drzwi do łazienki?

– Nie trudź się! Widok na zieleń wcale mnie nie interesuje. Bo nie myślisz chyba na serio, że ja tu zostanę.

– Przyjrzała się ojcu, aby w końcu znaleźć wyjaśnienie tych wszystkich niedorzeczności. Ale był jak zawsze dostatnio ubrany, ba, nawet wytwornie, tak że również przy najgruntowniejszej lustracji nie mogła

w nim dopatrzeć się czegoś, co świadczyłoby o oszczędności – cóż za nie pasujące słowo do jej ojca – lecz właśnie ten końcowy efekt jej oględzin był jedynym możliwym wytłumaczeniem, które się jej w tym momencie nasunęło.

– A więc to tak! Ten pan Senger to sknera! Żadnego powozu. Dzielnica ubogich. Tacy panowie oszczędzają na krewnych i w ten sposób dochodzą do pieniędzy! Biedna Kamila! W takie ręce się dostała. I ty, ojczy, bierzesz w tym udział. Matka by tego nigdy nie zniosła. Jeśli to kutwa, trzeba będzie stanąć dęba natychmiast, a nie wtedy, kiedy już będzie za późno. Tę kurację trzeba tym panom zaaplikować przed ślubem.

Jakby dla wzmocnienia swych argumentów, przysiadła na chwilę na brzeżku łóżka: – Trawa morska! Od razu przyszło mi to na myśl.

Większa część bagażu stała na korytarzu przed drzwiami i hotelowy totumfacki przy taszczył właśnie ostatnie pakunki. Lu minęła go z szelestem sukni i wydała krótkie polecenie, by to wszystko znów poznosił na dół. Fryc Hofmann wyszedł w ślad za nią przed hotel, gdzie Lu oznajmiła mu swoją decyzję.

– Jedziemy teraz natychmiast do Kamili. Gdzie można dostać dorożkę?

– Ja cię tam zaprowadzę. – Nie mógłby być bardziej opanowany, gdyby nawet wszystko przebiegło zgodnie z programem. I kiedy przechodził teraz z córką przez park z zielonymi ławkami i klombami róż, również Lu powrócił znów bardziej pojednawczy nastrój.

– Żałuję, lecz jeśli czegoś nienawidzę, to skąpstwa. Na przykład u matki... – Uznała jednak za wskazane dalej się nad tym nie rozwodzić. – Czy naprawdę dostaniemy tu dorożkę?

– Pozwól, że ci coś zaproponuję. Jest taka piękna pogoda, więc oboje

się przespacerujemy, pokażę ci miasto, a potem udamy się na obiad razem z Kamilą. Tak właśnie to z nią uzgodniłem. Ona wie o twoim przyjeździe. I to była jej propozycja. Zarezerwowałem dla nas stół w ładnej restauracyjce.

– Równie ładnej jak ten hotel?

– Tak się na to cieszyłem, że będę tam razem z wami obiema.

– Dostyc wykrętów, proszę! Jaki jest jej adres?

– Ulica Birkicht numer siedem. Ale w końcu jeszcze możecie się nie spotkać.

– Jest w tym przecież coś, co przede mną ukrywasz? Czy znowu, tak jak wtedy, w ostatniej chwili wszystko runęło?

– Nie wszystko się w życiu powtarza.

– A więc co jest?

– Być może mój list był nie dość zrozumiały. Senger dopiero zaczyna, cały kapitał włożył w swoje przedsiębiorstwo. To człowiek z przyszłością...

Jego słowa zagłuszył jej śmiech, który z początku brzmiał wesoło, ale potem przerodził się w histeryczny spazm.

– Teraz prawda wyszła na jaw! – Lu mówiła bezładnie, gdyż wciąż na nowo trzęsła się od śmiechu. – Ten bardzo bogaty przemysłowiec to golec... Wyścigowiec, co? Jak mogłam nabrać się na twój list. Zostawiłam wszystko i wsiadłam do pociągu... Nie rób tylko takiej miny, jakby świat należał do ciebie!

Fryc Hofmann stał rzeczywiście z ręką lekko opartą na lasce i z głową zadartą, niczym jakiś bogaty i wykwinny próżniak.

– A ja wsiadłam natychmiast do pociągu! – Tym razem udało się jej

powstrzymać nowy wybuch śmiechu. Kąciki ust ściągnęły się w dół i nagle jej lalkowata twarz stała się twarda i stara. – Zostawiłam wszystko i siadłam do tej nędznej ciuchci, która przystaje na każdej stacji, musiałam wysłuchiwać głądzeń jakiegoś faceta... tego natrętnego wiedeńczyka... samych kłamstw... bo do czego innego wy, mężczyźni, jesteście w ogóle zdolni...

– Mów tak jeszcze dalej. – Fryc Hofmann po raz pierwszy spoważniał.

– Co to znowu ma znaczyć?

– Bo to mi dobrze robi. Zdaje mi się, że słyszę twoją matkę. W ciągu trzydziestu lat trzymała mnie w ten sposób w szachu, a teraz widzę jasno, że to należy już do bezpowrotnej przeszłości. – Ale potem wrodzona uprzejmość znowu w nim przeważała. – Przyznaję, że to był błąd. Moja wyobraźnia znowu mnie poniosła, ale to nie jest powód, żebyśmy się pokłócili i...

Ojciec chciał ją objąć, ale Lu cofnęła się. – Kiedy odchodzi następny pociąg?

– Pociągi odchodzą co godzinę.

– Wyjadę następnym. Nie trudź się. Nie potrzebujesz mnie odprowadzać. – Zrobiła w tył zwrot i poszła tą samą drogą z powrotem, nie troszcząc się o to, czy ojciec idzie za nią, czy nie.

Dopiero później, już w dorożce, jadąc z całym bagażem na dworzec, kiedy jej gniew ostygł, uświadomiła sobie, jak mało w gruncie rzeczy się dowiedziała. Wciąż jeszcze nie było jej wiadomo, kim jest ten Senger, jak wygląda i w jaki sposób Kamila go poznała. Wszystko to były pytania, którymi matka ją przygwoździ. Jazda przez miasto z uderzająco szerokimi ulicami i kamienicami bogatych mieszczan obudziła znów jej ciekawość,

więc zastukała parasolką w ściankę oddzielającą ją od dorożkarza i podała adres: – Birkicht siedem!

Patrzała dalej przez okno i stwierdziła, że mimo wszystko część listu ojca odpowiadała prawdzie: rezydencja wielkiego księcia promieniowała dobrobytem, a kiedy droga prowadziła potem przez dzielnicę willową, zabudowaną wspaniałymi białymi domami wśród obszernych ogrodów, odzyskała całkowicie równowagę i właściwie liczyła się z tym, że dorożka lada chwila się zatrzyma. Ponowny deszcz zmusił ją do zamknięcia okna. Szyby się zamazały i zanim mogła coś dojrzeć, obraz zmienił się kompletnie: małe domki robotnicze z nie otynkowanych cegieł i długie budowle fabryczne ze spadzistymi szklanymi dachami.

Jezdnia się pogorszyła i domy cofnęły się w głąb, ustępując miejsca remizom, placom składowym i odstawionym na bok wagonom kolejowym oraz szpetnym zardzewiałym kotłom gazowym. Cegielnia z dymiącym kominem była ostatnim budynkiem, a dalej ciągnęły się na prawo i lewo pustkowia, tylko w oddali, na końcu ulicy, widać było kępę topoli, wyciągających uschłe konary ku niebu.

Lu wychyliła się z okna i spróbowała skinąć na dorożkarza, aby się zatrzymał i zawrócił, ale on nie zareagował, lecz wjechał prosto na dziedziniec ze składami, który wynurzył się spoza topoli.

Lu nie wstała, aż dorożkarz otworzył drzwiczki.

– Dokąd mnie pan właściwie przywiózł?

– Na Birkicht siedem. Tu przecież chciała pani przyjechać.

Lu z wahaniem postawiła nogę na stopniu. Czworokątny dziedziniec otaczały szopy i otwarte remizy, w których piętrzyły się beczki. Na jednej z szop był umieszczony szyld z napisem: „Fabryka beczek F. X. Paal”.



Jakiś robotnik stał na drabinie i właśnie zdejmował szyld. W ogóle całość robiła wrażenie placu budowy, a deszcz uczynił rozjeżdżony grunt jeszcze bardziej grząskim.

– Pani do kogo?

– Do pana Sengera.

– To pewnie jest ten nowy właściciel. W każdym razie nie ma tu nikogo innego. Czy mam wejść i zapytać?

Dorożka zatrzymała się przed jedynym masywnym budynkiem, domem mieszkalnym w kształcie wysokiego trzypiętrowego pudła z dość płaskim dachem i małymi oknami. Był wybudowany z tych samych nie otynkowanych cegieł, co domki robotnicze, które Lu widziała po drodze. Tylko że żółta barwa tych cegieł wydała się jej jeszcze szpetniejsza. W jednym z okien ukazała się jakaś głowa – i przez mgnienie oka Lu nie mogła nic innego uczynić, jak gapić się w to okno, nie przygotowana do widoku krótko obciętych włosów, jakie nosiła teraz Kamila. A przecież nie to ją tak zaskoczyło, lecz coś innego, jakaś niezdefiniowana fascynacja, która promieniowała z tej twarzy tam w górze. Reakcja dorożkarza tylko jej to potwierdziła: z szeroko otwartymi ustami patrzył do góry w okno i ochłonął dopiero, kiedy twarz znikła.

– Czy to jego żona? – spytał w końcu i szczerzy zachwyty w jego głosie przywrócił Lu znowu do rzeczywistości. Uniosła suknię i balansując przeszła po desce, położonej, aby móc suchą nogą dotrzeć do domu, w którego drzwiach ukazała się teraz Kamila.

Obie siostry wyobrażały sobie to spotkanie inaczej, tak że stały teraz naprzeciwko siebie obce i niemal wrogie.

– Muszę powiedzieć, że trudno od kogoś wymagać, żeby tu

przyjeżdżał.

– Było dla mnie jasne, że tak to odczujesz, i dlatego zaproponowałam spotkanie w mieście. Ale kiedy odbyłaś już tę drogę, może zechcesz wejść do środka?

Lu poszła za siostrą. Kamila miała na sobie skromną sukienkę z perkalu z półdługimi rękawami. Lu od razu zauważyła, że Kamila nie nosiła gorsetu i że dekolt, spięty małą broszką, był dość głęboki.

Również wewnątrz domu wrzała praca. Czuć było farbą, rozlegały się stukania i uderzenia młotka, a w sieni musiały wyminąć kilka drabin.

– Na razie panuje tu straszny nieład – powiedziała Kamila otwierając drzwi – to jest jedyne pomieszczenie mniej więcej uporządkowane.

Pokój swym wyglądem przypominał biuro, skromne i bez żadnych ozdób, z umeblowaniem, które widocznie pochodziło z drugiej ręki. Jedynymi przedmiotami osobistymi w tym pokoju były dwie ramki z fotografiami stojące na biurku, przy którym Kamila teraz usiadła. Lu zajęła miejsce na jednym z niewygodnych, drewnianych krzeseł. Tuż obok niej stała kasa pancerna, z której łuszczył się ciemnozielony lakier, i dlatego Lu nie mogła powstrzymać się od złośliwej uwagi:

– Czy tu przechowujecie wasze wielkie kapitały?

Dawniej nie było trudno speszyć czy rozgniewać Kamilę,

ale Lu musiała odczuć, jak jej strzała odbiła się bez żadnego skutku od tej nowej Kamili. Siedziała tam z tym swoim wyrazem twarzy – co u diabła stało się z tą jej twarzą! Co było w niej tak szczególnego, dlaczego dorożkarz zapatrzył się na nią z szeroko otwartymi ustami? Twarz Kamili nie była „zrobiona”, ani śladu pudru czy rózu, ani wyskubanych brwi, żadnego makijażu, ale może właśnie to czyniło ją tak

doskonałą.

– Słuchaj mnie, Lu! Nie odczuwałam potrzeby, żeby was w jakiś sposób powiadomić, czy teraz to rozumiesz, czy nie. To tylko ojciec uważał, że rodzina jest przecie ostatecznie rodziną. I dlatego pozostawiłam to ojcu, czy ma do was napisać, czy nie. Szczerze mówiąc, wcale nie liczyłam się z tym, że ktoś z was przyjedzie. Ponieważ już tu jesteś, załatwmy to możliwie miło i uprzejmie. Jak się wam powodzi, tobie i Geerdowi? Co z matką? Wybacz, proszę...

Ktoś zapukał do jednego z okien wychodzących na dziedziniec. Kamila je otworzyła i robotnik, który stał za oknem, zameldował: – Dokopaliśmy się teraz w głąb na dziesięć metrów, ale to nie wygląda dobrze. Czy mamy dalej kopać, czy spróbować w jakimś innym miejscu?

– Lepiej spróbujcie w tym miejscu, które Hassę oznaczył. Niekiedy różdżkarz zna się na tych sprawach lepiej niż wszyscy inni. – Zamknęła okno i powiedziała: – Mamy kłopot z wodą. Jest tu wprawdzie studnia, ale nie wystarcza na takie ilości wody, jakich potrzebujemy. – I po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Mydło w jednej czwartej składa się z wody, wiesz, i to jest w nim najtańsze.

– A więc twój narzeczony produkuje rzeczywiście mydło? Pamiętam, jak regularnie robiło ci się słabo od tego zapachu.

– Czy istotnie tak było?

– Czy będzie można zobaczyć twojego narzeczonego?

– Niestety, nie mogę zaspokoić twojej ciekawości.

– Gdzież on jest?

– W podróży. W Hamburgu.

– W Hamburgu? Czy i nasz ojciec nie nabywał tam zawsze tych

okropnych rzeczy, jak talk, olejek palmowy i...

– Nie trudź się, Lu. Ja wiem, na co się zdecydowałam.

– Czy wiesz to naprawdę? – Bardziej z radości z cudzego nieszczęścia i z zaciekawienia niż rzeczywistego współczucia Lu udawała troskliwą starszą siostrę. – A więc on sobie podróżuje, a ciebie tu zostawia samą z całą tą robotą.

– Wyobraź sobie, że mi to sprawia przyjemność.

– Wobec tego, Kamilo, mogę tylko powiedzieć, że jesteś bardzo dzielna i gotowa do poświęceń. A gdzie będziecie mieszkać? – Uczyniła przy tym gest, który dokładnie wyrażał, do jakiego wniosku doszła. – Przecież nie tu, w tym okropnym domu!

Jest w nim więcej miejsca, niż się wydaje – odpowiedziała Kamila, mając nadzieję, że Lu nie domyśli się jej prawdziwych uczuć. Dom był w rzeczy samej raczej wszystkim innym niż zachęcającym do zamieszkania. Perspektywa, że będzie musiała w nim mieszkać, napędziła i jej także w pierwszym momencie strachu, i gdyby była zupełnie szczerą, musiałaby przyznać, że i teraz jeszcze nie przezwyciężyła lęku. Miejsca było istotnie dosyć, ale te częściowo już od dawna nie zamieszkane pokoje były w nieopisanym stanie zaniedbania. Nie mówiąc już o otoczeniu, w jakim się dom znajdował, tuż obok fabryki, w zdziczałym ogrodzie, pełnym pokrzyw i wybujających krzaków agrestu. Przy czym niekoniecznie musiał to być ten dom. Karol Senger oglądał z nią zupełnie inny, przy bażantarni, o pół godziny drogi stąd, w „dobrej dzielnicy”. Cena i warunki płatności miały być wyraźnie korzystne. Ale Kamila chyba zauważyła, jak Senger kłopotuje się z tymi dodatkowymi wydatkami, i w ostatniej chwili właśnie ona uparła się, aby tamtego domu nie kupować, ale urządzić się tu

za miastem. – Poczekaj, a zobaczysz, jak będzie tu wyglądało po odnowieniu.

– Ty w takim domu! Co to za mężczyzna, który może czegoś podobnego od ciebie wymagać! – Lu wstała, gotowa objąć siostrę, ale chłodny, wzbraniający się wzrok Kamili ją powstrzymał. – Mój Boże, czy nie rozumiesz, że popełniasz wielki błąd! Ponieważ wydaje się, że nikt ci tego nie powiedział, ja muszę to zrobić. Kimkolwiek jest ten pan Senger, żaden mężczyzna nie ma prawa żądać czegoś takiego od kobiety. Musiałaś być całkiem zrozpaczona w tym Warnemünde...

Ale znowu ktoś im przerwał. Tym razem zjawił się w biurze jeden z robotników. Chodziło o przysłaną partię sody żrącej, która właśnie nadeszła, dwadzieścia worków. Pytał się, gdzie ma być złożona. Znowu Lu mogła zaobserwować, jak Kamila bez wahania i stanowczo podjęła decyzję, ale to podrażniło Lu jeszcze bardziej.

– Czy takie ma być twoje przyszłe życie? Co za szczęście, że przybyłam na czas. Opamiętaj się, Kamilo! Nie chcę ci zadawać żadnych pytań. Zdarzają się różne rzeczy. Całkiem inne kobiety, o wiele bardziej doświadczone od ciebie, dają się złapać na lep mężczyznom.

– Czy mówisz teraz o sobie?

– Znam ten stan. Po prostu nie chce się przyznać przed samą sobą, że się pomyliło, ale jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz się wycofać.

– Czy chcesz mnie zaprosić do Berlina?

– Dlaczegoż by nie. Wszystko byłoby lepsze niż to tutaj. Nie zapominaj, kim jesteś! W jaki sposób ten człowiek do tego doprowadził? – To pytanie najbardziej zaprzętało Lu.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zakończyć tę rozmowę. – Mówiąc to

Kamila się roześmiała, a był to lekki, wyzwalający śmiech, który jeszcze wzmógł uporczywość Lu w przedstawieniu siostrze, jak beznadziejne życie ją czeka. Nie mogło jej pomieścić się w głowie, że Kamila dobrowolnie się na to zdecydowała, a przede wszystkim, że wyglądała przy tym na szczęśliwą i zadowoloną. A była nią wyraźnie, więc Lu odczuła to niemal jako osobistą obrazę.

– A czy wierzysz może także w gadaninę ojca – zapytała w końcu – czy i ty już do tego doszłaś, że malujesz sobie w wyobraźni bogactwa, jakie macie kiedyś posiadać?!

– Daj spokój, Lu!

– A więc ty w to wierzysz? Dzielna dziewczyna, która wierzy w przyszłość. A jak to wygląda? Pięknie, może uda się wam to osiągnąć i za dwadzieścia lat staniecie się bogatymi ludźmi! Dwadzieścia lat, a czy ty wiesz, czym wtedy będziesz? Starą kobietą, która ma życie za sobą! Sama nie wiesz, co robisz. Kiedy ci się przyglądam, widzę, jak wyładniałaś! Ktoś, kto wygląda tak jak ty, ma wszelkie możliwości usadowić się w przygotowanym gniazdku... Ale... chyba lepiej już sobie pójść.

– Czy zobaczysz się jeszcze z ojcem, czy też pojedziesz następnym pociągiem?

Przez chwilę wydawało się, jakby Lu po raz ostatni chciała przystąpić do szturm, aby siostrę „ocalić”, jednakże jedno spojrzenie na twarz Kamili powiedziało jej, że każde następne słowo byłoby daremne. Sprzeciwiało się jednak temperamentowi Lu taką porażką po prostu znieść. Opuści ten pokój dopiero, kiedy weźmie odwet. Wynajdzie już na to jakiś sposób. Jej spojrzenie powędrowało po całym biurze i wreszcie

odkryła dwie ramki z fotografiami, które stały na biurku.

Jedna z nich przedstawiała jakiś dom w ogrodzie, druga mężczyznę, trzymającego chłopca za rękę, przed namiotem cyrkowym. Lu wzięła tę drugą fotografię do ręki, w gruncie rzeczy tylko dlatego, że mimowolny gest Kamili jej zdradził, iż wolałaby temu zapobiec. Przyjrzała się zdjęciu, ale nic to jej nie dało, gdyż było stare i pożółkłe, nie mające nic wspólnego z obecną sytuacją Kamili. Fotografia Sengera bardziej by ją zainteresowała. Jak wyglądał ten mężczyzna, któremu udało się tak Kamilę z sobą związać? Co za zalety posiadał, że doprowadził u niej do takiej zmiany?

– Czy twój narzeczony nie ma nic przeciwko temu, że w takim stroju biegasz tu i tam i wszędzie pokazujesz swoje wdzięki?

Kamila zabrała fotografię siostrze z ręki i odstawiła ją na miejsce. Otworzyła drzwi i milcząco wyszła, wyprzedzając siostrę. Dorożki nie było już przed wejściem do domu, ustąpiła miejsca wozowi meblowemu. Tragarze pozdejmowali już plandeki i widać było, że i te meble pochodzą z drugiej ręki.

– A więc wszystkiego dobrego – powiedziała Lu.

– Ja życzę ci tego również. To była bardzo krótka wizyta.

– No, zawsze można się jeszcze czegoś nauczyć.

– Gdybyś miała ochotę przyjechać na wesele...

– Nie jestem pewna, czy mi na to czas pozwoli.

– Pozdrów matkę i Alicję, kiedy je zobaczysz.

– Och, naturalnie.

– A więc do widzenia! – Obie wiedziały, że są to puste słowa.

Kamila pozostała jakiś czas przed drzwiami. Właściwie chciała jeszcze

zapytać Lu, kto kupił dom w Steglitz. Myśli jej nadal krążyły wokoło tego problemu, lecz mimo to była zadowolona, że nie odsłoniła przed Lu swojej słabej strony. Popatrzyła w ślad za dorożką. Na jej dachu góra bagażu chwiała się z lekka na podtrzymujących ją pasach, a kiedy dorożka wytoczyła się z dziedzińca i skręciła w ulicę, głowa Lu ukazała się jeszcze na krótką chwilę w oknie. Lepiej o tym wszystkim zapomnieć, o Lu i o całym tym świecie, aby z dnia na dzień przeciąć wszystkie więzy, które ją z nim łączyły.

– Moglibyśmy teraz zacząć wyładowywanie, młoda pani. Dokąd mamy te rzeczy zanieść?

Kamila musiała się zastanowić. – Na pierwsze piętro. Zaraz tam za wami przyjdę i pokażę, co ma gdzie stanąć.

Na razie oddaliła się o kilka kroków od domu, tak że mogła obrzucić okiem całe podwórze. Dawny szyld fabryki beczek tymczasem już znikł i umieszczono nowy. Trochę dalej, przy dolnym końcu składu, robotnicy byli zajęci murowaniem fundamentów pod kotły na mydło, a tam gdzie usiłowano nadaremnie dokopać się do wody, piętrzyła się cała góra ciemnej ziemi.

Kamila nie łudziła się, że w najbliższych latach czeka ją słodkie życie. Rozumiała Lu, gdyż sama była też przerażona, kiedy po raz pierwszy tu przybyła. I w ciągu dwóch tygodni, które tu spędziła, nie było ani jednego dnia, w którym by ją choć raz nie opuściła odwaga, wprowadzie tylko na krótką chwilę. Wystarczyło jednak wsłuchać się w hałas prac budowlanych, żeby znów wiedzieć, że wkrótce wszystko zmieni swój wygląd. Kiedy teraz szybkimi krokami wracała do domu, słońce ukazało się właśnie spoza oddalających się deszczowych chmur, tak że liczne okna



domu zašniť jasno.

## Część trzecia

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Już od wielu tygodni nie padało i konie, które okrążały tor treningowy, były niemal niewidoczne w chmurach kurzu. Był to tylko niewielki ośmiusetmetrowy owalny tor. Niskie płotki po obu stronach bieleły się od kurzu, a nieliczne krzewy i drzewa, okalające od zewnątrz tor, miały z jednej strony zielone, a z drugiej szare liście.

Pierwotnie była to prywatna ujeżdżalnia szlachetnie urodzonego właściciela dóbr i dopiero później przejęło ją towarzystwo wyścigowe z Neustrelitz. Dobudowywano więc w miarę potrzeby nowe boksy, co łatwo można było stwierdzić po różnym stanie zardzewienia dachów oraz po odcieniu żółtobrunatnej farby, jaką je pomalowano. Z tyłu, za stajniami, znajdowały się zagrody dla młodych koni, które schroniły się właśnie w cieniu drzew, gdyż noc nie przyniosła ani ochłodzenia, ani rosy i już od samego rana nad płaską, bagienną i pustynną okolicą zawisł skwarny upał.

Dwaj mężczyźni, którzy stali przy torze i obserwowali trenowanie koni, stanowili niedobraną parę. Jeden z nich był wysoki i elegancki, w jasnopopielatym garniturze i mimo upału w białych rękawiczkach. Drugi, niemal karzeł, miał na sobie krótką bluzę z jaskrawożółtego jedwabiu, wygniecione bryczesy i wysokie buty koloru szafranu. Od chwili kiedy konie ruszyły dookoła toru, nie powiedział ani słowa, tylko jego mina powoli stawała się coraz bardziej zniechęcona.

– Zabójczy tor – powiedział – zabójczo nierówny.

– To tylko z powodu suszy. W rzeczywistości to istny raj. Taki spokój. Nigdzie nie ma tak dobrej wody. Tutaj można coś z konia zrobić. Konie,

które stoją w tych stajniach, mają zdrowe nerwy. I pierwszy lepszy nie patrzy tu na ciebie przez ramię.

Dżokej przyglądał się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy koniom, które ich właśnie mijały. – Zobaczyłem już to, co należy, teraz proszę mi pokazać swojego konia.

Obaj mężczyźni skierowali się ku stajniom. Kto widział ich idących obok siebie, nie mógł na pewno powiedzieć, który z nich był starszy, dżokej z zafrasowanym wyrazem pomarszczonej twarzy czy też wytworny pan u jego boku. Fryc Hofmann zbliżał się już do siedemdziesiątki. Oczywiście postarzał się w ciągu tych trzynastu lat, ale żeby to stwierdzić, trzeba by było dokładnie mu się przyjrzeć, i właściwie tylko starczy chód, to jakby wahające się i ostrożne stawianie długich nóg zdradzało jego wiek.

Na tabliczkach na drzwiach stajen widniały nazwiska szlacheckich rodów. Jedynie nazwisko Hofmanna ujawniało jego mieszczańskie pochodzenie, a boks jego konia różnił się od innych także tym, że nie wisały na nim żadne medale i dyplomy. Otwarto boks, zanim jeszcze oznajmili swoje przyjście, i Hofmann takim gestem, jakby wprowadzał kogoś do skarbcza, zaprosił dżokeja do wnętrza.

– Oto on, kochany Quittlu, pięcioletni ogier. Co za koń!

Dżokej zmierzył go okiem. Rozpoznawał konia już po stajni, w jakiej stał. I zdarzało się, że zawracał na pięcie, nie zaszczyciwszy ani jednym spojrzeniem konia, na którym miał jechać. Przyzwyczajenie to wslawiło Quittla niemal tak samo jak jego zwycięstwa. Ale było to dawno temu i dziś musiał być zadowolony z każdej propozycji. Wiedział o tym, jak zresztą każdy, kto się znał na wyścigach. Tylko ten Hofmann, który

sprowadził go tu do Neustrelitz, nie dał mu tego odczuć, w każdym razie dotąd jeszcze nie.

Hofmann skinął na chłopaka stajennego, który im otworzył boks. Leon był wyrosniętym chłopcem z jasną, kędzierzawą czupryną, którą co rano wodą i metalową szczotką próbował poskromić, wysiłek ten zresztą nigdy nie osiągał efektu na dłużej niż pół godziny. Był już od czterech lat w służbie Hofmanna, od kiedy ten na licytacji w Altstrelitz kupił jednorocznego kasztanowatego źrebca. Poza końmi Leon nie miał nic w głowie. Mówił o koniach, śnił o koniach, a wieczorem, po robocie, kiedy siedział razem z innymi chłopakami stajennymi, a starsi z nich opowiadali o sławnych koniach i sławnych dżokejach, tak jak o bohaterach i świętych, nigdy mu nie było dość tych opowiadań. Quittla często wymieniano w tych opowieściach. Leon znał na pamięć wszystkie jego zwycięstwa i porażki, więc był wielce podniecony, że miał owego sławnego człowieka zobaczyć we własnej osobie. Ale ten niemal go nie zauważył, lecz wszedł zaraz do boksu, w którym stał koń Hofmanna, potężnie zbudowany ogier z zaskakująco smukłymi nogami. Quittel, aby mieć więcej miejsca, odepchnął na bok konia, któremu sięgał zaledwie do grzbietu.

– Czy on dobrze żarł? – Hofmann nie spuszczał oka z Quittla.

– Żre jak szkapa od pługa. Sądząc po tym, powinien wygrać każdą gonitwę.

Hofmann otworzył wieko skrzyni z paszą i nabrał jej pełną garść.

– Za mało płatków owsianych.

– Dokładnie mieszanka, jaką pan zalecił.

W stajni było bardziej gorąco niż na dworze, pomimo otwartych drzwi.

– A co z pęcina?

– Wszystko w porządku. Ilion jest w świetnej formie. Tylko ta pogoda. Wie pan przecież, że taka pogoda mu nie odpowiada. Zbyt suchy tor jest dla niego trucizną. Powinno trochę popadać. On potrzebuje ciężkiego toru, im cięższy, tym lepiej dla niego. Pamięta pan wtedy, w Doberanie, była istna walka z błotem, lecz on to lubi. Jeśli nie będzie deszczu, nie trzeba w ogóle posyłać go do Berlina.

Hofmann wyjął z kieszeni buteleczkę z lekarstwem. – Wetrzyj mu w pęcinę. To całkiem nowa mikstura. Wmasować dobrze dwa razy na dzień, pół godziny odczekać, aby zadziałała, a potem zmyć.

Leon skinął głową; Hofmann ciągle przynosił takie cudotwórcze preparaty, które sam produkował. Zupełnie tak samo było z paszą, co kilka miesięcy wymyślał nowy skład.

Tymczasem Quittel był wciąż jeszcze zajęty koniem i Hofmann uznał to za dobry znak. Kupno Iliona było czymś więcej niż zachcianką. Od czasu kiedy uczęszczał na wyścigi i stawiał na różne konie, nie mógł patrzeć bez zazdrości, jak ich właściciele po wyścigu odprowadzali swoje zwycięskie konie z toru, trzymając je za wodze. Od dawna bronił się przed pragnieniem posiadania własnego konia i nawet kiedy to marzenie nareszcie się spełniło, zataił ten fakt. Nie dlatego że się martwił, iż zainwestował tyle pieniędzy, bo Ilion pewnego dnia wszystko mu zwróci dziesięciokrotnie, stokrotnie – dopiero wtedy Hofmann wyjawia swoją tajemnicę, po zainkasowaniu pierwszej wielkiej wygranej.

Posyłał Iliona już na kilka wyścigów, oczywiście tylko na mniej ważne tory. Dotychczas uzyskał zaledwie jedno zwycięstwo, właśnie w Doberanie, na drugorzędnych wyścigach. Lecz to nie zniechęciło

Hofmanna, gdyż winy nie ponosił Ilion, ale wyłącznie on sam. Nie powinien był posyłać tego konia na wyścig długości ponad tysiąc czy tysiąc pięćset metrów. Mocną stroną Iliona były bowiem długie dystansy, a właśnie w Doberanie odbywał się bieg myśliwski długości ponad cztery tysiące pięćset metrów. Poza tym Iliona dosiadali dotychczas tylko trzeciorzędni jeźdźcy, zdolniejsi chłopcy stajenni, a nie tacy ludzie jak Quittel, który potrafił wydobyć wszystkie zalety konia.

Dżokej zakończył swoją lustrację, ale z jego miny nie dało się odczytać powziętej decyzji.

– Czy przypomina pan sobie Huzara II i Tannhausera? – powiedział Hofmann. – Czy mój koń nie jest podobny do nich obu? Były one słabe na starcie, ale żaden koń nie mógł ich pokonać na ostatnich ośmiuset metrach. Kiedy pan będzie na nim jechał, proszę pamiętać, że na początku wyścigu jest on słaby, ale potem nadrobi.

– Morderczy tor, twardy jak kamień.

– Pozostawię panu czas do namysłu. Potem będzie się pan mógł zdecydować.

Quittel spojrzał po raz ostatni na Iliona i skinął głową. Porównanie z Tannhauserem nim wstrząsnęło, bo na tym koniu odniósł wiele zwycięstw.

Leon osiodłał kasztana – Quittel przywiózł z sobą własne siodło – i zaprowadził go teraz na tor. Wzdłuż żywopłotu zgromadzili się chłopcy stajenni innych właścicieli koni, a ich zainteresowanie niemało schlebiało Hofmannowi.

Tor był wolny, kurz jakoś opadł i Quittel, już w siodle, czekał na znak do startu. Z dwóch stoperów, które Hofmann miał zawieszane na szyi,

wręczył jeden Leonowi, po czym wyciągnął z kieszonki na piersiach białą chustkę do nosa i koń z jeźdźcem ruszył z kopyta.

– Ilion mu odpowiada – powiedział Hofmann po pierwszej rundzie, chociaż styl jazdy Quittla trochę go zaniepokoił.

Leon spojrział na stoper i stwierdził z zadowoleniem, że czas zużyty przez Quittla na pierwsze tysiąc metrów nie był ani trochę lepszy niż tempo, jakie on sam osiągał podczas treningu. Marzył bowiem o tym, że pewnego dnia zostanie sławnym dżokejem i będzie jeździł na wielkich wyścigach.

– On za bardzo nim kieruje. Ilionowi należy zostawić luźne wodze.

– Quittel wygrał przecież w ponad pięciuset gonitwach.

– Dawno temu, tak. Ale teraz będzie chyba miał wkrótce sześćdziesiąt lat.

– Wiek nie odgrywa u dżokeja żadnej roli, kiedy pozostaje w dobrej formie.

– Ale szczęście już mu nie sprzyja – pokręcił głową Leon. – Szczęście jest tak samo ważne jak dobry koń.

– On bierze zakręty dosyć daleko na zewnątrz, co?

– To nie on, lecz koń, który nie lubi wewnętrznych zakrętów, zwłaszcza kiedy biegnie po polu. Usiłuje zawsze wyminąć inne konie od zewnątrz. Nie mogę go od tego odzwyczaić.

– A jak z czasem?

– Lepiej – musiał przyznać Leon – stopniowo rośnie szybkość.

Z wzrastającym tempem kasztan stawał się bardziej swobodny i pełen temperamentu, a jego galop szybciej pochłaniał przestrzeń. Na torze Ilion wyglądał na jeszcze większego i potężniejszego, a dżokej na jego



grzbiecie jeszcze bardziej na karzełka.

– Dobra przeciętna czasu! – Wydawało się, że Leon już zapomniał, że ktoś inny siedzi na jego koniu. – I to nie w polu. Na polu Ilion byłby jeszcze szybszy. To jego największa zaleta, że nie znosi koni przed sobą.

– Zobaczysz, że w Berlinie wywoła sensację! Dystans jest jakby dopasowany do Iliona, cztery tysiące pięćset metrów. – Hofmann dał umówiony znak dżokejowi i stanął u mety. Kiedy Ilion minął metę, Hofmann odebrał chłopakowi stajennemu stoper. – Ilion pokona wszystkie konie o kilka długości.

I przyspieszył na spotkanie Quittla. Leon ujął Iliona za wodze i zabrał go z toru. Ale dopiero przed samą stajnią, kiedy Leon odprowadził kasztana do boksu, aby wytrzeć go do sucha, Quittel raczył orzec: – To wcale niezły koń.

– Z takim czasem! Cztery tysiące pięćset metrów w 5-57-3! – Hofmann pokazał stoper dżokejowi. – Taki czas na tym torze, a nie w polu!

Quittel kiwnął głową. Zdawał się nie wiedzieć, co to entuzjazm. Jego twarz była sucha jak pieprz, ani śladu potu. – Ciężko na nim jechać, jest samowolny, ale to nie jest zły koń. I czas niezły. Ale morderczy tor, twardy jak kość.

– Czy pojedzie pan na Ilionie w Karlshorst?

– Już go pan tam zameldował?

– Tak. Wszystkie formalności są załatwione, zgłoszenie opłacone. Pozostaje teraz tylko, aby pan na nim pojechał.

– A co z transportem do Berlina?

– Mamy odpowiedni wóz, Ilion nie znosi kolei.

– Czy poza tym są jakieś kłopoty przy zmianie miejsca? Co

z trawieniem?

– Wszystko jak najlepiej, zwłaszcza gdy Leon jest przy nim.

– Czy mógłbym jeszcze potrenować na torze? – zapytał Quittel, jak gdyby chciał wykorzystać cały entuzjazm, na jaki było go stać.

– A więc pan pojedzie na Ilionie! Wiedziałem, że tak będzie, mój kochany Quittlu. Wymeldowałbym mego konia, gdyby mi się nie udało pana zdobyć.

– Jeszcze sprawa honorarium.

– Oczywiście honorarium... Niech pan sam zaproponuje ile.

– Tysiąc marek zafiksowane plus dziesięć procent od wygranej.

Czy Fryc Hofmann był przygotowany na taką sumę, czy nie, nie dało się po nim poznać. – Fair – zgodził się – całkiem fair, ale nie chcę pana skrzywdzić. Nigdy tego nie robiłem. Niezależnie od zalet konia zwycięstwo zależy od dżokeja. A więc proponuję panu dwadzieścia procent od wygranej.

– A zafiksowana suma?

– Powiedzmy czterysta.

Quittel opuścił głowę. – Za czterysta jeszcze nigdy nie jeździłem.

– A więc dwadzieścia pięć procent od wygranej.

Oczy dżokeja powędrowały do stajen, a potem z powrotem na tor. Dawno minął czas, kiedy przy pertraktacjach mówiono z nim o premii za zwycięstwo. Od jego ostatniego, wielkiego zwycięstwa minęły lata. Było to w Iffezheim, w 1908 roku, sześć lat temu. A sześć lat to cała wieczność, jeśli szczęście przestanie komuś sprzyjać. Rok 1908 to był wspaniały sezon dla Quittla, jeden z jego najlepszych, z dwudziestoma dziewięcioma pierwszymi lokatami. Ale potem wszystko jakby ktoś nożem uciął.

Szczęście go opuściło, a może też i umiejętność, i zawiodły nerwy. Żył już tylko dawnym rozgłosem i przeszłością, ale na takim torze jak Karlshorst dawno już nie dosiadał konia. Trzeba było się wycofać. Każdy dawał mu to odczuć, a tu zjawia się ktoś i mówi o zwycięstwie.

– Jaki był czas? – zapytał Quittel.

– 5-57-3-

Dopiero teraz dżokej poprosił o stoper i rzucił nań okiem. Więcej podniety jednak dodała mu ożywiona dyskusja pomiędzy chłopcami stajennymi, którzy śledzili jego jazdę.

– A więc pojedę na tym koniu, przyjmuję pana warunki.

– Właściciele koni budzili w Quittlu przez całe życie odrazę, ludzie, którzy w jego oczach nie tylko nie znali się na koniach, lecz jeszcze mniej na wyścigowym sporcie, ale ten Hofmann zaraził go swoim optymizmem do tego stopnia, że Quittel dorzucił teraz wbrew swojemu przyzwyczajeniu: – Jeśli naprawdę się nam uda, damę panu opcję na wszystkie pozostałe biegi tego sezonu.

– Przybijamy na zgodę! – Hofmann ściągnął prawą rękawiczkę i obaj mężczyźni uderzyli się w dłonie niczym handlarze koni, którzy potwierdzają załatwienie transakcji.

– Zobaczymy się w Berlinie. Leon wszystko załatwi. Wystarczy, że pan mu da tylko odpowiednie wskazówki. – Hofmann przywołał chłopaka stajennego, podzielił się z nim dobrą wiadomością i odjechał. – Niestety nie mogę tu dłużej zostać. I tak spóźnię się już na uroczystość zakończenia roku szkolnego. Co z prezentem urodzinowym dla Maksa? Czy wszystko będzie gotowe na czas? – Maks był najstarszym z trzech synów Kamili.

– Do niedzieli wszystko będzie gotowe. Wczoraj dostarczyli uprząż

z czerwonej skóry. Wygląda wspaniale na białej sierści. Tam, po tamtej stronie, w remizie wszystko stoi gotowe. Oba kozły są wspaniale wypasione.

Fryc Hofmann zmagał się sam z sobą; jakżeż chętnie by to wszystko zobaczył.

W gruncie rzeczy było to marzenie jego młodości, które sam sobie spełnił: zaprząg składający się z dwóch śnieżnobiałych kozłów, w czerwonych uzdach, przed lekkim powozikiem. W uzdrowisku w Neuenahr, gdzie jego rodzice spędzali co roku letnie wakacje, był w parku zdrojowym taki zaprząg dla dzieci i nie było dnia, żeby mały Hofmann nie brał udziału w okrężnej przejażdżce.

Spojrzał na zegarek.

– Muszę wracać do Neustrelitz, a więc wiesz, co zostało ustalone. W niedzielę podjedziesz tym zaprzęgiem, powiedzmy, zaraz po śniadaniu, tak około dziewiątej. Wprowadzisz go na podwórze i objedziesz je dookoła. Ale bądź punktualny, o dziewiątej u Sengerów.

– Nie spóźnię się ani o minutę. A więc naprawdę jedziemy na wyścigi do Karlshorst?

Hofmann nie uznał za konieczne odpowiedzieć na to pytanie. Wyścigi miały dotację w wysokości trzydziestu pięciu tysięcy marek, z czego dwadzieścia dwa przeznaczano dla zwycięzcy. Myśl o tym i wynikające z tego obliczenia pochłaniały go bez reszty, kiedy szedł do czekającego na niego samochodu, którym miał wrócić do Neustrelitz.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dwugłosowy madrygał a capella w wykonaniu szkolnego chóru brzmiał już od kilku minut tak, jak gdyby miał się lada chwila skończyć, lecz ciągnął się i ciągnął i Fryc Hofmann czekał z wzrastającą niecierpliwością na zakończenie. Spóźnił się i pod karcącym wzrokiem pedla, który pilnował drzwi do auli, nie odważył się szukać siedzącego miejsca, lecz pozostał w cieniu podium. Zakończenie roku szkolnego uroczystością z biletami wstępu i drukowanym programem było typowe dla rektora realnego gimnazjum imienia Wielkiego Księcia Karola. Doktor Minding, profesor matematyki, fizyki i chemii, przepadał za urządzeniem takich imprez. Uroczystości, organizowane przez niego na dzień Sedanu, na rocznicę ogłoszenia cesarstwa, na imieniny Wielkiego Księcia i naturalnie na zakończenie roku szkolnego, cieszyły się taką frekwencją, że musiał wprowadzić bilety wstępu. Przy tym ceny, które kazał za nie płacić, były tak słone, że stanowiło to niemal rodzaj subwencji na szkolne cele, jaką stworzył sobie w ten sposób. Hofmann, aby zwalczyć nudę, która go opadła w trakcie chóralnego śpiewu, liczył gęsto obsadzone rzędy krzeseł i wyrachował, że ta jedna uroczystość przyniesie szkole okrągły tysiąc marek. Mimo to dla kogoś, kto jak Minding miał tak górnolotne plany, jak budowę obserwatorium astronomicznego, było to tylko jak kropla w morzu. Pięć lat temu doktor Minding przeforsował, że jego zakład został zrównany w prawach z humanistycznym gimnazjum, ale nie zadowoliło to bynajmniej jego ambicji, lecz podsyciło ją tylko, co widać było wyraźnie po jego najnowszym projekcie budowy obserwatorium.

Nareszcie madrygał dobiegł końca. Publiczność obdarzyła

nieustającymi oklaskami chór opuszczający podium. Uczniowie schodzili gęsiego po bocznych schodkach, aby powrócić na swoje miejsca. Hofmann nie musiał szukać wśród nich swoich wnuków, gdyż wszyscy trzej byli tak samo niemuzycalni jak on, zarówno Maks, najstarszy, który w niedzielę kończył dwanaście lat, jak i obaj młodsi, dziesięcioletni Konrad i Georg, który ze swoimi dziewięcioma latami był najmłodszym uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej w całym wielkim księstwie Mecklenburg-Strelitz, po prostu dlatego, że nie chciał sam zostać w domu, kiedy Konrad zaczął chodzić do szkoły, tak że od tego czasu obaj uczęszczali zawsze do tej samej klasy. Mimo całej jego dumy jako dziadka, taki nadmiar pilności wydawał się Hofmannowi trochę niesamowity, gdyż jeszcze nawet dziś myślał z przerażeniem o swoich własnych latach szkolnych. A nic się chyba nie zmieniło od tamtych czasów, ani ciasne, granatowe, świąteczne ubranka, ani świeżo ostrzyżone włosy. Co za głupie gadanie, że młodość to najpiękniejszy okres życia! On sam na sobie doświadczył czegoś wręcz przeciwnego. Dopiero na starość mógł tak żyć, jak zawsze tego pragnął.

– Amelung, Attenhofer, Berkel...

Doktor Minding, ze stosem świadectw przed sobą na uwieczonym girlandami pulpicie, zaczął właśnie od wywoływania według alfabetu uczniów pierwszej klasy, aby wręczyć im świadectwa. Rok 1904 był pod względem ilości urodzeń mocnym rocznikiem i klasa, do której uczęszczali Konrad i Georg, liczyła ponad trzydziestu uczniów. – Sachtleben, Sandner, Schadow... – Teraz Hofmann musiał uważać i dlatego przesunął się trochę na prawo. Nie musiał trapić się o tych dwóch wnuków. Już w szkole podstawowej nie przynosili nigdy innych stopni,

jak tylko najlepsze, i sądząc po nagrodach, jakie u dziadka wytargowali, nie potrzebowali kryć się ze swymi cenzurami z pierwszego roku gimnazjum.

– Senger Georg, Senger Konrad! – Hofmann ujrzał, jak podchodzili do przodu, obaj w granatowych marynarskich ubrankach i obaj jasnowłosi. Ogólne zainteresowanie, jakie budzili u obecnych, nie było tylko wynikiem wyobraźni dziadka. Każdy w Neustrelitz znał chłopców Sengera. Młode, rozwijające się miasto, którego magistrat koncentrował swoją główną uwagę, aby przyciągnąć możliwie jak najwięcej zakładów przemysłowych, potrzebowało zawsze wzorów, i od lat taki właśnie wzór stanowiła rodzina Sengerów. Każdy śledził awans ich zakładu przemysłowego na najpoważniejszego podatnika w mieście, z początku nie dowierzając, potem z podziwem i wreszcie z dumą, choć nawet jakaś resztką pytań pozostawała otwarta. Ponieważ rodzina Sengerów żyła w zupełnym odosobnieniu, można było kontaktować się tylko z trzema chłopcami, no i naturalnie z Hofmannem. Mieszkał nadal w śródmieściu i robił, co mógł, aby historii awansu swego zięcia dodawać coraz to nowego blasku. A kiedy Quittel na Ilionie wygra bieg myśliwski w Karlshorst, „Tygodnik Meklemburski” będzie miał temat do wspaniałego artykułu. Nie wolno zapomnieć o zamówieniu fotografa w Berlinie...

– Senger Maks... Senger Maks...

Hofmann przestał śledzić rozdawanie świadectw. Bo czy w samej rzeczy już przyszła kolej na trzecią klasę? Jeszcze raz rozległ się w auli głos rektora, który z niecierpliwością powtórzył to nazwisko po raz trzeci, ale żaden uczeń nie podniósł się ze swego miejsca. Już miały się rozlec

szepty, ale zostały stłumione przez rektora wywołaniem następnego nazwiska.

Fryc Hofmann, rażony pełnymi ciekawości spojrzeniami, cofnął się głębiej w cień podium. To, że Maks nie przyszedł na uroczyste zakończenie roku szkolnego, mogło mieć tylko jedno wytłumaczenie, bynajmniej nie przyjemne, gdyż Hofmann wiedział, że część winy spada na niego. Brunatna muszka, jaką nosił zamiast krawata, wydała mu się nagle za ciasna i przypomniał sobie, że nie zdążył już nawet zmienić koszuli, co zwykle było jego pierwszą czynnością po odwiedzeniu toru w Altstrelitz. Doktor Minding odczytywał dalej nazwiska uczniów i tak będzie się to ciągnąć, aż przyjdzie kolej na maturzystów. Hofmann wycofał się po cichu i niepostrzeżenie przybliżył się do głównego wejścia, zapobiegł uspokajającym ruchem ręki niememu protestowi pedla i nareszcie znalazł się poza aulą, w korytarzu z niszami, w których stały gipsowe popiersia wielkich Niemców. Jak przystało na realne gimnazjum, przeważały popiersia przyrodników, a wśród tych z kolei matematyków. Ach, ta matematyka! Na pewno niewystarczający stopień z tego przedmiotu doprowadził do katastrofy u Maksa...

Pokusa, aby postąpić tak samo jak wnuk i ulotnić się, była wielka, ale Hofmann się jej oparł i czekał na dziedzińcu szkolnym na koniec uroczystości. Jak na złość matematyka! Właśnie ten przedmiot, jaki z Maksem obkuwał! Jak usprawiedliwić się teraz przed Kamilą? Hofmann kochał córkę, a nawet podziwiał. Wiedział, jak wielki był jej wkład w sukcesy Sengera, ale w pewnych sprawach lepiej było z nią nie zaczynać. Przede wszystkim gdy chodziło o pieniądze. Nie, żeby trzymała go krótko, na to się nie mógł skarżyć. Mieszkał wciąż jeszcze na własne



żądanie w Hotel de Pologne, miał tam prawdziwe mieszkanie tylko dla siebie, trzy pokoje na najwyższym piętrze, z widokiem na zieleni i z własnymi meblami, a kiedy chciał, przynoszono mu jedzenie z restauracji na górę. Za wszystko to płaciła Kamila, poza tym uiszczala wspaniałomyślnie i bez długich dyskusji jego pozostałe rachunki. Ale jeśli chodzi o gotówkę, wydzielala mu ją skąpo. Na szczęście miał swoje własne, potajemne źródła i swego zięcia, który regularnie mu coś podtykał. To był ten drugi punkt: jego rzekomy zły wpływ na jej męża. Kamila obawiała się, że ojciec mógłby go namówić do prowadzenia lekkomyślnego życia, do zbyt drogich hoteli, do dawania zbyt hojnych upominków, a nawet podejrzewala ojca, że chce skusić Sengera do gier hazardowych. Oczywiście Hofmann próbował, ale niestety bez powodzenia. Trzecim punktem było wychowanie dzieci, tu również zarzucała ojcu, że „podkopuje jej zasady”. Ale nie było żadnego wyjścia, Hofmann musiał tak czy inaczej wypić piwo, które sobie nawarzył.

Skoro tylko usłyszał, jak otwierano drzwi od auli i pierwsi goście wyszli, zaraz powrócił do gmachu. Czyżby obecność nauczycieli nie pozwalała na głośniejsze słowo, czy też powaga chwili – w każdym razie również ten ostatni akt uroczystości odbył się z zachowaniem surowej dyscypliny, i Hofmann nie zdziwiłby się, gdyby uczniowie, podzieleni według klas, opuszczali aulę dwójkami.

Konrad i Georg wysłedzili dziadka, zanim on ich zobaczył, i nie proszeni pokazali mu z dumą swoje świadectwa. Ale on się tym nie interesował, lecz odprowadził obu chłopców na bok i zapytał:

- Gdzie podziewa się Maks? Co się z nim stało?
- Czy nie chcesz obejrzeć naszych świadectw? Za każdy celujący

stopień obiecałeś...

– Chcę wiedzieć natychmiast, gdzie jest Maks?

Bracia wymienili spojrzenia. Mogli być uważani za bliźniaków, tak byli do siebie podobni. Mieli silną budowę ciała jak ich ojciec, jego okrągłą twarz, robiącą zawsze wrażenie tryskającej zdrowiem, oraz tak jak ojciec delikatne blond włosy, co nadawało obu wygląd starszych i niemal statecznych.

– Jestem pewien, że wiecie, gdzie on jest.

Obaj skinęli głową, ale milczeli uparcie.

– Dobrze, nie potrzebujecie mówić, ale przyślijcie mi go natychmiast.

– Przecież mamy razem pójść na lody.

– Słuchajcie! Maks musi zaraz się tu stawić. Mówię to serio. Chcę mu pomóc... Myślę, że możecie sobie wyobrazić, co czekałoby go w domu. A więc sprowadźcie go. Musi zameldować się u rektora. Nie bójcie się o niego, ja również tam będę. Musi przyjść, powiedzcie mu, że inaczej nie mogę nic dla niego zrobić... Potem zjemy lody.

Pośród maturzystów w ich kolorowych czapkach ukazał się teraz w dwuskrzydłowych drzwiach auli rektor Minding. Hofmann skinął na swoich wnuków, aby znikli.

Odczekał, aż Minding pożegnał się ze swoją klasą i gromadą rodziców, przy czym rektor, górując niemal nad wszystkimi, skierował kilka razy do Hofmanna porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że i on uważa natychmiastowe przeprowadzenie rozmowy za celowe. Wreszcie wymienił ostatni uścisk dłoni i podszedł do Hofmanna, trzymając w ręku już tylko niebieskozieloną teczkę na świadectwa.

Doktor Minding był barczystym mężczyzną o niemal atletycznym

wyglądzie i chociaż miał dopiero czterdziestkę, był już łysy. Słyszał ze swoich gwarowych, mocnych powiedzonek i Hofmann był już przygotowany na to, że usłyszy coś podobnego przy powitaniu, lecz rektor powiedział tylko:

– Rodzice nie mają czasu tu przyjść, co? Nawet na zakończenie roku szkolnego... No, dajmy temu spokój. W każdym razie jeszcze mi się nie zdarzyło w ciągu moich dwudziestu czterech lat urzędowania w szkole, aby ktoś podczas zakończenia roku szkolnego poszedł na wagary!

Po czym ruszył pierwszy w kierunku swojego gabinetu.

Hofmann znalazł ten pokój. Po półrocznych świadectwach w zimie, kiedy grożące nieszczęście było już do przewidzenia, Hofmann po raz pierwszy odwiedził Mindinga. W porównaniu do gabinetów rektorów, jakie Hofmann pamiętał jeszcze ze swoich lat szkolnych, ten gabinet był pogodny, jasny, bez ponurego przepychu zakurzonych aksamitnych kotar, czarnych mebli i portretów członków rodziny panującej w złoconych ramach. Przypominał raczej laboratorium, z półką pełną przyrządów do nauki pogłądowej fizyki, chemii i biologii. Minding usiadł za olbrzymim biurkiem z nie malowanego drzewa dębowego. Hofmann stanął przed półką.

– Brak właściwie tylko jeszcze kościotrupa.

– Mamy go – zapewnił Minding – ale znajduje się teraz w naprawie, jako ofiara sprzątaczk. Złamała mu dosłownie kark.

– Może to katoliczka i chciała w ten sposób spełnić dobry uczynek.

Wydawało się, że Mindingowi nie przychodzi tak łatwo iść za tokiem myśli Hofmanna, ale potem się roześmiał. – Prawda, zawsze się przed tym kościotrupem żegnała – tu potrząsnął głową. – I pomyśleć tylko, że dla

wielu ludzi piekło zaczyna się bezpośrednio pod kartofliskiem.

– Moja matka chciała mnie wypisać ze szkoły, kiedy wykryła, że musimy uczyć się na pamięć poszczególnych kości, składających się na ludzką rękę. Choć przecież była protestantką.

– W Berlinie?

– W Neukölln.

– A więc pan się uczył u starego Kuhna, gdyż on pierwszy odważył się na takie herezje. – Minding wysunął szufladę swego biurka. – Czy widział pan nowość z tej dziedziny? – I wyjął z szuflady coś, co wyglądało jak puzdro na srebro stołowe. Na granatowym obiciu leżała ludzka ręką. – To z bakelitu – wyjaśnił Minding – składa się jak łamigłówkę, aby wbijało się lepiej uczniom w pamięć. Niestety piekielnie droga.

Hofmann chętnie pozostałby dłużej przy tym temacie, ale Minding nagle trzymał znów świadectwo w ręku. Ze zmarszczonymi brwiami odczytał je i wręczył Hofmannowi. – Zaszczytu mu to nie przynosi.

Hofmann musiał się przezwyciężyć, aby wziąć świadectwo do ręki. Dwa niedostateczne stopnie dosłownie skoczyły mu do oczu, jeden z historii, a drugi, jak przypuszczał, z matematyki.

– A więc nie przejdzie do następnej klasy?

– Nie, bo jak, a przy tym mógłby być właśnie z matematyki najlepszym w klasie. Jeszcze rok temu miał bardzo dobry stopień, a teraz wręcz niedostateczny. I to z czystego lenistwa. Młody panicz nie raczy się uczyć. Jeśli mu się zachce, to coś robi, jeśli nie, nic, a w ostatnim półroczu w ogóle przestał się uczyć. Również jeśli chodzi o inne przedmioty, można to zauważyć. Sam pan widzi, że w porównaniu do przeszłego roku to istne obsunięcie się z góry. Cierpliwość nauczycieli też ma swoje granice...

Hofmann westchnął głęboko. – Niestety wiele z tego obciąża moje konto. Kiedy zapoznaliśmy się z półrocznym świadectwem, dostał oczywiście w domu burę. Wtedy zgłosiłem gotowość zajęcia się wnukiem. Po szkole przychodził do mnie, pilnowałem, żeby odrabiał zadania domowe, potem przepytywałem go. Nastąpiła też wówczas pewna poprawa, stopnie z krytycznych przedmiotów znów się trochę podniosły, i wtedy popuściłem mu cugli, chyba nieco za wcześnie. – Hofmann nie chciał się oczywiście przyznać, że zaniechał całkiem pomocy przy odrabianiu lekcji, kiedy wnuk go zapewnił, że teraz już sobie sam poradzi – i z Makssem, który jako jedyny został dopuszczony do tajemnicy, spędzał popołudnia na torze wyścigowym w Altstrelitz, zamiast w pokoju odrabiać z nim lekcje. – A więc mnie obciąża tyle samo winy, co mojego wnuka.

– Maks jest już w tym wieku, że powinien sam wiedzieć, co ma robić, a czego nie. Wyrozumiałość byłaby tu całkiem nie na miejscu. Ten chłopiec potrzebuje twardej ręki.

– On już ją poczuje, może pan być spokojny. Nie z mojej strony, przyznaję, ale moja córka nic mu nie przepuści. Maks jest jej pierworodnym i nie potrzebuję chyba panu mówić, że matki są zawsze wobec swych pierworodnych szczególnie surowe. Obawiam się wprost, co z nim będzie, kiedy przyjdzie do domu z takim świadectwem...

Nie dokończył tego zdania. Jego wzrok padł na makietę obserwatorium astronomicznego, która, zrobiona z dykty, stała na stole w pokoju. Nie czuł się pewny, czy słusznie będzie zmienić teraz temat, ale spróbował szczęścia: – Kiedy ta sprawa ruszy z miejsca? – A gdy Minding niechętnie powiódł wzrokiem za ruchem jego ręki, dodał: – Czytałem w gazecie, że ma pan trudności z finansowaniem tej inwestycji.

– Na wszystko mają pieniądze, a my musimy zebrać o każdą pomoc szkolną. Całateczka korespondencji z powodu nabycia globusu. Można wprost oszaleć! Tak, dla humanistycznego gimnazjum wszystko funduje arystokracja, ale nami ci panowie się nie interesują. My jesteśmy tą proletariacką piechotą. – Doktor Minding wpatrzył się w makietę. – Od roku plany są już gotowe.

– Sądziłem, że Treibel przejął protektorat nad obserwatorium.

Minding wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie. – To nie on, tylko jego żona. Od jej śmierci bowiem kurek został zamknięty. Ach, ta prywatna inicjatywa! Nie mogę już tego słuchać. Czytam ciągle, ilu bogatych ludzi mamy w Neustrelitz, ale... – Tu przystanął przed Hofmannem. – Niech pan mi tego nie bierze za złe, ale rodzina Sengerów niestety nie należy do tych najhojniejszych. A z tego, co się słyszy, jej interesy przecież świetnie prosperują. Trzystu robotników w pełni zatrudnionych.

– To nie o to chodzi. Moja córka ma trzech synów w pańskiej szkole i ona sobie nie życzy, żeby jej synom było lżej tylko dlatego, że ich rodzice są bogaci. Ona jest pod tym względem przeczulona, to jedyny powód. Ale może istnieje jeszcze jakaś inna droga. Ile wynoszą koszty budowy tego obserwatorium?

– Trzydzieści tysięcy wraz z konieczną przebudową.

– Ile pan już zebrał?

– Jedną trzecią zaledwie. Skoro tylko będziemy mieć pięćdziesiąt procent własnych środków, miasto da mi bankową porękę na resztę. Na siedem i pół procent, jak podczas kryzysu marokańskiego. To niezdrowy objaw, w najwyższym stopniu niezdrowy. Oby się znowu na coś złego nie

zanosilo.

– Brakuje więc panu pięciu tysięcy marek? – Hofmann pomyślał o głównej wygranej myśliwskiego biegu w Karlshorst i w porównaniu z tym te pięć tysięcy marek wydały mu się drobnostką. – Jeśli poda mi pan numer konta, to na te pięć tysięcy daję panu moje żyro. Stawiam tylko jeden warunek: żadnego nazwiska, błagam, dar musi pozostać anonimowy. Chyba będzie pan mógł jeszcze w czasie letnich wakacji rozpocząć budowę.

Rektor Minding przyjrzał się Hofmannowi bacznie. Niezwykły człowiek i niezwykła rodzina. Choćby już te ich zewnętrzne warunki życia: jedna z najbogatszych rodzin w Neustrelitz, a wciąż jeszcze mieszkają w domu przy starej fabryce beczek. Sam Senger wciąż podróżuje niczym pierwszy lepszy komiwojażer. Nie przyjął żadnych tytułów ani godności honorowych, jakie mu proponowano. A pani Sengerowa pracuje w fabryce, przystojna młoda niewiasta, która codziennie punktualnie o wpół do ósmej siedzi przy swoim biurku i którą z powodu jej sprawności wszyscy wychwalają, a jednocześnie się jej boją. W gruncie rzeczy imponowało to Mindingowi, gdyż jako syn robotnika kolejowego miał słabość do ludzi, którzy swój awans zawdzięczali wyłącznie własnej sprawności; jedynie jego matematyczny umysł odczuwał, że coś w tym wszystkim nie gra. Sengerowie i Hofmann to było równanie, które się nie zgadzało, była w tym jakaś wielka niewiadoma, dla niego nieuchwytna.

Uparte milczenie rektora nie zaniepokoiło Hofmanna, a jeszcze mniej suma, którą mu obiecał. Główna wygrana w biegu myśliwskim w Karlshorst wynosiła dwadzieścia dwa tysiące marek, a on, jakby już

miał te pieniądze w kieszeni, zdecydował się obiecaną Mindingowi sumę w razie potrzeby jeszcze nawet podwyższyć.

Nagle ktoś zapukał do drzwi, Minding przeprosił, wyszedł z gabinetu i kiedy po pewnej chwili wrócił, powiedział: – To ten nasz grzesznik, miał dość naciągane usprawiedliwienie, ale ostatecznie... – Tu wskazał na świadectwo. – A co z tym zrobimy?

Fryc Hofmann podniósł obie ręce, a jego mina mówiła, że jakakolwiek decyzja zapadnie, w pierwszej linii jego ugodzi.

Minding spojrział na cenzurę, a potem na makietę obserwatorium. – Jeśli przeniesiemy go do następnej klasy, to tylko na próbę. W każdym razie będzie musiał zdać dodatkowy egzamin.

– Wydaje mi się, że to jest najwłaściwsze rozstrzygnięcie.

Rektor wyciągnął zegarek. – Za kilka minut zaczyna się konferencja nauczycielska. Niedostatecznego stopnia z matematyki lepiej nie ruszać, gdyż chłopiec zanadto rozjuszył swojego profesora wołającym o pomstę do nieba lenistwem. Ale z doktorem Capobusem mógłbym porozmawiać, może stopień z historii da się poprawić. – Mówiąc to zatrzasnął wieczko zegarka. – Oczekuję chłopca za godzinę. Ale jeśli chodzi o korepetycje, to lepiej niech się pan tym razem do tego nie bierze. Weźcie starego Lauego, on wie, jakie mogą być braki.

Hofmann zastał wnuka przed szkołą, zagłębianego w oglądaniu parkującego tam samochodu. Zdawał się nie odczuwać żadnych wyrzutów sumienia i natychmiast zasypał dziadka szczegółami o tym samochodzie, o ilości jego koni mechanicznych i o technicznych danych, kończąc opis westchnieniem: – A mój ojciec jeździ wciąż jeszcze swoim prastarym oplem.



Po spędzeniu nieprzyjemnej pół godziny u rektora byłoby czymś w pełni zrozumiałym, gdyby Hofmanna rozgniewała jawna lekkomyślność wnuka, lecz on zamiast tego najchętniej by się oddalił, nie powiedziawszy również ani jednego słowa o całej tej sprawie. Musiał zadać sobie gwałt, by wygłosić karcące kazanie:

– To było nieodpowiedzialne z twojej strony nie przyjść na uroczyste zakończenie roku. Konsekwencje były łatwe do przewidzenia. Czy wiedziałeś, że będziesz miał aż dwa niedostateczne stopnie?

– Oczywiście, musiałem się z tym liczyć. – W przeciwieństwie do swych młodszych braci Maks nie miał w sobie nic ze swego ojca, ale był „wykapany Hofmannem”, jak nazywał to dziadek. Przewyższał wzrostem przeważającą część swoich rówieśników, był smukły i delikatnej budowy, jego włosy i oczy były ciemne. Miał na sobie brązowe ubranie z długimi spodniami, biała koszula była nienaganna, jak również krawatka, a pomiędzy butonierką w klapie i boczną kieszonką wisiała złota dewizka. Dziadek był dla niego wzorem przede wszystkim w ubieraniu się i najchętniej Maks chodziłby już jak tamten, w kapeluszu i z laską.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

– Już się usprawiedliwiłem u rektora, jak tego ode mnie żądałeś.

– I co dalej?

– Sądzę, że ty z nim rozmawiałeś...

– I co według ciebie z tego wynikło?

– Skąd ja mogę wiedzieć. Ale nie wyglądasz na zbyt strapionego.

– A więc tak nie wyglądam... – Dlaczego jednak nie udało mu się chłopca po prostu skarcić? To byłoby najprostsze, powinien był przemówić mu do sumienia. Bo jeśli wnuk odniesie wrażenie, że również

dziadek całą tę sprawę lekceważy...

Jakiś czas szli obaj milcząc obok siebie, aż Hofmann w końcu się zdenerwował:

– Niedostateczny z matematyki to katastrofa. Z historią jeszcze jakoś poszło, masz ledwie dostateczny. W końcu wakacji będziesz musiał zdawać dodatkowy egzamin, chyba to dla ciebie jasne.

– To znaczy, przeszedłem do następnej klasy?

– Egzamin dodatkowy. I trzeba kuć u starego Lauego w ciągu wakacji, sam to sobie narobiłeś.

– Ale przechodzę do następnej klasy?

– Zostać na drugi rok! Tego by jeszcze brakowało. Stracić cały rok, a twoja matka... wydaje mi się, że i tak nie obejdzie się bez burzy z piorunami.

Poszli dalej.

– Czekaj – powiedział niespodzianie Maks. I wskazał na ławkę na skraju drogi. – Postaw na niej nogę, najpierw lewą. – Hofmann zrobił, jak mu kazano, i wnuk obtarł mu kurz z trzewików chustką do nosa, która widocznie tylko do tego celu służyła, gdyż była raczej czarna niż biała.

– Dziękuję.

– Byłeś już dziś rano na torze wyścigowym? Bo kurz na twoich trzewikach jest żółty.

Hofmann skinął głową. – Szkoda, że cię tam nie było!

– Czy Quittel pojedzie na twoim koniu?

– Teraz są już pewnie w drodze do Berlina.

– Ilion okazał się jednak dobry? Mimo upału?

– Cztery tysiące pięćset metrów w 5-57-3.

– Sądzisz, że może z takim wynikiem zwyciężyć?

– Co znaczy może... On na pewno zwycięży. Tricolore'owi się to nie udało, również i Gay Parisowi. A Arcyksiężna pod kapitanem Joe miała gorszy czas na takim samym dystansie.

– A więc ja naprawdę przechodzę do następnej klasy?

– Tak.

– Czy oddasz mi pewną usługę? Postaw za mnie na Iliona dwadzieścia marek.

– A więc teraz wierzysz już, że on wygra? Dwadzieścia marek, mówisz. Czy wolno mi zapytać, skąd pochodzą te pieniądze? Jeśli myślisz, że za cudze pieniądze ma się większą szansę...

– Ależ nie, chodzi o moje własne! O te dwadzieścia marek, które dostanę od ciebie za świadectwo.

– Chwileczkę! Dwadzieścia marek za takie świadectwo! Obiecałem ci, że...

– Dwadzieścia marek, kiedy przejdę do następnej klasy, a przecież przeszedłem, a może nie?

– Biedna Kamila – mruknął Hofmann, choć sam dobrze nie wiedział, co chciał przez to powiedzieć. I zanim doszedł do kawiarni Sturma, ten przypływ zadumy znów się ulotnił. Obaj jego wnukowie, Konrad i Georg, siedzieli już w ogródku przed kawiarnią. Kelner sprzątnął właśnie dwa srebrne kubki i postawił na ich miejsce dwa nowe, wypełnione po brzegi lodami cytrynowymi.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kamila podeszła do okna, otworzyła je i spojrzała w dół na podwórze, aby zobaczyć, co się tam stało. Miała na sobie niebieską lnianą sukienkę, której jedyną ozdobą były dwa rzędy białych guzików wzdłuż bocznych szwów, aż do pół łydki, gdzie materiał był rozcięty. Sukienka ta czyniła ją jeszcze smuklejszą, niemal uwodzicielsko szczupłą, i obaj mężczyźni, którzy siedzieli z nią w biurze, nie mogli się powstrzymać, aby nie przypatrzeć się jej dokładnie, choć obaj uważali, żeby natychmiast, jak się ona obejrzy, skupić się znów nad swoją robotą. Na razie jednak Kamila pochłonięta była tym, co się działo na podwórzu. Jeden ze starszych robotników pomagał lekarzowi przy wysiadaniu z dorożki. Wziął od niego teczkę i podążył niemal biegiem do rannego. Doktor Oesterreicher miał na sobie mimo upału ciemny surdut.

Nieszczęśliwy wypadek przydarzył się w składzie spedycyjnym, na długiej rampie, gdzie odbywał się załadunek na wagony kolejowe, a przybycie lekarza zwabiło dalszych ciekawskich. Zbiegli się ze wszystkich stron, kobiety i mężczyźni w jasnoniebieskich kitlach i ubraniach roboczych, w które ich zaopatrywał zakład pracy. Głos starszego robotnika, usiłującego ich rozpędzić, doleciał aż tu na górę, ale ludzie nie dali się tak łatwo rozproszyć. W niewielkich grupkach dyskutowali, wykorzystując sposobność, aby wypalić papierosa. Kamila nie mogła już dłużej na to patrzeć i zatrzasnęła okno.

– Zawsze coś takiego musi się przydarzyć w piątek! Zawsze w piątek, kiedy ekspedujemy towar.

Obaj księgowi, również w jasnoniebieskich kitlach, z ozdobnym białym

„H” na niebieskim okrągłym tle na piersi, wiedzieli, że pani Senger nie oczekuje od nich żadnego komentarza. Pozostali więc pochyleni nad swoimi papierami i przez chwilę słychać było w biurze tylko stukanie maszyny do liczenia.

– Na czym stanęliśmy?

– Na Turyngii. Tygodniowy obrót Glasbrennera. – Księgowy, który udzielił tej odpowiedzi, wyciągnął taśmę z maszyny do liczenia.

– Czy to wszystko?

– Łącznie z zamówieniami, które dziś przyszły z poczty.

– A Saksonia?

– Nie da się porównać z Saksonią. Glasbrennerowi brak Erfurtu i Gothy, które zarezerwował sobie Stüler. Trzeba będzie wprowadzić nową segregację rejonów dla komiwojażerów. Wtedy Glasbrenner będzie mógł...

– Jak wygląda sytuacja w Saksonii? – Kamila przejrzała zestawienie, które jej podał księgowy. – Przeważa o całe trzydzieści procent.

– Ale Turyngia jest trudniejsza. Więcej małomiasteczkowych klientów. No i przejęliśmy tam zakłady przemysłowe Lida z resztą wyrobów, które blokują rynek.

– Ale też przeznaczaliśmy dwa razy tyle na reklamę w jego rejonie. Nie! Glasbrenner się zaniedbuje. Liczby świadczą o tym, jakkolwiek rejon się weźmie. Przeciętnie mamy już w tym roku dwunastoprocentową nadwyżkę obrotu, a on wykazuje tylko połowę tego, to się przecież zgadza.

– Tak mniej więcej, sześć do siedmiu procent, ale on to nadrobi.

– Czy pan naprawdę w to wierzy?

– W każdym razie to nasz najstarszy komiwojażer. On od początku

u nas pracuje, od trzynastu lat...

– I my także pracujemy już od trzynastu lat, pan i ja, a pan, panie Wagner, od dziesięciu. To nie jest powód, aby się opuszczać i stawać się zbyt wygodnym, może nie? – Kamila uśmiechnęła się właściwie tylko oczyma, w których zjawił się wyraz łagodny i wyrozumiały, a obaj księgowi nie wiedzieli, gdzie podziąć wzrok. To było dziwne: z prostymi robotnikami radziła sobie śpiewająco. Kierowcy, tragarze i ci od warzenia mydła, wszyscy uwielbiali swoją szefową i nie kryli się z tym, o czym świadczyło choćby to znane w całym mieście powiedzenie: „Nasza szefowa zaćmiewa wszystkie niewiasty”. Ale nie tak bezproblemowo układał się stosunek Kamili do oficjalistów w biurze. Dla nich Karol Senger był, mimo jego częstej nieobecności, jedynym szefem firmy, a Kamila była tylko jego żoną. Trzydzieści lat nie wystarczyło na usunięcie tego zakorzenionego przesądu, i Kamila musiała się nie tylko z tym zgodzić, ale nawet nauczyła się wyciągać z tego pewne korzyści, uznając za zasadę utrzymanie pewnego dystansu między nią a tymi ludźmi.

– Kiedy będzie pan miał gotowy wykaz zamówień – powiedziała – proszę zrobić mi zestawienie obrotów u Glasbrennera, powiedzmy, w ciągu ostatnich dwóch lat, wliczając do tego naturalnie Erfurt i Gothę. Jeszcze coś?

– Może pani będzie łaskawa podpisać rachunki, abym mógł je wypłacić.

Kamila przejrzała załączniki, podcyfrowała stromą literą „S” i zatrzymała się tylko przy jednym. – Proszę napisać to na maszynie – powiedziała i wręczyła księgowemu poszczególne rachunki. Poleciała podać sobie sumę końcową i porównała ją z załącznikami. – Pomylił się

pan, wprowadzie na naszą korzyść, ale zupełnie tak samo mogłoby być odwrotnie.

Skorygowała sumę, podpisała również ten rachunek i opuściła biuro.

Kamila była kimś, kto potrzebował ciepła, i czuła się najlepiej latem. Toteż kiedy teraz wyszła na dwór w sam żar lipcowego dnia, zauważyła nagle, jak jej było zimno, tak zimno, że nawet przez chwilę poczuła dreszcze. Fabryka wciąż się powiększała, powstawały nowe obiekty, jeden po drugim: nowoczesny dwupiętrowy budynek administracyjny, z którego właśnie wyszła, laboratorium, nowe oddziały produkcyjne, nowe składy i nowa centrala spedycyjna oraz mieszkania robotnicze. I wszystko to od dawna zrosło się z miastem, tak że podróżni, którzy częściej przemierzali trasę od Neustrelitz do Berlina, wiedzieli dokładnie, w którym miejscu ukaże się komin ze świetlną reklamą, białe „H” w niebieskim kole. Wśród wszystkich tych budynków fabrycznych jedynie dom mieszkalny, ku któremu teraz Kamila podążała, stanowił anachronizm.

Nie pasował już po prostu do reszty. Wewnątrz unowocześniono go naturalnie w daleko idący sposób, ale ulepszenia, które przedsięwzięto w jego zewnętrznym wyglądzie: otynkowanie na biało, nowe framugi okien, okiennice, powiększenie głównego wejścia, dobudowanie werandy i uporządkowanie ogrodu, okazały się daremne. Przede wszystkim ostatnia próba sprzed dwóch lat, polegająca na ustawieniu dwóch kamiennych orłów na słupach nowej bramy od strony ogrodu, całkiem się nie udała. Dom pozostał bastardem, niemal wzruszającym w swej wysztafirowanej brzydocie.

Od strony fabryki rozległo się wycie syreny ogłaszającej południową przerwę, kiedy Kamila wchodziła do domu. Miała tu swój prywatny

gabinet. Był to ten sam pokój na parterze, gdzie ongiś wszystko się zaczęło. O dawnym umeblowaniu przypominała już tylko wąska dwuosobowa kanapka, ale nawet i ona została przez ten czas na nowo wyściełona i obita. Kamila przeszła do małego pokoiku obok, aby umyć ręce i poprawić włosy, które teraz znów miała długie, bardzo miękkie i gęste, upięte w kok, co szczególnie korzystnie uwydatniało jej wąską twarz i smukłą szyję. Mogła być zadowolona ze swojego wyglądu. Podobała się sobie teraz, w trzydziestym pierwszym roku życia, bardziej niż kiedy miała lat osiemnaście. Potwierdzało jej to nie tylko codziennie lustro, ale przede wszystkim zachowanie się mężczyzn. Trudno było wyjaśnić, na czym polegała ta poprawa urody, która nastąpiła w ciągu tych lat. Jej ojciec powiedział kiedyś, że wszystkie berlińskie panie rozkwitają późno i może po prostu i z nią też tak się stało. Uśmiech rozjaśniał jej twarz, kiedy usiadła przy biurku. Po raz pierwszy tego ranka poczuła się odprężona. Zabrała się do jakiejś roboty, ale trudno jej było się skupić. Na biurku stały przeróżne drobne upominki reklamowe, dodawane do opakowań nowych produktów. Również i na nich figurowała litera „H”, gdyż nazwisko Hofmanna nadal firmowało przedsiębiorstwo. Mąż Kamili sam sobie tego życzył, ponieważ uważał, że byłoby nierozsądnie zmienić nazwę firmy. I Kamila czuła się w pewnym stopniu z tego dumna, choć niekiedy zastanawiała się, czy mąż kiedyś tego nie pożałuje. Choć twierdził zawsze...

– Proszę wejść.

Była to gospodyni, pani Ewers, która weszła z filiżanką bulionu, z pewnością siebie zrobiła miejsce na biurku i podparłszy się pod boki, przystanęła.



– Niech teraz pani to wypije... Ja nie szczędzę wysiłku, a potem pani niczego nawet nie tknie.

– Czy przynajmniej wolno mi poczekać, aż wystygnie, abym nie sparzyła sobie języka?

– Nikt nie może żyć samym powietrzem. Na śniadanie zjadła pani pół bułeczki, i od tego czasu nic więcej.

– To z powodu upału.

– Tak, z powodu upału! Pani się nie oszczędza, niedługo będzie można panią zdmuchnąć. Tak zupełnie bez żadnych rezerw. Wystarczy, że przyjdzie jakaś choroba... Przy sposobności chciałam się zapytać, co z przyjęciem urodzinowym w niedzielę?

– Polegam na pani.

– Chłopiec życzy sobie czekoladowej zupy, a potem węgorza w occie. To jego urodziny, a pani mąż też to lubi. Ale co dla pani? – Pani Ewers pochodziła z Meklemburgii i dlatego ceniła wysoko meklemburską kuchnię, popierana pod tym względem przez męskich członków rodziny Sengerów.

– Jeśli upał się tak dalej utrzyma, wystarczy mi zimna zupa.

– Zimna zupa... już mi to przychodziło na myśl. Ale czy pani ojciec też się tym zadowoli?

– No, pani wie najlepiej, co on lubi.

Pani Ewers obecnie liczyła sobie pięćdziesiąt lat, nigdy nie wyszła za mąż, bo kochała się zawsze w mężczyznach, którzy byli dla niej nieosiągalni. Ojciec Kamili był właśnie takim mężczyzną, którego czciła, rozumie się w zupełnej tajemnicy, co się jednak w najróżniejszy sposób ujawniało. Z jego powodu przewracała do góry nogami całe menu. Od

czasu do czasu sprawdzała w piwnicy w Hotel de Pologne jego zapasy wina, opiekowała się osobiście jego koszulami i przechowywała w oddzielnym pudełku jego już nie używane szaliki i rękawiczki, co Kamila przypadkiem odkryła.

– No to postaram się dostać na niedzielę dziczyzny. Lipiec wprawdzie to pod tym względem niedobry miesiąc. Mięsa z dzika pan Hofmann nie lubi, na dzikie kaczki jest jeszcze za wcześnie, ale zapewne będzie można dostać bekasy...

– Nie wątpię, że znajdzie pani to, co trzeba.

– Czy pan Hofmann będzie dziś na obiedzie?

– Właściwie powinien już tu być z dziećmi. – Gospodyni zaczęła stopniowo denerwować Kamilę, która nie miała najmniejszego apetytu na bulion. Nie mogła zrozumieć, jak szybko zleciało jej przedpołudnie, wiedziała tylko, że nie załatwiła nawet połowy tego, co zamierzała.

– Dlaczego właściwie pani nie poszła na zakończenie roku szkolnego, teraz, kiedy ma pani tam wszystkich swoich trzech synków? I w ogóle, ile wysiłku tam włożono, aby odśpiewać taki madrygał a cappella, to coś najpiękniejszego, co można sobie wyobrazić. Ci chłopcy śpiewają jak anioły. – Pani Ewers brała udział przez wiele lat w chórze kościelnym i dlatego nie opuszczała nigdy oratoryjnych koncertów na Wielkanoc i Boże Narodzenie. – Naprawdę słyszałam na próbie: uczniowie śpiewali jak anioły.

Musimy spakować rzeczy dla chłopców i znieść kufry ze strychu, bo już w poniedziałek mają pojechać nad morze do Warnemünde. Mój Boże! O mało co byłabym o tym zapomniała! Lenka ma w tych dniach urodziny. – Kamila wysunęła szufladę i przerzuciła kartki kalendarza. – To już we

wtorek! Muszę więc jeszcze dziś pojechać do miasta i wyszukać dla niej jakiś prezent. – Spojrzała jednak na terminarz, który leżał przed nią. – Nie, nie dam rady, dziś po południu ma przedstawić się nowy komiwojażer i... Niech pani słucha, pani Ewers, naprawdę nie jestem w stanie teraz tego wypić, niech pani to zabierze i pozostawi mnie samą. A kiedy doktor Oesterreicher przyjdzie i będzie chciał się ze mną widzieć, to niech pani to dla mnie zrobi i pozbędzie się go jakoś. Nie mogę z nim teraz rozmawiać.

Ale gospodyni stała dalej przy biurku.

– O szóstej rano się zrywać, potem przez cały dzień tu siedzieć. Wczoraj jeszcze o północy paliło się tu światło.

– Kochana pani Ewers, ile razy jużśmy to odegrały? Z całym szacunkiem dla pani macierzyńskich uczuć, ale wszystko jest w należyтым porządku. Mam trochę za wiele na głowie, ale nastaną znów spokojniejsze czasy.

– Słyszę już to od trzynastu lat.

– A czy kiedy się skarżyłam?

– Oby pani kiedyś zaczęła się skarżyć.

– Co?

– Raz przynajmniej pani powinna o sobie pomyśleć. Utrzymanie domu, dzieci, mąż, fabryka, o wszystko się pani troszczy, najchętniej robiłaby pani wszystko sama. A tego jest po prostu za dużo. Pewnego dnia zapłaci pani za to.

Kamila próbowała zakończyć dyskusję śmiechem, ale pani Ewers już wpadła w werwę. – A więc przypuszczam, że chłopcy pojedą znów sami do Warnemünde! Tak będzie już trzeci rok. Dawniej chociaż znajdowała pani czas, aby spędzić parę tygodni nad morzem, a teraz już pani sobie

nawet na to nie pozwala. Nie, pani się nie skarży! To prawda. Wszyscy by się zdziwili, gdyby nagle usłyszeli z pani ust, że pani się czuje zmęczona i że chciałaby odetchnąć. Moja siostra jest taka sama jak pani: opanowana i zrównoważona, nie pokazuje nigdy nic po sobie, ale biada, jeśli zacznie się bronić, wtedy wszyscy tracą głowę i w końcu ona musi jeszcze za to przeproszać.

Ktoś zapukał i zanim Kamila mogła się temu sprzeciwić, doktor Oesterreicher stał już w drzwiach. Od trzynastu lat był ich lekarzem domowym. Wchodził i wychodził, jakby należał do rodziny. Asystował przy porodzie jej trzech synów, uratował życie męża Kamili ze zbyt późno rozpoznanego zakażenia krwi przez szybkie zadecydowanie o operacji i opiekował się oczywiście również pozostałymi członkami domu Sengerów oraz robotnikami ich fabryki. Od czasu do czasu zachodził też nie wzywany najchętniej w porze obiadowej, gdyż wysoko cenił sztukę kulinarną pani Ewers. Toteż jego pierwsze spojrzenie, po odstawieniu teczki, skierowało się ku tacy z filiżanką bulionu.

– Czy w kuchni znajdzie się dla mnie jeszcze taka filiżanka?

– Jeśli pan pozwoli, zaproponuję wypicie tej, ma już teraz odpowiednią temperaturę – rzekła Kamila.

Lekarz odprowadził wzrokiem gospodynię, która bez słowa ustąpiła z pola. – Ta poczciwa Ewers nie powinna już więcej przybierać na wadze, niech pani jej wytłumaczy, że jej z tym nie do twarzy. Ależ dobrze, pani pewnie chciałaby się dowiedzieć, co się stało z tym robotnikiem. A więc z początku wydawało się, że będzie gorzej. Typowy wypadek przy sprzęganiu wagonów. Tym ludziom zawsze się wydaje, że mogą wagon zahamować własną piersią. Trzy złamane żebra. Założyłem mu bandaż i na

tym koniec. – Po czym doktor Oesterreicher wypił bulion, z lekka chlepcząc.

– To trzeci taki wypadek przy sprzęganiu wagonów, chociaż mój mąż dał im dokładne wskazówki.

Lekarz podszedł do Kamili, która wiedziała, co teraz nastąpi, i nie sprzeciwiała się. Od czasu kiedy stwierdził, że jest nieco anemiczna, oglądał za każdym razem jej oczy.

– Proszę się nie ruszać! Czy pani bierze ten preparat zawierający żelazo, który pani zapisałem?

Kamila odpowiedziała, że tak, aby go zadowolić, choć naprawdę już od dawna nie tknęła owej brunatnej buteleczki, która stała w jej szafie z lekarstwami, gdyż po przyjęciu tego lekarstwa robiło się jej za każdym razem słabo.

– Czy pani dobrze sypia? – pytał dalej i przyglądał się jej krytycznie.

– Niech pan posłucha, nic mi nie brakuje. Pan ciągle chce czegoś się u mnie doszukać, a ja jestem najzdrowsza w całym tym domu.

Lekarz rozpiął surdut. Kamila w jakiś sposób miała rację. Z całego domu Sengerów ona najmniej korzystała z jego usług. Tak nieskomplikowanych ciąży i porodów jak u niej nie zdarzyło mu się spotkać w ciągu czterdziestu dwu lat swej praktyki lekarskiej. W tydzień po porodzie spotykał ją zawsze w tym biurze, pogrążoną w pracy. Ale w ostatnim czasie zaobserwował u niej pewne symptomy, które go zaniepokoiły. – Pani pracuje za dużo i śpi za mało. Co pewien czas potrzebuje każdy wyprostować zupełnie nogi, nawet pani. Byłbym niesumiennym lekarzem, gdybym czekał, aż będzie za późno. Przecie pani może, chwała Bogu, przez jakieś pół roku...

– Nie mam już dwudziestu lat, w tym rzecz. Na przyszły raz, kiedy pan przyjdzie, urózuję się i pan będzie zadowolony.

– Skądinąd jest pani taka rozsądna...

– Błagam, niech pan mi tego oszczędzi. Dopiero co uraczyła mnie tym wszystkim pani Ewers, a pan wie, jak ona potrafi człowieka zanudzić.

Głos Kamili brzmiał spokojnie i przyjaźnie, ale siedziała przy tym sztywna za swoim biurkiem i jej postawa była tak nieprzystępna, że lekarz dał spokój z dalszym naleganiem. Zapiął surdut, wziął teczkę i podał jej rękę. – Pani zna willę stojącą obok mojego domu. Mąż pani kiedyś nadmienił, że w pewnych okolicznościach willa ta by go interesowała. A teraz jest wystawiona na sprzedaż: z wielkim ogrodem, starym drzewostanem i cieplarnią. Posesja, która właściwie byłaby i w pani guście. A cena, o ile wiem, trzyma się w rozsądnych granicach. Już sama okolica warta jest złota. Rzadko kiedy zdarza się tam coś wolnego.

– Czy to ta posiadłość na lewo od pańskiego domu?

– Właśnie.

– I mój mąż mówił, że to by go interesowało?

– Odniosłem takie wrażenie, bo czy od lat nie szukacie już czegoś w tym rodzaju?

Nie tylko doktor Oesterreicher zwracał jej zawsze uwagę na tego rodzaju okazje. Nikt nie mógł zrozumieć, że oni wciąż jeszcze tu mieszkają. W opinii publicznej odczuwano to niemal jako afront, zwłaszcza że dopiero bezprzykładny awans, wzrastające bogactwo i dobra sława firmy skłoniły wyższe sfery z Neustrelitz, to znaczy: dwór wielkksiążęcy, meklemburską szlachtę i urzędników dworu, do zrobienia wyjątku i znizenia się tak dalece, by fabrykantowi mydła przyznać prawo

do bywania w ich towarzystwie. Tym bardziej dziwiono się, że rodzina Sengerów nie przywiązywała do tego wcale wagi. Nie znajdowano żadnej rozsądnej przyczyny dla tego rodzaju postawy. Doktor Oesterreicher nie mógł również znaleźć takiej przyczyny, kiedy i tym razem otrzymał mętłą i niezadowolającą odpowiedź:

– Może pan w to nie uwierzy, ale już zdążyłam przywiązać się do tego domu. – Nie było to całkiem kłamstwem, ale i nie odpowiadało też pełnej prawdzie. Lecz jakże Kamila mogłaby przyznać się przed kimś obcym do tego, do czego uparcie sama przed sobą się nie przyznawała.

– No, jak by to było, gdybyście oboje z mężem mnie odwiedzili. Na szczęście mogę teraz znowu przyjmować gości, angażując nową gosposię, zrobiłem świetne posunięcie. A teraz chodźmy, niech pani mnie odprowadzi. Naprawdę, tym razem trafiła mi się perła. Proszę się nie śmiać, dla wdowca to nie takie proste: młode gosposie czyhają na takich, a stare są nieustannie chore. Widzi pani, że i ja mam swoje problemy.

Kamila zawsze go odprowadzała i zrobiła to również teraz, choć ukradł jej już pół godziny cennego czasu. Niebo było bezchmurne, słońce rozpalone do białości. Była to właśnie godzina największego upału, a jednak ona nic nie odczuwała, jakby nakryto ją szklanym kloszem, od którego promienie słoneczne bezskutecznie się odbijały. A teraz kiedy podała lekarzowi rękę, zauważyła, jak jej dłoń była zimna. Lecz doktor Oesterreicher tym razem nie wypowiedział żadnej uwagi na ten temat. Wskazał tylko na cynie ze złotoczerwonymi kwiatami i powiedział: – U mnie nic z nich nie wychodzi. To musi zależeć od gleby.

– Czy chce pan wziąć ze sobą wiązanek?

– Nie, w domu nie lubię kwiatów. Moja żona o tym wiedziała, ale jak

wytłumaczyć to zaprzyjaźnionym ze mną damom...

Intensywna woń unosiła się nad klombami, nie słodka jak na wiosnę, lecz surowa, niemal jesienna, jak się Kamili wydawało. Spojrzała na przepych kwiatów i przez chwilę zdawało się jej, że stoi w jakimś obcym ogrodzie, gdzie panuje pora roku, która nie była dla niej właściwa.

– ...z wyjątkiem oczu. Musi się coś zrobić. Nie uda mu się uniknąć operacji. Zna go pani przecież, myśl, że będzie musiał nosić okulary, jest czymś dla niego najgorszym.

– Pan ma na myśli mojego ojca? Okulary?

– Patrząc na niego zapomina się, że ma już sześćdziesiąt dziewięć lat. Okulary są dla niego niezbędne, lecz on wzbrania się zawzięcie. Zakazał mi nawet z panią o tym mówić. Może się kiedyś coś przytrafić. Przy tym ruchu, jaki panuje dziś na ulicach, wpadnie kiedyś pod samochód. Poza tym jest on w najlepszym nastroju. Naprawdę umie ułożyć sobie życie ten pani ojciec. Mogłaby się pani uczyć od niego.

– Niech pan trochę poczeka. Ja się już tego nauczę. Trzeba również trochę zachować na później. Być może będzie ze mnie jeszcze całkiem lekkomyślna starsza pani, która szasta pieniędzmi. Coś takiego podobno się zdarza. Pan wspominał o operacji?

Doktor Oesterreicher przerwał jej ruchem ręki, gdyż na dziedziniec właśnie wjechał samochód i przystanął przed domem. – Jeszcze o tym pomówimy.

Kierowca zatrzymał się tylko na chwilę, aby pomóc wysiąść Hofmannowi i trzem jego wnukom, i pojechał dalej w kierunku budynku fabrycznego. Mogło to wyglądać na luksus, że kierowca codziennie woził dzieci do szkoły i zabierał je stamtąd. Ale dla Kamili było to



usprawiedliwione tym, że kierowca co rano odbierał pocztę z głównego urzędu pocztowego, a w południe odwoził listy na pocztę. Jej ojciec wykorzystywał niekiedy okazję i wyjeżdżał samochodem, aby spędzić kilka godzin w laboratorium. Między chemikami byli tacy, którzy twierdzili, że umie on więcej od nich wszystkich razem, ale dla niego było to tylko urozmaicenie, i nigdy na pewno nie można było na niego liczyć. Stosunek Kamili do ojca był dwojaki. Zewnętrznie dobry. Dzięki uregulowaniu przez nią spraw finansowych nie było prawie powodu do zatargów, jednakże nie dało się usunąć przeszłości. Ojciec budził w niej pewne wspomnienia, które nawet po tych wszystkich latach były jeszcze wciąż bolesne. Strach przed możliwością utracenia wszystkiego z dnia na dzień głęboko się w niej zakorzenił. To była ta siła napędowa, która jej dodawała energii, ale z drugiej strony czyniła niezdolną do porzucenia wszystkiego, zapomnienia o pracy i użycia zupełnej swobody.

Lekarz i ojciec Kamili przywitali się, a chłopcy trzymali się z tyłu. Mogło to wyglądać na dobre wychowanie, ale Kamila tłumaczyła sobie inaczej: przypuszczalnie zjedli za dużo lodów i byli zadowoleni, że nie trzeba od razu siadać do obiadu. Ze świadectwami, jak się wydawało, też nie było najlepiej, gdyż nie wrywali się z ich pokazywaniem. Tylko Konrad chciał wyciągnąć swoje z teczki, włożył je jednak szybko z powrotem, kiedy Maks go szturchnął. Kamila udawała, że nic nie zauważyła. Woląca z tym nie zaczynać, ani teraz, ani później, w ogóle nie chciała słyszeć o niczym nieprzyjemnym.

– Idźcie do domu – powiedziała do dzieci – i przebierzcie się, gdyż za kwadrans będzie obiad.

Fryc Hofmann wykorzystał zaraz okazję i zawtórował:

– Ale biegiem! Czy nie słyszycie? Róbcie to, co matka każe.

Tymczasem lekarz się pożegnał i Kamila z ojcem skierowali się ku domowi. Wskazała na ławkę stojącą w półcieniu.

– Siądźmy jeszcze na chwilę.

Fryc Hofmann zdjął kapelusz z jasnej panamy, z szeroką, brązową, dobraną do krawatu wstążką, i położył go obok siebie. Spodziewał się zarzutów w rodzaju: „Czy musisz zawsze ich opychać lodami!”, a potem następnego pytania o cenzury. To, że ani to, ani tamto, nie nastąpiło, było czymś niezwykłym, tak samo jak fakt, że miała czas posiedzieć z nim w zupełnym spokoju tu, na tej ławce, przed domem. Ale właśnie tak było: miał dziś szczęśliwy dzień, w którym wszystko wychodziło na dobre. – Uroczyste zakończenie roku szkolnego było prześliczne – rzekł – trzeba już temu Mindingowi przyznać, że potrafi coś takiego urządzić. W ogóle sposób, w jaki on swoją szkołę prowadzi, zasługuje na udzielenie mu pomocy. Trzeba by coś zrobić, aby mógł urzeczywistnić swoje plany co do budowy tego obserwatorium. Pokazał mi makietę, brak mu jeszcze pięciu tysięcy marek.

– Powiedz mi lepiej, co jest z twoimi oczami. Doktor Oesterreicher...

– On strasznie przesadza. Wciąż coś znajduje, a mnie nic nie jest. Co o tym myślisz? Czy nie mogłabyś czegoś wysupłać na to obserwatorium?

– Obserwatorium? Czy to jest najkonieczniejsze?

– Przypomina mi się pewna dziewczynka. Miała dziewięć lat, kiedy wzięłem ją po raz pierwszy z sobą do obserwatorium w Berlinie. Można było wówczas widzieć tę kometę i nie dało się ciebie stamtąd wyciągnąć. Jeszcze cię widzę, jak siedzisz na krześle, taka mała dziewczynka przed olbrzymią lunetą, a wieczorem jeszcze raz poszliśmy tam i objaśniłem ci

gwiazdne konstelacje.

Milczeli przez chwilę. Z otwartych okien na pierwszym piętrze dolatywały głosy chłopców. Kamila zapytała niespodziewanie: – Czy od tego czasu bardzo się zmieniłam? Nie sięgam pamięcią tak daleko jak ty. Myślę tylko o ostatnich latach.

– Wiesz, co robotnicy o tobie mówią?

– Bądźże choć raz poważny. Czy bardzo się zmieniłam?

– Oczywiście, że musiałaś się zmienić.

– Czy na moją niekorzyść?

– A czy sama to odczuwasz?

– Czasami.

– To bzdura. Niekiedy mogłabyś troszeczkę, jak mam to powiedzieć, zachowywać się bardziej beztrosko, mniej surowo, przede wszystkim wobec siebie samej. – Zauważył, jak skrzyżowała ręce na piersiach, był to gest, który pamiętał u niej od dzieciństwa, w ten sposób usiłowała bezsłownie przed czymś się bronić. Ale teraz odczytał w tym geście zmęczenie i to przejęło go bardziej niż jej słowa.

– Dlaczegoż nie zostawiasz wszystkiego, tak jak stoi, i nie jedziesz ze mną do Berlina? Już całą wieczność tam nie byłaś. – Roześmiała się, ale to nie był śmiech, jakiego on sobie życzył. – Nie mogę stąd wyjechać, w każdym razie nie dzisiaj. Karol wróci jutro wieczorem z podróży. Powiedział, że ma się z tobą spotkać w Berlinie.

– Tak, przyjedzie tam około południa, spędzimy w Berlinie całe popołudnie i wieczorem wrócimy ostatnim pociągiem. – Zagrażało to jego udaniu się na tor wyścigowy, ale mimo to ciągnął dalej: – To przecież tylko dzień. Jeden dzień, Kamilo. Zrób mi tę przyjemność.

– W niedzielę Maks ma urodziny. W poniedziałek dzieci jadą nad morze. Są też urodziny Lenki. A dziś po południu... Nie dam rady. W końcu wszystko jest na mojej głowie.

Zauważył, jak córka się trochę od niego odsunęła, jakby chciała uwolnić się od jego wpływu. – Pojedź ze mną, a dziś, kiedy Karol zatelefonuje, nie mów mu nic o tym, ale zjawisz się po prostu! Za cztery godziny możemy być w Berlinie. Weźmiemy pokój w Bristolu i zjemy sobie dobrze wieczorem. Może będzie coś w teatrze, co by ciebie zainteresowało. A jutro rano będziesz spała tak długo, jak zechcesz, i każesz sobie przynieść śniadanie do łóżka. Potem pójdziemy po Karola na dworzec...

– Wszystko gotowe – oznajmiła pani Ewers, ukazując się na dole w drzwiach. – Ach, i pan tu jest, panie Hofmann? Gdybym o tym wiedziała! Bo jest tylko to, co chłopcy sobie życzyli na pierwszy dzień wakacji...

– Już dobrze, pani Ewers, zaraz przyjdziemy, niech pani zawiadomi dzieci. – Kamila wstała, a Fryc Hofmann wziął laskę i kapelusz.

– Czy zostajesz na obiedzie? – zapytała.

Hofmann wiedział, że rozmowa o wyjeździe do Berlina była dla niej zakończona. Poszedł za nią do domu. Chłopcy zbiegli z hałasem ze schodów i uspokoili się dopiero pod wzrokiem matki. Potem udali się do jadalni, stanęli za swoimi krzesłami i czekali. Na stole stała już wielka waza z zupą.

– A co teraz? – zapytała Kamila ojca. – Czy mam kazać nakryć dla ciebie?

Fryc Hofmann podszedł do stołu. Z kapeluszem i laską w jednym ręku.

Drugą ręką podniósł pokrywę wazy. Słodkawa woń się rozprzestrzeniła i wtedy cofnął się od stołu. – Właściwie wcale nie jestem głodny. Wiesz, ten upał, a zresztą nie mam już wiele czasu.

– Co jest w tej wazie? Czy zupa z czarnych jagód?

Ojciec i córka spojrzeli na siebie i w nagłym porozumieniu oboje się roześmieli, a był to głośny, wyzwalający śmiech, który przywołał nawet panią Ewers.

– Idź teraz – szepnęła Kamila do ojca. – Pomyśl o mnie przy pięknej, dobrze ugotowanej golonce. A na przyszły raz, na przyszły raz pojedę na pewno z tobą do Berlina.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Było to ostatnie wielkie wydarzenie kończącego się sezonu wyścigowego, lecz na torze w Karlshorst zgromadziło się właściwie mniej widzów, niż oczekiwano. Czy działo się tak dlatego, że wielu berlińczyków ze względu na straszny upał uciekło z miasta przed rozpoczęciem wakacji, czy też sprawiło to ponowne podniesienie odsetek w banku Rzeszy – obie te wersje były przez widzów zawzięcie dyskutowane.

Fryc Hofmann nigdy nie miał serca do toru w Karlshorst. Lubił stary tor w Charlottenburgu. Uważał, że Karlshorst jest pozbawiony stylu i właściwego nastroju. Podobną miał też opinię o tamtejszej publiczności: można było zauważyć pewne rozluźnienie form towarzyskich. Tylko niewielu widzów było stosownie ubranych. Klasyczny, popielaty surdut z aksamitnymi klapami był w mniejszości, a goździk Malmaison w butonierce, tak jak to nosił Hofmann, stanowił rzadkość. Przeważała nowa sportowa męska moda: grube materiały tweedowe, do których Hofmann czuł wstręt, spodnie i marynarki nie dopasowane, miękkie kołnierzyki u koszul, jaskrawe pulowery, różnokolorowe szaliki i... prochowce!

Niestety, również Karol Senger nie stanowił pod tym względem wyjątku i Hofmann musiał być zadowolony, że zięć swój prochowiec (jeśli ta epidemia będzie się nadal szerzyć, to niedługo nie będzie można odróżnić szofera od jego pana) zostawił przynajmniej w samochodzie. Aparat kodaka, który Senger miał zawieszony na szyi, Fryc Hofmann ostatecznie mu wybaczał, ponieważ jego zięć korzystał pilnie z aparatu

fotograficznego, aby utrwalić na zdjęciach oczekujące na nich wielkie wydarzenia.

Dwanaście koni, które miały stanąć do głównego biegu, oprowadzano już dookoła. W porównaniu z Ilionem pozostałe wyglądały na wątłe, zbyt podniecone i nerwowe. Nawet klacz Fanal, która uchodziła za faworytkę wyścigu, nie miała zdaniem Hofmanna żadnej szansy w porównaniu z jego kasztanem. Quittel siedział już w siodle, poważny jak zawsze, w jaskrawozielonej jedwabnej bluzie z białymi gwiazdami, i również Leon, który prowadził Iliona za wodze, dla uczczenia tego uroczystego dnia nosił czarną krawatę do swojej długiej kurtki. Ilion dostał startowy numer II, kiepską pozycję, ale za to pogoda dopisywała w pełni. Aż do wczesnych porannych godzin trwała burza i lał deszcz, a chociaż teraz już się przejaśniło, tor był wciąż jeszcze ciężki.

Hofmann podszedł do zięcia. – No co powiesz? Czyż to nie wspaniały koń? – Spodziewał się entuzjastycznej aprobaty, lecz Karol Senger był zbyt zajęty swoim aparatem, tak że Hofmann usłyszał tylko oschłą odpowiedź: „On musi mieć meklemburską krew”. Mimo to się tym zadowolił, po pierwsze, ponieważ był to istny cud, że Senger dał się w ogóle namówić do pójścia z nim na wyścigi, po drugie, że jego zięć przyjął bardzo spokojnie, kiedy Hofmann zawiadomił go w ostatniej chwili, że jeden z koni biorących udział w wyścigu jest jego własnością. Senger nie stawiał żadnych pytań, nie wspominał o wydatkach, jakie bez wątpienia pociągało za sobą utrzymanie własnego konia. Ale ta postawa nie była w gruncie rzeczy niczym dziwnym, lecz charakteryzowała wzajemny stosunek obu mężczyzn. Obaj, choć zasadniczo różni, nawiązali z biegiem czasu prawdziwą przyjaźń.

Od samego początku Fryc Hofmann przylgnął do swego zięcia, przede wszystkim podczas wspólnych podróży, które wprowadzały do jego życia pożądaną zmianę. Również i te podróże świadczyły o tym, jak firma z roku na rok rozwija się pomyślnie. Z początku, jak to pamiętał, jeździli do Berlina tylko na jeden dzień, aby zaoszczędzić na noclegu. Potem jeździli koleją już nie trzecią klasą, ale zamienili ją na drugą i przedłużali nieco pobyt w Berlinie. Z początku nocowali w pensjonatach i małych hotelikach w bezpośrednim sąsiedztwie Dworca Szczecińskiego, takich jak Hotel Bałtycki lub Montevideo. Ale stopniowo posuwali się w głąb miasta, aż w końcu doszli do Bristolu, przy ulicy Unter den Linden. Siłą napędową był przy tym niewątpliwie Fryc Hofmann, bo gdyby Senger miał sam decydować, mieszkaliby wciąż jeszcze w Hotelu Bałtyckim. Z prawdziwie misjonarską gorliwością Hofmann usiłował przedstawić swojemu zięciowi dobre strony luksusowych hoteli, restauracji i krawców. Co do hoteli w końcu, dzięki powoływaniu się na reprezentację i ulgi podatkowe, nawet mu się to udało. Ale jeżeli chodzi o krawca, to Senger już się nie dał namówić, nabywał nadal ubrania gotowe. Istniała również pewna nieprzekraczalna granica: wszystkie usiłowania Hofmanna, by namówić zięcia do bywania w luksusowych lokalach, teatrach, kabaretach lub nawet klubach gry, spotykały się z kompletnym niezrozumieniem. Dnie i wieczory Karola Sengera w Berlinie były naszpikowane terminami, każda godzina z góry przeznaczona na rozmowy z komiwojażerami, na pertraktacje z przedstawicielami firm eks – i importowych lub z bankami. Z taką samą fanatyczną gorliwością, z jaką Hofmann ustosunkowywał się do swoich rozrywek, Senger podchodził do interesów. Aż w końcu obaj mężczyźni uzgodnili między sobą, że zaniechają prób wzajemnego



nawracania się, przy tym Fryc Hofmann oczywiście okazywał się wciąż recydywistą. To, że zięć zdecydował się towarzyszyć mu dziś na wyścigi, było tak niespodziewanym osiągnięciem, że Hofmann poczuł się upoważniony do uczynienia jeszcze jednego kroku dalej.

– Przyjrzyj się dokładnie mojemu koniowi – rzekł – musisz przyznać, że jest w świetnej formie. Mam nadzieję, że postawisz stówę na niego.

– Będę trzymał kciuki za twój benefis. Hofmann spojrzał na swego zięcia spod oka.

– Trzymać kciuki! Wyrzekasz się gotówki. Ale już chodź! Opuścił tor wyścigowy i skierował się do kas totalizatora.

Sprawdził tablicę ze stawkami i stwierdził, że w ostatniej półgodzinie niewiele się zmieniło: klacz Fanal była nadal faworytką, podczas gdy na Iliona jeszcze mniej stawiano, jako na nie rokującego nadziei fuksa.

– Sto marek na Iliona – powiedział Hofmann tym razem już błagalnym głosem. – Uważam, że powinieneś to zaryzykować. W razie zwycięstwa otrzymasz tysiąc dziewięćset. Czy to nie dobry interes?

– Wiesz, że się nie zakładam. Nigdy w życiu tego nie robiłem i teraz też nie zacznę.

– Nigdy jeszcze nie zarobiłeś tak łatwo i szybko pieniędzy.

Senger spojrzał na tablicę. – Chcesz powiedzieć, że nigdy jeszcze z taką pewnością nie wyrzuciłem stu marek?

– Ależ, Karolu! Nie powinieneś tak do tego podchodzić. Właśnie taki nowicjusz jak ty ma szansę. Jeśli nie masz zaufania do Iliona, postaw na ślepo na innego konia. Kieruj się własnym wyczuciem.

– Właśnie to czynię. I moje wyczucie mówi mi: „Daj spokój, nie masz żadnej szansy wygrania”.

– Wygrania! Przecież nie zakłada się tylko po to, aby wygrać.

– A ja myślę, że tylko po to.

– Wygrana to tylko jeden z aspektów. Stawka to tyle, co kusić szczęście! A im mniejsza jest twoja szansa, tym większa emocja.

– No dobrze, stawiam dziesięć marek na Iliona. Czynię to dla ciebie. I funduję sto marek, abyś ty postawił.

Hofmann potrząsnął głową. – Beznadziejne. – Wręczył Sengerowi bilet: „Środkowa trybuna, wejście A.” – Przyjdę tam trochę później.

Chodziło o to, aby był sam, kiedy będzie przeliczał swoje pieniądze, a przede wszystkim, aby mu nikt nie przeszkadzał przy wpłacaniu stawki. Quittla zapłacił z góry i stwierdził, że po potrąceniu kosztów powrotnego transportu pozostało mu coś ponad pięćset marek. To była cała jego gotówka, gdyż onegdaj ogołocił wszystkie swoje konta. Zresztą nie potrzebował zbytnio łamać sobie głowy; nawet ostrożne zwątpienia, które go już raz nawiedziły w obecności zięcia, teraz jakby się ulotniły. Postanowił postawić pięćset marek, oczywiście nie na Iliona. Do tego chciał namówić tylko Sengera. Jeśli Ilion przyniesie mu zwycięstwo, będzie mógł owe pięćset marek lekko przeboleć, jeśli nie, to ma dzięki temu drugą szansę w pogotowiu.

Klacz Fanal wykluczył już w myślach, bo zwycięstwa faworytów nie miały dla niego żadnego uroku – i uczynił teraz swój wybór całkiem spontanicznie, patrzył na konie, a równocześnie wsłuchiwał się w gwar głosów dookoła, w nazwy koni, które szeptano z ust do ust. To była ta wielka chwila, piękniejsza i bardziej podniecająca od wszystkiego, co potem jeszcze miało nastąpić, i dlatego przeciągał ją możliwie długo, aż człowiek za okienkiem kasy się zniecierpliwiał. Potem podał stawki na

potrójny zakład, niemal jak lunatyk, 2-8-4: na Przeoryszę, Rosyjską Krew i Cesarską Koronę. Z miną człowieka, dla którego taka suma jest bagatelką, przeliczył nowiutkie banknoty, jakie przygotowywano zawsze dla niego w banku, wpłacił i udał się na trybunę. Właśnie klacz Fanal sknociła pierwszy start. Teraz dżokeje ustawili swoje konie po raz drugi na linii startu. Na trybunie zaległa cisza, znieruchomiały parasolki i kiedy potem rozległ się dzwonek startera, odpowiedział mu z trybuny szmer niby wielkie, głębokie westchnienie.

Tor był daleko i jaskrawozielona plamka, wisząca jak chorągiewka nad kasztanowatym, ruszającym się przedmiotem – nic więcej Hofmann nie zdołał dostrzec – znalazła się całkiem na końcu. Nic się pod tym względem nie zmieniło również i w pierwszej rundzie i nic po pierwszej przeszkodzie. Dystans pomiędzy tą jaskrawą zielenią a pozostałymi kolorami wydawał się jeszcze raczej zwiększać. Dopiero kiedy konie po raz trzeci minęły trybunę, zieleń wynurzyła się w środkowym polu.

Senger, którego nagle porwało coś jakby lokalny patriotyzm, meldował swemu teściowi na bieżąco i coraz głośniejsze o sytuacji Iliona i o tym, ile koni się przewróciło, i o pozbawionej jeźdźca klaczy Fanal, która cwałowała na przodzie. Hofmann przyjmował to spokojnie i nawet odłożył lornetkę. Siedział z na wpół przymkniętymi oczyma, jakby wyścigi odbywały się dookoła niego i jakby otrzymywał informacje z powietrza, z szeptów, ze wzmagających się i słabnących głosów oraz pojedynczych okrzyków.

– Ilion jest na przodzie! – wołał siedzący obok teścia Senger. – Na samym przodzie... Czyżbyś w to uwierzył? On odniesie zwycięstwo, jeśli wytrzyma do końca... Ale co to! Patrz!

Lecz Hofmann nie zareagował. Z wyrazem twarzy, jakby był nieobecny, wsłuchiwał się w głosy dookoła. Najpierw padła ta nazwa tylko raz, cicho, nieśmiało i niedowierzająco – Przeorysza? Lecz potem słyszał ją coraz częściej, powtarzającą się jak echo. – Przeorysza, Przeorysza! Również dwie pozostałe nazwy koni zaczęły się powtarzać: Rosyjska Krew i Cesarska Korona, ale ta pierwsza pozostała jednak najważniejsza. A kiedy teraz rozległ się krzyk na całej trybunie gniewny u jednych, zdziwiony u innych, Hofmann przymknął oczy jakby w błogostanie, aby po raz ostatni się tym rozkoszować: Przeorysza, Przeorysza, Przeorysza! Nie wstał z miejsca, podczas gdy dookoła niego widzowie gwałtownie dyskutowali, a inni już opuszczali trybunę. Również Senger należał do tych, którzy czuli się oszukani.

– Wciąż jeszcze nie jestem w stanie zrozumieć, przecież Ilion znajdował się na przodzie, czterysta metrów przed metą, a potem nagle pozostał w tyle.

– Na którym miejscu?

– Na czwartym! Ale co z tobą? Nie wyglądasz wcale na zawiedzionego.

– Czwarte miejsce na takim torze! Temu koniowi brak tylko doświadczenia! Na jesieni okaże się wspaniały...

– Ja tego nie rozumiem. Jak można być tak spokojnym. Na pewno także przegrałeś stawkę...

– Chodźmy sprawdzić. – Poszli razem do kas totalizatora. Tłok był tam teraz o wiele mniejszy niż przed biegiem, a na ziemi przed biurem walały się wyrzucone pokwitowania.

– Ile przegrałeś?

Hofmann położył palec na ustach. – Nie rozgłaszaj. Poczekaj, aż kwoty

zostaną ustalone. – I nie spuszczał wzroku z tablicy, na której ktoś z kredą w ręku notował przybycie koni do mety, a potem zaczął od nowa podawać kwoty.

Senger obserwował teścia, jak porównywał kwit totalizatora, który trzymał w ręku, z tablicą, ale nawet kiedy Hofmann podszedł do okienka kasowego, wątpił jeszcze, czy teść naprawdę wygrał. Dopiero kiedy zauważył podniecenie, jakie wywołał Hofmann, wręczając swój kwit, Senger się zdumiał. Hofmanna otoczyli nagle inni widzowie, którzy, jak Senger, śledzili z bezgranicznym zdumieniem, jak wypłacano Hofmannowi: banknot za banknotem wręczał mu kasjer, a Hofmann przeliczał je z czułą rozwlekłością, aż w końcu zabrał teczkę, włożył powoli rękawiczki i zdjął laskę, którą powiesił był obok siebie. Wydawało się, że nie wywarły na nim wrażenia ani sensacja, jaką wywołał, ani wygrana, jaką zainkasował i która prawdopodobnie musiała być znaczna. Gdzieś po trzech tysiącach marek Senger przestał się orientować.

– Ile wygrałeś?

– Przeorysza, Rosyjska Krew i Cesarska Korona to zagadkowy zbieg okoliczności. Płacą 19:1.

– A ile postawiłeś?

– Pięćset.

– To wyniesie...

– Dziewięć tysięcy pięćset.

I Senger znowu ujrzał przed sobą banknoty oraz nonszalancję, z jaką Hofmann je wkładał do pugilaresu. Nigdy mu to nie odpowiadało, że Kamila traktowała ojca w sprawach finansowych jak nieletnie dziecko, lecz teraz nagle ją zrozumiał. – Dziewięć tysięcy pięćset, powiadasz?

Hofmann poklepał się po piersi po lewej stronie, która teraz stała się nieco grubsza.

– Dokładnie.

– Ale byłeś przecie przekonany, że Ilion wygra wyścig. Jak mogłeś w takim razie...

– Mógłbym spróbować ci to wyjaśnić, Karolu, ale boję się, że obaj stracilibyśmy tylko czas. Lepiej chodźmy teraz pocieszyć Quittla.

Dżokej potrzebował naprawdę pocieszenia. Przy czym winy nie przypisywał koniowi, lecz tylko sobie: – Powinienem był pozwolić mu biec po zewnętrznej stronie toru, jak chciał, a nie zmuszać go do przesunięcia się na stronę wewnętrzną.

Pozostawili dżokeja z zafrasowaną miną. Hofmann był przepelniony przyjemnymi myślami: wygranie pieniędzy sprawiało mu radość, ale było niczym w porównaniu ze wzmożonym dobrym samopoczuciem, jakie ogarnia, kiedy się je wydaje ze wspaniałomyślnym gestem – i gdy kroczył teraz obok Sengera do miejsca, gdzie ten zostawił wynajęty samochód, kształtował się już w nim pewien pomysł...

Karol Senger był namiętym automobilistą. Zgodnie ze swoim charakterem zadowalał się w Neustrelitz od wielu lat starym oplem, ale w Berlinie wynajmował na kilka dni najnowsze modele. Hofmanna wcale to nie obchodziło i kiedy teraz się przyglądał, jak jego zięć szpeci siebie prochowcem, jasnożółtym wełnianym szalikiem i nieforemnymi okularami od kurzu, powiedział:

– Taki samochód to wykwinny pojazd. Mam nadzieję, że nie jeździsz ze zbyt dużą prędkością. Pomyśl o ostatnim mandacie. Podobno wzmocnili jeszcze kontrolę jazdy w podberlińskich okolicach, a po takich imprezach

są szczególnie surowi.

– Będę uważał. Muszę zresztą powiedzieć, że ten bugatti mnie rozczarował. Benz, którym niedawno jechaliśmy, to byłby samochód dla mnie. Równie szybki, bardziej komfortowy i nie tak problematyczny, jeśli chodzi o naprawy. Benz podobał mi się, a ten nowy model, jaki teraz wypuścili, jest podobno jeszcze lepszy. I jak ślicznie wygląda, czy nie uważasz? Zresztą, czy nie masz nic przeciwko temu, jeśli nadłożymy trochę drogi?

Jedź, jak chcesz, tylko nie pędź. Benz, powiadasz? – Przed samymi wyścigami oglądali nowy model benza na wystawie tej firmy w bezpośrednim sąsiedztwie hotelu. Hofmann przypomniał sobie cenę i jego pomysł przyjął bardziej konkretną formę. Wprawdzie na obserwatorium Mindinga wtedy nic by już nie pozostało z wygranej, ale i ten problem jakoś się da rozwiązać. Był tak pochłonięty swoimi myślami, że nie zauważył, dokąd jadą, a kiedy okolica wydawała mu się coraz bardziej znajoma i w końcu nie pozostawiała już żadnych wątpliwości, gdy wynurzyła się przed nimi wieża kościoła Świętej Anny w Steglitz, milczał dalej. Nigdy jeszcze od trzynastu lat nie przyjeżdżał tu ani z Kamilą, ani z Sengerem. Po prostu nic go tu nie ciągnęło, a nawet odwrotnie, unikał przeszłości i wspomnień o niej. A kiedy już pomyślał o swym dawnym domu, to zawsze wyobrażał go sobie w opłakanym stanie na skutek złej gospodarki nowych właścicieli, a może nawet stojącym pustką, w każdym razie ze ślepyimi oknami, opadającym tynkiem, uszkodzonym dachem i zdziczałym parkiem, jak gdyby w ten sposób mógł najlepiej uspokoić swoje nieczyste sumienie. Ale prócz nowego koloru tynku – jakiejś dziwacznej czerwonej barwy zamiast jasnoszarej –

uznał, że nic się nie zmieniło.

Senger zatrzymał wóz. Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć, a ponieważ i Hofmann milczał, rzekł:

– To przecie ten dom? Wybacz, jeśli cię tym zaskakuję, bo ja... od dawna ten dom chciałem zobaczyć... Czy mam jechać dalej?

Bez żadnych komentarzy Hofmann otworzył drzwiczki samochodu i wysiadł, a Senger z pewnym wahaniem poszedł za jego przykładem. Hofmann skierował się do zamkniętej bramy z lanego żelaza. Obok bramy była mała furtka i Hofmann zaczął szukać mechanizmu, który w swoim czasie kazał tu umieścić, aby nie potrzebował z pomocą dzwonka wywoływać kogoś z domu, kiedy wracał późną nocą, ale już go nie znalazł.

– Daj spokój – rzekł Senger – to był tylko taki mój pomysł. Lepiej chodźmy stąd, bo nie wiadomo, kto tu teraz mieszka.

Z parku rozległo się ujadanie psów. Jakiś człowiek wynurzył się w oddali, podszedł bliżej, siwowłosa, przewiązany wielkim fartuchem, i przystanął o kilka metrów od bramy.

– Willeke! – zawołał Hofmann. – Więc pan tu jeszcze jest! Czy możemy na krótką chwilę tam wtargnąć, czy to jest niemożliwe?

– Pan Hofmann! – Ogrodnik wytarł ręce o fartuch.

– Niech pan poczeka, zaraz pana wpuszczę. Państwa nie ma w domu, wyjechali na wakacje. Czy to możliwe! Pan Hofmann we własnej osobie, i to po tylu latach. Niech pan wejdzie, te bestie za ogrodzeniem.

Potem stanęli naprzeciwko siebie: Hofmann w swoim popielatym surducie, z goździkiem Malmaison w butonierce, i ogrodnik. Willeke, posiwiała, zaraz po przywitaniu schował za plecy swoje zartretyzowane



ręce, jakby się wstydził przed Hofmannem, że się tak postarzał.

Ujadanie psów wzrosło i zobaczyli teraz ogrodzenie, w którym te bestie skakały na kratę. – Dogi! – Willeke pokręcił głową. – Czy może pan sobie wyobrazić, jak one szaleją w ogrodzie, kiedy się je wypuści? Dogi, taki bezsens, ale dopóki jestem tu sam, nie wypuszczam wcale tych bestii.

– Poza tym wydaje mi się, że tu się nic nie zmieniło.

– No tak, tylko to nowe pomalowanie na ten ohydny czerwony kolor. Tacy już są ci Włosi. I szpaler drzewek owocowych. Wszędzie kazali je zasadzić, niech pan tylko spojrzy, cała piękna fasada domu jest nimi zasłonięta. O ile ładniej było przedtem.

– Czy dom należy do Włochów?

– Chyba nie! Jest wciąż jeszcze własnością banku. Ale podnajęła go włoska ambasada, ambasador mieszka tu już siedem lat. A ja ciągle sobie myślałem, kiedy tu zajrzy pan Hofmann. I panienska Kamila. Że też nigdy tu nie przyszła! Na nią liczyłem na pewno. Oboje bardzośmy jej oczekiwali, moja żona i ja. Myśleliśmy stale, że kiedyś stanie tu niespodziewanie przed nami, tak jak pan teraz. – Wzrok Willekego wędrował pytająco tam i z powrotem między Hofmannem i Sengerem. – Czy ten pan to mąż Kamili? Chciałby obejrzeć dom? Mówię panu, ona była tu taka szczęśliwa, nasza panienska... Mój Boże, co ja wygaduję, to tylko z powodu zaskoczenia, to stało się tak nieoczekiwanie. Nagle stoi tu pan Hofmann. A tamten pan to mąż panienski Kamili.

Hofmann przedstawił swego zięcia, a Willeke zapytał, czy nie zechcieliby obejrzeć parku, podczas gdy on przygotowuje coś odświeżającego, całkiem lekkiego, własnej roboty, odpowiedniego na taki dzień jak dzisiaj. Więc przeszli przez park, który pozostał całkiem nie

zmieniony, z porządnie wygracowanymi ścieżkami i krótko strzyżonymi trawnikami, na których nie leżała ani jedna odłamana gałązka. Senger stawiał lakoniczne pytania, przerywane długim milczeniem, pytania, na które nie trzeba było odpowiadać:

– To muszą być chyba okna jej pokoju? Czy to ta lipa? A tam można było rzeczywiście jeździć na łyżwach? – Te pytania świadczyły, jak bardzo to wszystko musiało zaprzętać wyobraźnię Sengera, choć właśnie takiego wrażenia nie chciał on wywołać, tylko raz jeden się zdradził: – Nigdy nie byłem pewien, czy ten dom naprawdę istnieje.

– Nawet ja nie byłem już tego pewien – odezwał się po raz pierwszy Hofmann.

Skierowali się powoli z powrotem. Przeważająca część okien była zasłonięta okiennicami. Mieli zachodzące słońce za sobą, tak że fasada domu lśniła ognistą czerwienią.

Willeke nakrył kraciastym obrusem stół stojący przed domem ogrodnika i ustawił kieliszki do likieru. Przytrzymał obu rękami brzuchatą flaszkę, kiedy nalewał likier.

– Sam nie wiem, czy jest jeszcze tak dobry jak dawniej – powiedział. – Czasami myślę, że tylko moja żona umiała te jagody odpowiednio nastawiać.

– Jeszcze nie widziałem pana żony...

– Ona już nie żyje.

Zapadła cisza, jedynie od strony parku dolatywało ćwierkanie ptaków, które teraz, przed wieczorem, znów się ożywiły. A od czasu do czasu słyhać było szczekanie psów za ogrodzeniem. Mężczyźni wypróżnili kieliszki i Hofmann powiedział:

– Dom się nie zmienił, ale myśmy się postarzeni.

– Czy panowie chcą obejrzeć dom od wewnątrz?

– Nie, lepiej nie – powiedział szybko Hofmann. – Nie mieliśmy zamiaru zabawić tu tak długo.

Willeke skinął głową. – Na pewno panom by się nie podobało to, co by tam zobaczyli. Tu, na zewnątrz, mogę trochę przypilnować, ale wewnątrz – ci Włosi mają zabawny gust. A panience Kamili dobrze się powodzi? Moja żona zawsze mówiła, że ten, kto ją dostanie, wygra wielki los. Czy ona też tu kiedyś zajrzy? Muszą ją panowie tu sprowadzić. Proszę to zrobić. Mam coś, co panowie powinni dla niej zabrać. Zawsze to przechowywałem, ponieważ myślałem, że ona kiedyś tu przyjdzie. – Ogrodnik wszedł do domu i wrócił z żółtym słomkowym kapeluszem o szerokim rondzie, z wyblakłą, niebieską, jedwabną wstążką.

– Ten kapelusz do niej należał? – zapytał Senger i wziął go do ręki, jak coś bardzo kruchego.

– Należał do niej i zawsze w nim biegała, nawet podczas deszczu. Może kiedy go zobaczy, nabierze ochoty, żeby tu zajrzeć. Tych Włochów przez całe lato nie będzie, zostawiają mi tylko swoje psy. Jak one żrą i jakie czynią spustoszenia!

Willeke odprowadził ich do bramy, wyrzekając dalej na Włochów, a na pożegnanie wziął od obu panów słowo, że wkrótce przybędą tu z Kamilą, po czym powoli odszedł, zagubiona, samotna postać w wielkim parku. Obaj odwiedzający poszli do swego samochodu. Senger położył dziewczęcy kapelusz na tylnym siedzeniu, a troskliwość, z jaką ten mocno zbudowany mężczyzna to zrobił, miała w sobie coś osobliwego.

Po czym usiedli w wozie obok siebie, lecz Senger nie zapuszczał

motoru. Ujadanie psów ucichło i Senger zapytał nagle:

– Jak ona wtedy wyglądała, jako mała dziewczynka?

– Kamila? Nie wiesz – ona była jeszcze małą dziewczynką, kiedy się z nią ożeniłeś!

Senger skinął głową. – No tak, ale kiedyś na samym początku powiedziała, że czuje się prastara. – Czuł, że siedzący obok niego Hofmann wzdraga się przed tą rozmową. Dotąd nigdy nie poruszali tych spraw i nie było to zresztą w stylu Sengera, ale teraz musiał już dalej mówić: – Niekiedy potrafi ona rzeczywiście zachowywać się, jakby była niezmiernie stara. Rozsądek jest czymś bardzo u niej ważnym, zresztą zawsze pragnąłem mieć rozsądną żonę, która nie ludzi się nieziszczalnymi marzeniami. Bez niej nigdy bym nie zaszedł tak daleko, ale niekiedy myślę, że cena, jaką ona za to zapłaciła, była zbyt wysoka. Nie wolno mi było chyba dać się tak omamić.

– Za dużo nad tym rozmyślasz.

– Za mało. Bo czy ona jest naprawdę szczęśliwa, żyjąc tak jak teraz żyje? Nie wiem, od jak dawna nie zastanawiałem się nad tym.

– Czyś nie słyszał, co Willeke mówił? To dziewczyna, która nawet przy deszczu biega po ogrodzie.

– Wiedziałem, że taką była... – Zdawało się, że myśli obu mężczyzn rozchodzą się w różnych kierunkach.

– Dlatego chciałem tu przybyć. Pragnąłem zobaczyć ten park i ten dom.

– A teraz, kiedy już je zobaczyłeś?

– Ona ani razu nie wyraziła życzenia, aby tu ze mną przyjechać. A kiedy jej to proponowałem, zawsze stawało coś na przeszkodzie. Teraz wydaje mi się, że ją rozumiem. Stale zadawałem sobie pytanie, dlaczego

się upiera, żebyśmy nadal mieszkali w domu przy fabryce beczek, i dlatego broni się tak przed kupnem domów, jakie jej w Neustrelitz proponowałem...

– A właściwie dlaczego?

– Ten dom przy fabryce pozostał dla niej zawsze pewnego rodzaju prowizorką. Czymś, co można opuścić w każdej chwili. A do innego domu można się było przyzwyczaić, a wtedy byłoby ciężiej się z niego wyprowadzić. Przez dłuższy czas tego nie pojmowałem, dopiero teraz, kiedy zobaczyłem ten dom, zrozumiałem, że ona chce tu wrócić. To było zawsze celem, którego nigdy nie traciła z oczu. Po prostu nie życzyła sobie jeszcze jednej stacji pośredniej.

– Czy ci to powiedziała?

– Ależ nie, to nie byłoby w jej stylu.

– Czy nigdy o tym nie wspominała?

– Właśnie, i to powinno było mi się rzucić w oczy już o wiele wcześniej.

Czy wiesz, że ten dom był właściwie jej – powiedział Hofmann – to znaczy miał do niej należeć. Pewnego razu wybrała się ze mną do Steglitz, kiedy tego domu jeszcze wcale nie było, i bez niej być może nie zostałyby nigdy zbudowany. – Tu spojrział w kierunku domu. – To jest zresztą może jedyna sensowna rzecz, jakiej w moim życiu dokonałem, ale nie potrafiłem jej utrzymać. – Powiedziawszy to wyjął zegarek, zdecydowany skończyć z takimi wyznaniem winy i smętnymi myślami. – Jedźmy już. Nie zwracaj na mnie uwagi, jeśli masz ochotę jechać szybko. Trochę wiatru mi nie zaszkodzi. Mam tylko do ciebie jedną prośbę. To trochę z drogi, lecz teraz jedź najpierw do hotelu, a potem wskażę ci, jak jechać.

Senger spojrział na leżący na tylnym siedzeniu kapelusz. Nagle wydał mu się tam nie dosyć bezpieczny, gdyż wziął pled, owinął nim słomkowy kapelusz i dopiero wtedy ruszył z miejsca.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Strych był częścią domu, której Kamila zazwyczaj unikała. Wyobrażenie o tym, co się tam nagromadziło w ciągu lat, odgrywało chyba także pewną rolę. I rzeczywiście, kiedy tym razem uczyniła wyjątek i weszła na górę z panią Ewers, znalazła strych tak pełen gratów, które częściowo przynajmniej, jak przypuszczała, powinno się było już dawno wyrzucić, że zaczęła od słów:

– Skoro tylko dzieci wyjadą, proszę tu zrobić porządek. Niech pani weźmie do pomocy dwóch robotników. – Tu uderzyła się o jakieś pudełko, z którego wypadły kolorowe szklane kulki i rozleciały się na wszystkie strony po podłodze. – I proszę nie zaczynać od sortowania. Dzieci i tak mają za dużo zabawek. Niech pani rozda te graty lub zrobi z nimi, co się pani żywnie podoba, tylko trzeba tu zrobić wolne miejsce.

– Również łóżeczka dzieci?

– Te łóżeczka przede wszystkim.

Mimo wieczornej pory na strychu było duszno, panował suchy żar, jakby stało się w pozbawionym płomieni ogniu.

Pani Ewers zabrała się do piramidy z waliz, aby wyszukać wśród nich odpowiednie dla chłopców na podróż do Warnemünde. Kamila dostrzegła ciężki kufer, używany do podróży morskich jeszcze przez ojca jej męża, a potem kosz z plecionki słomianej z obdartymi skórzanymi narożnikami i przewiązany pośrodku rzemieniem. Jako młoda dziewczyna Kamila podróżowała zawsze z tym koszem nad morze i z ojcem do Paryża. Kilka nalepek z nazwami miejscowości i hoteli widniało jeszcze na nim, nawet okrągła jasnoniebieska nalepka z Genewy. Bo i tam przecie była z ojcem,

gdzie pokazał jej w Clarens, nad Jeziorem Genewskim, niemiecki kościół, w którym ojciec i matka wzięli ślub. Ile lat już minęło od tego czasu, i jak to wszystko wydawało się nierzeczywiste. Wtedy, w tym kościele, przed ołtarzem, Kamila postanowiła, że pewnego dnia również weźmie tam ślub...

– Jest tu dla mnie zbyt duszno – powiedziała – już sobie pójdę. – Potem rzuciła okiem na walizy, które przygotowała pani Ewers – tyle wystarczy.

– Tylko trzy walizki dla chłopców?

– Maks tu zostanie.

– Ależ dlaczego? Czyżby z powodu tych kilku złych stopni?

– On tu zostanie, a jeśli będzie się dobrze uczył, to może potem dołączy do tamtych.

– Będzie się lepiej uczył, jak przedtem pobędzie trochę nad morzem.

– Skończmy tę dyskusję. Pani zapakuje dla obydwóch chłopców tyle, aby mieli coś na zmianę, ale znowu nie tak dużo jak w zeszłym roku. Ale co to? Czyżby to był już samochód? – Kamila przez cały czas nasłuchiwała, aby nie przegapić przybycia wozu.

– Jeszcze pani ma dosyć czasu!

Mieć dosyć czasu – właśnie tego uczucia nigdy nie znała. Spieszyła się, aby zejść na dół, przebrać się, ufryzować i zadbać o wygląd. Zaledwie z tym się uporała, gdy rzeczywiście usłyszała samochód i zbiegła po schodach do drzwi wejściowych na jego spotkanie.

Ale stał tam tylko kierowca w niebieskoszarym sukienym ubraniu i w sztylpach. Trzymał czapkę w ręku i wydawał się speszony.

– Nikt nie przyjechał tym pociągiem. Stawiłem się punktualnie, ale nie było nikogo, ani pani męża, ani ojca. Czy mam dalej czekać?



– Przecież to ostatni pociąg. Albo czy jest teraz jeszcze jakiś późniejszy?

– Nie, to ostatni pociąg z Berlina. Nic się nie zmieniło pod tym względem. W takim razie, czy jestem jeszcze pani potrzebny?

– Nie, Franciszku, bardzo dziękuję.

– Ale ja naprawdę nie mogłem ich przeoczyć.

– Wszystko w porządku. Dobranoc. – Powiedziawszy to, stała jeszcze przez chwilę pod drzwiami. Samochód ruszył i później usłyszała jeszcze, jak kierowca zamykał metalową bramę garażu. Widziała, jak szedł przez dziedziniec, oświetlony kilku latarniami, a później otworzyły się drzwi jednego z domów na terenie fabryki, z którego padł snop światła, a stojąca tam kobieta objęła młodego człowieka i wciągnęła go do środka.

Kamila zamknęła za sobą drzwi wejściowe, podeszła do telefonu i nakręciła numer hotelu w Berlinie; dowiedziała się, że mąż i ojciec przed godziną opuścili hotel.

– Czy na pewno przed godziną?

– Tak, na pewno. – Czy nie ma żadnych wiadomości dla niej? – Żadnych. – Jeśli wyjechali przed godziną, to w rzeczy samej nie mogli zdążyć na pociąg. A ona się tak spieszyła...

– Co się stało, pan nie przyjechał? – zawołała pani Ewers z górnego podestu schodów, lecz Kamila nic nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwi bawialni. Tu było już wszystko przygotowane na przyjęcie urodzinowe. Stół był odświętnie nakryty, opakowane prezenty leżały na przeznaczonym miejscu na kredensie, było ich jak zawsze za dużo, a będzie ich jeszcze więcej wraz z tymi, jakie mąż przywiezie. Nie miała tu już nic do roboty.

Kiedy opuściła pokój, przez chwilę poczuła pokusę, by położyć się

i odpocząć, potem jednak udała się do swego biura. Przysunęła do siebie telefon w przekonaniu, że wkrótce usłyszy dzwonek.

Czekała. Z początku słuchała jeszcze jakichś odgłosów dochodzących z za okna, potem zgasiła wszystkie światła z wyjątkiem lampy stojącej obok niej na biurku, położyła przed sobą ostatnie zamknięcia rachunków, zaczęła je przeglądać i robić notatki.

Czyżby to był samochód? Ale pracowała dalej. Jej świat nie był w tej chwili większy niż krąg światła lampy: biały papier, litery i cyfry. Cała reszta to intruzy – szmery, kroki i głos, który wołał ją po imieniu, oraz drzwi, które się niespodziewanie otwały.

Światło pod sufitem zapaliło się tak nagle, że musiała przymknąć oczy. Potem je podniosła: długi, jasny prochowiec z ciasno zawiązanym paskiem, przylegające mocno do głowy włosy po zdjęciu czapki samochodowej, a na zakurzonej twarzy jasne pierścienie po okularach samochodowych dookoła oczu. Tak stał przed nią i śmiał się.

– Oto jestem! Trochę się spóźniłem. Zdejmę tylko płaszcz i umyję się. Zaraz znów tu wrócę. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. – Po czym znikł. W domu zrobiło się głośno. Dzieci się obudziły.

Kamila siedziała wciąż jeszcze przy biurku, kiedy mąż wrócił do pokoju. Niósł z sobą coś owiniętego w papier. Odłożył pakunek na bok, aby ją objąć, a kiedy zauważył, jak pozostała sztywna, puścił ją, aby dać jej trochę czasu.

– Pięknie, że nie położyłaś się spać, ale czy musiałaś koniecznie pracować?

– Czy miałbyś ochotę jeszcze coś przekąsić?

Było typowe dla niej, że o to się najpierw spytała, a nie o to, dlaczego

się tak spóźnił i jak w ogóle mógł o tej porze jeszcze tu przybyć. Senger się roześmiał.

– Nie chcę żadnego jedzenia! Nie pragnąłbym nic innego, jak tylko jeszcze jakąś godzinkę z tobą posiedzieć. Mam ci tyle do opowiadania. A jutro, w dzień urodzin Maksa, pomyślałem sobie, że wybierzemy się na wycieczkę. Przypomnij mi, że mam za drzwiami jeszcze kilka prezentów. Ale ten tu to dla ciebie... – Chciał już zdjąć papierowe opakowanie, ale wyraz malujący się na jej twarzy go powstrzymał. – Czy wszystko w porządku? Czy masz jakieś zmartwienie?

– Obejrzyj sobie cenzurę Maksa.

Senger wiedział, że nie ma sensu tego odkładać lub zbyć jakimś żartem. On miał dziś szczęśliwy dzień, a u niej nie wszystko wydawało się pomyślne. – Bardzo kiepska?

– Obejrzyj ją sobie. Załedwie przeszedł z klasy do klasy.

– Co mam na to powiedzieć. I ja również nie byłem nigdy wielkim luminarzem. A co poza tym?

– Znów wypadek. Doktor Oesterreicher musiał przyjechać. Ale przede wszystkim kazałam sobie wypisać liczby, dotyczące obrotu u Glasbrennera. Jeśli im się przyjrzysz...

– Ależ, Kamilo, przecie nie teraz... A więc dobrze, zaraz je przejrzę.

Usiadł na brzegu biurka, przejrzał zestawienie i wziął również drugi arkusz, który mu wręczyła, po czym rzekł: – Ja te liczby znam.

– Znasz te liczby?

– Znam cały problem i mniej więcej również liczby; doliczyłem do tego jeszcze Gothę i Erfurt. Glasbrenner to problem, wiem o tym. Rozmówiłem się z nim podczas tej podróży. Są osobiste powody, które odgrywają

u niego rolę, rozwód po trzydziestoletnim małżeństwie wyprowadził go z równowagi. Ale on się znów pozbiera, jestem tego pewien, przynajmniej muszę mu pozostawić szansę. Ostatecznie był to nasz najlepszy człowiek. Widzisz, że myślę to samo co ty. Nie byłem tylko pewien, że znajdę chwilę, aby z nim się spotkać, bobym ci o tym powiedział. No co, zadowolona?

Kamili pozostawało tylko przytaknąć. Wystarczyło, żeby mu się przyjrzała i znów rozpoznałaby w nim takiego, jakim był naprawdę. Niemal nienawidziła siebie za to, że tego nie mogła, i nadal wpatrywała się w biurko, jakby sparaliżowana zmęczeniem i jakimś osobliwym smutkiem. W głowie jej wirowało od tylu pytań, więc postawiła pierwsze lepsze:

– Czy prawdziwe są pogłoski, jakie dochodzą z Berlina, że podobno w drukarni państwowej wydrukowano potajemnie kartki na mydło z powodu sytuacji politycznej?

– Oczywiście i ja o tym słyszałem. Plotkuje się niejedno. Nie wierzę, że jest w tym ziarno prawdy. W każdym razie nie zaszkodzi, jeśli zwiększymy nasze zapasy surowców. Potrzebowalibyśmy wprowadzić na to kapitału, lecz... teraz i ja również zostałem wciągnięty we wszystkie te sprawy. To ci się udało. Jednak koniec z tym, zgoda?

Kamila zauważyła, jak twardy pancierz, w który się uzbroiła, trochę się rozluźnił. Podniosła oczy. – Zgoda... Ale jeszcze jedna rzecz: reklamowe załączniki do akcji bonów, które zamierzałeś przywieźć z Berlina. Czy przyszło im w tej sprawie na myśl coś bardziej przydatnego?

– I to wprost coś świetnego. Ci ludzie znają się na rzeczy. Mam już gotowe próbki druków i przybliżoną koncepcję ogłoszeń. Będę musiał zapłacić ci specjalną premię za ten pomysł.

– Zapłacisz mi później – odparła.

Senger spojrzał na nią ze zdziwieniem i długo milczał, zanim znów zaczął mówić: – Tak, to jest nasz problem, prawda? Ale wydaje mi się, że dziś zrobiłem z tym porządek. Byłem w domu w Steglitz.

I spróbował rozpakować owinięty przedmiot, który z sobą przywiózł, aż w końcu zdarł niecierpliwie papier. Wręczył jej słomkowy kapelusz. W sztucznym świetle niebieska jedwabna wstążka wydawała się prawie biała. – Proszę, włóż go! Czy go nie poznajesz?

Senger oczekiwał spontanicznej reakcji i radosnego błysku w jej oczach, ale Kamila stała milcząca, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Tak było zawsze, ten dom był częścią jej przeszłości, do której nie dawała nikomu dostępu. – Wasz stary ogrodnik też jeszcze tam jest, jak się on nazywa? W każdym razie to on przechowywał dla ciebie ten kapelusz przez te wszystkie lata. Myślałem, że zrobię ci tym przyjemność.

Odłożył słomkowy kapelusz na biurko. Milczenie żony go speszyło. Bał się użyć niewłaściwych słów, więc ograniczył się do rzeczowych informacji:

– Twoja matka sprzedała wtedy dom bankowi, który wprawdzie wynajął go na długi okres, ale nie ma nic przeciwko temu, aby pertraktować o odsprzedaży. Nie wiem, jak ten dom wyglądał przedtem, ale wydaje się, że nadal jest w dobrym stanie.

– Ty byłeś... byłeś tam?

– Od dawna już o tym myślałem.

– Byłeś tam beze mnie?

– Ależ, Kamilo, za każdym razem, kiedy byłeś w Berlinie, chciałem tam z tobą pojechać.

– I co by z tego przyszło? Czy myślisz, że lata spędzone tu stałyby się lżejsze, gdybym ciągle myślała tylko o tym domu? – Tu wyciągnęła ręce po kapelusz, lecz potem je znów cofnęła. – Dlaczego nie zostawiłeś tego kapelusza tam, gdzie był. – Odwróciła się, może tylko po to, aby ukryć łzy. – Ten głupi stary kapelusz. Co mam z nim począć? Czy mam go włożyć na głowę i przejrzeć się w lustrze, aby stwierdzić, że jestem już na to za stara?

– Za stara! Kiedy wreszcie zrozumiesz, jak młodą jesteś! Włożysz go jutro na wycieczkę. Zanosi się na to, będzie piękny dzień. Wybierzemy się wszyscy razem i wyszukamy sobie ładne miejsce nad Jeziorem Zierckim. Weźmiemy z sobą prowiant i pozostaniemy tam przez cały dzień. A potem, kiedy dzieci będą już w Warnemünde, urządzimy sobie wakacje, prawdziwe, długie wakacje, pojedziemy do Włoch albo do Grecji, kazałem sobie pokazać różne marszruty. Tak, a teraz zamkniemy biuro i przed poniedziałkiem nie dostaniesz od niego klucza. Chodź, muszę ci i tak jeszcze coś pokazać. Wcale się mnie nie zapytałaś, czym tu przyjechałem.

I rzeczywiście zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Kamila wzięła z garderoby jakiś szal, zanim wyszła z mężem na dwór. Ale zaledwie trochę się oziębiło. Trzymając szal w ręku, szła obok niego boczną ścieżką, która prowadziła z domu do fabryki.

Wielki dziedziniec rozpościerał się opuszczony, a pośrodku, na szerokiej, wyasfaltowanej przestrzeni, stał w jaskrawym świetle reflektorów samochód z otwartą budą i skośnie wystającą kierownicą.

Kamila oniemiała i nie chciała iść dalej, ale mąż pociągnął ją za sobą do długiego wozu z wielkimi, kolistymi reflektorami z przodu przy masce chłodnicy i drugą parą po bokach, ze sterczącą wiązką drążków do zmiany biegów, z wielką czarną gruszką, służącą za klakson, i błotnikami, które

jak skrzydła unosiły się nad oponami – wszystko było w kolorze kości słoniowej.

– Czyś ty oszalał?

– To benz. Najnowszy model. Nie potrzebowaliśmy nawet trzech godzin, aby przyjechać nim tu z Berlina.

– Usiłował skłonić ją do zajęcia miejsca w samochodzie.

– Czy chcesz, żebyśmy go wypróbowali?

– Czy to wynajęty wóz?

– Ależ nie, należy do nas!

– A ile coś takiego kosztuje?

– Nie pytaj o to, powiedz lepiej, czy to nie istna piękność, kiedy tak stoi. Może jednak przejedziemy się raz dookoła...

Widziała jego radość i entuzjazm, lecz zapytała: – Czy to był twój pomysł? Czy też kryje się za tym ojciec? Oczywiście, to ojciec ciebie do tego namówił. Że też wciąż dajesz się przez niego naciągać.

– Ten wóz to prezent od ojca.

– Tak... a czym zapłaci on za taki prezent? Na jego koncie nie ma takich sum. To przecież cud, że nie narobił jeszcze długów.

– Wygrał na wyścigach.

– On tak zawsze mówi.

– Ale ja widziałem to na własne oczy.

– Ty chodzisz z nim na wyścigi? I może nawet się zakładasz? Ile ten wóz kosztował?

– Coś ponad dziewięć tysięcy.

Kamila oniemiała wobec takiej sumy. Dopiero po chwili powiedziała:

– Czy on nigdy nie przestanie jeszcze innych do tego wciągać! A ja

zawsze sobie wyobrażałam, że na ciebie on nie ma wpływu. – Zarzuciła sobie szal na ramiona i skrzyżowała ręce na piersiach. – Niekiedy go wprost nienawidzę. Od niego się przecież wszystko zaczęło...

– Również i to, co dobre. A może nie? Nie ma nic ważniejszego, jak żyć tak, aby być szczęśliwym. I twój ojciec to umie i chciałby, żeby i inni byli szczęśliwi. Nie wiem, co może być w tym godnego nienawiści.

Powiedziawszy to, wszedł do samochodu i pozbierał paczki leżące na tylnym siedzeniu, lecz zanim zdążył ułożyć je sobie jedne na drugich, usłyszał, że Kamila idzie przed nim z powrotem do domu.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Ryba bierze! Wyciągnij ją!

Okrzyki dolatywały skądś od strony brzegu, z oddali. Kamila leżała wygodnie na rufie łodzi, z twarzą na wpół ocienioną słomkowym kapeluszem, i w półśnie wydawało się jej, że unosi się na kołyszącej się wodzie, to znów wzlataje hen ku niebu. Otworzyła nieco oczy. Poprzez delikatną plecionkę słomkowego kapelusza słońce wydawało się całkiem żółte. Była senna z powodu upału, nasycona upajającym powietrzem nad wodą i czuła się szczęśliwa.

Podniosła się powoli i zsunęła kapelusz na tył głowy. Znajdowali się daleko na jeziorze. Jej mąż ujął znów wiosła i skierował łódź, która była ciężka, raczej coś w rodzaju rybackiego czółna, z powrotem do brzegu. Siedział do Kamili tyłem, a ona milczała. Koszula w biało-niebieskie paski lepiała mu się do skóry i przy każdym uderzeniu wiosła zarysowywały się wyraźnie łopatki oraz ich ruchy. Szerokie muskularne plecy jak również ogorzały od słońca kark świadczyły o sile tego mężczyzny. Miał teraz czterdzieści dwa lata, ale Kamila uważała, że wygląda na o wiele młodszego.

– Nie spiesz się tak.

Umocował wiosła w tulejkach, usiadł do niej przodem i rzekł:

– Obudziłaś się?

– Czy naprawdę spałam?

– Ponad godzinę.

Kamila spojrzała na niebo. Chociaż słońce dawno już minęło zenit, było wciąż jeszcze rozżarzoną żółtą masą. – A więc musi być niedługo

piąta.

– Sądząc po moim głodzie, tak. Mam nadzieję, że pozostawią nam coś jeszcze z tych ryb. – I chwycił znów za wiosła.

Na brzegu, gdzie znajdowali się chłopcy, unosił się dym. Białe kłęby były całkiem przezroczyste w jaskrawym świetle słońca. Parę lat temu zakupili parcelę na zachodnim brzegu Jeziora Zierckiego, ale zostawili wszystko tak, jak było, z rzadkim drzewostanem złożonym z sosen i świerków oraz brzegiem porośniętym trzciną. Nawet nie ogrodzili tego terenu, zbudowali jedynie kładkę schodzącą do wody, wystarali się o łódź, ponieważ Senger niekiedy wczesnym rankiem, jeszcze przed pracą, przyjeżdżał tu na godzinę z wędką.

Pomógł jej wysiąść z łodzi, którą przycumował do kładki. Głosy chłopców rozległy się na ich spotkanie, już nie tak ożywione po długim dniu spędzonym na słońcu. Znajdowali się przy ognisku, które Leon przygotował i nad którym wisały teraz ryby do upieczenia. Nieco z boku stał benz, którego opony były osłonięte od słońca, oraz kozły zaprzęg, подарowany Maksowi na urodziny przez dziadka. Kiedy wzrok Kamili spoczął teraz na tym zaprzęgu, przypomniało się jej, jak ojciec na nim się zjawił. Siedzieli jeszcze przy śniadaniu, gdy nagle przez otwarte okno usłyszała trzaskanie z bata i dźwięki dzwonków przy uprzęży. Nie chciała wierzyć własnym oczom: wózek, którym ojciec sam powoził, a przed nim dwa kozły, śnieżnobiałe, z rogami, spiczastymi bródkami i czerwoną uprzężą. Przemawiało z tego całe szaleństwo i brak rozwagi ojca, kiedy chodziło o spełnienie zachcianki, jaka mu przyszła na myśl, tak że przez chwilę cały dzień wydał się jej tym zepsuty. Teraz jednak nie mogła zrozumieć, że tak zareagowała, jak również zachowanie się jej

poprzedniego wieczoru po przybyciu męża zdało się jej niepojęte.

Ojciec rozgościł się wygodnie na miejscu, gdzie odbywał się piknik. Siedział na kocu pod wielkim parasolem z płótna żaglowego piaskowej barwy, wbitym w ziemię, i wachlował się dla ochłody swoją panamą. Dookoła leżały na ziemi koce, siatki na motyle i puszki do zbierania roślin. Kamila usiadła obok ojca, podczas gdy mąż wrócił nad brzeg jeziora, aby przynieść butelki, które leżały tam dla ochłodzenia. Wyjęła szklanki z koszyka z piknikowym prowiantem, talerze, serwetki i sztucce, ale jej ojciec powiedział:

– Wypiję z wami tylko jeden haust, a potem wyruszę z dziećmi. Nie jedziemy przecież naszym zaprzęgiem tak szybko jak wy.

– Czy nie wolisz pojechać razem z nami? W samochodzie jest dużo miejsca.

– Obiecałem chłopcom pojeździć jeszcze na karuzeli. Podobno w Jechowie odbywa się jarmark. Może się tam spotkamy. – Jego oczy mrużyły się od słońca. – Nie potrzebujecie się zbyt spieszyć.

Kamila się roześmiała. – Posłucham cię – rzekła – obiecuję, że na przyszłość będę tobie w ogóle bardziej posłuszna.

– Czy mogę się dowiedzieć, z czego się śmiejecie? – zapytał Senger, który właśnie wrócił. Zakasał rękawy koszuli. Jego ramiona były jaśniejsze od opalonych dłoni, a mokre, delikatne, jasne włoski lśniły na nich. Kamila przyglądała mu się, kiedy odkorkowywał butelki, i znowu owładnęło ją uczucie bezpieczeństwa, jak w łodzi, kiedy obserwowała go, gdy wiosłował.

– No, co was tak śmieszy?

– Zrobiłam pewne odkrycie.

– Odkrycie? – Napelnił szklanki i podawał je dookoła.

– Tak, i będziecie się wszyscy dziwić. Stawialiście mi zawsze ojca za przykład, a w gruncie rzeczy jestem może bardziej podobna do niego, niż myślicie. Przekonacie się o tym w przyszłości...

Oparła się plecami o jedną z sosen. Piła i śmiała się śmiechem, który był bardziej niski niż jej głos.

Chłopcy przynieśli upieczone ryby i rodzina siedziała razem, jedząc i pijąc, a potem wszyscy pomagali przy pakowaniu rzeczy. Tymczasem Leon zaprzął już białe kozły i ojciec wziął cugle do ręki. Z trzaskaniem z bata i dzwonieniem uprzęży odjechali, niknąc w chmurze kurzu, a Kamila powiedziała:

– Mój ojciec jest naprawdę godzien zazdrości. I być może właśnie on postępuje, jak należy. Zbiera w życiu dla siebie wszystko, co piękne, wszędzie, gdzie uda mu się znaleźć, podczas gdy ludzie przeważnie przechodzą jak ślepi, a potem jest już za późno. Nam to również o mało co się nie przytrafiło, prawda?

– Nie – zastrzegł się Senger. – Nigdy się tego nie obawiałem, tylko że...

– Że co?

– Myślę, że nie powinniśmy o tym mówić.

– A może jednak. Jakie widzisz we mnie wady?

– Może masz ich za mało. Wymagasz za wiele od siebie, a dla innych bywa to czasem bardzo przykre.

– Dla ciebie również?

– Nie. Nigdy nie pragnąłem, abyś była inna, gdyż wiem, jaka jesteś naprawdę. Nigdy tego nie zapomniałem.

Kamila odstawiła szklankę. Już jej się nie chciało pić. Ta godzina była

jedną z tych, jakie pragnęła całkiem świadomie przeżyć. Oparła się o męża, a on objął ją ramieniem.

– Opowiedz mi, dokąd pojedziemy?

– Pokazano mi pewną marszrutę, która by mnie szczególnie kusiła, do Egiptu. Pociągiem do Wenecji, potem adriatyckim statkiem do Kairu. Tam wynajmuje się statek kursujący po Nilu i można nim popłynąć aż do Luksoru i Asuanu, zwiedzić świątynie skalne w Abu Simbel oraz świątynię w Denderze.

– To brzmi bardzo zachęcająco.

– Ale to podróż raczej na zimę, to znaczy, kiedy tu u nas jest zima. Czyż mamy tak długo czekać?

– A ty chcesz?

– Nie, jeśli wybierzemy inną marszrutę, moglibyśmy wyjechać już za dwa tygodnie, siódmego sierpnia. Najpierw również do Wenecji. Z Wenecji statkiem dalej do Grecji, a stamtąd w określoną podróż po archipelagu: do Korfu, Eginy, Maratonu, Epidauru i Delos.

– Jedźmy jak najprędzej. Przez te dwa tygodnie będę się co dzień obawiała, iż w ostatniej chwili jeszcze coś stanie nam na przeszkodzie.

– Nic nam nie stanie na przeszkodzie.

– Muszę kupić sobie walizki. Czy wiesz, że ja mam tylko jedną, jedyne?

– Zamówimy sobie cały tuzin.

– I popłyniemy prawdziwym statkiem?

– Tak, na tę podróż będzie to „Prozerpina”. Wziąłem z sobą wszystkie prospekty.

– Czy to prawdziwy wielki statek pasażerski? Z basenem do pływania

na pokładzie, z salą jadalną, z salonami i orkiestrą do tańca?

– Zdaje mi się, że nawet z dwiema orkiestrami.

– I ty będziesz musiał ze mną tańczyć! Czy wiesz, że od naszego wesela nigdyśmy już ze sobą nie tańczyli? Przez te trzynaście lat, ani razu. I tylko osiem razy byliśmy w Berlinie w teatrze.

– I ty to obliczyłaś?

– O tak, bo za każdym razem była to dla ciebie prawie męka.

– Bo wiesz, teatr...

– Dopóki ze mną tańczysz, przebaczam ci wszystko...

– Byleby to nie był akurat ten nowy taniec.

– Masz na myśli tango?

– Tak się chyba nazywa. To musi być piękny widok... ja i tango.

– Chodź, zaraz cię nauczę. Chodźże!

Objęła go i usiłowała nauczyć kroków i ruchów. Ale ziemia była nierówna. Senger potrząsnął głową, roześmiał się, a potem się potknął. Upadł, wciąż jeszcze się śmiejąc, i pociągnął ją z sobą na ziemię.

– Zrobiłeś to umyślnie, wyraźnie umyślnie! W ten sposób się nigdy nie nauczysz.

Ale on śmiał się dalej i obrócił ją tak, że jego twarz znalazła się nad jej twarzą, a wtedy ją pocałował.

Najpierw wydawało się, że będzie się dalej śmiał całując ją, a jej również zachciało się śmiać i poczuła w całym swoim ciele jakąś beztroską wesołość...

Potem umieścili koce i oba koszyki w samochodzie. Sprawdziwszy jeszcze raz, czy niczego nie zapomnieli, Kamila usiadła obok niego. Słońce wciąż jeszcze prażyło, więc włożyła słomkowy kapelusz. Czując,

że mąż obserwuje ją spod oka, powiedziała:

– Nie wiem, co wczoraj wieczór ze mną się stało, że nie potrafiłam się cieszyć.

– Ważne jest tylko, że ja o tym wiem.

– Ty wiesz o tym?

– Kupimy ten dom. – A ponieważ nic nie odpowiedziała, mąż ciągnął dalej: – Ty nigdy o nim nie zapomniałaś. To był zawsze twój cel, zdałem sobie z tego jasno sprawę.

– To było moje marzenie, ale wciąż sobie tłumaczyłam, że teraźniejszość jest ważniejsza od marzenia. Może był to błąd, tak się do czegoś przywiązywać, ostatecznie to tylko dom, nic ponadto. A czy ty powiedziałaś to na serio, że powinniśmy go odkupić?

– Tak, przeprowadziłem już rozmowę z bankiem. Cena wydaje mi się rozsądna. Wszystko ustalimy po wakacjach. Oczywiście nie będziemy mogli zaraz się tam wprowadzić, gdyż umowa dzierżawna została zawarta na dziesięć lat. To pozostawia nam czas do namysłu. Przeprowadzka do Berlina postawi przed nami jeszcze niejedyn problem. Przeniesienie fabryki jest i tak możliwe tylko etapami. Najpierw administrację i dopiero kiedy wszystko będzie grało, produkcję. Tak to sobie wyobrażam. A następnie zmiana szkoły dla dzieci. Powinno się to tak przeprowadzić, aby nie wypadło w środku roku szkolnego. Wszystkie te sprawy winny być dobrze przemyślane, ale o tym pogadamy z całym spokojem później.

Położyła rękę na jego ramieniu. – Robisz to dla mnie?

– Byłby to wcale niezły powód, co? Ale nie tylko o to chodzi. Po zobaczeniu tego domu... czy pamiętasz, co ci opowiadałem o moim ojcu? O fotografii domu, którą zawsze nosił przy sobie. Kiedy byłem w Steglitz

i przechadzałem się po parku, zaraz sobie pomyślałem, że o czymś takim mój ojciec marzył przez całe życie, o tym myślał, tułając się po hotelach. I nagle już wiedziałem, że i ja tego pragnę: mieć ognisko domowe, miejsce, gdzie chciałoby się zostać na zawsze. I wtedy też sobie uświadomiłem, czym to dla ciebie było wówczas, kiedy byliście zmuszeni ten dom opuścić.

I ruszył z miejsca, zanim mogła coś odpowiedzieć.

Drogi były piaszczyste i tam, gdzie jechali, pozostawiali za sobą wielką chmurę kurzu. Kamila była tu już kilka razy z mężem, ale dzisiaj straciła wszelką orientację, aż do chwili kiedy sosny i świerki się cofnęły i ukazały się zagrody chłopskie i wieża kościelna. Na brzegach drogi kwitły chabry i maki. Pszenica wysoko wyrosła jak na tę porę roku, a w kłosach widać już było wyraźnie jędrne ziarna.

Jakiś obcy dźwięk wmieszał się nagle w warkot motoru, głośna klekocząca katarynka. I wkrótce ujrzeli już na skraju wsi karuzelę i budy jarmarczne, a trochę na uboczu zaprząg z dwoma białymi kozłami. Karuzela właśnie została znowu wprawiona w ruch i katarynka gruchnęła tryumfalny marsz z *Aidy*.

Wysiadłszy z samochodu, Kamila wzięła męża pod rękę.

– Czy przejedziesz się ze mną?

– Jeśli ojciec nam na to pozwoli. – Pachniało tureckim miodem i palonymi migdałami. Od strony strzelnicy słychać było strzały, a u „Mocnego Augusta” głucho uderzenia młota o kowadło wraz z ochryłym głosem nawoływacza. Ojciec Kamili stał przy sprzedawcy baloników i pertraktował z nim, po czym podszedł do niej z całą wiązką różnokolorowych baloników.



– Dobrze, żeście przyjechali – rzekł. – Nie mogę wyciągnąć ich z karuzeli, a drobne pieniądze powoli mi się wyczerpują. – Odwiązał dla Kamili czerwony balonik od małego drążka, do którego był przymocowany, a ona przywiązała go sobie sznurkiem do przegubu ręki, jak czyniła to, kiedy była dzieckiem z obawy, aby nie wyslizgnął się jej z palców i nie odfrunął.

Senger podszedł już naprzód do karuzeli, aby zobaczyć, co się dzieje z chłopcami, a Hofmann wykorzystał zaraz tę sposobność.

– Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć na temat Maksa. Czy nie przemyślałaś raz jeszcze twojej decyzji? Czy naprawdę nie chcesz mu pozwolić pojechać z braćmi do Warnemünde? Nawet jeśliby to zasadniczo i było słuszne, ale w taki dzień jak dzisiaj...

– Nie mogę ci niczego odmówić, czy nie tak?

– Tak mniej więcej. A ty powinnaś jeszcze raz się zastanowić, czy nie mogłabyś wysupłać jakiegoś datku dla rektora Mindinga na jego obserwatorium.

– Jesteś przebiegły i liczysz na to, że dzisiaj na wszystko się zgodzę. Ale teraz chcę najpierw przejechać się na karuzeli.

I pobiegła za mężem do karuzeli ze spiczastym dachem, w biało-czerwone pasy. Krępy, łysy człowiek, w wysłużonych czarnych spodniach od fraka i w pasiastej kamizelce kręcił się tu i tam pomiędzy konikami w błyszczących uzdach, różowymi świnkami i różnymi pojazdami, aby inkasować opłatę.

– Czym chcesz się przejechać? – zapytała Kamila męża.

– Wóz strażacki zawsze najbardziej lubiłem, ale chyba się do niego nie zmieścimy. – Kamila wcisnęła się na okrągłą ławeczkę, która się obracała

podczas jazdy. – Czy nie wsiądziesz ze mną?

– On mi nie pozwoli. – I rzeczywiście właściciel karuzeli zmierzył Sengera zatroskanym wzrokiem i powiedział do Kamili: – To tylko dla dzieci.

– Czy pan nie widzi, że i ja jestem jednym z nich?

Wziął opłatę z wściekłą miną, rozejrzał się dookoła, chwycił za sznurek od dzwonka i zadzwonił, oznajmiając, że można znów ruszać. Potem znikł za budką z silnikiem. Katarynka zaczęła znowu grać, ale wydawało się, że przepelniona karuzela ledwie się porusza. Kamila usłyszała dochodzące skądś głosy swych synów, którzy ją spostrzegli, i ujrzała, jak jej mąż biegnie koło niej, aż stopniowo karuzela zaczęła się obracać szybciej. Kamila przymknęła oczy i nagle jazda wydała się jej zawrotnie szybka. Warkot motoru, granie katarynki, klaksony samochodów i dzwonki rowerów oraz klekot wozu strażackiego, to wszystko przemieszało się, a kiedy otworzyła oczy, ujrzała, że karuzela istotnie obraca się tak szybko, że jej mąż ledwie może za nią nadążyć. Jak zawsze koniec jazdy nastąpił zbyt prędko.

– Zapłać mu za trzy razy – zawołała do męża – lecz bez zatrzymywania się!

Karuzela ruszyła i znowu Kamilę otoczyły te wszystkie hałasy. Tym razem wydawały się jakieś głośniejsze i szybsze. Tylko na krótkie chwile wynurzała się twarz męża obok niej, opalona, z roześmianymi oczyma. Zawołała go po imieniu, a kiedy zaczął znów biec obok, krzyknęła:

– Kiedy powiedziałam ci ostatni raz, że cię kocham?

– Co mówisz? – Ponieważ ciągle widzowie mu przeszkadzali, ledwie mógł dotrzymać kroku karuzeli.

– Kocham cię. – Ale dookoła niej były tylko obce twarze, przymknęła znów oczy.

Gdy karuzela wreszcie się zatrzymała, nie od razu go dostrzegła. Czowała, że jej się kręci w głowie, kiedy znów znalazła się na ziemi. Rozejrzała się szukając go, zrobiła kilka kroków, wciąż jeszcze czując się niepewnie z powodu zawrotu głowy, który sprawił, że wydawało się Kamili, iż grunt usuwa się jej spod stóp. Przeczekała chwilę w nadziei, że mąż się znów wynurzy, ale tłok dookoła karuzeli stawał się coraz gęstszy. Utorowała sobie drogę przez tłum. I wreszcie go ujrzała.

Stal z ojcem i jakimś trzecim człowiekiem na skraju festynowego błonia, gdzie zostawili benza. Ten trzeci miał na sobie popielatogranatowy szoferski strój i ciemne skórzane sztylpy, ale na pierwszy rzut oka nie poznała ich własnego zakładowego kierowcy, choć jego ciemny strój odbijał od wszystkich tych ludzi w jasnych letnich ubraniach.

Trzej mężczyźni umilkli, kiedy Kamila do nich podeszła. Opuścili oczy i nikt nic nie powiedział. Kamila nie rozumiała, co się stało, dopóki nie ujrzała depeszy w ręku męża:

– Co się stało?

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wówczas kierowca powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale myślałem, że jest to na tyle ważne, że powinienem tu przyjechać. Miałem pojechać nad jezioro, a potem przypadkowo ujrzałem tutaj ten samochód.

Kamila wyjęła mężowi depeszę z ręki. Przeczytała tekst i z początku słowa depeszy wydały się jej bez treści. Słyszała dookoła gwar głosów, śmiechy, granie katarynki i strzały dochodzące ze strzelnicy. Chłopcy

przybiegli, ale Hofmann odprowadził ich na bok, zaczął im coś tłumaczyć i oddalił się wraz z nimi.

– Kiedy się to stało? – zapytała Kamila.

– Chyba wczesnym popołudniem. Depesza została nadana przed dwiema godzinami. Najlepiej wróćmy zaraz.

Spojrzała na depeszę z nalepionymi paskami, poszukała, skąd została wysłana – o czternastej trzydzieści z Warnemünde – i nie mogła oderwać oczu od nazwiska nadawcy: doktor Herman Witte.

– Ale jak to możliwe! Jeszcze wczoraj rozmawiałam z nią przez telefon. A za dwa dni są jej urodziny.

Mąż Kamili wziął ją pod rękę i poszli do samochodu. Dopiero kiedy zajęła miejsce obok niego, zauważyła, że wciąż jeszcze ma przywiązany do przegubu ręki czerwony balonik. Rozwiązała węzeł i puściła sznurek. Balon uniósł się w górę, z początku zupełnie stromo, a potem poszybował na zachód.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W domu panowała cisza i Kamila zapragnęła, aby dzieci wróciły z plaży i wypełniły pokoje swymi głosami. Siedziała przed sekretarzykiem w sypialni cioci Lenki, a przed nią, na zielonym suknie biurka, leżało mnóstwo kluczy już uporządkowanych według pokoi. Najmniejszy pęk składał się tylko z dwóch kluczy od szuflad sekretarzyka, przed którym ciocia Lenka spędziła tyle godzin. Tydzień temu odbył się w Berlinie pogrzeb i od tego czasu Kamila odkładała z dnia na dzień niezbędną podróż do Warnemünde, a razem z tym i decyzję, co ma się stać z domem cioci oraz jak uporządkować spuściznę.

Przybyła wczesnym rankiem i zastanawiała się teraz nad tym, jak tego wieczoru wrócić do Neustrelitz, tylko dlatego żeby nie być zmuszoną spędzić nocy w tym domu. Wszystko było tu tak jak za życia cioci Lenki. Mogło się wydawać, że dokądś wyskoczyła na chwilę i lada moment może ukazać się z powrotem w drzwiach.

W sieni stały buciki, które ciocia Lenka zwykła była trzymać tu na zmianę, gdy wchodziła do domu, aby nie wnosić piasku do pokoi. W bawialni wisiał na poręczy krzesła jej szal robiony szydełkiem i nawet pasjansowe karty leżały rozłożone na stole przy oknie. Po dzieciach nie widać było najmniejszego przygnębienia. Nie zachowywały się nawet ciszej i nie mówiły mniej głośno niż zwykle. Popędziły od razu na piętro, aby poszukać zabawek, które w zeszłym roku tu pozostawiły. Ani wiadomość o śmierci cioci, ani jej pogrzeb nie wywarły na chłopcach najmniejszego wrażenia i właśnie z tego powodu Kamila wzięła ich z sobą do Warnemünde. W pierwszych godzinach obecność dzieci jej pomogła,

ale nie teraz, kiedy samotnie siedziała przed sekretarzykiem.

Kalendarz do zrywania kartek, z sentencjami na każdy dzień, wskazywał jeszcze datę śmierci cioci.

Aby wreszcie zrobić jakiś początek, Kamila zerwała z kalendarza nieaktualne już kartki, aż do trzydziestego pierwszego lipca włącznie. A może dziś był już pierwszy dzień sierpnia? Za tydzień miała rozpocząć się ich podróż do Grecji. Wracając z jarmarku, myślała, że z zaplanowanych wakacji teraz już na pewno nic nie będzie, ale jej mąż nie chciał zrezygnować i Kamila aż nazbyt chętnie na to przystała, a w dzień po pogrzebie, który się odbył w Berlinie, nabyli wspólnie walizki, naprawdę cały tuzin, jak mąż powiedział.

Śmierci cioci Lenki w gruncie rzeczy wciąż jeszcze nie mogła sobie uprzytomnić, a w tym jej domu dziwnym trafem jeszcze bardziej. Ciocia miała sześćdziesiąt jeden lat, ale co to znaczyło dla kogoś, kto był uosobieniem zdrowia. Kiedyś, przed laty, podczas epidemii grypy, gdy cała rodzina Kamili zachorowała włącznie z panią Ewers i ze sprowadzoną pielęgniarką, ciocia Lenka jedna pozostała zdrowa. Prowadziła gospodarstwo i pielęgnowała chorych, zawsze w dobrym humorze i niezmordowana, od wczesnego ranka do późnego wieczora na nogach.

Zawał, odnotował lekarz na świadectwie zgonu, ale na dalsze pytania odpowiadał tylko podnoszeniem rąk i wzruszeniem ramion, aż w końcu przyznał, że i on stał przed zagadką. Lenka zawsze sobie życzyła, aby ją pochowano obok męża, i dlatego już wówczas zakupiła od razu podwójny grób na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a jak okazało się po jej śmierci, istniały też dokładne wskazówki co do jej własnego pogrzebu oraz napisu na płycie grobowej. Kamili pozostało więc tylko zajęcie się koniecznymi

formalnościami: przewiezieniem zwłok z Warnemünde do Berlina, wyborem trumny, zawiadomieniami o zgonie i przygotowaniem stypy.

Kiedy myślała teraz o tym, patrząc wstecz, miała – uczucie, że wszystko to nie miało nic wspólnego z Lenką. Dzień pogrzebu był upalny, z bezchmurnym niebem i suchym wschodnim wiatrem. Przed cmentarzem rodzina musiała wysiąść z samochodów, gdyż z powodu prac naprawczych przy kanalizacji ulica była na całej szerokości rozkopana. Wzdłuż cmentarnego muru wiał szczególnie silny wiatr i Kamila miała wciąż jeszcze przed oczyma matkę i siostry, jak szły po wąskim chodniku, walcząc z kapeluszami i welonami, które wiatr usiłował im zerwać z głów, mężczyźni, którzy przytrzymywali swoje cylindry rączkami od lasek, lakierki szare od kurzu oraz dzieci, które sobie nic nie robiły ani z upału, ani z wiatru i były całkowicie pochłonięte opowiadaniem po tak długim okresie niewidzenia się o wszystkim, co przeżyły.

Przy tej sposobności rodzina po raz pierwszy od wielu lat znowu wystąpiła razem. Wszyscy stawili się na stypę w błękitnym salonie hotelu Bristol. Matka i ojciec, oczywiście usadowieni jak najdalej od siebie, oraz siostry z mężami i dziećmi.

Rozmowy dotyczyły spadku i testamentu, którego treść w tym momencie nie była jeszcze znana. Dyskutowano o wartości domu w Warnemünde. Wysuwano przypuszczenia co do papierów wartościowych cioci i zabrano się już do podziału między sobą biżuterii, porcelany i futer. Alicja chciała dostać koniecznie chiński serwis, a Maxi, przewyciężając pewne zahamowania, przypominała, że ciocia obiecała jej zostawić w spadku komplet sobolowy. O wiele bardziej interesowali się jednak wszyscy osobą Karola Sengera, męża Kamili, którego

przeważająca część członków rodziny dotychczas znała tylko z nazwiska i z pogłosek o jego bogactwie, które kursowały w rodzinie, tak że właściwie on stał się tu główną personą...

Z oddali rozległo się przewlekłe wycie syreny okrętowej i przypomniało Kamili, gdzie się znajdowała. Zaczęła nadśłuchiwać i miała nadzieję, że usłyszy głosy wracających dzieci oraz pani Kleinhans, którą posłała po sprawunki, ale w domu panowała nadal cisza. Mogła długo tak czekać, gdyż Lenka nigdy już nie wejdzie przez drzwi tego domu, nie otrzepie swoich bucików, latem z kurzu, a zimą ze śniegu. Nigdy już nie siądzie przy oknie i nie rozłoży kart, i nigdy zniecierpliwionym ruchem nie przysunie karty, która nie chciała wyjść.

Kamila zmusiła się, aby wreszcie zacząć coś robić. Wyrzuciła stare kartki kalendarza do koszyka na papiery i otworzyła obie szuflady sekretarzyka. Testament został ujawniony w Berlinie przez notariusza, u którego był w depozycie, i wywołał u matki oraz sióstr dość duże oburzenie, kiedy się okazało, że Kamila ma odziedziczyć dom w Wamemunde, ojciec większą część papierów wartościowych, a dla reszty członków rodziny przeznaczone zostały tylko jakieś pamiątki. Było to wszystko spisane na liście, składającej się z trzech stron, i tak samo jak testament postanowione już przed wielu laty.

Kamila wysunęła pierwszą szufladę i znalazła w niej wiele małych, napełnionych czymś pudełeczek. Leżały tam obok siebie i jedne na drugich, różnej wielkości, związane czerwoną rypsową wstążeczką, z napisami czerwonym atramentem. Te paczuszki musiały już długo tu leżeć, gdyż atrament był wyblakły.

Kamila wzięła do ręki jedną z paczuszek. „Dla Emmi” było na niej



napisane, a na prawym górnym rogu numer. Porównała go z listą z testamentu i odnalazła tam notatkę: pierścionek z krwawnikiem dla Emmi. Kiedy ciocia zapakowała te rzeczy? Przed ilu laty? Kamila wysunęła drugą szufladę i ukazało się tam to samo: paczuszki, czerwone rypsowe wstążeczki i wyblakłe napisy czerwonym atramentem. Kto tak postępuje? Tylko ktoś, kto nieustannie myśli o śmierci?

Kamila stanęła przed zagadką. Ciocia odegrała wielką rolę w jej życiu, była dla niej wzorem. Czyż sama kiedyś nie powiedziała, że chce być taką jak ciocia? Nie widziała jej martwej i nie zgodziła się, kiedy jej zaproponowano, że jeszcze raz otworzą trumnę. U wszystkich ludzi, jakich знаła, można było wyraźnie odczytać ich wiek. Ojciec mimo wszystko się zestarzał, ruchy stały się ostrożniejsze i jego wzrok osłabł. Siostry się zmieniły, a przede wszystkim matka za każdym razem budziła w niej przerażenie swoją różową, astmatyczną nieforemnością. I ona sama stała się starsza. Jediną osobą, obok której czas zdawał się przechodzić bez śladu, była Lenka. Pozostawała zawsze taką samą, niemłodą i niestarą.

Gdzie Kamila mogła znaleźć odpowiedź na tyle pytań? Wyjęła paczuszki z szuflad, mając nadzieję, że może natrafi na coś, co dopomoże jej w dalszych poszukiwaniach, i w rzeczy samej znalazła na dnie jednej z szuflad wąski niebieski zeszyt. Otworzyła go i rozpoznała charakter pisma cioci, jeszcze drobniejszy i bardziej ścieśniony niż zwykle. Było jasne, że chodziło o pamiętnik, zapiski sięgały bardzo daleko w przeszłość i już od wielu lat nie były kontynuowane, gdyż większa część zeszytu była nie zapisana.

Kamila przerzuciła kartki zeszytu, ale coś ją powstrzymywało od czytania, aż doszła do stronicy, na której notatki się kończyły. Urywały się

w środku zdania, tak jak i życie Lenki nagle się przerwało.

„W życiu nie ma sprawiedliwości”.

Takie były ostatnie słowa pośrodku pustej do połowy stronicy, nie zakończone ani kropką, ani przecinkiem. Kamila wpatrzyła się w owo zdanie, składające się z tych gorzkich słów. W życiu nie ma sprawiedliwości – tymi słowami Lenka zamknęła swoje życie, któregoś dnia przed wielu laty.

Kamila wstała tak szybko, że aż krzesło się przewróciło. Ten głośny hałas był dla niej niemal dobroczynny w ciszy, która ją otaczała. Kiedy krzesło podniosła, wzrok jej padł na lustro na ścianie. Podeszła bliżej, przejrzała się w nim i szukała uważnie oznak, które by jej powiedziały, że ma już nie siedemnaście lat, lecz trzydzieści. Niekiedy podczas tych ostatnich lat odczuwała strach przed starzeniem się, ale teraz doznała uczucia uspokojenia i ulgi, kiedy palcem przesuwiała po delikatnych zmarszczkach w kącikach oczu. Starzenie się było przecież czymś naturalnym. Czyż o twarzy, na której nie znać wieku, nie mówiono, że taki człowiek nie miał nigdy rzeczywistego życia?

Nagle w ogrodzie rozległ się głośny krzyk, płacz, a potem głos pani Kleinhans. Spojrzenie na zegarek powiedziało Kamili, że spędziła niemal całą godzinę, siedząc beczynn timer przy sekretarzyku.

Raptem zaczęło się jej spieszyć, aby mieć już wszystko za sobą, i pomyślała również o innych pokojach, o komodach i szafach pełnych rzeczy, które trzeba było wysortować i rozdać. Opróżniła obie szuflady sekretarzyka i przygotowała paczuszki do rozesłania. Jedynie zeszyt wzięła z sobą, zdecydowana, aby go nie przeczytać i spalić.

Chłopcy poszli znów z powrotem drogą na plażę, tak że Kamila zastała

w kuchni tylko panią Kleinhans, zajętą rozpakowywaniem wielkiej torby ze sprawunkami. Czuć było jodyną i na stole leżał materiał opatrunkowy.

– Co się stało?

– Nic znowu tak straszego. Konrad zadrasnął się w stopę muszelką. To przydarzy się jeszcze nie raz na początku, gdyż dzieci miejskie nie są przyzwyczajone do biegania bosy. Kiedy pobędą tu jakieś dwa tygodnie... Przecież zostaną tu przez całe lato?

– Dzieci w każdym razie. Nie wiem jeszcze, jak to urzędę. Być może przyjedzie tu pani Ewers albo moja starsza siostra.

– Ale ten dom należy do pani? Ciotka pozostawiła go przecież pani w spadku. I pani go zatrzyma? A jeśli chodzi o dzieci, to mogłabym się nimi zaopiekować. Przeprowadziłabym się tu do tego domu i została, póki one tu będą, a wtedy nic by im nie brakowało. Wydaje mi się, że jakoś byśmy się zżyli. Słuchają mnie, jak im tylko coś powiem, a to, co gotuję, zawsze im smakowało. Jak one znów urosły w ciągu tego jednego roku! Po tym widać, jak czas mija. Czy pani przypomina sobie, jak to było, kiedy i my byłyśmy w tym wieku? Pamiętam jeszcze, jak pani tu przyjechała po raz pierwszy! Czy pani to jeszcze pamięta? Te jaja mew, któreśmy wspólnie zbierały?

Kamila przyjrzała się pani Kleinhans. Czyżby postarzały ją tak ta ciemna skromna bawełniana suknia oraz surowe nietwarzowe uczesanie? W każdym razie w ciągu tych wszystkich lat Kamila nie miała już uczucia, że ta kobieta jest jej rówieśnicą.

– Jeden rok, a potem jeszcze jeden, czas mija – powiedziała pani Kleinhans, wkładając dalej zapasy do spiżarni. – Kto by pomyślał, że to się z pani ciotką stanie. Jeszcze z rana aptekarz wstąpił po nią, aby

odprowadzić ją na koncert. – Tu pani Kleinhans przyciszyła głos. – Mówią, że Witte całkiem poważnie starał się o jej rękę. I wie pani, wydaje mi się, że coś w tym było. Witte uwielbiał ciotkę pani, każdy mógł to zauważyć. Jakże często przychodził i nigdy bez kwiatów lub jakiegoś upominku. Ale ona już tego nie chciała. W ów poranek niedzielny była ubrana całkiem na biało, tak elegancko, że nikomu by nie przyszło do głowy, że sama sobie uszyła tę suknię.

– Wszystkie suknie pozostawiła pani w spadku. Trochę pieniędzy dla pani męża, a dla pani wszystkie suknie, jakie pani zechce. Wydaje mi się, że na panią pasują.

– Pani ma na myśli jej suknie? Nigdy nie widziałam kogoś, kto by tak umiał szyć. Kiedy kroїła jakiś materiał, jakże jej to szło, bez patronów, tylko naznaczając szpilkami i krawiecką kredą. A jaki miała gust! Gdybym ja coś takiego potrafiła! Mogłaby w każdej chwili otworzyć pracownię krawiecką, wszędzie, w każdym mieście. A jeśli chodzi o tego Wittego, to niech mi pani wierzy, że było to całkiem poważne z jego strony. Zresztą nie był to jedyny starający się. Wiele razy mogła znowu wyjść za mąż... ale niech mi pani wybaczy, wcale nie chciałam znów o tym zaczynać. A więc zapisała mi w testamencie swoje suknie?

– Tak. Niech pani sobie wybierze, co się pani podoba.

– A dom pani naprawdę zatrzyma? – Nagle w jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju. – Pani go przecież nie sprzeda?

– Na pewno nie.

– Będziemy się nim opiekować, kiedy będzie stał pusty. Mój mąż i ja. A na dzieci będę chętnie uważała. A czy pani wyjedzie ze swoim mężem na wakacje?

– Tak.

– Miałabym do pani pewną prośbę, gdyby to nie było zbyt natarczywe z mojej strony – tu zarumieniła się i z trudem wypowiedziała: – Zawsze o tym marzyłam, aby tylko raz, ale pani ciotka... a ja po prostu nie śmiałam pani o to zapytać.

– O co?

Ta nowa łazienka, wie pani. Pani mnie wyśmiej. Ale zawsze, kiedy tę łazienkę sprzątałam, ona pytała mnie, co pani tak długo sprząta w tej łazience... a więc ta nowa łazienka z wbudowaną wanną oraz tymi pięknymi kafelkami i tylu lustrami – pewnego razu pomyślałam sobie, jakże chciałabym się tam wykąpać, najlepiej wieczorem, kiedy te piękne lampy się palą, i soli do kąpieli w tej kryształowej flaszcze pragnęłabym również użyć... Czy to bardzo źle, że o tym powiedziałam?

Kamila nie mogła spojrzeć na panią Kleinhans i nie mogła się również roześmiać, wprost przeciwnie, prośba tej kobiety i to jakże skromne jej życzenie wprowadziły ją w zadumę i nastroiły smutno. Kobieta, która nie miała innych życzeń, jak tylko...

– Naturalnie może pani z łazienki korzystać o każdej porze, dopóki pani będzie tu mieszkać.

– Naprawdę? Och, mój Boże, bardzo dziękuję, a ja nie śmiałam o tym powiedzieć, że chciałabym tam kiedyś się wykąpać... i to nie spiesząc się. Ale teraz muszę zająć się jedzeniem. Morskie powietrze pobudza apetyt. Już ja się dziećmi zaopiekuję, one zawsze wcinały, co ja przyrządziłam. Będzie to coś całkiem prostego: na razie kaszanka, a potem gorąca zupa ryżowa. Za dobre pół godziny będę z tym gotowa.

Nagle Kamila zapragnęła słońca i świeżego powietrza. Wyszła przed

dom. Dzień zrobił się upalny i do tego niemal bezwietrzny. Całe niebo wprost lśniło, tak że nie dało się rozpoznać, gdzie zaczyna się morze. Głosy, dolatujące z plaży, brzmiały przytłumione, jakby przez welon.

Podczas gdy tak stała pod drzwiami domu i wodziła wzrokiem po ogrodzie, jej myśli wróciły do dnia, w którym ten „obcy” po raz pierwszy tu się zjawiał, z białym słomkowym kapeluszem w ręku, człowiek, którego nie chciała wpuścić do domu. A potem był ten wieczór tam w dole nad brzegiem morza, przy stacji ratowniczej, kiedy siedzieli obok siebie na łodzi, leżącej na piasku dnem do góry... Ucisk, który odczuwała w ostatnich godzinach, zaczął się rozluźniać. Zmieniła buty i opuściła ogród.

Już dłuższą chwilę biegła wzdłuż brzegu, oddalając się od miasta poprzez roziskrzoną, zalaną słońcem okolicę. Jej stopy grzęzły w ciepłym, suchym piasku, aż się zgrzała. Po południu, kiedy się oziębi, weźmie rower i pojedzie, jak za dawnych lat, do swego ulubionego miejsca, żeby spędzić tam w samotności jedną czy dwie godziny i uporządkować myśli. Ale równocześnie nie mogła się już doczekać, aby wieczorem znów wrócić do Neustrelitz. Nigdy jeszcze rozłąka z mężem nie ciążyła jej do tego stopnia, już te pół dnia wydało się jej wiecznością.

Ruszyła więc z powrotem. Akacje wzdłuż nadmorskiej promenady podrosły, a roślinność w ogrodach zrobiła się gęstsza, tak że z niektórych domów widać już było tylko dachy. Kamila szła nad brzegiem wody. Leniwie i niemal bezgłośnie przetaczały się fale, nie przynosząc ochłody. W głębi ciągnęło się morze gładkie jak zwierciadło i nieruchome. Wydawało się, że ten dzień stoi w miejscu.

Dzieci już nie było na plaży naprzeciwko domu. W ogóle cała plaża

była bezludna. Zamki z piasku i kosze plażowe stały osierocone, a w piasku walało się kilka zapomnianych piłek. Tylko w oddali, w kierunku latarni morskiej, ludzie tłoczyli się przy stoiskach kramarzy.

Pani Kleinhans wyszła na jej spotkanie do bramy od ogrodu.

– Wszystko jest gotowe. Dzieci czekają już tylko na panią. One są bardzo dobrze wychowane, trzeba to przyznać, i nawet dobrowolnie umyły ręce. Ale teraz już muszę odejść, gdyż mój mąż ma wkrótce wrócić do domu. Ale co to za dzień! Ani wiatorku.

W ciszy rozległ się dzwonek roweru. Obie spojrzały w dół ulicy.

Rowerzysta był jeszcze dość daleko, ale po mundurze i czapce z czerwonym otokiem można było od razu poznać, że to listonosz.

– Wydaje się, że on jedzie do pani – powiedziała Kamila.

– Do mnie? – Między jej gęstymi ciemnymi brwiami utworzyła się głęboka pionowa zmarszczka. – Otrzymujemy tylko kilka kartek na Boże Narodzenie, i to wszystko.

Listonosz zatrzymał się przed sąsiednim domem. Oparł rower o siatkę, zdjął czapkę i wytarł sobie chusteczką pot z czoła.

– Rzeczywiście wydaje się, że przyjechał do mnie. Ale jestem ciekawa! – Lecz w jej głosie brzmiała nutka przerażenia i pośpiech, z jakim teraz biegła do domu, był raczej wyrazem zaniepokojenia.

Kamila przystanęła przy bramie od ogrodu, jakby opanowana jakimś osobliwym uczuciem bezwładu.

Listonosz wyciągnął list z czarnej skórzanej torby, przymocowanej z przodu do roweru. Pani Kleinhans potrząsnęła głową, kiedy chciał jej wręczyć kopertę. Wówczas listonosz coś powiedział i potem wbrew jej woli wcisnął pani Kleinhans list do ręki, podczas gdy ona wciąż jeszcze

odmownie kręciła głową.

To, co potem nastąpiło, było niemal równoczesne: listonosz wsiadł szybko na rower, pani Kleinhans rozerwała kopertę i krzyknęła. Ten przeraźliwy krzyk kobiety rozdarł ciszę, niczym jakiś nagły wybuch. Potem dopiero można było odróżnić poszczególne słowa: – Nie! Nie! Nie! Nigdy go nie oddam. Nie!

Kamila chciała do niej podbiec, ale nie mogła się ruszyć z miejsca, jakby sparaliżowana. Dopiero kiedy krzyk nie ustawał, zebrała wszystkie siły i podeszła do pani Kleinhans. Listonosz zaś w popłochu odjechał na rowerze. Pani Kleinhans stała blada na twarzy, trzymając kopertę w rękach.

– Na miłość boską, co się stało?

Pani Kleinhans wpatrywała się odrętwiałym wzrokiem w Kamilę, jakby była to jakaś obca osoba, niemal wrogo, a potem krzyknęła znowu:

– Nigdy go nie oddam! Nigdy! Nikt nie może mi odebrać mojego męża. Nie! Nie! Nie! – Był to już jakiś obcy, oszalały głos obcej kobiety...

Wszystko, co jeszcze tego dnia się przydarzyło – pierwsze dokładniejsze wiadomości o mobilizacji, dodatki nadzwyczajne, wrywane z rąk sprzedawcom, obwieszczenia, dookoła których tłoczyli się ludzie, i nawet to, co Kamila nazajutrz przeżyła, wracając do Neustrelitz w przepełnionym pociągu – wszystko to było niczym w porównaniu z krzykiem tej kobiety.

Jeszcze po wielu latach było to najżywsze wrażenie spośród wielu innych związanych z wybuchem wojny. Ani pośpieszny powrót do Neustrelitz, ani liczne pytania chłopców, na które nie wiedziała, co odpowiedzieć, ani poważny wyraz twarzy męża, który przyszedł po nią na



dworzec, ani długie kolejki ochotników, tłoczących się przed biurami wojskowymi, ani orkiestra, która na głównym placu miasta grała marsze – ale ochotników, tłoczących się przed biurami wojskowymi, ani orkiestra, która na głównym placu miasta grała marsze – ale pierwszym zwiastunem wojny był dla niej właśnie ten kobiecy krzyk, no i jeszcze coś: te nowe walizki, które ułożone według wielkości, stały w sypialni w szarych pokrowcach z wyhaftowanymi na czarno monogramami K.S., gotowe do podróży, w którą już teraz się nie wybiorą...

## Część czwarta

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wydawało się, że pociąg dostał się w zasięg działania pola magnetycznego od chwili, kiedy znalazł się w obrębie Berlina. Pędził teraz dwa razy szybciej i nigdzie się nie zatrzymywał: jakaś stacja mignęła, jakiś nie otynkowany budynek, jakaś tablica, której napisu nie można było odczytać, a potem znów otuliła ich zamieć śnieżna.

Pociąg miał opóźnienie, którego chyba nie zdoła już nadrobić. Zresztą już się do tego przyzwyczajono. Rozkłady jazdy istniały w tej czwartej wojennej zimie tylko na papierze i na opóźnienia nie padało ani jedno słowo skargi.

Już z Neustrelitz wyjechali z dwudziestominutowym opóźnieniem, ponieważ musieli przepuścić przed sobą eszelon z wojskiem, choć może i niepogoda odegrała tu pewną rolę. Rano w Neustrelitz nic nie zapowiadało, że będzie padał śnieg. Niebo było jakby wymiecione z chmur, mroźnoprzezroczyste, ale potem, w pół drogi, wjechali w granatową jak atrament ścianę chmur, a od godziny szalała już śnieżycą.

Znowu wynurzyła się niewyraźnie jakaś stacja i kilka opatulonych postaci na odkrytym peronie. Kamila odsunęła się trochę od okna, przez którego szpary wiało, włożyła ręce głębiej do mufki i spojrzała na ojca siedzącego naprzeciwko.

– Wkrótce będziemy na miejscu. Musiał to być już dworzec Gesundbrunnen.

Ojciec nic nie odpowiadał. Przedział pierwszej klasy był przepełniony, siatki na bagaż załadowane aż do samej góry, a to, na co już tam nie było miejsca, stało na podłodze przy nogach pasażerów. I do tego

przyzwyczała się już w swoich podróżach do Berlina, gdyż Meklemburgia była wciąż jeszcze okolicą nadającą się do chomikowania, i każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, jeździł pierwszą klasą, ponieważ tam kontrolę z niezbadanych powodów przeprowadzano powierzchowniej, co zresztą nie na wiele się przydawało, od kiedy kontrolerzy na berlińskich dworcach stawali się coraz surowsi.

Również na przedziale znać było lata wojny: przetarte czerwone pluszowe obicie, chodniki poszarpane na brzegach, a w oknach pasy poobcinane, tak że nie można było już nawet wietrzyć. Również i na pasażerach znać było ślady wojny, nie tylko na ich znękanych i wychudłych twarzach, ale również na znoszonych płaszczach, łatanych butach, rękawicach z jednym palcem, robionych z resztek wełny, i chustkach kobiet. Kamila czuła, że ona w futrze z soboli oraz jej ojciec w palcie z bobrowym kołnierzem sprawiali wrażenie czegoś obcego, i wciąż na nowo obrzucano ich spojrzeniami, które dawały im to wyraźnie do zrozumienia.

Hofmann rozluźnił szalik, rozpiął płaszcz i wyciągnął zegarek. Niema niechęć w przedziale wzmogła się na widok łańcuszka z masywnego złota. To, że miał jeszcze coś takiego, mogło ujść, ale że odważył się publicznie pokazywać łańcuszek wbrew ostatnim apelom, aby oddawać całe złoto, obudziło najgwałtowniejszą dezaprobatę.

Hofmann udał, że nie dosłyszał szeptanych uwag, i powoli nacisnął wieczko zegarka. Trzymał cyferblat daleko od siebie, ale Kamila wiedziała, że i tak nic nie widzi, była to po prostu z jego strony próżność, która kazała mu podtrzymywać nadal tę fikcję, i dlatego nie spytał też o godzinę, ale powiedział potrząsając głową:

– Nie wiem, czy mój zegarek dobrze chodzi. Która godzina na twoim?

Kamila odchyliła rękaw futra.

– Zaraz będzie jedenasta. – Z Neustrelitz wyjechali o ósmej, mieli więc całą godzinę opóźnienia.

– Akurat odpowiednia pora na drugie śniadanie w palmowym ogrodzie. Co myślisz o tym? Kawalek praskiej szynki prosto z pieca.

Miał na myśli bufet w domu towarowym Wertheima przy fontannie, gdzie niegdyś czasem się umawiali. Ale od dawna nie było tam już praskiej szynki, o czym on zresztą wiedział. I to również było jednym z tych jego urojeń, których się uporczywie trzymał. Lecz dla Kamili wszystko, co działo się przed 1914 rokiem, stanowiło zamierzchłą przeszłość.

– Pojedziemy od razu do kliniki.

Ojciec zamknął zegarek i schował go równie powoli, jak wyjął.

– Czy to konieczne? Czy nie mogę przynajmniej na jedną noc zajechać z tobą do hotelu? Teraz, w styczniu, musi być otwarty teatrzyk lalek, moglibyśmy dziś wieczór obejrzeć przedstawienie. Bo czy to robi różnicę, jeden dzień wcześniej czy później?

Kamila nie dopuściła do dyskusji. Już dostatecznie długo udawało mu się ukrywać swój prawdziwy stan oczu przed nimi wszystkimi, nawet przed doktorem Oesterreicherem, aż przed dwoma tygodniami wpadł prosto pod samochód. Na szczęście skończyło się na kilku zadraśnięciach i potłuczeniach. Dopiero potem przyznał się, że już od dłuższego czasu wszystko widzi jak przez mgłę, a przedmioty i ludzi rozpoznaje tylko po konturach. Diagnoza lekarza specjalisty brzmiała, że to katarakta i że tylko natychmiastowa operacja obu jego oczu może mu znów przywrócić wzrok.

– Dobrze, dobrze – powiedział – dajmy już temu spokój. Lecz powiadam ci, że nie na wszystko się zgodzę. Siostry szpitalne potrafią okropnie działać na nerwy. To przecież zakonnice? Jeśli się im wydaje, że mogą mnie nawrócić... Wiem, że usiłują zawsze każdego nawrócić, kiedy się jest bezbronnym.

Kamila wolała milczeć. Pociąg stopniowo zmniejszał prędkość, wjeżdżając na przedpole dworca. Sieć szyn i zwrotnic wynurzała się ze śniegu, z wirującej bieli migały czerwone i zielone światła sygnałów.

Dawniej, przed wojną, kiedy Kamila rzadko jeździła do Berlina, zawsze gorączkowo czekała na moment wjazdu na dworzec. Ale teraz, kiedy musiała tak często bywać w Berlinie, oznaczało to tylko początek długiego dnia przeładowanego nieprzyjemnymi sprawami: chodzenie od urzędu do urzędu, by wystarać się o jakieś pozwolenie, pertraktacje w urzędzie zaopatrzenia wojennego oraz załatwianie w urzędzie celnym zwolnienia zatrzymanych dostaw surowców z zagranicy.

Pociąg szarpnął kilka razy i zatrzymał się ze zgrzytem hamulców i piskiem wentyli. Hofmann był jednym z pierwszych, który wstał ze swojego miejsca. Jak gdyby chodziło o to, aby nie stracić ani minuty, sięgnął w górę do siatki z bagażem, wyszukał rzeczywiście pomiędzy wieloma walizkami swoją, przeniósł ją nad głowami innych pasażerów i postawił na miejscu, z którego wstał. Ze wzrastającą niecierpliwością śledził wysiłki kogoś, kto próbował otworzyć zamrożone drzwi, a kiedy nareszcie odskoczyły z trzaskiem, przeciskał się energicznie naprzód, to znaczy właściwie popychał Kamilę przed sobą, gdyż był przecie na tyle przezorny, aby przepuścić ją pierwszą, żeby mogła mu pomóc przy wysiadaniu po zaśnieżonych stopniach. Ale potem, na peronie,

natychmiast przejął znowu inicjatywę. – Bagażowy! – zawołał głośno. – Czy nie ma tu bagażowych?

Ludzie oglądali się za nim i spieszyli dalej, a Kamila wzięła obie walizki.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się złapać dorożkę. Lecz teraz chodź, trzymaj się z tyłu za mną.

– Co za czasy! – I szedł za nią, postukując gniewnie laską. – Ani bagażowego, ani dorożki. Daj mi moją walizkę! Daj wreszcie! Chciałbym ją sam nieść. Nie jestem przecie inwalidą. – I nie pozwolił sobie wytłumaczyć, że nie może nosić walizki. Sam ją zapakował i odrzucił z oburzeniem propozycję pani Ewers, która chciała mu przy tym pomóc.

Przed budką kontrolną stały stoły, na których urzędnicy rewidowali bagaże pasażerów, i tam już utworzyły się długie ogonki. Posuwało się to wolno, gdyż urzędnicy rewidowali skrupulatnie. W końcu mieli już przed sobą tylko jedną kobietę w starym męskim palcie, trochę na nią przerobionym, i w czarnych nausznikach przy borsuczej czapce. Nagle kartofle potoczyły się po stole i upadły na ziemię. Kamila schyliła się, aby pomóc przy zbieraniu, ale zasłużyła sobie za to tylko na jej nieufne spojrzenie.

I to również się zmieniło, dawniej, na początku, znoszono cierpliwie rewizje, ba, dowcipkowano nawet na temat tej uciążliwej procedury, a urzędnicy wtórowali temu śmiechem. Poczucie solidarności łączyło wtedy wszystkich, ale teraz nie było po tym śladu, tylko obojętność, chłód i wrogość znamionowały atmosferę.

Owa kobieta wzięła walizę i poszła. Kamila chciała już postawić swoją na stole, gdy urzędnik zmierzył ją wzrokiem, a potem jej ojca.

– Państwo są razem?

– Tak, to jest mój ojciec.

– Państwo możecie przejść. – Jego skinienie głową wyglądało prawie jak ukłon.

– No, zróbcie miejsce dla tej młodej damy.

Ale nie mogli się wydostać z tłumu ludzi, którzy przepychali się do wyjścia z peronu i ani myśleli kogoś przepuszczać.

Kiedy nareszcie weszli do wielkiej hali, gdzie ludzie szybko się rozbiegli, Fryc Hofmann uśmiechnął się do siebie: – Gdyby kontroler wiedział, co mam w walizce! Ale tak to już jest, ludzi sędzi się po ich wyglądzie.

– Równie dobrze mogłoby się to źle skończyć.

– Kilka kawałków mydła wolno chyba jeszcze z sobą mieć! Nie wiadomo, jakie będzie jedzenie w klinice, a za mydło można wszystko dostać.

Kamila chciała już go ofuknąć, gdy usłyszała, że ktoś głośno wymienił jej nazwisko. Rozejrzała się dookoła. Wyraz jej twarzy stał się jeszcze nieco poważniejszy, kiedy poznała, że to mecenas Kautsky, ale potem przyszło jej na myśl: on na pewno ma dorożkę.

Mecenas Kautsky był doradcą prawnym firmy i Kamila miała co do niego pewne zastrzeżenia. Był w jej mniemaniu trochę zbyt obrotny i przebiegły, ale i to oczywiście miało swoje dobre strony, zwłaszcza w takich czasach jak obecne, gdzie jedynie okreśną drogą można było osiągnąć to, co się słusznie należało.

Podszedł do niej. Był niskiego wzrostu i powlóczył lekko nogą, co było skutkiem paraliżu dziecięcego, ale dzięki temu ten stosunkowo młody



mężczyzna został zwolniony od służby wojskowej.

– Że też możesz wytrzymać z takim człowiekiem – szepnął Hofmann.

– On jest zaradny, a przecież tylko o to chodzi, a nie o to, czy jest mi sympatyczny... Więc nie zwracaj na niego uwagi jak wtedy, ostatnim razem, proszę.

Kautsky zdjął na chwilę kapelusz, tak że można było ujrzeć jego ciemne, mocno kręjące się włosy. Przez chwilę wydawało się, że się zastanawia, czy powinien wypowiedzieć jakąś uwagę o pogodzie i spóźnieniu pociągu, ale potem, jak zawsze, przystąpił od razu do rzeczy.

– Przyspieszyli termin rozprawy. Dowiedziałem się o tym dopiero przed godziną i dlatego nie mogłem już pani powiadomić w Neustrelitz.

– Na kiedy wyznaczono nowy termin?

– Na godzinę drugą w urzędzie zaopatrzenia wojennego, drugie piętro, sala IV. Nie byłem pewny, czy pani jeszcze przed południem do mnie się zgłosi, dlatego przyszedłem. Jest jeszcze coś niecoś do omówienia.

– Czy ma pan dorożkę?

– Tak, czy mogę panią odwieźć do hotelu? – i wskazał na walizki. – To pani cały bagaż?

– Nie sprawiłoby panu różnicy małe zboczenie z drogi? Moglibyśmy podczas jazdy porozmawiać.

– Najmniejszej. Dokąd mam panią zawieźć?

– Do kliniki Wallbauma. To niemal po drodze, jeśli pojedzie pan przez plac Monbijou, pokażę panu, gdzie musimy skręcić.

– Dam wskazówki dorożkarzowi.

Kautsky wziął Kamili walizkę i poszedł przodem. Kiedy wyszli z hali dworcowej na świeże powietrze, śnieżycy ustała i Kamila się niemal tym

zmarwiła, bo padający śnieg może przysłoniłby smętny widok placu przed dworcem: kolejki ludzi przed sklepami po drugiej stronie placu, ciągnące się nieraz wzdłuż dwóch czy trzech fasad domów, zardzewiałe wózki kolumny odgarniającej śnieg, składającej się z kobiet i niedorostków, słupy ogłoszeniowe już nie oblepione pstrymi plakatami reklam, ale wyłącznie oficjalnymi obwieszczeniami, w danej chwili dotyczącymi rozpisania piątej pożyczki wojennej.

Przyjazd do Berlina, dawniej odczuwany przez Kamilę jako święto, był teraz dla niej wstrząsem, gdyż za każdym razem postępujące stopniowo zaniedbanie miasta stawało się coraz bardziej widoczne. Wydawało się niekiedy, że nie ma już tego miasta, które tak kochała, że to już nie jej Berlin... Wtedy, w 1914 roku, odkupili od banku dom w Steglitz, jeszcze w sierpniu, po szczególnie korzystnej cenie. Kiedy w maju 1915 roku Włochy przeszły na stronę nieprzyjaciela i włoska ambasada w Berlinie zwinęła swoje namioty, nagle dom opustoszał, ale oni nie mogli się zdecydować na przeprowadzkę i odłożyli tę sprawę do czasu skończenia wojny. Była to bardzo mądra decyzja, jak się tymczasem okazało, gdyż w Neustrelitz żyło się pod każdym względem lepiej, poczynając od znalezienia siły roboczej, aż do zdobywania żywności. Nie zamieszkaný dom został później zarekwirowany i zamieniony w lazaret...

Zajęli miejsca w dorożce i Kamila najchętniej spuściłaby firanki, aby zaoszczędzić sobie oglądania dalszych deprymujących widoków.

Jej ojciec nawiązał tymczasem z radcą prawnym rozmowę, dotyczącą nowych pożyczek wojennych.

– Pan, jako adwokat mojej córki, powinien jej jak najusilniej doradzić, aby nie podpisywała dalszych pożyczek.

– Już ostatecznie nie podpisaliśmy.

– Wobec tego powinniście poprzednie odsprzedać. Pozbyć się wszystkich, jakie macie. Ponieważ odrzucono naszą propozycję pokojową, można sobie na pięciu palcach wyliczyć, co to znaczy, jeśli Ameryka istotnie przystąpi do wojny! Jedynie wartości rzeczywiste mogą przetrwać. Jakżeż dobrze, że wówczas kupiliście ten dom.

Kautsky skorzystał ze sposobności, aby przerwać potok słów Hofmanna. Spojrzał na Kamilę, która siedziała naprzeciwko niego.

– Chciałem pani jeszcze powiedzieć, że mamy kłopoty z domem.

– Jak to, czy nie zgodzono się na podwyższenie czynszu?

– Nie, nie o to chodzi. Przełknięto naszą propozycję bez trudności, bo ostatecznie wszystkie ceny zwyczajają. Chodzi o kanalizację. Dawna nie wystarcza już dla zakwaterowanych w nim stu pacjentów. Zaczęto więc na własną rękę zakładać nowe rury, a ogrodnik Willeke zaprotestował i nie daje mi spokoju w moim biurze. Twierdzi, że cały ogród od tego zmarnieje. Nie miałem dotąd czasu tam pojechać, aby to sobie obejrzeć. Pod pewnymi względami jego narzekanie wydaje mi się usprawiedliwione i wiem, że gleba tam jest ciężka i nie przepuszcza wody...

– Ja się tym zajmę.

– Przykro mi, że mam zawsze tylko nieprzyjemne wiadomości.

– I bez tego chciałam tam pojechać.

– Naprawdę, bo mógłbym posłać rzeczoznawcę...

– Najpierw chcę to sama zobaczyć. A co z rozprawą? Dlaczego w ogóle wyznaczono nowy termin?

– Wydaje mi się, że sprawa stoi kiepsko. Lepiej, aby pani się co do tego orientowała.

Zawiadomienie pochodziło sprzed czterech tygodni i zostało wysłane na podstawie anonimowej denuncjacji: firma zaopatrzyła hotel Bristol w mydło i środki do prania, które podlegały ogólnej reglamentacji, a ponadto odznaczały się lepszą jakością, jaką wolno było wyrabiać tylko dla wojska. Chęć zysku nie była tu decydująca, lecz dawne stosunki, gdyż Bristol był jednym z pierwszych wielkich hoteli berlińskich należących do stałych odbiorców firmy. Oczywiście Kamila miała z tego pewne korzyści: w każdej chwili dawano jej pokój do dyspozycji, a kiedy zapraszała do Bristolu gości na przyjęcie, ukazywały się na stole produkty, które poza tym znano już tylko z nazwy.

– Odnoszę wrażenie, że chcą ukarać nas dla przykładu – zabrał znowu głos mecenas Kautsky. – Nastroje wśród ludności są złe i dlatego sądzi się, iż drastyczny wyrok na chwilę uspokoi wzburzone umysły. Radzę pani usilnie jakoś się ugodzić.

– Jak to jest możliwe, jeśli mają ukarać nas dla przykładu?

– Uгода jest zawsze możliwa.

– A jak by to wyglądało?

Mecenas Kautsky nie był pewien, jak Kamila ustosunkuje się do jego propozycji. Dawniej miał do czynienia wyłącznie z Karolem Sengerem. Kamilę poznał dopiero na początku wojny, kiedy było już wiadomo, że jej mąż nie ma żadnej nadziei na wy reklamowanie z wojska, i ona musiała prowadzić sama przez okres trwania wojny interesy firmy. Jeszcze żywo stała mu w pamięci pierwsza z nią rozmowa. Kobiety jako klientki to przeważnie, zgodnie z jego doświadczeniem, nie kończące się kłopoty, i z takim mniej więcej uprzedzeniem ustosunkował się do niej. Ale już powierzchowność Kamili go zaskoczyła, a jeszcze bardziej jej jasny umysł

i zdolność do korzystania z jego pomocy z niezmałonym spokojem. W swojej praktyce adwokackiej miał już kilka analogicznych wypadków, ale żadna z tych kobiet nie radziła sobie tak dobrze w nowej sytuacji jak Kamila Senger. I nie tylko prowadziła ona dalej interesy, ale rozszerzyła nawet zakres działania przedsiębiorstwa o dostawy dla wojska i produkcję środków zastępczych dla wewnętrznego rynku. Było to oczywiście możliwe tylko dzięki ciągłym transakcjom, balansując często na krawędzi legalności, przede wszystkim, jeśli chodziło o zakup surowców. Poruszała się ze zdumiewającą pomysłowością poprzez dżunglę rozporządzeń i paragrafów i nieraz już Kautsky zauważył, jak nawet najprzykrzejsze typy w urzędach zmieniały się nagle w całkiem układnych ludzi, kiedy siedziały naprzeciwko tej kobiety. Tym razem jednak rzecz przedstawiała się inaczej.

– To drażliwa sprawa. Liczyłem się z jakąś karą pieniężną i w takim razie poradziłbym: niech pani płaci bez wahania. Ale zaostrowano odpowiednią ustawę. Za tego rodzaju czarny rynek grozi teraz więzienie i jak już mówiłem, wygląda na to, że mają zamiar przekazać sprawę do sądu.

– Słuchaj, o czym wy właściwie mówicie? – wmieszał się do rozmowy Hofmann.

Kamila położyła rękę na ramieniu ojca i był to niemal gest, jakim uspokaja się naprzykrzające się dziecko.

– Więc co pan proponuje?

– Miałem sposobność rozmówienia się z przewodniczącym, poufnie. Zauważyłem u niego... pewną skłonność do umorzenia sprawy. Z jednej strony odgrywają tu rolę osobiste stosunki z właścicielem Bristolu, a z

drugiej – no tak, ma on nadzieję na odpowiednie wynagrodzenie ze strony pani.

Kamila podchwyciła badawcze spojrzenie adwokata i odpowiedziała na nie nieoczekiwanym uśmiechem. – A więc chodzi po prostu o łapówkę.

– Nie chciałbym użyć tego określenia. I jeśli pani przypuszcza, że chodzi mu o pieniądze, pani go nie docenia. On ma brata i chciałby, żeby pani mu zaproponowała w waszej fabryce dobrze płatną posadę z umową na dziesięć lat. Zresztą to chemik i pod każdym względem wykwalifikowany.

Schyliła głowę tak, że brzeg sobolowej czapki przysłonił jej oczy. – I pan mi radzi, żebym się na to zgodziła?

– Uważam ten sposób zlikwidowania sprawy w każdym razie za godny zastanowienia... oczywiście w danych okolicznościach.

– A jak brzmi jego nazwisko?

– Blessing. Moglibyśmy razem zjeść obiad.

Kamila nie odpowiedziała od razu. Spojrzała przez okno, ażeby się zorientować, gdzie się znajdują, ujrzała na prawo wynurzający się pałac Monbijou i wytłumaczyła mecenasowi, gdzie dorożkarz ma skręcić. Potem powiedziała:

– Myślę, że wezmę ryzyko na siebie i sama pójdę na rozprawę. Gdyby zażądał pieniędzy, tobym się na to zgodziła. Ale kogoś wpuszczać do firmy pod przymusem, kogoś obcego – przenigdy.

Mecenas znał ją na tyle, żeby wiedzieć, iż każda próba, aby zmienić jeszcze swoją decyzję, była bezskuteczna. – A czy się tam spotkamy?

– Niech pan pozwoli mi pójść samej... w danych okolicznościach. Ale może pan na mnie poczeka po rozprawie.

– Uśmiechnęła się. – Gdybyśmy jednak musieli zdecydować się na apelację.

– Naprzeciwko jest kawiarnia „Otero”, tam będę czekać na panią.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Kautsky zapytał: – Jak długo ma pani zamiar zostać w Berlinie?

– Przez jakieś kilka dni. To zależy od przebiegu operacji ojca. Teraz w następną przecznicę w lewo i jesteśmy na miejscu. Nie znam numeru domu, ale nie można kliniki przeoczyć.

Hofmann, który tylko z trudem zmusił się, aby tak długo nie być ośrodkiem zainteresowania, pochylił się do przodu.

– Mam nadzieję, że ten profesor Klier jest rzeczywiście równie dobry, jak jest słone honorarium, którego żąda. Czy pan go zna?

Mecenas Kautsky był ostrożny w udzielaniu tego rodzaju informacji.

– Mógłbym panu powiedzieć, kto w Berlinie jest dobrym adwokatem, lecz jeśli chodzi o lekarzy...

– Niech pan się wystrzega lekarzy, oni są jeszcze gorsi od adwokatów. Sami wyzyskiwacze. Dokonują operacji, aż im skalpel wypadnie z ręki. Ile lat, mówiłaś, liczy sobie ten profesor Klier, Kamilo?

– To tu, już jesteśmy nawet minęli...

Kiedy dorożka stanęła, Kamila chciała pierwsza wysiąść, lecz adwokat był szybszy, poprosił, by poczekała, otworzył parasol, bo śnieg znów zaczął padać, i podał jej rękę, aby pomóc przy wysiadaniu.

Podziękowała mu niemal zmieszana, gdyż odzwyczaiała się już od takich uprzejmości.

Klinika znajdowała się w głębi ogrodu, w willi w gotyckim stylu, z secesyjną przybudówką. Kamila zadzwoniła przy żelaznej bramie,

a Kaustky poszedł do dorożki po walizkę jej ojca.

– Czy mam bagaż pani wziąć z sobą do hotelu? Pani zatrzyma się naturalnie w Bristolu? I tak przejeżdżam tamtędy.

– Byłoby to bardzo ładnie z pana strony. A teraz niech pan nie traci czasu. Już ktoś idzie.

Zjawił się służący z wielkim czarnym parasolem i Hofmann uczynił ostatnią próbę. – Czy nie moglibyśmy odroczyć tego przynajmniej o jeden dzień? Na jeden dzień pobytu w hotelu mogłabyś mi przecież pozwolić!

Służący sięgnął po walizkę, wziął Hofmanna pod parasol i poszedł z nim przodem.

Wejście znajdowało się w starym budynku i w holu, do którego teraz weszli, pachniało raczej jak w kościele niż jak w szpitalu. Przez kolorowe szyby okienne sączyło się przyćmione światło, a w ściennej niszy stała figura Matki Boskiej, przed którą paliła się wieczna lampka.

– Czy jesteś pewna, że trafiliśmy właściwie? – Hofmann, który mógł ledwie rozpoznawać szczegóły, wciągnął głośno przez nos powietrze. – Powiedz mi, czy to nie kadzidło?

Ukazała się kobieta w habicie zakonnym, twarz jej była jasna i blada, jakby wycięta z okalającego ją ciemnego, ciasno przylegającego czepka. Przywitała Kamilę skinieniem głowy i zwróciła się potem do Hofmanna:

– A więc to jest nasz pacjent. Podobno ma pan pewne zastrzeżenia w stosunku do szpitali, jak słyszałam od pańskiej córki.

– Nigdy w życiu nie byłem w szpitalu – rzekł Hofmann zaczepnie.

– Wcale tu nie wygląda na szpital, prawda? Zaraz zaprowadzą pana do pańskiego pokoju, jestem pewna, że stosunki między nami ułożą się jak najlepiej.



– Czy i ja mogłabym zobaczyć ten pokój? – zapytała Kamila.

– Oczywiście. Załatwimy tylko przedtem formalności.

– Przywołała jakąś inną siostrę, która wzięła Hofmanna pod rękę i wyprowadziła z holu.

– Jest zawsze lepiej z początku zostawiać ich samych – dodała pierwsza siostra, kiedy winda zamknęła się za obojgiem. – Rozumiem teraz, co pani miała na myśli mówiąc, że ojciec pani ma trudne usposobienie. Ale niech pani się nie martwi. Siostra Regina umie postępować ze starszymi panami.

– Tu wskazała na drzwi i tak jak w czasie pierwszej wizyty, uderzyła Kamilę skromność pokoju, zwykle biurko, telefon na nim i metalowe szafy przy ścianie.

– Proszę usiąść.

– Czy mogę zaliczkę wpłacić czekiem?

– Ależ naturalnie.

– Czy pięćset marek wystarczy?

– Na koszty utrzymania w każdym razie. Może pani wpłacić również zaliczkę na koszty operacji. Profesor Klier wcale się nie obrazi.

Kamila wypisała czek, potem drugi. Dopiero kiedy podała oba przez stół, z szerokich rękawów habitu wynurzyły się ręce siostry, wąskie, wypielęgnowane, z bardzo krótko obciętych paznokciami.

– Napiszę pani pokwitowanie – powiedziała, sięgnęła po jedną z kolorowych obsadek, zanurzyła pióro w kałamarzu i wysuszyła w końcu suszką to, co napisała.

– A więc tak. Dane personalne spisaliśmy już poprzednim razem. Czy jeszcze może coś dodać, myślę jakieś szczególne właściwości pani ojca, które powinniśmy znać. Jakieś szczególne życzenia...

– Już siostra przecież słyszała, że nigdy nie przebywał w szpitalu. Nie będzie wam z nim łatwo.

– Jak sypia? Czy zażywa środki nasenne?

– Nigdy niczego nie zażywa.

– A co z jedzeniem, czy trzeba zachowywać jakąś specjalną dietę?

– Siostra musi być przygotowana na to, że zawsze będzie sobie życzył tylko tego, czego na pewno nie macie.

– Rozumiem. No, będziemy się starać.

– Czy już zapadła decyzja, kiedy ma być operowany?

Siostra rzuciła okiem na tabelę z wieloma wetkniętymi karteczkami, która wisiała obok jej biurka. – Jutro rano, jako pierwszy. Ma przyjść zaraz o siódmej.

– A druga operacja?

– To zależy od przebiegu procesu gojenia się przy pierwszym oku. Jeśli wszystko pójdzie normalnie, po czterech, pięciu dniach. Jeśli nastąpi krwawienie wtórne po operacji, wszystko się nieco opóźni. Ale niech się pani nie martwi. Jest pod opieką profesora Kliera, a więc w najlepszych rękach. Odwiedzin, jeśli wolno mi to teraz od razu powiedzieć, W pierwszych dniach jak najmniej.

Kamila pomyślała o matce, o Alicji i o Lu i uznała, że przestrogi pod tym względem są zbyteczne. Prawdopodobnie nie wybiorą się tu ani razu. Jak zawsze wszystko będzie ciążyć tylko na niej, i przez moment niemal zapragnęła sama położyć się w którymś ze szpitalnych pokoi. Dać się pielęgnować i obsługiwać, po prostu gdzieś zniknąć, stać się nieosiągalną i przez całą wieczność spać...

– Nie, żadnych innych odwiedzających nie będzie.

– Czy pani jest jedyną córką?

Kamila skinęła głową. Po co miała dawać długie wyjaśnienia.

– Czy pani mąż jest na wojnie?

– Tak. – I spotkała się ze wzrokiem siostry, w którym coś dało jej odwagę postawić pytanie, które już od dawna ją nurtowało. Kiedy próbowała mówić o tym z doktorem Oesterreicherem, już po pierwszej aluzji otrzymała niedwuznaczną odmowę.

– Jakim człowiekiem jest profesor Klier?

– Co pani ma na myśli?

– Chodzi mi o mojego najstarszego syna, wkrótce będzie miał szesnaście lat i w tym roku zdaje egzamin upoważniający go do jednorocznej służby wojskowej. Otrzymał już wezwanie do stawienia się do wojska, a ja... – tu zająknęła się, obawiając się użyć nieodpowiednich słów i przez to wszystko z góry zepsuć. – Pójdę teraz do ojca.

– Czy pani syn skarży się na oczy? – Widocznie siostra bardzo dobrze ją zrozumiała i próbowała ułatwić jej drogę do porozumienia.

Wystarczyło, by odpowiedziała „tak”, ale nie mogła się przemóc.

Dlaczego trzeba było kłamać, kiedy chodziło o coś tak naturalnego jak pragnienie, aby szesnastoletni chłopiec nie musiał zostać żołnierzem...

– Jaki numer pokoju, mówiła siostra, ma mój ojciec?

Siostra wstała zza biurka. – Nie mogę powiedzieć, jak by profesor zareagował – odpowiedziała. – Właściwie powinien mieć zrozumienie dla takich spraw. Stracił dwóch synów na wojnie. Może pani spróbować, ale nie mogę nic z góry obiecać, naprawdę. Ta wojna... Czasami myślę, że na froncie nie jest tak źle jak tu. Tam wie się, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, ale tu tego się już nie wie... Pani ojciec leży na pierwszym

piętrze w pokoju numer 34, od strony ogrodu.

Kiedy Kamila szła cichymi korytarzami, czuła znów nieprzepartą chęć snu.

Nie napotkała nikogo. W jednym z kaloryferów coś stuknęło, a za oknami padał gęsty śnieg.

Gdy weszła do pokoju ojca, ujrzała najpierw nie wypakowaną walizkę. Ojciec stał w wykuszu, wciąż jeszcze w palcie. Odwrócił się natychmiast i przymrużył oczy, aby rozpoznać, kto wszedł.

– Jeszcze nie zdjąłeś palta?

– Ja nie chcę tu zostać. To ma być pokój pierwszej klasy? Czy zauważyłaś, że kuchenna winda znajduje się wprost naprzeciwko mych drzwi? I ten impertynencki ton siostry, kiedy pozwoliłem sobie na zrobienie uwagi, że pokój jest przegrzany.

– To zdejm palto.

– Widzisz, Kamilo, czy jesteś pewna, że ta operacja jest niezbędna, to znaczy, że operacja jest istotnie wskazana?

– Masz kataraktę. W jaki sposób chcesz ją inaczej usunąć? Już i tak zbyt długo z tym zwlekałeś.

– Słyszałem o jakimś człowieku w górach Harzu, który w leczeniu również bez operacji ma podobno wyniki graniczące z cudem. Uważam, że próba by nie zaszkodziła.

– Już to sto razy przedyskutowaliśmy.

– I ta tapeta w tym pokoju! Oszaleję na myśl, że będę musiał przez cały tydzień się w nią wpatrywać.

W rzeczywistości pokój nie był w ogóle wytapetowany, lecz pomalowany na jasnozielony kolor. Kamila omal nie straciła cierpliwości,

ale milczała i zaczęła rozpakowywać walizkę ojca, który się temu nie sprzeciwiał, a nawet w końcu pozwolił, żeby mu pomogła zdjąć palto.

– Muszę cię teraz zostawić samego – powiedziała potem Kamila. – Dziś wieczór jeszcze raz tu zajdę. Czy życzyłybyś sobie kogoś zobaczyć?

– Nie mogłabyś się postarać, aby ktoś przyszedł mnie ogolić?

– To na pewno załatwią tu w szpitalu. Miałam na myśli kogoś z rodziny, Lu albo Alicję?

– Co to, to nie.

– Obie mają telefon, możesz o każdej porze do nich zadzwonić.

– Ja cię nie rozumiem, one wszystkie przychodzą tylko wtedy, kiedy od ciebie czegoś potrzebują. Twoja matka, Lu, Alicja i Maxi, czy one kiedykolwiek coś dla ciebie zrobiły? Nic, absolutnie nic.

– Ty tego nie rozumiesz.

– Ale ja to widzę! Nawet Maxi, o której zawsze myślałem, że nie jest tak zła jak tamte. Co ona robi, od kiedy mieszka w Neustrelitz? Tylko cię wykorzystuje!

– Straciła męża i dom na skutek wojny i została z dziećmi bez dachu nad głową. A ja miałam dosyć miejsca w moim mieszkaniu. Ostatecznie to moja siostra.

Jeszcze w sierpniu 1914 roku musiała Maxi z rodziną uchodzić ze swojego majątku Pilkallen we wschodnich Prusach przed zbliżającą się armią rosyjską, i w tym samym miesiącu jej mąż Otto von Donath poległ pod Olsztynem. Rok później, w kwietniu 1915, Lu straciła swojego męża w drugiej bitwie pod Ypres.

– Czy to wystarczający powód, że zachowuje się teraz jak u siebie, nic nie robi i każe się obsługiwać, wypróżnia twoje szafy z sukniami

i wszędzie lamentuje, że za mało dbasz o jej dzieci. Nawet dom w Warnemünde zagarnęła, jak gdyby do niej należał. Ja widzę tylko, jak one wszystkie ciebie wykorzystują. Daj mi spokój z rodziną.

– Rodzina musi być zwała, a w czasach takich jak obecne ten powinien pomagać, kto pomagać może, a tą osobą jestem właśnie ja. Jeśli nawet w rodzinie zaczniemy się rozliczać i rozważać każde słowo... Nie! Ja jestem człowiekiem rodzinnym. Bardzo mnie boleśnie dotknęło, gdy wówczas wszystko się rozleciało. Bo kogo poza tym ma się na świecie, prócz tych kilku osób, które do nas należą. Powinieneś się cieszyć, że taka jestem. Ostatecznie i twoje wygodne życie mnie zawdzięczasz.

Jest mi przykro, że musiałam ci to raz wreszcie powiedzieć. Więc jeszcze mi tego nie utrudniaj, proszę. Hofmann opuścił głowę.

– Zostań w Berlinie – rzekł – i spędź tu kilka miłych dni, kup sobie coś szykownego, idź do teatru albo na jakiś koncert i zapomnij wreszcie o wszystkim...

Kamila podeszła do okna i patrzyła na ogród z jego starymi drzewami, które w gęstej zamieci śnieżnej majaczyły jak cienie. Narzekania i egoizm ojca łatwiej jej było znieść, niż kiedy jej przypomniiał o tym wszystkim, czego się wyrzekła. Nie myślała o sukniach i o wieczorach w teatrze, ale o rezygnacji z całego swego życia, a to zaczęło się nie dopiero od wojny, ale wiele lat przedtem... Były to myśli, na które sobie prawie nigdy nie pozwalała lub odrzucała je wręcz od siebie. Mimo to one istniały tak samo, jak cały tuzin nowych waliz na strychu w Neustrelitz, które zakupili wówczas na wielką podróż i które nigdy nie były używane.

Odwróciła się. Ojciec nie mógłby zobaczyć, gdyby miała łzy w oczach, ale więź między nimi była tak silna, że odczuł, jak smutno jej było na

duszy.

– Czy trapisz się z powodu sprawy w urzędzie? Czy naprawdę musisz to sama wywalczyć? Od czego masz adwokata?

Jego starania, żeby wejść w jej położenie i choćby na moment nie myśleć tylko o sobie, były wręcz wzruszające. – Wszystko się dobrze ułoży.

– I ty na pewno tu jeszcze przyjdiesz?

– Na pewno.

Odprowadził ją do drzwi. – Może jednak porozmawiasz jeszcze z profesorem. Moim zdaniem tym lekarzom konieczna jest świadomość, że się im patrzy na palce.

– Spróbuję.

– W końcu facet wcale sam nie przeprowadza operacji, inkasuje tylko pieniądze i spycha wszystko na asystenta.

Kamila spojrzała na ojca: Nie, on nigdy się nie zmieni, zawsze pozostanie taki sam. Ale w tym momencie było to niemal pociechą w tym świecie, w którym wszystko stało na głowie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Czy pan sobie jeszcze czegoś życzy? – Kelner uprzątnął wszystko z marmurowego stolika i zabrał gazety.

– Czegokolwiek, może kawy. – Mecenasa Kautsky siedział pod oknem. Odsunął do połowy zaciągnięte firanki i wyjrzał na plac przed ministerstwem finansów i akademią śpiewu.

– Kawy bym panu nie radził. Może herbatę? Jest wprawdzie tylko niemiecka...

– Proszę przynieść cokolwiek i chciałbym zaraz zapłacić.

Kawiarnia „Otero” była o tej godzinie niemal pusta, dopiero trochę później, po zamknięciu biur, przyjdzie tu kilku urzędników, aby przeczytać wieczorne dzienniki. Nędzna choinka stała w kącie kawiarni. Śnieg już nie padał i Kautsky obserwował szeroki portal akademii śpiewu, w której mieścił się teraz urząd zaopatrzenia wojennego. Nie zdjął palta, gdyż kawiarnia była ledwie ogrzana, a poza tym chciał być w pogotowiu. Toteż wstał teraz natychmiast, kiedy ujrzał, że pani w długim futrze i futrzanej czapce wychodzi z budynku naprzeciwko. Stado gołębi przefrunęło przez plac i usiadło na płaskorzeźbie na frontonie. Już zapadł zmierzch.

Mecenas Kautsky pośpieszył przez plac na jej spotkanie, zawahał się jednak potem, czy postawić jej wręcz pytanie. Posiedzenie trwało niemal dwie godziny i nie umiał sobie powiedzieć, czy to dobry, czy zły znak. Wskazał jej na kawiarnię „Otero”.

– Nie dostanie pani tam nic z wyjątkiem niemieckiej herbaty, która nie ma nic wspólnego z prawdziwą herbatą i nawet nie jest gorąca. Czy mam panią odwieźć do hotelu?



Kamila była mu wdzięczna, że nie zadawał żadnych pytań, ale on naturalnie oczekiwał od niej sprawozdania. – Chętnie przesłabym się trochę.

– Nie chcę być niedyskretny, ale jak to się odbyło?

– Dobrze.

Poszli w kierunku Kupfergrabenu i przed nimi wynurzyła się odnoga rzeki.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że odniosła sukces?

– Tak... postępowanie jest umorzone.

– Czy to możliwe?

– Pan przeoczył coś, co mi na szczęście przyszło na myśl. Istnieje ustawa wyjątkowa, według której mydło kategorii A może być nadal dostarczane frontowym oficerom.

– Ale przecież pani dostarczała hotelowi Bristol.

– Który w dziewięćdziesięciu procentach bywa zajęty przez oficerów. Hotel przekazywał to mydło wyłącznie do ich użytku, przynajmniej nie ma dowodów, że było inaczej. Muszę powiedzieć, że ławnicy stanęli od początku po mojej stronie. Tym razem okazał się pan zbyt pesymistą.

– Szczerze mówiąc, uważałem za rzecz graniczącą z niemożliwością wykaraskanie się z tej opresji.

Kamila powinna była poczuć ulgę, zadowolona z tego, co osiągnęła, ale czuła się tylko do cna wyczerpana. Ciągle jeszcze widziała przed sobą salę posiedzeń, nie służącą już swemu właściwemu celowi, ćwiczeniu śpiewu: przykryty fortepian w rogu i zasłony z szarego filcu, sięgające aż do połowy okien, aby ochronić od zimna; nisko wiszące lampy nad stołem, przy którym siedzieli członkowie komisji; szklanki z wodą, po które od

czasu do czasu sięgała jakaś ręka. Nie mogła sobie przypomnieć żadnej twarzy, pamiętała tylko głosy, a przede wszystkim urywany sposób mówienia Blessinga, coraz bardziej zniecierpliwionego i zirytowanego w ciągu rozprawy.

– Winszuję pani.

I poczuła jego rękę na swoim ramieniu nie jako gest nagłej poufałości, lecz jako wyraz męskiego, koleżeńskiego uznania. Ale to jej nie pochlebiło, a nawet ją zabolalo. W tym momencie potrzebna jej była świadomość, że po prostu należy się jej podziw jako kobiecie, a nie dlatego, że udało się jej coś zrobić czy czegoś dokonać.

Mecenas Kautsky, który wciąż jeszcze nie był w stanie pojąć pozytywnego wyniku rozprawy, rzekł: – Żaden mężczyzna nie potrafiłby tego lepiej załatwić.

Nic bardziej nieodpowiedniego nie mógłby jej powiedzieć, ale może właśnie to jej pomogło. Roześmiała się: – Mój ojciec mówi zawsze wtedy, że strach pomyśleć, co by to było, gdybym jeszcze ukończyła studia prawnicze! W każdym razie bardzo dziękuję, że pan na mnie tu czekał.

– Pani naprawdę chce iść piechotą?

– Tak, to mi dobrze zrobi. – Iść bez celu, nie pytając o godzinę, było wszystkim, czego w tym momencie pragnęła.

I kiedy Kautsky się z nią pożegnał, poszła wzdłuż Kupfergrabenu, mijając arsenał. Woda zamarzła podczas silnych nocnych przymrozków w ostatnich dniach i Kamila przypatrywała się dzieciom, które wymiótłszy śnieg urządziły tor, aby móc po nim jeździć na łyżwach. Ale jej myśli nie mogły się oddalić od sprawy, którą poruszył mecenas Kautsky.

Wziąć swoje życie we własne ręce było po bankructwie ojca i rozbiciu

rodziny jej naczelnym celem. I to się jej udało; nauczyła się przeprowadzać swoje zamierzenia i zyskiwać uznanie, ale musiała przy tym rozwinąć w sobie zdolności, które ją zupełnie zmieniły, tak że niekiedy odczuwała lęk przed sobą samą. Kiedy myślała o matce i siostrach, wiedziała, że to ona obrała właściwą drogę. W takich godzinach jednak jak ta, cena, którą za to zapłaciła, wydawała się jej za wysoka, i stawiała sama sobie pytanie, czy kiedyś znów potrafi być taka, jaką była przedtem.

Spotkała kilku spacerujących przechodniów, a jakiś pan przyjrzał jej się dokładnie, przystanął o kilka kroków dalej i obejrzał się za nią. O niczym nie myśleć! Na tę jedną godzinę oderwać się od wszystkiego, nawet od pragnień.

Pragnienia – również to słowo oznaczało dziś coś całkiem innego niż dawniej. Jedyne pragnienia, które jeszcze miała, ograniczały się do tego, żeby następny dzień nie przyniósł nic złego. Było już prawie ciemno, kiedy doszła do placu przed arsenałem, skąd roztaczał się widok na ulicę Unter den Linden. Tylko co trzecia latarnia się paliła i wiele sklepów, które dawniej o tak wczesnej wieczornej godzinie miały największy obrót, było już pozamykanych. Witryny słabo oświetlone, z nędzną dekoracją, świadczyły o niedostatku, który był wszechobecny. Męski krawiec, znany ze swoich angielskich materiałów, wystawił kurtkę mundurową, w witrynie sklepu z porcelaną ustawiono szereg fajansowych wazonów i talerzy do powieszenia na ścianie z napisem: „Niech Bóg ukarze Anglię”. Zegarmistrz, którego jej ojciec od wielu lat był stałym klientem, miał w oknie jedynie niebieską aksamitną poduszkę z orderami. Usłyszała bicie kościelnego zegara, cztery razy bez troski i sześć razy poważnie. Mógł to

być tylko kościół Świętej Jadwigi. Do Bristolu było już niedaleko. Od dwunastu godzin pozostawała bez przerwy na nogach i myśl, że wreszcie się rozbierze i weźmie kąpiel, była bardzo kusząca, ale wobec godziny, potrzebnej na odwiedzenie matki, teraz nie było już o tym mowy. Ojciec miał chyba rację, kiedy matkę i siostry nazywał egoistkami, lecz Kamila widziała tylko, że stosunki z nimi dzięki wojnie stały się znów bliższe i mimo wielu zastrzeżeń, których już chyba nigdy nie da się usunąć, bardziej serdeczne. Przede wszystkim z matką spotykały się niemal za każdym razem, kiedy miała coś do załatwienia w Berlinie. Załatwiały wspólnie sprawunki, umawiały się na posiłki, a kiedy czasu było za mało, przynajmniej telefonowały do siebie. Do domu przy kościele Świętej Jadwigi, w którym matka mieszkała, chodziła jednak dość rzadko.

Był to jeden z owych typowych miejskich domów arystokracji, które otaczały dwór jak satelici, w tym wypadku pałac cesarzowej Fryderykowej oraz następcy tronu, przy placu Opery. Tylko niewiele okien było oświetlonych tego wieczoru, również strome schody, prowadzące na wysoki parter, były pogrążone w półmroku nisko przykręconych gazowych lamp. Z marmurowych stopni znikły czerwone chodniki, a ze ściennych nisz zabrano wielkie chińskie wazony.

Kamila zadzwoniła na pierwszym piętrze do drzwi z matowymi szybami, na których wyryte były girlandy kwiatów. Minęło wiele czasu, zanim coś wewnątrz mieszkania się poruszyło, i potem otworzyła drzwi nie pokojówka, jak dawniej, ale pani von Schack we własnej osobie. Wyglądała na tak zaskoczoną wizytą Kamili, że nie wiedziała, co powiedzieć na powitanie, i nawet nie poprosiła Kamili do wewnątrz.

– Czy mojej matki nie ma?

– Ależ tak – powiedziała pani von Schack. – Oczywiście jest w domu, tylko że... Ach, proszę przecież wejść. – Przyjaciółka matki była drobną, pełną gracji osobką, z włosami przyprószonymi siwizną. Stały w przedpokoju z olbrzymim lustrem i wieszakami, na których wisiało wiele płaszczy.

– Ma pani gości? – zapytała Kamila. – Czy nie przeszkadzam?

– Tylko kilka pań z Czerwonego Krzyża. – Pani von Schack miała klarowny, dobitny sposób mówienia nauczycielki oraz czujne spojrzenie, któremu nic nie mogło ujść. Przyjrzała się dokładnie Kamili i pociągnęła ją do żardynierki z kwiatami, na której stały tylko wyschnięty asparagus i nędzny fiolek alpejski. – Skoro pani już tu jest, chciałabym zamienić z panią kilka słów o jej matce.

– Ależ tak, naturalnie, o co chodzi? – Kamila miała swoje domniemania, gdyż z wypowiedzianych przy okazji uwag matki zorientowała się, że ta wspólnota mieszkaniowa obu pań odbywała się kosztem bardziej bezinteresownej pani von Schack, ale to, co teraz usłyszała, zaskoczyło ją jednak.

– Chodzi o to pośrednictwo matrymonialne.

– O co?

– Och, może pani będzie mogła przemówić jej do sumienia. Wie pani, na dworze cesarskim jest się bardzo liberalnym, ale istnieją pewne granice i zarobkowe pośrednictwo matrymonialne należy do zawodów, jakich się nie toleruje. Gdyby się to rozniosło, musiałabym natychmiast odejść, po czterdziestu latach służby przy dworze prosić o zwolnienie i odejście. Ciągle ją błagam, aby dała temu spokój, ale ona to jeszcze rozszerza, ma zamiar ogłaszać się w gazetach pod tym adresem. I tak panuje tu już gwar

jak w gołębniku, nieustannie ktoś przychodzi i ktoś wychodzi. Teraz znowu jest jakiś pan u niej. Może pani będzie mogła z nią pomówić. Proszę wejść, może pani się rozbierze?

Kamila zawiesiła swój płaszcz obok innych, nie zdjęła jednak futrzanej czapki. Pani von Schack poszła przodem do salonu. Na dwudziestoczworamiennym żyrandolu paliło się tylko kilka żarówek, a pod nim siedziało półkolem osiem dam i przy nikłym świetle skubały szarpie. Uniosły tylko na chwilę głowy i wróciły potem znów do swojej roboty. Na ich kolanach leżały płócienne i bawełniane materiały, a wyskubane nitki, gotowe do dalszego przerobienia na opatrunki, leżały w małych białych stosikach przed nimi na podłodze.

Pani von Schack wskazała na rozsuwane drzwi. – Nie wiem, czy pani zechce zaraz pójść do niej? W pewnych okolicznościach taka wizyta trwa długo. – Damy znów podniosły głowy monotonnym, niemal jakby wyuczonym ruchem, a pani von Schack spojrzała na Kamilę tak błagalnie, że nie pozostawało jej nic innego, jak tylko skinąć głową.

Pokój za rozsuwanymi drzwiami był większy od salonu i rzęsiście oświetlony. Emmi Hofmann królowała w całej swej tuszy za rokokowym biurkiem ze złożonymi okuciami, a naprzeciwko niej siedział jakiś pan, był w płaszczu i trzymał kapelusz i laskę na zsuniętych kolanach.

Widocznie i bez tego miał zamiar odejść, gdyż wstał teraz i pożegnał się z Emmi Hofmann. Po drodze do drugich drzwi, prowadzących do sieni, przystanął, aby przyjrzeć się z zainteresowaniem Kamili, chciał też wypowiedzieć jakąś uwagę, ale Emmi Hofmann nie dała mu dojść do słowa. Zaśmiała się śmiechem, który wstrząsnął całym jej ciężkim ciałem, i powiedziała: – O nie, nie, mój kochany panie Carów, ta pani jest już

zajęta! Pozostajemy więc grzecznie przy naszej umowie. Cóż by pan począł w pańskim wieku z tak młodą osobą! – Odczekała, aż drzwi zamknęły się za nim, i powiedziała wówczas znów całkiem poważnie, a nawet z obrzydzeniem:

– Oni im stają się starsi, tym są bardziej obrzydliwi.

Emmi Hofmann odchyliła się na oparcie swego fotela, ale jej ciało i w tej pozycji pozostało nieforemną masą, której żaden gorset nie zdołałby już nadać kształtu. Była zawsze otyła, ale w ciągu trzech lat wojennych zatraciła, nie można tego inaczej określić, wszelką formę. Kamili wydawało się nawet, że ambicją matki było przybierać na wadze, podczas gdy inni ludzie przeważnie chudli. Kiedy jadły coś razem w Bristolu, napychała się na wszelki wypadek, jakby przez następny tydzień nie miała już dostać ani kęska: nie zadowalała się jedną zakąską, ale żądała dwóch i po menu, składającym się z kilku dań i z obfitego deseru, prosiła od razu o likier i kawałek tortu. Jej rozmowy kręciły się z zamięłowaniem dookoła jedzenia, a po listach, które regularnie przychodziły do Neustrelitz, można było sądzić, że już od wielu lat nigdy nie była syta. Jeśli chodzi o jej stroje, to były co najmniej niedbałe, choć nadal nie nosiła innych materiałów jak czysty jedwab, motywując to tym, że od wełny i bawełny dostaje wysypki. Twarzy i fryzurze jednak poświęcała jak najwięcej starań, była ciągle jeszcze piękną kobietą, zwracającą na siebie uwagę swoją gładką różową cerą i farbowanymi na jasnoblond włosami, które kazała sobie dwa razy na tydzień na nowo ondulować. Na biurku przed nią leżał plik banknotów, widocznie honorarium, jakie uścił odwiedzający ją pan. Emmi Hofmann przyciągnęła szybko do siebie banknoty, gdy zauważyła spojrzenie Kamili, i schowała pieniądze w szufladzie. Potem otworzyła boczną skrytkę,

wyjęła kieliszek i butelkę z gdańską wódką i wypila.

– Powiedz mi, dlaczego to robisz? – zapytała Kamila, podchodząc bliżej, i dostrzegła teraz również zdjęcia, które leżały na biurku, fotografie kandydatek do małżeństwa.

– Czy ja robię coś złego?

– Pośredniczenie matrymonialne! Nie możesz tego robić na serio.

– Wpadasz tu i stawiasz mi zarzuty, do czego to podobne? Najpierw powiedz mi dobry wieczór. Od kiedy jesteś w Berlinie?

– Pani von Schack bardzo się trapi. Powiedziała mi...

– Tak, ta kochana Schack bardzo się trapi. Ale swoje damy częstować moją kawą to potrafi. Skubać szarpie! Wydaje się im, że to strasznie patriotyczne, ale te szarpie są niehigieniczne w najwyższym stopniu.

– Ona się boi, że może stracić swoje stanowisko przy dworze. Naprawdę, po co zajmujesz się tym pośrednictwem? Nie ma przecie konieczności. Masz dosyć pieniędzy, a jeśli czegoś potrzebowałaś, to zawsze miałaś mnie.

Tak, dosyć pieniędzy! Tylko ty możesz coś podobnego powiedzieć! Sama masz wszystko. Wy w Neustrelitz toniecie w dostatku, ale my tu w Berlinie! Bo czy masz pojęcie, jak wszystko drożeje z dnia na dzień! Chcesz mi robić wyrzuty, że muszę zarabiać pieniądze? Muszę zarabiać na moje stare lata, ponieważ dostałam takiego nicponia za męża i mam córki, które tylko o sobie myślą. Czy wiesz, ile dzisiaj kosztuje funt kawy?

Lamenty, zarzuty i wymagania – czy Kamila mogła oczekiwać tu czego innego? – Chciałam tylko zajrzeć, ponieważ byłam stąd niedaleko. Musiałam zawieźć ojca do kliniki.

Tu nastąpiła przerwa. Zdawało się, że matka zmaga się z sobą, czy



zareagować na uwagę Kamili, czy nie. – Do kliniki, mówisz? A więc to musi być coś poważnego?

– Leży w klinice Wallbauma u profesora Kliera. Jego wzrok stale się pogarszał, to katarakta. Profesor Klier ma go operować.

– Ach, tak. Tylko to... – Wydawała się rozczarowana. To była jej idee fixe, i może nawet miał z tym pewien związek jej nadmierny apetyt: chciała koniecznie przeżyć swojego męża. – No, potem będzie musiał nosić okulary, i to przy jego próżności.

– Czy nie masz nic więcej do powiedzenia?

– A czego po mnie oczekujesz? Po tym wszystkim, co on mi wyrządził. Przebaczyć i zapomnieć... – Tu potrząsnęła głową. – Ja tego nie potrafię. I nawet nie otrzymał dotąd za to żadnej kary. Pędzi sobie wygodne życie. Niczego mu nie brakuje. Ty przywozisz go do kliniki... A kiedy ja cię prosiłam jesienią, abys zawiozła mnie do uzdrowiska Neuenahr, to tylko się wykręcałaś.

– Ponieważ chciałaś koniecznie jechać samochodem i z szoferem.

– No i co? Czy wy nie macie samochodu? Czy nie macie własnego kierowcy?

– Ale nie do takich wyjazdów. Ja sama jeżdżę pociągiem do Berlina.

– Bo kto ma dziś jeszcze benzynę, tylko wy, przemysłowcy. Wam wszystko dostarczają. Czy ty właściwie dostałaś mój list? Czekam już od dwóch tygodni...

– Bardzo mi przykro, ale kakao i czekolada są od grudnia rekwirowane. Wobec tego jestem bezsilna.

Emmi Hofmann wyciągnęła pudełko pralinek, wzięła dwie i odstawiła pudełko. – To mój ostatni zapas. – Żuła z rozkoszą, podniosła ręce, aby

poprawić grzebienie podtrzymujące jej fryzurę, i wstała. Podeszła do jednego z wysokich okien wychodzących na plac Opery. – Co to był dawniej za miesiąc – powiedziała z głębokim westchnieniem – ten styczeń! Jak myślisz, czy On przyjedzie do Berlina przynajmniej na swoje urodziny?

– O czym ty mówisz?

– O czym ja mówię! Mój Boże, w jakich czasach żyjemy! Za trzy dni będzie dzień 27 stycznia. Jego urodziny. Urodziny naszego cesarza. Ale wy o tym już nie wiecie. Co za upadek!

– Stała tam poważna, niemal uroczysta, jak gdyby na dole przed oknem odbywała się wielka urodzinowa defilada, od Bramy Brandenburskiej, wzdłuż Unter den Linden, aż do zamku. Rozluźniła sznury podtrzymujące jedwabne firanki podbite podszewką i zasłoniła okno. – Były czasy, kiedy płacono mi sto marek za miejsce przy oknie.

Kamila nie mogła się powstrzymać od powiedzenia:

– A teraz bierzesz po pięćset od tych twoich panów.

– Nie wyobrażaj sobie, że to takie proste. Zwykle nic nie płacą. Tylko damy uiszczają zapłatę. Nie zapominaj, że jest teraz o wiele więcej kobiet niż mężczyzn, i ta nadwyżka powiększa się co dzień o te wszystkie wdowy... Co właściwie dzieje się z Maxi? Również i z tego powodu do ciebie pisałam. Czy już z nią rozmawiałaś?

– Znasz przecież jej zdanie w tej sprawie i w tym się nic nie zmieniło. Ona nie chce powtórnie wyjść za mąż. Nie chce, dopóki trwa wojna.

– Dla kandydata, jakiego dla niej miałam, wojna nie może już być niebezpieczna. Najwyżej jeszcze się trochę wzbogaci.

– Czy wszyscy muszą koniecznie żenić się za twoim pośrednictwem?

Czy nie możesz sobie wyobrazić, że taka kobieta jak Maxi oczekuje jeszcze czegoś więcej od życia niż tylko zabezpieczenia?

Więcej od życia! Za każdym razem, kiedy o tym słyszę... Czego więcej może ona jeszcze chcieć, jak nie męża z pieniędzmi. Fabrykant butów z ogromnymi zamówieniami wojskowymi. Może trochę prymitywny i nie arystokrata, ale przy takim mnóstwie pieniędzy, co to może znaczyć? I wkrótce będzie miał 63 lata, ona go śpiewająco przeżyje.

Kamila mogła matce wszystko przebaczyć, nieuzasadnione lamentey i niesprawiedliwe zarzuty, ale nie mogła znieść, gdy stawiała się cyniczna. W takich momentach nie istniało nic wspólnego między nimi, i matka nie była już dla niej niczym więcej, jak tylko otyłą miękką masą z twardym sercem.

– Już chyba lepiej pójdę. – Wstała. – Nie wiem, jak długo jeszcze zostanę w Berlinie. Zatelefonuję do ciebie. – Jej wzrok padł na rodzinne fotografie, które stały na fortepianie. Na nich byli zgromadzeni wszyscy: córki, zięciowie i wnuki, tylko zdjęcia ojca brakowało.

– Czy zobaczysz się z Lu?

– Być może. Ale już mówiłam, że nie wiem, jak długo jeszcze tu będę. – Łaknęła samotności. Zamknąć za sobą drzwi swojego pokoju w hotelu, przekręcić klucz, nikogo nie widzieć i z nikim nie rozmawiać. Zawiadomi recepcję, aby nie łączono do jej pokoju żadnych telefonów.

– I Lu również mnie martwi! Całe noce hula i całe dni potem przesypia, a co tydzień jakiś inny amant. Marnotrawi najlepsze lata swego życia na przypadkowe znajomości. Obecnie to jakiś oficer lotnictwa i wyobraź sobie...

– Błagam, oszczędź mi tego...

– Ty miałaś w życiu szczęście! – To było zdanie, które wciąż powracało. Zależnie od nastroju matki wyrażało ono podziw albo zawiść, lub tak jak teraz, wrogie oskarżenie. Ale potem znowu się zreflektowała. – Poczekaj jeszcze chwileczkę! Zaproponowałabym ci dobry interes. I niczego za to nie żądam. Tylko dla twojego dobra. Mam kogoś pod ręką, kto płaci za obrazy w holenderskich guldenach. Opowiadałam mu o kilku obrazach z domu w Steglitz. I tak masz je przecie gdzieś zamagazynowane. A guldeny! Czy cię to interesuje? Mogłabym pośredniczyć. Naprawdę nic nie chciałabym na tym zarobić, chyba że coś mi z tego dasz dobrowolnie.

– Przy twoim wielkim kręgu znajomych na pewno się znajdą tacy, którzy chętnie sprzedają obrazy. – Kamila musiała się przewyciężyć, aby pozostać rzeczową.

– Guldeny – zaczęła matka ponownie – w takich czasach. Chciałabym ci odstąpić tę transakcję. – Mówiąc to wróciła do biurka i znowu naląła sobie kieliszek gdańskiej wódki.

– Zastanów się jeszcze raz nad tym – przerwała jej Kamila – czy nie możesz dać sobie spokoju z tym pośrednictwem matrymonialnym. Dla pani von Schack byłoby katastrofą, gdyby musiała odejść. Również dla ciebie znaczyło to kiedyś bardzo wiele, że ona jest przy dworze. Jeśli ci chodzi tylko o pieniądze, to chętnie mogę ci coś dodać.

Emmi Hofmann odstawiła kieliszek i opadła na fotel. Znowu trzęsło się całe jej ciało, kiedy się śmiała: – Och, nie wierz, że robię to tylko dla pieniędzy! – Tu naląła sobie znowu kieliszek. – To mnie bawi! Wszyscy ci ochoczy panowie, którzy nie mogą się doczekać, aby dorwać się do jakiejś niewiasty! A co za życzenia oni mają i co za iluzje, choć wszyscy są już

w takim wieku, że właściwie musieliby wiedzieć z własnego doświadczenia... te stare osły... Ja im to wszystko przedstawiam w najwyższej tonacji, a przy tym sobie wyobrażam, co ich czeka w rzeczywistości. Pieniądze to fraszka! Na moim mężu nie mogłam się nigdy zemścić za to, co mi wyrządził. Jemu zawsze wszystko wychodziło na dobre. Ale tym panom mogę się za wszystko zrewanżować...

Opuściwszy pokój, Kamila słyszała jeszcze śmiech matki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wiedział, że są goście, dla których nocny portier zajmuje dość poślednie miejsce w hierarchii personelu hotelowego. Ale jemu to nic nie szkodziło. Makowsky lubił nocną służbę i w ciągu tych dwudziestu lat, w których pełnił już w Bristolu funkcję nocnego portiera – został zaangażowany na to stanowisko w 1897 roku – ta posada nie straciła dla niego nic ze swojego uroku, tylko że teraz, mając sześćdziesiąt lat, był już na tyle roztropny, aby na wszystko uśmiechać się pod wąsem.

Niewątpliwie, będąc dziennym portierem inkasowało się wyższe napiwki, ale za to był mu zaoszczędzony rwetes przy przyjazdach i wyjazdach gości. Kiedy obejmował swoją nocną służbę, goście mieli inne kłopoty niż zamienione walizki, zgubione bilety kolejowe i reklamacje z powodu zbyt wysokich należności za rozmowy telefoniczne; wtedy był już spokój.

Wszystkie pokoje w hotelu były zajęte i wieczorem panowała atmosfera, którą on szczególnie lubił. Wojna pod tym względem nic nie zmieniła, chyba to, że teraz wszystko było jeszcze bardziej interesujące niż przedtem.

Powodem tego byli oficerowie, z których składała się przeważająca część gości. Pozostawali oni rzadko kiedy dłużej niż dwadzieścia cztery lub czterdzieści osiem godzin, i w tym krótkim czasie chcieli możliwie jak najwięcej użyć. Wszyscy oni mogli liczyć na Makowskiego. Miał zawsze w zapasie kilka biletów do teatrów, rewii i kabaretów i oczywiście dysponował również pewnymi adresami. Jeszcze za czasów pokoju jego notes zawierał sporo odnośnych nazwisk, ale od wybuchu wojny powstała

z tego formalna lista.

Nie znaczyło to, żeby wszystko rozgrywało się jedynie poza hotelem, mógł też ze swojej portierni niejedno widzieć. Około dziewiątej, dziesiątej wieczór, kiedy panowie oficerowie świeżo wykapani opuszczali swoje pokoje nie windą, ale wielkimi paradnymi schodami, bo stamtąd mogli się od razu rozejrzeć – cały hol był już przepelniony czekającymi damami. Powtarzało się to co wieczór, jak gdyby wylęgały się z poczwarek motyle.

Nie wszystkie te damy miałyby przedtem wstęp do Bristolu, a niektóre z nich wykorzystywały jeszcze teraz boczne wejście. Ale nawet tak doświadczonemu człowiekowi jak Makowsky nie zawsze było łatwo wyznaczyć wyraźną granicę między nimi. Zbyt wiele prawdziwych dam znajdowało się wśród nich, należących do wyższych sfer, jak choćby owdowiała baronowa von Reden, którą Makowsky właśnie teraz dostrzegł, gdy wchodziła przez obrotowe drzwi punktualnie co do minuty, jak zawsze, gdy była dziesiąta, tak że można było według niej nastawiać zegarek. Rzadko kiedy zostawała dłużej niż godzinę, przychodziła zawsze sama i wychodziła przeważnie w towarzystwie panów, ale nigdy nie zachodziła do jakiegoś pokoju, gdyż przy całej swej lekkomyślności i radości życia była kobietą, która wiedziała, co winna jest swemu nazwisku i rodzinie. Makowsky znalazł wszystkich od wielu lat, jej ojca i pozostałe siostry oraz ich mężów.

Podchodziła prosto do jego portierni, nie robiąc sobie nic z ciekawości, jaką wzbudzała.

– Dobry wieczór, pani baronowo.

– Dobry wieczór, mój kochany Makowsky. A tytuł baronowa możemy sobie darować!

– Dziś pani wygląda znów olśniewająco, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Był to wystudiowany dialog, który mimo to nie miał w sobie żadnego fałszu. Znali się od tak dawna i wiedzieli tak wiele nawzajem o sobie, niemal jak ojciec i córka.

– Umalowałam się na podbój. Czasami pytam siebie samą właściwie po co? Najgorsza jest sprawa jedzenia. Wydaje mi się, że tyję już na sam widok kawałka tortu. Widocznie musiałam to odziedziczyć po matce. Aby nie przekroczyć moich pięćdziesięciu kilo, muszę nieustannie z sobą walczyć. Jeśli ważę o cztery funty więcej, nie mogę już na siebie patrzeć. Gdyby można przynajmniej bezkarnie pić. Ale wystarczy kieliszek pomarańczowego likieru i już nie można myśleć o kolacji.

Boy pomógł jej zdjąć płaszcz i oparła się o balustradę portierni z torebką obok siebie. – Co z gorączką pańskiej żony?

– Spadła. Nie będzie już chyba zapalenia płuc. Jeszcze raz dziękuję serdecznie za ten płaszcz. Ale nie powinna pani tego więcej robić. Pani wszystko rozdaje. Zresztą mam tu coś dla pani. – Sięgnął pod ladę i położył przed nią kopertę z nadrukiem hotelowym. – Trzysta, mam nadzieję, że pani nie jest zawiedziona.

– Uważam, że trzysta to bardzo dobra cena.

– Ujdzie. Ta papierośnica była tylko z pozłacanego srebra, a zresztą to tak już jest, wyryte napisy obniżają po prostu wartość.

Makowsky przejął od Lu wyprzedaż upominków, jakie otrzymywała od znajomych panów, jako pamiątki przy pożegnaniu: przede wszystkim papierośnice, ale niekiedy również jakiś pierścionek, bransoletkę czy broszkę. Lu wstydziła się te rzeczy sama sprzedawać i dlatego powierzyła to Makowskiemu. Nie chodziło jej nawet tak bardzo o pieniądze, chociaż



zawsze ich potrzebowała jako dodatku do swej skromnej renty i malejącego majątku. Po prostu nie chciała mieć stale przy sobie tych gratów, które nieustannie jej przypominały, że nie sprawiało jej zbytnej trudności zdobyć jakiegoś mężczyznę i szybko wzbudzić w nim namiętne uczucie, ale żadnego z nich nie potrafiła na stałe zatrzymać.

– Czy pani nie chce przeliczyć?

Ale Lu wzięła już kopertę i wsunęła ją do torebki.

– Czy jest coś ciekawego?

Makowsky zrozumiał natychmiast pytanie, które należało do wypowiedzanego każdego wieczoru rytuału. – Kilku oficerów lotnictwa – poinformował ją – którzy dziś rano przybyli. Cały dzień spędzili w Johannisthal, aby wypróbować nowe typy samolotów. Teraz są w wielkiej sali na pierwszym piętrze, sami, bez dam. Zamówili pokoje tylko na dwie noce.

– A więc to co zwykle. – Lu spojrzała na wejście do baru, czasami, kiedy odsuwano aksamitną kotarę, słysząc było dźwięki orkiestry. Te trzysta marek wystarczały akurat na dwie butelki szampana.

– Kilku Turków w cywilu, prawdopodobnie handlarze broni, i jeden Amerykanin. Przyjechał wczoraj późną nocą z Hamburga. No i siostra pani, ale pani na pewno już o tym wie...

– Kamila? Od kiedy ona tu jest?

– Przyjechała dziś rano. Jest już w swoim pokoju od godziny. I nie chce, by ją niepokojono.

Lu uśmiechnęła się. – A więc naprawdę to co zwykle. Nikt by nie uwierzył, że jesteśmy siostrami, nieprawdaż?

– Tego bym nie powiedział.

– Czy pan może sobie wystawić, że ona siądzie sobie w jakimś barze?  
Albo że sprzedaje jakieś kosztowności?

– To jeszcze nic nie mówi. Być może, ona by się chętnie z panią zamieniła.

– Mój kochany Makowsky, Kamila przenigdy. A zresztą i ja nie chciałabym być na jej miejscu.

– A może jednak.

Lu potrząsnęła głową. – Ta rozmowa robi się dla mnie zbyt poważna – powiedziała – a o tej porze nie chcę prowadzić żadnych poważnych rozmów. Proszę pozdrowić swoją żonę. Niech uważa na siebie i nie wstaje zbyt wcześnie, aby nie było recydywy.

I poszła przez hol w kierunku baru, a dwaj boye zjawili się nagle obok niej i rozsunęli przed nią aksamitną kotarę. Był to moment, który specjalnie lubiła, kiedy tak wkraczała do baru w asyście dwóch boyów i przystawała przy wejściu, nagle otulona półmrokiem, dymem, ciepłem i muzyką, obejmując wzrokiem całą salę. Działo się to co wieczór, a jednak wciąż na nowo budziło w niej wspaniałe podniecenie: spojrzenia, które się ku niej zwracały, goście, którzy ją poznawali, oraz szef orkiestry, który podnosił rękę, aby ją powitać, a czasami, kiedy właśnie odegrano do końca jakąś melodię, zaczynał inną, określoną, przeznaczoną specjalnie dla niej. Wtedy zapominała o długim bezużytecznym dniu, który minął, o pustym mieszkaniu, obecnie dla niej za obszernym, zbyt cichym i zbyt uporządkowanym od czasu śmierci jej męża. Boye wciąż jej jeszcze towarzyszyli, gdy szła teraz dalej, torowali drogę do baru i wycofywali się dopiero, kiedy siadała w rogu, w jedynym miejscu, które nie było jeszcze zajęte. Barman przerywał rozmowę z jakimś gościem, podchodził do niej,

zdejmował ze stołu kartkę z napisem „zarezerwowany” i stawiał przed nią kieliszek do szampana i czarkę, w której leżały trzy papierosy.

– Dobry wieczór pani baronowej. – I jego też nie można było odzwyczaić od tego tytułowania. Nalał na próbę łyk do kieliszka i odczekał, aż ona spróbuje. – Czy dosyć chłodne? – I dopiero kiedy przytaknęła, napełnił kieliszek. Potem wyjął zapalniczkę z kieszonki w kamizelce i podał jej ogień.

I on miał przeznaczone dla niej informacje, które szeptał teraz przyciszonym głosem: – Jeśli pani pomówi z Albertem, to dowie się pani, że dziś dostarczono nam kawior. A tam, mniej więcej w samym środku baru, to ten Amerykanin. W białej marynarce, siedzi tyłem do pani.

– Jest sam?

– Od godziny już tak siedzi, nie tańczy i pije swoją własną whisky, bo naszej przypuszczalnie nie ufa. – Potem przysunął do niej bliżej popielniczkę i zapytał: – Czy naprawdę jest dość chłodny ten szampan?

Bar był jak zawsze przepelniony i kelner musiał się znów zająć innymi gośćmi. Ale Lu mogła być pewna, że nadal będzie o niej pamiętał. Naturalnie miało to coś wspólnego z jej arystokratycznym nazwiskiem oraz napiwkami, jakie rozdawała, że wszyscy jej tak starannie usługiwali, ale decydowało właściwie coś jeszcze innego: po prostu przepadano za nią, dlatego że zawsze stawało się głośno i wesoło, kiedy się zjawiała.

Siedziała tam z głową opartą o boazerię ściany, piła od czasu do czasu małymi łykami szampana, pozwalała swym oczom wodzić po sali i nuciła melodię graną przez orkiestrę. Włosy miała opuszczone nisko na czoło, z przedziałkiem pośrodku i tak mocno polakierowane, że lśniły jak jedwabna wstążka, która je podtrzymywała. Obserwowała Amerykanina,

jego plecy i ciemne włosy, które nosił dłuższe od wszystkich tu obecnych. Lu nie spieszyła się, żeby skierować w jakiś sposób jego uwagę na siebie. Właściwie nigdy tego nie czyniła. Po prostu oczekiwała biegu wydarzeń. To było przyjemniejsze od wszystkiego, co następowało później, ta godzina oczekiwania na to, co będzie później.

Tuż obok niej siedziało trzech młodych oficerów. Pili dużo i szybko i ciągnęli losy przy bufecie, kto postawi następną kolejkę. Nagle rozległ się w barze dzwonek telefonu. Barman zdjął słuchawkę, skinął głową i podszedł do owych trzech oficerów. Lu nie słyszała, co powiedział, ale kiedy oficerowie zaraz potem zapłacili i wyszli, Lu wiedziała, że prawdopodobnie już za godzinę będą siedzieli w zaciemnionym pociągu, mknącym w kierunku frontu.

Z powodu ich nagłego wyjścia nie zauważyła, że również Amerykanin wstał i właśnie miał zamiar opuścić bar. Pozbył się dwóch dziewczyn, które chciały się do niego przyczepić. Przeszedł obok niej i stanął jak wryty, wyciągnął ramiona przed siebie i zawołał: – Lu! Nie, coś takiego!

Przyjrzała się jego twarzy, wsłuchała się w jego głos, uśmiechnęła się automatycznie i mimo to nie było dla niej jasne, skąd go знаła. Ucałował ją w oba policzki i cofnął się, aby się jej dokładnie przyjrzeć.

– Nie mów, że mnie nie poznajesz. Ile lat od tego czasu minęło? Szesnaście?

Lu wciąż jeszcze nie wiedziała, kogo ma przed sobą. Szesnaście lat... To znaczy, że miała wtedy dwadzieścia, bo dziś ma trzydzieści sześć.

– Kiedy mnie wreszcie rozpoznasz?

Szesnaście lat... Miał twarz mocno opaloną i potem, kiedy kosmyk włosów opadł mu na czoło, zamajaczyły jej: wieczór sylwestrowy,

uroczyste przyjęcie, bal, pokój do prasowania... I wciąż jeszcze wątpiac, zapytała: – Keith, nieprawdaż?

– Potrzebowałaś do tego długiego namysłu.

– Bo też było to dawno temu.

Usiadł obok niej i powiódł ręką po sali. – Nie wiem, miałem zupełnie inne pojęcie o Niemczech. Nie mogłem sobie wyobrazić czegoś takiego jak tu. Przywiozłem z sobą własną whisky i wełniany koc, gdyż myślałem, że hotele są tu nie ogrzewane. Według tego, co piszą nasze gazety, całe Niemcy głodują i marzną.

– A to, co tu widzisz, to całkiem inny kraj.

– Już zdążyłem to zauważyć.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Od wczoraj wieczór.

– A więc ty jesteś owym Amerykaninem! – Uśmiech rozjaśnił jej całą twarz. – Niewielu Amerykanów tu widzujemy, teraz już nie. Co ty tu robisz? Poza szukaniem śladów starej młodości. Bo my przecież to stara miłość.

Wciąż jeszcze nie potrafiłaby powiedzieć, co się wtedy między nimi stało i do czego doszło. Przypominała sobie bardzo, bardzo młodego człowieka, w stosunku do którego uważała się za strasznie dorosłą, podczas gdy teraz miała wrażenie, że on z nich obojga jest starszy. Z zadumanym uśmiechem zanuciła znany refren: „To już tak dawno temu, ale zapomnieć nie można”, i kiedy zauważyła, że on nie rozumie, zapytała:

– Co ty tu naprawdę robisz?

– Coś całkiem nieciekawego. Skupuję patenty. Póki to jeszcze możliwe.

– Wy macie browary, prawda?

– Tak jest. Ale mówmy lepiej o czym innym. Czy jest tu jakieś miejsce trochę bardziej zaciszne?

Skinęła na barmana i po kilku wyszeptanych słowach powiedziała:

– Dostaniemy kącik, gdzie nam nikt nie będzie przeszkadzał. – Poszła przodem, unosząc jedną ręką długą suknię wieczorową. Ktoś w mundurze, mijając ją w tańcu, kiwnął do niej, a ona odpowiedziała lekkim podniesieniem ręki.

Była to półkolista nisza z czerwonym obiciem, oddalona od orkiestry i podestu do tańca, i tu też, skoro tylko usiedli, znikła natychmiast kartka z napisem „zarezerwowany”. Lu coś z kelnerem poszeptła i powiedziała potem, kiedy odszedł: – Wolno mi przecież cię zaprosić, czy to może niewłaściwe?

– To wbrew przyjętym zwyczajom.

Kelner przyniósł srebrny kubełek z lodem, z którego wystawała szyjka butelki z szampanem. Lu czuła się tu dobrze, bo wiedziała, że w czerwonym półmroku, panującym w tej niszy, wyglądała na młodszą. Podniosła kieliszek, położyła drugą rękę na ramieniu Keitha i wzniosła toast.

– Za twoje zdrowie, za ten przypadek i za wszystko, co z sobą przyniesie.

Keith odstawił kieliszek. – Czy bywasz tu często?

– Co wieczór.

– Sama?

– Tu nie pozostaje się długo samą.

– Rozumiem.

– Może rozumiesz, a może nie. To nieważne. Czy zatrzymasz się na

dłużej?

– Nie wiadomo, tak jak sytuacja przedstawia się w tej chwili. Jeżeli się da, pozostanę dłużej. Chętnie zobaczyłbym was wszystkich, całą twoją rodzinę. Jak się powodzi Kamili?

– Czy szampan jest dla ciebie dość chłodny?

– Próbowałem do niej zatelefonować, ale odpowiedziano mi, że jest w Berlinie.

– Telefonowałeś do niej?

– Miałem tylko jej numer telefonu.

– Mój numer telefonu jest w książce telefonicznej.

– Nie pomyślałem o tym, a co z twoim ojcem?

– Bez zmian. Mój ojciec zawsze umiał ułożyć sobie życie.

– Ile ma teraz lat?

– Czekał... niedługo będzie miał siedemdziesiąt dwa.

– A twoja matka? Przedtem, kiedy ciocia Lenka jeszcze żyła, wiedziałem o was więcej. Jedyne ona pisała długie listy. Czy twoi rodzice wciąż jeszcze żyją w separacji?

– Co do tego nic się już nie zmieni.

– A ty straciłaś męża?

– Tak, ale nie przejmuj się tym. To było straszne, bo takie bezsensowne, ale nie dlatego, że ja go utraciłam. Może nie będziemy już o tym mówić. Lepiej opowiedz mi coś o sobie. Czy jesteś żonaty? – Nie nosił obrączki, ale to jeszcze nic nie znaczyło.

– Już nie jestem.

– Och, nic o tym nie wiedziałam. Czy wolno mi spytać o powód?

– Gdybym sam wiedział. Może właśnie nawet ty byłaś tym powodem.

Lenka kiedyś załączyła do listu twoje zdjęcie. Miałś na nim taką suknię jak teraz, z dosyć dużym dekoltem. Moja żona strasznie się na to oburzyła i zrobiła mi scenę zazdrości. Robiła mi nieustannie sceny. W końcu mieliśmy już tylko jeden temat, o którym mogliśmy rozsądnie z sobą rozmawiać: browar. Moja żona była bardzo zdolna do prowadzenia interesów.

– To zupełnie jak Kamila. – Miała ochotę ugryźć się w język, że zaczęła znów mówić o Kamili, i szybko wstała. – Zatańczysz ze mną?

Tańczył dobrze. Głową sięgała mu do ramienia, a jej palce bawiły się włosami na jego karku. – Miałam przez cały dzień miłe przeczucie – szepnęła. On nic nie odpowiedział, ale poczuła, że przyciska ją mocniej do siebie.

– To właściwie istny cud! – powiedziała. – Jak się można tu dostać w trakcie wojny?

– Statkiem.

– I również nim wrócisz?

– Naturalnie.

– Czy to wielki statek?

– Dosyć duży.

Przymknęła oczy. Myśl, że jeszcze istnieją statki, i to luksusowe, które jasno oświetlone przemierzają ocean, fascynowała ją. Wyobrażała sobie, jak wygląda Nowy Jork i jak ten statek wpływa do portu. Potem myślała dalej o innych rzeczach, lecz nie o browarze, wystarczyło jej wyobrazić sobie to mnóstwo pieniędzy, które on na tym zarabia.

– Tańczysz bardzo dobrze.

– To pierwszy raz od wielu lat. Moja żona uważała te tańce za



skandaliczne.

– Pamiętam, powiedziałeś kiedyś, że dla ciebie może wchodzić w grę tylko żona z Niemiec.

– Czy ja to powiedziałem? Przypuszczalnie miałem rację. – I nieoczekiwanie zapytał: – Czy wiesz, gdzie Kamila zwykle mieszka, kiedy bywa w Berlinie?

– Czy ci nie powiedziano, kiedy telefonowałeś do Neustrelitz?

– Nie. Mieli polecenie tego nie wyjawiać.

– To typowe dla niej. Chodzi o to, aby nikt nie myślał, że sobie pozwala na taki luksus.

Na szczęście taniec się skończył, ale kiedy wrócili do swojego stolika, Keith ciągnął rozmowę dalej: – Czy poróżniłaś się z Kamila?

– Czyś ty słyszał, że można poróżnić się ze świętą? Kamila to nasza świętość rodzinna. Wiemy, że taka istnieje, ale ukazuje się tylko z rzadka. Rozdaje swoje dary wszystkim i znika potem w chmurze kadzidła.

– To nie świadczy o wielkiej miłości.

– Nigdy jej między nami nie było. Jesteśmy jak ogień i woda.

– Ty ogniem, a ona wodą?

Tak mniej więcej. Za każdym razem, kiedy ją spotykam, nie jestem przez dwa czy trzy dni sobą. Wydaje mi się nagle, że powinna bym robić coś pożytecznego. I ona nie potrzebuje wcale mi tego mówić. To po prostu od niej bije. Nie zna niczego poza pracą. Czy myślisz, że widziałam ją choć raz w tym barze w ostatnich latach, kiedy tu bywa...

To po prostu jakoś się wymknęło wbrew jej woli, a Keith zaraz zapytał: – Czy ona mieszka tu, w Bristolu?

– Tak.

– Mówisz, że tu, w tym hotelu? Czy wiesz, że jest w swoim pokoju? Moglibyśmy może razem...

– Możesz spróbować. Ona tu mieszka i wiem nawet, że jest teraz w swoim pokoju. Mówię ci przecież, że niekiedy spędza tu kilka dni, a ja nie widzę jej na oczy. Kiedy tylko chcemy się umówić, Kamila ma za każdym razem coś do załatwienia, zanotowane w jej terminarzu. Spotyka się ze swoim adwokatem, musi chodzić do urzędów, a zresztą, co ja o tym wiem. Kobieta z terminarzem! A co drugie jej słowo obraca się dookoła mydła!

– Trudno to sobie wyobrazić.

– To rozmarzone dziewczątko z tamtych czasów? Nie będziesz się mógł nadziwić. W głowie ma tylko swoje przedsiębiorstwo. Stuprocentowa materialistka – nic nie przesadzam.

– A ten człowiek, za którego wyszła za mąż...

– Och, to był szczęśliwy traf. Niepozorny facet. Kiedy wówczas się o tym dowiedziałam, było mi jej żal. Ale wszyscy pomyliliśmy się. Ojciec by powiedział, że tylko fuks daje wysoką wygraną. W każdym razie ona na niego postawiła...

Lu uznała, że teraz już dosyć rozmawiali o Kamili, i zaprosiła go znowu do tańca. Rychło zmiarkowała jednak, że myślami jest nie całkiem obecny. Od czasu do czasu odwracał głowę i spoglądał na wyjście z baru, jakby Kamila mogła się tam pojawić. Jakie to głupie, że to się jej wtedy wypsnęło z tym hotelem! Najlepiej będzie, jak zabierze stąd Keitha gdzieś, gdzie nie myślałby już o tym, że jest pod jednym dachem z Kamilą.

– Powoli zaczynam odczuwać głód – powiedziała Lu. – To zawsze moja pora. Znam tu w pobliżu pewną restaurację, co byś na to powiedział?

Niewielka przechadzka i dobre jedzenie. A potem... – Nie skończyła tego zdania. Istnieją mężczyźni, którzy nie lubią, kiedy robi się im zbyt bezpośrednie propozycje. Wolą, kiedy im samym przychodzi to na myśl, a kobieta się nawet trochę certuje. – Co zrobimy potem, zobaczymy później. W każdym razie takie ponowne spotkanie musi się jakoś uczcić.

Nie wrócili już wcale do swojego stolika, lecz opuścili natychmiast bar. Boy przyniósł jej płaszcz i podczas gdy czekała, aby Keith wrócił ze swojego pokoju, znowu zamajaczył w jej wyobraźni ten statek, ten wielki luksusowy parowiec, śnieżnobiały na tle granatowego morza. To mógłby być naprawdę szczęśliwy dzień, jeśli ona dobrze się do tego zabierze. A Keith przy tym wcale jeszcze nieźle wyglądał. Mężczyzna jak się patrzy, kiedy tak schodził po szerokich schodach, wysoki, ciemnowłosy, z ogorzałą, nieco melancholijną twarzą. Z całą satysfakcją stwierdziła, że wywiera on wrażenie również na innych kobietach. Ale konkurencja nigdy jej nie odstraszała.

Wręczył nocnemu portierowi swój klucz i o coś zapytał. Lu nie dosłyszała, co Makowsky odpowiedział, widziała tylko, że pokręcił głową. Keith kazał podać sobie arkusz papieru, coś na nim napisał i Makowsky schował złożony arkusz do jednej z przegródek, które miał za sobą.

Za oknami padał śnieg, poszczególne śnieżynki, które pionowo sfruwały na ziemię, były opromienione jasnym światłem, padającym od wejścia do hotelu. Lu wzięła Keitha pod ramię. Miał ręce w kieszeniach płaszcza, a kiedy Lu swoją dłoń również wsunęła do tej kieszeni, zawahał się przez chwilę, potem wzięła jej rękę w swoją, a w Lu zbudziło się powoli owo uczucie, które może nie było miłością, ale które Lu ceniła ponad wszystko: Keith nie miał już szansy przed nią umknąć.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Skoro tylko steglitzka wieża ciśnień na górze jodłowej się ukazywała, dzieci nie mogły już usiedzieć na swoich miejscach. Ciepło opatulone, z łyżwami przewieszonymi na rzemieniach przez ramię, pchały się do okien. Ich głosy wypełniały przedział, a ich krzyki i radość wzmogły się jeszcze, kiedy na stacji również z innych wagonów wybiegli hurmem na świeże powietrze chłopcy i dziewczęta.

Śnieg padał przez całą noc, ale teraz niebo było bezchmurne i słoneczne. W mieście ani śnieg, ani słońce nie mogły złagodzić widoku ponurych kolejek ludzi przed sklepami spożywczymi i ogrzаныmi pomieszczeniami, ale tu za miastem rozrzutna biel śniegu i błękitne niebo stwarzały iluzję pokojowego świata i Kamila była zadowolona ze swojej decyzji tak wczesnego wyjazdu z miasta.

Stacja była dokładnie taka sama, jak w jej wspomnieniach, nawet dawne plakaty były tu jeszcze: ten z Murzynem, ten z karawaną i ten z samolotem, który przewozi tylko szampan Burgeffa. Obok wyjścia dostrzegła nawet automat z horoskopem. Wprawdzie rdza uszkodziła pstre malowanie, ale automat wydawał się wciąż jeszcze czynny: wskazówkę można było bez trudu nastawić na listopad, jako że Kamila urodziła się pod znakiem Skorpiona. Aparat połknął wrzuconą monetę, ale potem nic się już nie działo. Nie oddał ani kartki z horoskopem, ani monety, i Kamila odczuła tę odmowę niemal jak ludzką reakcję, jak gdyby automat dał przez to do zrozumienia, że nie pochwała jej niestosownego sentymentalizmu.

Poszukała dawnej ścieżki, owego skrótu prowadzącego wzdłuż rzeczki wpadającej do Jeziora Teltowskiego, ale jej koryto musiało być

wyprostowane albo zasypane, w każdym razie nie mogła ścieżki odnaleźć i powróciła na ulicę. Kiedy w 1914 roku odkupiła dom od banku i po trzynastu latach znów powróciła do Steglitz, zastała wiele zmian i również teraz zobaczyła wiele rzeczy, które były dla niej całkiem nowe: domy, które w tym czasie zbudowano, place budowy, na których z powodu wojny musiano przerwać roboty, no i naturalnie ogrody, zamienione w zasadzone burakami i kartoflami uprawne pola. I wszędzie w domach, zniekształcając je, czarne rury od żelaznych piecyków, przeprowadzone tylko prowizorycznie przez okna, sterczały na zewnątrz.

Ujrawszy w oddali wynurzający się szczyt domu, przyspieszyła kroku, niecierpliwa, a zarazem drżąca z obawy, jakie zmiany tam jeszcze zastanie. Brama wjazdowa była otwarta i właśnie wytoczył się przez nią ambulans Czerwonego Krzyża.

Gdyby nie ten wóz, można by było mniemać, że dom jest nie zamieszkały. Okiennice były wprawdzie otwarte, ale brak firanek w oknach sprawiał wrażenie, jakby pokoje były puste. Przyjrzała się fasadzie domu: jej domu. W Neustrelitz myśl o tym domu zawsze dodawała jej nowych sił, lecz teraz czuła tylko, że należy on do niej, a jednak nie należy. Wojna wydała się jej nagle jak przybierający przypływ, od którego już długo ucieka i który mimo to niepowstrzymanie wznosi się coraz wyżej i wyżej, aż pewnego dnia ją zaleje.

Nagle jakiś szmer zmusił ją do nadstawienia uszu, jakiś szum i szcęk w powietrzu, a w ślad za nim tępy huk, jak kiedy śnieg zgarnięty z dachu uderza o ziemię.

Stosunkowo płaski dach już i dawniej zimą sprawiał często kłopoty; podczas mrozu trzeba było odbijać sople lodu od rynny, a po większej

śnieżycy odgarniać śnieg z dachu, aby uniknąć zbyt dużego obciążenia.

Na dachu, trochę poniżej komina, stał jakiś człowiek z szeroką szuflą w rękach, i kiedy teraz brnął po dachu przez śnieg, wydawało się Kamili, że słyszy, jak poszczególne płytki łupkowe pękają pod jego ciężkimi krokami.

I znowu spadła lawina śniegu, znowu na kilka sekund słup białego kurzu stanął w powietrzu i potem się rozpadł. Na odgarniętych ze śniegu miejscach ukazał się Czerwony Krzyż, który wymalowano na dachu. Czy będzie można później farbę po prostu usunąć, czy też trzeba będzie położyć nowe łupkowe płytki? Uśmiechnęła się sama do siebie i pomyślała: to rzeczywiście mój dom!

Trzy płaskie stopnie, prowadzące do głównego wejścia, były wymiecione i wysypane czerwonawą solą. W kamiennych płytach widniały głębokie szczeliny. Przy wejściowych drzwiach brakowało zarówno tabliczki z nazwiskiem, jak i dzwonka. Skórzane obicie przy drzwiach służyło do tego, aby drzwi stale były trochę nie domknięte.

Po pewnym wahaniu weszła do wnętrza, ale już po kilku krokach znów przystanąła, jakby zdziwiona zapachem, który wionął na jej spotkanie. Dawny, całkiem szczególny zapach tego domu pozostawał stale w jej pamięci, tak że nigdy by nie przyszło jej na myśl, że mogłoby się coś zmienić: zapach drewnianych boazerii pomieszany z zapachem kwiatów, które dwa razy na tydzień wnoszono do domu na wielkich drewnianych noszach i potem rozdzielano do wielu wazonów, porozstawianych w różnych pokojach. Ale teraz wypełniała dom jakaś przenikliwa woń, mieszanina zapachu potraw i lekarstw, tak że przez chwilę Kamila niemal się obawiała, że zrobi się jej niedobrze.

Musiała stwierdzić jeszcze wiele zmian i każda z nich dotykała ją tak boleśnie, jakby zadawano ból jej własnemu ciału: gwoździe wbite w boazerię holu, bo szatnia już nie wystarczała, poobijane odrzwia, zdemontowane mosiężne klamki przy drzwiach, zastąpione jakimiś żelaznymi rączkami, oraz wyłamane boczne szczeble z poręczy wielkich schodów, prowadzących z holu na piętro.

Otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi jadalni i jakaś siostra wyszła, popychając wózek z opatrunkami oraz instrumentami chirurgicznymi, i Kamila dostrzegła przez otwarte drzwi szereg żelaznych łóżek, jedno przy drugim, a na nich leżały płasko na wznak postacie przeważnie z grubo obandażowanymi głowami.

Siostra w półmroku holu chyba wcale jej nie zauważyła. Nie patrząc na prawo ani na lewo, pchała przed sobą wózek w kierunku innego pokoju – dawniej to był salon – i kiedy drzwi otwarła, ukazał się Kamili ten sam obraz co przedtem, tylko że tym razem wydawało się jej, że słyszy jęki i czuje, jak przez ostry szpitalny zapach, napełniający hol, przenika woń gnicia.

Kiedy siostra już znikła za drzwiami, zapadła cisza. Dom wydał się nagle jakby wymarły i Kamila miała uczucie, że widzi jakieś rzeczy, które wcale nie istnieją, uczucie tak mocne, że nie uwierzyła nawet w odgłosy, jakie teraz usłyszała. Były to uderzenia w poszczególne klawisze rozstrojonego fortepianu. Dochodziły z zimowego ogrodu i poszła w ich kierunku. Rośliny, które tam kiedyś stały, znikły bez śladu z wyjątkiem jednego wybujałego drzewa gumowego. Przed oknami stało rzędem kilka starych plecionych foteli, a na stole leżały gazety.

Mężczyzna przy fortepianie miał na sobie szlafrok z wyblakłej



niebieskiej flaneli i wygrywał lewą ręką przerywane akordy, tercety, kwartety i kwintety. Kamila czekała, kiedy użyje również prawej ręki, aż zauważyła, że prawy rękaw zwisał pusty.

Nagle przestał grać. Podniósł ramiona i wtedy odwrócił głowę. W pierwszej chwili twarz jego sprawiała wrażenie szarej i starej, ale potem, skoro się uśmiechnął, stała się całkiem młoda. Miał usta dziecka i przypuszczalnie nie był o wiele starszy od Maksa.

– Czy pani kogoś szuka? Kogoś, kto tu leży? To nie jest godzina odwiedzin. Oni są pod tym względem bardzo surowi.

– Słyszałam tylko, że pan gra – powiedziała Kamila.

– Niestety jest więcej utworów muzycznych na cztery ręce niż na jedną.

– Nie brzmiało to gorzko, ale raczej tak, jakby chciał dopomóc Kamili w jej zakłopotaniu.

– Szukam ogrodnika. Niech pan sobie nie przeszkadza. – Miała teraz tylko jedno pragnienie: wydostać się stąd, wyjść na świeże powietrze. Z trudem otworzyła zacinające się drzwi. Młody człowiek znów zaczął grać. Odetchnęła głęboko i spojrzała na park, na szeroką, pokrytą śniegiem płaszczyznę, która lśniła w słońcu, na drzewa i na błękitne niebo.

Nie dojrzała nikogo przy domu ogrodnika, ale z komina unosił się dym. Poszła w tym kierunku przekonana, że Willeke rychło się zjawi. Ciepłarnie były, jak się wydawało, czynne, gdyż szyby nie były zamrożone, lecz pokryte parą. Usłyszała śmiechy, przyciszony mężczyzny i dźwięczny kobiety, potem przez zamglone szyby ujrzała sylwetkę obejmującej się pary, która tam stała pomiędzy roślinami i całowała się.

Poszła dalej, minęła wal z wykopanej ziemi, który teraz był pokryty śniegiem, i podchodziła już do domu ogrodnika, gdy usłyszała głos

Willekego, donośny i groźny. – Ile razy mam to jeszcze powtarzać!  
Wyszukajcie sobie jakieś inne miejsce!

Kiedy Kamila się obejrzała, ujrzała jakiegoś mężczyznę i siostrę szpitalną, wychodzących ze szklarni, oraz Willekego idącego z tyłu za nimi. Wymachiwał pięściami w powietrzu i miotał przekleństwa, ale siostra tylko się śmiała i w biegu poprawiała czepek na włosach.

Willeke dbał zawsze o swoją powierzchowność tak samo jak o ścieżki w parku, ale kiedy teraz szedł ku niej, jego twarz pokrywał nie pielęgnowany zarost, rdzawy i przyprószone siwizną, a przy trzykwierciowym kubraku jedna kieszonka była oberwana. Nie miał kapelusza, tylko czarnozielony szal dwa razy owinięty dookoła szyi.

Szedł ku niej z oczami nieufnie przymrużonymi, aż nagle ją poznał i przystanął w pół kroku, wpatrując się w nią zmieszany. Nieśmiało wyciągnął rękę.

– Przepraszam panią za mój sposób wyrażania się, ale innego tonu oni w ogóle nie rozumieją. Jakby naumyślnie w mojej szklarni... Siostrzyczki za wiele sobie pozwalają. Gdybym szklarni co wieczór nie zamykał... Panienko Kamilo... Wolno mi przecież jeszcze tak mówić, trudno mi się przyzwyczaić mówić inaczej. Nikt mnie nie zawiadomił, że pani przyjedzie. Bo wtedy troszkę bym się przyzwoiciej ogarnął. – Spojrzał w kierunku domu i na jego twarz wrócił wrogi wzrok. – Czy pani była wewnątrz?

– Tak, ale...

– Och, ja wszystko notuję, może być pani całkiem spokojna. Melduję o wszystkim pani adwokatowi, o każdym mosiężnym okuciu, które demontują, o każdej umywalce, którą wyszarpują ze ściany. W niczym nie

mogę przeszkodzić wewnątrz domu, ale śledzę i wymagam, by mi wszystko ich intendent podpisywał w moim zeszycie, każdą rzecz z odpowiednią datą. On się już mnie boi. Będą musieli pewnego dnia wszystko pani zrekompensować.

Kamila myślała o zapachu panującym w domu, i czy uda się go znów stamtąd usunąć, i powiedziała: – Jak to dobrze, Willeke, że mam tu pana.

– Jest ich niekiedy ponad stu. Pakuje się ich tam, ile się tylko zmieści. A ponadto jeszcze personel. Niekiedy myślę, że byłoby jednak lepiej, gdyby pani wówczas tu się sprowadziła.

Zapadło milczenie, po czym Willeke ciągnął dalej: – Wiem tylko, że pragnąłbym jeszcze dożyć dnia, kiedy pani się tu znów wprowadzi. Robię, co mogę. Nie ruszam się już stąd ani na chwilę. Temu, co się w domu dzieje, niewiele mogę zapobiec, ale tu, na zewnątrz, trzymam ich w szachu, jeśli trzeba, nawet z pomocą strzelby. Chcieli przecież niedawno ścinać drzewo orzechowe, kiedy zabrakło im opału. Ten orzech, który pani ojciec zasadził. A jak żeśmy to wtedy czekali, kiedy po raz pierwszy obrodzi. Przez sześć lat ani jednego orzecha, a potem się zaczęło, pamięta pani, dwanaście orzechów w siódmym roku, czy nie tak było?

Jego cały wygląd jakby się zmieniał, kiedy mówił, trzymał się prościej, oczy mu błyszczały, a potem zatoczył szeroko ręką. – Parkowi nic się nie stanie, co do tego może pani na mnie polegać! A co za piękny dzień dzisiaj, co? Pani sobie wybrała naprawdę najpiękniejszy. No i pani dobrze wygląda. Trochę tylko bledziutka. Dawniej, pamiętam, jeszcze nawet i zimą miała pani opaloną cerę. Ale to jeszcze wróci, zobaczy pani, skoro tylko pani tu zamieszka. A co z mężem? Czy ma pani dobre wiadomości od niego? Nie zapomnę nigdy, jak przyszedł tu po raz pierwszy wraz

z pani ojcem i przechadzał się po parku. I jak się zachwycił! Zakochał się od razu w tym domu. Nie potrzebował mi tego oznajmiać, zaraz to po nim było widać. Przecież ma pani dobre wiadomości od niego?

– Tak. – Przed dziesięciu dniami przyszedł ostatni list. To długi okres, gdy się jest na wojnie, wiele mogło się stać przez ten czas... Obecność ogrodnika uspiła na krótką chwilę jej obawy, ale teraz znów powróciły i wraz z nimi obraz wzbierającego wciąż przyływu.

– Po to w ogóle żyję, dla tego dnia, którego chciałbym jeszcze dożyć, kiedy wszystko będzie tu znów jak dawniej.

– A co z kanalizacją? Mecenas Kautsky mówił mi, że są z nią jakieś kłopoty.

– Czy można się temu dziwić? Mieszka tu ponad stu ludzi i nagle winę ponosić mają zbyt wąskie rury i szambo. A ile było z tym zmartwienia! Woda stała już w piwnicy, ale gdzież się ma ona podziać przy tak nadmiernym zużyciu. Mamy tu pokład gliny, sięgający aż do dwu metrów głębokości, i naturalnie woda nie może wsiąknąć.

– A co należy zrobić?

Chcieli wydrenować cały park i wszystko rozkopać, co jednak na nic by się nie zdało. Uzgodniłem z nimi, że mogą założyć nowe rury aż do przylegającego kanału, i to powinno wystarczyć. Zrobimy to teraz, a na wiosnę będę mógł na nowo zasiać.

Powiedziawszy to odwrócił się do podjazdu jak ktoś, kto coś zwęszył. Wtedy i Kamila usłyszała warkot motoru.

– Przywożą koks – oznajmił Willeke. – Przepraszam panią, ale muszę być przy tym obecny. Gdybym chociaż raz nie pilnował, wyrzuciliby mi cały ładunek na klomby przy domu. Przecież pani tu jeszcze jakiś czas

pobędzie? Mam orzechy zebrane ostatnią jesienią. Musi pani trochę z sobą zabrać.

– Jeszcze przejdę się po parku.

– Niech pani to koniecznie zrobi. Część drózek udało mi się oczyścić. O widzi pani, tak jak powiedziałem, wóz z koksem jedzie prosto w kierunku klombów – i powiedziawszy to ogrodnik się oddalił.

Park był taki sam jak dawniej i dróżki były odgarnięte ze śniegu jak dawniej, z porządnie wyrównanymi brzegami. Słońce przygrzewało teraz mocniej niż rano i od czasu do czasu spadał śnieg z jakiejś gałęzi.

Kiedy Kamila przystawała i oglądała się na dom, przypominało się jej to, co tam dziś widziała, ale im dłużej szła, tym bardziej się to od niej oddalało, w otaczającej ją ciszy rozległego parku nawiedziło ją stopniowo inne uczucie: nadzieja, że ona przeżyje. Przeżyje tę wojnę. Powinna tylko w to wierzyć, jak wierzyła, że ten dom pewnego dnia będzie znów do niej należał. Stanowi jej własność i pewnego dnia w nim zamieszka...

– Kamilo! Kamilo!

Nie przystanęła, gdyż nie uznała tego głosu za rzeczywisty. Należał do jej marzeń o przyszłości. Ktoś ją wołał, ponieważ w szklarni zakwitł jakiś szczególny kwiat, ktoś, kto chce jej pokazać trop jakiejś zwierzyny.

– Kamilo... Kamilo...

Odwróciła głowę i była pewna, że oczy, oślepione taką ilością światła, splątały jej figla: mężczyzna brnął przez głęboki śnieg, początkowo tylko jakaś smukła sylwetka na białym tle. Potem dostrzegła buty z cholewkami, kurtkę barwy piasku i ciemne włosy. Słońce tak ją oślepiało, że nie mogła wciąż jeszcze rozpoznać twarzy, ale potem przypomniała się jej wiadomość na kartce, którą znalazła rano w swej przegródce na hotelowej

półce.

Teraz już ją dogonił i nie mogąc złapać tchu po przebrnięciu przez zaspy śniegu, stanął przed nią. Nie wyjmując rąk z kieszeni kurtki, powiedział wciąż jeszcze zadyszany:

– Co za piękny dzień!

Nie zmienił się prawie, tylko ze zmarszczek dookoła oczu i na czole można było odczytać czas, który minął od tamtych dni. W jakiś sposób żałowała, że z jej marzeń o tym, co będzie, sprowadził ją z powrotem do rzeczywistości.

– Dlaczego uciekasz przede mną?

– Czy ja uciekam?

– Nie otrzymałaś ode mnie wiadomości?

– Owszem, naturalnie, ale musiałam bardzo wcześnie wyjść. A skąd wiedziałaś, że właśnie tu będę?

– Kiedy mi powiedziano, że już wyszłaś, nie pozostawiając żadnej wiadomości, zapytałem portiera. Wyjaśnił mi, że na pewno udałaś się do kliniki.

– Musiałam tam być o siódmej rano.

– Tak, wiem o tym, bo i ja tam pojechałem, ale ciebie już nie było.

– Byłeś u mego ojca w klinice?

– Tak, i on mi powiedział, że miałaś zamiar tu przyjechać. – Mówiąc to, rozpiął kurtkę i rozejrzał się dookoła.

– Wszystko tu pozostało tak, jak było wówczas. Twój ojciec mi powiedział, żeście odkupili ten dom.

Kamila skinęła głową i ruszyła z powrotem do domu ogrodnika.

– Czy pamiętasz jeszcze ostatni dzień, który tu spędziłem? Życzyłem

sobie śniegu i rzeczywiście śnieg spadł tej ostatniej nocy.

– Od kiedy jesteś w Niemczech?

– Od przedwczoraj wieczór.

– Czy można tak po prostu przyjechać tu z Ameryki?

– Nie tak znów po prostu, ale mając dobre stosunki w ambasadzie, można.

– Czy długo tu zostaniesz?

– Jeśli mi obiecasz, że nie będziesz już ode mnie uciekała, zostanę. – Ale potem spowaźniał. – Nie mogę na razie tego powiedzieć. Nie jesteśmy jeszcze w stanie wojny, ale wygląda na to, że nie da się tego uniknąć. Miałem dziś rano rozmowę w naszej ambasadzie. Sytuacja nie jest dobra.

Jego słowa sprowadziły ją teraz z powrotem do rzeczywistości. Przenikliwy zapach medykamentów dolatujący z domu, młody człowiek z pustym prawie rękawem przy fortepianie w ogrodzie zimowym – wszystko to stanęło znów przed nią. Spojrzała na Keitha i tym razem dostrzegła w nim wielkie zmiany, był całkiem inny niż ten, którego miała w pamięci.

Doszli do domu ogrodnika. Był cały zarośnięty bluszczem. Przed domem, po stronie, gdzie wschodziło słońce, stała ławka. Kamila usiadła, aby czekać na Willekego, a Keith stał przed nią.

– Jakie mamy na dzisiaj plany? – zapytał.

– Co?

– Myślałem, że będziemy mogli dziś coś wspólnie przedsięwziąć, co by ci sprawiło radość. Jest przecie taka piękna pogoda!

– Nie mogę, bo muszę już dziś wieczór wracać. Muszę jeszcze raz być u ojca w klinice, no i mam kilka rozmów do przeprowadzenia. I tak już za

długo tu jestem.

– A więc Lu ma rację?

– Lu? Już ją widziałeś?

– Przebiegła mi przez drogę. Wczoraj wieczór w hotelu.

– I nie mieliście nic lepszego do roboty, jak o mnie rozmawiać.

– Tak jakoś się złożyło. Czy jesteś taka dzielna, jak ona mówi?

– A czy Lu naprawdę użyła tego słowa? Czy też powiedziała, że stałam się okropną materialistką, która nie ma nic innego w głowie poza swymi interesami?

– Tak mniej więcej to brzmiało.

– A więc byłeś przygotowany na to, co zastaniesz.

Nie zdążył jej odpowiedzieć, gdyż Willeke się zjawił. Najpierw był zaskoczony spotkaniem jeszcze innej osoby, ale potem, kiedy pamięć mu wróciła, nie posiadał się z radości. Jak źródło, które wytrysnęło, rozlał się cały potok wspomnień dotyczących Keitha. Różne historie i wydarzenia, o których nawet Kamila dawno zapomniała. Nie mógł z tym skończyć. Ciągle mu się jeszcze coś przypominało, aż w końcu Kamila już nie mogła wytrzymać i przynagliła do wyruszenia. Willeke odprowadził ich do bramy, wciąż jeszcze coś opowiadając, szczęśliwy, że może zapomnieć o terażniejszości, która go i tak aż nazbyt szybko znowu dogoni.

– Ten pośpiech, z jakim nagle chciałaś odejść, był niemal brutalny – powiedział Keith.

– Bo jaki to może mieć sens! Te wszystkie wspomnienia. Nie można żyć wspomnieniami. – Kamila spojrzała ze zdziwieniem na samochód z szoferem, zaparkowany przed bramą, do którego Keith teraz podążał.

– Czy to twój wóz?



– Możemy z niego korzystać przez cały dzień, jeśli byśmy tego chcieli.

Ambasada pozostawiła mi go do dyspozycji.

– Wóz z ambasady? Czy jesteś aż tak ważną osobą?

– No więc jak?

– Nie – odparła. – Nie mam na to czasu.

– Ależ, Kamilo! Tylko jeden dzień! Powinienem być właściwie koniecznie pojechać do Oranienburga i Neu-Ruppina, gdzie mam zawrzeć bardzo ważne umowy. Ale wszystko odłożę dla ciebie.

Kamila potrząsnęła głową.

– Czy przynajmniej mogę cię podwieźć do miasta? I umówimy się na dzisiejszy wieczór. Nie musisz przecież bezwzględnie wracać.

– Bardzo dziękuję, ale chętnie przejdę ten kawałek drogi do dworca. Naprawdę. Było mi bardzo przyjemnie znowu cię zobaczyć. Być może już za kilka dni znów wpadnę do Berlina i jeśli wówczas jeszcze tu będziesz i znajdziesz trochę czasu, to może będziemy mogli zjeść coś razem w hotelu.

Keith nie usiłował już jej zatrzymać i kiedy odchodziła, usłyszała, jak samochód rusza. Dlaczego zachowałaś się tak w stosunku do niego, pytała sama siebie. Dlaczego nie pozwolisz sobie raz na małe urozmaicenie? Odwróć się i przywołaj go z powrotem. Ale tego nie uczyniła.

Na dworcu w Steglitz stały już dwa zielono-białe wagony. Było jeszcze trochę czasu do odjazdu i niewielka grupka ludzi, którzy o tej godzinie mieli jechać do miasta, przechadzała się przed otwartymi wagonami tam i z powrotem, przypuszczalnie dlatego, że w słońcu było cieplej niż w przedziałach.

Kamila właśnie kupiła bilet, kiedy na brzegu ulicy zatrzymał się samochód i wyskoczył z niego Keith. Podniósł ręce. – Nie bój się! Nie będę cię do niczego namawiał. Ale nawet nie pożegnaliśmy się porządnie.

Keith dostrzegł nagle automat z horoskopem. Może go sobie przypomniał, w każdym razie wyjął jakąś monetę z kieszeni i chciał ją wrzucić.

– Automat już nie działa – powiedziała Kamila. – Niedawno próbowałam, kiedy tu przyjechałam. Połyka pieniądze, ale nic nie wyrzuca.

– Nic? – rzekł Keith i uderzył dłonią w automat raz, potem drugi i nagle automat wydał chrobotliwe zgrzyty i wypadła kartka, a wkrótce potem ze szczękiem jeszcze moneta. Keith podniósł do góry kartkę z horoskopem i monetę, a jego oczy się zaśmiały.

– Skorpion, czy to ty?

– Tak.

– Czy mam ci odczytać?

– Ale szybko. – Tymczasem zjawiała się konduktorka. W za długim płaszczu, który obijał się o jej nogi, i z gwizdkiem na szyi przeszła wzdłuż wagonów, wołając ochryłym, świadczącym o przeziębieniu głosem, aby wsiadano. Ale Keith spojrział na kartkę z horoskopem:

– „Zbyt dużo od siebie wymagasz. Twoje siły nie są niewyczerpane. Pomyśl też raz o sobie. Nie ponosisz odpowiedzialności za cały świat”.

– Przecież tego tam wcale nie ma! Pokaż kartkę! – Kamila usłyszała, jak konduktorka zasuwiała pierwsze drzwi. Muszę wsiadać.

– Naturalnie – rzekł Keith – bo spóźnisz się na pociąg. Kamila podeszła do jednych z otwartych jeszcze drzwi.

– Czy naprawdę było to napisane na tej kartce?

– Wsiadaj – powiedział – bo nie zdążysz. – Potem schylił się, wziął ją w ramiona i pocałował bez pośpiechu i bez niezgrabnej gwałtowności, jak gdyby mieli nieograniczony czas. Stało się to tak nieoczekiwanie i było tak naturalne, że nie sprzeciwiła się i dopiero potem powiedziała:

– Co ty wyrabiasz?

– Czy tego się nie robi? – zapytał. – Przecież wszyscy tak postępują przy pożegnaniu.

Może, lecz nie aż w ten sposób, pomyślała, ale nie wyraziła tego głośno. Jakoś oczekiwała, że Keith wsiądzie teraz razem z nią, ale podał jej tylko rękę. Wskoczyła po stopniach do wagonu, a ktoś zatrzasnął za nią drzwi.

Chciała otworzyć okno, lecz się zacięło. Ujrzała, jak stał za oknem. Jego wargi się poruszały, ale przez zamknięte okno nie mogła zrozumieć, co mówił, a potem wagony ruszyły z miejsca.

Przez chwilę widziała, jak tam stał i kiwał do niej ręką, a kiedy pociąg przyspieszył, znikł jej z oczu.

Kamila usiadła przy oknie i odchyliła się do tyłu. Przez szybę słońce grzało mocniej niż na świeżym powietrzu.

Dlaczego muszę właściwie dziś bezwarunkowo wracać do Neustrelitz, zastanowiła się. Przymknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem, które powoli w nią przenikało i rozchodziło się po całym ciele. Powrócił do niej spokój. Nic nie wydawało się już ważne, nic nie wymagało pośpiechu. Móc tak pozostać przez chwilę... niczego więcej nie pragnęła.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

O ósmej wieczór Makowsky objął nocną służbę. Potem trzeba było wykonać codzienne czynności, aby mógł się poczuć jak u siebie, to znaczy, przygotować sobie zeszyty z krzyżówkami na spokojne nocne godziny i kazać boyowi zanieść do kuchni przyniesioną z domu herbatę, gdyż musiał uważać na swój woreczek żółciowy. Następnie zabrał się do nowej listy odjazdów i przyjazdów i właśnie chciał zacząć od jej przejrzenia, gdy żona przemysłowca Sengera weszła do holu. Jedno spojrzenie na listę odjazdów oznajmiło mu, że jej nazwisko nie zostało odnotowane. Zdjął klucz z haka nr 308 i wyjął kopertę, która leżała przygotowana dla niej w jej przegródce. Nie mógł się przy tym powstrzymać od wyrażenia swego zdziwienia: – Myślałem, że pani dziś odjeżdża. Czy ma pani zamiar zostać dłużej?

– Ależ nie. Wszystko w porządku. Po południu byłam jeszcze raz w klinice. Kazał mi podziękować panu za przesłanie ukłonów i za miłe życzenia.

– To znaczy, że wszystko odbyło się szczęśliwie i pani zostanie aż do czasu, kiedy przeprowadzą również i tę drugą operację.

Tego rana rozmawiali o tym szczegółowo. Makowsky przy całym osobistym zainteresowaniu, jakie okazywał, nigdy by nie pozwolił, aby go posądzono, że jest natrętny. Mimo to Kamila pomyślała w tym momencie: Czy on nie wyobraża sobie, że mogę zostać z innej przyczyny niż choroba ojca? – Kusilo ją niemal, aby zrobić jakąś uwagę, ale tego zaniechała. – Nie mogę jeszcze powiedzieć, jak długo tu zostanę.

– Wie pani, że pani ojciec jest dla mnie, jeśli wolno mi to powiedzieć,

wręcz uosobieniem dobrych starych czasów. Każdy w tym domu cieszył się, kiedy on przyjeżdżał. Każdy go chętnie obsługiwał. Twierdzą zawsze, że atmosfera w hotelu zależy od gości. Kiepscy goście, kiepska obsługa. Jak to jest? Czy wolno mi zarezerwować dla pani przyjemny stolik?

Kamila wzięła klucz i kopertę. Na kopercie odcisnięty był stempel urzędu wojennych dostaw i prawdopodobnie znajdowała się w niej wiadomość, że postępowanie sądowe zostało wstrzymane.

– Poza tym żadnych wiadomości dla mnie?

Portier zajrzał jeszcze raz do przegródki i rzeczywiście wyjął z niej kartkę. – Niech pani mi wybaczy, że przeoczyłem tę wiadomość z centrali telefonicznej, aby pani zechciała zadzwonić do Neustrelitz.

– Ach tak, ale to już załatwione.

– A co z tym przyjemnym stolikiem?

– Będę jadła w moim pokoju.

– Poślę do pani Alberta.

– Bardzo dziękuję, ale nie potrzeba. Proszę o to samo co zawsze.

– Naprawdę? A więc herbatę, podwójną porcję z zimnym mlekiem, bułkę, masło, trochę szynki i trochę sera. Wszystko za godzinę.

– Tak jest.

Makowsky wyjął bloczek z poleceniami budzenia gości. – I mam obudzić panią jutro o szóstej trzydzieści?

– Tego nie powiedziałam. Jutro wolałabym, aby mnie nie budzono. – Makowsky skinął głową, ale sposób, w jaki opuścił przygotowany już ołówek, zdradził, do jakiego stopnia był zdumiony. Była to naturalna reakcja, przy której na pewno nic mu nie przyszło na myśl. Portier był przecież od tego, aby pamiętać przyzwyczajenia gości, a szósta trzydzieści

była dla niej normalną godziną. Ale Kamila pozostała zamyślona, idąc przez hol i wchodząc na schody, gdyż zbyt wiele ludzi czekało na windę. Jej matka nie wstawiała nigdy przed dziesiątą, jej siostry postępowały tak samo. Maxi nie wynurzała się nigdy ze swoich pokoi przed południem i od pierwszego dnia pobytu w Neustrelitz pani Ewers musiała przynosić jej śniadanie do łóżka. Gdyby ona, Kamila, nagle tego zażądała, nie można sobie wyobrazić zdziwienia, jakie powstałoby w całym domu.

Dwuskrzydłowe drzwi do błękitnej sali na pierwszym piętrze były otwarte, a dwaj kelnerzy nakrywali wielki stół. Stało tam już dwanaście srebrnych talerzy, kieliszki, dekoracja kwiatowa, a pośrodku duży wielopiętrowy tort z samolotem z jasnej czekolady na szczycie.

Błękitna sala była czymś w rodzaju stałej instytucji do urządzania uroczystości przez berlińskie rodziny i Kamila nie potrafiłaby powiedzieć, ile razy również jej rodzina już z niej korzystała. Tu odbywały się zaręczyny sióstr, chrzest pierwszego dziecka Maxi, awans męża Lu na porucznika czy też na kapitana. A po raz ostatni zgromadzili się tu po pogrzebie cioci Lenki. Czy zasiądą jeszcze kiedyś wszyscy dookoła stołu? Na pewno nie. Mężowie Lu i Maxi polegli i kto wie, co jeszcze może się stać, zanim wojna się skończy...

– Pani pozwoli.

Odeszła na bok, aby przepuścić kelnera z wózkiem, na którym leżały wypolerowane srebrne nakrycia.

Co jeszcze może się stać? Dawniej, w latach poprzedzających wojnę, była to myśl pełna przyjemnych oczekiwań, ciekawości i niesprecyzowanych życzeń na przyszłość. Teraz był to już tylko wyraz obaw i trosk i należało się cieszyć, jeśli nic się nie stało i czas jakby się

zatrzymał w miejscu. Kamila poszła prędko dalej i perspektywa, że niebawem znajdzie się w swoim pokoju i zamknie za sobą drzwi, znów ją uspokoiła.

Lubiła swój pokój. To nie był ten dwuosobowy, w którym zawsze z mężem się zatrzymywali. Numer 308 był pokojem pojedynczym, na najwyższym piętrze, na końcu korytarza. Okna wychodziły na północ z widokiem na kamienną fasadę jakiegoś ministerstwa po drugiej stronie ulicy, a kiedy zatrzymywała się w małym wykuszu, mogła widzieć posterunki stojące przed zamkniętą rosyjską ambasadą.

W hotelu znajdowały się spokojniejsze pokoje z widokiem na ogród, ale ona wolała odgłosy z ulicy, zwłaszcza we wczesnych porannych godzinach. Pokój był mały i trochę nieregularny z powodu swego narożnego położenia, obity popielatym jedwabiem, a wyłożona marmurem łazienka była niemal większa od samego pokoju. Jak zawsze, kiedy Kamila przychodziła tu po nużącym dniu, pierwszą jej czynnością po zdjęciu płaszcza było pójście do łazienki i odkręcenie kranów, aby napęlić wannę wodą. Na widok liliowego toaletowego mydła na porcelanowych mydelniczkach przy umywalce i wannie Kamila nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Na łóżku leżało jeszcze nie rozpakowane kartonowe pudło ze szlafrokiem, który kupiła przed południem i kazała przesłać do hotelu. Telefon na stoliku nocnym przypominał jej znów na chwilę rozmowę, którą w klinice przeprowadziła z Neustrelitz.

– Czy pani dziś wieczór nie wróci? – Najpierw przy aparacie była pani Ewers, potem Maxi, a w końcu mówiła z chłopcami i wszyscy zachowywali się, jakby nadchodził koniec świata. – Więc przyjedziesz

jutro pierwszym pociągiem? Nie? Bo co się stało? – Czyż koniecznie musiało się coś stać? Czy ona musiała zawsze funkcjonować jak zegarek? Czyż nie miała prawa raz sobie pozwolić na chwilę wytchnienia? Czyż musiała najpierw prosić o pozwolenie? Tłumaczyć się dlaczego i jak mogło do tego dojść? Czyż już naprawdę sprawy zaszły tak daleko?

Wywiesiła po zewnętrznej stronie drzwi tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać”, rozebrała się i weszła do kąpieli. Lubiała hotele, czuła się w nich dobrze, być może dlatego, że hotel jest wyraźnym przeciwieństwem własnego mieszkania. Tylko w hotelu słychać było tak wiele różnych odgłosów, a łazienka ze swoją marmurową posadzką i mnóstwem rur i przewodów była jak wielkie ucho, przechwytyjące te wszystkie odgłosy. Lubiała również to, że wyobrażała sobie, iż pod jednym dachem w tych wielu pokojach są setki obcych ludzi, każdy czymś zajęty, przeważnie całkiem prostymi sprawami i myślami o tym, co należy na siebie włożyć, gdzie powinno się pójść i co by się zjadło. Pokoje te były prawdziwymi twierdzami, w których można było się schronić. Wszystko, co się w nich działo, zachowywały dla siebie, zawsze gotowe przyjąć następnego gościa i obdarzyć go taką samą ochroną.

Kamila leżała dłużej niż zwykle w kąpieli i potem, z wielkim rozgrzanym prześcieradłem kąpielowym narzuconym na ramiona, rozwiązała paczkę. Była oszczędna i konserwatywna, kiedy chodziło o suknie, ale jeśli chodzi o szlafroki, była rozrzutna i niemal ekstrawagancka. Miała już ich więcej niż tuzin, ale kiedy ujrzała to kimono w czarnych i fioletowych barwach, podbite jedwabną watowaną podszewką, dziś przed południem w witrynie u Demutha, zdecydowała się od razu je kupić i kiedy włożyła teraz i przejrzała się w lustrze, zapomniała



nawet o szaleńczo wysokiej cenie, jaką zapłaciła za ten szlafrok.

Zabrała znów do pokoju tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać”, pozostawiła tym razem drzwi nie zamknięte, przyćmiła światło i usiadła w wykuszu. Na ulicy panował spokój, ożywi się dopiero, gdy opróżnią się teatry. Kamila nie podniosła się, kiedy usłyszała pukanie. Obsługujący to piętro kelner otworzył drzwi i wtoczył wózek z kolacją.

– Dobry wieczór, łaskawa pani, przywożę to, co pani obstało wała.

Nie zdążyła nawet zapytać go, jak się nazywa, i właśnie chciała to zrobić, gdy zauważyła, że na wózku były dwa nakrycia, dwa rondelki z pokrywkami, aby potrawy nie wystygły, i kubek z lodem, z którego wystawała szyjka butelki z winem.

– Czyście się nie pomylili? Tu jest numer 308 i zamówiłam to, co zawsze.

Ale kelner przysunął wózek jeszcze bliżej. – To jest zamówienie dla trzy zero osiem. – Mówiąc to wyciągnął rachunek spod serwety. – Trzy zero osiem. Zgadza się dokładnie, czy zechce pani pokwitować?

– Ale przecież panu mówię, że to jakaś pomyłka! – Pochyliła się i uniosła pokrywę znad okrągłego srebrnego rondelka. – Kartoflanka... przenigdy.

– Pójdę się dowiedzieć.

– Proszę zabrać ze sobą wózek.

Kelner spojrzał na rachunek, a potem na Kamilę, niezdecydowany, jak ma się zachować.

Widocznie musieli oboje nie usłyszeć pukania albo może w ogóle nikt nie pukał, w każdym razie Keith stał już pośrodku pokoju, kiedy go teraz zauważyli. W jego postawie i krokach było coś niepewnego. Widocznie

usłyszał część ich rozmowy, gdyż powiedział:

– Z zamówieniem jest wszystko w porządku. To ja je zmieniłem myśląc, że po tak nużącym dniu zasłużyliśmy na prawdziwą kolację. – A zwracając się do kelnera dodał: – Wszystko dobrze, to nie pana wina. Ale teraz może pan odejść.

Kelner skłonił się nisko i wyszedł tyłem z pokoju. Kiedy już znikł, Keith powiedział: – Jeśli byś mnie zapytała, co wyobrażam sobie jako coś isticie europejskiego, to odpowiedziałbym, że właśnie takiego kelnera w Bristolu. Przecież to ci nie szkodzi, że zmieniłem zamówienie. Nie? Nie potrzebujesz wstawać, ja ci przysunę bliżej ten stolik. I mówiłem całkiem poważnie, że oboje mamy nużący dzień za sobą.

Posunął wózek – właściwie był to najprawdziwszy stolik na kółkach – do wykuszu. Ustawił mocno nóżki stolika, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Kamili.

Robił to wszystko z tym samym poczuciem, że to się samo przez się rozumie, z jakim wtedy pocałował ją przy odjeździe pociągu, i nagle Kamila nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Czy masz wprawę w takich niespodziewanych napadach?

– Po prostu przeskakuję przez własny cień, i na tym koniec.

– Czy byłeś naprawdę w Oranienburgu i Neu-Ruppinie?

– Oczywiście! Obowiązek przede wszystkim. Przypomniałaś mi o tym, kiedy był jeszcze na to czas. Ale teraz spełniliśmy już nasz obowiązek.

Wziął serwetkę i rozwinął ją.

– A ty jednak zostałaś.

– Pomyślałam sobie, że dlaczego nie miałabym zostać.

– I ty przeskoczyłaś przez swój własny cień. I nikt nie zaprotestował?

– I jak jeszcze protestowali. Ale zdaje mi się, że to tylko wzmocniło moją decyzję. Tak często sobie mówiłam, że kiedyś pewnego dnia po prostu zastrajkuję.

– Wciąż się douczasz.

– O, tego bym się szybko nauczyła. Ale skąd właściwie wiedziałeś, że tu jestem?

– Po prostu cię szpiegowałem. Starą klasyczną metodą. Czekałem w hotelu zasłonięty gazetą.

– Byłeś w holu?

– Tak, i kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem: Daj jej godzinę. Po czym przywołałem obsługę pokojową i zmieniłem twoje zamówienie.

– Wobec tego pokaż, co masz do zaoferowania.

– Nie chciałem przesadzać. To nie szampan, tylko wino dla ciebie i piwo dla mnie. A do jedzenia coś zupełnie zwykłego. Kartoflanka, która jest tu podobno szczególnie dobra, kluseczki z ryby i sos ziołowy. O ile pamiętam, tyś to dawniej...

Błagam – przerwała mu – wyświadczyć mi tę łaskę! Każdy dziś tak zaczyna: Pamiętasz, dawniej... Nie chciałabym już nic słyszeć o tym, co było dawniej, o przeszłości, o wczorajszym dniu, o tym, co kiedyś było. I nic o jutrze i o tym, co będzie kiedyś. Chcę żyć dzisiejszym dniem i chwilą obecną. Niczym innym jak tym dniem i tą chwilą. Tak, a teraz zaczynajmy. Wydaje mi się, że jestem rzeczywiście głodna.

To było coś, o czym on nie mógł wiedzieć: jako dziecko Kamila jadła dużo i z prawdziwym łakomstwem, chociaż „nie przybierała na wadze”, jak zawsze narzekała jej piastunka. Za to teraz Kamila nie dbała o jedzenie. Stało się dla niej obowiązkiem i kiedy wstawiała od stołu,

przeważnie już nie wiedziała, co było podane. Ale dziś wieczór była naprawdę głodna i jadła z apetytem, jak gdyby odkryła w sobie znowu pewną zdolność, którą zagubiła. Być może powodem tego było tylko, że na razie nie potrzebowała myśleć o innych, jak w Neustrelitz, gdzie zawsze zasiadało co najmniej dziewięć osób do stołu. A dziś ktoś o nią się troszczył, w każdej chwili gotów wyprzedzić każde jej życzenie, ktoś podawał jej sól, zanim zdążyła wyciągnąć po nią rękę.

Więc nie mówili już o tym, co było dawniej, i unikali również poruszania spraw zbyt osobistych. Ale i tak nie zabrakło im tematu. Ona opowiedziała mu o kupnie kimona u Demutha, a on o pertraktacjach, jakie prowadził w Neu-Ruppinie. Kamila usiłowała przedłużyć kolację i kiedy usłyszała pukanie do drzwi i zjawił się znowu kelner, aby zabrać wózek, miała uczucie, że i wszystko inne również się skończy, skoro ten stolik się wytoczy z pokoju, więc powiedziała: – Proszę wszystko tu zostawić i przynieść jeszcze jakiś deser... może lody, najlepiej dużą porcję waniliowych lodów. – A kiedy kelner przyniósł, poprosiła jeszcze o filiżankę herbaty, ale dopiero później, na krótko przed zamknięciem kuchni na tym piętrze. Ale i ten termin minął. Taca z herbatą stała przed nią, a ona siedziała pogrążona w milczeniu. A kiedy Keith wstał, wiedziała z góry, co powie, i rzeczywiście użył właśnie tych słów.

– To był przemiły wieczór.

Nie chciała, aby to był już koniec, ale co mogła począć, aby ten wieczór przedłużyć. Wiedziała od początku, że będzie miała tylko tę krótką godzinę, tylko to dziś bez jutra.

Podeszła do okna w wykuszu. Ujrzała pokryte śniegiem dachy i pod nimi ciemne budynki. Tylko w ministerstwie, dokładnie naprzeciwko, było

jedno okno oświetlone i przypomniła sobie, że i podczas poprzednich nocy tak było.

– A ten horoskop – powiedziała – ty dziś rano wymyśliłeś, prawda?

– Lecz brzmiał prawdziwie?

– Kto potrafi coś takiego wymyślić? Tylko ktoś, kto zna dobrze ludzi?

– Nie wiem, obawiam się, że nie.

Kto tam teraz w ministerstwie tak co noc przesiaduje? Ktoś, kto pracuje? Ktoś, kto obawia się pójść do domu? Ktoś, kto teraz pewnie stoi tam przy oknie, tak jak ona? – A kiedy znowu odjedziesz? – zapytała.

Otoczył ją ramieniem. – Sama łamiesz twoje własne reguły: bez wczoraj i bez jutra!

– A czy coś takiego w ogóle istnieje, „bez wczoraj i bez jutra”? Bo czy wszystko nie wiąże się z sobą? I czy nie życzymy sobie, aby rzeczy trwały?

– Ale one nie trwają.

– Jak to dobrze, że ty to mówisz.

– Powiedzieć coś innego byłoby łatwiej. Dzisiejszy wieczór był naprawdę piękny.

Nie miała żadnego prawa go zatrzymać. A jednak nie chciała, żeby odszedł. Wraz z nim przyszło coś, co uczyniło ją szczęśliwą, i dlatego pragnęła, aby trwało, choćby tylko dzisiaj.

Była pewna, że i on zupełnie tak samo to odczuwa. Na co więc czekał, dlaczego pozostawiał jej decyzję?

Ale stał niemy i nieruchomy obok niej, aż w końcu wypowiedział te słowa, których się przez cały czas obawiała: – Wydaje mi się, że teraz muszę już iść.

Mogę mu na to odpowiedzieć, kiedy na niego nie patrzę, pomyślała. Lecz wtedy zwróciła się twarzą do niego i spojrzała mu w oczy.

– Zostań – powiedziała.

Minęła dłuższa chwila, zanim odparł: – To ja powinienem był to powiedzieć.

– Może lepiej, że to ja powiedziałam. Bo przecież chciałam, abyś został, ja tego pragnęłam. Będziesz mógł mi zawsze to przypominać. – Sama nie wierzyła, że to słowa mogą jej przejść przez usta, ale teraz poczuła ulgę.

Keith wziął ją w ramiona i stało się to po pewnym wahaniu, które jej przypomniało, jak przed kilku godzinami wszedł do tego pokoju. I kiedy ją całował, czynił to jak wówczas rano w Steglitz, bez pośpiechu, dając jej przy tym poczucie, że mają nie wiadomo ile czasu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziła się zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem bardzo wcześnie i nawet później, po tylu dniach, ogarniało ją na króciutki moment zdziwienie, że pokój, w którym się znajdowała, nie był jej pokojem.

Keith leżał obok niej, śpiąc na lewym boku, z twarzą głęboko wciśniętą w poduszkę, jakby nocą nie potrzebował oddychać, z jedną ręką wyciągniętą do niej. Budził się zawsze, kiedy się od niego odsuwała, to znaczy wydostawał się na powierzchnię ze swego głębokiego snu i mógł mówić, jakby był zupełnie rozbudzony, później wszakże nic o tym nie pamiętał.

– Czy znowu już czas?

Kamila po ciemku sięgnęła do stolika nocnego i wymacała zegarek. Podsunęła go sobie blisko pod oczy i potem odłożyła. – Śpij spokojnie dalej.

– Ależ nie, wstaję razem z tobą. Przytuliła się do niego.

– Czy musisz dziś wyjechać?

– Tak.

– Dziś wieczór tym samym pociągiem?

– Tak. Tym samym pociągiem. Śpij dalej.

Pozwoliła, że ją mocniej do siebie przygarnął. Wystarczyło, aby tylko przez kilka minut poleżała spokojnie, a wtedy usłyszy znów jego miarowy oddech, od czasu do czasu jakieś głębokie westchnienie, a potem jego oddech stanie się coraz cichszy, a objęcia słabsze. Było łatwo wtedy wstać, żeby on tego nie zauważył, tak głęboki był ten poranny sen, w jaki znowu zapadł, a kiedy mu się przyglądała, poczuła niemal coś jakby zazdrość.

Wstała z łóżka. O szóstej rano w hotelu panowała jeszcze cisza, choć zupełnie inna niż wieczorem. Teraz, rano, można było sobie wyobrazić, że oni oboje byli jedynymi w tej ciszy żywymi istotami.

Nie zapaliła elektrycznego światła, jasność zimowej nocy w oknach wystarczyła jej, a zresztą nie miała nic w pokoju Keitha poza zegarkiem, kimonem, pantoflami i kluczem do swego pokoju. Przed wyjściem podeszła jeszcze raz do łóżka. Był pogrążony w głębokim śnie, z głową wciśniętą w poduszkę, tak że widać było tylko jego ciemne włosy i rękę wyciągniętą w kierunku miejsca, gdzie Kamila jeszcze leżała przed chwilą. Schyliła się i pocałowała go, a potem wzięła ze stolika nocnego zegarek i klucz i wyszła z pokoju. Pod drzwiami przystanęła na chwilę i spojrzała wzdłuż korytarza. Jego pokój znajdował się na drugim piętrze, tak że musiała iść dalej korytarzem, wejść schodami do góry i potem znów aż do drugiego końca korytarza.

Właściwie powinno być inaczej. To on powinien rano ją opuszczać, ale tak już było. Nawet pierwszej nocy nie spędzili w jej pokoju, lecz u niego. Dlaczego? Sama tak zaproponowała i kiedy to uczyniła, nie potrafiłaby umotywować swego postępowania, lecz potem, na drugi dzień rano, po powrocie do swego pokoju, była z tego zadowolona: wszystko zastała tam jeszcze tak, jak kiedy ten pokój opuścili, z zaciągniętymi firankami i stolikiem, przy którym jedli, więc uznała, że to dobrze, iż wspomnienie o tym wieczorze pozostanie oddzielone od reszty.

Na korytarzach paliło się światło nocne. Niektóre z zebranych i wyczyszczonych butów stały już z powrotem przed drzwiami poszczególnych pokoi, a inne jeszcze nie. Nie spotkała nigdy służącego hotelowego, który tę pracę wykonywał, i nie знаła kolejności



wykonywanej przez niego pracy. Czasem zaczynał od najwyższego piętra, czasem od parteru.

Kiedy teraz szła po schodach w górę, usłyszała go tym razem z dołu...

Dziwny był ten cały ich stosunek, bo jakże miałyby to inaczej nazwać. Nieprzyjemności, które były z tym związane, dotyczyły tylko jej. Przez pierwsze dwa dni, po owej kolacji w jej pokoju, pozostała w Berlinie, ale potem jeździła co rano do Neustrelitz i wracała wieczorem do Berlina. Co rano spieszyła tak jak teraz do swego pokoju, tam się ubierała, spożywała mimochodem śniadanie i kazała się wieźć na dworzec na wczesny pociąg do Neustrelitz. Był przeważnie dość pusty, tak że miała cały przedział dla siebie i mogła jeszcze trochę pospać. Ale wieczorny pociąg bywał tak przepełniony, że często musiała stać przez całą drogę. Keith przyjeżdżał po nią na dworzec i udawali się od razu do hotelu.

Tylko raz została znów na całe dwa dni w Berlinie. Na końcu pierwszego tygodnia, kiedy operowano drugie oko ojca.

Właściwie prowadziła dwa życia. Noce spędzała w Berlinie, a dni w Neustrelitz. Była tam naprawdę potrzebna, gdyż wciąż należało podejmować jakieś decyzje, których nie można było załatwić przez telefon. Do tego dołączało się jeszcze jej poczucie obowiązku. Właśnie w tej sytuacji nie chciała sobie zarzucać żadnego niedbalstwa.

Doszła wreszcie na najwyższe piętro. Tutaj buty były już odniesione. Dlaczego służący hotelowy opuścił jedno piętro? Numer 308 był ostatnim pokojem na długim korytarzu i najwyższym numerem, wyższych numerów nie było już w Bristolu. Takie zaprzątały ją myśli – jak to sobie potem przypominała – gdy podchodziła do swoich drzwi. A do tego jeszcze ogromne znużenie i ta walka, jaką co rano musiała staczać podczas

tej drogi, aby nie jechać do Neustrelitz, ale zamknąć się w swoim pokoju i spać, spać...

Czerwona kartka z zawiadomieniem o depeszy wisiała na klamce razem z kartką „nie przeszkadzać”. Kamila zdjęła obie razem i zamknęła drzwi. Pokój był pogrążony w półmroku, paliła się tylko mała nocna lampka, którą zostawiała zawsze zapaloną, jej abażur rzucał cień na ścianę za łóżkiem – i to również było czymś, co raz na zawsze wryło się w jej pamięć.

Pierwszą czynnością, jaką zwykle wykonywała, było rozrzucenie pościeli na nietkniętym łóżku, jak gdyby tam spała, ale teraz wzięła do ręki słuchawkę telefonu.

Trwało dłużej niż zwykle, aż nocny portier się zgłosił.

– Dopiero teraz znalazłam zawiadomienie o depeszy – powiedziała. – Kiedy depesza przyszła?

– Godzinę temu – odpowiedział Makowsky i dodał:

– Pani musiała mocno spać.

– Proszę przysłać mi depeszę na górę. Czy pan wie, skąd nadeszła?

– Nie. Ale wydaje mi się, że przekazali ją pani z Neu-strelitz. Mam nadzieję...

Pospiesznie odłożyła słuchawkę, nie chcąc usłyszeć, co on jeszcze powie. Spojrzała na aparat, jakby tę chwilę w zupełnie taki sam sposób już kiedyś przeżyła. Albo nastąpiło teraz tylko to, czego od dawna się spodziewała – koniec? Niezależnie, co w tej depeszy będzie, jedno wiedziała na pewno, że będzie to oznaczać koniec.

Stała tak obok telefonu, niezdolna nic przedsięwziąć. Również wczoraj wieczór jedli razem w jej pokoju, zanim poszła do Keitha. Stolik stał tam

jeszcze. Nie zostawili już sobie tyle czasu, jak pierwszego wieczoru, ale i ta godzina była dla niej ważna, aby wyzwolić się z przebytego dnia i znów wrócić do siebie i do niego. Wspólne kolacje przy stoliku przed wykuszem były wszystkie takie same jak ta pierwsza, oczywiście poza tematem rozmów, to on przekroczył reguły i któregoś wieczoru zaczął mówić o przyszłości i o ich wspólnych planach... Ona się przysłuchiwała milcząco, lecz nigdy nie zapomniała, że każda godzina mogła być tą ostatnią. Była na to wciąż przygotowana.

Usłyszała pukanie, otworzyła drzwi i przyjęła depeszę. Boy w białych rękawiczkach i w okrągłej czapeczce, głęboko nasuniętej na czoło, podał ją na srebrnej tacy. Również i ten obraz miał się wryć w jej pamięć: srebrna taca i na niej depesza na szarym wojennym papierze. Nie otworzyła jej od razu, lecz położyła na nocnym stoliku obok telefonu. Potem poszła do łazienki, wykąpała się i ufryzowała. Nie wolniej niż zwykle, ale i nie szybciej. Kiedy się ubrała i przyniesiono jej śniadanie, zaczęła pakować walizkę. Wreszcie i to było skończone, przejrzała jeszcze raz zawartość szafy, szuflad i półek, i w końcu rozrzuciła jeszcze pościel na łóżku.

Usiadła na brzegu łóżka, wzięła depeszę ze stolika nocnego i przyjrzała się stemplom. Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby otworzyć kopertę i rozłożyć depeszę. Przeczytała treść i opadły jej ręce, po czym spojrzała na walizkę, która stała już przy drzwiach.

Odczytała depeszę po raz drugi i dopiero teraz poczuła, jakby się w niej coś rozdarło.

Złożyła szary papier z powrotem i nakręciła numer centrali telefonicznej.

– Proszę, czym mogę pani służyć?

Czuła potrzebę mówienia z kimś innym. Ale potem zjawił się jej przed oczyma, jak leżał w łóżku, z głową ukrytą głęboko w poduszce, jak ocknął się ze snu, słysząc dzwonek telefonu, i sięgnął po słuchawkę... – Halo! O co chodzi?

A zresztą cóż mogła mu powiedzieć? Odłożyła słuchawkę i nakręciła inny numer. Tym razem Makowsky był od razu przy aparacie, jakby tylko na to czekał.

– Niech pan przyśle kogoś po moją walizkę... i proszę przygotować rachunek. Wyjeżdżam.

Włożyła depeszę do torebki, wzięła czapkę i płaszcz i poszła ku drzwiom. Miała ochotę jeszcze raz się odwrócić i spojrzeć na ten pokój, wykusz i stolik, który stał tam jeszcze od wczorajszego wieczoru, ale tego nie uczyniła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Douai! – powiedział ktoś obok niej. – To następna stacja. Pani miała przecież zamiar wysiąść w Douai. To tutaj.

Kamila nie wiedziała, że w ogóle istnieje jakaś miejscowość, która tak się nazywa, aż do chwili kiedy otworzyła depeszę. A nawet później, gdy miała już bilet w ręku, Douai pozostało miejscowością, którą chyba ktoś wymyślił i której w rzeczywistości nie było. Kamila nie zareagowała od razu na głos mówiącego, jakby mogła przez to owo miasto wymazać z mapy i najchętniej udałaby martwą, kiedy jakaś ręka chwyciła ją za ramię.

Kamila właściwie nie spała, a jednak łatwiej by było strząsnąć z siebie najgłębszy sen niż to śmiertelne wyczerpanie. Czterdzieści godzin, to znaczy dzień, noc, znowu dzień i jeszcze pół nocy w wagonie, wprawiły ją w stan bezwładu i otępienia. Nie czuła już ani zimna, ani głodu czy pragnienia, przestała reagować na rozlegające się od czasu do czasu detonacje czy na rakiety świetlne, które niekiedy rozświetlały niebo.

O spaniu i tak nie można było myśleć w tym pociągu, który ze zgaszonymi światłami włókł się przez noc, powoli, jakby musiał odnajdywać drogę po omacku, i wciąż zatrzymywał się na trasie, tak że nikt nie wiedział, kiedy ruszy dalej. Od czterdziestu godzin Kamila już właściwie nie spała, a w końcu nawet nie usiłowała zasnąć.

– To jest Douai, siostró.

Już się do tego przyzwyczaiła i nie protestowała, że wszyscy nazywali ją siostrą, ponieważ nie mogli sobie chyba wyobrazić, żeby jakaś inna kobieta mogła czegoś szukać w tych pociągach pełnych mężczyzn.

Kamila wy dostała się z koca, którym były otulone jej nogi, i oddała go z powrotem. Było ciemno choć oko wykol, tak że nie mogła rozpoznać twarzy mężczyzn, jadących w tym samym przedziale. Nie zdołałyby nawet powiedzieć, czy byli to jeszcze ci sami żołnierze, którzy w Akwizgranie wsiedli razem z nią do tego pociągu. Dla Kamili wszyscy, którzy podczas tej długiej jazdy siedzieli naprzeciwko niej, mieli tę samą twarz i ten sam zapach ziemi i potu, tak ostry, że przenikał nawet przez dym z papierosów.

I jeszcze coś wspólnego mieli oni wszyscy: jakąś pełną wyrzutów gotowość niesienia pomocy. Wszystko, co robili, czy to oddawali jej do dyspozycji koc, czy częstowali grogiem, który mieli w manierkach, czy też, jak teraz, zdejmowali jej walizkę z siatki na bagaż, działo się to w sposób, który dawał jej do zrozumienia, że czuli się jej obecnością podrażnieni niemal tak, jak gdyby wprowadziła zamęt do ich świata.

Kiedy pociąg nagle z gwałtownym szarpnięciem się zatrzymał, Kamila straciła równowagę i zderzyła się z kilku obcymi ciałami. – Niech pani uważa! – Ktoś otworzył kopnięciem oblodzone drzwi.

W pierwszej chwili dojmujące zimno zatamowało jej oddech. Noc była czarna jak smoła, a peron zupełnie nie oświetlony. Tylko od czasu do czasu błyskały latarki kieszonkowe, podobnie jak zapalki, które w przedziale kolejowym zapalały się od czasu do czasu za osłaniającą je męską dłonią. Poza tym nigdzie nie można było odkryć jakiegoś światła czy też jakiejś oznaki, że po drugiej stronie peronu znajduje się miasto. Przedziały się opróżniły, rozległ się gwar przyciszonych głosów, szczęk uderzających o siebie blaszanych naczyń przy tornistrach i w końcu stukot podkutych butów, kiedy żołnierze oddalali się w zwartych kolumnach.

Kamila postawiła walizkę obok siebie. Nocne zimno mniej jej

dokuczało niż zaduch w przedziale, tak że poczuła, iż powoli odzyskuje siły żywotne. W pociągu już zatrzaśnięto z powrotem drzwi i nagle w Kamili obudziły się wątpliwości, czy nie wysiadła za wcześnie. Pełna przerażenia chwyciła walizkę i ruszyła pędem, wpadając prosto w ramiona dwóch żołnierzy.

– Czy to jest w ogóle Douai? Proszę powiedzieć! Czy to Douai?

Obaj żołnierze mieli stalowe hełmy, pistolety w ciemnych skórzanych futerałach, wysokie buty i szaliki, które zakrywały im usta.

– To jest Douai, siostrze. Dokąd się wybieramy? Czy wolno obejrzeć dokumenty siostry?

To pytanie o dokumenty już dobrze знаła, bo ileż razy musiała znosić cierpliwie kontrolę podczas tej jazdy. Zaczęło się to zaraz w Berlinie i zabrało jej całe przedpołudnie, tak że potrzebowała całej swojej sztuki przekonywania, aby otrzymać niezbędne zaświadczenia. A od tego czasu doszło jeszcze wiele dalszych nowych papierów i przepustek. Wydawało się, że każdy żandarm żąda czegoś innego.

– Dokumenty, siostrze. – Snop światła kieszonkowej latarki skierował się prosto w jej twarz.

Wyciągnęła skórzany woreczek, który nosiła na szyi pod płaszczem. Światło kieszonkowej latarki opuściło się niżej i obaj żołnierze zaczęli szeptać między sobą. – No to proszę z nami. – Nie brzmiało to ani uprzejmie, ani nieuprzejmie, ale Kamila była już do tego przyzwyczajona i nie niepokoiło jej nawet to, że żołnierze nie oddali jej na razie dokumentów.

Podniosła walizkę, która była mała i zawierała tylko to, co najniezbędniejsze.

Tymczasem peron się wyludnił. Obaj żandarmi skierowali się z nią do drewnianego baraku. Żadnego miasta wciąż jeszcze nie było widać ani słyszeć. Żandarm z jej dokumentami wszedł do baraku, a drugi pozostał przy niej. Nie padło ani jedno słowo, a kiedy ten pierwszy wrócił, dał jej tylko niemy znak, aby weszła.

Pomieszczenie było ciasne i było w nim jeszcze zimniej niż na dworze, przynajmniej tak się Kamili wydawało. Jej dokumenty leżały na prymitywnym drewnianym stoliku, przy którym siedziała jakaś kobieta i pisała na maszynie. Miała na sobie ciepły płaszcz z przepaską. Czerwonego Krzyża na rękawie i szydełkowe szare rękawice obcięte z przodu tak, że wystawały z nich sine od zimna palce. W jaskrawym świetle blaszanej lampy, która zwisała z sufitu nad samą maszyną do pisania, Kamila nie mogła rozpoznać, czy ta kobieta była jasnowłosa czy siwa, młoda czy stara.

Pisała jakąś listę, widocznie nazwisk, a po każdym nazwisku datę. Przypomniało to Kamili o tym, że podczas całej jazdy nie dotknęła żadnej gazety w obawie, aby nie trafić na listę poległych, ona, która chciała zawsze we wszystkim mieć pewność...

Jednym szarpnięciem kobieta wyciągnęła arkusz papieru z maszyny i włożyła go do niebieskiej teczki. Podciągnęła trochę wyżej lampę, która wisiała na ruchomym sznurze, odchyliła się do tyłu. – Więc pani nie jest siostrą Czerwonego Krzyża – powiedziała, a Kamila wskazała na swoje dokumenty.

– Już je przejrzałam. Zwykle mamy tu do czynienia tylko z siostrami, a nie z paniami, które przyjeżdżają z Berlina w odwiedziny... – Przyjrzała się Kamili i być może zauważyła, że miała na sobie sobolowe futro,



w każdym razie ton jej głosu stał się troszkę ostrzejszy. – Gdyby to ode mnie zależało, nie otrzymałaby pani pozwolenia. Jesteśmy tu o dwadzieścia kilometrów od frontu i nie nastawieni na przyjmowanie odwiedzin. Nie wiem, czy będę mogła pani pomóc, w każdym razie chętnie tego nie uczynię.

Kobieta przemawiała z taką wrogością, jakiej Kamila nie zauważyła dotychczas u nikogo z mężczyzn, ale może jej się to tylko zdawało, ponieważ oczekiwała od kobiety więcej zrozumienia.

– Przyjeżdżać z Berlina. Co by to było, gdyby więcej kobiet zaczęło to robić.

– Proszę mi pomóc – powiedziała Kamila, wyciągając z torebki depeszę, której miejsca załamania całkiem się przetarły.

Kobieta wzięła ją do ręki i potrząsnęła głową. – Ta depesza ma już dwa dni i nawet nie wymieniono w niej, o jaką jednostkę wojskową chodzi.

– On jest porucznikiem rezerwy w dwunastym korpusie transportowym, w Douai.

– Mamy tu pół tuzina lazaretów w mieście i poza miastem.

– Ale macie jego nazwisko i nazwisko lekarza, doktora Kraussnecka, który wysłał tę depeszę. Mój mąż jest ciężko ranny.

– I może wcale już tu nie leży. Czy pani o tym nie pomyślała albo nawet...

Kamila podczas jazdy spotkała wiele eszelonów z rannymi, składających się z wagonów ze znakiem Czerwonego Krzyża, i za każdym razem kusiło ją, aby do nich podbiec i zapytać, czy nie ma tam jej męża.

– ...albo nawet, że już nie żyje?

Kamila unikała wzroku tej kobiety. Co jej z tego przyjdzie, że mnie tak

dręczy? Obok maszyny do pisania stała mała ramka. Kamila nie mogła dojrzeć fotografii, która w niej tkwiła, ale może był to powód, że tamta kobieta tak zgorzkniała.

– Niech pani mi pomoże – powtórzyła Kamila – błagam panią!

Kobieta spojrzała na depeszę, coś zanotowała i wraz z innymi papierami podała Kamili ponad stołem.

Odsunęła krzesło i wstała. Nie była wcale tak wysoka i tęga, jak Kamila przypuszczała, tylko gruby płaszcz nadawał jej taki wygląd.

– Najpierw znajdę dla pani jakiś pokój na resztę nocy.

– Nie potrzebuję żadnego pokoju. Czy nie mogę tu zostać? I tak nie mogłabym zasnąć.

– Już pani mówiłam, że najpierw muszę dowiedzieć się, gdzie pani mąż leży. Teraz jest już po północy. Czego pani ode mnie oczekuje? Mam co innego do roboty.

– Błagam... – Kamila była już u celu, a jednak dalej od niego niż kiedykolwiek, i nagle poczuła, jakby cała krew wyciekła jej z głowy. Walczyła z tym jednak i szukając oparcia, chwyciła za poręcz krzesła, aż ziemia pod jej stopami stopniowo przestała się chwiać.

– Niech pani tylko nie zemdleje – usłyszała Kamila.

– Ja już zbadam, gdzie pani mąż leży, ale na to potrzeba trochę czasu. No i muszę jeszcze kogoś znaleźć, kto panią zaprowadzi. A więc zrobię wszystko, ale pani nie może tu zostać, bo nie ma miejsca, a na razie niech pani to wypije.

– Kobieta nalała z termosu jakiś czerwony napój do tekturowego kubka.

– Dziękuję – powiedziała Kamila i wzięła kubek w obie ręce.

Buchnął z niego zapach cynamonu oraz goździków, i dopiero teraz zrozumiała, że to był poncz, prawdziwy gorący poncz.

– Niechże pani wypije. Usłuchała.

– Pani dawno już nie piła nic gorącego, prawda?

– Tak.

– I pani niewiele spała?

– Tak.

– A więc niech pani teraz pójdzie do hotelu naprzeciwko dworca. Idąc ze stacji, trzeba przejść tylko przez plac. Nie może pani nie trafić. Hotel – to przesada, ale nie mamy nic lepszego. Uprzedzę ich o tym. A jeśli od razu nie otworzą, proszę pukać mocno, a zjawi się sam właściciel.

– **Ja...**

– No tak, jak się tylko czegoś dowiem, zaraz panią zawiadomię. Zrobię, co się tylko da, a oto pani dokumenty, niech pani ich nie zgubi.

Otworzył jej rozespany mężczyzna, całkiem ubrany, miał na sobie czarne ubranie i białą koszulę. Zjawił się natychmiast i ujrzała w holu obitą skórą kanapę, na której widocznie urządził sobie na noc prowizoryczne spanie. Powitał ją jakimś niezrozumiałym mruknięciem, które przeszło w suchy kaszel. Pozwolił jej nieść samej walizkę i poczłapał przed nią w filcowych pantoflach po schodach do góry. W pokoju sprawdził najpierw, czy okno jest dobrze zaciemnione, zanim zapalił światło. – Proszę nie ruszać okien – powiedział – bo posypią się gradem kary, a ja będę musiał je zapłacić. – Jego głos miał taki sam szorstki ton, jak u wszystkich tu w pobliżu frontu, tylko że mówił z wyraźnie francuskim akcentem.

Umeblowanie pokoju składało się z krzesła, stołu, szafy i mosiężnego

łóżka. Kilka brunatnych koców leżało zwiniętych w nogach łóżka.

– Bielizną pościelową nie mogę pani służyć, bo nie wiem, czym bym ją potem wyprał. Jeśli ktoś jest dostatecznie zmęczony, może i tak spać.

Kamila nie mogłaby nawet powiedzieć, czy pokój był ogrzany, czy nie. Gorący poncz, który wypła w baraku siostry Czerwonego Krzyża, zaczął bowiem już działać, tak że w płaszczu było jej niemal za gorąco.

– Oczekuję na wiadomość – powiedziała. – Gdy nadejdzie, proszę mi zaraz dać znać.

– Jestem do tego przyzwyczajony w nocy. – Oddalił się ku drzwiom. – Czy pani ma jeszcze jakieś życzenia? – Ale potem nagle się zorientował, jak absurdalne jest to jego pytanie, gdyż przygłodził tylko swoje szpakowate włosy, które niesfornie sterczały na jego wąskiej, kościstej głowie, i uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Nie żebym mógł wiele z nich spełnić. Najwyżej będę mógł przynieść jutro rano trochę gorącej wody. – Trzymał wciąż jeszcze rękę na klamce. – Niech pani spróbuje zasnąć. Spanie to coś najlepszego w takich czasach.

– Miałabym jeszcze jedno życzenie.

– Jakie?

– Widziałam, że pan ma telefon.

– O tak. Dostaliśmy nr 439, jeden z najniższych tutaj.

– Czy pan mógłby spróbować zamówić dla mnie rozmowę?

– Rozmowę o tej porze, pośrodku nocy? Ale z jaką miejscowością?

– Z Berlinem.

– Z Berlinem? – Wytrzeszczył na nią oczy, a potem wydawało się, że ta myśl mu się spodobała, gdyż wrócił do pokoju. – A więc pani chce telefonować do Berlina? I wydaje się pani, że to się uda? – Był niższy od

niej, więc spoglądał ku niej w górę, pełen oczekiwania. – Kiedyś mieliśmy tu gościa, który telefonował do Londynu. Niech pani sobie wyobrazi, do Londynu. Ale to było jeszcze przed wojną. A więc do Berlina...

– Napiszę panu numer. – Zaczęła szukać w swojej torebce kartki i ołówek. Numeru nie potrzebowała szukać, gdyż umiała go na pamięć.

Właściciel hotelu wziął kartkę, przyglądał się jej wciąż jeszcze z niedowierzaniem i rzekł: – Nie wiem, jak długo to będzie trwało. Londyn wtedy zgłosił się od razu, to znaczy stosunkowo prędko. Najlepiej niech pani pójdzie ze mną, bo w tym pokoju nie ma połączenia telefonicznego. A więc Berlin.

– Zaraz przyjdę. Proszę tylko zamówić rozmowę.

Odszedł.

Po chwili usłyszała jeszcze człapanie jego filcowych pantofli, przerywane kaszlem, a potem zapadła cisza. Postawiła walizkę na krześle i wypakowała niewiele znajdujących się w niej rzeczy. Zdjęła płaszcz oraz futrzaną czapkę i owinęła się wełnianym szalem. Wyjechała z Berlina nie pozostawiając Keithowi żadnej wiadomości. Kiedy zgromadziła już wszystkie dokumenty, konieczne do wyjazdu do Douai, pozostały jej jeszcze dwie godziny do odejścia pociągu, ale wykorzystała je, aby odwiedzić ojca w klinice i zatelefonować do Neustrelitz. Nie mogła się przemóc, aby zadzwonić do Bristolu, a potem nastąpiło coś dziwnego: im bardziej dalek oddalała się od Berlina, tym rzadziej o tym myślała. I nawet kiedy teraz usiłowała sobie o tym przypomnieć, były to już tylko jakieś mgliste, niewyraźne majaki. Tylko jeden moment ukazywał się jej wyraźnie: ona stojąca na korytarzu przed swoim pokojem i czerwone zawiadomienie o depeszy, wiszące na klamce. Wszystko inne, co było

przedtem, tak się od niej oddaliło, jakby należało do odległej przeszłości.

Mimo to nie chciała się od tego telefonu wykręcić. Przypuszczalnie Keith dowiedział się już o wszystkim od jej ojca, ale musiała przecież jeszcze się sama z nim rozmówić, winna była to sobie i jemu. Być może potrzebowała tylko, aby upłynął pewien okres czasu.

Już na schodach dotarł do niej z dołu głos właściciela hotelu, podniecony i z bardziej wyraźnym francuskim akcentem. Zdjął marynarkę, powiesił ją za sobą na oparciu krzesła i siedział przed aparatem telefonicznym przy kontuarze w recepcji. Rękawy jego białej koszuli ponad łokciami przytrzymały gumki. Aparat telefoniczny był stary, przedpotopowy, z przyrządem do mówienia, który trzeba było trzymać w ręku, z osobną słuchawką na długim czarnym sznurze. Właśnie ją odłożył, kiedy Kamila przyszła, i spojrzał na nią wzruszając ramionami: – Teraz trzeba czekać i trzymać kciuki.

Nie spuszczał przy tym oka z aparatu. – Powracając do tej rozmowy z Londynem – powiedział – jak pani sądzi, czy oni mają kabel pod wodą?

– Przypuszczalnie.

Zaparzyłbym pani kawy, ale jeśli stąd odejdę, to połączenie nastąpi na pewno natychmiast. – Nie zaproponował jej jednak, aby usiadła. Więc stała obok niego w ciasnym czworokątnym pomieszczeniu za kontuarem recepcji i regalem z przegródkami na klucze od pokoi. Było tych przegródek osiemnaście, w trzech rzędach po sześć, ale wisały w nich tylko dwa klucze i Kamila stawiała sobie pytanie, czy te pozostałe pokoje naprawdę były wszystkie zajęte. Czekali, a kiedy dzwonek się odezwał, właściciel hotelu przestraszył się jeszcze bardziej od niej. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem przyciągnął do siebie słuchawkę i przyrząd do

mówienia. – Halo, Berlin? – Skinął głową i odstąpił swoje miejsce Kamili, przyciskając jej słuchawkę do ucha i wpychając przyrząd do mówienia do ręki, ale potem nie odszedł i nie pozostawił jej samej, lecz stanął tuż obok z pochyloną nad nią głową, jak gdyby ta rozmowa była dla niego równie ważna, jak dla niej.

Kamila wsłuchiwała się w aparat telefoniczny. Słysząc było jakiś szum, w którym tylko od czasu do czasu rozlegały się głosy dyżurnych telefonistek, załatwiających inne połączenia, aż wreszcie ktoś powiedział: – Proszę teraz mówić.

– Halo, Makowsky, czy to pan?

– Łączę.

– Tu hotel Bristol, nocny portier.

– Czy to Makowsky?

– Halo, kto mówi?

– Czy pan mnie słyszy? Chciałabym, by pan mnie...

– Halo! Teraz lepiej słyszać... Czy to pani Senger?

– Tak. Proszę mi powiedzieć, czy gość z numeru 121 jest w pokoju. Czy może mnie pan połączyć? – Sama nie wiedziała, dlaczego nie wymieniła nazwiska. Zapomniawszy, że obok niej ktoś stoi, skupiła całą uwagę, aby usłyszeć dochodzący z daleka głos. – Halo, czy pan mnie zrozumiał?

– Słyszę panią dobrze. Pani chce połączenia z pokojem 121.

– Tak, i proszę długo dzwonić, tak, niech dzwonek długo dzwoni...

Potem słyszała już tylko szum, aż nagle doszedł do niej całkiem wyraźny głos:

– Bardzo mi przykro, ale...

– Czy gość z pokoju 121 wyjechał? – Kamila w pociągu słyszała, jak żołnierze raz po raz o tym mówili, że przystąpienie Ameryki do wojny wisi w powietrzu, a niektórzy nawet twierdzili, że wiedzą, iż ambasadorowi amerykańskiemu wręczono już paszport.

– Nie, nie wyjechał, ale nie ma go w hotelu. Klucz jest u mnie, lecz mogę podać pani numer telefonu, który zostawił na wypadek, gdyby ktoś chciał go osiągnąć. Wszyscy w Berlinie mówią, że Amerykanie... Halo, czy pani mnie jeszcze słyszy? Czy mam pani podać ten numer?

– Tak, proszę.

– Czy ma pani coś, aby móc zanotować?

Przed nią na stole obok aparatu leżały ołówki i podczas gdy Makowsky przekazywał jej numer, a ona zapisywała cyfry na skraju zielonej podkładki do pisania, wiedziała już, o czyj numer chodzi.

– Czy mam jeszcze raz powtórzyć?

– Nie, dziękuję. Już zanotowałam.

– Jest mi przykro, że nie mogę nic więcej dla pani zrobić. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku!

– Tak. I przepraszam, że tak późno dzwoniłam. Dobranoc!

Odłożyła przyrząd do mówienia oraz słuchawkę i popatrzyła na numer telefonu swojej siostry Lu. I wówczas nagle uświadomiła sobie, że przy niej stoi ktoś, kto przestępuje z nogi na nogę.

– Czy pani naprawdę rozmawiała z Berlinem? Jakżeż prędko można było otrzymać tę rozmowę! Nie trwało nawet pół godziny. Oni mają w tym Berlinie całkiem inne tempo. Czy pani życzy sobie przeprowadzić jeszcze drugą rozmowę? Czy mam od razu zamówić? – I zepchnął ją z krzesła.

Kamila spojrzała na zegar na ścianie, który wskazywał kilka minut



przed pierwszą. Potrząsnęła więc głową. – Nie, chyba już nie.

– Tylko pół godziny. A ja myślałem, że w ogóle nie przyjmą rozmowy.

– Bardzo dziękuję. Spróbuję spać. I niech pan mnie obudzi natychmiast, kiedy nadejdzie dla mnie jakaś wiadomość.

Postawiła właśnie stopę na najniższym stopniu schodów, kiedy telefon jeszcze raz zadzwonił. Przez chwilę myślała, że może to być tylko Keith, który wrócił do hotelu i teraz... Ale potem stało się dla niej jasne, jak bezsensowne było takie przypuszczenie.

Właściciel hotelu znowu odłożył słuchawkę, a w jego głosie słychać było rozczarowanie, kiedy powiedział: – To tylko podają koszty. Nawet nie tak dużo, kiedy się pomyśli, że to była rozmowa aż z Berlinem. Wpiszę to pani do rachunku. A więc dobranoc!

Kamila natychmiast zapadła w głęboki sen i nie obudziła się nawet o szóstej, jak co rano.

Zapomniała zamknąć drzwi i ocknęła się dopiero, gdy właściciel hotelu był już w pokoju. Podniósł do połowy roletę zaciemniającą okno, wlał dzbanek gorącej wody do wielkiej porcelanowej miednicy, stojącej na stole, i podszedł potem z pustym dzbankiem do jej łóżka.

– Proszę mi wybaczyć, ale pukałem i pukałem, lecz nie mogłem się pani dobudzić.

– A która to już godzina?

– Trochę po ósmej. Przyjechał po panią samochód.

– Samochód po mnie?

– Tak. Ma panią zawieźć do zamku Vernou. Mój Boże, co to był dawniej za majątek, znany z hodowli róż, wie pani.

– Zamek Vernou?

– Najładniejsze róże, znane daleko i szeroko. Przypuszczam, że pani zamierza pojechać tam do lazaretu.

– I ten wóz już na mnie czeka?

– Tak, ale proszę się nie spieszyć. Najpierw przygotuję pani śniadanie. Mam nadzieję, że pani nie zmarzła. Jeśli pani tu dłużej pozostanie, dodam jeszcze jeden koc i może znajdę nawet jakąś pościelową bieliznę.

Przygotował dla niej śniadanie w podłużnym pokoju z tapetą w bluszcze. Przez wysokie, zwieńczone łukiem okno widać było plac przed dworcem. A więc naprawdę istniało miasto zwane Douai: domy, sklepy, pomnik pośrodku placu i za nim budynek dworca. Samochód, o którym mówił właściciel hotelu, stał przed głównym wejściem. Była to sanitarka. Kierowca przechadzał się obok po chodniku tam i z powrotem i machał rękami, aby się rozgrzać.

Kamila zjadła śniadanie, zapłaciła rachunek i zapytała, czy może na razie zostawić tu swoją walizkę, a właściciel hotelu zapewnił, że nigdzie nie będzie lepiej przechowana i że zarezerwuje dla niej pokój, gdyby zamierzała dłużej pozostać. Odprowadził ją do wyjścia i stał tam, dopóki nie wsiadła do samochodu.

Był to wóz otwarty, załadowany drewnianymi skrzyniami z lekarstwami, a ona siedziała z przodu obok kierowcy. Mimo nasuniętej na twarz szarej wełnianej czapki, spod której wзираły tylko oczy, nos i usta, widać było, że nie potrzebował się jeszcze golić, gdyż skórę miał gładką i miękką, a nawet na górnej wardze nie można było dojrzeć żadnego meszku.

Przywitał ją milcząc i również potem, podczas jazdy, nic nie mówił. Ze skupieniem obserwował drogę, która stała się bardzo kiepska, skoro tylko

wyjechali z miasta. Nie było tu tyle śniegu co w Berlinie, tylko cienka, zamarznęta twarda warstwa, ale panował siarczasty mróz i wyboje pokrywał lód, który rozpryskiwał się pod oponami; również na łąkach, które ciągnęły się na lewo i prawo od drogi, wielkie przestrzenie były pokryte lodem.

– Czy to daleko? – zapytała w końcu.

– Teraz już niedaleko. Jakiś kwadrans jazdy. Ten lasek tam w głębi. Kiedy przez niego przejedziemy, zobaczymy lazaret.

Mimo woli przypomniały się jej słowa właściciela hotelu.

– To dawny zamek?

Kierowca przytaknął milcząc, jak gdyby zależało mu na tym, aby uniknąć dalszych pytań. Ale Kamila i tak nie miała zamiaru pytać go o męża. Teraz, niemal już u celu podróży, cieszyła się z każdej minuty zwłoki, jaka jej jeszcze pozostała.

– Podobno ten zamek był znany z hodowli róż...

Po raz pierwszy kierowca odwrócił się i spojrzał na nią: – Pani słyszała o tych różach? – Wóz potknął się o wybój, którego kierowca na czas nie ominął, i dlatego znów obserwował uważnie drogę, ale teraz przerwał milczenie: – Takich róż jeszcze nigdy nie widziałem. Choć od kilku lat już się nikt nimi nie opiekuje. Nikt nie nawozi, nie przycina i nic przy nich nie robi, a te szklarnie... Zresztą pani sama zobaczy... Tędy długo biegła linia frontu i kilka razy zamek przechodził z rąk do rąk. Najpierw my, potem Francuzi, po nich Anglicy, a teraz znów my. Dla róż nikt nie miał czasu.

– A pan się na tym zna?

Jestem wykwalifikowanym ogrodnikiem, wie pani. Jesienią je przyciąłem. Przede wszystkim te przy domu. To róże pnące, odmiana

ciemnoczerwona, i takie pełne, nigdy jeszcze takich pnących róż nie widziałem. Jeden krzak wykopałem i wysłałem do domu, ale oczywiście nie wiem, czy się tam przyjmie.

Tymczasem dojechali do owego lasu i kierowca zapadł z powrotem w milczenie. Kiedy drzewa się rozstały, skręcił na prawo ku wielkiej bramie, z której pozostał tylko jeden słup, bo drugi był roztrzaskany kulami i leżał wraz z siatką ogrodzenia w śniegu. Na końcu długiej topolowej alei stał zamek, główny gmach i dwa trochę cofnięte boczne skrzydła. Na wszystkich trzech dachach były namalowane czerwone krzyże. Sam zamek był nie uszkodzony, ale dookoła wojna pozostawiła tym wyraźniejsze ślady: zburzone szklarnie, zawalone fontanny i zryty granatami ogród ze zdziczałymi bukszpanowymi żywopłotami.

Przed głównym wejściem stał już inny wóz, więc kierowca Kamili zatrzymał się za nim. – Niech pani po prostu tam wejdzie. Siostra przy furcie powie, gdzie znajdzie pani doktora Kraussnecka.

To, że kierowca znał nazwisko lekarza, który wysłał do niej depezę, zaskoczyło ją i przeraziło. Nagle powrócił znów lęk, który nie opuszczał jej przez cały czas jazdy: lęk, aby nie przybyć za późno. Wysiadła z wozu. Powiodła wzrokiem po zamku i zauważyła, że szpalery róż przy obu bocznych skrzydłach były przykryte gałęziami świerków i szmatami jutowymi. Chciała się odwrócić do kierowcy, aby go zapytać, czy to jego dzieło, ale odjechał już swoim wozem. Plac przed wejściem był wolny od śniegu i wysypany drobnym białym żwirem, i chociaż jej buty miały grube podeszwy, wydawało się Kamili, że czuje przez nie ostre kamyczki.

Cztery płaskie stopnie przez całą szerokość środkowej alei prowadziły do głównego wejścia. Kiedy się do nich zbliżyła, otwarły się drzwi

i wyszła z nich jakaś siostra, przystanąła i przepuściła wojskowego kapelana z ministrantem. Ksiądz był wysokim, tęgim mężczyzną i kamienne płyty zazgrzytały pod jego butami. Te ciężkie wojskowe buty kontrastowały dziwnie z duchowną szatą, i Kamila zastanawiała się, jak on może w nich cicho podejść do łóżka umierającego. Biała komża ministranta, którą jego towarzysz nałożył na mundur, była za ciasna i za krótka. W rękach niósł wszystko, co było potrzebne do ostatniego namaszczenia.

Ksiądz obrzucił wzrokiem Kamilę, a potem siostrę, i wydawało się, że odczuwa ulgę, kiedy ta potrząsnęła głową, po czym poszedł szybko do czekającego nań samochodu.

Siostra podeszła do Kamili. – Czy pani jest tą panią z Berlina?

– Tak. – Kamila usiłowała odczytać coś z twarzy siostry, ale dostrzegła tylko zmęczenie. Wóz kapelana wojskowego ruszył. Kamila powiodła znów wzrokiem po fasadzie domu. Gdzieś, za którymś z tych wielu okien, leżał umierający. A co może obchodzić umierającego, czy kapłan podejdzie do jego łóżka w swych ciężkich butach. Hałas motoru oddalił się. Z jednego z gzymsów spadały krople.

– Pani będzie łaskawa pójść za mną – powiedziała siostra.

Kamienne płyty przy drzwiach były obluzowane i zazgrzytały również pod ich stopami. Kiedy wchodziła za siostrą do domu, Kamilę nurtowała tylko jedna myśl:

Pozwól mu żyć, modliła się w myśli, błagam, pozwól mu żyć.

## Część piąta

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wsluchiwał się w szelest dochodzący z łazienki. Przymknął nawet oczy, aby móc się całkowicie skupić. Lubił ten szelest, kiedy Schütte przesuwiał brzytwę po rzemieniu do ostrzenia. Żaden z fryzjerów, z których usług Hofmann musiał w ciągu wielu lat korzystać, nie robił tego z takim zamiłowaniem i starannością. Ten szelest przypominał niekiedy skrzywienie rzemienia przy siodle w lekkim kłusie, potem znów szuranie, jakby ktoś brnął przez wilgotne jesienne liście. Szur... szur... szur. Fryc Hofmann był całkiem zadurzony w tym szeleście. Kiedy liczył wstecz lata, w ciągu których musiał obchodzić się bez usług Schüttego, okazało się, że jest ich aż dwadzieścia. Dopiero w 1921 roku przenieśli się z powrotem do Steglitz i nawet teraz, po trzech latach, Hofmann potrafił się z tego na nowo cieszyć.

– Zaraz będę gotów – doszedł go głos z łazienki. – Proszę się już przygotować.

Ale Hofmann się nie spieszył. Rzucił okiem na kalendarz ze zdzieranymi kartkami. Przez chwilę był niepewny, czy wczoraj wieczór zerwał bieżącą kartkę, czy nie? Było bowiem jednym z jego nienaruszalnych przyzwyczajzeń zakańczać tym każdy dzień. I drażniło go, że sam już tego nie pamiętał.

– Starzeję się – powiedział.

Z brzytwą w ręku Schütte ukazał się w drzwiach łazienki.

– Co pan powiedział?

– Starzeję się, panie Schütte.

– Wszyscy się starzejemy, ale starzeć się tak jak pan... nie miałbym nic

przeciwko temu. Pan przecież nie ma się na co uskarżać, prawda?

Istotnie Hofmann nie miał się na co uskarżać, ale sam o to z góry zadbał! Na przykład z tym Schuttem: Kiedy go pierwszy raz sprowadził, trzydzieści pięć lat temu, Schütte był młodym, dziewiętnastoletnim chłopakiem, dopiero co wyuczonym na fryzjera. Nikt wtedy nie mógł pojąć wyboru Hofmanna. Fryzjer powinien być w wieku dojrzałym. Ale teraz Hofmann miał za to nagrodę. Schütte liczył sobie dopiero 54 lata i dlatego bez wątplenia będzie go mógł golić aż do śmierci. A jakie to było ważne! Bo do czego się mogło zdać własne zdrowie, jeśli zaprzyjaźnieni rówieśnicy jeden po drugim umierali. Nagle zabrakło zwykłych partnerów do gry w karty i nie można było znaleźć zastępstwa. Potem jeszcze jakiś inny komplet się rozpadał i człowiek, strapiony, zapytywał sam siebie, kto będzie następny. Wtedy odczuwało się uspokojenie, mając przynajmniej swojego fryzjera i swojego krawca, którzy zostali wybrani w tak młodym wieku, że nie można było ich przedwcześnie stracić. I co rano, kiedy Schütte ze swoją czarną torbą zjawiał się przed domem, Hofmann chwalił swoją przezorność.

Zdjął okulary i marynarkę. Rozluźnił kołnierzyk i usiadł przy oknie na obitym skórą krześle z ruchomym oparciem. Krzesło to było świeżym nabytkiem, jak wiele sprzętów w tym pokoju. Dom odkupiony był w kiepskim stanie i wiele rzeczy, jak na przykład wbudowane w ściany szklane witryny dla jego zbiorów, nie dały się już zreperować. Ale najważniejsze było to, że znowu mieszkał w tym domu, który kiedyś zbudował pełen tyłu nadziei, i to, że zajmował nawet te same pokoje, gabinet z przylegającą do niego sypialnią i łazienką na parterze. Jakież to z jego strony mądre, bo chociaż mimo swoich siedemdziesięciu dziewięciu



lat dobrze się jeszcze trzyma na nogach, nienawidzi chodzenia po schodach. – Już jestem gotów.

Wstawał zawsze godzinę przed przyjściem Schuttego. Był to zresztą również dowód, że się postarzał: potrzebował mniej snu. Latem był przeważnie po półgodzinnej przechadzce, zwłaszcza teraz, w sierpniu, kiedy w ciągu dnia często było już dla niego za gorąco.

Fryzjer przysunął do Hofmanna stolik na kółkach, na którym znajdowały się wszystkie jego przybory. Golił go zawsze tą samą brzytwą, której ostrze było już bardzo wąskie, a mosiężna rączka niegdyś pozłacana. Posiadał również odpowiednie nożyczki, których pozłota starła się na skutek długiego używania. Oba te przedmioty wygrał kiedyś na pewnym konkursie i nasuwało się pytanie, czy je już odłożyć, czy dalej używać, nawet jeśli pozłota z czasem zupełnie zniknie.

Schutte zawiązał Hofmannowi na szyi białe prześcieradło.

– Co za boska pogoda dziś, prawda?

– Ale robi się upał.

– Prawdziwa kanikuła. Tak musi już być. Może to tylko urojenie, ale od kiedy czasy stały się lepsze, to i pogoda również się poprawiła.

– Niech pan powie, którego właściwie mamy dzisiaj? Czy jest dziś 21 czy już 22?

– Oczywiście piątek, 22.

– Czy całkiem na pewno?

– Ależ tak! Nie czytał pan jeszcze gazety? Uroczyste przyjęcie prezydenta Meksyku. Na ulicy Unter den Linden będzie na co popatrzeć. Pierwsza zagraniczna głowa państwa znowu zaszczyca nas swoją obecnością. Koniunktura się poprawia. A w dziale giełdowym jest

zawiadomienie o udzieleniu nam pierwszej zagranicznej pożyczki. Czy należy coś takiego subskrybować?

– Wolałbym jeszcze jakiś czas odczekać. Sądzę, że do marki rentowej możemy mieć zaufanie. Czy pan jest pewien, że dziś jest piątek? Jeśli tak, to proszę ogolić mnie szczególnie starannie, aby wystarczyło do wieczora.

– Czy dziś jest jakiś szczególny dzień?

Hofmann był teraz już całkiem namydlony i tylko skinął głową. Wyrobili sobie określony schemat dla swoich rozmów: podczas przygotowań do golenia i podczas namydlenia było łatwo, gdyż obaj mogli mówić. Ale potem, przy goleniu, jedynie Schutte brał na siebie cały ciężar rozmowy, plotkując trochę o innych klientach, o prognozach pogody i o polityce, albo stawiał jedynie takie pytania, na które Hofmann mógł odpowiadać skinieniem lub potrząśnięciem głowy.

– Czy pan dziś wieczór dokądś się wybiera? Zaprzeczający ruch głową.

– Czy panicze wrócili już z urlopu? Przytakujące skinienie.

– Słyszy się, że Warnerminde jest dziś rzeczywiście uzdrowiskiem masowym.

Przytakujące skinienie.

– A czy w ogóle takie smażenie się całymi godzinami na słońcu może być naprawdę zdrowe?

Zaprzeczający ruch głową.

– Trzeba mieć zdrowe serce, gdyż od tego wszystko zależy.

Przytakujące skinienie głową.

– I nie mieć kłopotów z trawieniem. No i nie należy za mało jeść. Organizm musi pracować, w przeciwnym razie nie wydzielają się soki żołądkowe. Maszyna powinna być stale utrzymana w ruchu.

Schutte usunął delikatnie resztę mydła z twarzy Hofmanna i nałożył przygotowany gorący, a potem zimny kompres.

Zapachniało olejkiem kamforowym, kiedy otworzył buteleczkę. Nalał sobie trochę na dłoń i zaczął masować policzki Hofmanna. – A więc jesteśmy gotowi. To powinno starczyć aż do wieczora, bo inaczej musiałbym jeszcze raz wstąpić.

– Wystarczy. Młode damy już teraz tak się do mnie nie zbliżają.

Fryzjer odsunął wózek z powrotem do łazienki, i kiedy schował swoje przybory do torby, Hofmann chciał go odprowadzić, gdyż nadeszła już pora na śniadanie. Ale Schutte zwlekał i wydawało się, że ciąży mu coś na sercu, w końcu powiedział:

– Czy może mi pan udzielić poufnej rady, dotyczącej jutrzejszych wyścigów w Weissenensee?

– Pan przecież wie, że ja już nie gram w totalizatora.

– Oczywiście. To przecież również i nie dla mnie, ale ten Wrede ciągle mnie o to nagabuje.

Fryc Hofmann rzeczywiście już nie grał na wyścigach. Podczas wojny ich w ogóle nie było. A na domiar złego utracił jeszcze swojego Iliona. Aż do połowy 1917 roku mógł tego konia zatrzymać. Potem mu go odebrano. Urzędowo zarekwirowano, jak innym ludziom samochody. Potem usiłował jeszcze przez jakiś czas śledzić, co się z Ilionem dzieje. Po wojnie dawał nawet jeszcze do wszelkich możliwych czasopism małe ogłoszenia, zawierające opis konia, wypalone na nim znaki i nazwę stadniny, z jakiej pochodził, ale bezskutecznie. O innych rzeczach, które utracił – o firmie i kolekcji zegarków, nigdy nie słyszano od niego słowa skargi, ale jeszcze dziś mówił często o Ilionie i kiedy widział jakiegoś kasztanowatego

wałacha, który choćby trochę przypominał Iliona, mogło się zdarzyć, że zasypywał pytaniami właściciela.

Być może z tej przyczyny nie chodził już na wyścigi i nie stawiał na konie, choć tak jak dawniej abonował czasopisma zajmujące się wyścigami. Nadal jednak grywał w karty, chociaż z minimalnymi stawkami, i posiadał wiele losów na wszelkie możliwe loterie, zawsze z tymi samymi numerami. Z tego powodu rodzina trochę się z niego wyśmiewała, ale nikt nie domyślał się, że miewał regularne wygrane, a od czasu do czasu nawet zadziwiająco wysokie.

– Niech pan powie Wredemu, że powinien po prostu polegać na własnym wyczuciu.

– Ale pan przecież wciąż jeszcze się na tym wystarczająco zna. Czy nie może pan raz wyjątkowo zrobić to dla mnie? Wrede ślepo ufa pańskim wskazówkom i nie wierzy zresztą, że pan już nie gra na wyścigach.

– Niech mu pan wymieni jakąś nazwę konia. Kiedy przegra, nie będzie już pana w przyszłości nagabywać.

Hofmann wyjął portmonetkę i zapłacił Schuttemu. Dawniej rozliczali się zawsze w końcu miesiąca, ale w czasach inflacji stało się to już niemożliwe. A od inflacji minęło dopiero tak niewiele czasu, że zachował zwyczaj płacenia od razu.

Skierował się pierwszy ku drzwiom, które się trochę zacinały. Zrobiono wprawdzie niejedno, aby usunąć ten mankament, ale nikt nie zdołał się z tym uporać. W holu pachniało różami, a w pokoju do śniadań, do którego drzwi były otwarte, jakiś młody człowiek zmieniał właśnie kwiaty w wazonach.

Hofmann i Schütte wyszli przed dom, który został znowu pomalowany

na swój pierwotny jasnoszary kolor, lecz ogród przed domem był już inny. Zamiast rododendronowych krzewów znajdowały się tam trzy okrągłe klomby róż, otoczone bukszpanem, a wzdłuż wysypanych białym żwirem ścieżek ciągnęły się wąskie rabaty z różami.

– Wciąż się nad tym zastanawiam – powiedział Schütte – co to właściwie za odmiana?

– Przypuszczalnie herbaciane hybrydy, lecz dokładnie i ja tego nie wiem.

– Ale że one tak pięknie kwitną. Nie mamy tu przecież w ogóle gleby odpowiedniej dla róż.

– To ten nowy ogrodnik – odparł Hofmann – ma tak szczęśliwą rękę.

– Z tym Willeke to smutno się skończyło! Tyle czasu tu wytrzymał, strzegł wszystkiego jak istny Cerber i potem dożył jeszcze akurat do chwili, kiedy pan znów tu się wprowadził. A w pół roku później... nie było mu nawet dane doczekać tego ostatniego lata. – Schütte pochylił się nad jakąś różą.

– A jednak chciałbym wiedzieć, co to za odmiana. Nigdzie nie ma tu podobnej. A te pnące róże, po prostu boskie!

– I pan również ulega tej modzie! Co za słów się teraz używa! Boskie, co to ma znaczyć?

Schütte się uśmiechnął. – Muszę się jednak zapytać tego ogrodnika, skąd ma te róże. Czy to pańska córka go zaangażowała?

– Tak. Ona się wszystkim zajmuje, a ja do niczego się nie wtrącam. Będzie dziś upalny dzień.

– Chyba będzie. To kanikuła. Może tak jeszcze potrwać przez pewien czas. A więc do jutra.

– Do jutra.

Hofmann skierował się z powrotem do domu. Na niebie nie było najmniejszej chmurki, tylko delikatna mgiełka, w której upał uwiązał jak w szklanym kloszu. Nie powinien zapomnieć o zamknięciu okien w swoim pokoju, zanim słońce nie obejdzie dookoła domu.

Rodzina zjawiała się na śniadanie w komplecie właściwie tylko w niedzielę i nawet wtedy nieregularnie, gdyż młodzi panicze chętnie wylegiwali się długo w łóżkach. W ciągu tygodnia u obu młodszych, Konrada i Georga, zależało to od wykładów na uniwersytecie, a u Maksa od tego, czy położył się przed czy po północy.

Pewnym było właściwie tylko to, że Kamila, jej mąż i on wspólnie co rano o siódmej siedzieli przy śniadaniu, ale dzisiaj Senger wcale się nie zjawił, a nakrycie Kamili było już użyte. Fryc Hofmann usiadł, wcale nie czując się nieszczęśliwym z tego powodu, że jest sam, gdyż w takim wypadku wszystkie gazety były do jego dyspozycji. Róże o krótkich łodygach w kulistym wazonie pachniały mocno. Również na kredensie i konsolce stały bukiety, i Hofmann musiał znowu stwierdzić, że nowy ogrodnik chyba trochę przesadza z dekoracją kwiatową w domu, ale prawdopodobnie stosował się tylko do poleceń Kamili. Od czasu do czasu utrzymywała bowiem, że dom wciąż jeszcze czuć lazaretem, i kazała wtedy w ciągu całego przedpołudnia otwierać na oścież wszystkie okna. Nikt z nią się co do tego nie zgadzał, a Hofmann ubłagał ją, aby jego pokoje wyłączyć z tego radykalnego wietrzenia.

W domu była znana jego punktualność i zaledwie wyjął wielką, białą serwetę ze srebrnego kółka i wetknął ją sobie za kamizelkę, zjawiała się pokojówka.

– Czy moja córka już zjadła śniadanie?

– Tak. Jasnie pani już nie ma. Wyszła do miasta. Pokojówka była od niedawna i stąd ta „jasnie pani”.

Między jej poprzedniczką i Maksem coś bowiem zaszło, choć Hofmann dowiedział się o tym tylko przypadkowo, bo w miarę możliwości nie chciał się wtrącać w te rzeczy. Zadowolony z siebie i całego świata, przyglądał się, jak pokojówka wszystko przed nim ustawia: koszyk ze świeżymi bułeczkami, jajko gotowane cztery i pół minuty, trzy rodzaje marmolady, gorące mleko oraz dzbanek kawy nie szkodzącej na żołądek, którą specjalnie dla niego filtrowano według recepty karlsbadzkiej.

– Dobrze, moje dziecko. Bardzo dobrze tu przyrządziłaś, tylko brakuje dorszowej wątróbki, ale może jeszcze o tym nie wiesz. To lecytyna, moje dziecko, bardzo ważna dla zdrowia.

Kiedy pokojówka odeszła, Hofmann przygotował sobie tabletki. Jedną na lepsze trawienie, a drugą, aby wzmocnić serce, obie według specjalnej recepty od zaprzyjaźnionego aptekarza, po czym przysunął się bliżej do stołu.

Wewnętrznie już się na to nastawił, że będzie sam przy śniadaniu, tak że odczuł niemal jako zakłócenie spokoju ukazanie się w drzwiach Maksa.

– ...dobry.

– Dzień dobry – poprawił go Hofmann – znowu połykasz słowa. A więc idziesz do biura?

Maks był jego ukochanym wnukiem, do pewnego stopnia zastępującym mu syna, którego nigdy nie miał. Widział w nim swój obraz i podobieństwo nie tylko zewnętrzne, ale również w sposobie bycia, na przykład teraz, kiedy marynarkę, którą niósł przerzuconą przez ramię,

powiesił na oparciu krzesła, zanim usiadł. Ale właśnie dlatego oceniał go krytycznie. Przede wszystkim sposób ubierania się Maksa często go raził: te spodnie, które miał dzisiaj na sobie, ze zbyt jasnego materiału i o wiele za szerokie, biała, nie zapięta pod szyją koszula, kanarkowożółty pulower bez rękawów, a do tego kraciasta marynarka.

– Och, ci dzisiejsi młodzi ludzie! Zawsze bez krawata! Czy naprawdę uważasz, że to ładnie? I te szerokie spodnie! Czy to ma być elegancko! Powtarzam moją propozycję, pozwalam ci korzystać z usług mojego krawca.

– W żadnym razie twój krawiec, wszystko tylko nie to. Jest beznadziejnie staromodny. Czy możesz podać mi kawę?

– Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy. zaproponowałbym, abyś wstał i nalał najpierw mnie.

Maks uczynił to bez sprzeciwu i przy tej okazji zauważył, że nakrycie na honorowym miejscu było już użyte. – Czy matka już jadła śniadanie?

– Dosyć! Nie lej tyle kawy! Raczej więcej mleka! Powinieneś się już tego pomалу nauczyć. Teraz dobrze.

– Czy matka już wyszła?

– Wydaje się, że tak, choć nie słyszałem, jak wychodziła. Ale pokojówka twierdzi, że dopiero co wyszła do miasta. Co ci się w tym nie podoba?

Wracając na swoje miejsce, Maks przystanął przy krześle matki, które było trochę odsunięte od stołu, i roześmiał się ze złością. – A ja myślałem: zrób jej przyjemność i przewycięż się. Ona nienawidzi, kiedy się spóźniam. Wprost tego nie znosi. Jej syn musi być wzorem dla innych. Więc nastawiam budzik, nawet dwa budziki! I co się dzieje... już wyszła! –



Mówił to do pustego krzesła, jakby siedziała tam jeszcze matka we własnej osobie. – Na przyszłość będę wstawał o czwartej rano. Ale prawdopodobnie ona i wtedy będzie uważać, że się spóźniam. A ja nastawiam specjalnie dwa budziki.

– Teraz siadaj nareszcie. – Hofmann opukiwał bez przyjemności jajko. Tego rodzaju dyskusji zawsze starannie unikał. Bo dawniej miał tego powyżej uszu. Chciał już mieć spokój, lecz Maksowi udawało się zawsze wplątać go w swoje problemy. Zaczęło się to jeszcze, kiedy był w szkole. Musiał wywalczyć, by Maks po otrzymaniu świadectwa uprawniającego do jednorocznej służby wojskowej mógł opuścić gimnazjum i przenieść się na praktykę do banku; następną sprawą była służba w wojsku i nie było to znów wcale tak łatwe wyjednać dla niego zwolnienie; i teraz również kłopoty z Maksem się nie skończyły, przede wszystkim z powodu licznych jego dziewczyn. Jeśli chodzi o Konrada i Georga, to dziadek nigdy nie był zanudzany tego rodzaju przykrościami, tam wszystko przebiegało gładko. Obaj zdali maturę, a teraz byli na studiach zgodnie z życzeniem Kamili. Jeden z nich miał zostać chemikiem, drugi jurystą. Tylko Maks był przyczyną wiecznych kłopotów w rodzinie.

– Wstałeś chyba dzisiaj lewą nogą?

– Właśnie że tak, ale czy zawsze matka musi być pierwsza? I ostatnia naturalnie! Ona chce nam nieustannie udowadniać, jaka jest dzielna i ile roboty na nią czeka. Ona mnie tym denerwuje, rozumiesz! Chce wszystko robić sama. Zarówno w domu, jak i w firmie, choć firma jest dla niej ważniejsza. To jest jej właściwa rodzina. Naprawdę, pytam samego siebie, po co w ogóle chodzę do biura? Matka wcale mnie nie potrzebuje. Żadnego z nas. A jeśli się mnie o to spytasz, to nawet i ojca...

Fryc Hofmann podniósł rękę, aby zaprotestować. – Teraz to już posuwasz się za daleko. Co by się tu działo bez niej. Tego domu na pewno by nie było!

– No, już dobrze.

– Nie, wcale nie dobrze. Czy w ogóle nie przychodzi ci do głowy, że wolałaby prowadzić inne życie? – Mimo woli poniosły go temperament i poczucie sprawiedliwości, ale teraz Hofmann uznał, że dosyć już tej gadaniny, bo inaczej pozbawi go to jeszcze spokojnego spożycia śniadania.

Niestety Maks nie wykazał tu żadnego zrozumienia.

– Sama tak chciała – powiedział – bo mogłaby inaczej się urządzić.

– Tak uważasz?

– Ale teraz uspokój się...

Lecz Hofmann wyciągnął już serwetkę z za kamizelki i cisnął ją na stół. Nie był pewien, czy znajdzie właściwe słowa. Zawsze kiedy musiał odgrywać rolę adwokata Kamili, czuł się w jakiś sposób zahamowany i niemal winny. – A teraz powiedz mi, kiedy mogła robić to, co chciała? Czy może przez te pierwsze trzynaście lat w Neustrelitz? O tak, przypominam sobie, marzyła o tym, żeby z twoim ojcem wyjechać za granicę i urządzić sobie wakacje po tych wszystkich latach harówki. Bardzo tego pragnęła, tylko że wcale do tego nie doszło. A wojna? Te pierwsze lata spędzone bez twego ojca. A potem? Kiedy przywiozła go do domu i nikt nie wierzył, żeby mógł znowu zrobić choć jeden krok o własnych siłach. A te czasy po wojnie? Inflacja, a w domu bezradny mąż. Policz sobie. Przecież umiesz rachować. Policz tylko same lata, nic poza tym. Miała osiemnaście lat, kiedy wyszła za mąż, nawet niecałe osiemnaście. A teraz za trzy miesiące będzie miała czterdzieści jeden. To

ponad dwadzieścia lat. A mówi się, że to najpiękniejsze lata w życiu kobiety. Zaraz skończę. Kiedy twój ojciec wrócił z frontu, nie było ani jednego lekarza, który rokowałby mu jakąś nadzieję. A przecież pięknych słówek nigdy im nie brakuje. Ale kiedy chodziło o niego, żadnych. Absolutnie beznadziejne. Wydaje mi się nawet, że on sam dał już za wygraną. A twoja matka nie: ona wierzyła, że pewnego dnia nie będzie już potrzebował fotela na kółkach ani kul – tylko ona jedna! Jeśli o tym zapomniałeś, idź do szopy z narzędziami i przyjrzyj się temu fotelowi na kółkach. Stoi tam jeszcze. Tylko ona jedna wierzyła, że twój ojciec będzie znów taki, jaki był przedtem. Czy naprawdę sądzisz, że może być ktoś, kto by pragnął takiego życia?

Tu umilkł wyczerpany. Wziął filiżankę, chciał podnieść do ust, ale odstawił, gdyż kawa wystygła. Odsunął od siebie jajko i schował z powrotem tabletki do malej srebrnej puszki. Były to zresztą wyrachowane gesty, które miały dodać mocy jego słowom, choć podświadomie czuł, że przez to raczej pomniejsza i dewaluuje swoje wystąpienie w obronie Kamili. Zdawał sobie sprawę, że przekonał Maksa tylko do pewnego stopnia. Bo ten wnuk miał zdolność odsuwania od siebie rzeczy, o których nie chciał słyszeć. Hofmann przejrzał go na wylot i rozumiał to wszystko, gdyż Maks był i pod tym względem do niego podobny. Ale dlaczego tak się uniósł? A jeszcze bardziej zajmowało go pytanie, w jaki sposób mógłby dostać drugą filiżankę kawy, nie narażając przy tym na szwank swej powagi.

– Bardzo mi przykro – rzekł siedzący naprzeciwko niego Maks, pochylając się trochę. – Czy chcesz jeszcze jedną filiżankę kawy?

– Ale jedynie jeśli jest gorąca.

– Zamówię ci gorące mleko.

– Jeśli tak, to niech mi przyniosą filiżankę kawy. Poczekaj. I może jeszcze jedno jajko, bo to już wystygło.

Maks zadzwonił i zjawiała się pokojówka. Życzenia Hofmanna zostały spełnione i dziadek z wnukiem spożywali śniadanie milcząc przez dłuższą chwilę.

– Co tu ma właściwie odbyć się dzisiaj wieczór? – zapytał Maks.

– Jak to co ma być?

– To garden party, które matka urządza.

– Właśnie garden party. Teraz jest na taką imprezę odpowiednia pogoda. Kto wie, jak długo się jeszcze utrzyma.

– Nie ma szczególnego powodu?

Hofmann spojrzał na swój talerz. – Nie wiem o niczym.

– Wobec tego możesz posłuchać, co ci powiem? Mam pewien problem.

– Służbowy?

– Prywatny. Chodzi o kobietę.

– Czy ty masz kiedykolwiek inne problemy?

– Tym razem to jest poważne.

– Również to wydaje mi się dobrze znane. Pozwól, że wyliczę. Tylko w tym roku. Woltyżerka, studentka medycyny i ta dziewczyna z poczty pneumatycznej przy Oberwallstrasse. Wszystko zawsze bardzo poważne. Na pewno jeszcze niejedną zapomniałem.

– Chciałbym się ożenić.

Hofmann westchnął. – Wiesz, co o tym myślę. Ożenić się to początek końca. Wystarczy, jak poczekasz jeszcze z dziesięć lat, nim się unieszczęśliwisz. Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie mieć tyle

„poważnych” tego rodzaju problemów, ile zechcesz, tylko się nie żeń.

– Ale tym razem to ta właściwa.

– Ta właściwa – w takim razie jest jeszcze gorzej, niż myślałem. I mnie się kiedyś wydawało, że to ta właściwa, byłbym gotów strzelić sobie w łeb, gdybym jej nie dostał. Ale ją dostałem i gorzko za to odpokutowałem. Jeszcze dziś drzę ze strachu, kiedy pomyślę, że między nią i mną nie ma więcej niż dziesięć kilometrów odległości. Czasem mi się śni, że ona tu nagle staje i przywłaszcza sobie wszystko... A czy twoja dziewczyna ma przynajmniej pieniądze?

– Czy to miałoby wpływ na twoją opinię?

– Pieniądze to ważna sprawa, nawet bardzo ważna.

– Ona nie ma pieniędzy. Jej rodzice utracili swój majątek. Ale wiesz, że mnie o pieniądze nie chodzi. Ubocznie zarabiam dwa razy więcej niż to, co otrzymuję od matki z tytułu poborów.

Nie było w tym żadnej przesady. Hofmann wiedział o tym, jako jedyny wtajemniczony w prywatne interesy Maksa. Również w tym pozostawał jego nieodrodnym wnukiem: Maks wciąż trzymał dwie sroki za ogon, tak jak on w swoim czasie, tylko że jego wnuk w tych sprawach postępował trzeźwo i mając dopiero dwadzieścia trzy lata posiadał już własny kapitalik. Maks, Hofmann nie miał co do tego żadnych wątpliwości, był geniuszem finansowym. Wprawdzie nie były to konieczne interesy, którymi należało się chwalić. Przeprowadzał spekulacje terenami budowlanymi, a podczas inflacji pośredniczył w sprzedaży za granicę, za holenderskie guldeny albo dolary, wartościowych obrazów, co do których obowiązywał zakaz wywozu. W ostatnim czasie, kiedy pieniądz został znów ustabilizowany, finansował wystawne pokazy mody. Dla Kamili te

prywatne interesy jej najstarszego syna były od dawna solą w oku, a Hofmann, który nie widział nic moralnie zdrożnego w tych transakcjach, a raczej hazard, wciąż na nowo Maksa bronił. Pamiętając o tym, powiedział już łagodniej:

– Czy ja tę twoją dziewczynę znam?

– Nie.

– I ty naprawdę chcesz się z nią ożenić? Czy twoja matka jest przygotowana na coś takiego?

– Właśnie że nie. Dlatego chciałem się z tobą rozmówić. Liczę w tej sprawie na ciebie. Może potrafiłbyś to jej delikatnie wytłumaczyć.

– Nie widzę w tym żadnych trudności. Ona nawet ciebie stale zachęcała, abyś wszystkie twoje dziewczyny przyprowadzał do domu. I matka bywa zawsze bardzo uprzejma w stosunku do nich.

– O tak. Matka jest zawsze specjalnie uprzejma wobec tych dziewczyn. Uprzedzająco grzeczna, uprzejma, ale przeważnie dochodziło wtedy po paru tygodniach do zerwania pomiędzy mną i daną dziewczyną. Ja nie wiem, jak ona to robi. Jest to dla mnie zagadką. A dziewczyny uważają ją zawsze za miłą, nawet szczególnie ujmującą.

– Masz wspaniałą matkę! Zdaje mi się, że to na tym polega. Całkiem automatycznie dziewczęta porównują się z nią i dochodzą do przekonania, że jej nie dorównują. I ze mną tak bywa. Mówię sobie, że twoja matka jest kobietą czterdziestojednoletnią, ale kiedy widzę, jak stoi z tymi dziewczętami, i porównuję, to żadna z nich mi się już nie podoba. Czy chcesz czynić twojej matce z tego powodu wyrzuty?

Maks wstał, zdjął marynarkę z oparcia krzesła i zarzucił ją sobie na ramię. – Jeśli zechcesz wstawić się za mną, to dobrze, a jeśli nie, to i tak

się ożenie.

Hofmann również wstał i wyszedł z pokoju razem z Maksem. Byli już w holu, kiedy jedne z drzwi się otwarły i zjawił się Karol Senger w białym kąpielowym płaszczu frotte, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię i twarzą mokrą od potu. W suterynach znajdowało się bowiem pomieszczenie z leczniczymi przyrządami gimnastycznymi, ścienną drabinką, pierścieniami, ciężarkami do podnoszenia i piłkami, gdzie Senger co rano spędzał pół godziny. Trzy razy na tydzień przychodził do niego masażysta, a w pozostałe dni ćwiczył sam. Nie znosił tam obecności nikogo z rodziny, ale w pobliżu można było słyszeć, z jaką zaciekłością się gimnastykował.

– Dzień dobry, ojciec – powiedział Maks.

– Czy dobrze spałeś? – zapytał Hofmann.

– Wydaje mi się, że pogoda się zmienia. – Senger wytarł sobie ręcznikiem twarz. Jego jasne włosy były trochę przerzedzone, a twarz, lekko zaróżowiona od wysiłku, promieniowała siłą i zdrowiem. Kiedy się go widziało, trudno było sobie wyobrazić, że przez dwa lata nie wstawał z łóżka, a dwa następne spędził w fotelu na kółkach. Wskazał w kierunku otwartych drzwi pokoju stołowego. – Kamila już zjadła śniadanie? Tak? – Potem zwrócił się do syna. – Czy możesz mnie zabrać z sobą do miasta?

– Naturalnie.

– Dobrze. Zaraz będę gotów. Najwyżej za kwadrans.

– A nie chcesz przedtem zjeść śniadania? – zapytał Hofmann, ale Senger szedł już w górę po schodach. Jedną ręką trzymał się poręczy, lecz wydawało się, że robi to raczej z przyzwyczajenia, niż żeby naprawdę tego potrzebował.

– Możesz u mnie poczekać – rzekł Hofmann do Maksa – gdyż chcę ci coś pokazać. – Wziął jeszcze po drodze gazety z jadalni, ponieważ teraz nikt ich już nie potrzebował, i położył je w swoim pokoju na stole, gdzie leżały tygodniki i fachowe czasopisma po kolei ułożone. To, że dzisiejsze dzienniki otrzymał jeszcze nie czytane, usposobiło go pojednawczo. Przeczytana gazeta miała dla niego już tylko połowę wartości, i to nawet kiedy była znowu porządnie złożona.

Potem usiadł przy biurku i wyjął z przegródki list z zagranicznymi znaczkami na kopercie.

– Ojciec musi się zwracać do mnie o podwiezienie – stwierdził Maks. – Matka ma swój wóz, ja mam mój, a on jest uzależniony, czy ktoś z nas go z sobą zabierze.

– Wiesz przecież, że nie wolno mu samemu jeździć – powiedział Hofmann z roztargnieniem, gdyż myślami był już przy liście, który przyszedł przed tygodniem, i Hofmann od tego czasu się nim trapił. Z początku podany w nim termin wydał mu się jeszcze zbyt odległy. Ale teraz nastał już ten dzień i trzeba było coś przedsięwziąć. Podniósł oczy znad listu.

– Dziś jest przecież dwudziesty drugi?

– Tak.

Hofmann wyciągnął list z koperty. – Tylko kobieta potrafi tyle napisać o niczym. Potrzebuje aż trzech stron na to, co można by napisać na pół stronicy. – Tu odchrząknął.

– Twoja ciotka Lu przyjeżdża dziś do Berlina.

– Ciocia Lu z Ameryki?

– Tak. Jeszcze tego brakowało. Jeżeli od razu się nie zabezpieczymy,



to... Dotychczas sama odległość nas przed nią chroniła.

– A co ona pisze? – Maks nagle okazał zainteresowanie. Nie miał wyraźnego zmysłu rodzinnego. Przeważnie zniknął, kiedy jego ciotki przyjeżdżały w odwiedziny, choć zdarzało się to raczej rzadko. Hofmannowi udało się wpoić mu umotywowaną niechęć do babki. Wprawdzie przy okazji oznajmiał swoją gotowość podwiezienia matki do Poczdamu, do zakładu dla szlachetnie urodzonych dam, w którym Emmi Hofmann mieszkała od śmierci pani von Schack, ale sam wtedy czekał na dole w samochodzie. Jeśli jednak chodziło o ciotkę Lu, to było trochę inaczej.

– Przyjeżdża dzisiaj o jedenastej dziesiąt na dworzec Lehrteński i spodziewa się, że ja po nią przyjadę. Nigdy się o mnie nie troszczyła, a teraz mam po nią pojechać i wysłuchiwać wszystkiego...

Ciocia Lu podczas stypy po pogrzebie cioci Lenki w błękitnej sali w Bristolu posadziła Maksa obok siebie, często potem przypominał sobie zapach jej perfum, a przede wszystkim jej szeleszczącą taftową suknię. Maks nosił wtedy jeszcze krótkie spodenki i materiał sukni cioci muskał mu uda, co wprawiało go w bardzo swoisty nastrój, który potrafił wytłumaczyć sobie trafnie dopiero później. Od tego czasu nigdy już nie widział cioci Lu, tylko jej fotografie. Ale owo przeżycie i fakt, że tu w domu mówiono zawsze o niej przyciszonym głosem, podsycalo jego ciekawość.

– List bez składu i ładu.

– Czy mogę go zobaczyć? – I Maksowi wydawało się, że czuje zapach tamtych perfum. – Przyjeżdża sama czy z mężem?

– Sama, mój chłopcze, właśnie w tym sęk. – I Hofmann schował znowu

list do koperty, nie kwapiąc się wcale, żeby pokazać go wnukowi. – Nie wiem, w jaki sposób jej się udało złapać tak miłego człowieka, ale teraz wydaje się, że on ma już jej dosyć.

– Na czym polega twój problem?

Hofmann podniósł oczy na wnuka. – Nie chcę jej tutaj. Mój Boże, Lu w naszym domu! Nie miałbym już ani chwili spokoju. W jeden dzień wszystko by przewróciła do góry nogami.

– A czy nie mówiłeś o tym z matką?

Hofmann podniósł błagalnie ręce. – Och, nie. One obie są jak ogień i woda. Czy ty mógłbyś po nią pojechać?

– Ja? Owszem, dlaczego by nie. W gruncie rzeczy zawsze wydawała mi się bardzo miła.

– Już z tego widać, jaki jesteś nieświadomy, jeśli chodzi o kobiety. Proszę bardzo, za to rozmówię się z twoją matką. Zrobię wszystko, aby dziś wieczór poszło dobrze, ale wyręcz mnie w tym jednym. I słuchaj: ona koniecznie ma zatrzymać się w hotelu. Pieniądzy na pewno dosyć z niego wydusiła, och, co do tego jestem spokojny, tylko w żadnym wypadku jej tu nie przywoź. Obiecuj mi to. Nie daj się skusić! Niczym. Bądź przygotowany na wszystko.

– To brzmi, jakby to był diabeł.

Ze słodyczą anioła. Mój chłopcze, mam nadzieję, że będzie ci coś takiego zaoszczędzone. I proszę cię raz jeszcze, nie daj się uwikłać! A służących możesz ze sobą wziąć od razu dwóch. Widzę już, ile będzie miała kufrów. A teraz idź, nie narażaj twego ojca na czekanie. I pamiętaj o tym, abyś jej tu nie przywiózł, gdyż wtedy będzie koniec z moim spokojem.

Nieco później, kiedy już był sam, Hofmann uświadomił sobie dopiero, z ilu przykrymi sprawami musiał uporać się tego rana. Postanowił zadzwonić, aby przyniesiono mu świeżej kawy, ale tym razem naprawdę gorącej. Przygotował sobie poranne cygaro, obciął je swoim małym scyzorykiem z damasceńskiej stali, bo specjalne przyrządy do obcinania cygar budziły w nim odrazę, i zdjął ostrożnie z cygara opaskę: zbierał je wciąż jeszcze dla Kleinhansa, chociaż uważał, że te opaski nie są już dziś wyrabiane z taką pomysłowością jak dawniej.

Przyniesiono kawę wprost wrzącą; zapalił cygaro, pierwsze i jedyne na ten dzień, i wziął do ręki biuletyn wyścigowy.

Weissensee? Dwanaście koni w pierwszym wyścigu.

Szecherezada – siedmioletnia klacz. Na nią można by postawić. Ale jak ten pocziwiec Schütte powiedział, trzeba mieć zdrowe serce, to najważniejsze. Miał już dosyć powodów do niepokoju w swoim życiu. Ostatecznie należy dbać o swoje serce.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Rozłożyć ręce, zamknąć oczy i sprawnie przemaszerować przede mną. – Lekarz obserwował ruchy mięśni na pokrytych bliznami plecach pacjenta. – Poszło nienagannie. Proszę przejść jeszcze raz z powrotem. Ale nie zbaczać z kierunku. Dobrze. Może się pan ubrać.

Karol Senger wszedł za parawan w kącie pokoju przyjęć. Słyszał, jak cieknie woda, kiedy lekarz mył ręce, potem posunięcie fotela, kiedy lekarz siadał, i trochę później skrzypienie pióra po kartonie karty chorobowej, i to nie lekko i płynnie, lecz jak gdyby ręką, dla której pisanie stanowiło niezwykłą i nie lubianą czynność.

Chirurg był olbrzymim mężczyzną i Karola Sengera bolały jeszcze plecy od chwytów, jakie stosował przy badaniu. Przy tym nie był to ból, który można było dokładnie zlokalizować. Promieniując od karku, ciągnął się przez całe plecy, było to raczej uczucie przytłaczającego ciężaru niż określone bolesne miejsce.

Przez długie lata żył z tymi bólami, tak że stały się dla niego czymś samo przez się zrozumiałym, z czym się już pogodził. Potem, po piątej z rzędu operacji i po uleczeniu, nastąpił okres, w którym wspomnienie o tym bólu było już jakby wymazane, ale od kilku tygodni bóle nagle powróciły, i to tak intensywne, przede wszystkim w nocy, że Senger się budził z uczuciem, jak gdyby leżał na rozpalonym ruszcie.

Zanim zapiął koszulę, spojrzął w lustro, które wisiało na ścianie, i ujrzał w nim wizerunek zdrowego, krzepkiego mężczyzny. Właściwie najstraszniejsze było dla niego to, że uszkodzeń, które go na tak długo przykuły do łóżka, nie mógł zobaczyć. To samo dotyczyło blizn po

operacjach. Znał tylko bóle i czasami wydawało mu się, jakby wszystko istniało tylko w jego wyobraźni i był nawiedzony przez jakieś złe czary. Może owo uczucie łączyło się z tym, w jaki sposób nabawił się tych kontuzji: nie była to rana odniesiona na froncie, lecz wypadek drogowy. W przeciągu dwóch i pół roku służby frontowej nawet najmniejsze draśnięcie mu się nie przydarzyło, a potem, w owym styczniu 1917 roku, jadąc samochodem, którego nawet sam nie prowadził, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi na zlodowaciałej szosie z powodu zbyt szybkiej jazdy.

Powód i przebieg wypadku zatarły się już w jego pamięci. Tym dokładniej wszakże pamiętał, jak wrócił do przytomności w jakimś łóżku w zaciemnionym pokoju. Nie widział na sobie żadnych bandaży i nie czuł nic poza pewną ociężałością w nogach, tak że wydawało mu się nawet, że może zaraz wstać. Zdziwiło go więc, kiedy ręce i nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i nie mógł sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko tym, że przywiązano go do łóżka.

A potem, kiedy zebrał wszystkie siły i spróbował podnieść górną część ciała, rozległ się nagle w pokoju głośny krzyk, aż zdał sobie sprawę, że jest zupełnie sam i że to on krzyczy, a do łóżka przykuł go jego własny bezwład. Później przyszedł także ból i to uczucie, jakby leżał na rozpalonym ruszcie.

– Proszę podejść. – Profesor Hahn wskazał krzesło stojące przed jego biurkiem. – Muszę się przyznać, że pański telefon mnie zaniepokoił. Nie liczyłem się z możliwością pogorszenia. Proszę podejść bliżej, niech pan usiądzie obok mnie. Razi pana słońce? Jeśli tak, to proszę zasłonić firankę. Nie? Muszę przyznać, że przy takich upałach, ponad dwadzieścia pięć

stopni w cieniu, czuję się szczególnie dobrze. Przypomina mi to czasy, kiedy byłem w Nkongsamba. To był kraj! Najlepsza na całym świecie kawa pochodziła stamtąd. Czy wolno mi poczęstować pana filiżanką?

– Dziękuję pięknie.

– Tak czy nie?

– Nie.

W pokoju przyjęć doktora Hahna od razu wówczas zwróciły uwagę Karola Sengera afrykańskie maski wiszące na ścianach. Do września 1914 roku, to znaczy do okupowania tej kolonii przez Francuzów i Anglików, Hahn był lekarzem w Kamerunie, gdzie jego ojciec budował tak zwaną bananowo-kawową kolej od Bonaberu do Nkongsamba.

Lekarz odsunął na bok kartę choroby, jak gdyby już nie była potrzebna, i zapytał: – Proszę dokładnie powiedzieć, od jakiego czasu nastąpiło pogorszenie?

– Od kilku tygodni.

– I jakie właściwie są tego objawy? Czy tępy ból w nogach?

– Nie.

– A może w rękach? Niech pan poruszy ręką.

– To nic określonego, raczej poczucie ogólnego bezwładu. Pewne niedomogi po długim siedzeniu, jak gdybym w następnym momencie miał się złamać, wyrażając się niefachowo. Ale to wszystko nie jest takie straszne. Najgorszy jest znowu ten dawny lęk w nocy. Budzę się i czuję, że jestem znów sparaliżowany. A niekiedy zdarza mi się to i w dzień. Siedzę w moim biurze i wydaje mi się, że nie potrafię już wstać z krzesła...

– Czy Fricke przychodzi nadal regularnie, aby pana masować?

– Tak.

– Czy pan wykonuje przepisane ćwiczenia?

– Oczywiście.

– Żadnych eksperymentów? Myślę o tenisie czy konnej jeździe?

– Nie!

– Żadnych długich wycieczek samochodowych? – Lekarz stawiał te pytania nie po to, aby otrzymać odpowiedzi, lecz aby zyskać na czasie, móc obserwować przy tym pacjenta i do pewnego stopnia przejrzeć go na wylot, tego szczególnie krzepkiego i świetnie wyglądającego na swoje pięćdziesiąt jeden lat mężczyznę, opalonego i sprawnego fizycznie jak prawdziwy sportowiec, który spędza wiele godzin na korcie tenisowym.

– To jest dla pana chyba jasne, że pewne niedomogi mogą występować wciąż na nowo, a do tego i pewne newralgiczne dolegliwości, zwłaszcza przy zmianach pogody. Ale przypuszczalnie nie ma pan tego na myśli, mówiąc o pogorszeniu.

– Nie, tego nie myślę.

– Dobrze.

Profesor Hahn wstał. – No to przyjrzyjmy się wspólnie zdjęciom.

Lekarz zapalił światło za ekranem, przed którym wisiały trzy zdjęcia rentgenowskie.

– To sprzed dwóch lat, to drugie sprzed roku, a to trzecie wykonaliśmy dzisiaj rano. Tutaj, C 5/6, się to zaczyna i te poprzeczne zgrubienia na siódmym kręgu szyjnym, stąd te bóle, które pan niekiedy odczuwa, aż do przegubu ręki. Ale nie zamierzam wcale wchodzić w szczegóły. Uważam, że to nie wygląda całkiem normalnie, o tym wiemy. Ma pan w końcu za sobą pięć operacji. Oto co chciałbym panu pokazać: proszę porównać nowe zdjęcie z dawniejszymi. Czy dostrzega pan jakąś różnicę?

Obaj mężczyźni stali obok siebie przed zdjęciami, lekarz prawie o pół głowy wyższy od swojego pacjenta.

– Skądże znowu, nie jestem fachowcem.

– Nie. Tym się pan przede mną nie wykręci. A więc jeszcze raz, o tu... tu... tu... Na czym polega różnica?

– Ja właściwie nie widzę żadnej.

– Bardzo dobrze! Nie może pan widzieć różnicy, gdyż nie ma żadnej! Żadnych objawów pogorszenia. Wprost przeciwnie. Dobrze zrosnięte blizny, świetna regeneracja tkanek. Widzi pan to cięcie, przed trzema laty zabliznienie było jeszcze tak szerokie, a teraz to cieniutki szew. Blizny coraz bardziej się zrastają, a to znaczy, że właściwie i bóle powinny coraz bardziej zanikać. – Tu wskazał na inne miejsce. – Wszędzie to samo. Widać, jak zniszczone tkanki wracają do normy.

– No to skąd moje dolegliwości?

Lekarz zgasił światło i wrócił na swoje miejsce za biurkiem, zaczekał, aż Senger znów usiadł. Czuł, że zdjęcia nie przekonały i nie uspokoiły Sengera. Zresztą i jego samego również. To udowadnianie przy pomocy zdjęć samo się narzucało, ale objawy, na jakie Senger się skarżył, wskazywały na inne źródło zła.

Mimo to lekarz orzekł:

– A więc wszystko w najlepszym porządku. Rzeczywiście, co mam więcej powiedzieć. Może pan być zadowolony. Pan, oceniając wszystko razem, cieszy się świetnym stanem zdrowia. Niejeden mężczyzna pięćdziesięcioletni mógłby panu pozazdrościć witalności. – Lekarz czuł, że lekko przesadza, ale czynił to umyślnie.

– Może panu takim się wydaję.



Lekarz wziął do ręki drewniany totem, który leżał na jego biurku. Był to zresztą tylko odłamek dużej figury, ciemny, gładko wypolerowany kawałek drewna ze śladami białego i czerwonego malowidła. Objął go swymi wielkimi rękoma niemal tak, jakby chciał wycisnąć ukrytą w nim siłę.

– Niech pan mnie nie martwi, panie Senger. Tak jak pan tu przede mną siedzi, jest pan cudem medycyny. Niech pan sobie przypomni, jak to było przed pięciu laty. Pańska małżonka przywiozła tu pana w fotelu na kółkach. Był pan kaleką, proszę mi wybaczyć, bezwładnym kaleką. Co najmniej tuzin moich kolegów uznało pana stan za nieuleczalny. Naszpikowali pana narkotykami, nic poza tym. Pamięta pan? – Tu wskazał kawałkiem totemu na plik kart chorobowych Sengera. Nie potrzebował długo szukać, gdyż znał datę na pamięć. – Szesnastego marca 1919 roku był pan pierwszy raz u mnie. – Poszukał wzroku Sengera i wtedy powiedział coś, czego w ciągu tych wszystkich lat, kiedy Senger był jego pacjentem, nigdy nie poruszał:

– Krótko przedtem usiłował pan odebrać sobie życie, prawda?

Pierwszą reakcją ze strony Sengera było zaprzeczenie, ale to, co Hahn powiedział, odpowiadało prawdzie: co najmniej z tuzin lekarzy go leczyło i bardziej czy mniej wyraźnie dawali mu do zrozumienia, że stanowi beznadziejny przypadek. Mogli go zachować przy życiu. Mogli różnymi lekarstwami łagodzić jego cierpienia, ale on i tak pozostanie bezwładny. Z początku Senger odczuwał po prostu wdzięczność za to, że jeszcze żyje. Ale kiedy stało się dla niego jasne, że dalsze jego życie będzie tylko wegetacją, nie miało ono już dla niego ani wartości, ani sensu, i dlatego chciał z sobą skończyć.

– Miałem wtedy specjalne powody – powiedział.

– Wiem albo raczej domyślam się.

– Ona była młodą kobietą, a ja, jak pan to określił, kaleką.

– Dobrze, że pan to sobie przypomina. Stanowił pan rzeczywiście beznadziejny przypadek. I ja także nie miałem żadnych podstaw czynić panu wielkich obietnic. Moja metoda operowania była nowa i w kilku wypadkach zawiodła. Ryzyko z pana strony było większe niż z mojej. I pan wziął je na swoją odpowiedzialność!

– Ja właściwie nic nie ryzykowałem. A odwrotnie, miałem nadzieję...

– Miał pan nadzieję, że pan ze stołu operacyjnego już nie wstanie... również i to nietrudno było odgadnąć. Ale potem pan mi dopomógł. Sama operacja nie wystarczyłaby, aby pan powrócił do zdrowia. Rozstrzygnęła sprawę na nowo obudzona w panu wola, żeby stać się znów zdrowym człowiekiem. Czy pan chce usłyszeć ode mnie całą prawdę? Wydaje mi się, że znowu znaleźliśmy się w podobnym stadium.

– Możliwe. Tak, może również dziś myślę, że byłoby lepiej, gdybym wówczas do pana nie trafił. Bo moja żona...

Niech więc pan wreszcie powie, że wolałby pan, żeby pańska małżonka pozostawiła pana swojemu losowi. Pan powinien być wdzięczny za to, że wsiadła wtedy do pociągu i pojechała na front, aby pana stamtąd wydostać. Za to, że ona nigdy nie zrezygnowała. Że zawsze wierzyła więcej od nas wszystkich, że pan będzie znów zdrowym mężczyzną. Wybacz mi pan, ale jeżeli jest coś, czego nie znoszę, to litości nad samym sobą. Jestem gotów wskrzesić do życia umarłego, ale jestem nieodpowiednim lekarzem dla zdrowego, który sam z siebie rezygnuje. Jak to już raz powiedziałem, jest pan znowu w stadium, w którym tylko sam

może sobie pomóc.

Zapadło milczenie i wydawało się niemal, że rozmowa została zakończona, chociaż coś zmuszało Sengera, aby się lekarzowi zwierzyć. Właściwie przyszedł tylko po to, aby się wygadać. Sytuacja była absurdalna, bo zwykle Senger nie miał takich zahamowań i słowami mógł wszystko wyrazić, miał do tego wrodzone zdolności, gdy jednak chodziło o niego samego, ogarniała go niemal nieprzewyciężona nieśmiałość. Wtedy pozostawało mu już tylko liczyć na pomoc innych, na to, że ktoś wyjdzie mu naprzeciw i przerzuci do niego most. Twarz lekarza pozostała kamienna, miał ręce wysunięte daleko do przodu, jakby chciał powiedzieć: tylko nimi mogę panu pomóc, niczego więcej nie może się pan spodziewać. Mimo to właśnie te ręce skłoniły Sengera do mówienia.

– Widzi pan, byłem zawsze człowiekiem... jak mam to określić, człowiekiem aktywnym. Ja tego potrzebuję, czuję się dobrze tylko wtedy, kiedy jestem w ruchu. Może pan o tym nie wie, że na początku byłem komiwojażerem i w gruncie rzeczy pozostałem nim zawsze. Być ciągle w drodze, dziś tu, a jutro tam, werbować grupę innych agentów, wdrażać ich, zdobywać nowy, trudny rynek i pokonywać konkurencję. Dopóki mogłem to robić, byłem w swoim żywiole. W ten sposób w pierwszych latach doprowadziłem moją firmę do rozkwitu. Byłem niczym i nic nie posiadałem. Taki był mój kapitał zakładowy. A teraz... już nie byłbym w stanie dokądkolwiek się wybrać.

I tak by już pan tego nie robił, prawda? Przy wielkości, do jakiej rozrosła się pana firma, prawdopodobnie już by pan sam nigdzie nie jeździł. Czy pojmuję to właściwie? Być może od czasu do czasu, ale na pewno nie należałoby to do pana głównych obowiązków. Wprawdzie nie

bardzo się w tych sprawach orientuję, ale przypuszczam, że to nie jest inaczej jak w mojej klinice. Im cały aparat staje się większy, tym bardziej muszę sobie wprost wykradać czas na dokonywanie operacji. Krzątania administracyjna. I u pana nie może być inaczej. A teraz buduje pan tu w Berlinie, jak o tym czytałem, nową fabrykę i nowy budynek biurowy?

– Tak, istotnie budujemy. Będę miał przepiękny gabinet. I będę tam siedział i pytał sam siebie, co mam tu właściwie do roboty? Co mógłbym zrobić lepiej od niej?

– Teraz niech pan dobrze wysłucha, co powiem: czy wysuwa pan to jako zarzut wobec pańskiej żony? Bo cóż innego jej pozostawało wtedy, niż o wszystko się troszczyć? A w końcu musiała wszystko sama robić, ponieważ pan...

– Ponieważ byłem już do niczego. Teraz sam pan to przyznaje. Tak. Wiem, co jej zawdzięczam. To jest wspaniale mieć taką dzielną żonę, ale nie zawsze jest łatwo czuć się wrakiem.

– Obawiam się, że wkraczamy tu w dziedzinę, gdzie nie mogę panu nic pomóc. Były już takie rafy i takie czarne dni, kiedy pan tak samo mówił. Myślałem, że już się z tym skończyło raz na zawsze. Naprawdę, panie Senger, na to nie mogę już nic więcej powiedzieć. Rozwiązanie tego problemu musi pan sam znaleźć. Niech pan coś zrobi! Jeśli o mnie chodzi, to niech pan odsprzeda swoją firmę.

– O czymś podobnym już myślałem.

– No więc – profesor Hahn wstał. – Jest zawsze jakieś wyjście, jeśli się tylko chce. U pana przeszło to po prostu w jakąś idee fixe. To czyste samoudręczenie. A przede wszystkim niech się pan rozmówi z żoną. Pan nigdy tego nie robił, prawda?

– Nie.

A więc niech pan to zrobi. A następnym razem, sądzę, wypije pan ze mną filiżankę kawy. Ja każę sobie zawsze specjalnie palić. To zachodnioafrykańska kawa, takiego ziarna nie dostanie pan nigdzie w całym mieście. Na miłość boską, panie Senger, czego pan jeszcze oczekuje od życia? Niech pan spojrzy na mnie: nazywają mnie znakomitością. Jestem obwożony po kongresach. Ale czuję się tam głupio i nieswojo. Mogę sobie na wszystko pozwolić, ale co mnie cieszy? Taka filiżanka kawy po dokonanej operacji. Nic ponadto. No i nie mam takiej żony jak pan!

Odprowadził Sengera aż do obitych ceratą drzwi, tam jeszcze na chwilę przystanął. – Pan mi coś wyznał, czego nikt łatwo nie wyznaje. I ja chcę panu coś wyznać i proszę, żeby pan mnie źle nie zrozumiał. Jestem zatwardziałym starym kawalerem, pan o tym wie. Ale jeśli chodzi o pańską żonę, to nieraz o tym myślałem, co bym zrobił, gdyby była do wzięcia? Ale ona na zawsze przy panu została. Niech pan się dobrze zastanowi dlaczego.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Na lewo w jej polu widzenia znajdował się kanał. Widok był niemal idylliczny. Ciężko załadowana barka do przewożenia towarów płynęła w kierunku Sprewy, głęboko zanurzona w wodzie. Bielizna była rozwieszona z tyłu za domkiem na pokładzie, a wzdłuż relingu biegał pies tam i z powrotem. Na Wybrzeżu Görlitzkim stało kilku wędkarzy. Jeszcze nigdy Kamila nie widziała, żeby który z nich coś złowił, choć prawdę mówiąc nigdy nie wyglądała bardzo długo przez okno. Całkiem na prawo widać było trójkąt kolei nadziemnej, jakby żelazną pajęczą siatkę z szyn, ale w tej chwili i to jej specjalnie nie interesowało. Całą uwagę Kamili przykuwało to, co znajdowało się bezpośrednio naprzeciwko: plac budowy z wykopanymi dołami na pierwszym planie i pobojuwiskiem gruzów oraz sterczących wzdłuż i wszerz belek, gdzie zburzono starą fabrykę i dawny dom mieszkalny. Tylko jeden mur stał jeszcze i Kamila skierowała swój wzrok na duży reklamowy wizerunek „śmiejącej się praczki”. Żółty dźwиг stał tam jeszcze na posterunku, potężna żelazna kula zwisała z jego obrotowego ramienia i została teraz wprowadzona w ruch wahadłowy.

Kamila poczuła pewne zniecierpliwienie podczas przyglądania się temu. Kula uderzyła w mur raz i drugi bez żadnego skutku, jakby była tylko gumową piłką, ale potem, zanim jeszcze kula za trzecim razem powróciła wahadłowym ruchem, mur drgnął i cała fasada zawałiła się. Kiedy chmura kurzu opadła, nie było już nic widać poza górą cegieł.

Ale widok burzenia nie miał dla Kamili nic deprymującego, przeciwnie, wprawiał ją niemal w stan euforii, gdyż dostrzegała w tym nie jakiś koniec, lecz początek czegoś nowego. Tam, gdzie ongiś stały

pierwsze kotły do mydła za czasów jej ojca, wkrótce wyrosną mury nowej fabryki. Myśl, że kiedyś tej okolicy i wszystkiego, co miało coś wspólnego z mydłem, nienawidziła, nie przyszła jej teraz do głowy. Dla niej ten moment oznaczał po prostu, że koło się zamknęło. Kamila znów z powrotem jest w Berlinie.

Odwróciła się od okna. Jej biuro było skromnie, niemal prowizorycznie urządzone, i znajdowało się na czwartym piętrze dawnej fabryki wyrobów tekturowych. Podczas inflacji udało się jej nabyć ten budynek wraz z terenami i nieruchomościami, należącymi dawniej do posiadłości Hofmanna. Po przeniesieniu się do domu w Steglitz umieszczono tu biura firmy, choć dział produkcji pozostał nadal w Neustrelitz, ale od początku nowa budowa była zaplanowana, i to w dwóch etapach, najpierw nowa fabryka na dawnym terytorium Hofmanna, a potem budynek administracyjny.

Od kilku dni Kamila miała już makietę w swoim biurze. Przystanęła teraz na chwilę przed nią. Położenie było idealne, z bezpośrednim połączeniem toru kolejowego z dworcem Görlitzkim, z bezpośrednim dostępem do komunikacji wodnej i ponadto z tanią wodą chłodzącą z kanału.

Kamila wróciła do swego biurka. W biurze było upalnie, ale nie można było otworzyć okien, gdyż od razu miała w pokoju pełno kurzu, który powstawał przy burzeniu, i hałasu maszyn. Wzięła materiały do rozmowy z bankowcami i zaczęła je opracowywać, robiąc notatki, potem nacisnęła dzwonek, który przywołał z sąsiedniego pokoju pięćdziesięcioletnią kobietę z falującą chłopięcą czupryną.

Pani Palleck, jak nazywała się ta kobieta, pracowała już od wielu lat

u Kamili. Dawniej była urzędniczką w urzędzie skarbowym w Neustrelitz i Kamila ją stamtąd zaangażowała, przekonawszy się w nader nieprzyjemny dla firmy sposób o jej sprawności. Ta pani Palleck opracowywała sprawy podatkowe, ale nazywała siebie sekretarką szefowej, ponieważ ona wyznaczała terminy rozmów i kierowała maszynistkami. Wpadła do pokoju jak zawsze szybkim krokiem, z dwiema grubymi teczkami pod pachą. Cierpiała na bóle w biodrach i musiała nosić obuwie ortopedyczne, lecz kompensowała te swoje niedomagania specjalną ruchliwością.

Kamila wskazała na materiały leżące na biurku.

– Czy mój syn jeszcze ich nie przejrzał? Nie widzę nigdzie jego cyferki.

– Owszem, wczoraj je przeglądał. Podcyfrował ostatni arkusz. Muszę przyznać, że niejedno jeszcze tam znalazł, czego bym nawet ja nie zauważyła. Będziemy mogli jakieś sto tysięcy zaoszczędzić na podatkach. To istny geniusz w tej dziedzinie.

Kamila odłożyła na bok obie te czki.

– Podpiszę pocztę później.

Ale pani Palleck potrząsnęła głową. – Wtedy poczta nie odejdzie na czas, w piątek. A za pół godziny przyjdą inspektorzy z urzędu gospodarki wodnej w sprawie podatków. Potem o dwunastej trzydzieści musi pani pójść na spotkanie z panami z banku. Stolik został zarezerwowany. Poza tym pani matka już dwa razy dzwoniła. Nie chciała mi wyjawic, w jakiej sprawie. Zadzwoń znowu, ale nie wiem, czy uda mi się po raz trzeci ją zbyć... Pani przecież wie, jaka ona jest uparta.

Kamila zaprotestowała:



– Jeśli w ogóle jest jakaś możliwość, to proszę, aby nie dzisiaj. – Zaczęła już podpisywać oryginały i kopie, które pani Palleck po kolei jej podawała. Kamila właściwie nigdy nie zwracała uwagi na swój podpis, ale teraz nagle uderzyło ją, że w ciągu lat ten podpis się zmienił i upodobił do złudzenia do podpisu jej męża, podpis Kamila Senger był połączony w jedno słowo, zupełnie jak jego: Karol Senger. Te same początkowe litery ich imion nie były tego powodem, podobieństwo sięgało głębiej, aż do wyciągniętego do góry zakrętasa, jakim „r”, ostatnia litera nazwiska Senger, kończyła podpis.

Kamila przerwała te rozmyślania i zaczęła się wsłuchiwać.

– Czy to nie mój mąż?

– Tak, to może być on.

Skończyła podpisywać pierwszą teczkę i odsunęła drugą na bok.

– To podpiszę później. Niech pani mi powie, czy został zainstalowany wentylator w gabinecie mojego męża?

– Jeszcze wczoraj wieczór, zgodnie z pani poleceniem.

Kamila wstała. – Niech dziewczęta zaparzą herbatę. Ma być zimna, dużo cytryny i mało cukru, w termosie. Ja będę u męża.

Po odejściu pani Palleck Kamila wzięła materiały potrzebne do rozmowy z panami z banku i wyszła na korytarz. Było tam dość ciasno z powodu szaf z aktami, które wstawiono pomiędzy drzwi i okna. W całym domu panowała taka sama prowizorka – dawne meble, ciasne pomieszczenia i zbyt wielkie odległości – po prostu rozwiązanie przejściowe, aż do skończenia budowy nowego budynku administracyjnego. Tylko gabinet jej męża, znajdujący się na samym końcu korytarza, Kamila kazała wtedy na nowo kompletnie urządzić. Było

to przed piątą i ostatnią operacją, jak gdyby chciała przez to sprawić, żeby mąż wkrótce znów objął swoje miejsce i wziął na siebie odpowiedzialność, która tak długo ciążyła na jej ramionach. Przed drzwiami zawahała się na chwilę. Wewnątrz panowała cisza i Kamila wiedziała, jaki widok ukaże się jej przy wejściu: jej mąż za masywnym biurkiem, które o tej godzinie było tak samo uporządkowane, jak wczoraj wieczór. Zapukała, przyzwyczała się do tego jeszcze w czasie jego choroby.

Zastała wszystko tak, jak tego się spodziewała: mąż siedział przed biurkiem istotnie pustym, poza kalendarzem, telefonem, kilku gazetami i przyborami do pisania, które wciąż jeszcze wyglądały na nowe, jakby były dopiero co rozpakowane i ustawione.

Wstał natychmiast i wyszedł na spotkanie, aby ją przywitać.

– Wcześniej się zerwałaś dziś rano.

Wiesz przecie, że to piątek, a poza tym po południu muszę jeszcze coś załatwić w związku z dzisiejszym wieczorem. – Położyła teczkę, którą przyniosła z sobą, na jego biurku. – Oto materiały do rozmowy z bankiem i preliminarz kosztów budowy oraz plan ich sfinansowania. Chciałabym, żebyś to przedtem przejrzał. Ale najpierw powiedz mi, jak było u lekarza?

– Mógłbym sobie tej wizyty zaoszczędzić. – W tym pokoju, który miał okna z obu stron, było jeszcze goręcej niż w jej gabinecie.

Senger podszedł do okna, otworzył je i natychmiast znowu zamknął, kiedy rozległ się warkot generatora.

– Kazałam wbudować ci wentylator.

– Widziałem. Bardzo dziękuję.

Powiedział to ceremonialnie, niemal jak do kogoś obcego. Kamila

znała już taki jego nastrój. Ze swoich wizyt u lekarza zawsze powracał w takim usposobieniu. Przyjrzała mu się, jak tam stał i wyglądał przez okno, z lekko uniesionym ramieniem i rękoma przyciśniętymi do tułowia. Jakże dobrze znała tę pozycję obronną. Jego pragnienie, by pominąć milczeniem wszystko, co miało jakąś styczność z jego chorobą, zawsze respektowała, ale od pewnego czasu pytała sama siebie, czy to jest słuszne.

– Co ci powiedział?

– Znasz go przecież.

Senger opuścił swoje miejsce przy oknie i wrócił do biurka, jakby czuł się tam bardziej bezpieczny.

– Wygłosił mi prelekcję o zaletach pewnych gatunków kawy.

– Na pewno nie tylko to.

– A więc proszę. Zdjęcia rentgenowskie nic nie wykazały. Moje niedomogi – to wytwory wyobraźni. Jesteś zadowolona? W jego oczach jestem kompletnie zdrowym mężczyzną. Może nawet trochę bardziej zdrowym niż inni w moim wieku.

Również i ten agresywny ton znała dobrze. Mąż uciekał się do niego, aby się odizolować, i na to zawsze mu pozwalała. Mężczyzna, który tak długo był bezradnie przykuty do fotela na kółkach i który poza tym nigdy nie pozwalał sobie na słowo skargi, musiał od czasu do czasu tak reagować. Ale i w tym przypadku Kamila zastanawiała się, czy już nie za długo pomijała ten fakt milczeniem.

– Być może doktor Hahn ma rację – powiedziała.

– Jeśli tak, to jesteście co do tego zgodni.

Kamila zauważyła, że mąż coraz bardziej się wycofuje i staje się jeszcze bardziej nieosiągalny. Z zewnątrz dochodziły do gabinetu coraz

głośniejsze hałasy z placu budowy, i to pomogło jej przebrnąć przez ten moment: nowa fabryka była tym czarodziejskim słowem, które dotąd zawsze działało jeszcze we wszystkich ciężkich godzinach. Patrząc naprzód, zabierać się do najbliższego zadania, ale od pewnego czasu zauważyła, że była już u kresu sił.

Podeszła do męża i położyła mu rękę na ramieniu. – Jaki popełniamy błąd, Karolu? Bo my ostatnio popełniamy błędy.

Podniósł na nią oczy. Właśnie myślał o ostatnich słowach lekarza. Istotnie, dlaczego ona go nie opuściła? To pytanie już mu nie dawało spokoju. Dlaczego sam nie zadał sobie tego pytania? Ale zamiast tego powiedział: – Nigdy nie przyszło by mi na myśl, że ty mogłabyś popełnić jakiś błąd.

Kamila cofnęła się o krok. – Bardzo dużo ode mnie żądasz.

– Przepraszam, nie mówmy już o tym.

– Oboje popełniamy jakiś błąd.

– Powiedziałem, że przepraszam. Nie powinienem był chodzić do doktora Hahna. Może weźmy się lepiej do przejrzenia tych materiałów.

Nagle stojący na jego biurku telefon zadzwonił. Senger nie zabierał się wcale do podniesienia słuchawki, lecz powiedział:

– To na pewno do ciebie.

Ale potem podniósł słuchawkę, przyłożył ją do ucha i rzekł z niemal proszącym o przebaczenie uśmiechem: – To do ciebie.

Telefon został już przełączony i potok słów matki ją zalał, aż wreszcie mogła przerwać: – Tak, mam dwa bilety do... Naturalnie. Dlaczego zdaje ci się zawsze, że o tobie zapominają... Dwa... Nie, na parterze, piąty rząd... Słuchaj, co mówię... Wszystkie bilety były już rozprzedane... Bardzo mi

przykro, ale zdobyć te dwa bilety to było dla mnie... Jeśli mi nie dasz powiedzieć do końca, nie będę mogła ci tego wytłumaczyć.

Przedstawienie jest wykupione! A zresztą w piątym rzędzie na parterze będziesz mogła jeszcze lepiej widzieć... Nie, nie loża... Mówię ci po raz ostatni... Przedstawienie jest wykupione na kilka tygodni naprzód... Nie... A więc decyduj się, chcesz te bilety czy nie? A więc dobrze, dlaczego zaczynasz zawsze grać komedię... Nie, nasz szofer nie może po ciebie przyjechać. W niedzielę również szofer ma wolne... Dobrze, zapłacę taksówkę... Co proszę? Muszę się najpierw zastanowić. A teraz przepraszam... Dziś wieczór zadzwonię... No i co jeszcze? W to już nie uwierzę. Pani Palleck nigdy by się do ciebie głupio nie odezwała, jak ty to nazywasz. Miała tylko ode mnie dokładne polecenie, żeby nie przełączać żadnych rozmów... Nie, z tobą również... – Kamila na chwilę odsunęła od ucha słuchawkę i słycać było tylko jakiś cienki głos, płaczliwy, niemal szlochający, który wszakże szybko przeszedł w twardy jazgot.

– A więc do dziś wieczór – powiedziała na zakończenie Kamila – tak, naturalnie, jeszcze się nad tym zastanowię. – Kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła, że podczas rozmowy z matką wystąpił jej pot na czoło. Przynęła sobie krzesło i usiadła.

– Skargi, zarzuty, wymagania, ona nigdy nie zmieniła tej swojej metody.

– A czego chciała?

– Chodziło o dwa głupie bilety do teatru.

– Nie, chodzi mi o to, co powiedziała na końcu.

– Powiedziała, że musi bezwarunkowo pojechać na cztery tygodnie do wód w Neuenahr, bo inaczej tego roku nie przeżyje. Zresztą wyglądała

kwitnąco, kiedy byłam u niej po raz ostatni. Ma tam naprawdę wszystko – no i o pięćdziesiąt kilo za dużo.

– Mogłaś równie dobrze od razu się zgodzić. Bo w końcu zawsze ustępujesz i płacisz wszystkie jej specjalne wydatki, podróże i kuracje.

– A czy mam jakieś inne wyjście? Ona straciła przecież wszystkie swoje pieniądze. – Kamila spojrzała na męża, czyż on nie czuje, jak to wszystko wyczerpuje jej siły? Dlaczego nie może wstać, otoczyć jej ramieniem, tylko to, nic więcej, na znak, że ją rozumie.

Zapukano do drzwi i jedna z dziewcząt wniosła mrożoną herbatę. A kiedy byli znów sami, Kamila powiedziała:

– A więc dobrze, pomówmy o planie finansowania budowy. Kiedy spojrzysz na pierwszą stronicę kosztorysu, znajdziesz tam najważniejsze liczby. Zresztą mamy się spotkać z tymi panami z banku o dwunastej trzydzieści.

– Czy ja muszę być przy tym?

I na to pytanie Kamila była przygotowana. Zawsze omawiali z sobą wszystko i wspólnie podejmowali decyzje, ale jeśli chodziło o nową budowę, to Senger potrafił od początku tak urządzić, że przy ważnych pertraktacjach zawsze był nieobecny. Już przy zakupie terenu tak było, że nie zjawił się u rejenta, aby położyć podpis. Przed rozmowami z architektem za każdym razem skarżył się, że miał bardzo ciężką noc. Również obok makiety w jej biurze przechodził zawsze tak, jakby w ogóle nie istniała.

– Uważam, że powinieneś być przy tym. Chodzi o kredyt w wysokości czterech milionów, chociaż w ratach. Musimy się tego podjąć. Nowa fabryka jest nam potrzebna. Chociaż obciążenia w najbliższych latach

będą dość wysokie.

– Ale sprawa jest przecież ostatecznie zdecydowana, prawda? Bank właściwie już się zgodził – rzekł Senger wertując akta.

Kamila trzymała wciąż jeszcze szklankę herbaty w rękach. Ręce jej były gorące, twarz rozgrzana, ale czuła wewnętrzne zimno. – Uznałeś preliminowaną zwyczaję obrotów za realną. Jeśli tak, to musimy fabrykę powiększyć.

Senger uniósł oczy znad przeglądanych papierów.

– Zwiększać. Wciąż na nowo dochodzimy do tego punktu, prawda? A czy postawiłaś już sobie kiedyś pytanie... po co?

– Nie. Tego pytania nie stawiałam sobie nigdy. Czy myślisz, że mogłabym tego wszystkiego dokonać, gdybym stawiała sobie to pytanie? Zawsze brałam pod uwagę ciebie oraz, naturalnie, dzieci.

Mnie nie bierz pod uwagę. A synowie? Co daje ci tę pewność, że w przyszłości będą nasze przedsiębiorstwo rzeczywiście dalej prowadzić? Jeśli chodzi o dzieci, to nic się nigdy nie wie. Być może mają one całkiem inne plany. Maks na przykład już dziś chodzi własnymi drogami. Czy możesz w nie wnikać?

– Na razie idzie o nas, to znaczy o ciebie. Ja nie mogę sama ponosić całej odpowiedzialności. I zresztą wcale tego nie chcę. Musisz się do tego przyzwyczaić, że znowu za wszystko odpowiadasz. Jakżeż często jużśmy o tym mówili.

– Tak, chyba aż nazbyt często. I dlatego chciałbym ci coś innego zaproponować.

– A więc? – Odstawiła szklankę i spojrzała na męża z napięciem. Pierwszy raz od dłuższego czasu występował z własną propozycją.

– Ten kredyt bankowy to pięknie i ładnie. Moglibyśmy temu poddać. Trzy, cztery surowe lata, zależnie od ogólnej sytuacji gospodarczej. Widzę w niej kilka niepewnych czynników. Być może bezrobocie jeszcze się zwiększy. Na pewno jednak będziemy musieli sprostać większej konkurencji.

– Nigdy tego dawniej się nie bałeś.

Senger opuścił głowę i nieznacznie obracał ołówkiem w rękach.

– Dawniej byłem innym człowiekiem.

– Dlaczego coś takiego mówisz?

– Bo tak jest. Ale zostawmy to. Wiesz, że nie jesteśmy już sami na rynku. Urosła nam konkurencja od zewnątrz, najpierw Anglicy, a teraz jeszcze Holendrzy. Skupują fabryki, jakie tylko mogą dostać, i oddaje się je im za pół darmo.

– To był jeden z powodów, aby zbudować tę drugą naszą fabrykę tu, w Berlinie.

– Lecz to dopiero początek. To są przedsiębiorstwa w skali światowej, Kamilo. Będą nadal skupywać i pchać się na rynek. To nie tacy konkurenci, jakich mieliśmy dotychczas. Oni pracują tymi samymi co my metodami, tylko że postępują przy tym jeszcze przebieglej niż my. Oni nie zadowolą się drobnym udziałem w rynku. Oni chcą zdobyć cały rynek. Będą próbowali przycisnąć nas do muru, a mają ku temu najlepsze warunki: wystarczający kapitał, pomysłową reklamę i dobre produkty. Oprzeć się temu nie będzie łatwo. Do tego potrzebny jest ktoś, kto, muszę to niestety powiedzieć, jest w pełni sił.

– Chciałeś wysunąć jakąś propozycję?

– Tak. Wydaje mi się, że powinniśmy przyjąć do naszej firmy



wspólnika. Czy jestem winien bankowi pieniądze, czy też przyjmuję do firmy wspólnika, nie widzę w tym żadnej różnicy. Wprost przeciwnie, uważam, że w dzisiejszej sytuacji wyszłoby to tylko na naszą korzyść. A więc w ostatnim czasie przeprowadziłem na ten temat kilka rozmów.

– Nigdy mi nic o tym nie wspominałeś. – Kamila zmusiła się do zachowania spokoju. Najważniejsze było to, że obudziło się w nim znowu zainteresowanie. – Cichy wspólnik? Dlaczegoż by nie. Ale czemu występujesz z tym dopiero teraz, w ostatniej chwili?

– Nie byłem pewien, czy nie będziesz od początku temu przeciwna. Chciałem też najpierw mieć konkretną propozycję.

– I masz taką?

– Tak. Od Holendrów. I to nawet dość szeroko zakrojoną. Moglibyśmy zbudować fabrykę, nie biorąc ani feniga z banku. Odpadłoby więc obciążenie odsetkami. Byłoby nam lżej oddychać.

– A jaki jest w tym haczyk?

– Ja nie widzę żadnego, ale ty może inaczej to osądzisz. Proszę cię tylko o jedno, weź pod uwagę, że przede wszystkim myślałem przy tym o tobie.

Kamila wstała.

– A jaki jest w tym haczyk?

Senger otworzył szufladę biurka i wyjął kilka luźnych szepionych z sobą stron maszynopisu. – Czy nie chcesz najpierw zobaczyć, jak ta propozycja wygląda w szczegółach?

– Czego oni chcą?

– Otóż stawiają pewien warunek: wezmą udział jedynie wtedy, kiedy będą mogli przejąć na siebie pięćdziesiąt jeden procent akcji.

Przez krótką chwilę panowała cisza, potem Kamila powiedziała:

– Nigdy, przenigdy się na to nie zgodzę. Przenigdy.

Senger liczył się z tego rodzaju reakcją z jej strony, właśnie tak jednoznaczną i gwałtowną. I podczas gdy patrzył na nią, jak tak stała, ukazał mu się pewien obraz z przeszłości: jego pokój w lazarecie pod Douai. Kamila była tam już od dwóch tygodni, całe dni spędzała przy nim. Lekarz przyznał się, że nie może w niczym choremu pomóc, lecz równocześnie odmówił jej zezwolenia na odtransportowanie męża do domu. Rozmowa odbywała się w obecności Sengera. I lekarzowi wymknęło się, że uważa przewiezienie za bezsens, ponieważ również i w domu nikt nie będzie w stanie pomóc choremu, a poza tym nie ma możliwości dostania samochodu, żeby go przewieźć. – W żadnym wypadku nie może mi pan w tym przeszkodzić! – powiedziała. Wydawało się Sengerowi, że słyszy teraz znowu ten sam głos, równie gwałtowny, i faktycznie Kamila wówczas postawiła na swoim – zdobyła samochód, a nawet i pielęgniarkę do towarzyszenia choremu. Jechali przez cztery dni z Douai do Neustrelitz. Senger niemal wcale tego nie pamiętał: wnętrze na wpół ciemnego wozu, ciągłe kontrole, kieszonkowe latarki zapalające się w ciemności i postoje, kiedy brakło benzyny. To, co z tej jazdy pozostało mu w pamięci, nie było również wspomnieniem o bólach, które już się zatarło. Pozostało tylko jedno: świadomość jej obecności, jak siedziała obok noszy w ciasnym wozie, i połączony z tym błogostan, trwały i głęboki, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie przeżył. I dlatego pytał teraz sam siebie, co się z nimi stało? Jaki popełnili błąd?

– Przenigdy – powtórzyła Kamila – i nie mogę uwierzyć, że myślisz to na serio – uczyniła ruch ręką, obejmujący coś więcej niż tylko ten pokój. –

Czy tu w przyszłości mają decydować obcy o tym, co ma się dziać?

– Myślałem właśnie o tobie.

– A czy również i o tym, że poświęciłam temu wszystkiemu połowę mojego życia?

– Połowa wystarczy. Czyż ma być tak przez całe życie? Przyjrzyj się propozycji. Wcale tak wiele się nie zmieni. Ty albo ja, jedno z nas może pozostać w zarządzie, a dla każdego z naszych synów jest przewidziane stanowisko dyrektora...

Nie chciałam już o tym więcej dyskutować. – Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby zakończyła w ten sposób jakąś rozmowę. Odwróciła się. Gdzie są drzwi? Czują, że usuwa się jej grunt pod stopami. Nie słyszała już też, co mąż mówił. Nie była w stanie sformułować żadnej jasnej myśli. Wiedziała tylko, że musi zebrać wszystkie swoje siły, aby dotrzeć do tych drzwi...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wóz sportowy zbliżał się od Mostu Wiedeńskiego, przejechał przez kanał i nie zmniejszając szybkości skręcił w bramę fabryki tektury, minął jeszcze ułożone tam jedne na drugich puste beczki po oleju i zatrzymał się przed prywatną stacją benzynową firmy Senger.

Był to otwarty dwuosobowy samochód. Wóz ten był tu dobrze znany, jak również sposób jazdy jego właściciela, i stary Pölzig, który miał pod swoją pieczę tabor samochodowy firmy, potrząsnął głową, a zgrzyt hamulca i donośny sygnał klaksonu przeszły go do szpiku kości. Aby przynajmniej przeszkodzić synowi właściciela firmy w hałasowaniu klaksonem, pospiesznie opuścił podnoszony pomost i wybiegł w swoim niebieskim kitlu, ze starym szalikiem na szyi i tamponami z waty w obu uszach.

Maks Senger, podpierając się na rękach, wyskoczył z wozu, gdyż wysiąść przez małe drzwiczki byłoby przy jego wzroście jeszcze niewygodniej. Wyciągnął kluczyki z wisiorkiem, który był emblematem wykwintnego berlińskiego klubu wioślarzy, i rzucił je Pölzigowi, którego ręce czekały już gotowe do chwytu.

– Obmyć, zatankować i zmienić olej, a nie zaszkodziłoby też umieścić z tyłu pary nowych opon.

– Chłopcze, chłopcze – westchnął Pölzig, przyglądając się zdartym oponom. – Przy takiej jeździe już mnie to nie dziwi. – Ale wyprostował się i rzekł: – Najpierw proszę pomówić z szefową.

Maks Senger był już w połowie drogi do portierni. Powierzenie wozu staremu Pölzigowi i odebranie go potem świeżo wypucowanego

i zatankowanego było dla niego czymś tak oczywistym, że obrzucił Pölziga zdziwionym wzrokiem. – Co się znowu stało?

Pözig bawił się wręczonymi mu kluczami. – Szefowa skontrolowała pana miesięczny rachunek. Zużył pan mnóstwo paliwa w tym miesiącu, a do tego dochodzą jeszcze reperacja i dwa nowe reflektory. Wyniosło to razem pokaźną kwotę. Właśnie skontrolowała wszystkie samochody i dostałem polecenie, żeby być bardziej oszczędnym. Zatankuję i zrobię wszystko, tylko po prostu niech pan powie o tym szefowej...

– Pomówię z nią. – Ostatnie słowa musiał powiedzieć podniesionym głosem, aby zagłuszyć hałas ruszającej właśnie oparki. Szefowa! Słowo to rozbudziło na nowo jego poranny gniew, i Maks z kurtką przerzuconą przez ramię skierował się do oszklonej budki portiera. Prawdopodobnie portier przywitał go tylko życzliwym kiwnięciem głowy, ale Maks dostrzegł w tym coś innego i rzekł: – No, proszę zatelefonować do szefowej. Musiał pan przecież zanotować, jak długo nie byłem w pracy. Dalejże, telefonuj pan na górę!

Wiedział, że zachowuje się jak dziecko, a to, że uniósł się, jeszcze bardziej go wzburzyło. Najchętniej zawróciłby od razu. Pojechać do Grünau, na Jezioro Długie, i w wiosłowaniu wyładować tam całą swoją wściekłość byłoby lepiej niż usiąść w biurze. Jego biuro, już na samą myśl wszystko się w nim gotowało. Istna kiszka, latem gorąco, że można się było udusić, a zimą prawdziwa lodownia. I nie miał nawet tego pokoju wyłącznie dla siebie, od czasu kiedy matka posadziła tam jeszcze tego urzędnika zakupującego dla firmy surowce. Dyspozycja szefowej. Dwóch ludzi pracuje intensywniej niż jeden człowiek i patrzą sobie na palce. Dobrze, że przynajmniej w sierpniu był na urlopie...

Biuro mieściło się na drugim piętrze. W jednej z sal stały maszyny, które przerobiono, tak że można było teraz produkować na nich opakowania do pewnego gatunku płatków mydlanych. Mógł dostać się do swojego biura i w inny sposób, ale wybrał właśnie drogę przez tę duszną salę, w której dudniły maszyny, tak że niekiedy słyhać je było nawet w jego biurze. Grünau! Wciąż jeszcze mógł się tam wybrać.

Otworzył gwałtownie drzwi do swojego biura. Rano opuścił rolety w oknach, tak że panowało przyćmione światło. Dostrzegł matkę natychmiast, a jednak nie wierzył własnym oczom, bo było czymś niesłychanym, żeby do niego przyszła. W ciągu tych wszystkich lat zdarzyło się to najwyżej raz czy dwa.

Siedziała na jednym ze zwykłych drewnianych krzeseł i co go również zaraz uderzyło, nie miała nic w rękach, ani papierów, ani akt i widocznie siedziała beczynnie, nie szukała niczego podczas jego nieobecności – siedziała po prostu i patrzyła na niego rzeczywiście tak, jak gdyby już długo na niego czekała. W całym jej zachowaniu i w sposobie, w jaki na niego patrzyła, było coś, co kazało mu zamknąć po cichu za sobą drzwi.

– Dzień dobry, Maks. Ten żółty pulower... to nowy? Muszę przyznać, że w tym kolorze jest ci bardzo do twarzy.

Z marynarką przerzuconą jeszcze przez ramię stal i czuł tylko, jak matka tą pochwałą wytrąca mu broń z ręki. – Dziadek uważa, że ten pulower jest okropny.

– Ależ nie, bardzo ci w nim ładnie.

Maks się jej przyjrzał i jak zawsze, kiedy rozsadzał go gniew na nią i był zdecydowany wyzwolić się za wszelką cenę spod jej wpływu, uświadomił sobie wyraźniej niż kiedykolwiek, co za piękną kobietą była

jego matka: bujne ciemne włosy, gdzieniegdzie przyprószone siwizną, których nie farbowała, ciemne oczy, usta i smukła giętka szyja oraz delikatna cera. Tak było zawsze, gdy patrzył na nią jak na obcą. Ale tym razem jeszcze coś do tego doszło. Lu, od której właśnie przyszedł, zrobiła pewne aluzje. Nie był nawet pewien, czy je dobrze zrozumiał, ale wystarczyły, aby jeszcze uważniej się przyjrzeć tej kobiecie.

Wiedział, jak ciężkie był dla niej wszystkie te lata. Jak to wszystko przetrzymała i mimo to pozostała przy tym taką, jaką tu widział? Skąd wzięła tę siłę? Skąd jej opanowanie? Z jakiego źródła je czerpała? Czy były w jej życiu jakieś skryte miłostki? Stawiał sobie to pytanie po raz pierwszy. Było to niedorzeczne i trudne do wyobrażenia, a przecie ta myśl uczyniła mu ją bliższą. Poczul nagle ochotę wziąć ją w ramiona, niczego nie wyjaśniając, ale potem odezwał się w nim głos ostrzegawczy: dostaję się znowu pod jej wpływ – pomyślał.

Zawiesił marynarkę na wieszaku i wyciągnął puzderko z kieszeni. Położył na biurku, tak że musiała je zauważyć. Kiedy nic na to nie powiedziała, otworzył je i podał matce. W popielatą aksamitną poduszczkę wetknięty był wąski platynowy pierścionek z okrągło oszlifowanym szafirem, otoczonym małymi diamencikami.

– Czy chcesz wiedzieć, dla kogo jest on przeznaczony?

– Sądzę, że dla jakiejś dziewczyny.

– Tak, dla dziewczyny, dziś wieczór ją poznasz. Ja się z nią ożenię. – Oczekiwał jakiejś drwiącej uwagi i sprzeciwu, którego niemal sobie życzył, aby mieć nową bazę wypadową, ale matka siedziała tylko milcząco.

– Jeśli nie będzie cię to zbyt wiele kosztowało, bądź dla niej miłą. Słyszałaś? Ja się z nią ożenię.

– Słyszałam.

– Żadnych zastrzeżeń? Wątpliwości? Nawet się nie spytałaś, czy ma pieniądze?

Jakby chciała mu pójść na rękę, zapytała: – Ale czy ona ma pieniądze?

– To już brzmi lepiej! Bardziej zwyczajnie. – Podciągnął rolety wysoko, tak że nagle zrobiło się w pokoju oślepiająco jasno. Matka zasłoniła ramieniem oczy, był to bezradny gest i jej głos brzmiał również bezradnie.

– Co wy wszyscy macie przeciwko mnie?

– Czy mam ci to powiedzieć? Mogę. Wszystko ujmujesz, jakby było samo przez się zrozumiałe.

– Proszę, czy nie możesz znowu opuścić rolet?

Udał, że jej prośby nie dosłyszał. – Ponieważ wszystko musi iść po twojej myśli. Weź na przykład nas trzech, Konrada, Georga i mnie. Czy jesteśmy dla ciebie czymś więcej niż dobrą lokatą kapitału? Pakietami akcji? Jak sprytnie to sobie wymyśliłaś. Czego ci potrzeba w fabryce? Dobrego chemika, dobrego prawnika i takiego, co orientuje się w finansach. I co się dzieje? Konrad studiuje chemię, Georg prawo i nawet ten trzeci – beznadziejny przypadek – uczy się dzielnie bankowości, stając się dokładnie tym, czego po nim oczekiwano. Wszyscy trzej synowie czynią posłusznie to, czego mama zawsze chciała. I do tego jeszcze dobrowolnie. Wszystko się dzieje dobrowolnie. Nikogo się do niczego nie zmusza. Kochana rodzinka jest posłuszna samorzutnie. W tak wspaniałej rodzinie jak nasza tak właśnie jest. I pewnego dnia trzej synowie podzielą się dobrowolnie firmą, każdy na swoim stanowisku...

– Tak, taki był mój cel. Czy jest w tym coś zdrożnego? Ja nie



wiedziałam, co będzie z waszym ojcem. A i bez tego było dla mnie zawsze jasne, że pewnego dnia wy będziecie musieli przejąć odpowiedzialność.

– Przejąć odpowiedzialność! A potem kontrolujesz moje rachunki za benzynę! – To ciasne biuro, upał i ta kobieta, która mu nie przeczyła: wśród tego wszystkiego zrodził się nagle u niego pewien pomysł.

– Ja niczego nie obejmę. Senger junior. Syn szefowej. Proszę, czy wolno mi zatankować? Przebacz, że się spóźniłem. Potrafię stanąć na własnych nogach. Ja ci tego dowiodę. Ale nie tutaj. Może wyemigruję. Do Ameryki. Tak! Ta Europa i tak się już kończy. Ameryka to przyszłość... – Pot wystąpił mu na czoło, gardło wyszło i kiedy się wyładował, jego gniew jakby się ulotnił. Opuścił rolety, usiadł i raz jeszcze nabrał rozpędu. – A więc, jeśli o mnie chodzi, możemy porozmawiać o moim zużyciu benzyny. Prawdopodobnie dlatego tu jesteś.

– Nie, właściwie nie dlatego.

Znowu, jak przy wejściu do pokoju, coś zaskoczyło go w jej głosie. Matka oparła się o biurko, jak gdyby na krześle nie czuła się dość pewnie. Maks poczuł nieprzepartą chęć położenia ręki na jej ramieniu, ale tego nie uczynił. – A więc dlaczego tu przyszłaś?

– Czy zawsze muszę mieć jakiś powód? Może chciałam tylko tu usiąść i mieć chwilę wytchnienia. Może chciałam z tobą porozmawiać. Albo po prostu tu posiedzieć.

Rozejrzał się po pokoju ze starymi biurowymi meblami, wybrakowanymi stalowymi skrzyniami i mapami świata na wybielonej ścianie z zaznaczonymi na nich rynkami surowców i pomyślał: Ona tu musi szukać wytchnienia?

– Nie mówiłem na serio – powiedział – tego o Ameryce.

– Nie? Czy jesteś tego pewien? Dziś nic by mnie już nie zaskoczyło. Może twoje zarzuty są słuszne. Można planować tylko swoje własne życie. Nie życie innych. Musisz mnie zrozumieć. Tak sobie po prostu myślałam i uczepiłam się tego: jeszcze trzy lata, a wtedy przynajmniej Maks dorośnie. Często miałam podobne myśli jak ty przed chwilą: już dłużej nie mogę. Mam tego dosyć. Co dzień wstawać, co dzień tu przychodzić, niezależnie od tego, jak się czuję. Czy nigdy nawet nie przyszło ci na myśl, że i ja mogłabym mieć inne pragnienia?

Właściwie nie miało to z tym żadnego związku, ale nagle przypomniał sobie scenę na dworcu: spóźnił się o kilka minut i Lu była już na peronie obok góry walizek. Cała w kolorze lila, od spiczastych bucików z guzikami aż do wielkiego jak koło kapelusza. Wcale nie samotna i bezradna, ale otoczona panami, których poznała podczas podróży, i tragarzami kłócącymi się, który z nich ma zanieść jej bagaż do taksówki. Wzięła dwóch i w hotelu ta sama scena się powtórzyła. Boye i posługacze tłoczyli się dookoła niej, jakby jej perfumy miały specjalną siłę przyciągania. Maks niemal się dziwił, że i on nimi nie pachnie.

Tym razem położył rękę na ramieniu matki. – Tak, wierzę ci i rozumiem cię. Wiesz co? Zapraszam cię! Do Grünau! Weźmiemy łódkę i popłyniemy w dal. Wprawdzie panuje tam teraz dość wielki ruch, bo to piątek, nie jak na Jeziorze Cyrkskim. Czy jest tam jeszcze ta kabina dla kąpiących się? I to stare czółno? Pamiętasz wtedy w dzień moich urodzin, kiedy dziadzio podarował mi zaprzęg z dwoma białymi kozłami. On miał zawsze takie dziwaczne pomysły. – Tu spojrzął na zegarek na rękę. – Czekał, to już wpół do pierwszej, czy nie miałaś wyznaczonego terminu w banku?

Przyjrzała mu się i pomyślała: zachował w pamięci tylko ten zaprząg z kozłami. To stanowiło dla niego wspomnienie o urodzinach, a nie depesza z wiadomością o śmierci Lenki.

I ze mną dzieje się tak samo. Myślę tylko o tym, że on właśnie położył rękę na moim ramieniu, tylko o tym, i wtedy wszystko inne ulega zapomnieniu.

– Termin w banku? Został odwołany.

– Jak to! Wszystko było przecie w porządku. Czy wyłoniły się jakieś trudności? Czy nie wystarczały im nasze gwarancje? To, coś wytargowała, było przecie tak korzystne, cztery i pół procent i drugie miejsce na hipotecę.

– Ojciec ma inny pomysł. On chce sprzedać.

Maks Senger zerwał się z krzesła. – Co on zamierza? Sprzedać? Ale komu? To szaleństwo... sprzedać! Ale ty przecież się na to nie zgodziłaś?

Kamila usiłowała wyjaśnić mu możliwie rzeczowo plany ojca, nie wypowiadając swojego zdania, ale czuła się już znacznie lepiej po prostu dlatego, że mogła teraz o tym mówić i ponieważ jej najstarszy syn zareagował tak spontanicznie. – Ojciec twierdzi, że byłoby lepiej dobrać sobie jakiegoś wspólnika – zakonkludowała. – Walka konkurencyjna na naszym rynku staje się coraz bezwzględniejsza, a on nie czuje się na siłach, żeby temu sprostać.

– Pięćdziesiąt jeden procent, on chyba zwariował!

– Mógłbyś zrealizować twoje plany, gdybyśmy dokonali sprzedaży. Mógłbyś spowodować wypłacenie ci twojego udziału. Są jeszcze Konrad i Georg. Być może oni będą za sprzedażą. To decyzja, którą my wszyscy powinniśmy podjąć razem. A jeśli wy opowiedzielibyście się za tym, to ja,

już się tymczasem nad tym zastanowiłam, nie będę się temu sprzeciwiać.

– Ależ, matko! Nie wolno ci brać tego na serio, co przed chwilą powiedziałem. My wszyscy czujemy się związani z naszym przedsiębiorstwem. A ojciec – czy nie doszłaś do przekonania, że za tym kryje się coś całkiem innego?

– On już przeprowadził rokowania z tymi ludźmi! Ma od nich konkretną propozycję. – Jeszcze raz całe jej oburzenie się wzmoгло. – Wszystko poza moimi plecami, nie powiedziawszy mi ani słowa.

– On jest po prostu zazdrosny.

– Zazdrosny?

– Tak, czy ci to jeszcze nie przyszło nigdy na myśl? On ma uczucie, że mogłabyś sobie równie dobrze bez niego poradzić. Czuje się piątym kołem u wozu.

Kamila usiłowała przypomnieć sobie wymianę zdań z mężem. Dotychczas odczuwała tylko ból, jaki jej sprawił. Ale teraz powiedziała: – Kiedy przedstawił mi tę propozycję, stało się dla mnie jasne, jak bardzo się do tego wszystkiego przywiązałam. Za bardzo, rozumiesz! Po prostu tak się stało. To dla mnie za dużo znaczy, jestem zbyt z tym związana, ostatecznie jestem tylko kobietą!

Maks znowu jej się przyjrzał i musiał mimo woli porównać ją z tamtą kobietą na dworcu. – Jesteś taka, jaką jesteś. I jestem dumny z ciebie, myślę, że ciocia Lu zwraca bardziej na siebie uwagę, a ty jesteś po prostu piękna.

– Lu, skąd ci przyszła teraz na myśl Lu?

Zdarzało mu się to bardzo rzadko, ale teraz się zarumienił. – Ja... właśnie... wracam z dworca. Byłem tam po nią.

– Po Lu?

– Tak. Nie byłem pewien, czy mam ci to wyjawić, czy nie. Napisała do dziadka. Chciała, aby po nią przyjechał na dworzec, a on zwałił to na mnie. Powinnaś była to wiedzieć! Dziadek mnie na niejedno przygotował, mnóstwo bagażu i wielkie widowisko, ale ona przewyższyła jeszcze znacznie moje oczekiwania. Może nie powinienem był o tym mówić...

– Gdzie ona jest?

– Odwiozłem ją do Bristolu. Miała tam zamówione pokoje.

– Pokoje? Czy ona nie przyjechała sama?

– Owszem... Mówiąc pokoje mam na myśli cały apartament. Jeden pokój by jej nie wystarczył... Czy wolno mi ciebie o coś zapytać?

– Pytaj.

– A ty mi uczciwie odpowiesz?

– Spróbuję. Albo nic nie powiem, co będzie również odpowiedzią. A więc pytaj. – Zmusiła się, żeby spojrzeć na syna, ale pytanie, jakie do niej skierował, było całkiem inne niż to, jakiego oczekiwała.

– Powiedz mi, dlaczego zostałeś z ojcem? Nie mogła to być tylko litość. Gdyby tak było, nie uczyniłabyś tego, prawda?

– Co za dziwne pytanie. – Jeszcze nie ochłonęła z zaskoczenia.

– Czy możesz mi na nie odpowiedzieć?

– O tak. Odpowiedź jest bardzo prosta: kocham go – i zaraz dodała: – Może inaczej, niż ty rozumiesz to słowo. Sama nie wiem. Musiałabym się nad tym zastanowić. – Powiedziawszy to wstała.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór – rzekł – proszę, bądź miła dla tej dziewczyny. To wcale nie takie proste znaleźć dziewczynę, której byś ty nie zaćmiła. Dlatego bądź dla niej miła. Tym razem to poważne. Mówię ci,

że ją kocham. A co to ma być właściwie za uroczystość dziś wieczór?

– Uroczystość? Pomyślałam, że przy tak pięknej pogodzie powinniśmy urządzić przyjęcie, wyłącznie dla nas, i będzie to nasz pierwszy wiosenny kruszon w tym roku.

– A ja mam uczucie, że to jest jakiś szczególny dzień.

Matka nic nie odpowiedziała. Zatrzymała się jeszcze raz przy drzwiach. Chciała coś dodać, ale on ją wyprzedził.

– Wiem, że moje wydatki samochodowe są za wysokie. To chciałaś mi przecie powiedzieć.

Roześmiała się. – Obawiam się, że właśnie to tylko chciałam ci oznajmić.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Okrzyki radości i wiwaty tłumu, który tłoczył się na chodnikach ulicy Unter den Linden, dotarły aż do sklepu zegarmistrza. Stary jubiler położył złoty zegarek na kawałku aksamitu i zdjął na chwilę staromodne binokle. – Jeszcze mi zbiją szyby.

– Co się właściwie stało? Z jakiego powodu to zbiegowisko? – Kamila spojrzała na drzwi, przed którymi aż czarno było od ludzi, i nie mogła zrozumieć, jak się jej udało utorować sobie drogę do tego sklepu.

– Jakaś oficjalna uroczystość. Wizyta państwowa któregoś z prezydentów z Ameryki Południowej. Ale tacy już są berlińczycy, jeśli tylko mogą mieć okazję do gromadzenia się i obiecują sobie jakąś sensację, wtedy już tam są i zawsze mają na to czas.

– Zbyt wiele urozmaicenia nie mieli w ostatnich latach.

Ale jubiler pozostał przy swoim zdaniu. – Nie ma bardziej łasych na sensację ludzi jak berlińczycy. – Włożył binokle, nastawił zegarek i go nakręcił. – Nikt też już nie potrafi docenić takiego zegarka! Tylko zegarki na rękę, innych niemal nie mogę już sprzedać. Tacy ludzie jak pani ojciec jeszcze się znali na zegarkach. Jak mu się właściwie powodzi?

– Dobrze, jak zawsze.

– To mój rocznik, czy pani o tym wie? To dobry rocznik, wytrzymały jak te stare zegarki. Wielka szkoda, że pan Hofmann musiał wtedy sprzedać swoją kolekcję zegarków. Kilka okazów udało mi się odkupić. Dziś modne są tylko zegarki na rękę, co za czasy! – Nacisnął sprężynę i dolna koperta odskoczyła. Jego ręce miały guzy artretyczne w stawach, ale ani drgnęły, kiedy podawał zegarek Kamili.

– Czy prawidłowo wygrawerowano datę? 1894... Czy to naprawdę już trzydzieści lat od tego czasu minęło? Wtedy pani ojciec miał czterdzieści dziewięć lat, a pani była dziesięcioletnią dziewczynką. Pani często była przy tym, kiedy przynosił tu swoje zegarki do sprawdzenia. Czy pani jeszcze pamięta? Rok 1894... w sierpniu, w owym roku...

– Czy może mi pan zapakować ten zegarek? – Nie chciała, aby dalej grzebał się we wspomnieniach. Pod tym względem była nieustępliwa, ten dom był dla niej czymś, czym nie chciała się z nikim dzielić. – Proszę tylko jeszcze o futerał...

– Nie jako prezent? Nie będzie z tym żadnej trudności. A werku nie chce pani wcale obejrzeć? Co za precyzja, o nią przede wszystkim chodzi.

Wyjęła książeczkę czekową z torebki i wypisała należność. Jubiler odprowadził ją do drzwi. Widać było, że chętnie-by jeszcze przeciągnął rozmowę. – Jeśli pani ojciec chce obejrzeć te stare okazy, to niech tu wstąpi. Może zechce coś niecoś odkupić. Niech pani mu powie, że sprzedam po przystępnej cenie. Nie wiem przecież, co się stanie z moim sklepem, kiedy mnie już nie będzie. Przeszło trzysta lat w naszej rodzinie...

Kamila wiedziała, że obaj synowie jubilera polegli na wojnie.

– Powiem ojcu. Na pewno przyjdzie.

Otworzył jej drzwi. Gwar z ulicy jeszcze się wzmógł. – Przepuście tę panią – rzekł, odsuwając na bok kilku wyrostków. – Najlepiej niech pani pójdzie w kierunku Wilhelmstrasse, tam najprędzej znajdzie pani taksówkę. Pytam, gdzie się podziały te wszystkie dorożki?

Ludzie stali zepchnięci aż do ścian domów. Niektórzy kupcy wystawili krzesła i skrzynie, aby stojąc na nich móc lepiej coś dojrzeć ponad



głowami tłumu. Wszystkie okna były przybrane niemieckimi i meksykańskimi flagami i chorągiewkami.

Kamila z trudem posuwała się naprzód pod prąd tłoczących się gapiów. Dopiero w pobliżu Wilhelmstrasse tłum zaczął rzednąć i wtedy dostrzegła wyłaniającą się fasadę hotelu. Kilka luksusowych limuzyn parkowało przed wejściem. Obok nich stali kierowcy. Wyłożono czerwony chodnik, a przy wejściu roiło się od boyów. Ktoś wnosił właśnie olbrzymią wiązkę kwiatów do hotelu.

Z trudem tylko mogła się precyzyjnie przesuwać, a zresztą i tak nie była zdecydowana, czy ma odwiedzić Lu. Dochodziła piąta, mogłaby więc wcześniej wrócić do domu i zdążyć jeszcze trochę odpocząć przed wieczornym przyjęciem.

Wciąż jeszcze każde wejście do Bristolu kosztowało ją dużo samozaparcia. Unikała tego, jeśli tylko mogła, ale byli klienci, którzy się tam zatrzymywali, i wtedy trudno już było tego uniknąć.

Z pewnym wahaniem weszła do holu. Panował tam spokój i miły chłód po nieznośnym upale na ulicy. Chciała udać się do recepcji, gdy nagle przed kominkiem dostrzegła kobietę w bieli wraz z jakimś mężczyzną. Nie mogła dojrzeć jej twarzy, jedynie ozdobiony mnóstwem białej gazy kapelusz, który zasłaniał twarz, i dwie białe koronkowe rękawiczki na rękach bawiących się parasolką.

Wciąż jeszcze z pewnym wahaniem Kamila podeszła bliżej: – Lu...

Kapelusz się uniósł. Kamila spojrzała w porcelanowobiałą twarzyczkę z małymi czerwonymi usteczkami i głęboko osadzonymi oczami o mocno uczernionych rzęsach. Jak u lalki powieki opuściły się i uniosły kilka razy, potem Lu odstawiła parasolkę, rozwarła ramiona, tak że szerokie rękawy

białej sukni frunęły niczym skrzydła, i podeszła do Kamili. – Kamilo! Siostrzyczko! – W dziwny sposób jej ramiona nie dotknęły jednak Kamili. Lu trzymała je szeroko rozstawione i całe objęcie skończyło się tylko na przelotnym muśnięciu policzków.

– No, to dopiero niespodzianka! Gdzie usiądziemy? Może w ogrodzie? Naprawdę nie śmiałam nawet marzyć o tym. Coś takiego! Ale chwileczkę...

Wróciła do stolika przy kominku, wzięła parasolkę, zamieniła szeptem kilka słów ze stojącym tam mężczyzną i podeszła do Kamili. – Ci berlińscy mężczyźni – powiedziała, biorąc Kamilę pod rękę – pozostali tacy sami jak dawniej. Nie mogą zostawić w spokoju żadnej kobiety.

Kamila doznawała przy tym spotkaniu mieszanych uczuć, ale teraz nie mogła powstrzymać się od wyzwalającego śmiechu. – Czy to dla ciebie takie złe odkrycie?

– Niekoniecznie. Zresztą byłam śmiertelnie zmęczona podróżą. Położyłam się natychmiast i godzinę temu jeszcze spałam. To tutejsze powietrze. Usiądziemy tu? – powiedziała, wskazując na jeden ze stolików pod czerwonym parasolem. – Oczywiście zadzwoniłabym do ciebie. Ale nie chciałam cię od razu nachodzić w pierwszej godzinie. Dobrze wyglądasz. Czy mam coś dla ciebie zamówić? Może lody?

– Tak, lody. Tylko koniecznie waniliowe. Zamówiły u kelnera lody i Kamila powiedziała: – Przyjechałaś tak niespodziewanie. Czy zostaniesz tu dłużej?

– Czy zostanę dłużej? Pozostanę tu na stałe! Sama nie mogę jeszcze w to uwierzyć. Z powrotem w Berlinie! I to na zawsze. Czy wiesz, że twój syn był po mnie na dworcu? Jaki już z niego dorosły młodzieniec! A co

z dziewczynami? Muszą na niego lecieć! Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza...

– Pogrzebała koniuszkiem bucika w białym żwirze. – Czy bardzo się postarzałam?

Kamila szukała odpowiednich słów, ale Lu oszczędziła jej odpowiedzi, pytając dalej: – A co z tamtymi dwoma synami?

– I oni też wyrosli tymczasem na dorosłych młodzieńców.

– Słyszałam, że są na studiach?

– Tak.

– A nasz ojciec? Wiesz, zawsze sobie myślałam, że on przyjmie wiadomość o moim powrocie najspokojniej ze wszystkich, dlatego napisałam do niego. Czy jest ciągle jeszcze taki sam jak dawniej? A co z matką? Z Maxi i Alicją? Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

Podczas gdy Lu dalej zadawała pytania, a ona na nie odpowiadała, Kamila nie mogła się powstrzymać od przyjrzenia się dokładnie siostrze. Właściwie nie chciała zbyt wnikliwie się przyglądać, gdyż w twarzy Lu było coś, co się jej nie podobało lub raczej, co sprawiało jej wręcz cierpienie. Istotnie Lu się zmieniła. Ale nie można było dostrzec tego na pierwszy rzut oka. W hotelowym holu przy kominku była taka sama jak dawniej i również tutaj stawała się taką, skoro tylko jakiś mężczyzna się ukazał, przechodził koło nich, szukał miejsca. Ale zmiana nastąpiła, widoczna zwłaszcza w jasnym słońcu: zmarszczki na czole i dookoła oczu, nos, który stał się bardziej spiczasty i jakby bardziej władczy, oraz wzdrgnięty grymas, który koniuszki ust z lekka opuszczał w dół. Nie było przyjemnie na to patrzeć. Nie miało to zresztą związku z samą Lu albo przynajmniej nie tylko. Raczej sam fakt, że coś, co kiedyś było piękne,

mogło przeminąć.

– ...a matka pisała do mnie, że tyranizują ją w tej fundacji.

– Odwiedź ją, wtedy szybko się przekonasz, kto przed kim drży.

– Kiedy tylko będę miała trochę czasu. Najpierw muszę się nieco zaaklimatyzować.

– Jakie masz zamiary? Czy chcesz wynająć mieszkanie?

Jeszcze nie wiem. Naprawdę, nie mam jeszcze pojęcia, jak postąpię. Nastrój w Bristolu dobrze na mnie działa. Nigdy tu jeszcze nie mieszkałam... Czy byłaś wtedy bardzo zaskoczona?

– Czym?

– No, wtedy, kiedyśmy się pobrali. Keith i ja. Musiało to być przecie dosyć nieoczekiwane dla ciebie.

– Wszystkich nas to zaskoczyło. Raptem zniknęliście oboje.

– To stało się tak nagle. Rankiem wzięliśmy ślub w ambasadzie, a wieczorem siedzieliśmy już na statku płynącym do Trelleborga. Musieliśmy jechać przez Szwecję z powodu wypowiedzenia wojny. Mój Boże, a z jakim trudem znaleźliśmy statek. I co to była za nędzna łajba. Wszystko zaczęło się już nie tak, jak trzeba. Wiesz, chciałam się po prostu stąd wydostać, a wtedy była to jedyna możliwość. Uczepiłam się go jak kleszcz, ale z początku nie wyglądało na to, aby dał się złapać. Chciałam już niemal dać za wygraną.

Jadła łyżeczką lody, które powoli zaczynały topnieć. Zamówiła lody malinowe, które miały dokładnie kolor jej lakierowanych paznokci. – Czy ty wtedy właściwie się z nim widziałaś?

– Przelotnie – powiedziała Kamila i w tym momencie nie wydało się jej to nawet kłamstwem.

– A ja już myślałam...

– Co myślałaś?

– Nie wtedy. Właściwie dopiero później, po tamtej stronie oceanu nachodziła mnie nieraz myśl, że wziął mnie tylko dlatego, ponieważ nie mógł cię dostać. – Tu przyjrzała się Kamili. – Wydaje mi się nawet, że wy oboje dobrze byście do siebie pasowali. Ale po co wspominać stare dzieje. Minęły i poszły w zapomnienie! Tak to już jest. A ja nie umiem inaczej żyć.

– Jesteście rozwiedzeni?

– Bez mojej winy. Miałam bardzo dobrego adwokata. Płacić musi on. A więc nikomu nie będę ciężarem. Mogę na przyszłość wygodnie żyć. Lecz oczywiście... Powiedz, Kamilo, co ja robię nie tak, jak trzeba?

– Czy czegoś żałujesz?

– Nie, bynajmniej. Jednakże to złości. Bo co to jest? Po prostu coś nie wychodzi. Najpierw każdy mężczyzna szaleje za mną, do chwili, aż mnie ma. Wtedy już nie wiem, co dalej począć. Tak już jest, nie umiem żadnego mężczyzny na stałe zatrzymać. W czterdziestym szóstym roku życia powinno się to już umieć. Ale ja się tego nigdy nie nauczę. A pewnego dnia i to inne nie będzie już też oddziaływać. Dawniej mówiłam sobie, że po prostu nie mam szczęścia. Ale teraz wiem, że to moja wina i że nie potrafię niczego utrzymać. Tak to już jest, od tego wszystko zależy. U ciebie jest inaczej. Ty umiesz to, co masz, mocno trzymać. Masz swoją rodzinę, męża i trzech synów i mieszkasz znowu w domu w Steglitz...

W miarę mówienia popadała w coraz bardziej ckliwy ton. To było czymś nowym u Lu. Nie zdziwiłoby wcale Kamili, gdyby Lu, aby wzmóc efekt swoich słów, wycisnęła jeszcze ze swych oczu kilka łez.

– Obawiam się, że muszę już teraz odejść – powiedziała Kamila. – Urządzamy dziś wieczorem małe przyjęcie. Więc zawsze pozostaje jeszcze coś niecoś do przygotowania... Jeśli masz ochotę, zapraszamy cię z całego serca. – Spotkanie z siostrą przebiegło prościej, niż Kamila myślała, lecz mimo to poczuła ulgę, że miała je już za sobą.

– Mieszkacie więc znów w tym starym domu?

– Tak, już przeszło trzy lata.

– Czy dom jest jeszcze taki sam jak dawniej?

– Tak, mniej więcej. A więc jak będzie z dzisiejszym wieczorem?

Lu przyglądała się swym lakierowanym paznokciom.

– Jak ja się tam dostanę? To strasznie daleko, prawda?

– Weźmiesz taksówkę, tak będzie najprościej.

– Przyjęcie, mówisz? Czy będzie dużo gości? Jacyś interesujący ludzie?

Kamila się uśmiechnęła. To była znów ta sama dawna Lu.

– Ależ nie, mniej więcej sama rodzina i naturalnie mnóstwo młodzieży przyprowadzonej przez moich synów.

Lu zaczęła naciągać koronkowe rękawiczki, starannie wygładzając każdy palec po kolei. – Jakżeż chętnie bym przyszła...

Mężczyzna, który towarzyszył jej przedtem w holu hotelowym przy kominku, wyszedł właśnie do ogrodu. Rozejrzał się, zauważył Lu i wybrał potem stolik najbardziej od nich oddalony, ale moment kiedy je mijał, wystarczył, aby Lu i on wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Kamila wstała. – Możesz się jeszcze zastanowić. Ja w każdym razie bardzo bym się cieszyła. Możesz się też spóźnić. To trwa zwykle dosyć długo. Najpiękniej jest, kiedy się ściemni i świecą lampiony.

– Sama nie wiem... Od razu w pierwszy wieczór, po tej długiej podróży.

Może to będzie jednak ponad moje siły.

Kamila chciała skinąć na kelnera, aby zapłacić, ale Lu do tego nie dopuściła. – Ja już to załatwię. Z twojej strony było to tak miło, że od razu do mnie przyszedłeś. Może odwiedzę was w końcu tygodnia. W każdym razie zgłoszę się do was. Czy mam cię odprowadzić?

– Nie potrzeba.

– Zdaje mi się, że posiedzę tu jeszcze trochę na dworze. Co za powietrze! Jakże długo mi tego brakowało!

– Daj o sobie znać. – Przy wejściu do holu Kamila spojrzała jeszcze raz za siebie. Ów pan już wstał i właśnie miał podejść. Lu, cała w bieli, siedziała tam na delikatnym krzeselku ogrodowym pod czerwonym parasolem i z tej odległości wyglądała jak młoda dziewczyna.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kamila musiała się przez chwilę zastanowić, gdzie się znajduje i jaka to pora dnia. Nie spała długo, ale głęboko, i śniło się jej mnóstwo pogmatwanych rzeczy: Lu, cała w bieli, jako świadek w sądzie, obwiniająca Keitha o cudzołóstwo. Maks przy relingu statku oceanicznego, który dopiero co przybił do brzegu, i ona sama na molo, wtłoczona w tłum ludzi, macha ręką na powitanie, jacyś obcy mężczyźni, którzy chodzili po domu, taksowali przedmioty i je opieczętowali, oraz jej mąż w ogrodzie, znowu w fotelu na kółkach, z rękami na kołach, jak jedzie na przełaj przez grządkę z różami.

Nie miała zamiaru spać, lecz tylko trochę odpocząć po kąpieli, zanim się ufryzuje i skończy się ubierać. Nagle przez uchylone okno usłyszała głosy dochodzące z ogrodu i pokój, który prawie się nie zmienił od jej panieńskich czasów, przyjął znów tak dobrze jej znany wygląd. Sekretarzyk, portret z młodych lat babuni, firanki z żółtego kretonu i szafa z drzewa orzechowego, na której wisiała już przygotowana na wieczór suknia z błękitnego szyfonu, z głębokim dekoltem, długimi, wąskimi rękawami i szerokim, wiązany paskiem jedwabnym, poza tym bez żadnej ozdoby.

Jeszcze z nikim z rodziny nie rozmawiała, od kiedy wróciła z miasta. Maks już wyjechał po swoją dziewczynę, Konrad i Georg przebywali w ogrodzie, zajęci rozwieszaniem lampionów, a mąż, jak jej powiedziano, wycofał się do swego pokoju.

Poszła do kuchni, gdzie już stały tace przygotowane na zimne przekąski. Spróbowała kruszonu i wydała ostatnie polecenia w związku



z wieczornym przyjęciem. Nie spała dłużej niż dwadzieścia minut. Na jej zegarku było wpół do dziewiątej. Poszła do łazienki, aby się ufryzować i zrobić na piękną. Następnie włożyła suknię z błękitnego szyfonu. Pokój pogrążał się powoli w półmroku, ale nie zapaliła światła.

Na dworze, w ogrodzie, jeszcze się tak prędko nie ściemni. W takie dni jak ten niebo pozostawało długo jasne, nawet gdy słońce znikło już na zachodzie, za parkiem. A kiedy i ten odblask zgasł, pozostawał jeszcze rzęsiście oświetlony dom z wielu oknami i otwartymi drzwiami, rozprzestrzeniając światło, oraz lampiony wiszące dookoła tarasu, pomiędzy drzewami. A później księżyc wszędzie na niebie, rozświetlając ścieżki i nadając żółtym różom na rabatach przed domem śnieżnobiałą barwę.

Usłyszała kroki na korytarzu, zmierzające w kierunku jej pokoju. Potem rozległo się pukanie. Jeszcze zanim drzwi się otwarły, wiedziała już, że był to ojciec, znała jego chód.

– Czekamy na ciebie – rzekł. Miał na sobie jedno ze swych lnianych ubrań w kolorze naturalnym.

– Jestem gotowa. Czy wszyscy już są?

– Nie wiem, ilu gości zostało zaproszonych. Wiele młodzieży.

– Czy Maks już jest? Ze swoją dziewczyną? Jaka ona jest?

– Mam wstawić się za nią, ale wydaje mi się, że to nie będzie potrzebne. I bez tego będzie ci się podobać. Bardzo miłe dziewczę. I wyobraź sobie, z długimi warkoczami. Idziemy?

– Zaraz. – Wzięła puzderko, które leżało na sekretarzyku. Nie zapakowała go, gdyż papier, w jaki zawija się prezenty, i wstążeczki, którymi się je przewiązuje, przez całe życie denerwowały jej ojca. – Mam

coś dla ciebie.

– Dla mnie? – uśmiechnął się. – Czy dziś jest jakiś szczególny dzień? –  
Potem wziął puzderko. – Pozwól mi odgadnąć. To zegarek?

– Odgadnąć nie było trudno.

– Czy mam dalej zgadywać? – I wyjął zegarek. – Założę się, że coś jest  
na nim wygrawerowane. – Podeszedł z zegarkiem do okna, gdzie było  
jaśniej. Nacisnął sprężynę, aby koperta odskoczyła, i zaczął przyglądać się  
napisowi. – A więc jednak to szczególny dzień – powiedział – i ty o tym  
nie zapomniałaś.

– Czy sądzisz, że mogłabym o tym zapomnieć?

– Trzydzieści lat... właściwie to jeszcze żaden wiek dla domu. Czy inni  
też wiedzą o tym?

– Nie.

Wiesz, nie byłem pewien, czy ten dzień jest dla ciebie równie ważny  
jak dla mnie. Moje życie już minęło i wydaje mi się, że nie mogę mieć już  
nadziei, by coś innego mogło o mnie dobrze świadczyć, poza tym domem.  
To jest jedyne, czego dokonałem, być może dlatego, że tylko to robiłem  
z miłością. – Tu nacisnął znów sprężynę i koperta zegarka się zatrzasnęła.  
– Czy pamiętasz, że w gruncie rzeczy ten dzień był katastrofą! Dom był  
skończony dokładnie 22 sierpnia. Tylko ty i ja, jedynie my oboje  
wiedzieliśmy o tym, a inni nie. Wyjechaliśmy za miasto, chciałem ich  
wszystkich zaskoczyć, a potem twoja matka dostała niemal ataku. Przez  
całą jesień i zimę dom stał pusty, dopiero następną wiosną  
wprowadziliśmy się. Ten dzień był katastrofą, ta scena, jaką mi w domu  
urządziła, te jej łzy, nie mówiąc już o czym innym...

Kamila myślała: jak się ten dzisiejszy dzień skończy? Ale powiedziała:

– Niemal już o tym zapomniałam. Wiem tylko, że tu jest moje miejsce, tu jest mój dom. To bardzo dobre uczucie wiedzieć, że tu nic mi się nie może stać.

Ojciec potrząsnął głową. – Nie lubię cię, kiedy jesteś taka poważna. Po co to, w taki dzień jak dzisiaj. Masz przybrać teraz inną minę. Tak, tak jest lepiej... – Stał przed nią, przypatrywał się jej, a potem rzekł: – Czy ja ci kiedy powiedziałem, że jesteś taka ładna? Czy ojciec mówi takie rzeczy swojej córce?

– Kiedy jest młoda.

– A ja ci to mówię teraz. Czy wiesz, co sobie nieraz myślałem, z taką żoną jak ty moje życie przebiegłoby być może całkiem inaczej.

– Dziś słyszę same komplementy – powiedziała, ale brzmiało to niewesoło. – Najpierw Maks, a teraz ty. Tylko że... – Nie dokończyła zdania. – Wydaje mi się, że powinniśmy teraz naprawdę zejść już do gości.

– Chwileczkę. – Rozpiął marynarkę i wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. Zdjął go z łańcuszka i umocował na nim ten nowy. Po czym podał jej ramię.

W domu było chłodniej niż na dworze i ciszej. Park szumiał. Głosy, śmiechy, a od czasu do czasu ciągle na nowo krótki głuchy odgłos, kiedy młotek krokietowy trafiał w kulę. Bramki stały na trawniku, po drugiej stronie długiej rabaty z różami. Ten rok jest szczególnie dobry dla róż – pomyślała Kamila, przechodząc przez taras, oparta na ramieniu ojca. W domu, w wazonach, miały całkiem inny zapach niż na świeżym powietrzu, a teraz, wieczorem, pachniały inaczej niż rano czy też podczas południowego upału. Teraz szybko się ściemniło. Na niebie nie było jeszcze widać księżyca. Ktoś zaczął zapalać świece w różnokolorowych

lampionach.

Kamila ujrzała męża na skraju tarasu. Stał tam samotny, ze szklanką w ręku, i patrzył w głąb parku.

– Opuszczę cię teraz – rzekł Fryc Hofmann.

– Nie, pozostań przy mnie.

Ale on odsunął swoje ramię i oddalił się, podczas gdy Kamila wciąż jeszcze patrzyła na męża, który tam stał jak obcy, jak gość zaproszony po raz pierwszy. Być może, że tylko smoking wywoływał to wrażenie obcości. Był to ubiór, w którym Senger nigdy się dobrze nie czuł i który na pewno miał na sobie nie częściej niż najwyżej jakieś sześć razy w życiu. Kamila nie mogła sobie przypomnieć, kiedy widziała go po raz ostatni w smokingu.

Podeszła do niego.

Również z bliska nie ustąpiła ta obcość. Ciemny materiał, który sztywno opinał jego sylwetkę, odejmował mu wszystko, co było bliskie.

– Czy mogę ci przynieść szklankę kruszonu? – zwrócił się do niej. – Jest świetny. Kiedy go przygotowałaś?

– Dziś rano. Niektórzy przysięgają, że kruszon należy przygotowywać w szklanym naczyniu w słońcu, ale ja uważam, że wtedy nabiera gorzkiego posmaku. Naturalnie zależy to też od wina.

Kiedyś, w ciągu popołudnia, Kamila wyobrażała sobie, że po wypowiedzeniu pierwszych słów wszystko się znowu naprawi bez konieczności wyjaśnień. Ale tak się nie stało. Podał jej napełnioną szklankę i to uczyniło wspomnienie o wymianie zdań w jego gabinecie jeszcze żywszym, kiedy tam trzymała szklankę z mrożoną herbatą w ręku i nie mogła jej wypić.

– Widzę, że masz na sobie perły – rzekł sztywno.

– Tak. – Po południu, wybierając się do jubilera, zabrała perły z sejfu w banku. – One tracą swój blask, kiedy się ich długo nie nosi.

– Były to ciemne perły, prawie czarne, rozmaitej wielkości. Początkowo było ich trzy sznury. Po każdym urodzeniu dziecka darowywał jej po sznurze, później kazała połączyć je w jeden.

– Życzyłem sobie, abyś je nosiła.

Z parku dolatywały głosy. Wszystkie lampiony były teraz zapalone. – Czy nie chcesz wypić? Jest naprawdę dobry.

– To według recepty cioci Lenki. – Ale dlaczego nie znalazła tego jednego słowa? – Jak się czujesz dziś wieczór?

– Lepiej. Ja... Dziś po południu przeprowadziliśmy, to znaczy chłopcy i ja, rozmowę...

– Poczekaj! – przerwała mu Kamila.

– Czy nie chcesz o tym wiedzieć?

– Owszem. Ale coście omawiali i jaki jest tego rezultat, to nie jest tak ważne. To, co jest pomiędzy nami, jest o wiele ważniejsze. – Słowa te miała już od dawna na języku. Dlaczego było je tak trudno wypowiedzieć? – Ja ciebie potrzebuję.

Podniósł oczy sponad swojej szklanki i Kamili wydało się, że coś z obcości ustępuje. – Ty mnie potrzebujesz? Czy nie było zawsze odwrotnie ostatnimi laty, niestety.

Kamila potrząsnęła głową. – Wówczas kiedy przyjechałam do Douai, kiedy stałam przed lazaretem i ten kapelan wojskowy wyszedł i spojrzał na mnie, tak jak gdybym była żoną tego człowieka, któremu właśnie dał ostatnie namaszczenie – wówczas pomyślałam: Pozwól żyć mojemu

mężowi. To było moje jedyne życzenie. A potem, potem byłam tak wdzięczna, tak szczęśliwa. Ty pozostałeś przy życiu, a wszystko inne w porównaniu z tym nie miało żadnego znaczenia.

Nie było to jednak jeszcze to, co chciała powiedzieć. Zrobiło się tych słów zbyt wiele. Ale ciągnęła dalej: – Te lata, które nastąpiły potem, były dla ciebie bardzo ciężkie i dla mnie również. Nie tylko z powodu pracy w przedsiębiorstwie, jaką musiałam dalej wykonywać. Ty istniałeś, a jednak istniałeś nie dla mnie. Ale tak już było. W jakiś sposób się z tym pogodziłam. Najważniejsze było to, że pozostałeś przy życiu. Ale teraz... teraz to za mało! – Nagle usłyszała głos Maksa, który ją wołał. Chyba nigdy nie zdoła znaleźć właściwych słów, aby wyrazić to, co chciała, i powiedziała po prostu: – Ja ciebie potrzebuję. Potrzebuję ciebie całego.

– Co wy się tu ukrywacie... – Był to Maks, który podbiegł do nich, trzymając dziewczynę za rękę. – Oto ona – powiedział zdyszany.

Dziewczyna miała jasną sukienkę, zapiętą pod szyją broszką, i rzeczywiście długie, ciemne warkocze.

– Oto Krystyna, a oto moja matka.

Dziewczyna się pochyliła, jakby zaznaczając dygnięcie, i przy tym jej długie ciężkie warkocze spadły do przodu.

– Myślałam, że czegoś takiego już nie ma – powiedziała Kamila – dziewczyna z warkoczami.

Dziewczyna spojrzała na Maksa. – Z początku on uważał to za okropnie staromodne. Ale teraz już się do tego przyzwyczaił. Myślę jednak, że wkrótce je obetnę.

– Powiedz jej, że nie powinna tego robić – wtrącił Maks.

Ona je obetnie – pomyślała Kamila. – Obetnie je i schowa, ja także

długo przechowywałam swoje, a pewnego dnia je odnajdzie i postawi sobie pytanie: gdzie podziała się moja młodość i co za nią dostałam?

– Proszę się z tym nie spieszyć – powiedziała Kamila.

– Widzisz, moja matka też to mówi. – Tu zwrócił się do matki: – Czy ojciec już z tobą mówił? Czy powiedział ci, że rezygnuje ze swojego planu i że wyznaczaliśmy nowy termin na spotkanie z tymi panami z banku na poniedziałek?

– O tym właśnie rozmawialiśmy.

– No to wszystko dobrze. A teraz wybaczcie nam! – Wziął dziewczynę za rękę. – Chodź, muszę ci pokazać coś szczególnego.

Dziewczyna znów dygnęła, uśmiechnęła się i pozwoliła mu pociągnąć się za sobą. I tym razem, kiedy zbiegała po stopniach tarasu i biegła potem przez łąkę, warkocze fruwały za nią.

– Co za miła dziewczyna – powiedział Senger.

– Tak, szczególnie miła. I taka młodziutka.

– Czy chciałabyś jeszcze raz być młodą?

– Nie, nie to miałam na myśli.

Stali tak i patrzyli na obie jasne sylwetki, jak biegły przez pogrążoną w mroku łąkę i potem przystanąły pod lipą.

– Czy myślisz, że Maks opowie jej historię tego drzewa? – zapytał.

– O tak, opowie na pewno.

– I myślisz, że ona w to uwierzy?

– Na pewno. Kiedy się jest tak młodym, to łatwo uwierzyć, że wszystkie życzenia się spełnią.

– A później?

– Później już wiesz, że nic w życiu nie jest pewne. Wiesz, że dziś coś

otrzymasz, a jutro to znów utracisz. Ale niejedno można zachować. Nie wszystko. Jednak miłość należy do tych rzeczy, które zachować można.

Oboje młodych trudno już było dostrzec, tylko dwie jasne sylwetki majaczyły przed pniem drzewa, a Kamili wydało się, że jest ono teraz większe i potężniejsze niż kiedykolwiek.